

**Wbrew nazwisku Small to
niemałe odkrycie! W tej książce
jest wszystko: tajemnica,
suspens, góry i zawrotne tempo.**

Remigiusz Mróz

ODDECH BOGA

JEFFREY SMALL



**ODDECH
BOGA**

JEFFREY SMALL

ODDECH BOGA

Przekład Agnieszka Kalus

CZW-
ARTA
STRO
NA

Tytuł oryginału: *The Breath of God: A Novel of Suspense*

Copyright © 2011 by Jeffrey Small

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2015

First published in the United States by West Hills Press,
An imprint of Hundreds of Heads Books

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Malwina Błażejczak

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Wydanie elektroniczne 2015

ISBN 978-83-7976-276-7

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Dla Alison i Gabrielli.

Dzięki Wam stało się to możliwe. Kocham Was.

Część pierwsza

ISKRA

„Na początku było Tao. Wszystkie rzeczy wywodzą się z niego, wszystkie rzeczy powracają do niego. Każde stworzenie na świecie jest przejawem Tao. Tao stwarza wszystkie istoty, karmi je i utrzymuje”.

Daodejing (Tao Te Ching), VI w. p.n.e.

„Na początku było Słowo,
a Słowo było u Boga,
i Bogiem było Słowo.
Ono było na początku u Boga.
Wszystko przez nie się stało,
a bez niego nic się nie stało,
co się stało.
W nim było życie,
a życie było światłością ludzi”.

Ewangelia wg świętego Jana, I w. n.e.^[1]

^[1] Biblia Tysiąclecia, wydanie IV, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1991.

Rozdział 1

Dolina Punakha, Bhutan

— Następny będzie najgorszy.

Najgorszy? Grant Matthews wypłuł resztki wody z himalajskiej rzeki, której nałykał się, przekraczając ostatni próg, klasy czwartej.

— W porządku? — zawołał z silnym akcentem Dasho, jego bhutański przewodnik.

— Muszę złapać oddech.

Nurt łagodniał w miejscu, gdzie Mo Chhu, Matka Rzeka, rozlewała się szerzej. Grant oparł wiosło o neoprenowy fartuch, który chronił go przed lodowatą wodą, i rozprostował ramiona. Musiał również dać odpocząć nogom, żółta łódka ledwie mieściła jego długie na metr dziewięćdziesiąt ciało.

Dasho zbliżył się do niego kilkoma silnymi uderzeniami wiosła.

— Dopiero co skończyła się pora monsunowa. Chhu jest teraz bardzo szybka.

Grant przesunął kask na tył głowy, odgarnął mokre włosy z oczu i przyjrzał się szerokim kościom policzkowym i opalonej twarzy przewodnika.

— Jak to się stało, że buddyjski mnich został przewodnikiem rzecznym?

Kiedy Grant planował podróż do Bhutanu, poprosił w biurze podróży o znalezienie przewodnika znającego tujejsze liczne klasztory. Miał nadzieję, że w jednym z nich uda mu się odnaleźć to, czego szuka. Kiedy powiedziano mu, że Dasho, były mnich, prowadzi wycieczki i ekspedycje kajakowe, wiedział, że to pokrewna dusza.

— Ojciec zmarł dwa lata temu — odparł Dasho. — Byłem jedynym synem, miałem trzy siostry i matkę. Opuściłem klasztor, żeby się nimi zająć.

Stracił ojca mniej więcej w tym samym wieku, co ja, pomyślał Grant, szacując, że Dasho ma niewiele ponad dwadzieścia lat. Szybko otrząsnął się ze wspomnień z drugiego roku studiów: jego niegdyś niepokonany ojciec — czcigodny pastor — i jego skandaliczna śmierć. Podniósł wiosło i zanurzył je w wodzie.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. — Dasho uśmiechnął się. — Mogłem zostać rolnikiem. — Wskazał wiosłem na brzeg rzeki.

Dolina wznosiła się łagodnie. Na każdym poziomie rozciągały się pola pszenicy, papryki i fasoli. Samotny, pomarszczony od słońca rolnik okopywał rośliny drewnianą motyką. Na wzgórzu za polami, na dwunastometrowych słupach, łopotały buddyjskie flagi modlitewne. Widok wieńczyły na horyzoncie pokryte śniegiem szczyty Himalajów.

— Zatem podróżowałeś po Indiach, zanim przybyłeś do Królestwa Grzmiącego Smoka? — zapytał Dasho, czyniąc aluzję do Druk Yul, jak Bhutańczycy nazywali niewielkie buddyjskie królestwo

leżące w Himalajach pomiędzy Indiami i Tybetem.

— Prowadziłem badania do pracy magisterskiej — przytaknął Grant.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, poczuł niepokój. *Mój niedokończony doktorat*, pomyślał. Członkowie seminarium doktorskiego na uniwersytecie Emory w Atlancie, nawet jego opiekun, profesor Billingsly, byli sceptyczni, kiedy pięć lat temu przedstawił plan swojej dysertacji. Historia, którą zamierzasz zbadać jest tylko legendą, powiedzieli, ale Grant uparł się, by rozwikłać starożytną zagadkę.

Dopiero co spędził tydzień w zimnym, jałowym, niemal księżycowym krajobrazie północnych Himalajów indyjskich w pobliżu Kaszmiru. Kilku mnichów w klasztorze Hemis w Ladakh nabrało podejrzeń co do jego badań. Sto lat wcześniej podobne pytania zwróciły na nich uwagę świata, czego nie pragnęli, i miały tragiczne konsekwencje dla pytającego. Grant chciał rozegrać to inaczej w Bhutanie.

— Bardziej podoba mi się wasz łagodny klimat i piękne krajobrazy. — Uśmiechnął się do Dasho.

— Mierzmy postęp za pomocą narodowego szczęścia brutto zamiast produktu krajowego brutto — roześmiał się Dasho. — A ty rzucasz się na najtrudniejszą rzekę?

— Lubię wyzwania. Na studiach miałem do czynienia z głęboką wodą.

— Wy, Amerykanie, lubicie wszystko, co ekstremalne — zachichotał Dasho.

— To sekret naszego postępu.

Postęp, pomyślał, odczuwając wewnętrzny niepokój. On sam go nie robił, a kończył mu się czas. W Bhutanie są setki buddyjskich klasztorów, a on może tu spędzić tylko dwa tygodnie. Wątpliwy trop, jaki podsunął mu jedyny przyjaźnie nastawiony mnich z Hemis, nie precyzował, w którym klasztorze w Bhutanie ukryty jest skarb.

— To, czego szukasz, zostało przeniesione dawno temu — wyszeptał stary mnich.

— Dokąd? — zapytał Grant, zerkając w głąb klasztornej krużganka, by sprawdzić, czy nikt się nie zbliża.

— Zapewne do jakiegoś innego buddyjskiego klasztoru. — Starzec wzruszył ramionami. — Prawdopodobnie w Bhutanie.

W ciągu dwóch dni, które spędził w Bhutanie, Grant odwiedził trzy najważniejsze klasztory, jeden w Paro, mieście, do którego przyleciał, a dwa w Thimpu, stolicy kraju. W każdym z nich rozmawiał z kilkoma mnichami, ale na ich twarzach nie dojrzał nawet śladu zrozumienia, kiedy pytał o to, czego szukał. Grant pokręcił głową. Wyprawa kajakiem to przyjemność, na którą nie było go stać, nawet jeśli pracowałby bez jednego dnia przerwy przez cały poprzedni miesiąc.

Powinien był skończyć rozprawę doktorską rok temu. Dodatkowe stypendium, które otrzymał, przestanie być wypłacane wiosną, i wówczas pozostanie bez środków do życia. Utrzymywał się sam, od kiedy skończył szkołę średnią. Jego ojciec nie zaaprobował wyboru uczelni ani jego zainteresowań. Grant pracował, żeby opłacić studia licencjackie na Uniwersytecie Virginia oraz kurs magisterski w Emory, łącząc zajęcie asystenta wykładowcy z obowiązkami kelnera, które wykonywał wieczorami.

Przeciągnął wiosłem przez wodę o barwie nefrytu. Pocił się pod czarną pianką. A co, jeśli tego nie znajdzie? Dręczył go strach, ale Grant nie popadał w zwątpienie. Nie mógł pozwolić na to, by sceptycy z jego wydziału w Emory triumfowali.

Zwiększył tempo. Woda była coraz bardziej wzburzona, jego ciało dostosowywało się do warunków. Umysł natomiast wciąż rozważał strategię dotarcia do prawdy. Grant z całej siły napał na wiosło; krew buzowała mu w żyłach, jakby czerpała energię z jego postanowienia o wznowieniu poszukiwań. Jutro złoży wizytę w klasztorze w Punakha, oddalonym o kilka mil od miejsca, gdzie

teraz wiosłował. Ze wszystkich klasztorów, które chciał odwiedzić, ten w Punakha był największy, ale Grant starał się nie wiązać z nim większych nadziei.

— Hej! — krzyknął pozostający w tyle Dasho. — Z kim się ścigasz?

Grant zatrzymał się, by przewodnik mógł go dogonić. Pola uprawne po obu stronach rzeki były coraz bardziej strome, a nurt rzeki przyspieszył. Dziesięć minut później obaj kajakarze znaleźli się w granitowym kanionie, pokonując niewielkie progi wodne, które pojawiały się z coraz większą częstotliwością. Zaledwie kilka drzew zdołało wyrosnąć na urwistych brzegach, a ich wyzierające na powierzchnię korzenie trzymały się skał jak palce balansującego na ścianie wspinacza.

Grant zauważył, że rzeka przed nimi robi się jeszcze węższa, po czym opada i znika za skupiskiem głazów.

— Za mną, przyjacielu — powiedział Dasho, kierując się w prawo, w stronę wiru przy ścianie klifu. — Poznaj Śmiejącego się Buddę! — przekrzyczał hałas spadającej przed nimi wody.

Grant wskazał na duży głaz pośrodku rzeki.

— To głowa Buddy? — Podobały mu się pomysłowe nazwy, jakimi wioślarze nazywali progi wodne, wodospady i różne przeszkody w rzece. Przypominało to zabawę dzieci widzących postaci zwierząt w układzie chmur.

— Woda, która przepływa po bokach, to ręce Buddy, a czterometrowy wodospad tuż pod nim to reszta jego ciała — dodał Dasho, szczerząc zęby. — A jeśli popłyniesz złą stroną, będzie się śmiał, gdy fikniesz koziołka.

— Czterometrowy?

— Klasy piątej. W tym tygodniu jest dużo wody. Nie ma zbyt wielu turystów przy Śmiejącym się Buddzie.

Grant poczuł ukłucie żalu, że pokierował się swoim ego, a nie rozumem, wypełniając kwestionariusz, w którym opisywał swoje doświadczenie kajakarskie. Większość jego osiągnięć tak naprawdę stanowiły progi wodne klasy trzeciej i zaledwie kilka klasy czwartej, które dopisał, by zrobić większe wrażenie. Teraz znajdował się przed najtrudniejszym do pokonania wodospadem; następny w skali, klasy szóstej, był uważany za zbyt niebezpieczny dla kajakarzy.

Rzucił okiem na ściany klifu po obu stronach rzeki — zbyt strome, by wyciągnąć łódki na brzeg i obejść to miejsce.

— Jak go pokonamy?

— Widzisz rozwidlenie po prawej? Popłyniemy tamtędy. Na górze wodospadu wiosłuj, ile masz sił, i odchyl się w tył. Jeśli zbyt szybko się wyprostujesz, wylądujesz głową w dół. — Dasho pokazał dłonią, o co mu chodzi, i puścił do niego oko. — Dasz sobie radę. Za mną.

Obrócił swój kajak w stronę spadu. Przekrzykując huk wody, dodał:

— Jeszcze jedno: bądź ostrożny, gdy będziesz lądował. Skała nad wysoką wodą sprawia, że na dole jest duży odwój, nie wpadnij w niego.

Grant dwoma odepchnięciami wiosel podpłynął do swojego przewodnika. Zerknął pierwszy raz na wodospad. Woda, gładko rozlewająca się na górze, spieniona rozbijała się na skałach i spadała z hukiem na dno. Grant nie był pewien, co bardziej go niepokoiło: czterometrowy wodospad, przed którym się znajdował, czy wielki wir, w miejscu, gdzie spadała woda.

Widział wiele różnych kaskad przez te wszystkie lata, ale ta była największa. Woda spadała, uderzając w podwodne kamienie, co sprawiało, że nurt zmieniał kierunek i tworzyła się kipiela czy też odwój, jak zwali go kajakarze. Pływający na pontonach i kajakach czasem wpadali w taką kipiela i trzeba ich było stamtąd wyciągać. Grant i Dasho mieli ze sobą torby, w których trzymali dziewięciometrowe liny. Woleliby nigdy nie musieć ich używać.

— Poczekam na ciebie na dole — powiedział Dasho. Odbił się kilkoma płynnymi ruchami i wpłynął do prawego przesmyku.

Grant dostrzegł błąd swojego młodego przewodnika, gdy tylko ten go popełnił. Dasho, zanim dotarł do skraju wodospadu, odwrócił się przez ramię i wykrzyknął ostatnie słowa zachęty: „Nie zapomnij dobrze się bawić!”.

Doprawdy niewielki błąd, ale Grant miał świadomość tego, że jakakolwiek pomyłka w takich trudnych warunkach przekładała się na duże kłopoty, podobnie jak lawina, która nabiera mocy, gdy podcina kolejne partie śniegu na stoku góry. Niewielkie przechylenie ciała Dasho sprawiło, że jego kajak przesunął się o kilka cali w lewo. Silny prąd pogorszył jego położenie, spychając go jeszcze dalej z obranej drogi. Dasho szybko zareagował, wiosłując wściekle z lewej strony kajaka. Dziób odbił w prawo w momencie, gdy kajak przekroczył próg wodospadu.

Dasho skorygował swój manewr, by wyprostować kajak, co sprawiło, że stracił pęd.

Grant wstrzymał oddech, przyglądając mu się z leżącego powyżej rozlewiska. Dasho uderzył w spienioną wodę przodem kajaka i pod ostrym kątem. Grant wzdrygnął się, gdy kajak przekoziółkował. Ciało przewodnika wygięło się pod dziwnym kątem, gdy uderzyło w wodę. Granta ścisnęło w żołądku.

— Wiosłuj, Dasho. Wiosłuj, do cholery! — krzyczał, ale wiedział, że woda zagłusza jego głos.

Jasne dno niebieskiego kajaka kręciło się w wirze. Przygważdżała go woda spadająca z góry. Dasho powinien był obrócić się albo opuścić kajak, ale Grant nigdzie go nie widział. Jego przewodnik mógł znaleźć się w pułapce lub stracić przytomność. W obu przypadkach potrzebował natychmiastowej pomocy.

Grant zdawał sobie sprawę, że musi niezwłocznie pokonać wodospad. Szybko zrobił przegląd możliwych opcji. Lądowanie na drugim kajaku przysporzyłoby nowych kłopotów. Rzut oka na brzeg potwierdził jego wcześniejsze przypuszczenia — nie było możliwości obejścia tego miejsca. Jedyne wyjście to dobrze wybrać moment spadania.

Chwyciwszy oburącz wiosło, Grant wyjął je z wody i pozwolił łódce powoli dryfować przed siebie. *Jeszcze kilka sekund*, domyślił się, wpatrując się w kajak na dole. Serce biło mu, jakby intensywnie wiosłował, chociaż nawet się nie ruszał. *Jeszcze moment*. Oddech mu przyspieszył.

Teraz.

W chwili gdy kajak Dasho odbił w lewo, Grant zanurzył wiosło głęboko w wodzie. Ręce i kark paliły go od wysiłku. Zderzył się z wodną kaskadą we właściwym momencie. Ryk wody i jego własny puls waliły mu w uszach. Dociskając stopy do plastikowego podnóżka, pracował całym tułowiem. Spadek pojawił się tak nagle, że Grant nawet go nie zarejestrował, dopóki nie poczuł wody rozpryskującej się pod kajakiem.

Leciał w dół zimnego himalajskiego wodospadu.

Teraz!

Łódka Dasho podskakiwała do góry dnem zaledwie kilka metrów od niego. Cztery szybkie uderzenia wiosłami i już przy niej był. Silny prąd zachwiał jego kajakiem, Grant wpadł w tę samą kipieli, która unieruchomiła jego przewodnika. Poczł dreszcz przerażenia. Jeśli mieli przeżyć, musiał skupić się na zadaniu. Miał plan. Najpierw odwróci kajak Dasho, a następnie będzie się martwił tym, jak wydostać się z wiru.

Chwytnąc wiosło w prawą dłoń, lewą złapał kajak Dasho. Palce ślizgały mu się na mokrej powłoce. Spróbował ponownie i jeszcze raz, jednak z tym samym rezultatem. Musiał wymyślić coś innego. Wychylając się na tyle daleko, na ile starczyło mu odwagi, próbował znaleźć jakiś punkt zaczepienia w tej części łodzi, która znajdowała się pod wodą. Oddychał szybko i płytko, by nie

nałykać się wody rozpryskującej się wokół niego.

Wymacał obramowanie kokpitu. Fartuch był wciąż na miejscu, co oznaczało, że i Dasho jest w środku. Zacisnął zdrętwiałe palce na krawędzi kokpitu. Zapierając się stopami o boki swojego kajaka, Grant szarpnął lewą ręką, jednocześnie okręcając tułów w prawo.

Kajak Dasho zaczął się obracać. Grant zatriumfował. Ale po chwili nagły prąd wodny uderzył niespodziewanie w tylną część jego łódki i obrócił ją. Grant próbował jakoś zbalansować ciałem ten gwałtowny ruch, nie rozluźniając uchwytu, ale woda była silniejsza od niego. Ręka oderwała się od łodzi Dasho.

Wywróciło go.

Kręcił się w kółko, głową w dół. Otworzył oczy. Niewiele widział przez wzburzoną, zielonkawą wodę. Piekły go płuca. Uświadomił też sobie, że stracił wiosło. Narastająca panika zagrażała mu bardziej niż lodowata toń, w jakiej się znalazł.

Jedyną nadzieją było postąpić w sposób, którego uczono go podczas szkolenia. Gestem wyuczonym podczas ćwiczeń przytknął ucho do prawego ramienia, wygiął tułów w tę samą stronę i silnie zarzucił biodrami. Nic. Spróbował przewrotu jeszcze raz, ale nurt był tu zbyt bystry.

Pociemniało mu przed oczami. Wiedział, że ma jeszcze tylko kilka sekund, zanim straci przytomność. Przypomniawszy sobie ostateczne wyjście — musiał się kabinować. Obiema rękami sięgnął dziobu kajaka, chwycił neoprenową pętlę, którą przywiązany był jego fartuch do kokpitu, i pociągnął ją do siebie. Puściła. Odepchnął się od kokpitu i oswobodził. W chwili, gdy nic nie krępowało jego ruchów, kamizelka ratunkowa wypchnęła go na powierzchnię.

Powietrze.

Zaczerpnął powietrza, po czym zakrztusił się pryskającą wokół wodą. Po chwili udało mu się odetchnąć pełną piersią. Nic mu nie będzie.

Po kilku ostrożnych oddechach rozjaśnił mu się umysł. *Dasho*. Kajak przewodnika wciąż podskakiwał do góry dnem w niewielkiej odległości od Granta. Ten odepchnął się z całej siły i podpłynął do łódki. Gdy był już u celu, kipieli pociągnęła go pod wodę.

Instynktownie chwycił się pod kolanami, podkurczył głowę i zwinął się w kulkę. Pamiętał, że gdzieś pod zimną wodą były wielkie skały, które odpowiadały za wytwarzanie się odwoju, a zderzenie z nimi tylko pogorszyłoby jego sytuację. Nie miał wyjścia, musiał zaufać kapokowi i wirującej wodzie, że wypchną go do góry. Po kilku sekundach ponownie znalazł się na powierzchni.

Oddychał ostrożnie, lecz głęboko. Spoglądał na wznoszące się wokół niego fale. Łódź Dasho odплыnęła kawałek dalej, na drugi koniec wodospadu, a jego kajaka nigdzie nie było widać.

Z bólem serca uświadomił sobie, że nie uda mu się przepłynąć pod prąd i dosięgnąć Dasho. Tracił czucie w rękach, nogi były coraz wolniejsze. Adrenalina pchała go do przodu jeszcze przez minutę, ale hipotermia wygrała. Grant zrozumiał, że utopi się, jeśli nie wydostanie się z kipieli. Będzie musiał znaleźć inną drogę dotarcia do Dasho.

Chcąc wypłynąć z wodnego wiru, będzie musiał zastosować manewr, o którym tylko czytał: technikę windy. Przypomniawszy sobie, że prąd w kipieli najsilniejszy był przy powierzchni, nawet najlepsi pływacy nie dawali sobie rady w takich warunkach. Ale pod wodą, gdzie prąd przeciwny łagodniał, istniała możliwość przepłynięcia na drugą stronę. Aby manewr się udał, należało pozwolić wciągnąć się pod wodę, tak jakby wciskało się przycisk w ekspresowej windzie, a następnie w najgłębszym, a jednocześnie najsłabszym miejscu trzeba było wypłynąć z wodnego wiru. Jeśli mu się uda, znajdzie się dziesięć lub piętnaście metrów dalej, w dole rzeki.

Po chwili wir wciągnął go pod wodę. Grant nie bronił się. W pozycji embrionalnej opadał na dół. Tym razem się nie bał, jego umysł koncentrował się na zadaniu, które miał do wykonania. Kiedy

poczuł, że zaczyna zwalniać, że wszystkich sił odbił się zdrtwiałymi nogami i odepchnął rękami. Posuwał się do przodu, ale szybko się zmęczył. Wnet uderzył stopą w coś twardego — podwodny głaz, przez który utworzyła się kipiela.

Może dałoby się odbić nogami od tej skały?, przemknęło mu przez głowę.

To był zły pomysł.

Oparł prawą stopę na skale, odepchnął się resztkami sił, ale zamiast przebić się przez wir i wypłynąć w dół rzeki, pośliznął się na śliskim kamieniu i zaklinował pomiędzy głazem a inną skałą stojącą tuż obok. Nie miał czasu na rozważanie tego, co się stało. Szarpnął nim kolejny prąd wodny. Nie mógł słyszeć trzasku pękającego piszczela, ale poczuł złamanie jako wszechogarniające go białe światło, jakby uderzył w niego piorun.

Zdał sobie sprawę, że utonie.

Zamknęła się nad nim zimna ciemność. Po krótkiej chwili przestał czuć ból w nodze, nie docierało do niego pieczenie w płucach. Nawet ryk wody rozplynał się w ciemności. Ciało Granta zwiotczało. Owinięty chłodnym kokonem, zapadł w spokojny sen. Śnił o tym, że płynie jak rzeka, jakby on i woda stali się jednością.

Rozdział 2

Birmingham, Alabama

Gitarowy riff rozległ się z głośników zawieszonych ponad sceną. Ludzie stali, skupieni w pięcioletnim tłumie, niektórzy nawet na palcach, żeby lepiej widzieć, większość trzymała ręce w górze, skapani w kolorowych światłach, które docierały do nich ze sceny. Po twarzach kilku kobiet stojących w pierwszych rzędach płynęły łzy.

Brian Brady uśmiechnął się do zgromadzonych, rozkoszując się szaleństwem, które sam wywołał. Pot kapał mu z włosów z widocznymi srebrnymi pasmami i spływał po opalonej twarzy. Boże, jak on to kochał. Minęło już dwadzieścia lat, a jemu jeszcze nie znudziło się uwielbienie tłumu.

Idealnie zgrywając się z perkusistą wybijającym końcówkę piosenki, Brady uniósł obie ręce, jakby obejmując ludzi. Zachrypniętym głosem krzyknął przez bezprzewodowy mikrofon przymocowany za uchem: „Powiedźcie to jeszcze raz!”.

W odpowiedzi usłyszał: „Chwalcie Jezusa!”.

— Kto trzyma z J.C.?

— My — zawołali.

— Jeśli gracie po stronie Pana, to jacy jesteście?

— Zbawieni!

— Jeśli nie ma w was Chrystusa, jacy jesteście?

— Potępieni!

— My, Armia Sprawiedliwych, wniesiemy światło w ciemność — ogłosił wielebny Brady swoim przyjemnym dla ucha barytonem, unosząc dłoń zaciśniętą w pięść przy wiwacie zgromadzonych.

Opuścił swobodnie ręce. Następnie uśmiechnął się do tłumu, pokazując świeżo wybielone zęby.

— Porozmawiamy? — Wziął składane krzesło pospiesznie przyniesione zza kulis przez kogoś z obsługi.

— Zaczynaj, pastorze — usłyszał głos dochodzący ze środka sali.

W kościele rozległ się śmiech.

Brady usadowił swoje ważące dwieście funtów ciało na jedynym krześle rozłożonym pośrodku sceny. Poprawił klapy garnituru od Armaniego, czarnego w delikatne niebieskie prążki. Zespół Rapture znajdował się tuż za nim po prawej; naprzeciw nich na podwyższeniu stało trzydziestu członków chóru, ich szaty powiewały w podmuchach powietrza generowanych przez silne wiatraki ukryte za sceną. Przyglądając się zgromadzonym czekającym na niedzielne kazanie, wielebny Brady przemówił rozbajającym tonem, jakiego używał, mówiąc do swoich ludzi, a który brzmiał tak, jakby pastor właśnie zasiadał z każdym z nich w salonie i popijał mrożoną herbatę.

— Mam kłopot, moi przyjaciele. Kłopotczy mnie upadek naszego niegdyś wielkiego narodu — zrobił pauzę, aby słowa do nich dotarły. Kiedy przemawiał, robił to celowo, wyraźnie wymawiał

każdą sylabę, żeby echo w ogromnym Kościele New Hope of God nie zniekształciło jego słów.

— Zepsucie naszego kraju przybiera różne formy: likwiduje się nauczanie religii w szkołach, nasze dzieci fascynują się okultystycznymi książkami, takimi jak *Harry Potter* czy sagą *Zmierzch*, seks i przemoc pokazywane są w telewizji, politycy bardziej troszczą się o wyniki wyborów niż o swoich wyborców. Ale dziś będziemy mówić o subtelniejszych pokusach Szatana — ciągnął, pochylając się do przodu i przesuwając na krawędź krzesła. — Moi przyjaciele, jestem tutaj, żeby ostrzec was przed grzechem dotyczącym nie tylko tych, którym brakuje wiary. Grzech dotyczy także was.

Przez zgromadzenie przeszedł szmer. Brady natychmiast dostrzegł mężczyznę w pierwszym rzędzie, który siedział wyprostowany jak kołek, niczym kobra szykująca się do ataku. W krótkiej fryzurze widać było przedwczesne siwe włosy, wieku dodawała mu również głęboka zmarszczka między oczami. Padające ze sceny światło nieładnie podkreślało egzemę na jego twarzy — łuszczący się naskórek, spod którego wзираła zaczerwieniona skóra. Brady w duchu podziękował Bogu za swoją nieskazitelną cerę.

— Nie zamierzam rzucać w nikogo kamieniem...

Brady wstał z krzesła, szedł po marmurowych schodach do pierwszego rzędu i położył dłoń na ramieniu blondynki po trzydziestce, ubranej w pastelową bawełnianą sukienkę pasującą do jej atletycznej sylwetki. Spojrzał w głąb nawy, by sprawdzić, w którym miejscu klęczy kamerzysta, i odwrócił się w taki sposób, by zasłonić sobą człowieka z egzemą siedzącego kilka miejsc dalej. Zawsze ważne dla niego było, kogo pokazuje olbrzymi projektor podwieszony nad sceną.

— Ale w zeszły czwartek, kiedy poszedłem po zakupy, zauważyłem obecną tutaj Barbarę Howell, która wychodziła z lekcji jogi w centrum handlowym Montevallo Road.

Barbara podniosła wzrok i popatrzyła na wielebnego tak jak dziecko patrzy na rodzica, gdy wie, że ma kłopoty, ale nie wie jeszcze, czym je na siebie sprowadziło. Brady uśmiechnął się do niej wyrozumiale.

— Pierwszy List do Koryntian naucza, że nasze ciała są świątyniami Ducha Świętego. Ćwicząc, oddajemy cześć Bogu, który stworzył nas na swoje podobieństwo. Wiem, że Barbara stara się żyć zgodnie z przykazaniami naszego Zbawcy, ale — zrobił pauzę i podniósł palec wskazujący — nawet to, co robimy z najlepszą intencją, może nie być wolne od grzechu, jeśli nie jesteśmy czujni.

Na słowo „grzech” Barbara posmutniała jeszcze bardziej. Przyglądało jej się całe zgromadzenie, o to chodziło Brady’emu.

— Pewnie myślicie, że joga, która polega na rozciąganiu się i regulowaniu oddechu, jest dobrym sposobem, by poćwiczyć i zrelaksować się po całym dniu ciężkiej pracy. Ale nie dajcie się nabrać. Joga nie jest dla chrześcijan. Joga ma hinduskie pochodzenie. Oczywiście instruktorzy z początku nie prezentują jej w świetle religii, ale pewnego dnia będziecie dotykać palców stóp i recytować wersy w sanskrycie, próbując odnaleźć w sobie Boga.

Wielebny Brady mocniej zacisnął palce na ramieniu Barbary. Oderwał od niej wzrok i spojrzał na sklepienie kaplicy dwanaście metrów ponad nimi. Podniósł głos.

— Boże, nasz Ojciec wszechmogący, twórco całego świata i sędzia ludzkości: ci tak zwani jogini chcą, byście uwierzyli, że istota najwyższa mieszka w oddechu lub w kwiecie. — Potrząsnął głową z odrazą. — Ale my przecież wiemy lepiej, nieprawdaż?

— Wiemy lepiej — odpowiedzieli chórem zgromadzeni.

— Powiedzcie mi, jaka jest jedyna słuszna droga do Boga? — krzyknął.

— Przez naszego Pana Jezusa Chrystusa — odparli.

— Gdyby można było dotrzeć do Boga przez samopoznanie — znowu ściszył głos — po co,

wobec tego, zostałyby do nas zesłany Jezus?

Wielebny spojrział w zaczerwienione oczy Barbary i starł łzy z jej policzka.

— Nie winię cię, moja droga. Diabeł pojawia się w przebraniu. W Drugim Liście do Koryntian, rozdziale jedenastym, wersecie czternastym, święty Paweł pisze: „Sam bowiem Szatan podaje się za anioła światłości”. — Brady szczyił się tym, że dobrze znał Pismo Święte i że z łatwością przychodziło mu cytowanie fragmentów pasujących do każdej okazji. — Od zarania Szatan próbuje zwieść płeć piękną. Podobnie jak Ewa uległa pokusie i zjadła zakazany owoc z drzewa poznania, współczesne kobiety chadzają na lekcje jogi, szukają samopoznania przez medytację i inne wschodnie praktyki, które promują samoświadomość. Ale czy tego owocu już raz nie skosztowano? Takie praktyki nie zaprowadzą was do Boga, nie wymażą waszych grzechów. Otworzą jedynie wasze serca i umysły na złe wpływy. Nasz apostoł Jan mówi w rozdziale pierwszym, wersecie dziesiątym: „Jeśli ktoś przychodzi do was i tej nauki nie przynosi, nie przyjmujcie go do domu”. W czym domu chciałabyś się znaleźć, Barbaro?

— W domu Boga — odpowiedziała szeptem kobieta.

Zachęcił ją do wstania z krzesła.

— Czy jesteś gotowa, Barbaro — zapytał — potwierdzić dzisiaj swoją wiarę w Jezusa, który jest jedyną drogą do życia wiecznego?

— Jestem.

Brady uniósł ręce, kierując wewnętrzną stronę dłoni do góry. Barbara zrobiła to samo.

— W imię naszego Zbawcy Jezusa Chrystusa, wybaczam ci, Barbaro Howell. Idź ścieżką Pana, a otrzymasz Jego łaskę. — Z wyrazem ulgi Barbara opadła z powrotem na krzesło, jak biegacz, który pada na ziemię ostatkiem sił po przekroczeniu linii mety.

Wchodząc na scenę, wielebny zwrócił się do całej kongregacji.

— Dziś byliśmy świadkami odwagi jednej kobiety. Czy wy też macie odwagę, by przyjąć Jezusa?

— Mamy! — odpowiedzieli.

— To są właśnie zagrożenia, o których piszę w mojej skromnej książeczce. — Brady zerknął na wielki ekran nad sceną, na którym wyświetlała się trzymetrowa grafika przedstawiająca okładkę jego niedawno wydanej książki *Dlaczego Bóg jest taki zagniewany?*. Pod wielkimi literami tytułu i jeszcze większym nazwiskiem autora znajdowało się zdjęcie Brady’ego wpatrującego się w drewniany krzyż wiszący na ciemnym, złowieszczym niebie. — Dzięki waszemu wsparciu sprzedano trzysta tysięcy egzemplarzy książki. — Tłum zaczął wiwatować. — A minęły dopiero cztery miesiące od jej publikacji!

Brady zamilkł, żeby przeczekać aplauz. Następnie zaczął cytować fragment pierwszego rozdziału swojej książki: „Kłęski, których doświadczył w ostatnim czasie nasz kraj — huragany na wybrzeżu, akty terroryzmu na naszej ziemi, upadek ekonomii — są karami wymierzonymi w nasz *dawniej chrześcijański* naród, który, podobnie jak naród żydowski w Starym Testamencie, zszedł z Bożej drogi. Występki naszego liberalnego społeczeństwa doprowadziły do Sodomy i Gomory na miarę naszych czasów: narkotyków, aborcji, swobody seksualnej i — uniósł głos — tak zwanej tolerancji innych religii, która zachęca do czczenia fałszywych bożków i zanieczyszcza umysły naszych obywateli — Brady obniżył tembr głosu, ale mówił jeszcze głośniejszym głosem: — Zapomnieliśmy ostrzeżeń zawartych w Pierwszym Liście do Tymoteusza, rozdziale drugim, wersecie piątym: „Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus.”

Obraz na ekranie nad Bradym zmienił się i zamiast okładki książki wyświetlał teraz wygenerowany komputerowo trójwymiarowy widok placu z wielkim kościołem znajdującym się w samym centrum.

— Dzisiejsze nauczanie podkreśla wagę największego przedsięwzięcia, jakiego się podjęliśmy. Oczywiście mam na myśli trwającą budowę Wspólnoty New Hope. Dwanaście mil stąd, dwadzieścia cztery miesiące przed końcem budowy, nasz nowy kościół jest namacalnym dowodem na to, że Pan się do nas uśmiecha. Nasza wspólnota będzie miejscem, gdzie wy i wasze dzieci będziecie wzrastać i pielęgnować obraz Pana, będzie sanktuarium nadziei położonym z dala od złych wpływów innych religii. W naszej nowej sali gimnastycznej będziecie się gimnastykować w sposób chrześcijański — powiedział, puszczając oczko do Barbary, która odpowiedziała uśmiechem — przy dźwiękach naszego własnego chóru gospel. Nasze dzieci mogą uczyć się sztuk walki, ale będą kłaniać się Dziesięciorgu przykazań zawieszonym na ścianach, a nie samozwańczym sensei głoszącym niezrozumiałe kwestie zen. Jestem tak uniżony w obecności każdego z was — powiedział łagodniejszym tonem — ponieważ to dzięki wam możemy realizować boski plan dla naszej wspólnoty. Wasze hojne dary dla Pana sprawiają, że udaje nam się wcielać marzenie w życie. Jesteśmy już tak blisko. Jesteśmy tak blisko, ale jeszcze nie osiągnęliśmy celu. Muszę was prosić, abyście wejrzeni głęboko w siebie i zadali sobie pytanie, czy możecie jeszcze je wspomóc. Nie chcemy przecież skąpić datków na boską wizję. Mam nadzieję, że gdy w przyszłym tygodniu zadzwonią do was nasi wolontariusze, zrobicie, co do was należy.

Wielebny Brady podszedł do ołtarza zajmującego środek sceny.

— A teraz pomódlcie się ze mną w ciszy i poproście o boskie wsparcie w tym świętym dziele.

Ukląkł przy ołtarzu, odwracając się tyłem do wiernych, którzy posłusznie pochylili głowy. Kaplicę wypełniła cisza. Po trzech minutach zakłócanych jedynie przez czyjś stłumiony kaszel Brady powstał, zanim zgromadzeni zaczęli się wiercić, i zwrócił się twarzą do ludzi. Wciąż miał zamknięte oczy. Po jego policzkach płynęły łzy. Rozłożył szeroko ręce, dłonie skierował w górę.

— Czujecie ją? — zapytał. — Moc naszej modlitwy? Czujecie ją? Obecność Boga, który jest tu teraz z nami? Czujecie?

Starszy mężczyzna siedzący na wózku inwalidzkim w tylnej części kościoła odpowiedział silnym głosem, który zdawał się nie pasować do jego wątłego ciała.

— Bóg jest z nami! Alleluja! — niektórzy zaczęli płakać razem z wielebnym.

— Dzieje się tu dzisiaj coś nadzwyczajnego! — wykrzyknął Brady. — Jesteśmy świadkami czegoś niezwyklego i świętego. Przyjdź do nas, Panie!

Po tych słowach ludzie zaczęli żywiołowo reagować, wykrzykując „amen” i „chwalmy Boga”. Brady otworzył oczy i popatrzył na uniesione twarze ludzi w ekstazie. Mężczyzna z pierwszego rzędu miał ciągle zamknięte oczy, a jego popękane usta szeptały cichą modlitwę. Podpierając się o ołtarz, Brady pochylił się i zdjął swoje mokasyny od Ferragamo. Pokazał je kongregacji.

— Znajdujemy się dziś na świętej ziemi. Nie kalajmy jej naszymi brudnymi butami. — Gdy pięcioletni tłum zafalował, by również zdjąć obuwie, Brady ukląkł i zatopił się w modlitwie, ale tym razem przodem do zgromadzonych. Jego buty leżały przed nim na podłodze. Poczekał, aż zalegnie cisza.

— Chwalcie Jezusa — powiedział, otworzywszy oczy.

Nie czekając na odpowiedź, podniósł buty, wstał i minąwszy zespół zszedł ze sceny.

W chwili gdy zniknął za kurtyną, oniemiała kongregacja zgotowała mu najgłośniejsze brawa, jakie Brady kiedykolwiek słyszał. Zespół i chór, idąc jej śladem, zaintonował *Cruising with Jesus*, jedną z najpopularniejszych piosenek inspirowanych rockiem. Za kulisami Brady minął oświetleniowców i dźwiękowców pochylonych nad konsolami. Zatrzymał się przy monitorach, które nadzorował szczupły, łysiejący mężczyzna w ciemnym garniturze. Brady wziął z jego rąk ręcznik i otarł twarz.

— Dobrze dziś wypadłem, Williamie, prawda? — powiedział, raczej stwierdzając niż pytając.

— To jedno z twoich najlepszych wystąpień. Jedli ci z ręki — odparł William Jennings, szef operacji New Hope.

Brady uśmiechnął się do swojego najbliższego współpracownika i oddał mu wilgotny ręcznik, poplamiony łzami, potem i smugami brązowego pudru, po czym oddalił się w stronę korytarza.

Rozdział 3

Punakha, Bhutan

Leżąc w ciemności, Grant usłyszał ciche głosy, rozmawiające w języku, którego nie rozumiał. Dotarł do niego jakiś nieznaną zapach: jakby kadzidełko zapalone w zatęchłym pomieszczeniu. Podźwignął się — ręce miał ciężkie jak z ołowiu, głowa też swoje ważyła. Stopniowo docierało do niego światło, jakby ktoś powoli przekręcał włącznik na jego skroni. Grant leżał na nierównym rozkładanym łóżku w niewielkim pomieszczeniu z kamienną podłogą i ścianami z tynkiem w kolorze piasku. Na prostym drewnianym biurku pod wąskim oknem płonęły dwie świece. Na drugim, mniejszym stoliku przy jego łóżku stała rzeźbiona drewniana miska i ręcznie wykuty cynkowy kubek.

Trzech mężczyzn stało przy drzwiach, których grube deski pomalowane w odcieniach czerwieni, żółci i błękitu, tak jaskrawych jak w kalejdoskopie, były jedynym źródłem koloru w tym ponurym miejscu. Mężczyźni przestali rozmawiać i odwrócili się w jego stronę.

— Gdzie jestem? — zachrypiał Grant. Wysuszone usta wypełniał mu opuchnięty język. Bezskutecznie próbował oprzeć się na łokciu. — Co się stało?

Mężczyźni podeszli do łóżka. Dwóch z nich było mnichami, co rozpoznał po szatach, sandałach i ogolonych głowach, ale trzeci miał na sobie *gho* — kraciastą tunikę do kolan, z podwiniętymi rękawami, spod których wystawał fragment założonego pod spód białego podkoszulka. Na stopach miał skórzane buty i skarpety w romby. Grant po raz pierwszy widział człowieka odzianego w tradycyjny strój bhutański na lotnisku w Paro w dniu przylotu. Nie był pewien, ile dni minęło od tego czasu.

Człowiek w *gho* odezwał się po angielsku z silnym obcym akcentem.

— Nie próbuj się ruszać. — W odpowiedzi na zdezorientowane spojrzenie Granta, dodał: — Nazywam się Karma. Jestem *drungtsho*, miejskim lekarzem w Punakha. Doznałeś otwartego złamania prawej nogi na wysokości piszczela. Najgorszego, jakie widziałem.

Dopiero wtedy Grant zwrócił uwagę na swoją prawą nogę — umieszczoną na podwyższeniu ze złożonego koca. Dotknął szorstkiego opatrunku okrywającego kończynę od biodra aż po palce. Następnie zerknął na zegarek cyfrowy, sportowy model z wodoszczelną gumową osłoną. Urządzenie po naciśnięciu guzika podawało ciśnienie atmosferyczne, wysokość i temperaturę — wszystko za mniej niż sto dolarów. Jednak ulubioną funkcją Granta był niewielki odbiornik radiowy, który określał datę i czas z dokładnością co do sekundy. Grant nigdy nie spóźniał się na spotkania.

— Cztery dni! — krzyknął, kiedy teraz zobaczył datę.

— Byłeś nieprzytomny — powiedział Karma. — Mogłeś umrzeć na rzece na skutek utraty krwi, ale pianka zadziałała jak opatrunek uciskowy i powstrzymała krwawienie do momentu, aż ci dwaj cię wyciągnęli. — Skinął w stronę mnichów.

Grant odwrócił się, by lepiej ich widzieć. Starszy ubrany był w schludnie udrapowaną

pomarańczową tunikę, która sięgała mu aż do kostek. Sądząc po kielkujących na ogolonej głowie szpakowatych włosach, mógł zbliżyć się do sześćdziesiątki. Miał trójkątną twarz, wydatne kości policzkowe i ostro zarysowaną szczękę zakończoną szpiczastą brodą. Mnich przyglądał się Grantowi swoimi czarnymi skośnymi oczami, które, choć azjatyckie z wyglądu, były duże i osadzone blisko siebie. Przenikliwe spojrzenie mnicha mogłoby go krępować, ale z jakiegoś powodu, którego Grant nie pojmował, dawało mu poczucie bezpieczeństwa. Młodszy towarzysz mnicha wyglądający na niewiele ponad dwadzieścia lat, miał okrągłą twarz o rysach zarówno tybetańskich, jak i chińskich. Był o kilka cali niższy od starszego mnicha, nosił szkarłatną, a nie pomarańczową tunikę, i miał szczupłą, choć nie kościstą budowę ciała.

— Dziękuję wam — powiedział Grant, poklepując gips. — A co z... — Ostatnie wydarzenia wróciły do niego tak nagle, jakby ktoś w jego głowie włączył projektor: rzeka, uderzenie zimnej wody, próba odwrócenia kajaka przewodnika, panika, gdy znalazł się pod wodą. Kątem oka dostrzegł swoją kamizelkę ratunkową, którą ktoś położył na podłodze koło stolika. Instynktownie dotknął wełnianego koca okrywającego jego tułów. Domyślił się, co się stało. Kiedy stracił świadomość po złamaniu nogi i zabrakło mu tlenu, prąd rzeki musiał pomóc mu wydostać się spomiędzy głazów. Kamizelka wyparła go na powierzchnię.

— ...z moim przewodnikiem, Dasho? — zapytał, obawiając się, że już zna odpowiedź.

Starszy mnich podszedł do łóżka i położył ciepłą dłoń na ramieniu Granta. Udzielił odpowiedzi po angielsku, nieoczekiwanie mówiąc z ładnym brytyjskim akcentem.

— Przykro mi, ale nasi bracia znaleźli jego ciało w pewnej odległości od *dzong* w dole rzeki. Znajdował się wciąż w odwróconym do góry dnem kajaku.

Grant przełknął kwaśną ślinę, która podeszła mu do gardła. Gdyby nie wymyślił sobie, że uda się na spływ w najbardziej niebezpiecznym odcinku rzeki, Dasho wciąż by żył. *Może gdybym bardziej się starał, gdy znalazłem się w odwoju?* Miły przewodnik miał na utrzymaniu swoją rodzinę.

— Nie mogłeś nic dla niego zrobić. Miał złamany kark — dodał mnich, jakby czytając w myślach Granta.

Grant spuścił wzrok. Nie znalazł pocieszenia w tych słowach. Aby zmienić temat, rozejrzał się po spartańsko urządzonej sypialni.

— Czy to jest szpital?

— Mój uczeń i ja znaleźliśmy cię na brzegu rzeki kilka mil stąd — odparł starszy z mnichów. — Przenieśliśmy cię do najbliższego budynku w okolicy, w którym mogłeś otrzymać pomoc, czyli do Punakha Dzong.

W tym momencie Grant odzyskał jasność umysłu. Punakha Dzong miało być kolejnym miejscem, do którego planował przybyć. Pamiętał, że mijał imponujące pięćsetletnie mury fortecy wznoszącej się na cyplu, gdzie łączyły się Mo Chhu i Pho Chhu. Została zbudowana w stylu bhutańskim, jej masywne, pochylone do środka ściany z bielonego kamienia kontrastowały z misternie rzeźbionymi, malowanymi drewnianymi gzymsami wokół okien i drzwi — utrzymanymi w takim samym stylu jak te tutaj, jak teraz sobie uświadomił. Barwny gzyms ozdobił też dach w stylu pagody.

Grant przypomniał sobie wyjaśnienia od Dasho, że chociaż dzongi pierwotnie były fortami wzniesionymi, by bronić kraju przed najeźdźcami, którzy przekraczali Himalaje i atakowali sąsiadujące ze sobą Tybet i Indie, obecnie pełnią dwie funkcje: są siedzibą władz lokalnych lub klasztorami buddyjskimi. Ocenivszy wyposażenie pokoju, Grant domyślił się, że znajduje się w pomieszczeniach mieszkalnych klasztoru.

Mnich, który tak dobrze mówił po angielsku, podał mu dłoń.

— Nazywam się Kinley Goenpo, w tym sezonie letnim jestem tu przełożonym, a to jest mój uczeń,

Jigme. — Jigme uklonił się w pas, ale nic nie powiedział.

— Grant Matthews. Dziękuję, że uratowaliście mi życie, ale... — Grant szukał właściwych słów. — Czy nie powinienem znaleźć się w szpitalu, żeby prześwietlono mi nogę? — Ponownie zabębnił palcami w szary gips.

— Kinley i ja zastanawialiśmy się, czy cię odwieźć — pokręcił głową lekarz — ale najbliższy szpital jest w stolicy, w Thimpu, trzy godziny jazdy przez góry. W moim niewielkim gabinecie w mieście nie mógłbym zapewnić ci większych wygod niż w tym pokoju. Na szczęście złamanie nie jest skomplikowane, choć poważne. Jeśli nie będziesz obciążał nogi przez kolejnych sześć tygodni, powinno się dobrze zagoić. Wrócisz do domu z blizną, na pamiątkę swojej przygody.

— Sześć tygodni? — Grant poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Musiał zbadać mury jeszcze wielu klasztorów, a potem, za dziesięć dni, wracać na uczelnię. Spocily mu się dłonie.

— Jakikolwiek ruch, zanim noga się nie zrośnie, może poskutkować trwałym kalectwem — dodał Karma.

— Nie powinienem w ogóle wsiadać do kajaka — zachnął się Grant, uzalając się nad sobą. Czuł się winny śmierci Dasho. Wbił wzrok w zagipsowaną nogę, jakby sama siła spojrzenia miała na powrót scalić jego kości. W swoich planach zakładał, że spędzi w tym klasztorze jakąś godzinę, żeby przewodnik zdążył w jego imieniu zadać kilka pytań mnichom, a potem miał udać się w inne miejsca, gdyby legenda o chłopcu o imieniu Issa nic tu nikomu nie mówiła.

Kinley pochylił się na wysokość łóżka Granta.

— Rozumiem twoją frustrację. Będziemy się starać, żebyś czuł się tu tak dobrze, jak to możliwe.

Grant rozejrzył się po pokoju.

— Znaleźliście moje rzeczy? W kajaku miałem torbę, karty kredytowe i telefon.

— Moi bracia, którzy odnaleźli ciało przewodnika, natknęli się również na twój kajak — odparł Kinley. — Był pusty.

Chociaż w pomieszczeniu było chłodno, bo przez otwarte okno wpadało chłodne wrześnie powietrze, Grant poczuł, że zalewa go gorąco. Pled, którym go okryto, zsunął na wysokość talii, by móc łatwiej oddychać. Spojrzył po sobie, by stwierdzić, że jest ubrany w białą bawełnianą koszulę, w którą musieli odziać go mnisi. Materiał był szorstki, Grant czuł, że zaczyna drażnić mu skórę.

— Czy mógłbym pożyczyć telefon? Muszę zadzwonić do profesora i powiedzieć mu, co się stało. — Tak wiele zawdzięczał swojemu promotorowi. Grant nie chciał go martwić, zależało mu tylko, żeby go nie zawieść. Billingsly wstawił się za nim w Emory podczas rekrutacji. Pamiętał dobrze słowa profesora: „Grant to jeden z najbardziej analitycznych umysłów, jakie widziałem. Harvard ośmieszył się, odrzucając jego kandydaturę ze względu na ten incydent”.

Starszy z mnichów pokręcił głową.

— O, nie ma żadnych telefonów komórkowych w *goemba*, klasztorze, ale jeśli dasz numer Karmie, zadzwoni, do kogo chcesz, kiedy wróci do miasta.

— Jak przypuszczam, e-mail również nie wchodzi w grę? — Grant opadł na cienką poduszkę.

Kinley potwierdził ruchem głowy. Grantowi wydało się, że dostrzega coś w oczach mnicha. *Czy jego to śmiesz?* Wpatrywał się w cienkie pęknięcia przecinające piaskowy sufit. Był przykuty do łóżka w celi w odległym klasztorze, z mnichami, których śmieszyło jego kłopotliwe położenie. Po raz pierwszy odkąd odzyskał świadomość, poczuł pulsujący ból w nodze. Uświadomił sobie także, że boli go też głowa w okolicach skroni.

— Co z korzystaniem z łazienki? — zapytał, nie będąc pewnym, czy chce poznać odpowiedź.

Lekarz zachichotał i schylił się, by podnieść metalowy basen, który leżał na podłodze przy łóżku.

— Przywiozłem z miasta.

Grant wytarł dłonie o prześcieradło. Nie ma mowy, żeby tak żył przez sześć tygodni. Musiał wymyślić jakiś plan.

— A papier i coś do pisania? — zapytał.

— To da się zrobić — powiedział Kinley i skinął głową na doktora. Karma otworzył swoją czarną torbę, podobną do tych, które Grant widywał w starych filmach, ale nie sądził, że wciąż mogą być w użyciu, i wyjął długopis i niezapisany bloczek recept.

Grant zapisał numer do biura Harolda Billingsly'ego w Emory oraz nazwę swojego hotelu w mieście — Zangdho Peelri, i podał kartkę lekarzowi.

— Pokój 108. Jeśli nie ma pan nic przeciwko, mam tam plecak z ubraniami i laptop, który został na biurku.

Zanim Karma odpowiedział, drzwi do pokoju otworzyły się i pojawił się w nich trzeci mnich, chłopak w wieku dziesięciu, może jedenastu lat, z doskonale okrągłą łysą głową, ubrany tak jak uczeń Kinleya, Jigme, w szkarłatną tunikę. Niósł na tacy parujący kubek.

Kinley wziął naczynie od chłopca i poklepał go po ramieniu ojcowskim gestem.

— Dziękuję, Ummon.

Kiedy chłopak uklonił się starszemu mnichowi i wyszedł, doktor wsypał do kubka zawartość niewielkiej koperty.

— Wypij to — powiedział do Granta. — Zmniejszy ból, który odczuwasz.

Grant powąchał zawartość kubka, zastanawiając się, co zawiera ta mieszanka ziół. Upił odrobinę. *Trochę gorzkie*. Miał nadzieję, że lek zacznie szybko działać. Kiedy skończył pić napar, lekarz wyszedł, lecz dwaj mnisi pozostali i przyglądali mu się w milczeniu.

— Dziękuję za waszą pomoc, naprawdę nie musicie przy mnie zostawać. — Grant skupił się na otrzymanym notatniku. Narysował linię przez środek strony i na górze lewej kolumny napisał „Opcje”. Na górze prawej zaś: „Plan działania”.

Kinley usiadł na skraju łóżka, splecione dłonie oparł na podołku.

— Grant, to czego doświadczasz, to życiowe *dukkha*.

— Cierpienie — odpowiedział Grant, nie spuszczać wzroku z notatnika. Odparł pokusę zerknięcia na mnicha, by sprawdzić, czy zaskoczyła go jego znajomość słowa w języku palijskim, starożytnym buddyjskim kanonie. Grant mógł poszczycić się niemal fotograficzną pamięcią w odniesieniu do studiowanych przez siebie tekstów. Sześć lat temu uczestniczył w zajęciach, na których porównywano poszczególne religie, ale wciąż pamiętał podstawowe doktryny buddyjskie, jakby słyszał je wczoraj.

— Tak, w ten sposób powszechnie się je tłumaczy, ale nie jest to tłumaczenie dokładne — powiedział Kinley, nie okazując zdziwienia. — *Dukkha* właściwie oznacza *wybity z rytmu*, niczym wóz z zepsutym kołem.

— Twierdzisz zatem, że moje życie straciło teraz swoją harmonię? — Grant odłożył długopis i spojrzał Kinleyowi w oczy. — Też tak bym to określił.

— Opowiem ci pewną historię — zaczął Kinley, jakby zwracał się do grupy dzieci. — Rolnik mieszkający u stóp gór miał pięknego konia, który pewnego dnia mu uciekł. Sąsiad rolnika przyszedł, żeby go pocieszyć po stracie wspaniałego zwierzęcia, ale ten zaskoczył go, mówiąc: „Kimże ja jestem, żeby osądzać, czy to jest pech, czy też szczęśliwe zrządzenie losu?”. Następnego dnia koń powrócił, przyprawdzając ze sobą całe stado pięknych dzikich koni. Sąsiad powrócił i powiedział: „Miałeś wczoraj rację, że nie rozpaczałeś nad swoją stratą. Spójrz, jakie masz teraz szczęście”. Ale rolnik ponownie go zaskoczył, powtarzając te same słowa, co dzień wcześniej: „Kimże ja jestem, żeby osądzać, czy to jest pech, czy też szczęśliwe zrządzenie losu?”. Kilka tygodni później syn

rolnika złamał nogę, próbując ujeździć jednego z nowych koni. Naturalnie, sąsiad powrócił, by złożyć wyrazy ubolewania, pewien, że rolnik musi być poruszony nieszczęściem syna.

— Niech zgadnę — przerwał Grant, z trudem powstrzymując się, by nie przewrócić oczami. — Nawet wtedy, gdy jego syn leżał w łóżku ze złamaną nogą, rolnik powtórzył poprzednią odpowiedź: „Kimże ja jestem, żeby osądzać, czy to jest pech, czy też szczęśliwe zrządzenie losu?”.

Kinley uśmiechnął się i oparł rękę na gipsie Granta.

— Następnego tygodnia przez wieś rolnika przetoczyła się armia, wcielając mężczyzn do wojska, ale zagrodę rolnika ominęto, bo jego syn miał złamaną nogę.

— Cóż, będę więc bezpieczny, gdyby bhutańska armia szukała żołnierzy — powiedział Grant. Uśmiechnął się, żeby mnich, który uratował mu życie, nie poczuł się dotknięty. *Ale tak naprawdę, pomyślał, potrzebuję teraz побыć sam, żeby zastanowić się, jak się wyrwać z tej niezręcznej sytuacji.*

— Jesteś studentem? — zapytał Kinley.

— Skończyłem studia. Jestem doktorantem, przepraszam, ale nie...

— Musisz napisać dysertację — dodał Kinley. — Spędziłem trochę czasu na uniwersytecie na Zachodzie.

Grant uniósł brew.

— To by wyjaśniało, skąd u ciebie ten akcent. Na jakiej uczelni?

— Kiedy byłem młodym mnichem, często zadawałem pytania, które starszym wydawały się nie na miejscu. Odpracowałem dzięki temu wiele dodatkowych godzin przy sprzątanii. Mnich przełożony zaproponował moim rodzicom, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli zrobię sobie przerwę od życia w klasztorze. Szczęśliwie, miałem najlepsze oceny w klasie i dostałem szansę skorzystania ze stypendium przyznanego przez Oxford.

— Oxford? Jestem pod wrażeniem. — Ten łagodny mnich, który ocalił mu życie, był również uczonym?

— Po studiach wróciłem do Bhutanu i życia w klasztorze. — Kinley wzruszył ramionami. — A ty? Zapewne na Wschód nie przywiodły cię duchowe poszukiwania?

— Piszę doktorat na wydziale teologii — potwierdził Grant — ale moje zainteresowania są ściśle akademickie, zajmuję się historią. — *Nie tak jak mój ojciec, pomyślał. Żałował tylko jednej rzeczy: że przed śmiercią ojca nie miał okazji udowodnić mu, iż będąc pastorem, mylił się w wielu sprawach religii.*

— Wierzysz, że istota religii wywodzi się z historii?

Powieki Granta zaczęły opadać na skutek działania naparuu, ale otworzył oczy. Jego ciało pragnęło ponownie zapaść w sen; intrygował go jednak ten wykształcony w Oxfordzie mnich.

— Interesuje mnie wczesny rozwój chrześcijaństwa w pierwszym wieku — zawahał się na chwilę, zastanawiając się, jak sformułować dalszy ciąg wypowiedzi — a także jak kontakty z innymi kulturami mogły wpłynąć na jego rozwój.

— Jakiego rodzaju wpływ masz na myśli?

— Próbuję dotrzeć do źródeł pewnych apokryficznych opowieści. — Grant przypomniał sobie, że miał za bardzo się nie odsłaniać. Pomijając zachodnie wykształcenie Kinleya, wiedział, że kultura tych klasztorów opierała się na odizolowaniu i ostrożności wobec bodźców zewnętrznych. Odkrycie tego, czego Grant szukał, na pewno wprowadziłoby zamęt. Postanowił więc użyć przykładu ze swojej pierwszej podróży do Indii, a nie tej ostatniej. — Na przykład, niektóre dowody wskazują, że w 52 roku naszej ery, dwadzieścia lat po śmierci Jezusa, apostoł Tomasz popłynął do Indii. Niewielka społeczność chrześcijan na wybrzeżu Kerali wywodzi się od Tomasza oraz kilku kościołów, które

postawił, zanim został męczennikiem.

— Znalazłeś to, po co tu przybyłeś?

Grant pokręcił głową.

— Nadal brakuje mi kluczowego dowodu dla mojej pracy, przez co wciąż jestem doktorantem. —

Zamknął oczy, poddając się ogarniającej go senności.

Kinley wstał z łóżka.

— Czasem znajdujemy nie to, czego szukaliśmy, ale to, czego powinniśmy byli szukać.

Mając zamknięte oczy, Grant poczuł, że ból zaczyna odpływać z jego ciała. Cokolwiek znajdowało się w naparze, było skuteczne. Słyszał głos Kinleya dochodzący z oddali.

— Życzę ci powodzenia w poszukiwaniach historii Issy.

Grant gwałtownie otworzył oczy.

Mnich odpowiedział na pełne zaskoczenia spojrzenie Granta.

— Mówiłeś na głos, kiedy byłeś nieprzytomny. Kilka razy nieźle nas przestraszyłeś.

Puls mu przyspieszył. *Z czym się zdradził?* Planował, że wyjawi to imię, zachowując ostrożność, szczególnie po tym, jak mnisi z Hemis zasznurowali usta na samo wspomnienie hinduskiego świętego.

— Ach, tak — ciągnął Kinley — legenda o chłopcu, który wyruszył w podróż przez Indie, szukając odpowiedzi na swoje pytania, podobnie jak ty.

— Znasz historię Issy? — Grant zmusił się do przybrania neutralnego wyrazu twarzy.

— Teraz odpoczywaj. Lekarstwo Karmy pomoże ci przespać całą noc. — Kinley uklonił się i wyszedł z pokoju, szeleszcząc pomarańczową szatą. Jego uczeń, który przez cały czas stał na środku pomieszczenia tak cichutko, że Grant zapomniał o jego obecności, udał się w ślad za nauczycielem.

Grant chciał wezwać Kinleya z powrotem. Czy mnich zdawał sobie sprawę z wagi historii Issy mogącej wyjaśnić wielkie tajemnice chrześcijaństwa? *Tajemnica, która podważy wszelkie założenia odnośnie do tego, jak powstawała religia.* Czy mógł to być dowód, jakiego Grant poszukiwał? Czy dowód, w którego istnienie wątpili jego współpracownicy w Emory, znajdował się właśnie w tym klasztorze? Mimo zamętu i pytań krążących mu po głowie, usypiający lek znajdujący się w naparze wygrał z nim bitwę i Grant zapadł w sen.

Rozdział 4

Gateway Business Park

Birmingham, Alabama

Palce Tima Huntleya uderzały w klawisze. Używał tylko trzech palców każdej ręki, ale wpisywał kod tak szybko, że wersy na dwudziestocalowym monitorze przesuwały się w dół z taką prędkością, z jaką je czytał. Przez ostatnie trzy godziny siedział wyprostowany niczym żołnierz, poruszając jedynie nadgarstkami. O piątej nad ranem znalazł błąd w programie. Teraz to już była tylko kwestia załatwienia luki. Jego współpracownicy szukali usterki przez większość zeszłego tygodnia. Wtedy właśnie szef zaprosił go do współtworzenia tego projektu. Tylko on był wystarczająco bystry, by naprawić to, czego pozostali nie rozumieli.

Usłyszał ich głosy, kiedy weszli do swoich boksów, śmiejąc się i opowiadając sobie, co robili w sobotę wieczorem. Tim zawsze pojawiał się pierwszy w tym jednopiętrowym budynku z czerwonej cegły. Wystarczały mu cztery godziny snu. Wiedział, że tylko mięczaki potrzebują więcej.

— Hej, Tim. Przyniosłeś fotki? — Johnny Meckle wetknął swoją różową gębę do boksu Tima. Johnny często skarżył się Timowi, że nie ma powodzenia u „gorących lasek”, jak je nazywał. Tim próbował mu wyjaśnić, że gdyby umył włosy, zgubił kilka kilogramów i przestał tyle gadać o tym, jaki jest dobry w programowaniu, szczęście mogłoby się do niego uśmiechnąć. Johnny był dwa lata starszy od Tima, ale łąził za swoim młodszym kolegą jak grupie. Nie zmienił się ani o jotę od momentu ukończenia szkoły. Przyjaźnili się od dziecka aż do dnia, gdy Tim został zmuszony do przeprowadzki w drugiej klasie szkoły średniej — po procesie, który wszystko zmienił.

— Sprawdź pocztę — odparł Tim.

— Tak właśnie myślałem! Chodźcie tu wszyscy i patrzcie.

Pozostałych sześcioro członków Grupy Systemu Informacji zebrało się wokół boksu Johnny’ego.

— Fuuuuj! — Elizabeth przeciągnęła głoski. Ta dwudziestosześcioletnia administratorka danych, kiedy stała, była o głowę wyższa od Tima, i nosiła okulary w wielkich oprawkach, które nadawały jej wygląd wielkiego robaka z filmu science fiction. — Co to jest? Świnia?

— Dzik. Tim zastrzelił go wczoraj na polowaniu. — Oświetlona niebieskawym blaskiem monitora twarz Johnny’ego wyrażała wielkie podekscytowanie. — Tylko spójrzcie na te kły. — Johnny gestykulował obiema rękami. — Pewnie z sześć cali. Mógł nas zabić, gdyby zaszarżował. Prawda, Tim?

— Pewnie. — Tim wrócił do pracy, ale nie mógł się skupić przez to, że wszyscy się na niego gapili. Zjeżyły mu się włosy na karku.

— Wiecie, że Tim był w siłach specjalnych?

— Tak, słyszeliśmy. — Elizabeth odgarnęła przetłuszczone blond włosy i poszła do swojego boksu.

— Tak, miejsca takie jak Afganistan, Irak — Johnny opowiadał pozostałej piątce.

Tim starał się wyglądać na zajętego. Pragnął, by jego kumpel wreszcie się zamknął. Zaczynał się zastanawiać, czy odnowienie tej znajomości nie było błędem. Tim wrócił do Birmingham dwa lata temu. Minęły dwie dekady, odkąd ostatni raz się widzieli, ale nie miał problemów z odnalezieniem Johnny'ego. Kumpel mieszkał w tej samej okolicy, w której dorastali, i w każdą niedzielę odwiedzał swoich rodziców. Jediną korzyścią wypływającą z ponownego spotkania było to, że Johnny wprowadził Tima do Kościoła New Hope. Tim nie opuścił ani jednej niedzieli, odkąd przeprowadził się do Birmingham. Zawsze siadał w pierwszym rzędzie. Teraz jednak żałował, że opowiedział koledze o swoich żołnierskich doświadczeniach. Większość z tego, co robił, była ściśle tajna, ale miał kilka robiących wrażenie opowieści z pierwszej linii frontu, którymi mógł się podzielić. Johnny był nieudacznikiem już jako dzieciak, a teraz stał się jeszcze większą ofermą. Niestety, Johnny był jedyną osobą, która jeździła z nim na polowania. Przynajmniej to i detonowanie domowej roboty bomb rurowych w lesie czyniło czas spędzony z Johnnym możliwym do zniesienia.

Tim otworzył metalową szufladę pod blatem biurka i wyjął tubkę chapsticka, jedną z pięciu, które miał pod ręką. Znowu pękały mu usta. Chociaż przed wyjściem z domu nałożył krem na twarz i ręce, swędzenie zaczynało mu już doskwierać. Ta jego cholerna egzema.

— Szkoda, że Tim nie może za dużo o tym opowiadać. To ściśle tajne informacje — ciągnął Johnny. — Pokazywał mi techniki, które stosował, by eliminować terrorystów. Nasze polowanie przypominało trochę akcję wojskową, co nie, Tim?

Na jego szyi pojawiły się czerwone plamy. Nie patrząc na innych, czuł, że przyglądają mu się sceptycznie. Oceniają go.

— Tak, w pewnym sensie — powiedział. Powrócił do stukania w klawiaturę.

Dlaczego Johnny musi chwalić się wszystkim, co mu opowiedział? Zaczynał mieć wątpliwości, czy dobrze zrobił, włączając go do swojego planu. Johnny był oddany sprawie, ale tępy. Jednakże Tim nie mógł sam wprowadzić planu w życie. Zachowywał niezbędne środki ostrożności, na przykład umniejszał swoje doświadczenie wojskowe. W biurze nie ujawniał nawet własnych politycznych i religijnych zapatrywań, przez które wyleciał z pracy w Little Rock.

Nigdy nie czuł się dobrze w świecie biznesu. Powinien rozwijać karierę w wojsku. I tak było, dopóki nie doszło do nieporozumienia z sierżantem. Oskarżeń. Całego tego gówna. Wcześniej demobilizacji wręczonej mu pod stołem, by armia mogła pozbyć się problemu, jakim stał się jeden z agentów jednostki specjalnej. Największą porażką byłby powrót do domu matki i zamieszkanie w pokoju nad garażem. Tim żywił głębokie przekonanie, że Bóg miał wobec niego inne plany. Teraz tkwił w tym gloryfikowanym magazynie wraz z innymi popaprańcami, pracując na zapleczu dla firmy zajmującej się przetwarzaniem danych medycznych. Mógłby wykonywać swoją pracę przez sen, ale dobrze płacili, a on potrzebował pieniędzy, by zrealizować swoje plany.

— Hej, Tim — usłyszał za plecami czyjś głos.

Johnny pospiesznie czmychnął do boksu, a inni rozpięchli się do swoich zajęć.

Tim odwrócił się na krześle i znalazł się twarzą w twarz z Duncanem Summersem, wiceprezesem ISG, swoim szefem. Duncan górował nad Timem, który pozostał w pozycji siedzącej. Nawet gdyby stał, sięgałby najwyżej do koziej bródki Duncana. Pozorna przewaga Duncana jednak go nie martwiła. Wiedział, że jego muskulatura była o wiele skuteczniejsza niż wzrost. Łamał karki ludziom wyższym niż Duncan.

— Właśnie przeglądałem twój kod do nowego modelu finansowego. Dobra robota, rozwiązuje problemy z kompatybilnością naszych raportów. Wprowadzimy go już w listopadzie, dwa miesiące wcześniej niż planowaliśmy. — Duncan poklepał Tima po ramieniu, w wyniku czego pieczenie

rozlało się aż na twarz. — Świetnie, kolego!

— Nie ma sprawy — odparł Tim.

Odwrócił się z powrotem w stronę biurka. Zdjął zatyczkę z długopisu. Jedną ręką przesuwiał kod na monitorze, drugą, w której trzymał zatyczkę, drapał się po czole, gdzie pieczenie zaczynało przechodzić w świąd. Pocierał po bruździe, którą miał między brwiami. Matka podczas ostatniej wizyty u dermatologa w sprawie egzemy zaoferowała, że zapłaci za botoks. Powiedziała, że „jest zbyt młody na takie zmarszczki”, ale ostatnią rzeczą, której pragnął, to wyglądać jak ta zakonserwowana dziwka. Chociaż nigdy ponownie nie wyszła za mąż po śmierci jego ojca, zawsze sprowadzała facetów do domu. Jakby nie patrzeć, zmarszczki sprawiały, że wyglądał poważnie, a takim człowiekiem właśnie był.

— Więc jak idzie projekt? — Duncan jeszcze nie wyszedł, pochylił się, a jego wesoły głos rozbrzmiewał teraz tuż nad głową Tima. Tim czuł na szyi jego wilgotny oddech.

— Dobrze.

— Świetnie. Doskonale. Tak trzymaj.

Tim przestał drapać się po czole. Kątem oka dostrzegł, że Elizabeth wychyla się ze swojego boksu, a jej nos marszczy się z obrzydzenia. Otworzył metalową szufladę na cal i wrzucił do niej zatyczkę od długopisu. Z jakiegoś powodu Duncan wciąż nad nim wisiał. Może szef miał jakieś podejrzenia i go sprawdzał.

Wtem przez głowę przemknęła mu pewna przyjemna myśl. Myśl, która sprawiła, że aż oblizał spękane usta, pokryte truskawkowym balsamem. Myśl, która spowodowała, że na chwilę zapomniał o swędzącej skórze.

Duncan znajdował się na tyle blisko, że mógłby wbić w niego ośmiocalowy komandoski nóż leżący w szufladzie biurka, za chapstickami. W kilka sekund mógłby wypatroszyć swojego szefa jak tego dzika, którego zastrzelił. *Czy wnętrzności Duncana śmierdziałyby podobnie jak flaki zwierzęcia?*

Tim wiedział, że zabicie szefa nie było częścią boskiego planu, który wypełniał.

Nie, Bóg miał na myśli coś większego. Po trzech miesiącach przygotowań wszystkie elementy znajdowały się na swoich miejscach.

Rozdział 5

Punakha Dzong, Bhutan

Muszę się stąd wydostać, pomyślał Grant, rzuciwszy na podłogę ręcznie wykonane drewniane kule. Podpierając się na niepewnej lewej nodze, oparł się rękami na łóżku, obrócił się i umieścił nieporęczny gips na cienkim materacu. Opadł na łóżko, sapiąc z wyczerpania i bólu w kończynie. Spociał się tak, że miał wilgotną koszulkę na plecach, a tylko raz przeszedł przez wąski korytarz. Tego ranka, po trzech tygodniach od wypadku, Karma wreszcie wyraził zgodę na używanie przez Granta kul. Według lekarza było na to o tydzień za wcześnie, ale Grant niewiele sobie z tego robił.

Karma kilkakrotnie rozmawiał z profesorem Haroldem Billingslym, zdając zatroskanemu mentorowi relację z postępów rekonwalescencji Granta. Billingsly zaproponował, że przyleci na miejsce, by pomóc w opiece nad Grantem, ale on wolał, by profesor użył swoich wpływów, żeby uzyskać dodatkowe fundusze celem ponownego przedłużenia terminu oddania pracy doktorskiej.

Grant wiedział, że Billingsly nie wiązał z jego pracą większych nadziei. Większość spośród ich współpracowników sądziła, że Grant udał się na poszukiwania Świętego Graala. Mimo to brak wiary innych w jego działania nie zniechęcał go. Podobnie jak upomnienia ojca, kiedy był młodszy, krytyka ta sprawiała, że Grant jeszcze usilniej dążył do celu.

Przyjął pozycję siedzącą, złożył cienką poduszkę na pół, podłożył ją sobie pod plecy i wziął laptopa ze stolika. Doktor okazał się bardzo pomocny, przywożąc mu komputer, wykonując niezbędne telefony, by zastrzec jego karty kredytowe i odzyskać paszport z recepcji hotelu. Grant zostawił go tam na przechowanie, gdy wybierał się na spływ kajakiem.

Czekając, aż komputer się włączy, myślał o godzinach, które każdego dnia spędzał na rozmowach z nowym przyjacielem, Kinleyem. Mnich zabawiał go starymi bhutańskimi opowieściami. Jego ulubiona mówiła o mistrzu buddyjskim, który na grzbiecie tygrysa poleciał do jaskini położonej na stoku góry. Ich rozmowy często przypominały mecz tenisowy, bo przerzucali się uwagami niczym piłeczką na korcie na Wimbledonie. Kinley starał się rozładować frustrację Granta, jednakże oczy śmiały mu się za każdym razem, gdy Grant narzekał na brak jasności poszczególnych przypowieści czy koan — buddyjskich zagadek bez prawdziwych odpowiedzi.

Grant sądził, że Kinley chce sprawić, by natychmiast wszystko zrozumiał, lecz do głównego tematu rozmów, czyli religii, podchodzili z różnych punktów widzenia. Podczas gdy Kinley podkreślał wagę osobistego doświadczenia w religii, Grant twierdził, że to podejście cechuje zbyt wielki nacisk na subiektywny stan psychiki człowieka. Mistyczny, jego zdaniem, był zaledwie o krok od nadprzyrodzonego. Zamiast tego Grant wierzył, że studia historyczne i kulturowe lepiej wyjaśniają sprzeczne ze sobą doktryny różnych religii świata. Grant został wychowany w kościele, jego ojciec był pastorem; ale już jako nastolatek odrzucił wiarę w siły nadprzyrodzone, które nazbyt często występowały w jego religii.

Teraz dopiero rozumiał, że był niepokojąco blisko odkrycia klucza do swoich badań i przyszłej kariery naukowej. Po pierwszym szoku, gdy we śnie uświadomił sobie powody swojego pobytu w Bhutanie, został pozytywnie zaskoczony przez Kinleya kilkoma opowieściami o tajemniczym hinduskim świętym Issie, których nigdy wcześniej nie słyszał. Z trudem powstrzymywał swoją radość, ale kiedy zapytał Kinleya, skąd zna te historie, ten nie udzielił mu odpowiedzi. A jednak zachowanie Kinleya, gdy opowiadał, przykuło uwagę Granta. Wydawało się, jakby Kinley mówił o rzeczach, które słyszał z pierwszej ręki.

Grant przypomniał sobie, że pierwszy raz usłyszał legendę o Issie na drugim roku studiów podyplomowych. Rosyjski dziennikarz, Nikołaj Notowicz, podróżując w 1887 roku po północnych Indiach w okolicach Kaszmiru, dokonał niezwykłego odkrycia w klasztorze Hemis w mieście Ladakh — tym samym, które Grant odwiedził, zanim przybył do Bhutanu. Znaleziony tam starożytny manuskrypt opowiadał historię Issy, który jako nastolatek opuścił dom, by zbadać tajemnicę mędrców w Himalajach. Mówiono, że mędrcy ci zgłębili tajemnicę życia i śmierci. Kiedy Notowicz powrócił na Zachód i opublikował przekład tekstu, jego oryginał zniknął z klasztoru. Notowicz został okrzyknięty oszustem i postawiony pod pręgierzem przez środowisko akademickie, a jego historia popadła w zapomnienie.

Grant zastanawiał się, czy kiedykolwiek ktoś poszedł tropem zaginięcia manuskryptu, i postanowił, że sam zbada jego losy, bo żaden z naukowców, z którymi się konsultował, nie mógł przypomnieć sobie dalszych poszukiwań tekstu. Cała historia została zapomniana. Opierając się na swoich pierwszych wnioskach z badań oraz dzięki podpowiedzi uzyskanej w Indiach, Grant przyjął hipotezę, że manuskrypt został przeniesiony do innego buddyjskiego klasztoru wkrótce po publikacji książki Notowicza w 1894 roku, żeby ochronić sielankowy Hemis przed nadmiernym zainteresowaniem. Dręczyła go myśl, że skarb mógł zostać przeniesiony do Bhutanu, może nawet do tego klasztoru. Musiał wstać z łóżka, odzyskać sprawność i zbadać teren.

Grant zastanawiał się, czy powiedzieć Kinleyowi wprost, jak ważna dla niego jest historia Issy, którą ten mu opowiedział. Kinley był dla niego miły, ale czy można mu zaufać? Grant podejrzewał, że mnich wie więcej, niż mówi, poza tym różnił się od mnichów z Hemis. Jako absolwent Oxfordu rozumiał prace zachodnich naukowców, musiał też zdawać sobie sprawę z efektu, jaki legenda o Issie wywrze na milionach ludzi. Jeszcze nad nim popracuje.

Ciche pukanie przerwało jego myśli.

— Proszę.

Wszedł Kinley, ubrany w schludne pomarańczowe szaty. Przyniósł małą paprotkę w glinianej doniczce.

— Skoro nie możesz jeszcze wychodzić na zewnątrz, przyniosłem ci trochę tego „na zewnątrz” do pokoju.

— Nikt nie wie, kiedy będę mógł zejść po tych waszych stromych stopniach. Ledwie kuśtykam po korytarzu. — Grant był wdzięczny swojemu przyjacielowi za to, że przywiązywał wagę do takich drobiazgów, ale prawienie komplementów nie było w jego stylu.

Kinley postawił roślinkę na drewnianym stole przy oknie.

— W starych bhutańskich budynkach używano drabin między piętrami, ponieważ zabierały mniej miejsca niż schody. Kiedy nasi ludzie zaczęli budować klatki schodowe, stawiali je na podobieństwo drabin, do których nawykli, stąd są wąskie i strome.

— Jak mnie tu wnieśliście?

— Byłeś nieprzytomny — roześmiał się Kinley.

Mnich popatrzył z zainteresowaniem na paprotkę. Schylił się nad rośliną, przekrzywiając głowę.

Następnie wyciągnął rękę i delikatnie dotknął listków. Potem uniósł ją do twarzy i z zaciekawieniem obejrzał z każdej strony. Po minucie podszedł do okna, wystawił przez nie rękę i ostrożnie nią pomachał. Zwrócił się do Granta dopiero, gdy rytuał dobiegł końca.

— Biedronka — powiedział.

— Aha — wzruszył ramionami Grant. Przyglądał się, jak mnich odrywa z roślinki suche listki i odwraca doniczkę tak, by paproć najładniej prezentowała się od strony łóżka.

— Znowu robisz jakieś listy? — zapytał Kinley.

Grant odstawił laptopa na stolik. Wiedział, że nie powinien dać się podpuścić, a mimo to odezwał się.

— Nie mogę przecież leżeć cały dzień i pilnować swojego oddechu. — Przyznał się przed samym sobą, że podobała mu się możliwość zgłębiania doktryny buddyjskiej w sposób odmienny od tego na studiach w Emory. Lektury z Kinleyem wypełniały jego dzień i dodatkowo stymulowały nienasyconą ciekawość intelektualną. Niestety, wiele zaproponowanych przez Kinleya ćwiczeń medytacyjnych Grant uznał za bezsensowne. — To znaczy, mam coś do zrobienia — powiedział, chociaż mówił to już kilka razy.

— Co właściwie musisz zrobić?

— Cóż, po pierwsze, prowadzę badania — powstrzymał się od dodania, że jego badania są ściśle związane z legendą o Issie, którą Kinley zdawał się przed nim ukrywać; podejrzewał jednak, że Kinley doskonale wie, o czym mowa.

— A kiedy uda ci się je zakończyć, to co dalej?

— To proste. Wyznaczę sobie nowe, większe cele. Publikacja książek. Stała posada na uniwersytecie.

— Dzięki temu będziesz szczęśliwy?

— Bez celów i planów wciąż biegalibyśmy za antylopami po sawannie. — Pochylił się i podłożył koc pod gips, żeby unieść nogę. Zaczynała mu doskwierać.

— Boli cię dzisiaj.

— Tak się składa, że mam złamaną nogę i gips jak z dziewiętnastego wieku.

Grant znał już Kinleya na tyle, żeby wiedzieć, że może się ponabijać z prymitywnego opatrunku, który sprawiał, że jego noga wyglądała jak pień owinięty poszarpanymi ścierkami.

Ale Kinley się nie uśmiechnął, zmrużył tylko oczy.

— Nie miałem na myśli twojej nogi — powiedział.

Grant nie odezwał się.

Kinley przechadzał się po pokoju z rękami założonymi za plecami. Jego ruchy nie były nacechowane nerwową energią, poruszał się z gracją niczym sunący po parkiecie tancerz.

— Pewnego dnia do mistrza przyszedł jego uczeń i zapytał: Co się dzieje, gdy liście spadają z drzewa? Mistrz odpowiedział: Ciało jest wystawione na jesienny wiatr.

Grant wiedział już, że lepiej nie przeszkadzać Kinleyowi, kiedy wygłasza jedną ze swoich koan. Westchnął i odwrócił się do niego.

— Nudzę cię? — zapytał Kinley.

— Zrozum, leżę tu od tygodni.

— Jesteś wyróżniającym się uczniem, Grant, a twój problem nie polega na tym, że nie posiadasz jakichś wiadomości. Nie trzeba ci więcej nauki. Potrzeba ci jej mniej. Nie musisz więcej myśleć, musisz myśleć mniej.

— Raczej antyintelektualna gadka. Nie tego spodziewałem się po absolwencie Oxfordu.

— Buddyzm polega nie tylko na przyswajaniu nauk Buddy, na wierze w doktrynę. Chińczycy mają

takie powiedzenie...

— Z pewnością jakieś mają — zażartował Grant, poklepując gips.

Kinley roześmiał się, ale kontynuował swoją myśl.

— Palec wskazujący na księżyc nie jest księżycem.

Grant chciał już coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Odezwał się dopiero po chwili.

— Nauki i doktryna nie są niepodważalną prawdą, są tylko drogowskazem wskazującym w stronę prawdy?

— Chcesz się dowiedzieć więcej o Issie, prawda? — uśmiechnął się Kinley.

Serce Granta zabiło szybciej, ale on nie okazywał żadnych emocji.

— Issa również nie wiedział, co myśleć o naukach, które poznał podczas swojej podróży przez Himalaje. To, czego się dowiedział, bardzo różniło się od tego, czego uczono go w jego ojczyźnie, gdy był dzieckiem. Chociaż był bystry i szybko pojął kwintesencję nauki, to dopiero po wielu miesiącach wcielania jej w życie doznał objawienia.

Kinley zamilkł, przystanąwszy przy biurku pod oknem, skąd wpatrywał się w paprotkę.

— Jedna z historii... Niestety, zatarły mi się szczegóły tej opowieści. Minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd czytałem manuskrypty.

— Manuskrypty! — wyrwało się Grantowi. — Widziałeś notatki Issy?

— Jesteśmy w posiadaniu kilku.

— Tutaj, w klasztorze?

Ciało Granta przeszedł dreszcz. Czuł ukłucia w dłoniach i stopach.

Mnich przytaknął. Grantowi wydawało się, że dostrzegł isierkę w jego oczach. Czy nowy przyjaciel wiedział, jak ważne jest to, co powiedział? Grant pragnął porozmawiać z Kinleyem o swoich teoriach, ale nie był jeszcze na to gotowy. Zamiast tego pochłonęło go odgrywanie w głowie scenariuszy, jak zostanie przyjęty po powrocie do domu. Przypomniawszy sobie wszystkie problemy, z jakimi się zmagał od czasów studiów licencjackich. Będzie mógł odzyskać szacunek komisji, która zaakceptowała jego kandydaturę jedynie dzięki wstawiennictwu Billingsly'ego. To było odkrycie, które zdarzało się raz na całe pokolenie. Będzie miał możliwość wyboru stałej posady na Harvardzie, Princeton, Yale.

Myśli tłukły mu się po głowie jak tornado niosące ze sobą różne śmieci. Jeśli Kinley się nie mylił, teoria Granta dotycząca odkrycia dokonanego sto dwadzieścia lat temu przez Nikołaja Notowicza zostanie potwierdzona. Jego profesorowie z Emory, nawet Billingsly, postrzegali Issę jako jeszcze jedną postać z legend, ale Granta zawsze niepokoiło coś w jego historii; kusila go opowieść o nastolatku szukającym odpowiedzi, które mu umykały. Wolał brać stronę zwykłych ludzi spotkanych w Indiach, wierzących w znaną legendę o Issie, niż opowiadać się po stronie większości zachodnich naukowców, którzy ją odrzucali. Grant wspominał swoje wychowanie w fundamentalistycznym domu: wbijano mu do głowy, że inne religie są wynikiem podstępnych knoń Szatana, że trzy czwarte populacji na świecie pójdzie do piekła, ponieważ nie wierzy w Jezusa — chłonał nastawienie „mój Bóg przeciw twojemu”, które sprawiło, że chrześcijaństwo wydawało się raczej ekskluzywnym klubem niż religią opartą na miłości i tolerancji. Teraz Grant miał możliwość wykazania, że ten sposób myślenia jest przesiąknięty fałszem. Odkryje tajemnicę, która pokaże, że pomiędzy największymi religiami świata istnieje nie tylko duże podobieństwo, lecz także bezpośrednia historyczna więź.

Po chwili przyszło mu jeszcze coś do głowy. Usiadł prosto. Kinley mówił o manuskryptach w liczbie mnogiej, ale Nikołaj Notowicz napisał o jednym tekście, który widział w klasztorze Hemis — wielkiej księdze w bogato zdobionej okładce, napisanej po tybetańsku.

— Mógłbym zobaczyć te manuskrypty? — zapytał, starając się nie okazywać podniecenia.

Kinley pokręcił głową.

— To niemożliwe. Są w naszej czytelni na najwyższym piętrze wieży *utse*. Nawet jeśli mógłbyś wejść po schodach, czego w obecnym stanie nie zrobisz, czytelnia jest niedostępna dla osób z zewnątrz.

Grant miał wrażenie, że jego umysł pracuje na przyspieszonych obrotach, podczas gdy reszta świata działa na maksymalnie zwolnionych. Nawet Kinley wyglądał mu na zbyt rozciągniętego. No nie, być tak blisko i nie móc zobaczyć tych tekstów?

— Ale...

Jego protest został zakłócony pukaniem do drzwi. Kinley otworzył.

— Porozmawiamy o tym innym razem. Teraz powinniśmy coś zjeść. — Jigme wszedł tak cicho jak zawsze. Przyniósł drewnianą tacę z trzema parującymi miskami jedzenia i kubkami herbaty.

Grant wpatrywał się w obu mnichów. Kinley nie mógł tak po prostu powiedzieć mu o takim odkryciu i nie pozwolić zobaczyć dowodów. *Muszę przekonać go, by pozwolił mi tam wejść*, pomyślał. Ale patrząc na starszego mnicha, który zdejmował miski z tacy, wiedział, że rozmowa dobiegła końca. Z całego serca pragnął zobaczyć zapiski Issy, lecz nie chciał okazać swojej desperacji. Na pewno w swoim czasie będzie miał możliwość przemówić do rozsądku człowiekowi takiemu jak Kinley — absolwentowi Oxfordu, który do tego stopnia cenił zachodni świat, by zdobywać wiedzę na jednym z największych uniwersytetów, iż pomoc Grantowi w napisaniu dysertacji ma sens. *Nie wspominając o wpływie, jaki te rewelacje będą miały na ludzkość.*

Grant westchnął głęboko.

— Już trzecia? — zapytał. — Umieram z głodu. Nie wiem, jak wy, chłopaki, dajecie sobie radę, jedząc tylko dwa razy dziennie. — Zdawało mu się, że dostrzegł przelotny uśmiech u Kinleya.

Większość posiłków Granta składała się z warzyw — tego dnia była to fasola polana mdłym, białym serowym sosem ze szczyptą imbiru z czerwonym ryżem. Jigme i Kinley jedli to samo, ale do ich dania dodano kilka czerwonych papryczek, które zabarwiły kremowy sos. Grant tylko raz popełnił ten błąd i skosztował jedną papryczkę w nadziei, że doda smaku swojej potrawie. Usta paliły go przez pół godziny.

Trzech mężczyzn jadło w ciszy, Grant siedząc prosto na łóżku, a dwaj mnisi na kamiennej podłodze, ze skrzyżowanymi nogami. Grant patrzył na nich, gdy przeżuwali z uwagą każdy kęs, jakby mieli pszenicę na mąkę. Przyglądając się, jak żują jeszcze przez dziesięć minut po tym, gdy sam skończył, Grant nie mógł pohamować swojej niecierpliwości.

— Okej, rozumiem, że mieszkając w klasztorze, w praktyce zgłębiacie wszystkie aspekty życia. Uwaga, tak? Wszystko, co robicie: sprzątanie, chodzenie, a nawet jedzenie, robicie bez pośpiechu, ale czy wykonywanie tego wszystkiego w ten sposób nie jest nużące?

Kinley odstawił drewnianą miskę na podłogę, zanim odpowiedział.

— Medytacja nie oznacza dla nas siedzenia i skupiania się na oddechu czy powtarzania mantry.

Grant wziął laptopa ze stolika przy łóżku i położył go sobie na kolanach. Miał w zwyczaju robić notatki za każdym razem, gdy Kinley poruszał jakiś ciekawy temat. Mnich mówił dalej, a Grant otworzył nowy dokument i zaczął pisać.

— Dwadzieścia pięć tysięcy lat temu młody człowiek przybył do Sarnath w Indiach, gdzie spędził kilka dni, obserwując Buddę i jego uczniów. Nie rozumiejąc tego, co robią, zbliżył się do Buddy i zapytał go, czego dokładnie uczą się mnisi. Budda uśmiechnął się do młodzieńca i powiedział: „Siedzimy, chodzimy i jemy”. Młody człowiek ożywił się i powiedział: „Ale mistrzu, wszyscy siadają, chodzą i jedzą!”. Na co Budda rzekł: „Tak, ale kiedy my siadamy, wiemy, że siedzimy. Kiedy

idziemy, wiemy, że chodzimy. Kiedy jemy, wiemy, że jemy”.

Grant przestał notować. *Sprytne*, pomyślał, *ale nieco nazbyt uproszczone*.

— Rozważając to z punktu widzenia naukowca, czym to się różni od tego, co ja robię? Ja też wiem, że właśnie zjadłem, tylko szybciej niż wy.

Kinley wstał, do dwóch kubków nalał wody ze stojącego na stole z dzbanka i jeden z nich podał Grantowi, drugi zostawił sobie.

— Czym jest woda? — zapytał, trzymając kubek.

Nierówna, lecz gładka faktura cynowego naczynia chłodziła dłoń Granta. Spojrzał na wodę.

— Dwoma cząsteczkami wodoru na każdą cząsteczkę tlenu.

— Prawda, ale spójrz na to głębiej. Czym jest woda?

Grant podniósł swój kubek i zaczął przesadnie mu się przyglądać. Wiedział, na czym polegała gra mnicha. Mógł nie zgodzić się z wnioskami, ale przynajmniej ją rozumiał.

— Woda teraz jest płynna — wyrecytował — ale może zmienić się w gaz lub przybrać postać stałą. Woda nie ma swojego smaku ani zapachu, ale może przejąć charakterystyczne cechy rozpuszczonej substancji, a również przybrać kształt dowolnego naczynia.

— Tak, ale czym jest woda?

— Stanowi sześćdziesiąt procent ciała człowieka i zajmuje siedemdziesiąt procent ziemi — Grant mówił bez wahania. — Woda rzeźbi kaniony i występuje na szczytach najwyższych gór. Od niej pochodzi życie na ziemi. Bez niej wszyscy byśmy poumierali. Ale gdy jest jej za dużo — gestem wskazał na gips okrywający jego prawą nogę — również możemy umrzeć. — Wyszczerył się w uśmiechu do Kinleya, zadowolony z tej ostatniej uwagi.

— Tak, ale czym jest woda?

Grant westchnął. Nie lubił, gdy robiono z niego głupka. Jakiej odpowiedzi oczekiwał mnich? Grant przez chwilę wpatrywał się w cynowy kubek, po czym zamknął oczy. Przypominał sobie nauki, których wysłuchiwał przez ostatnie tygodnie. W rozmowie Kinley zawsze odwoływał się do osobistych przeżyć, do wrodzonej intuicji. Wtedy go olśniło. Myślał o wodzie zbyt ogólnie. Zamiast tego powinien się skupić na tej wodzie, którą miał w kubku.

— Ta woda została tu przyniesiona przez Jigme — zaczął powoli i z zamkniętymi oczami — ale pochodzi z rzeki płynącej koło dzong. — Uświadomił sobie, że to ta sama rzeka, która sprawiła, że leży w tym łóżku, popijając wodę. — Wcześniej ta woda wytopiła się ze śniegu zalegającego w górach, a jeszcze wcześniej była cząsteczkami pary w chmurze. — Wciąż nie otwierając oczu, popłynął dalej w przeszłość. — Zanim para ulotniła się do powietrza na skutek działania energii słonecznej, cząsteczki były wodą, częścią jakiegoś odległego oceanu lub jeziora. — Pomyślał o tym, ile takich cykli przeszła woda, którą trzymał w rękach. Te cząsteczki podróżowały po świecie od milionów, jeśli nie miliardów lat. Wtedy dopiero Grant zrozumiał.

— Kiedy piję tę wodę, wówczas cała ta historia, ta energia staje się częścią mnie, tak jak pożywienie, które zjedliśmy.

Otworzył oczy, słysząc oklaski.

— Całkiem niezłe. To jest właśnie spoglądaniem w głąb — powiedział Kinley. Na jego twarzy pojawił się przebiegły uśmiešek. — Ale to nie wszystko. Czym jeszcze jest woda?

Grant zmarszczył czoło, nie miał już żadnych pomysłów.

— Pij — Kinley wskazał na kubek Granta.

Grant otworzył usta, by coś powiedzieć. Kinley nie pozwolił mu na to.

— Bez gadania. Bez analizowania. Bez myślenia. Po prostu pij.

Grant patrzył raz na Kinleya, raz na Jigme, który milczał, lecz wyglądał na rozbawionego, jakby

wcześniej i on przeszedł tę samą lekcję. Wypił do dna. Chłodna, rześka woda spłynęła mu po języku, pozostawiając lekko metaliczny smak cynowego naczynia.

— Jest wodą! — wykrzyknął Kinley.

Po czym podniósł swój kubek, jakby wznosząc toast za Granta i bez ostrzeżenia wylał swoją wodę na jego głowę. Ciecz spłynęła z włosów Granta i wsiąkła mu w koszulę.

— Hej, co robisz? — parsknął Grant.

— I tym jest woda — odparł Kinley.

Grant słyszał jego śmiech, dopóki pomarańczowa tunika nie zniknęła na końcu korytarza. Jigme pozbiierał puste naczynia z szerokim uśmiechem na twarzy i poszedł za swoim mistrzem, podczas gdy Grant ocierał mokrą twarz.

Rozdział 6

Uniwersytet Emory

Atlanta, Georgia

Tim Huntley czuł, jak emocje buzują w jego ciele. Palce w rękawiczkach wystukiwały jakiś wymyślony rytm na kierownicy.

Powtórka kazania wygłoszonego przez wielebnego Brady'ego trzeszczała w radiu grającym w jego półciężarówce. „Tak, moje dzieci New Hope, wy, *wierni*, będziecie zbawieni. Ale nie opuszczajcie gardy, ponieważ Szatan jest manipulatorem. Nieście siłę swojej wiary przed sobą niczym miecz na tych, którzy bluźnią przeciw Słowu!”

Tim zerknął we wsteczne lusterko i zauważył światła samochodu wciąż oddalone o jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Głos wielebnego płynął przez radio: „Z rozdziału dwudziestego czwartego Księgi Kapłańskiej dowiadujemy się, jaki los czeka tych, którzy bluźnią: *Ktokolwiek bluźni imieniu Pana, będzie ukarany śmiercią. Cała społeczność ukamieniuje go. Zarówno tubylec, jak i przybysz będzie ukarany śmiercią za bluźnierstwo przeciwko Imieniu*”.

Kamienie. Tim uśmiechnął się. Jak Mojżesz wykorzystałby siłę ognia dostępną dziś za sprawą nowoczesnych technologii? *Zarówno tubylec, jak i przybysz*, mówiła Biblia. Tim słyszał wiele wersji tego kazania. Zwykle zastanawiał się, którzy *bluźniercy* powinni pójść na pierwszy ogień. Tego wieczoru już wiedział. Dziś w nocy odkupi swoje grzechy. Bóg miał tak wiele wzniosłych planów dla Tima. Tej nocy zacznie je realizować.

Wojsko dobrze go wyszkoliło. Wyróżniał się podczas elitarnego szkolenia dla komandosów w Fort Benning; jego wyjątkowy intelekt został wreszcie zauważony i Tima wybrano do INSCOM, Dowództwa Wywiadu i Bezpieczeństwa Sił Lądowych, gdzie specjalizował się w operacjach wirtualnych. Doskonale radził sobie z komputerami. W innym życiu mógłby zostać odnoszącym sukcesy programistą, ale uwielbiał wojsko. Podczas piętnastu lat służby nie tylko obsługiwał drony, które miały śledzić wrogów państwa, namierzał buntowników przez ich telefony komórkowe i hakował sieci komputerowe, lecz także narodził się na nowo. Od czasu, gdy jego ojciec został zamordowany, życie Tima pozbawione było celu, ale odkąd odnalazł Boga i wojsko, odzyskał sens. Wszystko ponownie się zmieniło, kiedy stracił pracę.

Tego wieczoru Tim wiedział już, że za każdą krzywdę Bóg przewidział zapłatę z nawiązką.

Godziny spędzone w pracy w call center, którą podjął trzy lata temu, gdy wrócił z zagranicy, napawały go odrazą, ale pensja była przyzwoita. Swoje długofalowe plany wdrażał powoli, ale kiedy zaczęły mu się krystalizować w głowie, zrozumiał, że będzie potrzebował pieniędzy, by wcielić je w życie. Może i nie pracował już dla wojska, ale wciąż był żołnierzem — teraz tylko służył większej potędze niż rząd Stanów Zjednoczonych. Był żołnierzem Boga. Niestety, po sześciu miesiącach pracy jego firma ogłosiła, że przenosi call center do Chennai w Indiach. Wielu

pracowników zachowało swoje stanowiska, ale Timowi powiedziano, że „nie rokował”. Jego zwyczaj wysyłania do innych pracowników e-maili o treściach politycznych i religijnych poskutkowało czymś więcej niż kolejną reprimendą szefa. Z ulgą pożegnał się z biurokracją cechującą call center, nie wspominając o cholernych szkoleniach na temat wrażliwości. *Sami krótkowzroczni idioci*, podsumował.

Następnie przeprowadził się do Birmingham i podjął pracę w wydziale informatycznym szpitala UAB. Tam utrzymał się osiem miesięcy, zanim został zwolniony na podstawie podobnych nieporozumień oraz oskarżeń o kradzież leków z magazynu. Ale tego ostatniego mu nie udowodniono.

Zerknął na podświetloną tarczę zegarka. Mniej niż trzy godziny. Nieźle jak na kogoś, kto przestrzega ograniczenia prędkości. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w tej chwili chwały, była policja zatrzymująca go za przekroczenie prędkości w skradzionym samochodzie, szczególnie takim, którym transportował dwustugalonowy kanister wypełniony ANFO[2], w specjalnie przygotowanej części dla pasażera. Tuż po północy wraz z Johnnym ukradli czarnego minivana z parkingu przy międzynarodowym lotnisku Birmingham-Shuttlesworth, podjechali nim do chatki myśliwskiej w lesie w Sipsey Wilderness Area, wyjęli tylne siedzenia i na ich miejsce włożyli kanister. Zabrało im to niecałą godzinę, tyle samo co podczas licznych prób. Tim wahał się, czy włączyć Johnny’ego w swoje plany, ale ten zwykły matoł chętnie wykonywał rozkazy. Nawet lepiej, bo od zawsze był wyznawcą i członkiem Kościoła New Hope wielobnego Brady’ego.

W przeciwieństwie do innych, z którymi Tim współpracował w przeszłości, Johnny siedział i słuchał z wielką uwagą wyjaśnień, jakich nie mógł usłyszeć w kościele, ponieważ pastory bali się urazić wrażliwych członków kongregacji. Nie dalej jak wczoraj wytłumaczył zapatrzonemu w niego Johnny’emu doktrynę brytyjskiego izraelizmu. Jak większość swojej wiedzy, Tim odkrył ten fascynujący temat, buszując po Internecie w godzinach, gdy większość ludzi spała.

Tim streścił Johnny’emu historię o tym, jak dziesięć izraelskich plemion uwolnionych przez Asyryjczyków nie wróciło do Izraela, lecz wyemigrowało do Europy. Od nich wywodzili się ludzie tacy jak on i Johnny — biali amerykańscy chrześcijanie, których przodkowie byli starotestamentowymi Żydami wybranymi przez Boga. Ci obecnie nazywający siebie Żydami, byli następcami Kaina. Kiedy Tim przeczytał tę historię, głęboko w sercu czuł, że jest prawdziwa. Zawsze czuł się wybranym, a teraz poznał opowieść potwierdzającą jego przekonanie.

Po ponownym przeczytaniu w zeszłym miesiącu ostatniej książki wielobnego Brady’ego wysłał e-mail do pastora, w którym podał link do tych tekstów. Książka Brady’ego przemawiała do niego, zwłaszcza fragment o tym, że nadchodzi Kres Czasów. Kiedy Tim czytał rozdział o Księdze Objawienia, głoszącej, iż przed powtórным przyjściem Jezusa nastąpi odbudowa Babilonu, jego ciało przechodziły dreszcze. Starożytny Babilon leżał na terenie współczesnego Iraku, a Tim był jednym z agentów działających na jego terenie i na własne oczy widział wysiłki Amerykanów, by odbudować miasto. Na początku okupacji armia amerykańska założyła Obóz Babilon w miejscu oddalonym o godzinę drogi na południe od Bagdadu. Tim przeżył szok, gdy dowiedział się, że ten wielki budynek za wysokim murem w centrum miasta to próba rekonstrukcji pałacu Nabuchodonozora podjęta przez Saddama Hussajna. Opisał to wszystko w kolejnych listach do Brady’ego, ale nie otrzymał jeszcze odpowiedzi. Wielobny był bardzo zajęтым człowiekiem.

We wstecznym lusterku Tim skontrolował kanister stojący na tyle minivana. Przez ostatnie dwa tygodnie uczył się, jak uzyskać mieszanę azotanu amonu z olejem napędowym, zwaną ANFO. Instrukcje ściągnięte przez niego z Internetu różniły się proporcjami nawozu względem paliwa. Tim wiedział, że nawóz, który skupował i przechowywał w niewielkim magazynie przez ostatnie trzy miesiące, może zostać wysadzony z pomocą detonatora i spowodować wielką eksplozję. Ale czysty

nawóz miał tendencję do pochłaniania wilgoci, przez co nie dało się przewidzieć siły eksplozji. W misji Tima nie było miejsca na nieprzewidywalność. Rozwiązanie polegało na dodaniu precyzyjnie skalkulowanej ilości oleju napędowego. Tim żałował, że nie ma dostępu do C-4, jak w czasach służby wojskowej, ale ufał, że jego ANFO będzie równie skuteczne.

Sięgnąwszy po smartfon leżący na desce rozdzielczej, który służył mu także jako nawigacja samochodowa, sprawdził, że mrugająca kropka oznaczająca cel jego podróży znajduje się zaledwie kilka przecznic dalej. Ulice kampusu były wyludnione, czego można się było spodziewać o czwartej w nocy w środku tygodnia. Kiedy zwolnił, by skręcić w Clifton Road, ponownie dostrzegł za sobą światła. Samochód jadący za nim również skręcił do centrum kampusu Emory.

Wyłączył radio. Musiał się skupić. Zaraz za tablicą informacyjną Uczelni Zdrowia Publicznego Rollins skręcił w Michael Street i zaparkował na prawym krawężniku przed kompleksem beżowych budynków, w których mieściła się główna siedziba Centrum Zapobiegania Chorobom. Szybko wyłączył silnik i światła. Zerknął we wsteczne lusterko i uśmiechnął się. Johnny'ego już za nim nie było. Pojechał swoim fordem na Houston Mill Road, gdzie miał poczekać, zgodnie z instrukcją Tima. Gdyby ktoś ich obserwował, nie domyśliłby się, że pracowali razem.

Tim wyłączył telefon i wsadził do kieszeni. Z plecaka wyjął elektroniczny czasomierz i ustawił na godzinę. Potem przeszukał podłogę pod przednim siedzeniem, by sprawdzić, czy nic mu nie wypadło z plecaka.

— Nie zostawiać śladów — mruknął pod nosem. Żar eksplozji powinien i tak zniszczyć wszystkie dowody, ale faceci z FBI mieli głowy na karku.

Pochylił się między przednimi siedzeniami i przyłączył elektroniczny czasomierz do dwóch kabelków wystających z wielkiego kanistra. Zbudowanie takiego urządzenia było dziecinnie proste. Kiedy czerwone LED-owe cyferki wyświetlą zero, impuls elektryczny przejdzie po kablach od baterii do detonatora, przymocowanego taśmą klejącą do zbiornika z ANFO. Skutki będą spektakularne.

Palcem w rękawiczce dotknął zielonego przycisku na czasomierzu. Wtedy poczuł swędzenie. Z początku zaswędziało go lewe przedramię. Świąd szybko rozprzestrzenił się na prawą rękę. Pieprzona egzema. Posmarował się maścią, szykując się do akcji, ale to nic nie dało. Swędzenie przeszło w piekący ból. Przed oczami Tima pojawił się obraz, jak jego łuszcząca się skóra pęka niczym błotniste podłoże pod wpływem działania letniego słońca. Pragnienie podrapania się było wszechogarniające, ale nie miał na to czasu. Ulice były puste, budynki ciemne. Zaciskając zęby, włączył przycisk.

1:00:00.

59:59.

Zanim otworzył drzwi vana, upewnił się, że wyłączył wewnętrzne oświetlenie.

57:48.

57:47.

Wyszedłszy na zewnątrz, stopił się w jedno z ciemnością, bo miał na sobie czarne bojówki i czarny wełniany sweter. Zamaskował się dobrze, ale o czym on myślał, wybierając ubranie z wełny? Zdjął rękawiczki, wsadził je do kieszeni i drapiąc się po przedramionach, ruszył wzdłuż budynków, w których mieściło się Centrum Zapobiegania Chorobom.

Atlanta była siedliskiem występku i idealnym celem — kluby ze striptizem, księgarnie dla dorosłych, CNN, świątynie hinduskie, islamskie meczety, liczne liberalne uczelnie — aż trudno było zdecydować, w co najpierw uderzyć. Ostatecznie wybrał CZC ze względu na ogólnoświatowe badania dotyczące zdrowia kobiet i rozmnażania, co według Tima znaczyło, że tak naprawdę zajmują

się aborcją. Był przekonany, że przeprowadzano tu również rozmaite eksperymenty genetyczne i badania nad wirusem Ebola oraz ospą wietrzną jako potencjalną bronią biologiczną. *Ta pseudorządowa organizacja jest wprost obrzydliwa*, pomyślał. Ci arogancy naukowcy bawią się w Boga, chociaż nie wierzą w Niego. To, że główna siedziba organizacji mieściła się w samym sercu Uniwersytetu Emory, jednej z najbardziej liberalnych uczelni na południowym wschodzie, było dodatkową zaletą. Teraz im pokaże. Celem jego misji było nie unicestwienie ludzi, lecz coś potężniejszego: *zasianie strachu*.

Tim przyspieszył, próbując opanować świąd siłą woli. Ta noc będzie początkiem nowego, sensowniejszego rozdziału jego życia. Znalazł pickupa Johnny'ego za rogiem, tam, gdzie kazał zaparkować swojemu przyjacielowi z dzieciństwa. Johnny może i jest tumanem, ale można na nim polegać.

* * *

Profesor literatury angielskiej, Martha Simpson, obudziła się i sięgnęła po telefon leżący na nocnym stoliku. Zmrużyła oczy, bo poraził ją niebieski wyświelacz, i sprawdziła godzinę: za kwadrans piąta rano. Mężczyzna śpiący obok podciągnął róg flanelowej pościeli i owinał się ciaśniej kołdrą. Oświetlając sobie drogę telefonem, Martha podeszła do fotela stojącego w rogu pokoju, na którym zostawiła porządnie złożony ciemnoniebieski kostium. Ubierała się po cichu, spoglądając na postać chrapiącą w pościeli.

Harold Billingsly, piastujący wiele znaczący tytuł Profesora Teologii Uniwersytetu Winchester, był pierwszym mężczyzną, z którym umawiała się po nagłej śmierci męża, zmarłego w zeszłym roku na atak serca. Nie zamierzała się spieszyć i sama była zaskoczona faktem, że znalazła się w tym domu, w samym centrum kampusu Emory, po czwartej randce. Wiedziała, że Harold od trzech lat jest rozwodnikiem, lecz jego dystyngowany wygląd i ujmujące maniery intrygowały ją od dawna. Był dla niej bardzo miły po śmierci Arthura, a ich związek rozwinął się jakoś naturalnie. Ale mimo to Martha czuła się źle, że przespała się z nim tak szybko. Nie miała pojęcia, jak powinny wyglądać związki ludzi przed pięćdziesiątką.

Pocałowała Harolda w czoło i zeszła na paluszkach po drewnianych stopniach do drzwi frontowych. Chłodne jesienne powietrze błyskawicznie ją rozbudziło. Owinęła się czerwoną paszminą i ruszyła w dół ulicy, w stronę parkingu przy Michael Street, gdzie poprzedniego wieczoru zostawiła swoje auto. Chciała już znaleźć się we własnym mieszkaniu, by zająć się kotem, który na pewno się zastanawia, gdzie podziała się jego pani. Będzie miała jeszcze dość czasu, by przygotować się do dzisiejszych zajęć.

[2] Materiał wybuchowy, znany też jako saletrol.

Rozdział 7

Punakha Dzong, Bhutan

Grant stukał palcami w gipsowy opatrunek, a jego zdrowa, lewa stopa wybijała ten sam wymyślony rytm. Czuł się nakręcony, jak wtedy, gdy uczył się do egzaminów na studiach i NoDoz popijał red bullem. Dzisiaj wypił zaledwie jeden kubek herbaty, kiedy przed godziną, jak zawsze o dziesiątej, przyniesiono mu śniadanie.

Leżał na niewysokim granitowym murku otaczającym jedyne drzewo rosnące na środku wyłożonego brukiem dziedzińca dzong. Zejście z drugiego piętra klasztoru po wąskich, stromych stopniach wyczerpało go do cna, ale cieszył się, że przez trzy dni z rzędu mógł pokonywać tę trasę. Październikowe słońce przedzierało się złotawą poświatą przez opuszczone powieki. Próbował kontrolować drogę, jaką przebywało wdychane nosem powietrze, wypełniające mu płuca, tak jak uczył go Kinley, ale głowa nie chciała dziś współpracować. Granta rozpraszały nie tylko rozmowy grupy brytyjskich turystów fotografujących dzong w środku; nie dawały mu także spokoju kwestie, które musiał przemyśleć.

Po tygodniu niezbyt subtelnych próśb wreszcie udało mu się przekonać Kinleya, by pokazał mu manuskrypty Issy i wydawało się, że zobaczy je właśnie dzisiaj. Grant wiedział, że jego nowy przyjaciel wiele ryzykuje, zabierając go do czytelnicy, do której nie miał wstępu nikt z zewnątrz. Niestety, Kinley nalegał na to, by nie wynosić stamtąd manuskryptów. Bhutan miał zastrzone przepisy dotyczące wywożenia z kraju przedmiotów związanych z dziedzictwem kulturowym, za złamanie prawa groziła długa kara więzienia odbywana w prymitywnej celi. Próbując zachować kulturę buddyjską i uniknąć pułapek, jakie stały się udziałem Nepalu, rząd mocno ograniczał liczbę turystów, którzy każdego roku otrzymywali wizy. Grant miał jednak pewność, że jakoś mu się uda rozwiązać ten problem. Może sprowadzi grupę uznanych naukowców, by przestudiowali te teksty.

Z zamkniętymi oczami mógł odtworzyć w myślach wygląd pobliskiej wieży *utse*, wznoszącej się na dziedzińcu na podobieństwo strażnicy strzegącej fortecy. Architektonicznie przypominała pozostałe budynki dzong, zbudowana z zupełnie białych kamieni, z gzymsami zdobionymi ręcznie malowanymi wzorami w odcieniach wibrującej czerwieni i żółci, lecz w przeciwieństwie do innych jej szczyt wieńczyła złota kopuła. A w czytelnicy mieszczącej się na najwyższym piętrze prawdopodobnie znajdował się skarb, od którego zależała kariera Granta. Jeśli teksty były autentyczne, znajdzie w nich odpowiedź na największe zagadki Nowego Testamentu, a ta zmieni sposób, w jaki ludzie postrzegają chrześcijaństwo. Jakiś głos w jego głowie podpowiadał mu, że rewelacje mogą być wstrząsające, nawet niebezpieczne dla wielu ludzi, ale tym się nie martwił. Jego praca polegała na szukaniu historycznej prawdy.

Oczekiwanie zaczęło mu doskwierać. Wkrótce zalała go fala gorąca. W głowie aż kręciło mu się od różnych możliwości: *To muszą być teksty związane z księgą odkrytą przez Nikolaja Notowicza*

ponad wiek temu. Wyobraził sobie minę, jaką będzie miał profesor Billingsly, gdy do niego zadzwoni, by opowiedzieć o swoim odkryciu. Wcześniej Billingsly zachęcał Granta do wybrania innego obszaru badań w pracy doktorskiej, ale odkąd Grant podjął decyzję, nikt nie był w stanie wpłynąć na zmianę raz obranego przez niego kierunku. Teraz pokaże wreszcie swojemu mentorowi, że było warto.

Z trudem przychodziło mu czekanie, aż Kinley skończy nauczanie młodszych mnichów, ale leżenie na słońcu było o wiele lepsze niż przebywanie w zamkniętej, małej celi, w której siedział przez ostatnie tygodnie.

— Wygląda to niezbyt zachęcająco. — Usłyszał jakiś żeński głos, mówiący z amerykańskim akcentem.

Grant otworzył oczy i zamrugał, gdy poraziło go stojące w zenicie słońce. Kiedy już wzrok przyzwyczał się do światła, najpierw zauważył masę kręconych czarnych włosów udrapowanych wokół obiektywu aparatu Nikon.

— Często sypiasz na dziedzińcach klasztorów? — padło pytanie zza aparatu.

Podpierając się na łokciu, Grant poklepał gips.

— Nie jestem na razie zbyt mobilny.

Teraz, gdy usiadł prosto, jego rozmówczyni nie prześwietlało już słońce. Natychmiast dostrzegł jej niezwykle styl: buty trekkingowe, czarne dresowe spodnie z wyglądającym na kosztowny fioletowym szalem owiniętym wokół talii, wypłowiała ręcznie farbowana koszulka pod limonkowozielonym polarem i wiele wielokolorowych bransoletek z koralików na obu nadgarstkach. Nie miała zegarka.

— Sam zrobiłeś ten opatrunek? — roześmiała się, nie przestając go fotografować.

— Równie dobrze mógłbym sam. — Uśmiechnął się i szarpnął za zwisający kawałek opatrunku, który poluzował się, gdy Grant bawił się nim z nudów. — Moje opcje były nieco ograniczone. Złamałem nogę, pływając kajakiem po Mo Chhu.

— Jestem pod wrażeniem.

— Nie powinnaś. — Spuścił wzrok na wybrukowany dziedziniec. — Mój przewodnik nie przeżył. — Ból związany z nieudaną próbą ratunkową wciąż ciążył na nim przez większość nocy, gdy nie mógł zasnąć.

— Przykro mi. — Kobieta opuściła aparat, wyciągnęła przed siebie wolną rękę i dotknęła jego gipsu. Uśmiech rozjaśnił jej twarz. — Założę się, że trudno w tym skorzystać z łazienki.

Grant milczał, bo nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

— A tak przy okazji, nazywam się Kristin Misaki — podała mu rękę.

Grant przytrzymał ją nieco dłużej niż powinien, rozkoszując się tym pierwszym od wielu tygodni dotykiem płci przeciwnej. Jej uścisk był silniejszy, niż sugerowały drobne kości jej dłoni, i zauważył, że nie zabierała ręki, dopóki sam jej nie puścił.

— Grant. Grant Matthews.

— Zatem, Grancie Matthews, co cię sprowadza w te strony, oprócz wyśmienitej opieki medycznej?

Grant opisał pobieżnie swoje badania w Indiach, zachwycony towarzystwem tej młodej atrakcyjnej kobiety. Kiedy mówił, ona usiadła ze skrzyżowanymi nogami na murku obok niego. Zauważył dwa szerokie na cal pasemka ciemnoczerwonych włosów ukryte między naturalnie czarnymi lokami. Twarz, podobnie jak jej dłoń, sugerowała drobną budowę ciała; rozmówczyni wytrzymywała jednak jego spojrzenie równie pewnie jak uścisk dłoni. Jej oczy błyszczały intensywnym błękitem, charakterystycznym dla osób pochodzenia skandynawskiego, lecz miały kształt sugerujący azjatyckich przodków, co również wynikało z jej nazwiska. Podczas gdy fryzura

i ubiór nadawały jej artystyczny wygląd, co nie było w jego typie — zbyt wiele nieprzewidywalności i dramatyzmu — całość go zachwycała. Starał się nie gapić.

— Więc piszesz doktorat z religii, czyli zamierzasz zostać księdzem? — zapytała, gdy skończył opisywać swoją podróż.

— Ja, księdzem? — roześmiał się. Od razu stanął mu przed oczami jego ojciec: z czerwoną twarzą strofował swoich parafian, mówiąc o konsekwencjach ich grzechów i strasząc mitologicznym nadejściem Sądu Ostatecznego; robił to takim samym świętoszkowatym tonem, jakiego używał, nękając Granta przy obiedzie. Grant szybko wyrzucił to wspomnienie z głowy.

— Nie, jestem wyłącznie naukowcem. Prowadzę badania i piszę. Trochę też uczę, gdy udaje mi się pokonać tremę związaną z przemawianiem do publiczności — wyrwało mu się, zanim pomyślał. Jej bezpośrednie spojrzenie sprawiło, że zapomniał o swoim wewnętrznym cenzorze. Przyznanie się do własnej słabości nie było najlepszym sposobem na wywarcie wrażenia na kobiecie.

— Fobia przed wystąpieniami publicznymi — powiedziała to tak, jakby zastanawiała się, jaka prawda o nim kryła się za jego wyznaniem.

— O nie, to nie fobia, bo to mi nawet nie wychodzi najgorzej. Po prostu wolę rozmowy w cztery oczy, kiedy mogę lepiej zagłębić się w temat z drugą osobą.

Uśmiechnęła się do niego, jakby nie do końca wierzyła.

— No dobrze, Kris, a jak ty tu trafiłaś? — postanowił zmienić temat.

— Wolalabym, żebyś mnie tak nie nazywał. Tylko moja siostra mówiła do mnie Kris.

— Przepraszam, Kristin — odparł zaskoczony. Zauważył, że użyła czasu przeszłego, ale postanowił nie drażnić tematu.

Odgarnęła włosy z twarzy i zaczęła bawić się jednym ze srebrnych kolczyków w kształcie słoni, które miała w uszach. Ku zaskoczeniu Granta, miała tylko po jednej dziurce w każdym uchu.

— Piszę o podróżach.

— Zawodowo?

— Jako freelancer, w kilku magazynach.

Pisarka. Więc miał rację. Typ artystyczny. „Trudny zawód. Ciągłe w drodze, nigdzie nie zagrzeje miejsca”.

— Nie muszę się przed nikim tłumaczyć i mogę wyjechać, kiedy mi się podoba.

— Podróżujesz sama?

— Potrafię sama o siebie zadbać — mrugnęła do niego. — Poza tym, wszędzie spotykam ciekawych ludzi.

— Brzmi nieźle. — W rzeczywistości Grant nie mógł sobie wyobrazić tak niepokładanego życia.

— Mamy coś wspólnego. — Dotknęła jego przedramienia. — Zanim tu przyjechałam, również byłam w Indiach. Piszę artykuł do „Vanity Fair” na temat wschodnich świąt i rytuałów religijnych. — Przesunęła dłoń na jego opatrunek, z którego odstawał kawałek oddartego gipsu. — Jak zwykle, spóźniam się z oddaniem tekstu.

Tę ostatnią informację Grant przyjął bez zaskoczenia — atrakcyjna i kreatywna, ale niezorganizowana. Potem przypomniał sobie, na jakim etapie jest jego praca.

— Popatrz — powiedziała. — To moje zdjęcia z podróży. — Poprzyciskała jakieś guziczki i podała mu aparat. — Żeby przewijać, naciskaj strzałkę w prawo.

Grant wpatrywał się w trzycalowy LED-owy wyświetlacz. Chociaż zdjęcie było małe, zaskoczyła go na nim surowość emocji. Z kadru patrzyła na Granta hinduska nastolatka. Miała kobiecą twarz; była piękna, lecz brudna. Wyraz jej oczu dotknął go najbardziej — melancholijna rezygnacja, bez wątpienia będąca skutkiem dorastania w warunkach, których nawet nie próbował sobie wyobrazić.

Na kolejnych zdjęciach również były dziewczęta i młode kobiety — na niektórych cała sylwetka, na innych tylko jakiś szczegół: dłoń z brudem pod paznokciami pomalowana henną w wymyślne wzory; kobieta uchwycona od tyłu, której sari powiewało na wietrze jak kolorowy żagiel, podczas gdy ona sama pochylała się nad brzegiem rzeki, gdzie robiła pranie. Grant i Kristin podróżowali po tym samym kraju, ale ona oglądała go z zupełnie innej strony.

Niespodziewanie Grant poczuł wzruszenie. Gdy oddawał jej aparat, ich palce się zetknęły. Miała gładką i ciepłą skórę.

— Mogłabyś zostać fotografem — powiedział.

— To tylko hobby. Robię zdjęcia do swoich artykułów, kiedy magazyn nie wysyła na miejsce zawodowego fotografa.

— Zatem po Indiach przyjechałaś do Bhutanu?

— Przyjechałam tu, by napisać o corocznym Thimpu Tsechu. — Ponownie odgarnęła włosy z oczu. — Słyszałaś o czymś takim? — ciągnęła, nie robiąc przerwy na oddech i nie czekając na odpowiedź Granta. — To festiwal: wymyślne kostiumy, maski, tańce... w stolicy Bhutanu. Potem dołączyłam do grupy turystów i przyjechałam zobaczyć ten dzong. Sam wiesz, że jest największy w kraju.

Obserwując ją, gdy mówiła i żywo gestykulowała, Grant wpadł na pewien pomysł. Atrakcyjna kobieta z drogą lustrzanką cyfrową mogła rozwiązać jego problem: udokumentować odkrycie, którego nie mógł zabrać ze sobą.

Od razu jednak zawahał się, bo czy mógł zaufać kobiecie, którą właśnie poznał, i zdradzić jej szczegóły tak ważnego odkrycia archeologicznego? Poza tym, była dziennikarką. Potem jednak uświadomił sobie, że wcale nie musi jej ani bezgranicznie ufać, ani wszystkiego opowiadać, żeby uzyskać pomoc.

— Słyszałaś może o świętym Issie, kiedy byłaś w Indiach? — skorzystał z szansy.

Pokręciła głową.

— Nawet w pisarstwie, które ja uprawiam, ciężko jest uchwycić ten ogrom hinduskich bogów i bogiń. To temat twojego doktoratu?

— Częściowo. W klasztornej czytelni mogą być potrzebne mi manuskrypty. — Nie musiał przecież wyjawiać prawdziwego znaczenia historii o Issie, żeby zachęcić Kristin do udziału w projekcie. — Chciałabyś poznać mojego przyjaciela? Mnich, który tu rządzi, jest teraz w jednej ze świątyń.

— Pewnie — Kristin omiotła wzrokiem dziedziniec. — Wygląda na to, że moja grupa i tak mnie tu zostawiła.

Grant zobaczył, że pozostali ludzie na dziedzińcu to sami wieśniacy z okolic. Przypomniawszy sobie, że Kinley wspominał coś o jakimś bhutańskim świętym, który tego dnia miał przyjechać do klasztoru, by pobłogosławić główną świątynię. Kinley zapraszał Granta na uroczystość, ale ten uważał, że chwila na świeżym powietrzu zrobi mu lepiej niż uczestnictwo w zabobonnym rytuale.

Kristin włożyła aparat do niewielkiej torby, którą miała na ramieniu, i zeskoczyła na ziemię.

— Podaj mi rękę.

— Dzięki, mam to. — Grant próbował wstać, ale waga gipsu, który najpierw zepchnął z murka, sprawiła, że się zachwiał. Upadłby na ziemię, gdyby Kristin nie wykazała się refleksem i go nie podtrzymała.

— Przepraszam. — Oblał się rumieńcem. Gdy pomagała mu ustać na zdrowej nodze i podawała kule, poczuł zapach jej włosów.

— Nie szkodzi, przynajmniej zasłużę na dobrą karmę, pomagając niedołącznemu. — Chwyciła go za ramię.

Z przyjemnością słuchał jej zabawnych komentarzy, miał wrażenie, jakby znali się od dłuższego

czasu. Rozkoszując się dotykiem Kristin, Grant poprowadził ją przez dziedziniec zamknięty z każdej strony dwupiętrowymi budynkami klasztoru. Na najwyższym piętrze znajdowały się pokoje dormitorium, podobne do tego, który sam zajmował, podczas gdy bogato zdobione drewniane futryny i dekoracyjne drzwi na pierwszym piętrze prowadziły do różnych świątyń, czczonych przez mnichów. Teraz, gdy nadszedł jego czas, Grant czuł, że ściska go w żołądku.

Stukając kulami o kamienny bruk, znalazł się za trzema starszymi paniami o twarzach spalonych słońcem. Kobiety szły przygarbione, od dziesiątek lat spędzonych na obrabianiu pól. Każda z nich niosła jakiś pokarm — torby z ryżem, owoce, nawet puszki z zupą — w jednej ręce, i buddyjskie naszyjniki modlitewne wykonane z drzewa sandałowego w drugiej. Grant zauważył, że ich usta poruszały się bezdźwięcznie.

— Jakby odmawiały różaniec. — Kristin skinęła w ich stronę.

— Jesteś katoliczką? — zapytał.

— Wychowano mnie w tym wyznaniu.

— A teraz?

— Od śmierci siostry już nie.

— Przykro mi — powiedział cicho. Zastanawiał się, czy podzielić się opowieścią o śmierci swojego ojca, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Nigdy z nikim o tym nie rozmawiał.

Ruszyli za kobietami, które wspinały się po pięciu stopniach na końcu dziedzińca. Podwójne, wysokie na trzy metry rzeźbione drzwi, pociągnięte metaliczną złotą farbą, znajdowały się na zewnętrznej ścianie ozdobionej malunkiem wykonanym jaskrawymi barwami. Obraz przedstawiał zaciekłą walkę między uzbrojonymi w miecze bogami a rozwścieczonymi demonami. Kobiety zdjęły pantofle i zniknęły w świątyni. Kristin zatrzymała się, żeby rozwiązać buty, a Grant zrzucił jedyne sandała z lewej stopy.

— A to co? — spytała Kristin, nasłuchując. Przez otwarte drzwi dobiegał rytmiczny odgłos bębnów i śpiew.

Weszła do środka, on ruszył za nią. Wewnątrz powitał ich intensywny zapach kadzidła.

— To mantra współczucia — powiedział Grant nieco głośniejszym głosem niż zamierzał. Harmonijny śpiew dwudziestu młodych mnichów odzianych w szkarłatne szaty odbijał się echem w olbrzymim, wysokim na dwa piętra pomieszczeniu. W ciągu ostatnich kilku tygodni ta sama mantra wielokrotnie docierała do pokoju Granta: „*Om mani padme hum*”.

Położyła palec na ustach, więc pochylił się w jej stronę.

— To sanskryt. Powstał w Indiach, ale dotarł do Tybetu. Forma medytacji dla mnichów.

Nie mógł uwierzyć, że przebywanie w pobliżu osoby, którą dopiero co poznał, może być aż tak upajające.

— Co to znaczy? — wyszeptała mu do ucha.

— Mój przyjaciel Kinley przetłumaczył to jako: „Bądź pozdrowiony, klejnocie w kwiecie lotosu”. Sądzę, że chodzi tu o coś w stylu, że światło boskie płonie w każdym z nas.

— Piękne.

— Tak, chyba tak. — Po dłuższej chwili oderwał wzrok od twarzy Kristin i rozejrzał się po świątyni. Prostokątna hala wspierała się na pokrytych brązem sześciometrowych drewnianych kolumnach, rozmieszczonych na jej obwodzie. Nad nimi, wzdłuż trzech ścian wisiał balkon. Powyżej niego pysznił się bogato zdobiony rzeźbiony sufit, którego malunki miały odzwierciedlać dekoracje umieszczone na zewnątrz budynku. Na końcu pomieszczenia, po prawej stronie, w miejscu, gdzie kończył się balkon, za kamiennym ołtarzem wznosiło się sześć monumentalnych posągów. Grant rozpoznał ten stojący pośrodku, najwyższy, wysoki na dwa piętra posąg Buddy. Jedyne źródła

światła były okna rozmieszczone na wyższym poziomie oraz świece płonące na ołtarzu.

Śpiew mnichów siedzących w szyku prostokątnym w centrum sali na trzcinowych matach przybierał na sile. Z wyjątkiem chłopca, Ummona, który nieśmiało się uśmiechał, przynosząc Grantowi poranną herbatę, większość mnichów to byli nastolatki lub młodzi mężczyźni, którzy niedawno ukończyli dwudziesty rok życia. Wśród nich siedział Jigme. Każdy mnich trzymał bębenek przymocowany do dwudziestoczerociałowego kija. Wszyscy oni w tym samym rytmie uderzali w bębniaki grubymi pałeczkami i śpiewali, z zamkniętymi oczami. Dwóch starszych siedzących z brzegu mnichów dęło w długie drewniane instrumenty, które przypomniały Grantowi rogi alpejskie.

W środku Grant czuł basowe wibracje bębnów, harmonijne głosy mnichów wypełniały powietrze ciężarem tak wielkim, jak ciężar mieszanki dymu ze świec i kadzidła. Gdyby myśli nie zaprzętało mu teraz coś innego, mógłby odczuć ich uspokajające działanie.

— To on. — Grant skinął w stronę jedyne mnicha w grupie ubranego w pomarańczowe szaty. Kinley wyjaśnił mu kiedyś, że pomarańczowy określał jego honorową pozycję najwyższego rangą mnicha w klasztorze. Kinley chodził wokół grupy, trzymając sznur modlitewny i co jakiś czas nim potrząsał, gdy przystawał naprzeciw tego mnicha, który akurat gubił rytm.

Grant z trudem powstrzymywał się, żeby nie pokuśtykać do Kinleya i nie błagać o zaprowadzenie do czytelnicy. Przez ostatni tydzień proponował pomoc w wymyśleniu sposobu przemycenia go do środka, ale Kinley zaraz zmieniał temat. Wtem przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. *Czy przypadkiem Kinley nie użyje obecności wieśniaków jako kolejnego powodu zwłoki w pokazaniu mi manuskryptów?* Przyglądał się strumieniowi ludzi mijających mnichów i zmierzających ku lewej stronie świątyni, naprzeciw olbrzymich posągów. Miejscowicy ustawili się przed wielkim tronem wyściełanym drogim aksamitem w kolorze purpury, wzniesionym na platformie, sześć cali ponad prostymi drewnianymi krzesłami, które go otaczały. Na małym ołtarzu ustawionym obok platformy przybysze stawiali przyniesione ze sobą jedzenie. I wtedy właśnie Grant dostrzegł postać siedzącą na tronie.

Rozdział 8

Uniwersytet Emory

Atlanta, Georgia

Profesor literatury angielskiej Martha Simpson ciasniej owinęła paszminę wokół swojej szyi. Chłodny wiatr wzmógł się w chwili, gdy wyszła z domu Harolda Billingsly'ego. Na szczęście, parking znajdował się tuż za rogiem. Spojrzała za siebie, wysadzany klonami chodnik był pusty. Większą ostrożność zachowałaby, gdyby miała chodzić po mieście o północy, ale o piątej rano ulice były opustoszałe. Jedynym pojazdem okazał się biały van zaparkowany przy budynkach Centrum Zapobiegania Chorobom. *Pewnie brygada sprzątająca*, pomyślała.

Przyspieszając kroku, przypomniła sobie wykład, w którym uczestniczyli z Haroldem poprzedniego wieczoru. Jej zdaniem, to co profesor Browning mówił o użyciu przez Leonarda światłocieni w obrazie *Madonna w grocie* było wyjątkowo interesujące, ale domyślała się, że Harold poszedł z nią tylko po to, by sprawić jej przyjemność. Historia sztuki nie była jego pasją. Uczestniczył w wykładach i chodził po muzeach, ponieważ ona to lubiła. Miała szczęście, że znalazła mężczyznę tak opiekuńczego jak Harold. Co prawda, był o dziesięć lat starszy, ale w ich wieku nie miało to znaczenia.

Chociaż dopiero cztery razy umówili się na randkę, znali się od lat, pracując na tym samym wydziale. Uczestniczyła nawet w kilku jego wykładach. Był interesującym wykładowcą i teologiem z prawdziwego zdarzenia. Ostatnio ekscytował się nowym projektem, ale mówiąc, że nie może jeszcze zdradzić żadnych szczegółów, tylko wzmógł jej ciekawość. Z jakiegoś powodu sprawa musiała pozostać w tajemnicy, ale Harold obiecał jej, że będzie pierwszą, która się dowie. Martha sama nie była religijna, lecz szanowała pasję i poglądy Harolda. Czekala już na kolejny weekend, bo zaplanowali, że udadzą się do jego domku w górach na zachodzie Karoliny Północnej. Będzie tam wówczas kolorowo od jesiennych liści, a oni będą spędzać wieczory przy kominku.

Otworzyła torebkę, kolorowy model od Very Bradley, i wyjęła okrągłą puszczkę z miętówkami Altoids. Gdy próbowała podważyć wieczko, omsknęły jej się palce, a opakowanie wypadło jej z rąk i potoczyło się po chodniku.

— Cholera!

Puszka pokulała się po płytach i zatrzymała na skraju trawnika. *Przynajmniej nic z niej nie wypadło*. Zbieranie z ziemi setki rozsypanych cukierków było ostatnią rzeczą, na którą Martha miała ochotę o tej godzinie. Schyliła się, by podnieść opakowanie.

Ściana gorąca uderzyła w nią tak niespodziewanie, jak rozpedzona ciężarówka. Niewidzialna siła uniosła kobietę i wyssała powietrze z jej płuc. Huk eksplozji zadźwięczał Marcie w głowie. Otaczająca ją ciemność nocy zmieniła się w pomarańczowe piekło pochłaniające jej świat.

Dziwne, ale nie poczuła bólu.

Rozdział 9

Punakha Dzong, Bhutan

Na tronie po lewej siedział pulchny mnich w wieku około trzydziestu lat. Był ubrany inaczej niż odziani w szkarłat mnisi, których Grant widywał podczas swojego pobytu. Ten miał pomarańczową szatę, jak Kinley. *Ciekawe, kto to?* — zastanawiał się. Zmartwił się, że pojawienie się przybysza wpłynie na możliwość zabrania go przez Kinleya do zakazanej biblioteki. Pomimo ogarniającej go niecierpliwości Grant stał obok Kristin i przyglądał się, jak wieśniacy otrzymują rytualne błogosławieństwo od mnicha w pomarańczowej tunice. Kiedy podchodzili do tronu, trzy razy kładli się na drewnianej podłodze. Potem wstawali, przykrywali usta lewą ręką i pochylali głowy przed swoim świętym. On wyciągał rękę, w której dzierżył limonkowozielony pastorał, i dotykał nim głów, wypowiadając błogosławieństwo z miną znudzonego robotnika stojącego przy taśmie w połowie swojej zmiany.

— Przypomina mi to czas — wyszeptała Kristin do ucha Granta, muskając go włosami po policzku — kiedy miałam trzynaście lat i falbaniastą białą sukienkę, która tak podobała się mojej mamie, i klęczałam przed ołtarzem w katedrze. Kiedy pochyliłam głowę, pobłogosławił mnie biskup.

— Wiesz — Grant odwrócił się w jej stronę — wiele kościelnych i klasztornych rytuałów wywodzi się od monarchii, które wówczas rządziły.

— Zatem szpiczaste nakrycie głowy biskupa jest odpowiednikiem królewskiej korony?

— Biskup, a także większość starszych mnichów w tym zakonie, również nosi pastorał, podobnie jak królowie berło. Jedni i drudzy mają charakterystyczne szaty, siedzą na tronach nad swoimi poddanymi, a ci klękają, okazując im szacunek, i przynoszą dary, czyli dziesięcinę dla kościoła i podatek dla króla.

Dziesięć minut później młodzi mnisi siedzący pośrodku świątyni przestali bębnić. Święty nadal błogosławił ze swojego tronu, a Kinley skinął głową do uczniów, którzy otworzyli buddyjskie księgi leżące obok nich. Grant wiedział, że owe księgi miały cztery cale szerokości na dwanaście cali długości i były spisane w języku tybetańskim. Na każdej stronie wypisano tylko jeden wers ze starożytnych buddyjskich tekstów, który młodzi mnisi powtarzali dopóty, dopóki nie nauczyli się go na pamięć. Grant kilka razy widział książkę należącą do Jigme. Gdy tak stał z Kristin, niektórzy uczniowie, w tym Jigme i Ummon, odwrócili się i uśmiechnęli do nich, ale większość tylko zerkała ukradkiem na Kristin.

Gdy młodzi mnisi zajęli się nauką, Kinley zbliżył się do wejścia do świątyni, gdzie stali Grant z Kristin. Grant nieskutecznie próbował ukryć swoją ekscytację.

— Zdaje się, że dziś się czujesz lepiej. — Kinley po ojcowsku ścisnął ramię Granta.

— Mogę już bezpiecznie chodzić po schodach.

— Aha, jak widzę, przyprowadziłeś ze sobą tę miłą koleżankę — powiedział Kinley, kłaniając się

Kristin.

Unika mnie, pomyślał Grant.

— Cóż, skoro Grant mnie nie przedstawił — powiedziała Kristin i wyciągnęła rękę — nazywam się Kristin Misaki.

— Kinley Goenpo. — Mnich skłonił się ponownie i ujął jej dłoń. — Japonka?

— Rodzina mojego ojca pochodzi z Okinawy, ale mama jest rodowitą katoliczką z Nowej Anglii.

— Ta mieszanka bardzo ci pasuje.

Kinley uśmiechnął się. Grant zauważył znajomy gest, gdy Kristin chwyciła dłoń mnicha obiema rękami. Przypomnił sobie dreszcz, jaki go przeszedł na dziedzińcu, kiedy ich dłonie zetknęły się na dłużej niż to konieczne.

Jest wylewną osobą, przeszło mu przez myśl.

Otworzył już usta, by zaproponować wyjście na zewnątrz, gdzie mogliby swobodnie rozmawiać, ale Kristin go ubiegła.

— Kim on jest? — wskazała na tron.

— Lama Dorji. Dziś przybył. Jest piątą reinkarnacją świętego lamy, który żył kilkaset lat temu. Ci ludzie przyszli po błogosławieństwo od niego.

— Długo tu zostanie? — zapytał Grant.

— Tylko do czasu aż przyjedzie Je Khenpo, który będzie za dwa tygodnie.

— Kim jest Jay Kembo? — dopytywała Kristin.

— *Je Khenpo* — roześmiał się Kinley — stoi na czele wszystkich mnichów w *dratshangu* i jest naszym przywódcą religijnym oraz przyjacielem. Wkrótce wraz z setkami mnichów wyruszy z Thimpu Dzong w stolicy kraju, gdzie przebywał w miesiącach letnich, z powrotem do Punakha. Nasze położenie geograficzne zapewnia łagodniejszy klimat zimą. Lama Dorji i ja zwykle spotykamy się kilka tygodni przedtem, by rozpracować to logistycznie.

Grant poczuł, że kule, na których się podpierał, robią się śliskie od potu zbierającego się na jego dłoniach. Najpierw jakiś święty będący czyjąś reinkarnacją ściągnął do klasztoru tłumy wieśniaków, za chwilę powrócą tu całe setki mnichów. Może się okazać, że będzie miał tylko krótką chwilę, by pomyszkować w czytelniku.

Wtem kichnął. Kadzidło, które dziesięć minut temu pachniało bardzo przyjemnie, teraz zdawało się ograniczać dopływ powietrza. Niektórzy wieśniacy odwrócili się, obrzucając go spojrzeniami.

— Przepraszam — powiedział. — Może wyjdziemy na zewnątrz?

Jednak Kristin zamiast tego weszła w głąb świątyni, zatrzymując się dopiero przy ścianie po ich lewej stronie. Uniosła głowę i zaczęła przyglądać się malowidłom ściennym ciągnącym się przez całe pięćdziesiąt stóp.

— To mi wygląda znajomo.

Kinley podszedł do niej.

— Odpowiednik witraża w biednym kraju.

— Sarnath w Indiach — odrzekła Kristin. — W tamtejszej świątyni jest podobny fresk. To niedaleko Varanasi, gdzie pisałam ostatni artykuł.

— Istotnie, tamten jest równie piękny — mnich gestem ręki zaprezentował fresk. — Przedstawia historię życia Buddy.

Za ich plecami rozległ się kaszel. Grant poczuł na sobie spojrzenia zebranych. Odwracając się, dostrzegł, że lama przestał błogosławić i teraz się im przypatrywał. Kinley wymienił z nim spojrzenie, którego Grant nie potrafił zinterpretować, ale poczuł wyraźny dyskomfort.

— Chyba powinniśmy wyjść — powiedział.

Lama skinął na nich swoim pastorałem.

— Zostaliśmy wezwani — odezwał się Kinley.

Kristin od razu ruszyła z Kinleyem w stronę tronu.

— Nigdy wcześniej nie spotkałam reinkarnowanego lamy — powiedziała, odwracając się przez ramię do Granta, tonem, jakby właśnie po to przyjechała do Bhutanu.

Nie wiedząc, jak powinien się zachować w pobliżu ołtarza, Grant stanął przed lamą i pokłonił się najniżej jak potrafił i na ile pozwalała mu unieruchomiona noga. Kristin zrobiła to samo. Lama Dorji był mniej więcej w wieku Granta, ale okazał się dużo niższy i co najmniej czterdzieści funtów cięższy od niego. Jego okrągła twarz z gładko ogoloną głową wyglądała jak nasadzona na pomarańczowe szaty, niczym mała dynia leżąca na dużej.

Lama skinął głową w stronę Granta, ale zignorował Kristin.

— Więc ty jesteś tym Amerykaninem, któremu Kinley Goenpo pozwolił zatrzymać się w *goemba*?

— zapytał śpiewnym tonem, o wiele wyższym, niżby można się po nim spodziewać.

Grant miał już odpowiedzieć, ale zamknął usta, gdy Kinley położył mu dłoń na ramieniu.

— Grant był bliski śmierci, kiedy Jigme i ja przynieśliśmy go tutaj, *la* — powiedział, dodając oficjalne *la*, przez co okazywał szacunek.

— Już się lepiej czujesz, prawda? — Lama Dorji skierował pytanie do Granta.

— Mogę już chodzić. Doktor mówi, że wkrótce będę mógł wyjechać.

Lama Dorji zwrócił się do Kinleya.

— A jak przygotowania związane z Je Khenpo i *dratshangiem*?

— W piątek młodszy mnisi wysprzątają dormitoria, *la*.

— A zakłócenia?

— Zakłócenia, Lamo Dorji?

— Ten Amerykanin i... — lama gestem wskazał Kristin — ta kobieta. Wiem, że odczuwasz pokusę poharcowania z tymi ludźmi. W końcu wyjechałeś przeciw z zakonu, by studiować na Zachodzie.

Kiedy lama uśmiechnął się do Kinleya, Grant usłyszał, jak Kristin gwałtownie wciąga powietrze. Lama miał zabarwione zęby i dziąsła, jego ślina przybrała jaskrawoczerwony kolor, nadając mu wygląd wampira w szale zabijania. Talerz stojący na wąskim ołtarzu przed lamą skrywał tajemnicę krwawego koloru: trzy owinięte w liście orzechy betelu. Grant widywał w klasztorze mnichów żujących takie orzechy. Kinley wyjaśnił mu, że orzechy betelu działają stymulująco i używa się ich w tym samym celu, co tytoniu, który żują ludzie na Zachodzie, ale podczas gdy tytoń sprawiał, że ślina była ciemna i zawierała kawałki liści, betel uwalniał szkarłatny sok, który permanentnie barwił zęby. Kinley nigdy po niego nie sięgał, bo, jak wyjaśnił, Budda nauczał, że jeśli umysł jest pod działaniem substancji narkotycznych, niemożliwa staje się prawdziwa transcendencja myśli i emocji.

Kinley również uśmiechnął się do lamy.

— Podczas rekonwalescencji Granta przekazałem mu część naszych nauk. Zaczyna rozumieć dharma.

— Czy twoim zadaniem jest nauczanie ludzi z Zachodu? — krwawy uśmiech lamy zniknął. — Ich kulturze brakuje dyscypliny, by zrozumieć nasze nauki.

Grant poczuł, że oblewa go fala gorąca. *Czy lama oskarża mnie o bycie leniwym?* Nawet jeśli zakres ich studiów różnił się, Grant wkładał w pracę tyle samo energii, co ich uczniowie. Nawet przez ten miesiąc, gdy był tu unieruchomiony, starał się wykorzystać każdą minutę. Kiedy nie pościł się podczas wykonywania zaleconych mu przez doktora ćwiczeń fizjoterapeutycznych, robił notatki z nauk Kinleya lub opracowywał nowy plan swojej dysertacji, po tym jak zobaczy teksty Issy. Uścisk Kinleya na jego ramieniu stawał się coraz silniejszy, co oznaczało, że ma się nie odzywać i pozwolić

mówić lamie.

— Spójrz na zaangażowanie tych młodzieńców — Dorji wskazał na uczniów przyglądających się dwóm starszym mnichom w pomarańczowych szatach i Amerykanom. — Czy sądzisz, że oświecenie można osiągnąć kilkoma sztuczkami i zgrabnymi powiedzonkami?

— Czy pamiętasz opowieść o ślepcach i słoniu? — zapytał Kinley, panując nad głosem.

Na twarzy lamy pojawił się wyraz irytacji, ale nic nie odpowiedział. Kinley kontynuował.

— Pewnego dnia Budda poprosił swoich uczniów, by wyobrazili sobie grupę ślepców, których zaprowadzono do słonia. Musieli oni go opisać, posługując się tylko zmysłem dotyku. Jeden z nich chwycił ogon i powiedział, że słoń jest sznurkiem; drugi się z nim nie zgodził, ponieważ dotknął nogi i twierdził, że jest wysoką kolumną; trzeci położył dłonie na boku zwierzęcia i stwierdził, że to ściana; ostatni natomiast zbadał trąbę i odparł, że wręcz przeciwnie, bo jest szlauchem.

Grant zdusił uśmiech. Kinley wielokrotnie wyjaśniał mu, że Budda nauczał, iż istniała więcej niż jedna ścieżka dotarcia do sedna jego nauk. Sam mógłby wskazać kilkoro ludzi z kościoła jego ojca, którzy skorzystaliby na tej lekcji.

— Chociaż może jesteś starszy wiekiem, Kinleyu — Lama Dorji zmienił pozycję na tronie — to ja jestem piątą reinkarnacją Guru Tashi i starszym asystentem Je Khenpo.

Grant zauważył, że lama nie odniósł się do puenty przypowieści Kinleya. Reszta osób w świątyni milczała, przysłuchując się tej wymianie zdań, która pozornie była spokojna, ale pod powierzchnią wrzała, gdyż, wedle rozeznania Granta, dotyczyła walki o wpływy, jaka musiała trwać od dłuższego czasu.

— Nie chciałem cię urazić, Lamo Dorji, *la* — Kinley skłonił się. — Chciałem tylko zilustrować mój punkt widzenia, że młodzi Amerykanie są ciekawi i kreatywni. Przyswajają wiedzę inaczej niż nasi uczniowie, a ich niezależna natura może doprowadzić do tego, że uchwycą jakąś inną część słonia niż my.

— Spędziłeś sporo czasu z dala od naszej kultury, kiedy byłeś młodszy, prawda?

Lama Dorji wsadził do ust orzech betelu i rozłupał go zębami.

Kinley odpowiedział mu takim samym niewzruszonym tonem.

— Wiele się nauczyłem, kiedy wyjechałem, ale świadomie wróciłem do Bhutanu i jestem teraz w klasztorze z własnego wyboru.

— Wiesz, dlaczego jesteśmy ostatnim niezależnym buddyjskim królestwem w Himalajach?

Po raz pierwszy Grant wyczuł napięcie w Kinleyu — lekkie usztywnienie ciała oraz ton głosu, którego nigdy wcześniej nie słyszał.

— Sto lat temu do naszego kraju można było dotrzeć tylko konno lub pieszo przez zwodnicze górskie ostępy. Teraz znajdujemy się o dwie godziny lotu z Chin i Indii, dwóch krajów o najwyższej populacji na świecie. Przez Internet nasze dzieci doświadczają wpływów, których nie jesteśmy w stanie kontrolować. Nie możemy już izolować się od świata.

— Więc mamy lekceważyć nasze tradycje? — Dorji przesunął się na tronie.

Kinley pokręcił głową.

— A może powinniśmy szanować swoje dziedzictwo, a jednocześnie otworzyć umysł na inne buddyjskie tradycje? Poznać inne części słonia i samemu zdecydować, co nas najbardziej przekonuje?

W tej chwili Grant lepiej zrozumiał metody nauczania Kinleya. Chociaż jego wiedza o różnicach między poszczególnymi szkołami buddyzmu była ograniczona, ciekawiło go użycie przez Kinleya gong'an[3], która jest częścią japońskiej tradycji zen.

— Inne nauki? — Lama Dorji pokręcił głową. — Po co nauczać czegoś, co jest gorsze?

Praktykujemy wadzrajanę, najwyższą formę buddyźmu. — Pastorałem wskazał na Granta i Kristin. Grant miał świadomość tego, że wszystkie oczy w świątyni wpatrzone są w niego. Głos lamy zabrzmiał prawie smutno.

— Kinleyu, wiem, że masz czyste intencje, ale obawiam się, że zostałeś skażony przez ten czas, który spędziłeś na Zachodzie. To przez tego typu wpływy wybraliśmy życie w klasztorze. Izolujemy się od pokus świata materialnego, czyli tego, co ludzie Zachodu — potrząsnął pastorałem wycelowanym w Granta i Kristin — uważają za swój ideał.

Kinley nie ruszał się, falowała tylko jego klatka piersiowa, gdy oddychał. Nagle skłonił się nisko.

— Tak, Lamo Dorji, dobrze cię rozumiem, *la*.

Grant przyglądał się przyjacielowi. Czy tylko tyle miał do powiedzenia? Nie wierzył, że Kinley po prostu się podda.

Lama Dorji pochylił się i wziął kolejny orzech betelu z talerza.

— Masz szczęście, że jesteś ulubieńcem Je Khenpo.

— To prawda — Kinley skłonił się jeszcze raz, po czym chwycił Granta za ramię i skierował go ku wyjściu.

— A pan, panie Matthews — powiedział Lama Dorji, zadziwiając Granta znajomością jego nazwiska — skoro już pan wyzdrowiał, powinien opuścić klasztor do jutra. Znajdzie pan odpowiedni hotel w mieście.

Grant poczuł ciężar na piersi, który uniemożliwiał mu zaczerpnięcie takiej ilości tlenu, jakiej w tej chwili potrzebował. Bojąc się, co może powiedzieć, gdyby się odezwał, po prostu skinął głową i pozwolił się poprowadzić Kinleyowi w stronę światła słonecznego przesączającego się przez otwarte drzwi świątyni.

— Jeszcze jedno, Kinleyu. — Głos lamy niósł się przez świątynię i dotarł do nich przy drzwiach. Przyglądali im się wszyscy mnisi, starzy i młodzi. — Gdybym był na twoim miejscu, uważałbym na to, z kim się zadaję. — Wskazał pastorałem na Kristin. — Nie chcesz przecież, by twoi bracia wysnuli błędne wnioski. Wieści szybko roznoszą się w *goemba*.

Kiedy znaleźli się na zewnątrz w ciepłym popołudniowym słońcu, Grant powiedział:

— Jak mogłeś pozwolić, by...

— Ciągnięcie tej dyskusji nie miałoby żadnego sensu, pogłębiłoby tylko nasz konflikt i podsycało moją dumę.

— Nie bolą cię jego insynuacje? — spytała Kristin.

— Czuję frustrację — wzruszył ramionami Kinley — ale nie walczę z nią. Zamiast tego pozwalam, by rozlała się po moim ciele. Przyglądam się jej, tak jak pniowi drzewa dryfującemu po rzece, dopóki nie zniknie za zakrętem.

Grant pokręcił głową. Kinley wyjaśniał mu już wcześniej technikę przyglądania się swoim emocjom i destrukcyjnym myślom, tak jakby oglądało się film wyświetlany we własnym ciele, ale odrzucił ją, bo wydawała mu się zbyt dziwna. Takie podejście mogłoby przynieść mu ulgę na chwilę, potem jednak poddałby się i zawsze ulegał innym ludziom.

— Lama Dorji ma dobre intencje — ciągnął Kinley. — Chce jak najlepiej dla naszych młodych mnichów, podobnie jak ja, ale mamy odmienne życiowe doświadczenia: jego życie zostało ukształtowane przez odizolowane środowisko klasztorne, podczas gdy na mnie wpłynęły podróże i edukacja. Uświadomiłem sobie, że nie uda mi się dzisiaj zmienić jego zdania. Dalsza dyskusja rozděłaby tylko moje ego i przyniosłaby nam obu cierpienie.

Kinley zatrzymał się, gdy doszli do drzewa rosnącego pośrodku dziedzińca. Popatrzył na jego nagie gałęzie. Przez usta przemknął mu uśmiech, kąciaki oczu lekko się uniosły.

— Poza tym, podjąłem już decyzję. Ta rozmowa tylko mnie w niej utwierdziła. Nie możemy dłużej upierać się przy izolacjonizmie, któremu sprzyja nasza religia. Już czas, by opowieść Issy ujrzała światło dzienne. Jutro rano udamy się do czytelnicy.

— Mówisz poważnie? — zapytał Grant.

— Pani Misaki, proszę do nas dołączyć, jeśli pani może. Przyda się nam aparat. Nie będziemy mieli zbyt dużo czasu.

[3] Ćwiczenie dla umysłu, mające na celu wyzwolenie człowieka ze schematów myślenia.

Rozdział 10

Birmingham, Alabama

Wielebny Brian Brady studiował plany konstrukcyjne rozłożone na wiśniowym stole, przy którym wygodnie mogło usiąść aż dwunastu ludzi. Po drugiej stronie jadalni udekorowanej przez żonę Brady'ego morskozielonym weneckim tynkiem, nad stołem raportów finansowych pochylali się William Jennings, szef operacji New Hope, i Carla Healy, nowa kontrolerka kościoła. Brady podziwiał kunszt swojego projektu. Wspólnota New Hope będzie zwieńczeniem jego chwały, świadectwem mocy woli boskiej, że można pokonać wszystkie trudności. Projekt już teraz sprawił, że Brady znalazł się w świetle reflektorów i zyskał uznanie swoich braci w Ewangelii. Był obecnie jednym z liczących się kandydatów w nadchodzących wyborach prezydenckich w Narodowym Stowarzyszeniu Ewangelików.

Od kiedy wygłosił swoje pierwsze kazanie w małym kościele na przedmieściach Mobile, wiedział, że przeznaczone jest mu coś większego niż Alabama. Większość ludzi zadowoliliby się sukcesem, jaki dotychczas osiągnął jako pastor największego w Birmingham kościoła, ale jako prezydent NSE Brady byłby znany w całym kraju. Zostałby kolejnym Billym Grahamem, który troszczył się o prezydentów i wiarę milionów ludzi. Osiemnaście miesięcy temu taki cel wydawał się odległą fantazją, ale teraz, gdy ogłosił swoje ambitne plany otwarcia Wspólnoty New Hope, a jego książka *Dlaczego Bóg jest taki zagniewany?* znalazła się na pierwszym miejscu krajowych bestsellerów, był jak najbardziej realny.

Obecny prezydent NSE, Jimmy Jeffries, nie miał sprzyjających prognoz. Pod jego rządami państwo jeszcze bardziej podupadło, a wpływ ruchu ewangelicznego na politykę osiągnął najniższy poziom od trzydziestu lat. Brady może to wszystko zmienić. Rzadko kiedy udawało się zagrozić urzędującemu prezydentowi, jeszcze rzadziej go pokonać, ale Brady wiedział, że jego osoba jest coraz wyżej ceniona w organizacji, a Jennings pracował nad tym, by Brady osiągnął szczyt swoich możliwości przed kwietniowymi wyborami.

Brady podziwiał rysunki architektoniczne na leżącym przed nim dużym arkuszu: Wspólnota New Hope. To, co zaczęło się trzy lata temu od poszukiwania miejsca na większy i nowocześniejszy kościół, przybrało teraz formę sześciusetakrowego kompleksu o wielorakim przeznaczeniu. Obecny plan obejmował nie tylko nowy kościół, który urósł ze stu tysięcy stóp kwadratowych do ponad dwustu pięćdziesięciu tysięcy, lecz także dom kultury, obiekty sportowe, nowe seminarium dla niemal siedmiuset studentów, pole golfowe z osiemnastoma dołkami, ponad dwieście domów jednorodzinnych, trzysta pięćdziesiąt mieszkań i trzysta domów miejskich. Centrum handlowe ze sklepami spożywczymi i restauracjami wieńczyło cały kompleks.

Brady od lat marzył o zbudowaniu takiego osiedla dla swoich wiernych. Kościół będzie stał dosłownie w jego centrum, na głównym placu. Jego architekci pojechali do Charleston i Savannah,

by inspirować się starą architekturą Południa.

We Wspólnocie New Hope wierni będą czerpać siłę i wsparcie od siebie nawzajem, a także wspólnie oddawać cześć Bogu, robić zakupy i spożywać posiłki — wszystko to poza złymi wpływami rozwydrzonego współczesnego społeczeństwa. Miasteczko będzie miało własną telewizję kablową i kina wyświetlające odpowiednie, inspirujące programy. Podobnie jak księgarnia, która zaopatrzona będzie w tytuły podobne do książki Brady’ego, wzmacniające, a nie niepokojące ludzi. Jennings nazywał tę koncepcję Chrześcijańską Urbanistyką, na wzór popularnej Nowej Urbanistyki, której przykłady pojawiały się w całym kraju. Brady zakochał się w tej nazwie i używał jej, jakby sam ją wymyślił. New Hope będzie wzorem tego, jak rozwiązywać problemy kraju. Jak tylko wysadzi ze stołka Jimmy’ego Jeffriesa, będzie mógł wcielić swoją wizję na poziomie narodu.

Brady zerknął ponad stołem na Jenningsa. Jego najbliższy współpracownik ubrany był w szary prążkowany garnitur, który na nim wisiał, i białą koszulę z postrzępionymi nitkami przy szyi i na mankietach na skutek zbyt częstego prania. Długi ostry nos dominował na bladej twarzy, a długa szyja nadawała Jenningsowi wygląd strusia wystrojonego u Brooks Brothers. Brady potrząsnął głową, po czym strzepnął jakiś kłaczek z rękawa swojego czarnego garnituru od Armaniego. Następnie poprawił mankiety jasnoróżowej koszuli, aby odpowiednia ich część wystawała spod rękawa marynarki. Próbował przekonać Jenningsa, że niskobudżetowy strój jest zachętą do niewielkich datków, ale ten zupełnie nie interesował się swoim wyglądem.

Brady postukał palcami w blat stołu. Jennings i Carla nie oderwali się ani na moment od arkuszy. Nie mógł tego tolerować. Na szczęście miał Jenningsa. Populacja kościoła pod rządami jego i Jenningsa przerosła Brady’ego najśmielsze oczekiwania: dwadzieścia lat temu wspólnota liczyła zaledwie kilkuset członków, obecnie miała ponad dziesięć tysięcy. Połączenie charyzmy i zamiłowania Brady’ego do Słowa Bożego oraz umiejętności organizacyjnych i dbałości o szczegóły Jenningsa wraz z Bożym błogosławieństwem działo cuda.

— Te opóźnienia stają się irytujące. Czy w przyszłym miesiącu zgodnie z planem zaczynamy wyrównywać teren pod główny plac? — zapytał Brady. Mogą skończyć księgowość później.

Jennings podniósł głowę.

— Pełnomocnicy banku zgodzili się na proponowane zmiany w umowie kredytowej. W przyszłym miesiącu powinniśmy otrzymać pierwsze sto milionów. Będziemy mogli spłacić kredyt, który zaciągnęliśmy, by zakupić ziemię, i opłacić wstępne koszty budowy.

— Dobrze. Wszystko idzie zgodnie z wolą Bożą. — Brady wskazał na leżący przed nim plan. — Przedyskutujmy położenie centrum handlowego. Wydaje mi się, że powinniśmy przesunąć restaurację...

— Brian — przerwał mu Jennings — wczoraj już o tym rozmawialiśmy. Dziś musimy skupić się na kwestiach finansowych. Będiesz mógł zaspokoić swoją kreatywność na czwartkowym spotkaniu z architektami, ale teraz musimy przeanalizować koszty.

— Myślałem, że skończyliśmy z tym w zeszłym tygodniu. Sam mówiłeś, że pieniądze z banków są pewne.

Po raz pierwszy odezwała się Carla.

— Tak, wielebny, powinniśmy dostać te kredyty, ale wciąż musimy spełnić pewne warunki umowy związane z wkładem własnym. Obawiam się, że fundusze otrzymane od dużych sponsorów już się rozeszły, a ci drobni znacząco zmniejszyli wpłaty. — Położyła przed Bradym kilka dokumentów.

Nawet nie spojrzął na nie, wbijając wzrok w swoją nową pracownicę. Przypomniał sobie jej CV: dwudziestoosmioletnia absolwentka zarządzania z Auburn, pracowała w średniej wielkości biurze rachunkowym, po czym zmęczona korporacją postanowiła wykorzystać swoje wykształcenie

w bardziej wartościowym środowisku. Jennings miał dobrą opinię o jej umiejętnościach, ale Brady z początku był jej niechętny, ponieważ należała do kościoła episkopalnego. Nie lubił nawet myśleć o bluźnierstwach, jakich dopuszczano się w tym kościele: najpierw kobiety, a teraz pedały na ambonie. Zawsze praktyczny Jennings przekonał go, że potrzebują większej siły ognia, jak to ujął, by poradzić sobie z finansowymi zawłościami tak wielkiego przedsięwzięcia.

— Czyż milion miesięcznie, który wpływa ze stałych datków, przyczynia się do opóźnienia naszej głównej kampanii? — spytał ją Brady.

— Otrzymujemy osiemset siedemdziesiąt pięć tysięcy miesięcznie, a nasze bieżące wydatki, przy założeniu, że pozostaną na tym samym poziomie, wynoszą nieco ponad osiemset, i niestety rosną. Tylko w tym roku koszty ogólne i administracyjne podskoczyły o dwanaście procent, sponsorowane przez nas schronisko dla bezdomnych kosztuje o siedem procent więcej, a świadczenia socjalne o dwadzieścia pięć procent.

— Cóż, nie możemy zrezygnować z żadnej z tych rzeczy — odparł Brady. — Pewne wydatki są konieczne dla kościoła. Trzeba wydawać pieniądze, by je zarabiać, Carlo. A nasze programy socjalne to praca w imię Boga. Jeśli nie możemy pomagać i szerzyć nauk Jezusa Chrystusa, to po co tu jesteśmy?

— Przewidziałam, że to właśnie powiesz, wielebny, pozwoliłam więc sobie przygotować inną opcję. — Carla położyła przed Bradym kolejny arkusz, ale i ten zignorował. — Powinniśmy rozważyć rozłożenie niektórych inwestycji we Wspólnocie New Hope na dłuższy okres. — Podała Jenningsowi kopię dokumentu, a on marszcząc brwi, prześledził wzrokiem liczby. — Nie proponuję żadnych cięć w naszym planie — dodała pospiesznie — ale jedynie odsunięcie w czasie niektórych projektów, dopóki nie osiągniemy wystarczających wpływów ze sprzedaży...

— Opóźnienie budowy! — zagrział Brady. — Dziecko, nie rozumiesz, na czym polega Chrześcijańska Urbanistyka. Wszystkie aspekty tej rozbudowy uzupełniają się harmonijnie, wspierają się nawzajem.

— Wielebny, gdyby mógł pan poświęcić mi minutę i spojrzeć na plan. — Podniosła arkusz tak, by musiał na niego spojrzeć. — Proponuję rozpocząć budowę od kościoła, pola golfowego i jednego z miejskich domów. Jeśli na tym etapie odnotujemy dobrą sprzedaż, zbudujemy następny, a gdy ukończymy pole golfowe, zaczniemy sprzedawać przylegające do niego parcele. Rozłożenie inwestycji w czasie pozwoli nam wykorzystać wpływy ze sprzedaży na kolejne inwestycje, co obniży nasze zadłużenie.

— A co z seminarium, domami kultury, teatrami... — Brady pochylił się nad stołem — ...restauracjami? — Wycelował palec w plan miasteczka. — Mają fundamentalne znaczenie dla naszej koncepcji pobożnego stylu życia, kultu religijnego i wspólnej zabawy.

— Kiedy zbudujemy i sprzedamy siedemdziesiąt pięć procent budynków mieszkalnych, będziemy mieć masę krytyczną pozwalającą na zajęcie się detalami. Proszę spojrzeć. — Carla odgarnęła proste ciemne włosy, opadające jej na twarz, zanim na powrót skupiła się na wyliczeniach. — Moglibyśmy zacząć budowę tego rodzaju udogodnień za jakieś cztery lata.

Twarz Brady'ego poczerwieniała, zanim wybuchnął.

— Cztery lata! Przecież obiecałem wiernym całe, kompletne miasteczko, a nie tylko domy i kościół. Ta opcja jest nie do przyjęcia. — Brady zwrócił się do Jenningsa. — Williamie, z pewnością się z tym zgadzasz?

Jennings zdjął okulary do czytania w kształcie półksiężyców ze swojego długiego nosa i spokojnie odpowiedział:

— Carlo, w swoich wyliczeniach nie wzięłaś pod uwagę wpływów ze sprzedaży książki

wielebnego.

Szyja Carli pokryła się czerwonymi plamami pod ostrzałem spojrzeń dwóch starszych mężczyzn.

— Minie kilka miesięcy, zanim zaczną spływać pierwsze tantiemy, a do tego czasu sprzedaż może zacząć spadać. — Zaczęła mówić coraz ciszej, aż obaj musieli się nad nią pochylić, by słyszeć. — Po prostu uznałam, że zyski z tego są zbyt niepewne, by uznać je za stały przychód w tym projekcie.

Brady wpatrywał się w młodą księgową. *Problem tych naćpanych protestantów polega na tym, że nie ma w nich prawdziwej wiary.* Carla wierzyła w liczby i symulacje komputerowe, ale komputery nie brały pod uwagę woli boskiej. Bóg przemawiał przez proroków, takich jak jego jedyny syn Jezus Chrystus, a czasami przez swoich wiernych wyznawców, jak Brady we własnej osobie. Brady nigdy nie miał problemów ze snem. Domyślał się, że Carla miała, sądząc po sińcach pod oczami. Nie odczuwał stresu i lęku przed nieznanym i niemożliwym, ponieważ miał wiarę w Boga, który znał wszystkie odpowiedzi.

— Nie chcę być natrętna, proszę pana. Ja jedynie nie chcę zmienić New Hope w kolejne fiasko na miarę PTL — powiedziała.

— PTL? — warknął Brady — Jak w ogóle może pani porównywać to, co robimy my, z tym pajacem Jimem Bakkerem?

— Carla — pospiesznie wtrącił się Jennings — wiem, że nie miałaś nic złego na myśli. Ale jesteś tutaj nowa. Już wcześniej wychodziliśmy z różnych zawirowań. Nikt nie wierzył w to, że uda nam się zbudować obecny kościół. A ten projekt to tylko kwestia czasu. Musimy się jedynie upewnić, że sprzedaż książki pozostanie na obecnym poziomie. Rick Warren zarobił dziesiątki milionów na *Życiu świadomym celu*. Uważam, że książka wielebnego powtórzy ten sukces.

Carla westchnęła. Brady położył swoje dłonie na jej drobnej ręce. To oczywiste, że nie widziała światła, które on dostrzegał.

— Carlo, czy znasz rozdział dwudziesty piąty Ewangelii wg świętego Mateusza? — zapytał.

— Nie zacytuję go z pamięci.

— Pewien człowiek udawał się w podróż, wezwał swoje sługi i kazał im opiekować się majątkiem. Bardziej rożgarniętemu słudze dał pięć srebrnych monet, innemu, nie tak obrotnemu, dał jedną. Ten z pięcioma monetami zainwestował pieniądze i zarobił kolejne pięć monet. Drugi służący zakopał swoją monetę w ziemi. Kiedy pan wrócił, pierwszy służący przyniósł mu wszystkie dziesięć monet i otrzymał pochwałę. Drugi sługa oddał panu pieniądź, który od niego dostał, wyjaśniając, że bał się go stracić, więc go zakopał. Wymierzając drugiemu słudze karę za lenistwo, pan wziął tę jedyną monetę i dał ją pierwszemu słudze, który miał już ich dziesięć, i powiedział: „Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma”.

Brady zdjął dłonie ze spoconej ręki Carli, odchylił się na krześle i podparł brodę na czubkach palców.

— Widzisz więc, że największym niebezpieczeństwem nie jest rozwijanie naszego projektu, lecz obranie ścieżki, którą ty polecasz.

Carla wpatrywała się w blat stołu, podczas gdy Jennings pozbierał dokumenty, po czym wręczył je koleżance.

— Dziękuję, Carlo. Porozmawiamy jeszcze, gdy wrócę do biura.

Carla unikała ich wzroku, gdy wychodziła z pokoju. Brady potrząsnął głową.

— Mówiłem ci, kiedy chciałeś ją zatrudnić, Williamie, że nowoczesne wykształcenie nie ma żadnego przełożenia na wiarę w Boga.

Jennings zamrugał, słysząc reprimendę. Brady wiedział, że współpracownik nie lubił, gdy

podważano jego umiejętności organizacyjne, ale czasem trzeba było mu przypomnieć, kto tu jest szefem.

Przez chwilę przyglądał się swoim poobgryzanym paznokciom, po czym skinął głową.

— Negatywne nastawienie jednej osoby może zasiać niezgodę wśród innych. Zła energia jest jak wirus i może rozprzestrzenić się po całej naszej organizacji. Zajmę się tym.

— Co zamierzasz zrobić?

Brady wiedział, że Jennings potrafi przekonać Carlę do zmiany decyzji. Słyszał już historie o tym, jak Jennings udzielał reprimendy pracownikom, którzy nie spełniali jego oczekiwań. Brady cieszył się, że wziął on na siebie to zadanie. Każda organizacja potrzebowała kogoś, kto zadba o dyscyplinę, ale Brady był zbyt uwielbiany, by móc samodzielnie się tym zająć.

— To proste. — Jennings wetknął okulary do wewnętrznej kieszonki marynarki. — Zwolnię ją.

Rozdział 11

Punakha, Bhutan

Jak często człowiek ma świadomość tego, że za chwilę jego życie odmieni się na zawsze?

To pytanie rozbrzmiewało w głowie Granta, gdy wpatrywał się w zdobione okna sześciopiętrowej bielonej wieży *utse*. Nisko wiszące słońce poranka rzucało długi cień wieży na bruk, niczym gigantyczny zegar słoneczny wskazujący Grantowi, że już czas, by poznał on swoje przeznaczenie. Grant pomyślał, że odpowiedź na liczącą dwa tysiące lat zagadkę może zostać odnaleziona we wznoszącej się nad nim budowli. Myślał o szkicu swojej dysertacji, który miał w laptopie, spoczywającym w niewielkiej torbie przewieszanej przez ramię. Myślał o konsekwencjach tego odkrycia, z jakimi będzie musiał się zmierzyć. Powtórzył sobie kolejne punkty swojej listy: udokumentować znalezisko, wysłać pocztą elektroniczną zdjęcia i tekst do profesora Billingsly'ego, załatwić fachowe tłumaczenie...

Uświadomił sobie nagle, że przez cały ranek odtwarza te wydarzenia w myślach. Kinley uczył go, że należy kontrolować to, co mnisi nazywali cyklami bezproduktywnego myślenia, a Grant według niego był podatny na wyobrażanie sobie przyszłości. Grant odetchnął, wypuszczając wstrzymywane powietrze. Chłodny lekki wiatr szarpał mu włosy i kołysał nagimi gałęziami drzewa rosnącego pośrodku dziedzińca. Oddychał głęboko, uspokajał się. Nagle naszły go niepokojące myśli: A co, jeśli wszystkie te przygotowania pójdą na marne? Co, jeśli teksty Issy nie są tak stare, jak ocenia je Kinley? Co, jeśli krytycy Notowicza mieli rację? A jeśli historia Issy nie była niczym więcej niż legendą wymyśloną wieki temu przez pomysłowych indyjskich pisarzy?

Dźwięk kroków za jego plecami przyniósł mu wybawienie od tych pytań. Oddech mu przyspieszył, kiedy Grant zobaczył Kinleya i Kristin idących pospiesznie w jego stronę. Ona ubrała się odpowiednio na chłodny jesienny dzień, miała czerwony polar i dżinsy z kolorowymi łatami, które zapewne sama naszyła. Aparat zawiesiła na ramieniu. Kinley trzymał ręce złożone za plecami, a tuż za nim szedł Jigme.

— Więc to dzieje się naprawdę? — wyszeptał Grant do Kinleya.

— Nie możemy pozwolić, by naszym zachowaniem rządził religijny izolacjonizm. Czy rozumiesz, że to, co robimy, niesie ze sobą pewne ryzyko?

Grant nawet nie chciał sobie wyobrazić, jak wygląda bhutańska cela więzienna. Ale przecież nie planowali niczego innego niż zrobienie zdjęć. Z pewnością nie wsadzą ich za to do więzienia? Przytaknął.

— To zbyt ważne, by nawet nie spróbować.

— Dokładnie to samo powiedziałbym, gdybym był w twoim wieku. — Kinley się uśmiechnął.

— Jak zamierzasz nas tam przemycić?

— Wczesnym rankiem Lama Dorji udał się do pobliskiego klasztoru. Musimy zdążyć, zanim wróci.

— Kinley odwrócił się do Jigme. — Dawa siedzi na zewnątrz, przy drzwiach prowadzących na schody. Proszę, odwróć jego uwagę.

Kilka minut później Jigme wyszedł z *utse* z innym mnichem, który na oko mógł mieć jakieś siedemdziesiąt lat. Kiedy zniknęli za rogiem budynku, Kinley popędził Granta i Kristin na kamienne schody prowadzące do wejścia na wieżę.

— Co wam przeszkadza w umiejscowieniu drzwi na parterze? — zapytał szeptem Grant.

Kristin chwyciła go za lewą rękę, założyła ją sobie na ramię i pomogła mu wejść po schodach. Grant był dumny z tego, że dotarł do kolejnego etapu rekonwalescencji i tego ranka radził sobie z tylko jedną kulą, ale nie miał nic przeciwko pomocy. Obejmując Kristin, czuł podobne podniecenie jak dzień wcześniej.

Weszli do budynku przez pokryte brązem wrota. Kinley omiół wzrokiem dziedziniec za nimi, a potem zatrzasnął drzwi. W środku Grant zauważył, że tak jak w innych świątyniach w dzong, kamienne ściany nad zniszczoną drewnianą podłogą pokryte są freskami. Przy zamkniętych drzwiach stało krzesło.

Ruchem głowy Grant wskazał na drzwi.

— Najwyższe piętro?

— Szóste — przytaknął Kinley.

Grant ruszył w stronę schodów, a Kristin podbiegła, by mu towarzyszyć. Kiedy dotarł do celu, pot spływał mu po twarzy. Kinley wyminął go, spod tuniki wyjął pęk kluczy i otworzył rzeźbione drzwi na końcu niedługiego korytarza. Dwuskrzydłowe wrota głośno zaskrzypiały, tak że Grant i Kristin aż się wzdrygnęli. Grant wszedł do ciemnego pomieszczenia ostatni, pochylając się, by nie uderzyć głową w niską framugę. Wtedy Kinley rozsunał jasną zasłonę zacierającą jedyne okno i wpuścił do wnętrza światło słoneczne.

W swoich wyobrażeniach o czytelni z ostatnich tygodni Grant zakładał, że będzie większa. Pomieszczenie miało dwadzieścia na trzydzieści stóp i pachniało stęchlizną, jakby nie było wietrzone od lat. Zakurzone księgi w stylu tybetańskim, wąskie i długie jak te, których uczniowie używali w świątyni, poutykane były na chwiejnych półkach oraz ułożone w stosach na podłodze. Rozejrzał się wokół z miną gorliwego górnika przeczuwającego, że znajdzie nieodkrytą żyłę złota.

— Niech sprawdzę — powiedział Kinley, stąpając ponad kilkoma stosami książek. — Dwadzieścia dwa lata temu byłem asystentem bibliotekarza w dzong. Właśnie wtedy odkryłem teksty o Issie. — Przejechał palcem wzdłuż jednej z półek, ścierając z niej kurz. — Niewiele się tu zmieniło. — Zniknął za regałem na końcu pomieszczenia, mamrocząc coś pod nosem.

— Możemy ci jakoś pomóc? — wyszeptwała Kristin.

— O, nie. To będzie gdzieś tutaj — odparł zza regału. — Ta biblioteka nie jest zbyt często używana. Bieżące teksty trzymamy na dole.

Grant podskoczył na dźwięk spadających na ziemię książek.

— Wszystko w porządku?

— Znalazłem. — Kinley pojawił się z powrotem. Miał ze sobą zwykłą sosnową skrzynkę wielkości małej walizki, którą niósł za żelazne uchwyty. Postawił znalezisko na laminowanym stoliku wyglądającym tak, jakby został zakupiony na wyprzedaży garażowej w latach siedemdziesiątych, choć stał na drogim ręcznie tkanym dywanie.

Grant i Kristin zajęli dwa z czterech drewnianych krzeseł stojących wokół stołu. Grant zauważył, że Kristin usiadła na krześle ze skrzyżowanymi nogami, tak jak siedziała na murku dzień wcześniej. Podczas gdy on wpatrywał się w skrzynkę, ona wyciągnęła rękę i dotknęła jej, jakby chciała odgadnąć zawartość na podstawie faktury drewna. Grant przyglądał się jej szczupłym palcom

i krótkim zadbanym paznokciom, którymi badała drewnianą powierzchnię. Choć Kristin okazała się bardzo ponętna, to jej potrzeba dotykania wszystkiego przypominała mu, że była niespokojnym duchem.

Grant wstrzymał oddech, gdy Kinley uchylił wieko skrzyni, która okazała się niezamknięta ani na zamek, ani na kłódkę. Wstał i zajrzał do środka. Jego pierwszą reakcją było zaskoczenie — znajdowały się tam kolejne tybetańskie księgi, siedem, ułożonych jedna na drugiej. Każda długa na osiemnaście cali i szeroka na cztery, oddzielnie zawinięte w jedwab o rozmaitych wypłowiałych kolorach. Grant przypomniał sobie, jak Notowicz opisywał księgę, którą znalazł w Hemis: była większa i miała zdobioną okładkę.

Kinley wziął do ręki księgę owiniętą w zielony jedwab, zdmuchnął warstwę kurzu z tkaniny i powoli zaczął odwijać książkę. Okładka wydawała się ciężka i twarda, jakby z drewna, grubości około czterech cali, tyle, ile mierzyła na szerokość. Kinley uniósł ją, używając jedwabiu, by tłuszcz z rąk nie zetknął się z księgą.

— I co? — spytał Grant, pochylając się nad stolikiem i przesuwanym się na sam brzeg krzesła.

Kinley wpatrywał się przez minutę w pierwszą stronę, następnie przewrócił kartkę. Grant zauważył, że strony miały beżowy kolor i były o wiele grubsze niż zwykły papier, nie zginały się i wyglądały na ręcznie robione. Każda z książek zawierała nie więcej niż dwadzieścia takich kartek.

— Aha — powiedział Kinley, odwracając stronę. Grant zauważył faliste litery zapisane wypłowiałym czarnym atramentem. Zerwał się z krzesła i stanął za plecami Kinleya.

— To palijski! — powiedział.

— Co oznacza „palijski”? — zapytała Kristin.

— Starożytny język. — Grant zezował w stronę tekstu. — Coś jak sanskryt.

— Umiesz to przeczytać? — spytała.

Pokręcił głową.

— Piąte przez dziesiąte. Miałem palijski i sanskryt tylko przez rok, ale przez trzy lata uczyłem się tybetańskiego: spodziewałem się, że tekst będzie w tym języku. — Zwrócił się do Kinleya: — Wiesz może, jak stare są te księgi?

Kinley przerzucił kilka grubych stron.

— Pierwszy wiek, jeśli właściwie odczytuję.

Pierwszy wiek! Myśli Granta pogalopowały w przyszłość. Sądząc po grubych pakunkach, wydawało się to możliwe, ale bał się zawiedzionych nadziei.

— Rzeczywiście wyglądają na stare — powiedziała Kristin. Grant wzdrygnął się, gdy wyciągnęła rękę, by dotknąć otwartej księgi.

Kinley łagodnie odsunął jej dłoń na stół.

— Dorastałem, czytając kanon buddyjski w oryginale.

Grant wiedział, że palijski był językiem starożytnego buddyjskiego kanonu, ale wciąż go używano w pierwszym wieku w Indiach, gdzie prawdopodobnie mieszkał Issa. Jednakże księga, którą Notowicz widział w klasztorze Hemis, była napisana po tybetańsku, a język ten rozwinął się wieki później. W części swojej rozprawy Grant wysnuł teorię, że księga Notowicza, o ile rzeczywiście istniała, w co sam wierzył, była odpowiednikiem biblijnych ewangelii. Najstarsze istniejące kopie były kopiami kopii, spisany ponad dwieście lat po oryginałach. Ważniejszy był jednak fakt, że ewangelie napisano po grecku, chociaż Jezus nauczał swoich apostołów i naśladowców w Galilei w języku aramejskim. Przez dekady po jego śmierci historie o nim krążyły pośród jego naśladowców po aramejsku, a potem zostały przetłumaczone na grecki i spisane w odmiennych formach. Grant uważał, że żaden z ewangelistów nie należał do grona apostołów Jezusa, którzy znali go osobiście,

w co powszechnie się wierzy. Byli to po prostu ludzie, którzy stali się wyznawcami Jezusa, zebrali krążące o nim opowieści i spisali je w formie ewangelii.

Podobnie było z odkryciem Notowicza; teksty wydawały się tłumaczeniem na tybetański i kompilacją wcześniejszych źródeł — źródeł zapewne oryginalnie powstałych w języku palijskim, którym to posługiwano się w czasie, kiedy Issa podróżował po Indiach. Grant nawet w najśmielszych fantazjach nie wyobrażał sobie, że może odnaleźć oryginalne manuskrypty, będące podstawą księgi odkrytej przez Notowicza. Zakładał, że zostały dawno temu zniszczone lub zagubione, podobnie jak pisma, które złożyły się na ewangelie. Wpatrując się w wąskie księgi leżące na stole, czuł, jak pulsuje mu w uszach.

— Czy ktoś może mi przynajmniej powiedzieć, na co patrzymy? — zapytała Kristin.

— Te książki szczegółowo opowiadają o podróży, jaką odbył... — zaczął Kinley.

— Issa — wtrącił Grant. — Indyjski święty, o którym wczoraj ci opowiedziałem. Według legendy wyruszył z domu jako nastolatek, by poznać tajemną wiedzę, będącą w posiadaniu mędrców mieszkających w Himalajach.

— Tajemna wiedza. Rozumiem.

Rozparła się na krześle i patrzyła raz na Kinleya, raz na Granta, jakby podejrzewała, że coś przed nią ukrywają. Grant wiedział, że była bystra, więc zdecydował, że jeśli zapyta go wprost, powie jej całą prawdę. Problem polegał na tym, że pojawiła się niespodziewanie, a on miał już dokładny plan związany z ogłoszeniem swojego odkrycia. *Jest dziennikarką*, przypomniał sobie.

— Więc te teksty zostały napisane przez...? — spytała.

— Mnichów z Indii, którzy nauczali Issę — odpowiedział Kinley. — Byli pod wrażeniem swojego niezwykle pojętnego i chłonnego wiedzę ucznia. Ucznia, który wiele lat później stał się znany. Rozumiesz, gdziekolwiek Issa się udał, tam wzbudzał kontrowersje, nawet po tym jak został męczennikiem.

— Issa został zabity? — zapytała.

— To opowieść na później — odparł Kinley, zerkając na Granta. Chwilę po tym, jak Kinley wyjawiał Grantowi, że owe teksty istnieją, ten uświadomił sobie, że mnich znał prawdziwą tożsamość Issy. Grant wspomniał w rozmowie z Kinleyem, że zanim ich treść zostanie opublikowana, bezpieczniej będzie dla nich wszystkich, gdy ten fakt pozostanie tajemnicą.

— A jedwabie? — zapytał Grant, zmieniając temat.

— Mają zaledwie sto lat albo coś koło tego. Dodano je później do ochrony ksiąg i są zmieniane przez bibliotekarza, kiedy się zniszczą. — Grant zauważył, że wiele książek stojących na półkach również owinięto w jedwab.

— Jeśli Issa mieszkał w Indiach — odezwała się Kristin — a te teksty zostały spisane w indyjskim klasztorze, to co robią tu, w Bhutanie?

— Przez kilkaset lat po śmierci Issy teksty pozostawały w klasztorach, w których powstały — wyjaśnił Kinley — ale potem hinduizm zaczął wypierać buddyzm i stał się dominującą religią w Indiach, więc księgi zostały przeniesione do klasztoru w Tybecie. Podczas rewolty w 1959 roku, kiedy Tybetańczycy zbuntowali się przeciw chińskim okupantom, mnisi zapakowali w skrzynie zawartość bibliotek i w tajemnicy wywieźli je z kraju wraz z Dalajlamą, zanim komuniści zdławili bunt. Teksty zostały podzielone i wysłane do różnych klasztorów w Nepalu i Bhutanie — Kinley wskazał na księgi na półkach — gdzie do chwili obecnej przeleżały w niemal całkowitym zapomnieniu.

— A ta księga, którą Nikołaj Notowicz widział w klasztorze Hemis w 1894 roku? — zapytał Grant.

Kinley wzruszył ramionami.

— W czasach przed prasą drukarską i komputerem mnisi często ręcznie kopiowali starożytne teksty.

— Podobnie było u chrześcijan.

Kinley przytaknął.

— Domyślam się, że w pewnym momencie mnisi przetłumaczyli te księgi — wskazał na wąskie tomy leżące na stole — na tybetański, podobnie jak tysiące innych, i posłali manuskrypty do Hemis, gdzie natknął się na nie Notowicz.

— Ale tego manuskryptu już tam nie ma.

— Tak, to prawdziwa zagadka.

Grant chłonał wzrokiem leżący przed nim skarb. Chociaż zawsze chciał rozwiązać zagadkę zniknięcia odkrytych przez Notowicza manuskryptów, teraz ta kwestia stała się nieistotna. Miał dowody znacznie większej wagi. Miał oryginalne teksty dokumentujące istnienie Issy.

— Czy Lama Dorji wie o nich? — zapytała Kristin.

Kinley zaprzeczył ruchem głowy.

— Mamy tu inne równie ciekawe teksty, ale jeśli nie odnoszą się bezpośrednio do kanonu buddyjskiego, Lama Dorji postrzeżę je jako przeszkodę dla naszej misji. — Wskazał ręką na regały. — Więc leżą tu od setek lat i zbierają kurz.

Grant był poruszony, gdy myślał o skutkach upublicznienia tych tekstów. Nie mieściło mu się w głowie, że taki skarb mógłby pozostać zapomniany w klasztorze.

— Kinleyu, zdajesz sobie sprawę, że te teksty powinny znajdować się na jakimś uniwersytecie lub w muzeum, gdzie byłyby studiowane i analizowane przez naukowców.

— Wiem, ale Lama Dorji nigdy się na to nie zgodzi, a Je Khenpo trzeba by przekonać. — Kinley podparł twarz na dłoni. — Musiałbym to rozważyć.

— Czy międzynarodowa presja ze strony instytucji naukowych przekonałaby Je Khenpo?

— Możliwe. Należałoby to zrobić z wyczuciem. — Mnich zwrócił się do Kristin, która pochyliła się nad stołem i przyglądała manuskryptom. — Masz aparat?

— Oczywiście. — Kristin zerknęła na Granta, jakby chciała zapytać: *Dlaczego ten Issa jest taki ważny, że te księgi powinny znaleźć się w muzeum?* Pytanie jednak nie padło. Zamiast tego kobieta otworzyła torbę, wyjęła nikona i zdjęła zaślepkę z obiektywu.

Kinley zamknął księgę, eksponując drewnianą okładkę, obok ułożył jedwab. Kristin zrobiła zdjęcia pod różnymi kątami, używając lampy i korzystając ze światła słonecznego, które padało na stół przez okno. Posługując się tkaniną, Kinley delikatnie odwracał strony, które ona fotografowała.

Przez cały czas potrzebny do zrobienia zdjęć ponad stu stron tekstu Grant bezustannie spoglądał na zamknięte drzwi biblioteki. *Ile mamy czasu?* Próbował nasłuchiwać, czy nikt nie wchodzi po schodach, ale słyszał jedynie trzask migawki aparatu.

Kiedy Kristin skończyła, zwrócił się do Kinleya:

— Przetłumaczysz je dla nas?

Grant postawił przed sobą cienkiego białego laptopa z całkowicie naładowaną baterią. Zatrzymał dłonie tuż nad klawiaturą. Trzy lata spędzone na nauce tybetańskiego na nic się nie zdadzą przy tych tekstach. Dopóki nie wróci na Emory ze zdjęciami zrobionymi przez Kristin, będzie musiał ponownie zdać się na Kinleya.

— Jestem gotów — powiedział Kinley, otwierając książkę na pierwszej stronie — ale czy wy jesteście przygotowani?

— Przygotowani? Na litość boską, Kinleyu. To było jedyne, o czym myślałem przez ostatnich pięć

lat. Aż trudno to sobie teraz wyobrazić.

— Właśnie o tym teraz powinieneś myśleć. Ile stopni pokonaliśmy, gdy wchodziliśmy do tego pokoju?

Grant poczuł przyływ frustracji, domyślając się, że zaczyna się kolejna lekcja.

— Sześć pięter, więc zapewne ponad sto stopni, ale nie wiem, jak wchodzenie po schodach ma się do tego wszystkiego. — Grant splótł ręce na kolanach. Wiedział, że im bardziej da po sobie poznać, że się niecierpliwi, tym dłużej Kinley będzie przeciągał swoją lekcję.

— Żeby dotrzeć do tego pokoju, żeby przeczytać te manuskrypty Issy, musiałeś wspiąć się po wielu schodach — powiedział cierpliwie Kinley. — Każdy krok przybliżał cię do tego stołu, ale ilekroć pokonałeś jakiś stopień, zostawał on za tobą. Zostawiałeś go nie w sposób lekceważący, dlatego że był z tyłu, lecz ze świadomością, że dobrze ci się przysłużył i był niezbędny, byś mógł dotrzeć do miejsca, w którym jesteś dzisiaj.

Zaległa cisza, Kinley wpatrywał się w Granta, czekając na jego reakcję. Nawet Kristin zwykle zajęta manipulowaniem przy różnych przedmiotach, teraz siedziała spokojnie.

— Okej. — Grant przypomniał sobie jedną z poprzednich lekcji Kinleya o kubku z wodą, którą mnich wylał mu na głowę. — Gdybym nie wychowywał się w środowisku fundamentalistów, gdybym nie zaczął studiów doktoranckich, gdybym nie złamał nogi w rzece, nie byłoby mnie tutaj. — Zerknął na Kinleya. — Więc powinienem bardziej szanować... czy też być bardziej wyrozumiały dla własnej przeszłości, także bolesnych wspomnień, ponieważ one wszystkie przywiodły mnie do tych manuskryptów?

Kinley skinął głową.

— Nasze życie związane jest z tym, co zdarzyło się wcześniej, a także z naszym otoczeniem, ale to jeszcze nie wszystko.

— Zawsze jest coś jeszcze.

— Chiński mistrz zen powiedział: „Kiedy przepelnia cię zwątpienie i niepewność, nie starczy nawet tysiąc ksiąg, lecz kiedy naprawdę coś rozumiesz, jedno słowo to już za dużo”.

Grant zastanowił się nad tym przez chwilę.

— Zatem te teksty nie są niczym więcej jak kolejnym stopniem w mojej wędrówce? — *Ale jak to możliwe?*, przeszło mu przez myśl. Jeśli tłumaczenie Kinleya będzie zawierało te same rewelacje, co manuskrypt Notowicza, wówczas będzie to rodzaj odkrycia, jakie zdarza się naukowcowi raz w życiu, jeśli ma szczęście. Grant wyobraził sobie jego oddziaływanie na historię religii.

— Pewnego dnia i ten stopień zostanie za tobą, podobnie jak wszystkie poprzednie — rzekł Kinley i, jakby czytając w myślach Granta, dodał: — Jako historyk, Grancie, jesteś ekspertem w szukaniu odpowiedzi na pytanie „co”: co zdarzyło się w ciągu krótkiego życia Issy.

— Oczywiście. — *Czy nie o to właśnie chodzi?*, pomyślał Grant. W tym przypadku „co” dawało odpowiedź na istotne pytanie pozostające bez odpowiedzi od dwóch tysięcy lat.

— „Co” istotnie może być przydatne, podobnie jak odpowiedź na pytanie „jak”, na którym skupiają się naukowcy. — Mnich gładził jedwab okrywający pierwszą księgę. — Znaczenie tych tekstów wychodzi poza kwestie związane z historią. Umyka ci coś większego.

Grant potarł brew. *O co może chodzić?*

— „Dlaczego” — powiedziała Kristin.

Kinley przytaknął.

— Podobnie jak Issa, który odkrył starodawną mądrość podczas swojej podróży, ty, Grancie, musisz zrobić to samo z tymi tekstami. Nie skupiać się tylko na tym „co”, lecz również szukać odpowiedzi na „dlaczego”. Religia nie polega na tym, by zastanawiać się nad tym, co zdarzyło się

w przeszłości, ale by wiedzieć, co dzieje się teraz.

Grant siedział bez ruchu, wpatrując się w stół. Nagle przypomniał sobie wydarzenie z czasów, gdy był nastolatkiem. Wspomnienie, które w tej chwili wydawało się zupełnie nie na miejscu: późnym wieczorem leżał w łóżku i modlił się, żeby doznać boskiego oświecenia, uwalniającego go od wątpliwości, żeby mógł wierzyć, tak jak ci, którzy go otaczali. Teraz zerknął na wypłowiałe linijki tekstu. Uniósł głowę i popatrzył w przestrzeń pomiędzy Kinleyem a Kristin; otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął.

— Sprawdźmy, jak radzę sobie ze starożytnym językiem palijskim, dobrze? — Kinley otworzył pierwszą księgę.

Palce Granta śmigały po klawiaturze, kiedy Kinley zaczął tłumaczyć historię Issy.

Rozdział 12

Radżastan, Indie

Dwa tysiące lat temu

Czyżby zrujnował sobie życie?

Wpatrując się w żar ogniska i leżąc na trzcinowej macie, Issa nie przestawał zadawać sobie tego pytania. Wyruszając w tę podróż, postąpił wbrew woli rodziców i nauczycieli. Ale musiał poznać odpowiedzi. Teraz nie był nawet pewien, jak brzmiały pytania. Myśli krążyły mu po głowie niczym rozgrzany czerwony piasek, który wirował wokół stóp, gdy Issa za dnia maszerował z karawaną.

Wzdrygnął się, słysząc nieznaną dźwięk dochodzący z innej części obozu. Nastolatek usiadł, z sercem łomoczącym mu w piersi.

Cisza.

Dwunastu mężczyzn spało spokojnie w pobliżu. Prawdopodobnie nie ma się czym martwić.

Ułożył się ponownie na macie, kościste ramiona owinał wełnianym płaszczem, który chronił go przed chłodnym pustynnym wiatrem, zwanym *ruach*. Oddychał głęboko, rozkoszując się zapachem spalonego drewna. Dlaczego jest taki roztrzęsiony? Może to ten nieznaną kraj, inne obyczaje. Z dala od swojego ludu, Issa spał teraz obok egipskich kupców piwa i chińskich handlarzy przyprawami.

Kiedy wiele miesięcy temu potajemnie wychodził nocą ze skromnego kamiennego domu swoich rodziców, przepełniała go pewność siebie. Rodzice spodziewali się, że będzie żył w sposób, jakiego nie był gotowy zaakceptować. Chociaż podobało mu się zainteresowanie rodzin, które wiedząc o otaczającym go szacunku, przyprawiały swoje córki, on sam musiał się jeszcze wiele nauczyć, doświadczyć wielu rzeczy, zanim byłby gotowy, by pojąć żonę. Poza tym, miał dopiero czternaście lat.

Głośne charczenie, a zaraz potem prychnięcie przywróciło Issę do rzeczywistości. To był ten sam hałas, który wystraszył go chwilę temu. Wielbłądy.

Przez kilka ostatnich nocy dziwnie się zachowywały. Według Issy akurat te zwierzęta nie znajdowały się wysoko na liście boskich stworzeń. Głośne, śmierdzące, uwielbiały gryźć go w ramiona, gdy za bardzo się do nich zbliżył podczas niekończących się codziennych marszów. Trzymanie się od nich z daleka nie gwarantowało bezpieczeństwa — z wielką rozkoszą pluły mu na szyję. Kiedy w zeszłym miesiącu kupcy przehandlowali bardziej cywilizowane konie na wielbłądy, powiedzieli Issie, że te paskudne zwierzęta nie tylko mogą nosić wielkie ciężary na swoich potężnych garbach przez rozpaloną słońcem pustynię, lecz także pamiętają drogę, którą przemierzały wiele miesięcy wcześniej. Tej nocy nie dawały mu spać, a jutro czekał go przecież kolejny dzień w palącym słońcu, przemierzanie niekończących się czerwonych krajobrazów wśród wysuszonych traw, kłujących krzaków i poskręcanych drzew.

Kiedy wielbłądy uspokoiły się, zapadła cisza. Nawet owady postanowiły się przespać.

Wątpliwości ogarnęły go ponownie, gdy zaczął gapić się w niebo upstrzone niezliczonymi gwiazdami. Zaciśnął powieki, by odegnąć dręczące go pytania. Wiedział, że jest mu pisane coś ważnego, ale nie miał pewności co. Powtarzał sobie, że podjął właściwą decyzję.

Będąc dzieckiem, lubił słuchać historii opowiadanych przez kupców podróżujących przez jego wieś, przywożących opowieści ze Wschodu razem z kolorowymi jedwabiami, cennymi kamieniami i pikantnymi przyprawami. Ci ludzie emanowali energią przyćmiewającą ich gburowatość i brak manier, energią, której brakowało nauczycielom niedoceniającym odmiennego punktu widzenia Issy.

Był zdolnym, ale czasem krnąbrnym uczniem. Może i zadawał za dużo pytań, ale jaki jest sens w uczeniu się, jeśli nie zadaje się pytań? Niestety, inni postrzegali jego zachowanie jako brak szacunku. Podczas podróży będzie więc szukał odpowiedzi na swoje pytania.

Ponownie dobiegł do niego kaszel i odgłosy płucia ze strony wielbłądów. Poderwał się z pośłania. Odgarnąwszy splecione czarne włosy z twarzy, wpatrywał się w nieprzeniknioną ciemność. Wielbłądy stały zaledwie trzydzieści kroków dalej, ale nie mógł dostrzec ich brudnej, beżowej sierści.

Manu, który niedawno dołączył do ich karawany, poruszył się po drugiej stronie ogniska. Był mieszkańcem tych ziem, wiedziałby, co zaniepokoiło zwierzęta. Ale Manu tylko chrząknął i odwrócił się na drugi bok. Issa rozważał obudzenie go, ale jedno spojrzenie na ręce tego człowieka — potężniejsze niż obie chude nogi Issy razem wzięte — oraz zakrzywiony nóż przypięty do jego paska, przekonały chłopca, że powinien pozwolić mu spać.

Pocieszał się, że jeśli stałoby się coś niezwykłego, czterech tragarzy poszłoby sprawdzić, co dzieje się ze zwierzętami. Wsłuchując się w ciszę, położył się na macie. Tragarze znali zwyczajnie wielbłądów, ponieważ, aby nie marznąć, spali obok tych śmierdzących stworzeń, jako że nie mogli kłaść się obok ogniska razem z kupcami. Ciężki był ich los: dźwigali worki, które nie mieściły się na grzbietach wielbłądów, sprząтали obozowiska. Kupcy ledwie zauważali ich obecność. Issa próbował nawiązać z nimi rozmowę, ale zdawało mu się, że przeszkadza im jego uwaga, a on nie wiedział, jak powinien się zachować. Ojciec Issy był z zawodu tylko tektonem, a robienie stołów i drzwi nie zapewniało dość pieniędzy, by jego rodzina mogła pozwolić sobie na choćby jednego niewolnika.

Rozmyślenia przerwał mu ryk, który dosłownie wbił go w matę.

Leżący w pobliżu kupcy zerwali się ze snu. Dźwięki dobiegające uszu Issy przeraziły go. Gardłowe warczenie nakładało się na ryk wielbłądów. Kiedy minął chwilowy paraliż, Issa usiadł na pośłaniu i wyteżył wzrok, ale nie zauważył żadnych oznak walki. Następnie rozległ się dźwięk, którego wolałby nigdy więcej nie usłyszeć: pisk, który zdawał się nie pochodzić ani od człowieka, ani od zwierzęcia. Zawodzenie przeszło rześkie powietrze, a wibracje rozeszły się po całym ciele chłopca.

Manu jako pierwszy z kupców zerwał się na nogi, wyjął płonąca pochodnię z ogniska, drugą ręką wyciągnął nóż i pobiegł w stronę wielbłądów. Issa podążył za innymi, jak tylko zdołał zmusić swoje nogi do biegu. Kiedy dotarli do ryczących wielbłądów, zwolnił, spodziewając się, że znajdzie źródło niepokoju zwierząt w miejscu, gdzie były przywiązane, ale okropny krzyk dochodził gdzieś z przodu. Dobiegały stamtąd również nawoływania tragarzy. Zaskoczony, pobiegł za kupcami. Łapiąc ciężki oddech, zatrzymał się wreszcie przy pozostałych. Nagle z jego płuc wyrwał się okrzyk. Jego wzrok zarejestrował obraz, który na wiele lat miał utkwąć mu w pamięci.

Issa nigdy wcześniej nie widział tygrysa, znał go tylko z opowieści, ale od razu wiedział, co oznaczają wypłowiałe paski na białym futrze. Trzech tragarzy wymachiwało rękami i wrzeszczało na bestię. Manu stanął pomiędzy nimi. Tygrys wycofywał się, rycząc i nie spuszczał płonącej pochodni z oczu. Zanim zniknął w ciemności, Issa zauważył, że w potężnym pysku tygrys niósł coś, co wyglądało jak kawał drewna. Futro wokół pyska miał skołtunione i wilgotne. Zwierzę ukradło coś

z ich obozu. *Czy Manu to odzyska?*, zastanawiał się Issa. Ale najroślejszy z kupców stał w miejscu, przyglądając się, jak tygrys unosi swoją zdobycz w stronę legowiska gdzieś w górach, które wieńczyły horyzont. Kiedy zwierzę zniknęło, Issa spojrzął w dużą ciemną twarz Manu. Głębokie zmarszczki oświetlone płomieniem pochodni wyglądały jak kaniony. Nie było widać po nim strachu, który odczuwał Issa.

Chociaż niebezpieczeństwo minęło, Issa uświadomił sobie, że wciąż słyszy krzyki. Popatrzył uważnie na stojących w półkolu ludzi. Wtedy dostrzegł źródło tych nieludzkich wrzasków. Czwarty z tragarzy, chłopak starszy od niego o rok czy dwa, leżał na ziemi i ścisnął bezkształtny pniak poniżej prawego biodra. Reszty nogi nie było. W jej miejscu widniała kałuża gęstej, wsiąkającej w ziemię krwi.

Żołądek Issy wywinął fikołka. W chwili przerażającej jasności umysłu chłopak zdał sobie sprawę, że tygrys, szukając mniejszej zdobyczy, rzucił się na tragarza, gdy ten spał obok wielbłądów, i odciągnął go na niewielką odległość. Noga tragarza została odgryziona od reszty jego ciała.

Tak nagle, jak zaczął krzyczeć, tragarz umilkł; jego usta poruszały się teraz bezgłośnie. Issa spojrzął na Manu, który przyglądał się tej scenie z dziwnym grymasem, czyżby to był ironiczny uśmiech? Tamten chłopak potrzebował natychmiastowej pomocy, należało powstrzymać krwawienie, w przeciwnym razie umrze za kilka minut. *Dlaczego ten wieśniak tak stoi?* Issa omiótł wzrokiem inne twarze. Nikt się nie ruszył.

Będący w szoku chłopak nie mógł mówić, zaczął tylko jęczeć, jak lis złapany w pułapkę. Prawa ręka, umazana krwią i czerwoną ziemią, kurczowo trzymała to, co zostało z nogi. Palce obmacywały poszarpane ciało.

Issa nie mógł się już powstrzymać.

— Musicie mu pomóc! — błagał, a jego głos zabrzmiał bardziej piskliwie, niż chciał. Greka, język, którym posługiwali się kupcy, sprawiała mu nieco trudności. Manu odwrócił się w jego stronę i podniósł prowizoryczną pochodnię. W konfrontacji z wielkim mężczyzną Issa wyprężył się, eksponując całą długość swojego niezgrabnego dorastającego ciała, i bez mrugnięcia wytrzymał spojrzenie Manu.

— Kim ty jesteś, chłopcze, że mówisz mi, co mam robić? — z potężnej piersi zagrzmiął głos, mówiący po grecku jeszcze gorzej niż Issa. Unikając wyzywającego spojrzenia chłopca, Manu popatrzył na tragarza. — To tylko śudra. Za dwa dni będziemy mijać wioskę, gdzie wynajmiemy kolejnego. — Przenosząc z powrotem spojrzenie na Issę, uśmiechnął się szeroko, pokazując krzywe zęby oraz dziury po tych, które stracił.

W Issie narastała rozpacz. Szukał wsparcia w twarzach pozostałych kupców.

— Czy nikt nie pomoże temu człowiekowi? — zapytał.

Nikt się nie ruszył.

— Podróżował z nami od wielu miesięcy — spróbował jeszcze raz — niósł nasze bagaże, sprzątał nasz obóz. Nie możemy pozwolić, żeby umarł przy drodze jak jakieś zwierzę.

Kupcy patrzyli na Issę w milczeniu, jakby był większym dziwem niż tragarz bez nogi. *Dlaczego nikogo to nie obchodzi?* Przez chwilę Issa miał wrażenie, że widzi jakieś poruszenie na twarzach trzech pozostałych tragarzy. Czyżby nadzieję? Niestety, żaden się nie odezwał.

Spojrzenie Issy napotkało wzrok chłopaka, którego twarz wyrażała ból i strach. Issa podjął decyzję. Zdjął tunikę i oderwał prawy rękaw. Ukląkł obok tragarza i przytknął drżącą dłoń do wilgotnego czoła chłopca. Dotyk Issy dodał tamtemu siły, jego oczy zyskały klarowność, której wcześniej nie było.

— Bądź silny. Pomogę ci — zapewnił go Issa, brzmiąc bardziej zdecydowanie, niż się w tej

chwili czuł.

Nie miał doświadczenia medycznego, ale raz widział, jak ojciec opatruje złamaną kończynę owcy, która spadła do wężowozu. Najważniejsze było powstrzymanie krwawienia. Następnie będzie musiał oczyścić ranę, by zapobiec gniciu, które zabiłoby tragarza, nawet gdyby udało mu się przeżyć utratę krwi. Niewprawnymi, ale zdecydowanymi ruchami Issa owinał kikut nogi oddartym rękawem. Krew nie została zatamowana i szybko przesączała się przez tkaninę. Formalnie jego krew była nieczysta, ale nie było sposobu, by ją zatamować i nie pobrudzić sobie rąk. Odetchnąwszy, Issa chwycił materiał i przycisnął go do krwawiącej rany. Zauważył, że wszyscy w grupie, oprócz Manu, podskoczyli na dźwięk krzyku umierającego chłopca. Wystraszony, ale niezniechęcony, nie zwalniał ucisku.

— Będiesz żył — zapewniał swojego pacjenta, chociaż i tym razem nie miał takiej pewności, na jaką wskazywał jego ton. Rana mniej krwawiła, ale za każdym razem, gdy Issa zwalniał ucisk, krwawienie się wzmagalo. Nie wiedział, ile w ciele człowieka jest krwi, ale na ziemię wypłynęło stanowczo za dużo. Wtem wpadł na pomysł. Szybko zdjął prowizoryczny opatrunek z poszarpanej skóry i zawiązał go kilka cali nad raną. Po kilku próbach opaska uciskowa znalazła się we właściwym miejscu i udało się powstrzymać wypływ krwi. Tragarz był nieprzytomny, ale wciąż oddychał.

— Przynieście wino i oliwę do polania rany — gestykulował zakrwawionymi dłońmi, pocąc się z wysiłku. Siła jego głosu sprawiła, że jeden z mężczyzn pobiegł po zapasy i po chwili wrócił z dwoma bukłakami. Wspólnie oczyścili ranę. Następnie Issa oddarł drugi rękaw i owinał nim końcówkę kikuta. Podziwiał swoje dzieło. Chłopak przeżyje.

— Pomóżcie zanieść go do obozu — rozkazał tragarzom. — Bądźcie ostrożni.

Wszyscy trzej zebrali się wokół rannego. Ten, który pomagał oczyścić ranę, spojrział Issie w oczy i posłał mu nieśmiały uśmiech. Kiedy przygotowywali się do podniesienia pacjenta, odezwał się jakiś głos.

— A co będzie rano, kiedy opuścimy obóz?

Manu stanął nad Issą.

Issa nie myślał jeszcze o tym. Po prostu ratował życie innego człowieka. Na pewno znajdą sposób, by przewieźć tragarza do wioski, w której będzie mógł wydobrzeć.

— Poza tym, jaki będzie pożytek z jednonogiego śudry? — ciągnął Manu. — Jak będzie nosił nasze pakunki?

Issa wstał, pewny swoich racji.

— Jak możesz mówić o człowieku, jakby był wart niewiele więcej niż twoje wielbłądy? On żyje. Możemy go uratować.

— Nie jest lepszy od wielbłąda, jeśli nie może pracować.

— Jest jednym z twoich rodaków, twoim krewnym.

— Chłopcze, ty niczego nie rozumiesz. Służący nie jest moim krewnym. Jest nikim, śudrą, przedstawicielem najniższej kasty. Ma służyć, nosić, sprzątać. Wykonywać te prace, które nie przystoją wyższym kastom. Ja jestem wajsją. Opieka nad służącym nie należy do obowiązków kupca. Ty też nie powinieneś się przejmować tym, co się z nim stanie. — Manu pochylił się nad Issą tak nisko, że chłopiec czuł jego nieświeży oddech. — Zapłaciłeś nam, abyśmy zabrali cię do miasta mędrców. Zanim tam dotrzemy, zajmuj się swoimi sprawami. Mam dość słuchania twojego gadania.

— Ale on jest człowiekiem! — krzyknął Issa załamującym się głosem.

— Człowiekiem, który umrze na pustyni.

— Nie umrze. Ocaliłem go tej nocy, ocalę też jutro.

— Znajdujemy się o dwa dni marszu do następnej wsi. Jak ten człowiek tam dotrze, skoro nie może chodzić? Ludzie ze wsi nie zajmą się nim. Nie może pracować, więc nie zapłaci za jedzenie ani za schronienie.

Issa znalazł rozwiązanie po chwili zastanowienia. *Ludzie bywają tacy krótkowzroczni*, pomyślał. *Gdyby tylko nauczyli się otwierać swoje umysły.*

— To proste — powiedział. — Przywiążemy go do jednego z wielbłądów, a ładunek wielbłąda podzielimy między siebie. Pustych worków — mówił, wskazując na obozowe zapasy — możemy użyć, by rozdzielić ciężar. Mam jeszcze kilka sztuk srebra, więc kiedy dotrzemy do wioski, dam je mieszkańcom, żeby zajęli się tym człowiekiem.

Issa rozejrzał się, szukając wsparcia u reszty grupy. Oni natomiast patrzyli raz na niego, raz na Manu, jakby przyglądali się pojedynkowi rzymskich atletów. Issa wyczuwał zachętę jedynie ze strony tragarzy. Wiedział jednak, że w końcu uda mu się przekonać nawet tych tępych kupców. Jego bystry umysł i szybki język sprowadzały na niego kłopoty ze strony nauczycieli, ale dobrze mu się przysłużyły w życiu. Nie spodziewał się, że jego przeciwnik wybuchnie śmiechem.

— Kim według ciebie jesteśmy? Wielbłądami? — powiedział Manu, krztusząc się ze śmiechu. — Nie sądzisz chyba, że będziemy nosić zapasy. Po co mamy wielbłądy i śudrów? — Inni kupcy śmiali się razem z nim. — Chyba już dość sobie dziś pożartowałeś.

Issę przeszedł dreszcz, kiedy zauważył, że palce Manu zaciskają się na plecionej skórzanej rękojeści ostrego noża. Następnie wręczył płonącą gałąź jednemu z tragarzy, który potrzebował dwóch rąk, by ją unieść, i przeszedł obok Issy, niemal przewracając go na ziemię.

Odzyskawszy równowagę, Issa chwycił Manu za masywne ramię, gdy ten ukląkł obok nieprzytomnego tragarza.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał, starając się opanować piskliwość głosu.

— Kończę tę zabawę, chłopcze. — Manu już się nie uśmiechał. — A potem pójdę spać. — Wyjął nóż i spojrzał na dłoń Issy na swoim ramieniu. — Zabierz ją natychmiast, jeśli chcesz ją zatrzymać.

Issa zabrał rękę i wzrokiem szukał wsparcia w otaczających ich ludziach. Nie mogli na to pozwolić! Inni kupcy patrzyli tylko z zaciekawieniem, podczas gdy trzech tragarzy wbiło wzrok w ziemię. Manu złapał rannego za włosy i uniósł jego głowę. Tragarz zamrugał, otworzył oczy i spojrzał z wdzięcznością na nastolatka, który ocalił mu życie. Issa starał się zdusić mdłości podchodzące mu do gardła. Był bezradny i nie mógł zapobiec temu, co nieuchronne.

Jednym pewnym ruchem Manu zatopił zakrzywione ostrze w szyi tragarza, jakby zabijał jagnię przed ucztą lub składał ofiarę. Issa chciał zamknąć oczy, ale nie mógł zostawić wpatzonego w niego chłopca, którego los został przesądzony. Oczy tragarza rozszerzyły się ze zdumienia, gdy przez ranę na szyi wydał ostatnie tchnienie.

Manu wstał i pochylił się nad nastolatkiem. Wola walki uszła z Issy, podobnie jak życie z tragarza.

— Od jutra — powiedział Manu — będziesz niósł ciężar tego śudry, aż dotrzemy do wioski, gdzie kupimy następnego. — Wytarł zakrwawiony nóż o spodnie Issy i wrócił do obozu, gdzie ułożył się do snu na swojej macie.

Rozdział 13

Hotel Zangdho Pelri

Punakha, Bhutan

Minęły trzy godziny, odkąd zafascynowany Grant wszedł do czytelni w wieży *utse*, a Kinley przekładał opowieści Issy. Zanim wyszli, mnich przez okno dał znak Jigme, że ma znowu odciągnąć gdzieś Dawę, by mogli się stamtąd wydostać. Gdy pokonali sześć wysokich pięter, Kinley odszedł, by zająć się młodszymi mnichami, a Grant i Kristin wsiedli do srebrnego land rovera, taksówki, która zabrała ich z dzong do Punakha. W miasteczku stały drewniane dwupoziomowe budynki. Ich parter zajmowały sklepiki, na górze znajdowały się mieszkania. Pył gnany przez wiatr na głównej ulicy sprawił, iż Grantowi wydawało się, że znajduje się na zachodzie Stanów. Brakowało tylko niesionych przez wiatr wysuszonych badyli.

Ciemne włosy Kristin, które wcześniej związała w luźny kucyk, teraz swobodnie opadały jej na ramiona. Ponownie poczuł zapach jej szamponu, gdy oboje pochylili się nad jego laptopem w ciasnym biurze w jej hotelu, Zangdho Pelri, tym samym, w którym Grant zatrzymał się przed swoim wypadkiem na rzece. Biuro było pomieszczeniem bez okien i wykorzystywano je także jako dodatkowy magazyn dla przylegającego do hotelu sklepu z pamiątkami. Kilka miesięcy temu zgrzytanie biurowego modemu oraz ciągnące się minuty potrzebne do połączenia z Internetem szarpałyby mu nerwy, ale teraz Grant był wdzięczny, że ma dostęp do jakichkolwiek zdobyczy technologii.

Z chwilą gdy Kinley otworzył pierwszą księgę w zakurzonej czytelni, życie Granta obrało nowy kierunek. Mężczyzna lepiej zrozumiał chińską przypowieść o człowieku i jego koniu. Okropny wypadek w rzeczywistości okazał się niewiarygodnym uśmiechem losu. Grant miał teraz taki mętlik w głowie, że nie nadążał za swoimi myślami. Wyobraził sobie zamieszanie, jakie nastąpi w świecie nauki, kiedy opublikuje teksty Issy. Po wysłuchaniu tłumaczenia był pewien, że księgi to pierwotne źródło, na podstawie którego skompilowano tybetańską wersję odkrytą przez Notowicza. Bardziej niż się spodziewał poruszyło go bogactwo opowieści o Issie. Mimo wielokrotnej lektury relacji Notowicza, historie tłumaczone przez Kinleya zawierały mnóstwo szczegółów i osobistych odniesień do Issy, na które Grant nie był gotów. Bhutański rząd znajdzie się pod ogromną presją żądań o zgodę na przestudiowanie dokumentów, a Grant przypuszczał, że sam odegra najważniejszą rolę w tym projekcie.

— Zatem — powiedziała Kristin, przerywając jego rozmyślania — jeśli ten indyjski święty, z historycznego punktu widzenia, jest tak ważny, jak twierdzisz, to czy nie boisz się wysłać mailem całego tłumaczenia do swojego profesora? — Wyjęła kartę pamięci z przenośnego czytnika kart, którego użyła, by zgrać trzysta pięćdziesiąt zdjęć do laptopa Granta, zamknęła ją w małym plastikowym etui, po czym włożyła do torby z aparatem.

— Darzę profesora Billingsly'ego całkowitym zaufaniem i będę musiał przedstawić mu materiały zaraz po przylocie do Atlanty. Siedem lat temu nie przyjęto mnie na studia doktoranckie na Harvardzie ze względu na nieprawidłowości w dokumentacji. — Przeszedł go dreszcz. *Nieprawidłowości to zbyt łagodne określenie*, pomyślał. Odsunął od siebie wspomnienie największego poniżenia, jakie go spotkało. — Obawiałem się, że podobnie postąpią ze mną w Emory, więc umówiłem się na spotkanie z Billingslym, jednym z członków komisji oceniającej na kierunku, który wybrałem. Natychmiast znaleźliśmy wspólny język. Gdy wyjaśniłem mu okoliczności, jakie miały wpływ na odrzucenie mojego wniosku, Billingsly wstawił się za mną przed komisją. Odwdziczyłem mu się w zeszłym roku, kiedy zwolniło się stanowisko dziekana. Zorganizowałem petycję w sprawie jego kandydatury i zebrałem podpisy od ponad stu studentów.

— Udało się?

— Niestety nie. Harold jest elokwentnym wykładowcą o szerokich horyzontach, chociaż nasze poglądy często się różnią od siebie. — Grant przypomniał sobie wiele dyskusji teologicznych z Billingslym, który zawsze obierał tradycyjne chrześcijańskie stanowisko, podczas gdy on sam był bardziej sceptyczny. — Posada przypadła komuś związanemu z kołami zajmującymi się pozyskiwaniem funduszy. To pieniądze, a nie wyniki nauczania rządzą na uniwersytetach.

— O, nie. — Kristin odstawiła torbę z aparatem na podłogę i smukłymi palcami przebiegła po podświetlanej klawiaturze laptopa Granta. — Znowu padło połączenie.

Łącze okazało się powolne i już dwa razy rozłączyło ich od sieci. Pliki były po prostu za duże dla przestarzałej technologii. W takiej sytuacji Grant postanowił wysłać tylko przetłumaczony dokument w Wordzie. Zdjęcia pokaże osobiście. Mając oryginały na karcie pamięci Kristin oraz ich kopie na laptopie, nie czuł presji i mógł poczekać kilka dni na powrót do Atlanty.

— To chyba dość nietypowe, że zawodowa reporterka podróżuje bez komputera? — zapytał Grant, podczas gdy ona restartowała laptop. Zdziwił się, kiedy Kristin otworzyła plecak i wyjęła trzy kołonotatniki, w których pisała swoje artykuły. *Kto dziś jeszcze używa pióra i papieru?*, zastanawiał się.

— Wolę pisać odręcznie. Czuję się wtedy bardziej związana z pracą. Elektronika wysysa moją kreatywność. Poza tym, gdy skończę pisanie, muszę jedynie znaleźć kafejkę internetową lub hotel, gdzie przepisuję artykuł i wysyłam go do redaktora. Podróżuję bez obaw, że ktoś ukradnie mi laptopa, i nie muszę pamiętać o ładowaniu baterii.

Grant spojrział na ekran. Tłumaczenie tekstu zostało wysłane. Będzie czekało na Billingsly'ego, gdy ten się obudzi.

— Chciałbym porozmawiać z nim przez telefon. Nie mogę się doczekać jego reakcji.

Grant próbował połączyć się już cztery razy, ale dziesięciogodzinna różnica czasu utrudniała komunikację. Wiedział również, że profesor spędzał długie weekendy w swoim domu w górach na zachodzie Karoliny Północnej, gdzie nie było zasięgu. Na szczęście, za trzy dni wróci do domu. Wówczas zacznie się prawdziwa praca.

Ułożył sobie w głowie listę rzeczy do zrobienia, zanim upubliczni swoje znalezisko. Trzeba będzie przeanalizować zdjęcia zrobione przez Kristin, a tekst profesjonalnie przetłumaczyć z języka palijskiego. Grant będzie musiał napisać artykuł wyjaśniający, jak doszło do odkrycia. Szacował, że czekają go dwa miesiące pracy. A potem jego życie się odmieni. Gdy po raz drugi odhaczał w myślach kolejne kroki, jakiś głos przerwał mu te rozważania — był to głos Kinleya upominający go, by przestał roztrząsać przyszłość. Grant odsunął na bok wątpliwości. Tym razem było inaczej. Musiał mieć pewność, że zdoła wykorzystać nadarzającą się szansę. Buddyjskie sztuczki Kinleya przydawały się, gdy potrzebował spokoju, ale w tej chwili relaks był ostatnią rzeczą, która

przyszłaby mu na myśl.

Zauważył, że Kristin raz za razem zerka na niego, jakby próbowała czytać mu w myślach. Z roztargnieniem bawiła się kawałkiem opatrunku na jego nodze. Zatrzymał na niej wzrok, oczarowany niebieskimi oczami, tak niezwykłymi na egzotycznej twarzy i tak zniewalającymi. Byli tu jedynymi Amerykanami, i minęły miesiące, odkąd ostatni raz był z kobietą. Pomyślał o Holly, brunetce, studentce zarządzania z nastroszonymi włosami i dużym temperamentem, oraz o Michelle, jasnowłosej teatroložce, która pojawiła się przed nią. Umawianie się ze studentkami nie było skomplikowane: nie chciały z nim zamieszkać ani nie wydzwaniały do niego przez cały dzień. Badania miały dla Granta najwyższy priorytet.

— A jak podróżowanie ma się do chodzenia na randki? — starał się zabrzmieć nonszalancko.

Odsunęła rękę od jego opatrunku, jakby została przyłapana na dotykaniu czegoś, czego nie powinna.

— Obecnie praktycznie w ogóle się nie ma.

— O, to tak jak u mnie — dodał szybko. — Tylko praca i praca. — Patrzył, jak jej kruczoczarne włosy kręcą się przy delikatnym uchu. Miał wrażenie, że chyba z nim flirtowała odkąd się wczoraj poznali. Uświadomił sobie jednak, że nawet nie jest w jego typie. Miał tyle do zrobienia w najbliższej przyszłości, że nie zamierzał sobie jeszcze bardziej komplikować życia.

Kristin oderwała wzrok od ekranu komputera.

— Słuchaj, Grant, wiem, że te teksty są ważne dla twoich badań, ale coś przede mną ukrywasz. Poruszyły mnie historie, które przeczytał nam Kinley. Doświadczenia Issy sprawiły, że zaczęłam zastanawiać się nad swoją duchowością. — Odwróciła się do niego. — Kiedy zamierzasz powiedzieć mi prawdę o Issie?

Nie wiedział, co ma zrobić. Świadomie nie zdradzał Kristin żadnych szczegółów. Jak mógł powierzyć takie przełomowe odkrycie komuś, kogo dopiero poznał, na dodatek dziennikarce, choćby najbardziej inteligentnej i najpiękniejszej? Co prawda, miała ona w tym wszystkim odegrać ważną rolę i dostarczyć dowody istnienia tekstów; poza tym, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, Grant czuł się z nią związany. Wcześniej obiecał sobie, że nie będzie kłamał, jeśli zapyta go wprost. Wziął głęboki oddech i rozpoczął opowieść o liczącej dwa tysiące lat tajemnicy związanej z nieopisanymi nigdzie osiemnastoma latami z życia Jezusa z Nazaretu, o których Biblia milczała. Był to okres pomiędzy pojawieniem się Jezusa w świątyni w Jerozolimie w wieku dwunastu lat do chwili, gdy Jezus miał lat trzydzieści i zaczął publiczną działalność.

Oczy Kristin robiły się coraz większe, gdy zaczęła do niej docierać prawda.

— Próbujesz mi powiedzieć — zapytała — że Issa to Jezus?

Część druga

PŁOMIENÍ

„Jestem początkiem wszech rzeczy, ode mnie pochodzi wszechświat... Ogromowi mojemu nie masz granic. Ja jestem Duszą, która przebywa we wszystkich istotach żyjących; ja jestem początkiem, środkiem i końcem istot żyjących... Beze mnie żadna rzecz stać się nie może”.

Bhagawadgita, V w. p.n.e.[4]

„Jam jest Alfa i Omega, który jest, który był i który przychodzi”.

Księga Objawienia, I w.

[4] Na podstawie tłumaczenia Bronisława Olszewskiego.

Rozdział 14

Birmingham, Alabama

Tim Huntley tarł ciało cienką myjką, stojąc pod prysznicem w pokoju motelowym. Zwykle podczas kąpieli delikatnie obchodził się ze skórą na rękach i twarzy, żeby nie podrażniać egzemy. Tego wieczoru ciało szczypało go w miejscach, gdzie mydło wniknęło w popękaną skórę. Ale choć próbował z całych sił, nie udawało mu się zmyć grzechu. Walczył ze swoimi nienaturalnymi pragnieniami od czasów, gdy był nastolatkiem.

Kiedy wyszedł z kąpieli, ręce i twarz zaczęły go szczypać, zanim zdążył zaaplikować na nie chłodzący balsam. Modlił się, by mógł zostać sam, żeby uniknąć konfrontacji ze swoimi haniebnymi czynami. Treść żołądka podeszła mu do gardła, gdy usłyszał gardłowy głos dochodzący zza drzwi łazienki.

— Skończyłeś już, skarbie? Muszę się odświeżyć. Interesy wzywają, sam rozumiesz.

Tim owinał się ręcznikiem wokół talii i wszedł do sypialni. prostytutka uśmiechnęła się do niego ze skraju łóżka; opalona, młoda twarz, błyszcząca jak znak drogowy prowadzący do piekła.

Lecz to nie była wina Tima. Został nieuczciwie zwabiony. Był zmęczony i rozbity. Wczoraj tuż przed siódmą rano wrócił z Atlanty. Przed rozpoczęciem szesnastogodzinnego dnia pracy czasu starczyło mu tylko na wzięcie szybkiego prysznica. Nie spał od dwóch dni, więc obcisłe dżinsy i krótka koszulka prostytutki przeważyły szalę. Szatan kusił nawet Jezusa.

Ale Jezus oparł się pokusie.

Tim zwykle też się opierał. Jednak od czasu do czasu, może raz w roku, pokusa okazywała się zbyt wielka. Tak jak tamtej brzemiennej w skutki nocy w latrynie w Fallujah w Iraku, kiedy z innym żołnierzem sądzili, że wszyscy pozostali już śpią.

— Więc kiedy możemy się znowu spotkać, skarbie? — zapytał chłopiec-mężczyzna z łóżka.

Pięść Tima wystartowała jak wąż do swojej ofiary. Kostki dwóch palców prawej ręki zderzyły się z nosem prostytutki, łamiąc go, jakby był z balsy.

Natychmiast odczuł ulgę.

— Co robisz? — mężczyzna wrzeszczał z bólu, zakrywając twarz dłońmi.

Tim zamierzył się ponownie, ale tamten zakrwawionymi palcami pozbierał swoje ubrania i wybiegł z pokoju. *I dobrze*, pomyślał Tim, *kto wie jakie zarazy ma we krwi?*

Kiedy się ubierał, dopadły go wątpliwości związane z atakiem. Powinien raczej zabić kurwę. Tak jak powinien zabić szeregowca, który na niego doniósł, w efekcie czego Tim został wyrzucony z wojska. Obaj perfidnie go wabili. Nagle do głowy przyszedł mu wielebny Brady. *Jak by to skomentował, gdyby o tym wiedział?*

Tim miał świadomość reakcji wielebnego, ponieważ za każdym razem oblewał go zimny pot, gdy słyszał słowa Księgi Kapłańskiej wygłaszane barytonem: „Ktokolwiek obcuje cieleśnie z mężczyzną,

tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią”.

Tim był silny i szczerze wierzył w to, co mówił wielebny. Więc dlaczego Bóg kazał mu tak cierpieć? Nawet wybuch nie poszedł zgodnie z planem. Miało nie być żadnych ofiar. W biurze wszyscy przez cały dzień mówili tylko o ataku bombowym w Atlancie. Nadawane bez przerwy wiadomości bardziej skupiały się na śmierci profesor Marthy Simpson niż na skutkach wybuchu w Centrum Zapobiegania Chorobom. Mówiono, że zniszczeniu uległ tylko front budynku. Że zastosowali za mało ANFO. Tim wiedział, że mieszanka była nieprzewidywalna, i żałował, że nie ma dostępu do prawdziwych środków wybuchowych, takich jak C-4. Praca w centrum będzie wznowiona, lecz zostaną podjęte większe środki bezpieczeństwa. Z Johnnym nie zamienili ze sobą ani słowa i przez cały dzień się ignorowali. Obiecał Johnny’emu, że nie będzie żadnych ofiar, a wywołanie w nim paniki było ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował.

Zakładając buty, przypominał sobie jedno z kazań wielebnego Brady’ego. Grzesznicy, tacy jak syn marnotrawny, są w Biblii często nagradzani zawiązką za to, że nagrzezyszy do woli, powracają do stada. Ojciec syna marnotrawnego przywitał go z otwartymi ramionami, podobnie jak Bóg wita grzesznika. Tim nie miał już biologicznego ojca, który mógłby go powitać. Wspomnienie strzelaniny wciąż powracało echem w jego głowie. Przypominał sobie zapach prochu, gdy zbiegł wówczas po schodach w domu rodzinnym. Ojciec leżał na podłodze w swoim pokoju, matka stała za ciałem, trzymając czarną strzelbę. Wiele lat wcześniej Tim nauczył się odgradzać się od ich nocnych kłótni, podkręcając głośność na wieży stereo, by nie musieć słuchać ich wrzasków. Ale nic nie było wystarczająco głośne, by stłumić odgłos wystrzału — czy to wtedy, czy teraz. Powiedział policji o kłótniach, szczegółowo opowiedział o biciu matki przez ojca. Policjanci doszli do wniosku, że matka strzelała w samoobronie, a potem Tim razem z nią przeprowadził się do Little Rock.

Tim zawsze zastanawiał się, czy dobrze zrobił, kłamiąc policjantom. Chociaż nocne kłótnie były rzeczywiście głośne, ojciec nigdy nie podniósł ręki na matkę. Gdyby jednak Tim o tym powiedział, straciłby oboje rodziców i trafił do jakiejś rodziny zastępczej. Wiedział, że stary miał swoje podejrzania w związku z problemem, który Tim próbował ukryć, wiedział też, że te podejrzania budziły w staruszku niesmak. Każdego wieczoru, zanim zasiedli do kolacji, ojciec czytał na głos fragment Biblii. Rok przed śmiercią, po tym jak Tim skończył trzynaście lat, ojciec skupiał się głównie na fragmentach takich jak ten z Księgi Kapłańskiej, które dotyczyły okropieństwa rozwiązłości oraz homoseksualizmu. Tim miał problemy ze snem. Jego ojciec był pobożny i nie okazywał uczuć, a Tim nie czuł bliskości z człowiekiem, który nigdy nie pozwolił się do siebie zbliżyć. Jednak mimo to nie był gotów zostać sierotą. Tim przyglądał się, jak po zamordowaniu ojca nadużywająca alkoholu matka zaczęła sprowadzać różnych mężczyzn do domu w Little Rock. Może przybrana rodzina nie była najgorszym, co mogło go spotkać.

Gdy wstał z motelowego łóżka, jego umysł nabrał jasności. Jakby usłyszał głos wielebnego Brady’ego przemawiającego ze sceny, zrozumiał sens jego nauki. Ojciec z przypowieści o synu marnotrawnym był metaforą. Nie miało znaczenia, że prawdziwy ojciec Tima nie żył, jego los będzie taki sam, jak syna w opowieści. Bóg przyjmie go z powrotem. Bóg miał plan dla Tima: plan znacznie bardziej spektakularny niż podłożenie bomby w Emory, plan zbawienia. Tim nie znał jeszcze szczegółów tego planu, ale wiedział, że dostanie szansę udowodnienia swojej wartości, a jego grzechy zostaną odkupione.

Z lepszym samopoczuciem wyszedł z motelu. Wróci do swojego mieszkania i resztę nocy spędzi przy komputerze. Może uda mu się dowiedzieć, jakie Bóg ma wobec niego plany.

Rozdział 15

Kościół New Hope

Birmingham, Alabama

William Jennings złożył ręce na czerwonym skórzanym pokryciu swojego biurka z drewna orzechowego i pochylił się nad monitorem komputera. Jego gabinet był mniejszy niż biuro Brady'ego, nawet w połowie nie tak duży, ale bogato umeblowany mahoniowymi regałami wypełnionymi książkami teologicznymi; na podłodze leżał gruby, beżowy dywan. Zbliżała się ósma wieczorem, a Jennings był jedyną osobą, która pozostała w biurach New Hope, co zdarzało się dość często. Korytarz przed jego drzwiami tonął w ciemnościach, a jedyne światło w pokoju dochodziło z biurowej lampy Tiffany'ego oraz monitora LCD. Jarzeniowe światła na suficie były zbyt jaskrawe dla jego oczu. Jenningsowi lepiej myślało się w ciemności.

W jego skrupulatnych planach pojawiły się oznaki napięcia. Zwolnienie Carli utrudniło pracę związaną z zarządzaniem finansami budowy, a znalezienie odpowiedniego zastępstwa za nią może trwać kilka tygodni. Nieprzewidywalność jego szefa była wyczerpująca. Gdyby na kilka miesięcy udało mu się powściągnąć rozmach Brady'ego, mogliby wyjść z obecnych trudności związanych z finansowaniem osiedla New Hope. Pastor zostałby kolejnym przewodniczącym Narodowego Stowarzyszenia Ewangelików podczas wiosennych wyborów. Brady uwielbiał błyszczeć w światłach reflektorów i był w tym dobry. Jednak bez strategicznego myślenia Jenningsa, jego umiejętności organizacyjnych i przywiązania do szczegółu byłby zaledwie charyzmatycznym małomiasteczkowym pastorem. Ich partnerstwo miało sens. Jennings nie pragnął uwielbienia tłumów, które tak podobało się Brady'emu. Wolał coś ważniejszego, chciał wpływów, by móc zmieniać świat. Ale najpierw czekało na nich kilka przeszkód do pokonania, a najważniejszą były pieniądze.

Przez ostatnie dwadzieścia lat Jennings przyglądał się państwu, które łagodniało i stawało się coraz bardziej tolerancyjne, stawiało na multikulturowość, pluralizm religijny, różnorodność i pozostałe eufemizmy, które zostały wymyślone po to, by oddalać się od Ewangelii. Nawet niektórzy z jego braci oddalili się od swojej prawdziwej misji. Kilku pastorów zrzeszonych w Stowarzyszeniu podchwyciło histerię związaną z ekologią, kwestią, której, wedle wiedzy Jenningsa, przeczyła Księga Rodzaju, wyjaśniająca, że Bóg dał człowiekowi władanie nad roślinami i zwierzętami. Inne kościoły marnowały środki na wyjazdy misyjne do Afryki, gdzie pomagały tak zwanym nawróconym na chrześcijaństwo, którzy wciąż praktykowali czary i magię, zwyczaje, o których Księga Kapłańska jasno mówi, że powinno się za nie karać śmiercią.

Jennings wiedział, że jeśli Brady zostanie prezydentem NSE, będą mogli przywrócić organizacji utraconą władzę, którą sprawowała do lat osiemdziesiątych. Popularność książki Brady'ego — *jeden z moich lepszych pomysłów*, pomyślał Jennings — ukazała frustrację odczuwaną przez Amerykanów w związku z podupadaniem kraju: ich obawy o przyszłość i pragnienie zrozumienia woli boskiej. Po

wyborach do NSE Jennings zdobędzie posłuch u polityków. Zostanie jednym z najpotężniejszych ludzi w Ameryce. Telewizję i publiczne uwielbienie pozostawi Brady'emu. Opłacą mu się te lata spędzone na byciu jego podwładnym — znajdzie się na stanowisku, z którego będzie miał długofalowy wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych. Naprawi wyrządzone szkody prowadzące obecnie jego ukochany kraj prostą drogą do Armagedonu.

Kliknął na ikonkę poczty elektronicznej i sprawdził nowe wiadomości. Był w stałym kontakcie z liderami innych kościołów, którzy pomogą wybrać Brady'ego na stanowisko przewodniczącego. Posyłał im skrawki informacji, by mogli lepiej zapamiętać Brady'ego. Wpadł mu w oko e-mail o nietypowym tytule. Jennings otworzył go i przestudiował treść, czytając dwa razy, by się upewnić, że dobrze zrozumiał jego implikacje. Następnie rozparł się na skórzanym fotelu i oparł głowę na złożonych pod brodą dłoniach. *Z tego mogą wyniknąć kłopoty.*

Rozdział 16

Atlanta, Georgia

Po trzydziestu godzinach podróży, najpierw jeździe do Paro, potem locie do New Delhi, Paryża i wreszcie do Atlanty, Grant otworzył drzwi do swojego mieszkania znajdującego się poza kampusem, zaledwie trzy mile od Uniwersytetu Emory. Wydawało mu się, że przez pięć tygodni zdążył przyzwyczać się do unieruchomionej nogi, ale ciągnięcie jej po lotniskach i wciskanie między siedzenia podczas długich lotów było oględnie mówiąc mało komfortowe. Na szczęście, przydzielono mu miejsca przy wyjściu, ponieważ nie mógł zgiąć nogi w kolanie. Zamierzał odwiedzić lekarza za kilka dni, by zdjąć opatrunek, ale nie mógł pozbyć się go zbyt wcześnie. Plecak z ubraniami i laptopa oparł o czarny futon w salonie. Po lewej stronie stał okrągły stolik z dwoma krzesłami, a za nim znajdowała się niewielka kuchnia. Po prawej rozsuwane szklane drzwi prowadziły na taras z widokiem na lasy za osiedlem.

— Tam jest sypialnia — wskazał na drzwi znajdujące się naprzeciw. Po chwili wahania dodał: — Ja prześpię się na kanapie.

— W porządku — powiedziała Kristin.

Mile go zaskoczyła, zgadzając się lecieć z nim do Atlanty. Kiedy kilka dni temu w hotelowym biurze w Punakha odkrył przed nią prawdziwą wartość tekstów Issy, nie umiała ukryć entuzjazmu i pragnienia, by zaangażować się w sprawę. Musiał przyznać, że rozkoszował się jej reakcją na wiadomość, że Issa to Jezus z Nazaretu.

— Czy Jezus nie mieszkał i nauczał w Galilei? — zapytała wówczas, patrząc mu w twarz z intensywnością, która na niego działała.

— Tak, kiedy zajął się działalnością duszpasterską — odparł Grant — a to zaczęło się mniej więcej wtedy, gdy skończył trzydzieści lat i trwało przez rok. Jedną z największych tajemnic Biblii jest to, co Jezus robił przedtem. Ewangelia świętego Łukasza opisuje pojawienie się dwunastoletniego Jezusa w świątyni w Jerozolimie, gdzie robi wrażenie na ludziach swoją znajomością Pisma i elokwencją, ale potem Biblia milczy na temat jego poczynań do czasu, aż zacznie nauczać.

— Mówisz więc, że w Biblii nie ma informacji o prawie dwudziestu latach życia Jezusa?

— Jedyna wzmianka przez te dwie dekady pochodzi ponownie od ewangelisty Łukasza, który pisze: „Jezus zaś czynił postępy w mądrości, w latach i w łasce u Boga i u ludzi”. Widzisz zatem, że te teksty mogą być najważniejszymi informacjami biograficznymi o Jezusie, jakie istnieją.

— Ale czy Kinley nie próbował przypadkiem zasugerować ci, że to coś więcej niż tylko historia? Usłyszeliśmy, że Issa pobierał jakieś tajemnicze nauki. Nie mogę otrząsnąć się z wrażenia, że powinniśmy dostrzec coś jeszcze... większe przesłanie, może dotyczące tych nauk właśnie.

— Szanuję Kinleya — Grant machnął ręką. — Dużo się od niego nauczyłem, ale badania to moja

działka. Nie rozumiesz? Te teksty dokładnie pokazują, kim naprawdę był Jezus. Czy otrzymywał natchnienie wprost od Boga, czy był człowiekiem, którego rewolucyjne nauczanie wywodziło się z wiedzy zdobytej podczas studiowania hinduizmu i buddyzmu?

— A co z dziewiczym poczęciem? Myślałam, że Jezus narodził się w ten sposób, ponieważ Bóg tak chciał.

— Autorzy tych opowieści chcieli, żebyś właśnie tak myślała. Wielu naukowców zajmujących się badaniem Biblii uważa, że te historie zostały dodane później, kiedy po śmierci Jezusa zaczęto tworzyć mity. — Grant uśmiechnął się. — A jeśli Jezus był święty od urodzenia, to dlaczego w Biblii nie ma opowieści o cudach z pierwszych trzydziestu lat jego życia, a są tylko z ostatniego roku?

— Ale jeśli Issa to naprawdę Jezus i jeśli rzeczywiście podróżował po Wschodzie, to dlaczego *te* historie są nieznane?

— To nie tak. Legenda o nastoletnim Jezusie podróżującym po Indiach, zupełnie nieznana na Zachodzie, jest dość powszechna w Indiach. Pamiętasz, jak wspomniałem nazwisko rosyjskiego dziennikarza Nikołaja Notowicza?

Potwierdziła.

— W 1894 roku Notowicz opublikował książkę pod tytułem *La vie inconnue de Jesus-Christ* czy też *Nieznane życie Jezusa Chrystusa*, w której opisywał odkrycie tekstu w klasztorze Hemis w indyjskich górach. Książka narobiła nieco zamieszania, trwającego kilka miesięcy. Traktowała o nastoletnim Jezusie, czy też Issie, podróżującym do Indii z karawaną kupców. Zanim Jezus powrócił na rodzime ziemie, uczył się najpierw hinduizmu, a potem buddyzmu. Jednak zaraz po publikacji Notowicza kilku naukowców posądziło autora o fałszerstwo. Jeden z profesorów napisał do lamy z tamtego klasztoru, który zaprzeczył istnieniu takiego tekstu. Naukowcy zgadzają się z tym — dodał — że albo Rosjanin wymyślił tę historię, albo jacyś złośliwi mnisi w klasztorze zrobili sobie z niego ubaw. Cała sprawa została porzucona i wyleciała ludziom z głów, również dlatego, że nie było wtedy telewizji i Internetu.

— I to wszystko? Dlaczego nikt nie pofatygował się, by sprawdzić jego opowieść?

— Po ukazaniu się kilku artykułów obalających jego teorie większość akademików uznała, że raport Notowicza jest fałszywką, a podróż do odległego himalajskiego klasztoru sto lat temu była zbyt żmudnym przedsięwzięciem. Odnotowano jednak kilka niezależnych relacji osób, które widziały tekst w ciągu następnych dwudziestu lat, ale z jakiegoś powodu prasa nigdy nie rozwodziła się nad nimi.

— Co stało się z tym tekstem?

Grant wzruszył ramionami.

— Nie wiadomo. Dlatego najpierw pojechałem do Indii. Możliwe, że lama z Hemis obawiał się skutków ujawnienia rękopisu. Może wysłał go w inne miejsce. Przekonaliśmy się na własnej skórze, jak odizolowana jest społeczność klasztorna i jak boi się zewnętrznych wpływów. — Przed oczami Granta stanął Lama Dorji na tronie. Mnich, któremu niewiele było trzeba, by usunąć teksty Issy, jeśli miałoby to utrzymać ludzi z zewnątrz z dala od klasztornej czytelnicy.

Kristin zacisnęła palce na jego ramieniu.

— Więc to stanowi treść twojej pracy naukowej?

— Tak, ale większość naukowców odrzuca tamtą teorię.

— Aha, więc jeśli Jezus nie udał się do Indii, to gdzie był podczas tych nieopisanych dekad?

— Większość badaczy, włącznie z profesorem Billingslym, twierdzi, że Jezus dorastał w Nazarecie, gdzie uczył się fachu cieśli od swojego ojca. Ale analogicznie do legend o podróży do Indii pojawiają się inne opowieści, apokryfy, o tym, że wraz z wujem zawędrował do współczesnej

Walii. Są też tacy, którzy uważają, że Jezus wychowywał się w Egipcie.

— Wolniej. — Jej uścisk stał się silniejszy. — Dlaczego w tekstach Kinleya jest mowa o Issie, a nie o Jezusie?

— W tekstach islamicznych takich jak Koran — odparł Grant — Jezus występuje pod imieniem Isa, pisany przez jedno „s”, ale w literaturze indyjskiej i buddyjskiej znany jest jako Issa.

Po godzinie i całej masie pytań Kristin wsiadła z Grantem do taksówki i pojechali do dzong, skąd Grant musiał zabrać swoje rzeczy. Po powrocie do hotelu zjedli coś w niewielkiej, jasno oświetlonej restauracji, gdzie na stolikach leżały obrusy w kratę. Rozmawiali, aż minęła północ. Zanim udali się do swoich pokoi, Kristin oznajmiła, że nie spieszy jej się do Nowego Jorku i chciałyby poznać profesora Billingsly’ego. Grant pomyślał, że mając kontakty w środowisku dziennikarzy, może się przydać, gdy przyjdzie do przekonywania bhutańskiego rządu, by zezwolił na przewiezienie tekstów do Stanów. Zanim wyjechali z Bhutanu, dogadał się z Kinleyem, że zacznie przygotowywać grunt w Emory, podczas gdy Kinley porozmawia z Je Khenpo. Ze względu na to, że mnich nie miał ani telefonu, ani dostępu do Internetu, postanowili komunikować się przez doktora Karmę. Grant pragnął już wrócić do Atlanty, zdziwił się więc, gdy podczas pożegnania z Kinleyem na klasztorным dziedzińcu poczuł duże wzruszenie.

Trzydniowa podróż i dziesięciogodzinna różnica w czasie były wyczerpujące, ale dzięki temu, że był z Kristin, czas minął mu szybko. Rozmowy z nią wyglądały inaczej niż z innymi kobietami. Z łatwością przeskakiwali z tematu na temat i nigdy nie doświadczali kłopotliwych chwil milczenia. Mimo że Grant nie był przyzwyczajony do tak bezpretensjonalnych kobiet, intrygował go intelekt Kristin i jej egzotyczny wygląd. Zastanawiał się, czy ona czuła podobnie. Dawała mu niejednoznaczne sygnały. Czasem patrzyła na niego i dotykała go tak, jakby jej się podobał, ale innym razem, tak jak w biurze, wydawała się bardziej odległa. Brak zdecydowania był jednym z jego głównych utrapień.

Rzuciwszy plecak na podłogę w salonie, Kristin podeszła do regału z książkami, który zajmował całą ścianę naprzeciw futonu. Książki wypełniały wszystkie półki oprócz jednej, na której stał telewizor. Przesunęła palcem po grzbietach.

— Ułożyłeś je alfabetycznie? — spytała.

— Kategoriami. — Jak inaczej miałyby znaleźć to, czego szukał?

Potem podniosła jedną z sześciu fotografii stojących w ramkach na półkach przed książkami. Wszystkie ramki były takie same i w jednym kolorze — czarnym.

— Mają robić wrażenie na przychodzących do ciebie dziewczynach?

Fotografia, którą wzięła do ręki, przedstawiała go w rozbryzgującej się wodzie, gdy krzyżąc z radości, służył w dół wodospadu na rzece Chattooga.

— Kajaki — powiedział, czując, że się czerwieni. Wziął od niej zdjęcie i postawił je obok tego, na którym wspinał się po kamiennej ścianie w Tennessee. Świadom jej spojrzenia, dodał: — Wspominanie przygód pomaga mi się zrelaksować po pracy.

— Rozpakuję się — oznajmiła. Wzięła plecak i poszła do sypialni.

— W szafie jest miejsce, jeśli chcesz coś powiesić, mogę też zabrać rzeczy z szuflady.

— Nie ma potrzeby.

Przez otwarte drzwi przyglądał się, jak rozpina plecak i zaczyna wyrzucać rzeczy na podłogę przy łóżku. Pokręcił głową. Poczul niespodziewany zawód, widząc, jaka jest humorzasta i niezorganizowana.

Usiadł na futonie i włączył laptopa. Aż krzyknął, gdy otworzył skrzynkę mailową.

— Co do cholery! — wrzasnął, wpatrując się w monitor i zjeżdżając kursorem na początek ponad

dwustu nowych wiadomości.

— Co się stało? — Kristin przybiegła z sypialni.

— Nie, nie, nie! — zdjął komputer z kolan. Miał ochotę rzucić nim przez pokój i rozwalić szklane drzwi. Zamiast tego upuścił go na futon.

— O co chodzi?

Odwrócił monitor, by mogła zobaczyć listę wiadomości. Większość z nich pochodziła od profesorów i badaczy Biblii z całego świata. Wszystkie z nich miały w temacie słowa „Issa” lub „Jezus”. Palcem wskazującym uderzył w klawiaturę, otwierając jeden z listów. Czytając go znad jego głowy, Kristin położyła mu rękę na ramieniu.

— Całe tłumaczenie tekstów Issy wykonane przez Kinleya, które posłałem Billingsly’emu — zwalczył pieczenie w krtani — zostało opublikowane w sieci.

Rozdział 17

Kościół New Hope

Birmingham, Alabama

— Popatrz, popatrz — powiedział do siebie wielebny.

Nagłówek w lokalnej gazecie z Birmingham głosił: WSPÓLNOTA NEW HOPE ZAMIESZANA W SKANDAL FINANSOWY. Brady rozsiadł się wygodnie na skórzanym fotelu w przykościelnym biurze.

Przestronny gabinet, wystarczająco duży, by ugościć odwiedzających go parafian, udekorowany był w stylu angielskich dżentelmenów. Ulubionym elementem wyposażenia Brady'ego było flamandzkie malowidło wiszące na ścianie za jego krzesłem. Przedstawiało Jezusa w raniącej czoło cierniowej koronie, niosącego na plecach krzyż i podchodzącego pod Golgotę; ścięgnię na nogach i ramionach były napięte od wysiłku i ciężaru. Chmury zasłaniały słońce, rzucając ciemne cienie na rosnące w tle, poskręcane, bezlistne drzewa i na zaaferowanych ludzi. Jedyne światło na obrazie oświetlało twarz Chrystusa, który spoglądał przed siebie na szczyt wzgórza. Mimo ogromnego ciężaru krzyża, jego twarz wyrażała spokój. Brady lubił siedzieć pod tym obrazem, kiedy spotykał się z ludźmi, ponieważ za każdym razem, gdy ich wzrok wędrował ku górze, przypominali sobie, że Chrystus przyjął swoją ofiarę, więc i oni mogą ofiarować coś na rzecz kościoła.

Odwracając stronę gazety, pomyślał, że we współczesnym świecie Szatan ma duże pole do popisu. Może docierać do milionów zepsutych umysłów przez prasę, telewizję i Internet. Przypomniawszy sobie nauczanie z Ewangelii świętego Jana 8,44, mówiące o tym, że Szatan jest „ojcem kłamstwa”. Bez wątpienia trzymał media w szachu. To dlatego wykorzystywały każdą okazję, by potępić modlitwy w szkołach, lobbować za usunięciem Dziesięciorga przykazań z życia publicznego i promować inne, pogańskie wyznania.

Już w chwili ogłoszenia przez niego planów budowy Wspólnoty New Hope ci bezbożni reporterzy zaczęli szukać dziury w całym. A teraz, po dwóch latach, wpadli właśnie na to? Brady przewracał strony i kręcąc głową, czytał o swoim udziale w zyskach jednego z deweloperów stawiających budynki mieszkalne na osiedlu. Bycie duchownym nie oznaczało przecież, że nie może zarabiać na życie jak każdy inny człowiek, prawda? Poza tym, cały plan to był jego pomysł, na który wpadł dzięki bożej łasce, oczywiście. Na kolejnej stronie przeczytał o „poważnych kłopotach z finansowaniem” projektu oraz stwierdzenie, że firmy grożą porzuceniem pracy, jeśli wspólnota nie ureguluje zaległych rachunków.

Gdy pomyślał o skutkach, jakie może wyrzucić ten artykuł na jego kampanię prezydencką w NSE, jego żołądek wykonał ewolucję, jakby próbował złożyć się wpół. Największe wsparcie ze strony innych pastorów Brady otrzymał po tym, jak środowisko obieży wieści o przełomowym pomysle związanym z budową wspólnoty New Hope oraz popularnością jego książki. Wybory już za kilka

miesiący, Brady nie mógł więc pozwolić sobie na negatywny rozgłos, szczególnie teraz, gdy jego popularność była tak duża. Marzyły mu się już podróże do Waszyngtonu, w jakie wyruszy jako ten, który stara się o głosy milionów chrześcijan. Senatorzy i kongresmeni będą mu się kłaniali, a ogólnokrajowe wiadomości zaczną śledzić każde jego słowo.

Ciekawe, kto był anonimowym źródłem tej szumowiny, reporterza?, zaperzył się Brady. I wtedy skojarzył — nawet przez sekundę nie ufał Carli. Była typową księgową. Takie jak ona nigdy nie ogarniają całościowego obrazu, a mają dostęp do najbardziej poufnych danych — jego książeczki czekowej. Nie rozmawiał z Jenningsem o tym, jak przyjęła wymówienie, ale wyobrażał sobie, że nie przebiegło to gładko. Była jedną z tych bezczelnych kobiet szczyjących się tytułem magistra zarządzania, kobiet, których Brady po prostu nie tolerował. Inni jego pracownicy okazywali mu więcej szacunku. Widzieli w nim tego, kim był: obdarzonego wizją przywódcę kościoła. Ona tu nie pasowała.

Ktoś zapukał w mahoniowe drzwi.

— Proszę — powiedział Brady.

Do środka wpadł Jennings i nawet się nie przywitał, rzucając tylko kilka wydruków na biurko wielebnego. Brady spojrzał na swojego najbliższego współpracownika, ignorując dokumenty. Zauważył, że Jennings wybrał dziś niedopasowany grafitowy garnitur Brooks Brothers zamiast tego, co zwykle, postrzępionego niebieskiego stroju.

— Tak, Williamie. Przeczytałem już artykuł. Co zamierzasz z tym zrobić? — Brady z niesmakiem zrzucił gazetę na podłogę.

— Artykuł? — spytał Jennings, nie rozumiejąc, o czym mowa. — Ach, te bzdury? Nasi prawnicy zadzwonili już do redakcji i zagrozili wytoczeniem sprawy. Twoje udziały są całkowicie legalne.

— Legalne czy nie, musimy walczyć z tym, co stawia nas w złym świetle. Nie potrzebujemy takiego rozgłosu.

— To minie bez echa — powiedział Jennings i lekceważąco machnął ręką. — Jak nasi prawnicy z nimi skończą, gazeta nie zaryzykuje kolejnego artykułu na ten temat. Nie po to tu przyszedłem. Czytałeś dziś swoje maile? — Stuknął zakrzywionym jak szpon palcem w papiery, które rozłożył przed Bradym.

Wielebny przejrzał wydruki ze strony internetowej naukowców zajmujących się biblistką.

— A co mnie obchodzą słowa tych zarozumiałych profesorów? Wiesz, że obecnie na większości seminariów nie naucza się prawdziwego słowa naszego Pana. Dlatego budujemy Seminarium New Hope, żeby uczyć dosłownego pojmowania Słowa Pańskiego, a nie jakichś pobożnych życzeń, które niedowiarki biorą za przekaz boski.

— Wiem o tym, Brianie, ale aby móc z nimi walczyć, musimy rozumieć ich stanowisko. — Jennings przekręcał długopis w palcach w rytm swojej pospiesznej wypowiedzi. — Ci profesorowie są bardziej niebezpieczni niż ateści i agnostycy. Za każdym razem gdy któryś z nich pisze nową książkę historyczną o Jezusie, cofamy się w swoim dziele. Ludzie, którzy powinni słuchać ciebie, są zatruwani przez tych podpierających się akademickim autorytetem profesorów i przez ich wypaczoną pseudonaukę.

Teraz Jennings mówi jak trzeba, pomyślał Brady. Wielebny rozumiał lepiej niż inni, że w chwili gdy odziera się Biblię z tajemnicy i niezwykłości, a ludzie mogą interpretować ją w dowolny sposób, księga traci swoją moc i autorytet. Dlatego jego własna książka miała takie powodzenie: zawarł w niej złowieszcze przepowiednie z Apokalipsy i pokazał, jak się one obecnie urzeczywistniają. Niechętnie zaczął czytać artykuł.

— Co do... — Żrenice mu się rozszerzyły, gdy przewracał kolejną stronę. — To jest absurdalne

— warknął, kiedy skończył. Artykuł opisywał odkrycie doktoranta z Emory, Granta Matthews, w kraju, o którym Brady nigdy nie słyszał. Odnalezione przez tamtego człowieka manuskrypty zdawały się opisywać nieznane lata w życiu Jezusa w sposób, który Brady natychmiast określił jako bardzo niechrześcijański. Poczł dreszcze. Twierdzenia tego dzieciaka były poważniejsze niż absurd, jakie publikowano o Jezusie w ciągu ostatnich kilku lat.

— Kto w ogóle przeczyta i uwierzy w te bzdury?

— Artykuł znajduje się na stronie od niecałej doby, a link do niego podało już ponad dwieście innych stron. — Jennings podał Brady’emu kolejny wydruk, tym razem był to list otrzymany e-mailem. — Nawet twój parafianie zaczynają już o to pytać.

Wielebny zerknął na nazwę nadawcy: *Tim Huntley*.

— Tim Huntley? Człowiek, który przysyła mi wszystkie nonsensowne teorie spiskowe, jakie znajdzie w Internecie? Kasuję wiadomości od niego, nawet ich nie otwierając. — Brady przypomniał sobie, że całkiem niedawno rzucił okiem na list od Huntleya o tym, że Amerykanie wywodzą się od zagubionego plemienia z Izraela. Huntley sprawiał, że wielebny czuł się nieswojo: sposób, w jaki siedział, sztywny jak kołek, w pierwszym rzędzie w każdą niedzielę, ta jego okropna wysypka, która rozpraszała Brady’ego podczas kazania, oraz to, że nie docierało do niego, iż pastor nie życzy sobie uczestniczyć w teoriach spiskowych. Kiedy Huntley zaczął mu wysyłać e-maile każdego dnia, a każdy z nich był bardziej natarczywy niż poprzedni, Brady przekierował jego korespondencję bezpośrednio do folderu ze spamem. Tim Huntley był jednym z tych parafian, którzy zbyt dosłownie interpretowali słowa Brady’ego o tym, że są żołnierzami w armii Boga.

— Przeczytaj jeszcze ten.

Brady westchnął i zerknął na list od Huntleya. Ton był podobny jak w poprzednich listach: ponaglący, jakby istnienie wspólnoty zależało od jego szalonych teorii. Jednak gdy pastor dotarł do połowy strony, zaczął obawiać się, że przyszłość New Hope, *jego przyszłość*, może rzeczywiście być zagrożona. Tim Huntley zarysował konsekwencje, jakie może mieć odkrycie tych tekstów dla pojmowania osoby Jezusa Chrystusa. Gdyby ludzie w nie uwierzyli, Jezus byłby tylko człowiekiem, mającym lęki, obawy i pytania, człowiekiem, który zbudował swój obraz Boga, studiując religie w Indiach, gdzie rzekomo spędził większość życia. Tym razem Brady zgadzał się z Timem. Taki obraz Jezusa był zupełnie odmienny od nauk zawartych w Biblii, *od jego własnych nauk*, które dowodziły, że Jezus od urodzenia był wybrany, zesłany na ziemię jako wcielenie samego Boga z mocą sądzenia i zbawienia. *Te teksty podważają boską naturę Jezusa*, uświadomił sobie ze złością.

Zjeżyły mu się włoski na karku, kiedy dotarł do tej części listu, gdzie Tim spisał swoje obawy związane z odkryciem, które, zyskawszy uznanie opinii publicznej, obali twierdzenia zawarte w ostatniej książce Brady’ego. Ludzie będą twierdzić, że wpływ innych religii nie jest przyczyną bieżących problemów kraju, tak jak napisał Brady, ponieważ Jezus osobiście utrzymywał kontakty z innymi wyznaniem.

— Brianie, ta historia się rozprzestrzeni i będzie miała istotne znaczenie. — Mówił Jennings, przez cały czas pstrykając długopisem. — Jeśli ten dzieciak postawi na swoim, media opiszą jego znalezisko jako ważniejsze od rękopisów z Qumran.

Boże Wszchemogący, pomyślał Brady. Jeśli media rzucą się na tę historię, będzie to miało druzgocący wpływ na wszystkich chrześcijan. Wiedział, że niewielu z nich ma tak silną wiarę jak on, wiarę, która nie ugnie się przed takimi niedorzecznymi twierdzeniami. Wrócił do pierwszego wydruku. W połowie strony natknął się na zwrot „tajemne nauki”, które miał pobierać Jezus podczas swoich podróży. Brady wiedział, że każdy wyznawca New Age oszaleje na punkcie idei, iż starożytne teksty zawierają jakieś tajemne nauki, i zrobi z tego wielkie halo. Pokręcił głową. Jedyny

tekst zawierający prawdę o Jezusie to Biblia.

— Jednak — powiedział — to na pewno musi być jakiś przekręt. Nie ma możliwości, by takie teksty pozostały nieodkryte przez całe wieki. Po prostu nie są autentyczne.

— To właśnie możliwość, o którą należy się modlić. — Jennings przestał wreszcie bawić się długopisem i zaczął krążyć po biurze. — Powinniśmy wyprzedzić media. Bóg daje nam szansę, by zając stanowisko i przemówić, nie tylko do naszego zgromadzenia, ale do całego kraju.

Brady podparł brodę na swoich grubych palcach i uważnie przyjrzał się Jenningsowi. Rzadko widywał go tak podeksytowanego. Wiedział, że brakowało mu iskry, jakby Duch Święty miał zły dzień, kiedy go tworzył. Jego emocje były podobne do jego garderoby — zestarzałe, zużyte i konserwatywne. Wielebny zdawał sobie jednak sprawę, że nie mając wsparcia w jego zdolności do wykorzystywania sytuacji, których inni nie dostrzegali, nie dotarłby tak daleko.

— Możemy od razu zadbać o pozytywny rozgłos — powiedział Brady, bardziej do siebie niż do Jenningsa.

— Ta historia sprawi, że sytuacja finansowa New Hope odejdzie w zapomnienie.

— Ale moja książka...

Jennings uśmiechnął się szeroko, co zdarzało mu się niezbyt często.

— Jeśli jako pierwszy obierzesz stanowisko, sprzedaż książki wzrośnie niebotycznie. A nasze kłopoty finansowe zostaną rozwiązane.

— Tak sądzisz? — Będąc zwykle optymistą, Brady coraz bardziej martwił się obrotem spraw, o którym była mowa podczas zebrania dotyczących budowy. Nawet Jennings zaczynał wspominać o wstrzymaniu niektórych prac, do czasu gdy spłyną pozostałe fundusze z banków.

— Tak, ale musimy działać szybko, by mieć wszystko pod kontrolą. Ustanowimy cię przywódcą opozycji. Głosem wiernych.

Głosem wiernych, pomyślał Brady. Podobało mu się brzmienie tego zwrotu. Ktoś musiał chronić prawdziwych chrześcijan przed niebezpieczeństwem płynącym ze strony akademików takich jak Grant Matthews; niebezpieczeństwem, w jakim znalazła się ich religia.

— Jak, według ciebie, mam to zrobić?

— Mam kilka pomysłów.

Brady zerknął na trzymaną w dłoni kartkę. Ostatni akapit zawierał ofertę pomocy od Tima Huntleya, który twierdził, że dzięki wojskowemu przygotowaniu oraz wierze jest doskonałym żołnierzem w armii Brady'ego i Boga. Sugerował, że świat byłby lepszy, gdyby teksty po prostu zniknęły.

— Nie masz chyba zamiaru polegać na tym szaleńcu? — Brady wskazał na wydruk. Chociaż Huntley szczegółowo opisał zagrożenia związane z tekstem, wszystko co wiązało się z tym człowiekiem sprawiało, że Brady się wzdrygał. Niekończące się maile i intensywność jego wzroku w każdą niedzielę kazały mu myśleć, że jest prześladowany, niczym kobieta pragnąca uciec przez zazdrosnym kochankiem. Brady przypomniał sobie Huntleya siedzącego w pierwszym rzędzie i nieświadomie aż się otrząsał. Twarz Tima zawsze była pokryta łuską i obłaziła niczym skóra węża. Brady ponownie podziękował Bogu za swoją nieskazitelną cerę.

Jennings znowu zaczął obracać długopis między palcami. Potrząsał głową.

— Mam na myśli coś lepszego. Coś oficjalnego.

Rozdział 18

Atlanta, Georgia

Tim zatrzasnął drzwi samochodu i omiół wzrokiem parking. Dzień powszedni, druga w nocy. Osiedle było ciemne i ciche. Miał na sobie to samo ubranie, co tydzień temu podczas operacji pod Centrum Zapobiegania Chorobom: czarne spodnie bojówki i czarny sweter, więc zlewał się z tłem. Na głowę naciągnął czarną wełnianą czapkę. Ruszył w stronę klatki schodowej przy końcu budynku. Obfitość elementów ozdobnych, zwłaszcza niedawno zasadzonych roślin jednorocznych, odwracała uwagę od taniego, obłożonego czarną płytą trzypiętrowego budynku.

Chociaż było późno, Tim pozostawał czujny, ale nie roztrzęsiony — tak jakby spożył odpowiednią ilość kofeiny, której oczywiście nigdy nie tykał. Nie wierzył w skuteczność leków, legalnych i nielegalnych. Napędzało go to, że wrócił do gry. Teraz był częścią czegoś większego niż on sam. Wcześniej myślał, że misja, której podjął się z Johnnym, i pułapki bombowe, jakie zaplanowali na południowym wschodzie kraju, będą miały jakiś sens, ale teraz słyszał jaśniejszy przekaz z góry. Tak jak przypuszczał, Johnny Meckle nie był stworzony do tego rodzaju roboty. Unikał Tima przez dwa dni po eksplozji, a kiedy Tim wreszcie przydybał go na parkingu, Johnny się załamał.

— Nikt nie miał zginąć — płakał.

— Johnny, każda wojna niesie ze sobą ofiary.

— Przykro mi, nie mogę w tym uczestniczyć.

Rozstali się i od tamtej pory nie rozmawiali ze sobą. Tim zastanawiał się, czy powinien pozwolić Johnny'emu żyć. Był słabym ogniwnem, a poczucie winy mogło sprawić, że sam się przyzna. W końcu Tim zdecydował, że Johnny jest zbyt wielkim mazgajem, by przyznać się do odpowiedzialności. Ponadto, nigdy by sobie nie poradził w więzieniu. Tylko Tim miał niezbędną wiarę i siłę, by sprostać boskim planom.

Odkrycie, jakiego dokonał na jednym ze swoich ulubionych blogów, zmieniło wszystko. Teraz rozumiał już, że bomba była ledwie rozgrzewką. Niebezpieczeństwo płynące z tego nowego odkrycia jest znacznie większe niż to ze strony naukowców i ich laboratoriów. Tim słyszał, że obecnie badacze z Centrum eksperymentowali z wirusami takimi jak Ebola czy AIDS. Twierdzili, że robią to, by dowiedzieć się jak najwięcej o chorobach, ale on miał na ten temat odmienne zdanie. Jego nowe odkrycie niosło za sobą zagrożenie bardziej śmiertelne niż potencjalne użycie wirusa jako broni: badania prowadzone przez Granta Matthews'a wycelowane były nie w ludzkie ciała, lecz w ich dusze. Siedział i nie wierząc w to, co widzi, wpatrywał się w artykuł opisujący teksty, które Matthews znalazł w Himalajach. *Jak ten facet w ogóle może wysnuwać podobne wnioski?*, zastanawiał się.

Przyszły mu do głowy kazania wielebnego Brady'ego: na tym właśnie polegały poczynania Szatana. Pan Ciemności posyłał na ziemię ludzi takich jak Grant Matthews, by podważyć wiarę,

podobnie jak zsyłał pokusy, którym sam Tim czasem nie mógł się oprzeć. Potrzebował aż dwóch godzin, by uspokoić się po lekturze artykułu, zanim w jego głowie zaczął klarować się plan. Najpierw Tim wysłał e-mail do wielebnego. Przypomniawszy sobie słowa Brady'ego, które otrzymał w odpowiedzi: „Mój synu” — Tim przeczytał ten wstęp chyba z pięćdziesiąt razy — „szczerze doceniam Twoje oddanie Panu i naszej społeczności New Hope. Z szacunkiem, Wielebny Brady”. Wówczas Tim rozpoczął przygotowania.

Powrót do Atlanty zaraz po ataku bombowym niósł pewne ryzyko, ale Tim dobrze ukrył swoje wcześniejsze tropy; poza tym, kto powiedział, że wdrażanie w życie woli Boga ma być łatwe. Musiał działać szybko. Miał zapisać się w historii — historii Boga. Zadba o odkupienie za swoje grzechy.

Na drugim piętrze znalazł zmatowiałą mosiężną tabliczkę z numerem. Mieszkanie 208. Z prawej kieszeni wyjął małe skórzane etui zawierające zestaw wytrychów, które zatrzymał sobie po szkoleniu w oddziale specjalnym. Dobrze mu służyły podczas pracy w szpitalu, ale teraz rozumiał, że Bóg przez cały czas przygotowywał go do tej misji. Szybko się uwijał, aż poczuł, że zapadki wskakują na swoje miejsce. Drzwi otwały się z cichutkim skrzypnięciem.

Włożywszy wytrychy do obszernej kieszeni, Tim wyjął glocka kaliber czterdzieści, półautomatyczny pistolet, który trzymał w nylonowej kaburze pod swetrem. Glock z powiększonym do piętnastu pocisków magazynkiem był jego ulubioną bronią. Model 9 milimetrów był powszechnie używany przez siły policyjne, ale Tim słyszał wiele historii o tym, że naćpani przestępcy musieli oberwać z niego wiele razy, zanim padli na ziemię, więc osobiście preferował o wiele skuteczniejszą czterdziestkę. Materiał, z którego wykonany był pistolet, był lekki i łatwy w obsłudze. Dodatkowo można go było łatwo ukryć po rozłożeniu, miał też automatyczne zabezpieczenie, co dawało gwarancję, że podczas wymiany ognia nie straci się cennych sekund.

Tim wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi, by chłodne powietrze nie zbudziło śpiącego właściciela. Mały korytarz prowadził do salonu oświetlonego słabym światłem dochodzącym z położonej na lewo kuchni. Tim stąpał, trzymając przed sobą glocka.

Stanąwszy przy futonie w salonie, zauważył, że rozłożono go jak łóżko i że leżał na nim stos prania.

Stos prania się poruszył.

Adrenalina pulsowała Timowi w żyłach. Wycelował broń w łóżko i zamarł.

Przez kolejne dwie minuty nie drgnął ani on, ani pranie. Potem podszedł bliżej, nie opuszczając pistoletu.

Grant Matthews spał na boku. Na nogi i pas naciągnął ciężką kołdrę, co w ciemnym pokoju mogło wyglądać jak sterta wypranych rzeczy. Spał sam. Ale dlaczego w salonie? Tim przeniósł spojrzenie na zamknięte drzwi przed sobą. Może Matthews miał gościa.

Patrzył na profil człowieka, odkrywcy herezji, którą rozpoznał w chwili, gdy ją przeczytał i którą musiał powstrzymać, zanim niczym wirus rozprzestrzeni się ona w całym kraju. W sieci dotarł do artykułów będących z grubsza o tym samym: każdy z nich zawierał link do kopii listu przesłanego do profesora z Emory przez Granta Matthews'a. Oprócz tłumaczenia heretyckich tekstów wiadomość zawierała informację, którą Tim zamierzał wykorzystać tej nocy. Matthews napisał, że teksty wciąż znajdowały się w Bhutanie, ale zamierzał przywieźć ze sobą dowód w postaci fotografii. Ponieważ nie wysłano żadnych zdjęć, a samolot Matthews'a przyleciał tego wieczoru, Tim miał nadzieję, że zdążył na czas. Jedną z zasad walki polegała na tym, by wyprzedzić wroga, żeby mieć nad nim przewagę. I teraz właśnie Tim działał pierwszy.

Chociaż twarz na poduszce wyglądała na zrelaksowaną we śnie, Matthews miał wyraźnie zarysowaną linię szczęki, która kończyła się dołkiem w brodzie, częściowo zasłoniętym

kilkudniowym zarostem. Tim rozpoznał doktoranta, którego profil oglądał na Facebooku. Mężczyzna spał bez koszulki; wzrok Tima przesunął się po torsie, który podkreślały mięśnie układające się przy szczupłej talii w kształt litery V.

Zaczęła go swędzieć prawa ręka. Uczucie było niemal przyjemne. Przygryzł usta. Co właściwie robi?

Wtedy zrozumiał. Został poddany testowi. *Był kuszony*. Pod swetrem swędzenie stawało się coraz bardziej uciążliwe i zmieniało się w pieczenie. Choć raz rozkoszował się tym bólem: odrywał go od grzesznych myśli. Zamiast się drapać, wyciągnął przed siebie rękę, aż lufa znalazła się na odległość jednej stopy od rozkosznych ciemnych włosów na głowie Matthews'a.

Palcem wskazującym pieścił spust broni. Najmniejszy nacisk rozbryzgałby kawałki mózgu i odłamki czaszki po białej poduszce. Delektował się tym wyobrażeniem szybkiego rozwiązania swoich problemów. A potem odsunął się od łóżka.

Mając pewność, że Matthews głęboko śpi, Tim cichutko przeszukał mieszkanie. Dwa pierwsze przedmioty znalazł na blacie kuchennym — drogi aparat marki Nikon i telefon komórkowy Matthews'a, który był podpięty do ładowarki. Zanim wziął je do ręki, dokładnie przyjrzał się temu, jak były ułożone. Potem przełączył telefon na wibracje, wetknął go do kieszeni, a aparat zawiesił sobie na ramieniu.

Nie widząc w kuchni ani w salonie trzeciego przedmiotu, uchylił drzwi do sypialni i wszedł do środka. Tak jak się spodziewał, na łóżku zauważył zarys ciała. Matthews miał towarzystwo. Następnie dostrzegł to, po co przyszedł: laptop Matthews'a leżał na krześle po prawej stronie od wejścia. Tim powinien go wziąć i wyjść z mieszkania, ale jakaś nieznana siła zmusiła go do wejścia w głąb pokoju.

Spała okryta pościelą. Przysunął się do samego łóżka. Jej długie czarne włosy rozsypały się na poduszce w kształt wachlarza, niczym rozwarty ogon pawia. Z rysów twarzy wywnioskował, że była mieszańcem. Przyjrzał się krągłościom jej piersi, zarysowanym pod zbyt obszernym T-shirtem. Jej goła prawa noga leżała na wierzchu, a ona obejmowała kołdrę, jak małe dziecko tulące swój kocyk. Tim skupił wzrok na zgiętej nodze: od łuku stopy, przez mięśnie łydki, aż po jędrną skórę na udzie.

Przełknął, uświadamiając sobie, że produkuje duże ilości śliny. Kim była? Jego dziewczyną? Ale dlaczego nie leżeli w tym samym łóżku i nie robili tego? Czyżby kochankowie się pokłócili?

Zmuszał swoje ciało do obrotu i wyjścia, ale zamiast tego pochylił się i znalazł zaledwie o kilka cali od jej twarzy. Wstrzymał oddech, by nie obudził jej żaden dźwięk. Słyszał, jak równo oddycha i widział, jak z każdym wdechem drgają jej delikatne nozdrza. Potem powoli i głęboko zaciągnął się powietrzem, chłonąc jej zapach, jakby była egzotycznym daniem, którym delektował się przed pierwszym kąsem. Nic nie poczuł.

Swędzenie zaczęło się od uczucia pęknięcia na obu rękach i promieniowało w głąb ciała. Wyprostował się i zaczął wycofywać w kierunku drzwi. Podniósł laptop z fotela i wsadził go sobie pod lewą pachę, tak by mieć możliwość manewru prawą ręką, w której trzymał pistolet.

Niecałe dwie minuty później siedział w swoim samochodzie, oddychając ciężko.

— Idiota! — Uderzył w kierownicę.

Był głupi, ale miał szczęście. To, co robił w mieszkaniu, mogło skompromitować całą misję. Tylko on miał odwagę i umiejętności, by przeprowadzić zadanie o takim stopniu wrażliwości i o takim znaczeniu, a mimo to zaryzykował. *Po co?* Każe im obojgu zapłacić za kłopoty, których mu przysporzyli.

Zerknął na zegar na desce rozdzielczej: wpół do trzeciej. Zaczęło się. Kolejny raz przyda mu się szkolenie, jakie przeszedł jako członek operacji cybernetycznych w wywiadzie wojskowym.

INSCOM dobrze mu się przysłużył. Bóg już wtedy zasiał swoje ziarno.

Rozdział 19

Wydział Teologii Candlera

Uniwersytet Emory, Atlanta

Grant szedł po kamiennych schodach w kierunku Bishops Hall, głównego budynku, w którym mieściła się administracja i sale wykładowe Wydziału Teologii Candlera, położonego nieco z boku kampusu Emory. Chociaż wciąż miał usztywnioną nogę, szedł tak szybko, że Kristin musiała się mocno sprężyć, żeby za nim nadążyć. Nieskutecznie próbował wyrzucić z pamięci widok setek wiadomości, które odebrał poprzedniego wieczoru. Czuł się tak zniechęcony, że nawet nie zwracał sobie głowy włączeniem laptopa dziś rano. Kristin niosła go teraz w swoim plecaku razem z aparatem.

— Wspaniały kampus — powiedziała. Miała na sobie dzinsy biodrówki i spłowiały podkoszulek Johnsa Hopkinsa. — Wapienne mury i dachy w kolorze terakoty przypominają mi tokańską wioskę. — Ten obraz uzupełniało ciepłe południowe słońce, oświetlające kolory jesieni, których nabrały już dęby na kampusie. — To tu masz zajęcia? — zapytała.

— Niektóre. — Otworzył ciężkie drzwi. — W budynku Candlera odbywają się seminaria z metodystów. Mój doktorat piszę na Podyplomowym Wydziale Nauk Humanistycznych i Ścisłych w Emory, ale Wydział Nauk o Religii ma kilka sal u Candlera. Jest tu gabinet profesora Billingsly'ego.

Kiedy dotarli do drzwi z tabliczką „Harold Billingsly”, Grant nie tyle je otworzył, ile wpadł przez nie do środka. Zaskoczony profesor najpierw podskoczył na krześle, a dopiero potem wstał, by się z nimi przywitać. Rzadkie siwe włosy, okulary do czytania na czubku nosa, niebieska oksfordzka koszula z podwiniętymi rękawami i krawat w paski sprawiały, że Billingsly wyglądał rzeczywiście jak profesor, którym był. Jednak jego zwykle jowialny nastrój ulotnił się, a zamiast niego pojawiły się czerwone, podpuchnięte oczy.

— Witaj z powrotem — powiedział.

Smutek w głosie mentora pohamował wybuch gniewu Granta.

— Wszystko w porządku?

— Nie słyszałeś o bombie?

— Bombie? Wróciłem wczoraj późnym wieczorem.

Billingsly opisał atak na kampus, do którego doszło w ubiegłym tygodniu i w którym zginęła profesor Martha Simpson.

— Spotykaliśmy się ze sobą od niedawna... — głos mu zadrżał — ale czułem się blisko z nią związany. — Wzruszył ramionami. — Kiedy zamykam oczy, ciągle czuję zapach jej perfum.

— Nie miałem pojęcia. — Grant podszedł do promotora. Współczucie zastąpiło w nim złość. — Tak mi przykro. Mają już jakiś trop?

— Jeszcze nie. FBI twierdzi tylko, że samochód, w którym ukryta była bomba, został ukradziony z lotniska w Birmingham.

— Domyślam się, że dlatego wzmożono ochronę — powiedziała Kristin. Kilka minut wcześniej strażnik na parkingu dokładnie obejrzał legitymację studencką Granta, zanim pozwolił im wjechać, poza tym mijali liczne patrole policji na niedługiej trasie do Bishops Hall.

— Ach, to zapewne pani Misaki, wspaniała dziennikarka, o której Grant mówił tyle dobrego w nagraniach pozostawionych na mojej skrzynce głosowej. — Grant poczuł, że oblewa go fala gorąca. Profesor wyciągnął rękę. — Harold Billingsly.

— Proszę mi mówić Kristin. — Przytrzymała rękę profesora obiema dłońmi.

Billingsly gestem wskazał dwa czarne drewniane krzesła z herbem Harvardu na oparciach, stojące przed jego biurkiem. Kristin usiadła na jednym z nich i podwinęła nogi, a Billingsly odsunął stos czasopism i przysiadł na brzegu biurka. Grant wciąż stał.

— Jak mogłeś, Haroldzie? — zapytał. — Zaufałem ci.

— O! Przystopuj. Ja również byłem zszokowany, widząc, że historia została opublikowana.

— Ale byłeś jedyną osobą, do której wysłałem maila! — powiedział napastliwie Grant.

Billingsly przesunął się na biurku, nagle tracąc pewność siebie.

— Po śmierci Marthy nie byłem do końca sobą. Przesłałem twój e-mail do kilku osób z wydziału. Myślałem, że w ten sposób uporządkuję źródła, by ułatwić ci dalszą pracę. — Wbił wzrok w podłogę. — Po pogrzebie pojechałem sam na kilka dni do domku w górach. Wróciłem wczoraj i okazało się, że moja poczta głosowa pęka w szwach od próśb ludzi, którzy chcą z tobą rozmawiać. — Przeniósł spojrzenie na Granta. — Zapewne ktoś z wydziału nieumyślnie doprowadził do wycieku tej wiadomości.

Grant masował skronie.

— Grancie — Billingsly pochylił się i położył dłoń na ramieniu swojego doktoranta — nie mamy czasu. O ile nam wiadomo, twój mnich mógł pokazać te teksty również innym turystom.

— Nie Kinley.

— Może, ale zrozum, że masz w tej chwili możliwość posunięcia do przodu swojej kariery. Większą niż kiedykolwiek mogłeś sobie wymarzyć.

Grant podniósł głowę. Lecąc do kraju, wyobrażał sobie swój udział w rozmaitych talk-show, umowy na książki i gościnne wykłady. Usiadł na twardym krześle, wyciągając usztywnioną nogę. Zaczęła go boleć. Nie mógł się doczekać usunięcia opatrunku.

— To co teraz robimy?

— Profesor Singh zgodził się zrecenzować fotografie tekstu. Może wydać szybką opinię o dokładności tłumaczenia.

Grant spojrział na swojego mentora. Chociaż ten go wspierał, zawsze był ostrożny, gdy chodziło o jego badania. Z plecaka Kristin, który leżał na podłodze, Grant wyjął laptopa. Zauważył, że Billingsly wpatruje się w jego nieogoloną twarz.

— Musisz się trochę ogarnąć — dodał profesor. — Dziennikarze chcą z tobą rozmawiać.

— Dziennikarze? — Grant wcisnął przycisk uruchamiający komputer. — Haroldzie, wiesz, że nie lubię wystąpień publicznych.

— Wspominałeś o tym w Bhutanie — powiedziała Kristin. — Ale wciąż nie mogę sobie wyobrazić, że odejmuje ci mowę.

— Chodzi o grupę ludzi — zaprzeczył. — Denerwuję się, gdy ktoś się na mnie gapi.

Billingsly odrzucił głowę w tył i zaśmiał się rubasznie.

— Przypomniałem sobie twoją minę, gdy na ćwiczeniach zbliżałem się do twojej ławki. Kristin,

oto człowiek, który nad filiżanką kawy nigdy nie omieszka powiedzieć mi, szacownemu profesorowi, że myślę się w pewnych kwestiach, ale w grupie pięćdziesięciu rówieśników będzie kurczył się na krześle w nadziei, że go nie zauważę.

— Wiem, że to nielogiczne — Grant wzruszył ramionami, czując ciepło na karku. — Ale ogarnia mnie taki strach, że nagle zapominam wszystko, co wiem na dany temat.

— Widziałem, jak dojrzewasz i stajesz się pierwszorzędnym studentem, więc jestem pewien, że dasz sobie radę z prasą. — Billingsly spoważniał. — Ale tym się aż tak nie martwię.

— Więc teraz twierdzisz, że jednak powinienem się martwić?

— Nie każdy przyjmie do wiadomości, że te teksty naprawdę istnieją. — Profesor wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie.

— Nie sądzisz, że te teksty mogą zjednoczyć ludzi? — spytała Kristin. — Może zbliżą do siebie różne religie, zamiast je od siebie oddalać? Wskazują na znacznie bliższe powiązania między religiami Wschodu i Zachodu, niż kiedykolwiek się spodziewano.

Profesor pokręcił głową.

— Wielu ludzi uzna twoje odkrycie za zagrożenie. Pomyśl, jak niepokojąca może być dla nich zmiana znanego im wizerunku Jezusa. Zachwieje ich pojęciem tego, kim był. A to może doprowadzić do ideologicznej wojny.

Grant potrząsnął głową, po czym włączył laptop.

— Mogę odeprzeć teologiczne obiekcje. Nie mogę się doczekać, kiedy opublikuję odpowiedź na nie w jakimś periodyku. — Przypomniał sobie gorączkowe dyskusje, które jako nastolatek toczył ze swoim ojcem fundamentalistą. — A co ty sądzisz, Haroldzie? Jesteś konserwatywnym naukowcem.

Billingsly zdjął okulary i przetarł je krawatem.

— Ja jestem sceptyczny. Dopóki sami nie przestudiujemy tekstów, powstrzymam się od komentarzy na temat ich autentyczności. Szczerze mówiąc, wątpię, że manuskrypty pochodzą z pierwszego wieku, jak twierdzi ten twój mnich, ale mimo to dostarczą nam materiałów do twojej dysertacji o legendzie.

— Ale czy to nie brzmi sensownie, że Jezus musiał gdzieś zdobyć doświadczenie duchowe? — zapytała Kristin.

— Niekoniecznie — odparł profesor. — Nowy Testament opisuje chrzest Jezusa, kiedy ten miał około trzydziestu lat, udzielony mu przez Jana, jako punkt zwrotny w życiu, po którym Jezus rozpoczął swoje nauczanie. Swoją wyjątkową wiedzę zdobył dzięki mocy Ducha Świętego, będącej w nim od urodzenia, a nie od jakichś hinduskich guru, którzy nauczyli go medytacji.

— A co powiesz o specyfice jego nauczania? — dociskała Kristin.

— A czy Jezus musiał udawać się do Indii, by odkryć pewne prawdy o świecie?

— O Boże — przerwał im Grant. Wpatrując się w komputer trzymany na udzie, poczuł, że krew odpływa mu z głowy tak gwałtownie, iż mógł stracić przytomność. — Zdjęcia zniknęły.

Kristin zajrzała mu przez ramię. Zerknąwszy na pusty folder na pulpicie, podniosła aparat z podłogi.

Walcząc z mdłościami podchodzącymi mu do gardła, Grant zaczął przeszukiwać wszystkie pliki. Odpowiedź przyszła zbyt szybko. Poza kilkoma logotypami i zdjęciami systemowymi jego twardy dysk nie zawierał żadnych fotografii, nawet tych, które Grant miał od lat. *Ale były tu jeszcze wczoraj wieczorem!*, wściekał się w duchu. Planował wrzucić je do sieci, ale wtedy odkrył, że upubliczniono teksty Issy.

— Grant — powiedziała Kristin drżącym głosem.

Podniósł wzrok znad komputera. W jej oczach zbierały się łzy. Trzymała małe plastikowe etui w jednej ręce i aparat w drugiej.

— Aparat. Karta. Są puste.

Myśli Granta galopowały. Najpierw wyciekła wiadomość. Komputer. Aparat. Jego odkrycie zostało skompromitowane. *Ale w jaki sposób?*

Rozdział 20

Uniwersytet Emory

Atlanta, Georgia

Mercedes zatrzymał się przy krawężniku przed budynkiem z białego kamienia — Aulą im. Glenna na Uniwersytecie Emory, która dzięki rzędom doryckich kolumn wyglądała jak grecka świątynia. Szofer wyłączył silnik, wysiadł, obszedł auto i stanął przy tylnych drzwiach pasażera.

Siedzący na tylnym siedzeniu William Jennings zwrócił się do swojego szefa.

— Oto chwila, o którą się modliłeś, Brianie.

Brady patrzył przez okno. Gasnące światło zachodzącego słońca skąpało ognistym blaskiem majestatyczne dęby rosnące na trawniku przed wejściem do budynku. Po chodniku maszerowały dwa tuziny osób z transparentami. Tuż przed mercedesem zaparkowała biała ciężarówka z czerwonymi literami na boku i antenami satelitarnymi na dachu.

— CNN — Brady uśmiechnął się szeroko. — I protestanci!

— Z naszego zgromadzenia. Dwie godziny temu przyjechali autokarem z Birmingham. Niestety, władze uniwersytetu nie wpuściły ich do środka, ponieważ po wybuchu bombowym, który miał tu miejsce dwa tygodnie temu, mogą tam wchodzić tylko studenci tego uniwersytetu. Ale i tak znajdą się w przekazie medialnym.

Brady przytaknął. Zawsze mógł polegać na Jenningsie. Jego najbliższy współpracownik wyjaśnił mu swoją strategię poprawy wizerunku Brady'ego oraz podniesienia sprzedaży książki i przez ostatnie dwa dni pracował niestrudzenie, by na ostatni guzik dopiąć wydarzenie, które miało odbyć się tego wieczoru. *Głos wiernych*. To już rola Brady'ego. Patrząc na wóz telewizyjny oraz protestantów, wielebny pragnął już przywitać się ze swoimi zwolennikami.

— Czy przejrzałeś akta Granta Matthews'a, które ci przygotowałem?

— Pobieźnie, ale daj spokój. Recytowanie przygotowanego przemówienia sprawi, że wypadnę na sztywniaka. Robię to każdej niedzieli przed tysiącami ludzi. Dam radę poprowadzić dyskusję ze studentem.

— Jestem pewien, że jak zwykle wypadniesz doskonale, ale nie oceniaj go zbyt nisko. Ci doktoranci są dobrze zaznajomieni z biblijnymi historiami, a wygłaszanie kazań przed uwielbiającą cię publicznością to nie to samo, co debata z naukowcem w gmachu uniwersytetu.

— Znasz kogoś, kto potrafiłby tak cytować Pismo jak ja? Więc może sobie mieć więcej tytułów naukowych niż ja, ale brakuje mu najważniejszej rzeczy.

— Czyli czego?

— Wiary. Wiary, mój przyjacielu.

— Jestem więc pewien, że nie będziesz potrzebował tych notatek. — Jennings poklepał skórzaną teczkę, którą trzymał na kolanach. — Ale na wszelki wypadek położę ją przy twoim miejscu.

Brady wyjrzał przez okno i popatrzył na aulę.

— Zatem do dzieła.

— Poczekaj chwilę. Zaplanowałem to wyjście.

— Cóż, jestem gotowy i... — Brady ucichł, gdy zobaczył, że protestujący zebrali się tuż obok jego szofera, tak jak poinstruował ich wcześniej Jennings.

Ich skandowanie było balsamem na uszy Brady'ego.

— Wielebny Brady, ocal naszego Jezusa! — Mocne światło zalało jego parafian, z auta CNN wysiedli kamerzyści i oświetleniowcy. Gdy tylko tłumek zauważył obecność kamery, skandowanie przybrało na sile.

— Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać, Williamie.

— Taką mam pracę.

Szofer otworzył drzwi. Wielebny zwlekał przez chwilę, by światła kamery zdążyły uchwycić jego sylwetkę. Następnie wysiadł z auta, przy wiwacie swoich ludzi. Uśmiechał się spokojnie, w doskonale dopasowanym garniturze od Armaniego. Zanurzył się w wielbiący go tłum, podobnie jak czynił to każdej niedzieli, kiedy stawał w świetle jupiterów na scenie kościoła. Dziś wieczorem będzie inaczej.

Dziś oglądać go będą miliony.

Rozdział 21

Aula imienia Glenna

Atlanta, Georgia

— Nie wierzę, że się na to zgodziłem. — Pocąc się w wieczornym chłodzie, rozpiął guziki blezera Banana Republic.

Chociaż nie przywykł jeszcze do nowej laski, utrzymywał szybkie tempo, idąc Pishburne Drive w stronę Auli imienia Glenna. Kiedy ortopeda zdjął mu rano gips, powiedział, że Karma wykonał pierwszorzędną robotę, nastawiając kości, ale Grant był przerażony, widząc posuniętą atrofię nogi po sześciu tygodniach od wypadku.

W chaosie ostatnich dwóch dni prawie zapomniał o nodze. Poradziwszy sobie z szokiem wywołanym zniknięciem zdjęć zrobionych przez Kristin, większość czasu poświęcał ustaleniu, jak to się stało. Rozpoczął nie za dobrze. Jego teoria, że ktoś mógł w jakiś sposób ukraść ich sprzęt, skasować zdjęcia i zwrócić komputer i aparat, nie zrobiła wrażenia na policji w Atlancie. Nawet Grant wypowiedziawszy ten pomysł na głos, usłyszał, że brzmi nedorzecznie: w jego mieszkaniu nie było śladów włamania, nic nie zginęło, a komputer i aparat cały czas mieli w zasięgu wzroku. Może poirytowani oficerowie mieli rację. Może Grant zrobił jakiś błąd, zgrywając zdjęcia? Zazgrzytał zębami, gdy uświadomił sobie, że nie ma żadnych tropów, którymi mógłby podążać.

Kilka godzin po odkryciu, że zdjęcia zaginęły, zadzwonił do Karmy, by ustalić sposób dostarczenia czegoś Kinleyowi. Planował kupić niedrogi aparat cyfrowy i nadać go FedExem do swojego bhutańskiego lekarza, by ten z kolei dostarczył go Kinleyowi. *Ale czy Kinley zgodzi się zrobić zdjęcia?* Raz po raz zadawał sobie to pytanie, dopóki Karma nie podszedł do telefonu. Słowa doktora jeszcze bardziej dobiły Granta. Tego dnia rano Kinley wyruszył „na wycieczkę”, jednak doktor nie wiedział dokąd.

Przyspieszył i szarpnięciem rozpiął guzik przy szyi, który nagle zaczął odcinać mu dopływ tlenu. Kinley musiał dowiedzieć się, do czego doszło. Dlaczego się z nim nie skontaktował? A jeśli to lama zareagował na rozgłos związany z tekstami Issy? Mógł odesłać gdzieś mnicha. *A co z tekstami?* Grant starał się nie myśleć, jaką reputację zyskał Notowicz sto lat wcześniej, gdy okazało się, że nigdzie nie można znaleźć manuskryptu z Hemis. Dobre i to, że w całym tym zamieszaniu związanym z odkrytymi przez niego tekstami nigdzie nie padła nazwa klasztoru w Punakha. Ale jak długo uda się zachować ją w tajemnicy? Najbardziej niepokojące było to, że zniknęły zdjęcia. *Co się z nimi stało?*

— Grant — głos Kristin przerwał mu tok myślenia. — Nie wiem, od ilu godzin powtarzasz sobie najważniejsze punkty swojego wystąpienia. Będzie świetnie.

Jej wysokie obcasy stuknęły po chodniku. Grant zwrócił się w jej stronę, ale nie zwolnił nerwowego tempa marszu. Nigdy wcześniej nie widział jej ubranej inaczej niż w cygańską spódnicę czy wytarte dżinsy oraz traperskie buty, ale równie dobrze wyglądała w oficjalnym stroju. Beżowy

kostium, który nabyła w centrum handlowym specjalnie na tę okazję, podkreślał atuty jej figury — był dość konserwatywny, ale nie ukrywał atletycznej budowy jej ciała. Odkrywszy brak zdjęć, nalegała, że zostanie dłużej. Odesłała zaległy artykuł do swojej redakcji i pomogła Grantowi przygotować się do tego wieczoru. Nawet Billingsly nie przewidział tego, w jakim stopniu media zainteresują się jego odkryciem. Tak jak sądził, formowały się już sprzeciwy kół ewangelizacyjnych. Najgłośniej protestował kościół mający siedzibę w sąsiednim stanie, Alabamie, megakościół zwany New Hope. Dlaczego w ogóle zgodził się na spotkanie z pastorem potępiającym jego odkrycie?

Ponownie spojrzął na Kristin. Nie tylko był jej wdzięczny za pomoc, lecz także musiał przyznać, że czuł się spokojniejszy, kiedy była obok. Rozsiewała jakąś niesamowitą energię, a przy tym twardo stąpała po ziemi. Nie miała nic do stracenia, w przeciwieństwie do niego, ale bardzo się zaangażowała.

— Po prostu lepiej się czuję podczas dyskusji jeden na jednego, a nie w takim medialnym cyrku — mruknął.

— Pomyśl o tym jak o treningu przed zajęciami z grupą nowo przyjętych studentów.

— Cóż, na moich zajęciach nie będzie kamer. — Uderzał laską o chodnik za każdym razem, gdy robił kolejny, szybki krok. Wczoraj rano zaschło mu w gardle, gdy Billingsly obwieścił, że jego pierwszym wystąpieniem w mediach, o ile przyjmie zaproszenie, będzie debata z wielebny Brianem Bradym z New Hope przed liczoną w setkach publicznością złożoną ze studentów i pracowników Emory oraz milionami przed telewizorami. Grant miał zaledwie dzień, by przemyśleć problem zaginionych zdjęć, a teraz jeszcze trzeba było się przygotować do konfrontacji. Z początku odmówił, ale Kristin przekonała go, by zmienić zdanie.

— Zgadzam się z profesorem Billingslym — powiedziała. — Najlepszym sposobem przekonania mnichów do udostępnienia dokumentów jest wywarcie na nich międzynarodowego nacisku. Nie poradzimy sobie bez mediów.

— Tylko dlaczego nie zorganizowano panelu dyskusyjnego naukowców? — Grant podniósł głos, chociaż usilnie starał się go kontrolować. — Dlaczego mam debatować z fundamentalistycznym kaznodzieją, który uważa, że przemawia przeze mnie Szatan?

Z autopsji znał to, co przeczytał o tym człowieku. Przypomniawszy sobie każdą niedzielę swojego dzieciństwa: siedział w pierwszym rzędzie małego kościoła, przyglądając się, jak jego ojciec, czerwony na twarzy z emocji, pryskając śliną, nalega, by jego parafianie zeszli z drogi grzechu.

— Jest znany i dość kontrowersyjny. Naukowiec kontra kaznodzieja. — Kristin uśmiechnęła się do niego. — Wyjdzie z tego świetne widowisko telewizyjne. Jak myślisz, czemu stacja CNN zgodziła się przysłać swoich reporterów?

— Przedstawiasz to jak walkę bokserską.

Byli już blisko auli, a Grant czuł, że jest mu za gorąco. Stał, żeby zdjąć marynarkę i przerzucić ją sobie przez ramię. Przed kamerami telewizyjnymi nie chciał wyglądać na bardziej zdenerwowanego niż był.

Rozumiał już, że fundamentaliści będą starali się zmienić to wydarzenie w cyrk, a dokładnie tego chciał uniknąć Lama Dorji na terenie sielankowego klasztoru. Najlepszym wyjściem będzie więc stłumienie opozycji w zarodku. To był jedyny powód, dla którego Grant zgodził się na udział w debacie.

Kristin dotknęła jego łokcia.

— Urobiłeś się po pachy, przez tyle lat szykując się na tę chwilę. Nie przejmuj się jego stylem i teatralnymi zagrywkami, ponieważ to wszystko, na co go stać. Ty posiadasz coś znacznie ważniejszego: znajomość meritum sprawy.

— Skąd oni się wzięli? — Grant stanął jak wryty.

Przy schodach prowadzących do auli stało chyba dwudziestu skandujących coś protestantów. Grant skupił wzrok na transparencie trzymanym przez kobietę w średnim wieku: plakat przedstawiał Jezusa z uniesionymi rękami (oraz z długimi jasnymi włosami, takimi jak włosy trzymającej transparent kobiety) stojącego na cmentarzu. Na nagrobkach widniały imiona: Mahomet, Budda, Mojżesz, Laozi, Konfucjusz. U góry czerwonym tuszem napisano: „Tylko Jezus nadal żyje”.

— Ci akurat nie wyglądają na studentów — powiedział.

* * *

W drodze do budynku Grant przywitał się z kilkoma przyjaciółmi i współpracownikami, a teraz wiercił się na krześle za prostokątnym stołem na scenie auli. Wysoki na czterdzieści stóp sufit wznoszący się nad rzędami białych miejsc do siedzenia zdawał się sugerować, że Grant znalazł się poza swoim środowiskiem. Aula imienia Glenna była nie tylko największą salą wykładową na kampusie, lecz pełniła jeszcze inną funkcję — od 1931 roku była salą zgromadzeń dla Zjednoczonego Kościoła Metodystów.

Ostatnim razem Grant przestąpił próg kościoła dziesięć lat wcześniej, podczas pogrzebu swojego ojca, ale na skutek skandalu przyszło niewielu ludzi, tylko rodzina i kilkoro bliskich przyjaciół. Dzisiejszego wieczoru aulę wypełniały setki.

Próbował wśród zapełnionych rzędów odnaleźć twarze pracowników i studentów swojego wydziału. Kilku do niego pomachało. W głowie szumiało mu od stłumionych rozmów. Wyglądził żółty, prawniczy notes, który ładnym charakterem pisma zapełnił starannymi notatkami; w tym czasie Kristin naląła mu szklankę wody z dzbanka na stole. Przyglądając się, jak skroplona para spływa po zewnętrznych ściankach dzbanka, żałował, że założył niebieską oksfordzką koszulę: będzie widać pot, który już zaczął zbierać się na torsie. Kristin przesunęła palcem po naczyniu, rysując uśmiechniętą buźkę.

— Masz, wypij — podała mu wodę. — I nie zapomnij oddychać, tak jak uczył cię Kinley.

— Dzięki.

W jednej chwili oślepiło go jaskrawe światło. Osłaniając oczy, dostrzegł, że włączono kamerę, stojącą na dużym statywie przed pierwszym rzędem. Krzątał się przy niej technik, robiąc konieczne poprawki.

— Pan Matthews?

Zbliżył się do niego jakiś siwy człowiek ze starannie ułożoną fryzurą i w garniturze szytym na miarę. Grant od razu go rozpoznał, chociaż nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska. Mężczyzna miał mocniejszy makijaż niż Kristin, którą Grant dziś po raz pierwszy widział umalowaną.

— Witam. — Grant uścisnął wyciągniętą dłoń.

— Cieszę się, że mogę pana poznać. Charles Dawson, będę dziś moderatorem dyskusji.

Tak, Dawson. Od razu skojarzył miękki baryton gwiazdora CNN, prowadzącego weekendowe wydania wiadomości.

— Miło cię poznać, Charles. Obchodź się ze mną łagodnie. Jestem telewizyjnym prawnikiem. — Nawet udało mu się roześmiać.

— Nie masz się czym martwić. Nie idziemy na żywo. Wytniemy nudne kawałki. — Prezenter starannie wymawiał każde słowo. — Przy okazji, dokonałeś fascynującego odkrycia. Cieszę się, że dowiem się czegoś więcej.

Przypominając sobie radę Kristin, Grant zaczerpnął powietrza i wypuścił je, starając się zmusić mięśnie ramion do rozluźnienia. *Może nie będzie tak źle*, pomyślał. Dawson wydawał się dość miły i z pewnością będzie bardziej sprzyjał stanowisku Granta niż jakiegoś fundamentalisty z Alabamy.

Z tyłu sali powstało jakieś zamieszanie. To protestanci wszczęli kłótnię z ochroną kampusu stojącą przy drzwiach. Dawson dał znak kamerzyście, który odwrócił dużą kamerę telewizyjną, by móc sfilmować zajście.

— Nigdy nie wiadomo, kiedy uda się nakręcić jakiś ciekawy materiał — zażartował prezenter.

Grant przyglądał się ludziom próbującym wdrzeć się na imprezę zamkniętą. Jakiś człowiek przemknął obok nieuważnych strażników i usiadł na krześle w ostatnim rzędzie. Niski mężczyzna o szerokich ramionach, z włosami obciętymi po żołniersku, wyprostowany jak na służbie. Twarz miał zaczerwienioną, jakby biegł całą drogę. *Nie wygląda na pracownika uniwersytetu i jest za stary na studenta*, pomyślał Grant.

Tak samo nagle jak wybuchło zamieszanie, zapadła cisza. Protestujący rozstąpili się, by przepuścić osobę wyłaniającą się z ciemności wieczoru. Światło kamery oświetliło najpierw sprzączkę paska, który podtrzymywał szerokie, ale szyte na miarę spodnie od garnituru. Mężczyzna powiedział coś do otaczających go ludzi, czego Grant nie mógł usłyszeć. Rozpromienili się jak groupies, gdy staną twarzą w twarz ze swoim rockowym idolem. Po chwili protestujący cichutko odeszli od drzwi, z wyjątkiem wyglądającego jak żołnierz mężczyzny, który pozostał w ostatnim rzędzie. Grant rozważał, czy powinien kogoś zawiadomić, ale po chwili jego uwagę przyciągnął wielebny Brady, który szedł już po schodkach prowadzących na scenę. Zanim dziesięć minut temu Grant wszedł do budynku, zauważył, że Brady rozmawia z ekipą obsługującą drugą kamerę na stopniach gmachu. Scena ta mogłaby pochodzić z niezliczonych filmów, w których prokuratorzy pozują przed sądem przed finałową rozprawą. Grant tylko spuścił głowę i pospiesznie przeszedł, nierozpoznany przez nikogo.

Rozmowy wśród publiczności ucichły, w niecierpliwym oczekiwaniu na rozpoczęcie. Brady podawał rękę ludziom siedzącym najbliżej przejścia, innym kładł ręce na ramionach, przypominając Grantowi prezydenta wchodzącego do Izby Reprezentantów z zamiarem wygłoszenia orędzia o stanie państwa.

— Ten to się umie pokazać — skomentował Dawson. — Będzie zabawnie.

Grant był pewien, że sam nie użyłby słowa „zabawnie”. W tym jednym momencie spokój, który czuł jeszcze przed chwilą, wyparował. „Oddychaj”, wyszeptał mu ktoś do ucha. Poczuł, jak Kristin ściska go za rękę. Po chwili kobieta zeszła ze sceny i zajęła miejsce w pierwszym rzędzie obok profesora Billingsly’ego. Siedzieli dokładnie na linii jego wzroku.

* * *

— Panie i panowie, dzień dobry. Jestem Charles Dawson z telewizji CNN. — Dawson przemawiał bardziej do kamery niż do publiczności, siedząc za pulpitem obok stołu, przy którym zasiedli Grant i Brady. — Nadajemy dziś dla państwa dyskusję z Uniwersytetu Emory w Atlancie dotyczącą nowego, wywrotowego odkrycia związanego z jedną z najświętszych ksiąg świata, Biblią. Czy zbiór dokumentów odkrytych w odległym klasztorze w Azji może zmienić sposób postrzegania osoby Jezusa Nazareńskiego? Pozwólcie, że przedstawię naszych gości.

Grant niewiele słyszał ze wstępu Dawsona. Skupił się na leżącym przed nim żółtym notatniku i swoich zapiskach. Znowu zaschło mu w ustach. Sięgnął po szklanekę. Kątem oka dostrzegł, że

zrelaksowany wielebny siedzi rozparty na krześle po drugiej stronie stołu, jakby właśnie zasiadł do smacznego posiłku.

— Zaczniemy od kandydata do stopnia doktora, pana Matthews. Czy mógłby nam pan opowiedzieć o odkryciu tych tekstów?

— Oczywiście, hm... — zająknął się. — Cóż, rozumiecie państwo... — Poczł falę gorąca ogarniającą jego ciało. Chociaż silne lampy świecące mu prosto w twarz zasłaniały widok na dalsze rzędy, czuł, że wszyscy zebrani mu się przypatrują. Skupił spojrzenie na Kristin i Billingslym, którzy potakiwali głowami. Ponownie zerknął do notatek, ale miał problem z odczytaniem swojego pisma. To, co chwilę temu było dobrze przygotowanym planem, zmieniło się w nieczytelne bazgroły.

— Przepraszam — wtrącił Dawson — czy mógłbyś przybliżyć do siebie mikrofon; mamy problem z rejestracją twojego głosu.

Grant był wdzięczny za tę szybką reakcję, sięgnął po mikrofon stojący przed nim na stole, ale potracił szklanekę z wodą. Błyskawicznie ją złapał, zanim się wywróciła. Wyciekło tylko kilka kropel, ale Grant, łapiąc szklanekę, potracił mikrofon, który upadł na blat, posyłając przez głośniki ogłuszający trzask. Odsunawszy szklanekę na bezpieczną odległość, postawił mikrofon i przysunął go bliżej twarzy. Strach przed tym, że zapomni, co miał powiedzieć, został zastąpiony przez wstyd. Usłyszał chichoty dochodzące z sali.

— Niezły refleks, Grancie — usłyszał spokojny głos zza pulpitu. — Nie przejmuj się. Nagrywamy. Zaczniemy jeszcze raz. — Prezenter umilkł i uśmiechał się do kamery do chwili, gdy stojący obok kamerzysty producent dał mu znak. Kontynuował tak, jakby niezdarność Granta nigdy nie zakłóciła przebiegu programu. — Czy mógłbyś zaskoczyć nas historią, którą odkryłeś w tych tekstach?

Grant gapił się na publiczność. Kristin wyglądała spokojnie, nie było po niej widać oznak paniki, jaką on odczuwał. Spotkali się wzrokiem. Uświadomiwszy sobie, że wstrzymuje oddech, powoli wypuścił powietrze z płuc. Pochylając się nad mikrofonem, zmusił się do uśmiechu, który — miał nadzieję — nie wyglądał fałszywie.

— Oczywiście, Charlesie — zaczął, a potem krótko streścił przebieg swojej podróży oraz odkrycie w klasztornej bibliotece, nie wspominając, że chodzi o Punakha i nie mieszając w to Kinleya.

Słowa wydawały się wydobywać gdzieś z głębi niego, bardziej jak odległe echo pobrzmiwające w głowie niż produkt jego ust. Poprzedniego wieczoru wraz z Kristin powtarzał sobie to wystąpienie co najmniej tuzin razy. Ku jego zaskoczeniu, im dłużej mówił, tym stawało się to prostsze. Rozluźnił zaciśnięte dłonie leżące dotychczas na kolanach i zaczął spokojnie gestykulować. Opisał stan przykurzonych ksiąg i gruby pergamin.

— Skąd możemy wiedzieć, że te dokumenty naprawdę pochodzą z czasów, gdy Jezus chodził po ziemi? — zapytał Dawson.

— Na tę chwilę tego nie wiemy — odparł Grant, jako że spodziewał się tego pytania. — Chcę podkreślić, że to, co zostało opublikowane na stronie internetowej, to dopiero wstępne tłumaczenie tekstów. Wyciąganie wniosków na temat autentyczności lub czasu powstania jest w tym momencie czystą spekulacją.

— Dlaczego więc mieszacie ludziom w głowach czymś, co może okazać się produktem nadpobudliwej wyobraźni jakiegoś mnicha, albo, co gorsza, zwykłym oszustwem? — zagrmiał wielebny Brady. Stalowy błysk w jego oczach oraz szeroki uśmiech, który był jeszcze bielszy niż Dawsona, skojarzył się Grantowi z rekinem z filmów emitowanych przez Discovery Channel. *Oddychaj*, pomyślał. Nie miał zamiaru dać się zapędzić w kozí róg.

Zmusił się, by odpowiedzieć Brady'emu z uśmiechem.

— Minęły dekady, zanim naukowcy zyskali dostęp do tekstów rękopisów z Qumran tak zazdrośnie strzeżonych przez nielicznych. My chcemy, by badacze mogli sami podjąć decyzję od razu, a nie wiele lat po fakcie.

— Dlaczego zatem nie ujawniono jeszcze właściwych manuskryptów? — wypalił wielebny.

Grant starannie przemyślał odpowiedź.

— Kiedy będziemy omawiać z władzami procedury posłania grupy naukowców, by dokładnie je zbadali, teksty pozostaną bezpiecznie ukryte w klasztorze, w którym przeleżały setki lat. — Poczul napięcie w karku.

— Wielebny, rozumiem, że ma pan wątpliwości dotyczące autentyczności tekstów? — zadał pytanie Dawson.

— Od czasów Jezusa ludzie próbowali używać jego imienia dla swoich celów. Wystarczy spojrzeć, jakie głupoty napisano w tak zwanych ewangeliach gnostyków. To ostatnie znalezisko niczym się od nich nie różni. Nie mam złudzeń, że teksty Issy okażą się tyle warte co ewangelie gnostyków, napisane przez heretyków wiele lat po wydarzeniach, których dotyczą.

— Ależ wielebny, jak może pan tak twierdzić, skoro manuskrypty nie zostały jeszcze poddane testom? — zapytał Dawson. — A jeśli okaże się, że pochodzą z czasów Jezusa?

— Charlesie, to są jakieś dzikie spekulacje. Do tej pory nie zobaczyliśmy jeszcze tych tekstów. Nie wiemy nawet, czy istnieją. — Brady zmierzył Granta wzrokiem. — Cały pomysł, że Jezus poznał swoje boskie nauki od jakiegoś guru w Indiach, jest absurdalny.

— Absurdalny? — wtrącił się Grant. — Nowy Testament w żadnym miejscu nie przeczy temu, co znaleźliśmy w tekstach Issy.

— Tak jak to opisałem w mojej książce *Dlaczego Bóg jest taki zagniewany?* — Brady podniósł egzemplarz książki ze stołu i pokazał ją do kamery — chrześcijaństwo jest jedyną drogą do zbawienia. W Ewangelii świętego Jana, rozdziale czternastym, wersecie szóstym jest napisane: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie”. — Brady głęboko odetchnął. — Obawiam się, że od kilku lat jesteśmy świadkami tego, do czego prowadzi sprzeciwianie się woli bożej.

Grant poczuł, że krew uderza mu do głowy. Pastor podczas pierwszej publicznej debaty o tekstach Issy wykorzystał okazję, by zareklamować swoją książkę! Już otworzył usta, by odpowiedzieć kilkoma przykładami ilustrującymi wpływy wcześniejszych religii na teksty zawarte w Biblii, chociażby takimi jak historia opisana w eposie o Gilgameszu, która jest o wieki starsza niż podobna historia o Noem w Księdze Rodzaju. Mógł też wskazać hojne zapożyczenia w kanaańskiej charakterystyce Boga z powstałych wcześniej koncepcji hebrajskich bóstw. Jego zdaniem z tekstami Issy było podobnie. Poza tym, pomyślał, *religie zostały stworzone przez ludzi, by wyjaśnić to, co niepewne, i rozświetlić cel naszej egzystencji, a te wytwory wyobraźni nigdy nie powstawały w próżni*. Wtedy właśnie wpadł na inny pomysł.

— Wielebny — zwrócił się do Brady’ego — jak rozumiem, uważa się pan za eksperta, jeśli chodzi o znajomość Biblii?

— Synu, studiuję Pismo Święte od czasów, gdy ty chodziłeś jeszcze w pieluchach.

— Więc może pan wskaże, w którym miejscu Biblia opisuje, co Jezus robił pomiędzy dwunastym a dwudziestym dziewiątym rokiem życia?

Brady otworzył usta, by odpowiedzieć, po czym znów je zamknął i wbił w niego wzrok.

— Jezus mieszkał ze swoją rodziną w Nazarecie, gdzie uczył się na cieślę, jak jego ojciec, Józef.

— Ale Biblia o tym nie mówi. Nieprawdaż, wielebny? — Grant rozluźnił palce zaciskające się na udach, które chwilę przedtem bezwiednie chwycił. — Właściwie Biblia zupełnie nie wspomina

o tym okresie jego życia, czyż nie?

Przez salę przeszedł szmer.

Twarz Brady'ego poczerwieniała, ale jego głos pozostał spokojny.

— Biblia o tym milczy, ponieważ w tym czasie nic ważnego się nie zdarzyło. Ale Pismo wyraźnie mówi o najważniejszych faktach: Jezus narodził się z dziewicy Maryi jako Syn Boży, dlatego nie musiał podróżować po odległych krainach, by zyskać natchnienie. Ale pan chyba podaje w wątpliwość także Jego dziewicze poczęcie. Nieprawdaż, synu?

— Domniemywam, że opowieści o narodzinach zostały napisane w czasach, kiedy ludzie nie posiadali zbyt szczegółowej wiedzy na temat reprodukcji. — Mówiąc to, Grant znowu gestykulował. Znalazł się na znanym gruncie. — Kobieta była wówczas postrzegana jako naczynie dla męskiego nasienia, a nie jako jedna ze stron rysopisu genetycznego dziecka. Zatem, wielebny, czyż Jezus w ewangeljach nie jest nazywany zarówno Synem Bożym, jak i Synem Człowieczym?

— Te zwroty się wzajemnie nie wykluczają.

— A jednak mówi pan o nim jedynie jako o Synu Bożym, choć on sam określa się w ten sposób tylko sześciokrotnie i to zwykle wtedy, gdy ktoś inny najpierw tak go nazywa. Z drugiej strony, Jezus nazywa się Synem Człowieczym osiemdziesiąt pięć razy. Czy nie powinniśmy wobec tego podkreślać człowieczeństwa Jezusa? Człowieka, którego okoliczności i wpływy doprowadziły do działalności duszpasterskiej?

Brady założył ręce na piersi.

— Jezus był człowiekiem, nie przeczę, ale był też wcieleniem samego Boga, przysłanym, by nas zbawić.

Grant pochylił się nad stołem w kierunku Brady'ego oraz publiczności.

— Do Augusta Cezara ludzie również zwracali się jako do syna bożego oraz boskiego władcy, podobnie jak do Aleksandra Wielkiego oraz króla Dawida. Rzymska mitologia, naśladowująca grecką, zawiera wiele historii o bogach zapładniających kobiety. Na przykład Herakles czy Herkules narodził się ze śmiertelnej kobiety, a jego ojcem był bóg Zeus. Tę historię zapewne znali autorzy Nowego Testamentu.

— Nonsens — sarknął Brady. — Chyba wszyscy znamy różnicę między Słowem Bożym a głupimi pogańskimi historyjkami.

— Doprawdy? — zapytał Grant. — Zakładam, że jest pan świadomy tego, iż najstarszy tekst Nowego Testamentu, czyli Ewangelia wg św. Marka, i listy Pawła w żadnym miejscu nie wspominają o dziewiczym poczęciu?

— Oczywiście.

— Dobrze, zatem ta historia pojawia się jedynie w ewangeljach Mateusza i Łukasza, spisanych jakieś osiemdziesiąt lat po tym, jak doszło do cudownych narodzin, kiedy autorzy, którzy osobiście nigdy Jezusa nie spotkali, próbowali stworzyć grupę jego naśladowców. Ach, a szczegóły narodzin istotnie się różnią w obu tych ewangeljach.

Brady uniósł dłoń, jakby chciał go uciszyć.

— Wyświechtany argument niedowiarków. Każdy nowotestamentowy autor skupiał się na innych aspektach życia Jezusa. To, że jeden autor uznał za stosowne opisać inne fakty niż pozostali, nic nie znaczy.

— Także to, że wszyscy zdecydowali nie opisywać podróży Jezusa, które odbył w ciągu tych brakujących dwudziestu lat? — dodał Grant.

— Ja tak nie twierdzę! — Brady po raz pierwszy podniósł głos. — Pan przekręca moje słowa.

— Wielebny — z wprawą wtrącił się Dawson — pan Matthews tylko próbuje pokazać, że skoro

Biblia zawiera luki w życiorysie Jezusa, a także opowieści o nim, które można by interpretować jako mitologię...

— Mitologię? — zagrzemiał Brady. — Obaj nie rozumiecie, że inne opowieści, czy to pogańskie, hinduskie czy buddyjskie, są nieistotne, ponieważ Biblia jest jedynym źródłem pisany zawierającym prawdziwe Słowo Boże! — Ponownie podniósł swoją książkę i potrząsnął nią nad głową, jakby wymachiwał Biblią. — Tutaj wszystko wyjaśniłem.

— Przykro mi — Grant pochylał się nad mikrofonem — ale według mnie to zbyt proste wytłumaczenie. Biblia jest w stu procentach wiarygodna, a inne źródła, twierdzące coś przeciwnego, są dziełem Szatana?

— Wreszcie się w czymś zgadzamy — uciał dyskusję Brady. Pojedyncze wybuchy śmiechu przywróciły mu spokojniejszy wygląd.

— Jak pan może tak twierdzić? — zapytał Grant.

— Twierdę tak, młody człowieku, ponieważ mam wiarę. Wiara w to, że Biblia jest doskonale skończonym i nieomylnym słowem Boga. Wiem, że *wiara* jest wyklęta wśród środowiska akademickiego, ale to ona kieruje moim życiem. Pozwala mi spać spokojnie w nocy, bo wiem, że Bóg się mną opiekuje.

— Wiara w Boga to jedno, a dosłowne odczytywanie Biblii jako jedynego i nieomylnego sposobu, w który Bóg przemawia do świata, po prostu nie...

— Może dla was nie ma sensu — gładko wtrącił się Brady, sprawiając, że Grant zasignalizował to spojrzeniem Dawsonowi — ponieważ zamknęliście oczy na prawdę. Podchodzicie do Biblii, mając z góry przyjęte założenia na temat tego, jaki powinien być świat. Albo akceptujecie Biblię taką jaka jest, albo nie. To naprawdę proste.

— Wielebny — powiedział Dawson — skąd pan wie, że Biblia jest jedynym, dosłownym Słowem Bożym?

Brady odpowiedział bez zastanowienia.

— Paweł w pierwszym rozdziale Listu do Galatów, wersetach ósmym i dziewiątym, napisał: „Ale gdybyśmy nawet my lub anioł z nieba głosił wam Ewangelię różną od tej, którą wam głosiłszy — niech będzie przeklęty”.

— Czy nie zauważył pan, że te argumenty to błędne koło? — powiedział Grant. — Mówi pan, że Biblia jest wiarygodna, ponieważ jest Słowem Bożym, a wierzy pan w to, że jest Słowem Bożym, bo tak napisano w Biblii. Opiera pan autentyczność dokumentu na nim samym.

Na obliczu Brady'ego pojawił się wyraz irytacji, ale pastor przemówił wyważonym tonem.

— Nie, synu, polegamy na mojej wierze.

— Więc każde słowo w Biblii dotyczące Jezusa jest w stu procentach prawdziwe i właściwe?

— Wreszcie usłyszałem coś inteligentnego — Brady pokazał w uśmiechu swoje olśniewające zęby. — Zapomniał pan dodać, że to źródło jest również kompletne. Gdyby Bóg chciał, byśmy posiadli jeszcze inne informacje o Jezusie, tak pokierowałby autorami, by je zawarli w Biblii.

Grant pokręcił głową. Dyskusja z Bradym była odległym echem jego wczesnej młodości.

— Biblia powinna być odczytywana w kontekście czasu, w którym została spisana — powiedział. — W czasach biblijnych trzęsienia ziemi, susze, powodzie i burze piaskowe przypisywano rozżłoszczonym bogom, a nie zmieniającej się pogodzie. Ludzie nie mieli pojęcia o mikrobiologii, zarazkach. Choroba była postrzegana jako kara boska za popełnione grzechy. Schizofrenia i inne choroby psychiczne wynikały z opętania demonami, a nie z braku równowagi w chemii mózgu.

— Na własne oczy widziałem ludzi, którzy zostali uzdrowieni z chorób dzięki swojej wierze w Jezusa — Brady podniósł głos.

— Lekarze nazwaliby to efektem placebo — skwitował Grant. — To właśnie dlatego nowe leki poddawane są testom podwójnej ślepej próby. Jeśli chorej osobie dasz cukrową pastylkę i powiesz jej, że to lekarstwo, poczuje się lepiej tylko dlatego, że wierzy w działanie specyfiku.

Przymilny uśmiech nie zniknął z twarzy Brady'ego, ale teraz Grant uznał, że wygląda na wymuszony. Na linii starannie ułożonych włosów wielebnego zaczęły się pojawiać małe kropelki potu. On również był tylko człowiekiem.

— Może w waszym świecie da się wszystko przełożyć na teorię naukową lub wzór matematyczny. Ale ja nie chcę żyć w świecie, gdzie Bóg staje się równaniem. Każdego dnia widzę cuda, które przydarzają się ludziom wierzącym w Chrystusa. Dowód nie znajduje się tylko w Piśmie, lecz jest dziś wokół nas.

— Ale i dziś czci się szamanów voodoo na Haiti i znachorów w Afryce, ponieważ uzdrawiają ludzi, podobnie jak Jezus.

Brady wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki jasnoniebieską chusteczkę i otarł czoło, po czym schował ją z powrotem i napił się wody, po raz pierwszy tego wieczoru. W jego głosie pojawił się jad.

— To, czego pragniecie, to zdobycie wiedzy o rzeczach, które powinny pozostać niezbadane. Pożądacie kolejnego kęsa jabłka.

Po tym komentarzu wśród publiczności dał się słyszeć szmer. Dawson uniósł ręce, by uciszyć ludzi. Grant wiedział, że udało mu się zbić wielebnego z tropu.

Dawson odchrząknął i pochylił się nad mikrofonem.

— Zatem, panie Matthews, pana stanowisko jest takie, że Nowy Testament nigdy nie rościł sobie prawa do bycia kompletną historią ani tekstem naukowym o Jezusie?

— Dokładnie — powiedział bez zajknięcia Grant. Czuł, że jego rówieśnicy na widowni spijają każdy jego argument. Uświadomił sobie, że niepotrzebnie tak stresował się Bradym. — Nawet jeśli zapomnimy o brakujących latach oraz problemach naukowych, poszczególne ewangelie przeczą sobie w kwestii szczegółów z życia Jezusa. Na przykład Jan pisze, że Jezus nauczał przez trzy lata, w innych ewangeliami jest mowa o jednym roku. U Jana Jezus wypędza kupców ze świątyni w Jerozolimie na początku swojej działalności publicznej, ale w innych robi to pod koniec. Nawet szczegóły związane ze zmartwychwstaniem różnią się znacząco.

Grant spodziewał się, że wielebny podskoczy, słysząc jego ripostę, ale on schylił się i zaczął przeszukiwać skórzaną teczkę stojącą przy jego krześle. Kiedy wyjął segregator i zaczął czegoś w nim szukać, Grant jeszcze bardziej go podpuścił.

— Która ewangelia jest właściwa, wielebny?

* * *

Tim sięgnął ręką pod rękaw koszuli i zaczął się drapać. Pieczenie na rękach było prawie tak dotkliwe, jak ból w piersiach. Jak on śmie zwracać się do wielebnego bez szacunku? W tej chwili Tim żałował, że nie nacisnął spustu, kiedy kilka nocy wcześniej stał nad śpiącym Matthewsem. Potem przypomniał sobie o ataku bombowym na CZC i jego niezbyt spektakularnych skutkach. Przyglądając się niewierzącym zebranym na widowni, uświadomił sobie, że bomba podłożona w tej auli przyniosłaby znacznie lepszy efekt.

Bluźnierstwo, pomyślał, każde słowo wychodzące z ust tego doktoranta jest bluźnierstwem. Jezus nie był człowiekiem, był Bogiem. Tego Tim nauczył się jako dziecko i wiedział, że to prawda. To

musiała być prawda. Nie można czcić człowieka, to było bałwochwalstwo. Tim przywołał w pamięci opis tego, co według wielebnego stanie się z bluźniercami. Jedyne, czego chciał, to zabić Matthews'a tu i teraz.

Przyglądając się temu, jaką publiczność ma uciechę, widząc oczywiste zmieszanie wielebnego, przypomniał sobie, że przewidział taką reakcję w mailu wysłanym do Brady'ego i Jenningsa. Widział rzeczy, które dla innych były zbyt skomplikowane do zrozumienia. Od chwili, gdy natknął się w sieci na stronę opisującą te znenawidzone teksty Issy, Tim słyszał nawoływanie. Wzywający go głos był tym, na który czekał przez całe życie: był głosem Jezusa prowadzącym go ku przeznaczeniu.

Zdjął dłoń z przedramienia i zajął się czołem. Podważywszy paznokciem kciuka kawałek luźnej skóry tuż nad brwią, szarpnął ją i upuścił na podłogę. Świąd złagodniał. Po raz pierwszy w życiu Tim rozumiał jego cel — jego znaczenie w boskim planie. A teraz miał o wiele bardziej potężnych współników niż ten nieudaczny Johnny. Zasłużył sobie na odkupienie i uznanie, o które się modlił. Skasowanie zdjęć było dopiero pierwszym krokiem.

* * *

— Dlaczego, według pana, wielebny — zapytał Dawson — w ewangeljach nie ma miejsca na dorosłe życie Jezusa oraz jego duchową podróż do Indii?

Brady oderwał wzrok od swoich papierów, spojrzał najpierw na Dawsona, potem do kamery.

— W ewangeljach po prostu nie ma miejsca na fantastykę spod znaku New Age, którą promuje pan Matthews. Kiedy archanioł Gabriel zwiastował Maryi, ewangelie jasno przedstawiają, że Jezus narodził się jako Syn Boży. Jedyne Syn Boży nie odkrył swojej duchowości dzięki mistykom ze Wschodu. Może nie znam odpowiedzi na każde pytanie, ale tam, gdzie pan Matthews woli kwestionować i niedowierzać, ja wybieram wiarę.

Grant był zaskoczony tym, jak szybko Brady odzyskał chłodną pewność siebie, jaką miał na początku spotkania.

— Panie Matthews — odezwał się Dawson — czy ta debata o pańskim odkryciu dotyczy tylko kwestii wiary jako wyznania w przeciwstawieniu do wiary w metodzie naukowej?

— W żadnym razie. Wielebny nadużywa wiary, by ukryć się za murem ignorancji. Inną rzeczą jest wierzyć w fundamentalne pytania, na które nigdy nie znajdziemy odpowiedzi: Jaka jest natura Boga? Czy istnieje życie po śmierci? Jednak odrzucanie archeologicznych i innych dowodów naukowych, ponieważ podważają czymś system wierzeń, nie jest wiarą. To nazywa się ignorancją. Niepodważalne prawdy, w przeciwieństwie do tych wymaginowanych, obronią się w zacieklej debacie. To, co wyczuwam w wielebny, to głęboki, silny strach.

— Strach! Mając wiarę w Chrystusa, nie mam się czego bać!

Grant opanował śmiech. Podobnie reagował jego ojciec wiele lat temu na ten sam zarzut. Pochylił się nad mikrofonem.

— Gdyby był pan naprawdę pewny swojej wiary, z radością przyjmowałby pan każdy dowód mogący rzucić światło na życie Jezusa. Zamiast tego próbuje pan przekonać ludzi, by bez zastanowienia odrzucili to, co odkryliśmy, ponieważ obawia się pan, dokąd to może doprowadzić.

— Nie mam takich obaw — powiedział chłodno Brady — ponieważ wiem już, że całe to zamieszanie jest tylko oszustwem: te teksty albo nie istnieją, albo zostały sfabrykowane.

— Jak pan może tak twierdzić! — wybuchnął Grant, po raz pierwszy okazując frustrację. — Nawet jeszcze nie zaczęliśmy ich badać.

— Jedynym, co widzieliśmy z tego tak zwanego odkrycia, są *pana* własne zapiski, które *pan* nazywa tłumaczeniem.

— Tak jak powiedziałem wcześniej, znajdujemy się na początkowym etapie...

— Wiemy, że nie jesteście w posiadaniu tych tekstów. Jaki macie dowód, że naprawdę istnieją?

Grant zawahał się. Pomyślał, że do tej pory udawało mu się uniknąć tego pytania. Jedynie garstka ludzi — on, Kristin, Billingsly, policja i Karma — wiedzieli o zniknięciu fotografii.

— Cały czas pracujemy nad analizą naszych notatek i...

— Wciąż pan kluczy. Gdybyście mieli dowód, już byście go upublicznili. Jak dotąd, polegamy jedynie na pana słowach. Obaj wiemy, że ma pan problemy na wydziale.

Grant zamarł. Brady nie mógł tego wiedzieć. Fala nudności podeszła mu do ust.

Na szczęście wtedy zainterweniował Dawson.

— To dość śmiałe insynuacje, wielebny Brady.

— Pan Matthews zapomniał nam powiedzieć, że ponad sto lat temu rosyjski dziennikarz — Brady zajrzał do dokumentu wyjętego z teczki — Nikołaj Notowicz twierdził, że dokonał podobnego odkrycia jak obecny tu pan Matthews, ale księga, którą wówczas widział, zniknęła w tajemniczych okolicznościach. — Teraz Brady wydawał się tak spokojny, jakby wygłaszał niedzielne kazanie.

— Relacja Notowicza właściwie dostarcza wiarygodności naszej sprawie — powiedział Grant, zadowolony, że Brady nie ciągnął tematu, którego najbardziej się obawiał. — Jednakże nasze znalezisko jest inne. Chodzi o...

— Oj dziecko, dziecko — Brady wyciągnął rękę w geście uciszania i pokręcił głową. — Czyż nie nadeszła już pora, by przestać się upierać? Wyznaj, że ta sprawa to pomyłka, która po prostu wymknęła się spod kontroli.

— O czym pan mówi! — eksplodował Grant. Jedną rzeczą było to, że ktoś nie chciał jego odkrycia przyjąć do wiadomości, ale oskarżanie go o kłamstwo to naprawdę zbyt wiele.

— Sądzę, że wie pan, o czym mówię — Brady patrzył na niego z zadowoleniem. — To może być dla ciebie bolesne, synu, ale jeśli ja nie uratuję moich ludzi przed twoim bezwstydem, wówczas krew przelana przez twoje grzechy znajdzie się również na moich rękach. — Wycelował w niego palec niczym prokurator wskazujący na oskarżonego i obwieścił zebranym: — Widzicie, pan Matthews ma na sumieniu już jedno naukowe kłamstwo.

Krew odpłynęła mu z mózgu, sprawiając, że Grantowi mocno zakręciło się w głowie. Jakiś głos wewnętrzny krzyczał, żeby uciekał, zanim Brady do końca wyłuszczy swoje oskarżenie, ale wszystkie mięśnie ciała miał jak sparaliżowane. Przez publiczność przeszedł szmer.

Brady zamachał kartką, którą przed chwilą czytał.

— Kiedy kilka lat temu pan Matthews studiował, zdarzyło mu się przepisać całą pracę na zaliczenie. Skopiował czyjąś pracę i oddał jako własną. Gdyby nie użył swoich wpływów, zostałby wydalony. Te bzdury o Issie to kolejny przykład jego naukowej nieuczciwości.

Grant czuł, że oczy wszystkich na widowni wpatrują się w niego, ale widział tylko przerażoną minę Kristin, która siedziała w pierwszym rzędzie. Ciężar ciszy w auli, kiedy wszyscy oczekiwali na jego odpowiedź, wyciskał mu powietrze z płuc niczym zbyt mocno związany kaftan bezpieczeństwa. Próbował przełknąć ślinę, ale język w ustach zdawał się nie należeć do niego.

Jak miał to wyjaśnić?

Szukał w głowie słów, ale równie dobrze mógł na chybił trafił otwierać słownik. Nic nie przychodziło mu na myśl. Przeskakiwał spojrzeniem od Brady'ego do Dawsona — spostrzegł jedynie, że obaj mieli zaniepokojone i rozbawione miny.

Rozdział 22

Birmingham, Alabama

Ledowy monitor komputera rzucał błękitne światło na boks Tima w pogrążonym w ciemnościach biurze. Tim wyjechał z Atlanty zaraz po debacie i powrócił do Birmingham około północy. Po czterech i pół godzinie snu jak zwykle jako pierwszy pojawił się w biurze. Dziś jednak był szczególny dzień. Dziś będzie jego ostatnim dniem w pracy u jego szefa imbecyla, Duncana Summersa, oraz u boku innych nieudaczników z oddziału obsługi informatycznej. Został wezwany do przeprowadzenia misji o wyjątkowym znaczeniu. Czuł niemal zawroty głowy, kiedy myślał o tym, jak daleko zaszedł w ciągu dwóch tygodni: nie musiał już brać sobie za partnera wstrętnego Johnny'ego, teraz był prawdziwym wojownikiem w boskiej armii.

Wszedł na stronę internetową linii lotniczych. Plan jego przyszłotygodniowej podróży będzie bardzo napięty, ale przecież przez całą dekadę latał dookoła świata w wojskowych samolotach transportowych. Miejsca pasażerskie w komercyjnych liniach lotniczych w porównaniu z nimi były luksusem. Zastanowił się nad tym, czego jeszcze będzie potrzebował w podróży. Niektóre mniej typowe przedmioty już posiadał, ale wpadł na pewien pomysł, który chciał przetestować, zanim skończy kupować bilety. Jutro rano polecą do Waszyngtonu. Tam odwiedzi ambasadę Indii, żeby załatwić sobie wizę. Następnego dnia ma lot do New Delhi z przesiadką w Londynie.

Jego poszukiwania w Internecie wskazały jedynie dwie drogi dotarcia do Bhutanu: można lecieć tam przez Indie lub Tajwan. Ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych droga przez Indie była szybsza. Ponadto, musiał to przyznać, w Tajlandii czyhały na niego pewne pokusy — pokusy, na które nie może się narażać, kiedy działa w imieniu Boga. Niestety, kiedy dotrze do Indii, nie będzie mógł udać się bezpośrednio do Bhutanu. Rząd bhutański niechętnie dawał wizy turystyczne. Szybka rozmowa telefoniczna z ich konsulatem w Nowym Jorku potwierdziła, że na rozpatrzenie sprawy trzeba czekać kilka tygodni. Nie miał tak dużo czasu. Burza związana z heretyckimi pismami Issy przybierała na sile. Nawet mimo poniżenia Granta Matthews'a poprzedniego wieczoru, media będą pragnęły dobrać się do tekstów. Tim musiał odnaleźć je pierwszy. Na szczęście odkrył, że będzie mógł dostać wizę w ciągu kilku dni w Ambasadzie Bhutanu w New Delhi. Poczekają na miejscu, a kiedy już ją dostanie, będzie znacznie bliżej celu.

Kliknął na ikonkę, by sfinalizować zamówienie.

* * *

— Cholera, Williamie — Brady trzasnął otwartą dłoń w blat swojego dziewiętnastowiecznego angielskiego biurka. — Powinieneś mnie lepiej przygotować. Zrobiłem z siebie głupka. Patrz jak się pocę. — Włączył pauzę na pilocie telewizora, zamrażając obraz na czterdziestodwucalowym ekranie

zawieszonym na ścianie między wiśniowymi regałami w przykościelnym biurze. Ekran pokazywał wielbego ze ściągniętymi brwiami, zaczerwienionymi policzkami i spoconymi skrońmi.

— Ostrzegałem cię, że musisz być dobrze przygotowany. Ale to teraz nieistotne. Ludzie zapamiętają z debaty nie temat, który został poruszony, lecz twoje rewelacje o jego oszustwie.

Brady włączył odtwarzanie na pilocie i po raz czwarty od chwili, gdy została wyemitowana przez CNN o jedenastej rano, przyglądał się końcowej scenie debaty, która odbyła się poprzedniego wieczoru.

— To było mistrzowskie posunięcie, prawda? — uśmiechnął się.

— Otrzymaliśmy tuziny telefonów od przedstawicieli mediów zainteresowanych wywiadem z tobą.

Wreszcie, pomyślał Brady, *otrzymam należną mi uwagę*. Jak inaczej mógłby głosić słowo Pana, jeśli musiałby ograniczać się tylko do jednego stanu? Bóg dał mu dar, którym powinien się dzielić.

— Zadbaj o to, bym najpierw spotkał się z reporterami telewizyjnymi, a dopiero potem z prasą.

— To już załatwione. — Na twarzy Jenningsa pojawił się uśmiech, co zdarzało się bardzo rzadko. — Nasz wydawca zamówił już w drukarni dodruk twojej książki. Słupki sprzedaży wzrosną aż do nieba.

Brady rozluźnił się w skórzanym fotelu. Jego wybór na prezydenta NSE był już niemal gwarantowany.

Rozdział 23

Atlanta, Georgia

Siedząc przy okrągłym stole w swoim mieszkaniu Grant obserwował wirujący w szklance absolut z tonikiem. Patrzył, jak limonka krąży w przezroczystym płynie, podobnie jak jego myśli krążyły mu po głowie. Po tym, jak dziś rano stacja CNN wyemitowała debatę, telefon w mieszkaniu dzwonił bez przerwy. Grant rozmawiał z ponad tuzinem reporterów zadających te same pytania, aż wreszcie odłączył aparat od gniazdka. Ciągłe nie mógł się otrząsnąć z widoku swojej pobladłej twarzy w telewizji i poruszających się, choć niewydających żadnego dźwięku ust. Dawson wtrącił się, dając mu możliwość odparcia ataku Brady'ego, ale Grant zdołał jedynie wymamrotać coś o tym, że przechodził akurat trudny okres. A potem się skończyło. Stacje telewizyjne bez końca jednak pokazywały powtórki tego fragmentu, gdy Grant został zapędzony w kozi róg. Kristin i Billingsly próbowali go pocieszać, ale on zamknął się w sobie. Podejrzewał, że Billingsly pokrótce wyjaśnił Kristin, co stało się na drugim roku studiów, więc jak na razie o nic nie pytała. Gdy spojrział na przeciwległą stronę stołu, gdzie właśnie zasiadała do posiłku, wiedział, że to się zaraz zmieni.

Grant zjadł odrobinę makaronu, który Kristin przygotowała na obiad. *Niezły, pomyślał, ale brakuje w nim najważniejszego składnika — mięsa.*

— Jak udaje ci się być wegetarianką? — zapytał, w nadziei, że opóźni rozmowę, która musiała za chwilę nastąpić. Spędziwszy z Kristin trochę czasu zauważył, że nigdy nie jadła mięsa. Zawsze myślał, że wegetarianom brakowało w diecie ważnych aminokwasów. Poza tym, sam bardzo lubił steki.

— Pewnego dnia mama kupiła koszyk krabów na obiad. Mieszkaliśmy w Baltimore, mój ojciec był ginekologiem położnikiem w Johns Hopkins. Jedliśmy kraby raz w miesiącu, ale tym razem zemdlilo mnie, gdy patrzyłam, jak wrzuca ruszające się stworzenia do wrzątku. Kiedy zasiedliśmy do stołu i mój ojciec rozbijał skorupy specjalnym młotkiem, zaczęłam płakać. Ciągłe pamiętam dźwięk pękających pancerzy. Odrobina soku opryskała mi twarz. Powiedziałam, że tego nie zjem. Ojciec się wściekł i stwierdził, że nie wstanę od stołu, dopóki nie skończę jeść swojego kraba. Powiedział też, że jego, a także moje japońskie pochodzenie zobowiązuje nas do jedzenia owoców morza.

— Szybko wpadał w złość?

— Nie wtedy, gdy byłyśmy młodsze, ale kiedy moja siostra umarła, bardzo się zmienił. — Pokręciła głową, jakby chciała się otrząsnąć. — Więc siedzieliśmy tam przez dwie godziny i nie odzywaliśmy się do siebie. W końcu spojrzałam mu w oczy i wzięłam kęs kraba.

— I to był koniec?

— Pobiegłam do łazienki i zwymiotowałam. Od tamtej pory nie tknęłam mięsa.

Jakby chcąc podkreślić swoją rację, wyjęła kawałek mango z sałatki, obróciła w szczupłych palcach i wsadziła do ust. Grant nie mógł nie zauważyć sposobu, w jaki objęła ustami kawałek

owocu. Miała w zwyczaju dotykać wszystkiego wokół siebie, czy to jedzenia, czy jego ręki, jak niewidoma, która poznaje przedmioty dzięki dotykowi. W tej kwestii nie różniła się od niego, Grant jednak uważał, że jej gesty są zmysłowe. Czuł pokusę, by wziąć ją za rękę. Ale tylko splótł własne dłonie i położył je na stole.

— Mogę spytać cię o siostrę? — zapytał, mając nadzieję, że wybrał odpowiedni moment na poruszenie tego tematu. — Co jej się stało?

Tym razem spojrzała na blat, a nie w jego oczy. Zwykle swobodna sylwetka zeszywniała, ale Kristin zaczęła mówić. Grant słuchał w ciszy opowieści o Isabelle, starszej siostrze Kristin, która na pierwszym roku studiów poszła na imprezę i upiła się winem. Została zgwałcona przez pięciu starszych studentów w sypialni na górze. Zwierzyła się potem Kristin, lecz zakazała jej rozmawiać o tym z rodzicami, surowymi praktykującymi katolikami, a tym bardziej z policją. Siostra mówiła, że to jej wina, ponieważ się upiła. Isabelle nigdy już nie była sobą po tym wydarzeniu, zerwała z przyjaciółmi i nie radziła sobie w nauce. Reakcją ojca były zakazy oraz zmuszanie jej do bardziej wytężonej pracy. Rozeszła się plotka, że Isabelle była łatwa. Dwa lata później, kiedy Kristin była na pierwszym roku, Isabelle zabiła się, połykając w nocy całą fiolkę tabletek nasennych matki. To Kristin próbowała obudzić ją następnego ranka.

Wstyd, który odczuwał po wczorajszej debacie, nagle wydał mu się czymś błahym w porównaniu z tą historią. Nie wiedząc, jak odpowiedzieć, postanowił się nie odzywać. Wyciągnął rękę i otarł łzy płynące jej po twarzy. Oparła policzek na jego dłoń.

Po chwili odzyskała równowagę i wytarła twarz serwetką.

— Dość już o mnie. — Usiadła na brzegu krzesła i pochyliła się nad stołem tak nisko, że poczuł delikatny zapach jej kręconych włosów. — Czas na twoją opowieść.

Grant sięgnął po wilgotną szklankę, znowu zamieszał jej zawartość.

— Wiosna, na drugim roku studiów — powiedział. — Stres. Praca w dwóch miejscach, żeby zapłacić za studia, i dodatkowe zajęcia. Z jakiegoś głupiego powodu pomyślałem, że ukończenie studiów przed czasem będzie dobrym pomysłem. Najpierw dobrze mi szło. Dostawałem same najwyższe noty. Do czasu aż odebrałem tamten telefon.

Napił się wódki z tonikiem, czując w niej nikły posmak limonki, a zimny drink grzał mu żołądek.

— Tata znalazł się w szpitalu. Miał zawał.

— Mówiłeś w Bhutanie, że twój ojciec był kaznodzieją, tak jak Brady. Prawda?

— Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Kiedy poszedłem na Uniwersytet Virginia i odrzuciłem jego fundamentalistyczne nauki, zerwaliśmy ze sobą kontakt. W jego mniemaniu studiowałem w bezbożnej instytucji. Powiedziałem mu, że chcę studiować religię jako naukowiec, a on wiedział, że nigdy nie pójdę w jego ślady.

Obaj mieli wspólną pasję, którą była religia, ale przyświecały im inne cele: Grant chciał zdemaskować religię, przynajmniej tę chrześcijańską, pragnął odkryć jej historyczne korzenie i pochodzenie. Zanim dostał się na studia doktoranckie, przestał już wierzyć w mity, których w dzieciństwie uczył go ojciec. Nauczył się czytać Biblię krytycznie, jak każdy inny starożytny tekst. Księgi pisane były przez ludzi, a słowa nie pojawiały się na papierze za sprawą Boga posyłającego błyskawice z nieba. Na autorów miały wpływ ich własne doświadczenia, a ich poglądy były skutkiem czasów, w jakich żyli. Nie dało się ukryć nawet koloryzowania dodanego w następnych wiekach.

— A twoja mama? — Głos Kristin wyrwał go z rozmyślań.

— Była jedynym łącznikiem między nami. Pojechałem do Richmond, a stamtąd poleciałem śmigłowcem Life Flight do naszego miasteczka. Kiedy dotarłem na miejsce, leżał nieprzytomny na

intensywnej terapii. Mama siedziała przy jego łóżku, ale nie mogła z siebie wydobyć głosu. — Po raz pierwszy zadrżał mu głos. — Wrak kobiety.

— Pewnie nie mogła się pogodzić z chorobą męża.

Pokręcił głową.

— Ojciec dostał zawału, kiedy był w łóżku... w domu Lorraine. Dwudziestoczteroletniej sekretarki z jego kościoła.

— Nie mów!

— Cała ta gadanina o prawym życiu... — Grant się skrzywił. — Jak się domyślasz, w tak małym mieście plotki rozeszły się zaraz po przyjeździe karetki pod dom Lorraine, skąd wyniesiono pastora w samej bieliźnie, a ratownicy medyczni, będący jego parafianami, robili mu masaż serca.

— Twoja mama nic nie wiedziała?

— Nie, dopóki nie zadzwoniono ze szpitala. — Kiedy opowiadał, wszystko do niego wróciło. Drżał, przypominając sobie zimny szpitalny pokój, z mnóstwem pikającego sprzętu, oraz zapach środków dezynfekujących. Z nosa i ust jego nietuzinkowego ojca wychodziły rurki, twarz przybrała siny odcień. Ciało się skurczyło.

Dotyk ręki Kristin na ramieniu przywrócił go do rzeczywistości.

— To okropne — powiedziała.

— Jedyne, o czym wówczas myślałem, to nasze ciągłe kłótnie: o jego kazania, o kościół, o moją edukację. Kiedy stałem nad jego łóżkiem, a mama płakała na krześle tuż obok, życzyłem mu śmierci. — Grant spojrział jej w oczy. — Umarł tej samej nocy.

Mocniej zacisnęła palce na jego ramieniu.

— Czujesz się winny?

— Myślałem, że dobrze sobie poradziłem z jego śmiercią. W dniu, kiedy wróciłem na studia, zacząłem pływać, przepływałem milę każdego ranka. Dwa tygodnie później wylądowałem z wrzodem w gabinecie lekarskim. Zajęto się nim, a ja rzuciłem się w wir nauki, będąc jeszcze bardziej zdeterminowany, by skończyć studia na tym kierunku. Ale im bardziej się starałem, tym większe miałem problemy z koncentracją. Zostawałem w tyle, bez końca przepisywałem swoje prace i czytałem teksty, które wcześniej przeczytałem już dwa razy. Spanikowałem, gdy zbliżały się egzaminy końcowe, sądząc, że nie zdołam nauczyć się wszystkiego.

— Poszedłeś więc na skróty? — domyśliła się.

Przytaknął.

— Chodziło o wstęp do filozofii Zachodu. Zamiast egzaminu mieliśmy oddać pracę zaliczeniową. Napisałem już szczegółowy plan. Dziewczyna, z którą wtedy chodziłem, zaproponowała, że napisze pracę za mnie. — Znowu zamieszał drinka. Lód już się prawie roztopił. — Tydzień później mój profesor nagrał mi się na pocztę głosową, prosząc o spotkanie. Tamtej nocy nie mogłem zasnąć. Rozumiesz, byłem w złym stanie psychicznym i nawet nie przeczytałem pracy, którą wykonała za mnie dziewczyna. Po prostu ją oddałem. Kiedy dotarłem do gabinetu profesora, okazało się, że przyszedł też szef wydziału i dziekan do spraw studenckich. Nie zebrali się, by omawiać moje błyskotliwe teorie. Zamiast skorzystać z mojego planu pracy, dziewczyna po prostu ściągnęła jakiś gotowiec ze strony sprzedającej prace zaliczeniowe. Pech chciał, że to, co oddałem jako własną pracę, trzy lata wcześniej napisał doktorant tego samego profesora. Załamałem się na oczach tych trzech mężczyzn. Opowiedziałem im o swoim ojcu. Teraz żałuję, że nie byłem silniejszy.

— Nie bądź dla siebie taki surowy. Wciąż tłumisz gniew związany ze śmiercią ojca, zapewne również czułeś się upokorzony. To była naturalna reakcja w sytuacji, gdy załamywał się pod tobą grunt, również na studiach.

— Tata sprowadził na mnie cierpienie. Ale moja reputacja naukowa... — Twarz mu stężała. — Wiedziałem, że zrobiłem źle, ale tłumaczyłem, że wykonałem już wysiłek intelektualny, pisząc plan pracy.

— Jaka była ich odpowiedź?

— Ze względu na okoliczności łagodzące oraz moje wcześniejsze wysokie oceny pozwolili mi pozostać na uczelni. Napisałem tę pracę, którą wcześniej rozplanowałem, i oddałem ją tydzień później. Dostałem najwyższą ocenę, ale i tak nie dostałem zaliczenia na tych zajęciach, a cały incydent znalazł się w aktach. Jestem pewien, że z tego powodu nie dostałem się na studia doktoranckie na Harvard.

— A ta dziewczyna?

— Nie wspominałem o jej roli. Głupio mi było, że w ogóle zgodziłem się na jej propozycję, ale zerwaliśmy ze sobą z tego powodu.

— W Punakha wspomniałeś, że Billingsly pomógł ci dostać się do Emory.

Grant przytaknął.

— Incydent z plagiatem opisany w moich aktach z Uniwersytetu Virginia stanął mi na dalszej drodze kształcenia. Kiedy wyjaśniłem profesorowi Billingsly'emu, jak to naprawdę wyglądało, wstawił się za mną przed komisją, gwarantując im, że mam czyste ręce i odpowiednie kwalifikacje. Zawdzięczam mu wszystko.

Kristin sięgnęła ręką przez stół, odgięła jego palce zaciśnięte na szklance i splotła je ze swoimi. Ciepło jej skóry było pokrzepiające.

— Jak Brady mógł dokopać się do tej informacji?

— Wiedziało o tym kilkoro moich przyjaciół. Ale bardziej martwi mnie to, że mamy jeszcze więcej powodów do niepokoju. Zdjęcia zniknęły z twojego aparatu i z mojego komputera, tłumaczenie wyciekło, a po Kinleyu ani śladu. Czyżbyśmy padli ofiarą jakiegoś spisku?

Wyprostowała się.

— Nie wiem, jak to możliwe. Te zdarzenia nie mogą być ze sobą powiązane. Czasami nieszczęścia chodzą parami.

Puścił jej rękę, bo właśnie przyszło mu coś do głowy. Jedyłą nicią łączącą wszystkie te wydarzenia: zdjęcia, e-mail, debatę, a nawet jego znajomość z Kinleyem, była Kristin. Czy to możliwe, że ta piękna kobieta, do której czuł pociąg, ta dziennikarka, miała coś wspólnego z...

Nie, nie wierzył w to. *Ale*, odezwał się wewnętrzny głos, *znam ją od niedawna*. Pokręcił głową. Tu chodziło o coś innego. Billingsly ostrzegł go, że ludzie poczują się zagrożeni, gdy poznają tę historię. *Ale kto?*

Przytknął palce do skroni. „Nikt już nie będzie brał naszego odkrycia na poważnie”.

Użalanie się nad sobą szybko przerodziło się w złość. Ktoś próbował zniszczyć mu życie. Na szyi wystąpiły mu czerwone plamy, puls przyspieszył znacząco. Grant złapał się na tym, że zaciska szczękę i zgrzyta zębami, i właśnie wtedy coś mu się przypomniało. To był Kinley, wypowiadający jedno słowo: dukkha. Wóz Granta na pewno uległ wypadkowi. *Właściwie bliżej prawdy było powiedzenie, że rozpadł się na drzazgi*, pomyślał. Zepsuty wóz, złamana noga, dzikie konie powracające z całym stadem, palce wskazujące na księżyc — wszystkie te dziwne aforyzmy i przypowieści Kinleya, nie wspominając nawet o jego technikach medytacyjnych, nie rozwiążą jego problemu. Grant uświadomił sobie, że nie może zaakceptować takiej sytuacji. Musi coś zrobić.

Poczuł, że Kristin patrzy na niego, czekając na jakąś reakcję.

— Musimy sprowadzić te teksty — powiedział.

— Ale jak? Dzwonisz do Karmy dwa razy dziennie, a on dalej nie wie, gdzie jest Kinley.

Grant wstał od stołu. Miała rację. Nie podobało mu się, że musi kontaktować się ze swoim zaprzyjaźnionym mnichem przez pośrednika. Ale na razie nie miał innego wyjścia.

— W Bhutanie jest teraz rano. Jeszcze raz zadzwonię do Karmy.

Kristin zaniósła naczynia do zlewu, Grant poszedł za nią ze szklankami. Odpiął od ładowarki leżący na blacie w kuchni telefon komórkowy. W słuchawce usłyszał dźwięk jakby dochodzący z pudełka po butach, ale lekarz odebrał.

— Karma, to Grant. Masz jakieś wieści?

Rozdrabniacz odpadków głośno zawarczał. Kristin zerknęła znad zlewu.

— Przepraszam — powiedziała cicho i wyłączyła go.

Grant gestem pokazał, żeby sobie nie przeszkadzała. Przeszedł przez salon po miękkim dywanie, minął futon, który wciąż służył mu za łóżko, i podszedł do szklanych rozsuwanych drzwi.

— Nic się nie zmieniło od wczoraj, mój amerykański przyjacielu. — Nastąpiła dłuższa pauza niezwiązana z szybkością łącza, po czym Karma odezwał się ponownie: — Ale wydaje mi się, że Jigme również opuścił klasztor. Możliwe, że razem z Kinleyem.

Grant wyszedł na niewielki balkon z widokiem na lasek sosnowy. Noc była chłodna, a on miał na sobie jedynie koszulkę i dzinsy. Zimno wyostrzyło jego zmysły. Nieudolnie próbował opędzić się od myśli, która krążyła mu po głowie. Kinley i Jigme opuścili klasztor w chwili, kiedy upubliczniono teksty. Ale przecież mnisi go nie oszukiwali. A może? A jeśli Brady miał rację?

Odetchnął rześkim, pachnącym sosnami powietrzem i westchnął.

— Karma, muszę koniecznie porozmawiać z Kinleyem.

Rozłączył się i wsunął telefon do kieszeni dzinsów, po czym oparł się o drewnianą barierkę i wpatrzył w ciemność. Widział jedynie zarys drzew przed sobą. Nagle zadrzał z zimna.

Usłyszał kroki Kristin. Zanim się odwrócił, objęła go w pasie. Jej włosy pieściły jego kark. Czuł ich kwiatowy zapach. Poczł napięcie w całym ciele.

— Piękna noc. — Ciepło jej oddechu musnęło jego policzek.

— Rzeczywiście — odwrócił się do niej.

Jej niebieskie oczy szukały jego wzroku z taką samą intensywnością, która z jednej strony go podnieciła, z drugiej sprawiła, że poczuł się nieswojo wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Zaprzagnął ją pocałować. *A jeśli błędnie interpretuję jej zachowanie?* Wydawało mu się, że nie poradzi sobie teraz z odrzuceniem. Potrzebował przyjaźni Kristin bardziej niż kiedykolwiek.

Ku jego zaskoczeniu stanęła na palcach, by jej twarz znalazła się na tej samej wysokości, co jego. Przesunęła dłonie z jego talii na szyję i przyciągnęła go do siebie. Mocno go pocałowała, miała miękkie usta. Grantem wstrząsnął dreszcz.

Po kilku minutach, gdy barierka na dobre wbiła mu się w plecy, niechętnie wyswobodził się z uścisku.

— W środku może nam być wygodniej — powiedział.

Nic nie mówiąc, wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą do salonu. Popchnęła go na twarde futon, pochyliła się nad nim i zaczęła całować po szyi. Grant pieścił palcami jej kark, kości obojczyka, schodził coraz niżej wzdłuż kręgosłupa. Z jej ust wyrwało się westchnienie, kiedy wsunął ręce pod jej koszulkę i położył je na piersiach. Odpowiedziała kąsaniem jego dolnej wargi z taką siłą, że bał się, iż zobaczy krew. Zapomniał jednak o ustach, kiedy przysunęła się do niego biodrami i lekko zaczęła się kołysać.

Nie mogąc się powstrzymać, Grant opuścił rękę i dotknął jej dzinsów, drżącymi palcami siłując się przez chwilę z guzikiem. Kiedy udało mu się go odpiąć, Kristin łagodnie chwyciła go za rękę, odsunęła ją od swojej talii i przygwoździła ją swoją dłonią ponad jego głową.

— Jeszcze nie — wyszeptała.

W głowie mu wirowało. Czy miała na myśli: „Jeszcze nie w tej chwili”, czy może: „Jeszcze nie dzisiaj”? Nigdy nie spotkał się z tak niezależną czy też pełną pasji kobietą jak Kristin, więc może nie do końca umiał interpretować jej zachowanie, ale uważał, że posyłała mu sprzeczne sygnały.

Po pół godzinie czułości i namiętności Grant uznał, że „jeszcze nie” zmieniło się na „już teraz”, więc mocniej naparł na nią swoim ciałem. Wyplątał palce z miękkich loków, które zwilgotniały od potu, i przesunął je wzdłuż jej boków na dół kręgosłupa. Wbiła mu paznokcie w ramiona. Wsunął palce pod pasek jej spodni. Ona naparła na niego biodrami.

To zaraz się stanie, pomyślał. Nie był z kobietą od miesiący i miał nadzieję, że jej nie rozczaruje. Wątpliwości, które przemknęły mu przez głowę, szybko się rozplynęły, gdy znowu przyłgnęła do jego ust. Podobał mu się jej smak, to, jak jej włosy omiały jego twarz; to, jak jej gładkie kształty wyginały się w łuk w miejscu, gdzie kończyły się plecy i zaczynały pośladki.

— Pragnę cię — wyszeptał, wsuwając ręce jeszcze niżej.

Wtedy go odepchnęła.

— Przepraszam — powiedział, zabierając ręce. — Czy zrobiłem coś nie tak?

— Nie, nie. To moja wina. Po prostu za bardzo się zapędziłam.

— W porządku. Nie musimy uprawiać seksu — powiedział prawdę, ale mówiąc to, czuł rozczarowanie.

— Wiem. Przepraszam. Poniosło mnie.

Podniosła się i usiadła na skraju futonu. Rozczochrane włosy okalały jej twarz mokrymi strąkami, przez co wyglądała jeszcze piękniej, jak z reklamy. Nie patrzyła mu już w oczy, wbiła wzrok gdzieś niżej, w okolice jego klatki piersiowej.

— Co więc...

— Od śmierci Isabelle, z facetami... — Odgarnęła włosy z twarzy. — To znaczy, nie jestem dziewicą. Po prostu, jeśli naprawdę ktoś mi się podoba, nie mogę...

— Hej, nie przejmuj się tak. — Ujął jej dłoń. — Rozumiem.

— Zrobiło się późno. — Kristin wstała, koszulę, którą normalnie nosiła wyłożoną na wierzch, wetknęła w spodnie i zapięła dzinsy. — Musimy się przespać, bo jutro trzeba zająć się twoją sytuacją.

Wydawało mu się, że ponizenie, jakiego doświadczył podczas debaty, o którym przez chwilę udało mu się zapomnieć, zbliżyło ich do siebie, ale ona teraz nie chciała spojrzeć mu w oczy. Ruszyła w stronę sypialni, zwrócona do niego plecami. W całym ciele poczuł niepewność, a przez myśl przemknęły mu wątpliwości. *Czy naprawdę odepchnęła mnie przez wzgląd na pamięć o swojej siostrze, czy może chodziło o coś innego?* Ostatnio tyle spraw potoczyło się nie po jego myśli, że nie wiedział, czy może ufać swoim przeczuciom. Akurat teraz nie chciał, by coś się między nimi zepsuło. Potrzebował jej tak bardzo, jak jej aparatu w Bhutanie.

Odwróciła się i powiedziała: „Mamy dość czasu, by porozmawiać później”. I zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Rozdział 24

Uniwersytet Emory

Atlanta, Georgia

O co chodzi Billingsly'emu? Grant zatrzymał się przed gabinetem swojego promotora.

Przed godziną profesor zadzwonił do Granta na komórkę, kiedy właśnie kończyli z Kristin śniadanie. Podenerwowanym głosem poprosił, by Grant przyszedł sam, podrzucił więc Kristin do Starbucksa w pobliżu kampusu. Prośba profesora wydała mu się dziwna, ale niech już będzie. Między nim a Kristin panowało nieprzyjemne napięcie. Żadne z nich nie wspomniało wydarzeń poprzedniego wieczoru.

Naciskając klawisz, Grant zastanawiał się, czy profesorowi udało się już coś osiągnąć w sprawie umowy z rządem bhutańskim dzięki kontaktom naukowym w programie partnerskim między Emory a Tybetem, w ramach którego w Emory nauczano buddyzmu tybetańskiego. Miał nadzieję, że jego mentor udzieli mu rady, jak sprostać następstwom ataku Brady'ego. Tego dnia Grant potrzebował przede wszystkim wsparcia.

Otworzywszy drzwi, doznał potężnego déjà vu, które wyssało mu powietrze z płuc. Billingsly w okularach siedział za biurkiem i miał zacięty wyraz twarzy. Na jednym z dwóch czarnych klonowych krzeseł spoczywał odziany w szare wełniane spodnie i pognieciony niebieski blezer z mosiężnymi guzikami dziekan Wydziału Studiów Religijnych, Edward Flannigan. Jego bladą głowę pokrywały rzadkie kosmyki białych włosów. Orzechowe oczy za rogowymi okularami zmierzyły sparaliżowanego w progu Granta.

Powtórka z drugiego roku.

— Proszę, Grancie, usiądź. — Billingsly wskazał drugie krzesło.

Grant przesunął się na środek gabinetu, ale czuł się tak, jakby jego żołądek został przy drzwiach. Usiadł na twardym krześle i wyciągnął do przodu prawą nogę, ponieważ poczuł pulsujący ból.

— Widział to pan? — Dziekan Flannigan rzucił gazetę na kolana Granta.

Grant chciał poczytać gazetę, pijąc swoją odtłuszczoną latte w Starbucksie, ale za bardzo się spieszył. Gazeta dziekana była rozłożona na artykuły, w którym widniało jego zdjęcie. Kiedy zaczął czytać, pustka w jego żołądku się pogłębiła.

Doktorant z Uniwersytetu Emory, Grant Matthews, oraz dziennikarka Kristin Misaki wprawili w osłupienie środowisko teologiczne, publikując w Internecie tekst, który według nich jest tłumaczeniem siedmiu starożytnych ksiąg odkrytych w małym buddyjskim królestwie — Bhutanie w Himalajach. Rzeczony manuskrypty miałyby opisywać tak zwane nieznane lata z życia Jezusa, obejmujące okres pomiędzy 12 a 29 rokiem życia, o którym milczy Biblia. W żywiołowej debacie transmitowanej w środę przez CNN z kampusu w Emory, wielobny Brian Brady, pastor kościoła New Hope z Alabamy, zaskoczył zebranych, a także niczego niespodziewającego się pana

Matthewsa, ujawniając, że Matthews dopuścił się plagiatu podczas drugiego roku studiów na Uniwersytecie Virginia.

Podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej Lama Dorji, mnich senior z klasztoru Punakha Dzong, gdzie rzeczone manuskrypty miałyby być odkryte, zaprzeczył istnieniu jakichkolwiek ksiąg opisujących życie Jezusa. „Nasza biblioteka zawiera święte teksty o buddyzmie tybetańskim, z których korzystają nasi mnisi. Nie mamy potrzeby gromadzenia pism chrześcijańskich” — powiedział Lama przez tłumacza. „Gdyby takie teksty [o życiu Jezusa] istniały, wiele lat temu przekazalibyśmy je naukowcom zajmującym się religią chrześcijańską”.

Kiedy zapytaliśmy, czy wiedział o jakichkolwiek poczynaniach pana Matthews a lub pani Misaki na terenie klasztoru, mnich senior przyznał, że pan Matthews przebywał na terenie klasztoru przez kilka tygodni, gdzie dochodził do zdrowia po wypadku, do którego doszło podczas spływu kajakiem, ale że był „pod wpływem silnych leków aplikowanych przez lokalnego lekarza i przez cały czas pobytu był zamknięty w swojej celi”. Lama Dorji nie przypomina sobie spotkania z panią Misaki, ale powiedział, że „każdego tygodnia turyści z Zachodu przechodzą przez teren naszego goemba [klasztoru], ale zawsze towarzyszy im przewodnik. Osoba z zewnątrz, w szczególności niebuddysta, nie dostałaby się do niektórych miejsc w goemba, w tym do biblioteki”.

Pan Matthews z Atlanty nie odpowiada na nasze telefony.

Grantowi drżały ręce, gdy skończył czytać artykuł. Z całych sił opierał się pokusie rzucenia gazetą przez gabinet. Jego umysł zaląła fala pytań. Jak reporter odkrył, że znaleźli dokumenty w Punakha? Do tej chwili wierzył, że klasztor jest jedynym miejscem, do którego media nie mają dostępu. Podczas debaty zachował ostrożność i nie zdradził żadnych szczegółów prowadzących do dzong. Jednak najważniejsze z pytań, rozpychające mu się w głowie, brzmiało: *Gdzie są teksty?* Czy zostały ukryte przez Lamę Dorji? Co stało się z Kinleyem? Czuł, że ogarnia go panika. Nie tylko nie znał odpowiedzi na te pytania, nie mógł też nic zrobić, by uzyskać odpowiedzi. Bhutan znajdował się po drugiej stronie świata.

Wtem, po raz drugi w ciągu ostatnich dni, ogarnęło go zwątpienie. Jeśli miał być szczery wobec siebie, tak naprawdę nie wiedział, czy dokumenty były autentyczne. Bezwarunkowo zaufał Kinleyowi. Ale Kinley zniknął. Nawet jeśli teksty były prawdziwe, nikt nie potraktuje go poważnie po wypowiedzi lamy. Czy rację mieli sceptycy z jego wydziału? Czy roztrwonił dobrze zapowiadającą się karierę akademicką na poszukiwania Świętego Graala?

— Co ma pan do powiedzenia, panie Matthews? — Dziekan Flannigan przerwał tornado myśli w jego głowie.

— Musicie zrozumieć — głos Granta podniósł się o oktawę — Lama Dorji jest wielkim tradycjonalistą. Nie chce przyjmować ludzi z Zachodu w swoim klasztorze, a zwłaszcza nie chce ich w bibliotece. Nie ma zamiaru współpracować. Nigdy nie sądziłem, że będzie kłamać. Zapewne robi to, by powstrzymać falę zainteresowania klasztorom ze strony mediów.

— Czy rozmawiałeś już z Kinleyem? — zapytał Billingsly.

Grant spuścił głowę.

— Ciągle czekam, aż się odezwie.

— Zatem nie posiada pan niezależnego źródła potwierdzającego teksty? — zapytał Flannigan.

Grant wpatrywał się w podłogę.

— A zdjęcia ksiąg, które jak pan mówił, miał pan w posiadaniu, tajemniczo zniknęły?

Grant przytaknął.

Profesor Flannigan odchrząknął.

— Panie Matthews, obecna sytuacja stawia uczelnię w niekomfortowym położeniu. Ten rozgłos nie

przynosi nam niczego dobrego, szczególnie w świetle pana przeszłych problemów.

— Proszę poczekać! Mam pomysł. — Grant wiedział, że zabrzmiał jak desperat, ale tak naprawdę nim był. — Muszę wrócić do Bhutanu i odnaleźć teksty.

Przewodniczący wydziału pokręcił głową.

— Za dwa tygodnie odbędzie się posiedzenie dyscyplinarne w pana sprawie. Do tej pory nie mam innego wyjścia, jak tymczasowo pana zawiesić w obowiązkach. Dalej będzie pan otrzymywał stypendium socjalne, ale stypendium na pokrycie kosztów podróży zależało będzie od postanowienia komisji dyscyplinarnej.

— Haroldzie — Grant wstawał już z krzesła. — Wiesz, że to gówno prawda. Potrzebuję tylko więcej czasu.

Mentor unikał jego spojrzenia.

— Wiem, że to trudne, ale mamy związane ręce. Sądzę, że kilka tygodni przerwy od szkoły będzie najlepszym wyjściem.

Grant nie wierzył w to, co usłyszał. *Jak mam się bronić, skoro nie dają mi czasu ani środków?* Wyciek tekstów, skasowane zdjęcia, zniknięcie Kinleya, rewelacje upublicznione przez Brady'ego i teraz jeszcze zawieszenie. Ból z nogi przeniósł się w górę, na biodro, i połączył się z pulsowaniem za jego oczami; Grant ledwie stał na nogach. Nie widział już profesorów: piętrzące się przed nim przeszkody zasłaniały mu wszystko.

Rozdział 25

Starbucks, Briarcliff Road

Atlanta, Georgia

Po kawiarni rozszedł się pisk, gdy Grant przysuwał drewniane krzesło od stolika do pluszowego zielonego fotela, zajmowanego przez Kristin. Siedziała z podwiniętymi nogami, pod które wetknęła ręcznie farbowaną jedwabną spódnicę. Zanim Grant usiadł obok na krześle, zauważył, że golf podkreśla jej kształty. Włosy związała w dwa kucyki.

— Jak spotkanie? — zapytała.

— Zostałem zawieszony do czasu zakończenia dochodzenia.

— Ze względu na to? — Przekręciła laptopa, którego jej pożyczył. Na stronie internetowej widniał ten sam artykuł, który Grant przeczytał w gabinecie Billingsly'ego kilka minut temu. Jej niebieskie oczy lśniły ze złości, czego z początku nie zauważył.

— Cały czas wyciągają Uniwersytet Virginia — powiedział przez zaciśnięte zęby.

— Z ich perspektywy nie wygląda to najlepiej.

— Nie, ale nawet nie dali mi szansy. — Wstał. — Chcesz coś do picia?

Pokręciła głową i wskazała na nietkniętą filiżankę herbaty na małym okrągłym stoliku.

Wrócił z drugą odłuszczoną latte tego dnia i siedzieli w milczeniu. Sącząc kawę, Grant przypomniał sobie notatki oraz plany, które spisał podczas pobytu w Bhutanie. Myślał wtedy, że przygotował się na każdą ewentualność, ale nic nie potoczyło się tak, jak się spodziewał.

Upił łyk i zamrugał, bo gorąca kawa spłynęła mu wprost do gardła. Zdjął plastikową przykrywkę i wypuścił parę. Mieszając napój, przyglądał się spienionym bąbelkom mleka, które przyczepiły się do ścianek kubka. Wtedy coś mu się przypomniało: leżał w łóżku w klasztorze, nogę miał podpartą na złożonych kocach, a Kinley podawał mu kubek z wodą.

Grant przystawił sobie latte do nosa i powąchał bogaty aromat. Ostrożnie wypił kolejny łyk, rozkoszując się smakiem. Na myśl przyszły mu ziarna kawy rosnące pod tropikalnym słońcem, karmione ziemią i deszczem. Postawił kubek na okrągłym stoliku i skierował wzrok na laptopa spoczywającego na kolanach Kristin. *W Bhutanie było łatwiej*. Bez pomocy Kinleya czuł się zagubiony, wcielając w życie mnisie praktyki.

Wyjrzał przez okno kawiarni. Rozmowy innych gości zlały się w biały szum w jego głowie i były tłem dla jego rozmyślań. Za parkingiem, na wysepce otoczonej morzem asfaltu, rósł pojedynczy klon. Miał bezlistne gałęzie. Stał nagi na jesiennym wietrze. Tak jak Grant.

Bał się tego, co mogło się jeszcze wydarzyć — zmian w życiu, które były poza jego kontrolą. Ale wtedy przypomniał sobie słowa Kinleya, że przyszłość zawsze będzie potencjalną niewiadomą. Zmiana była esencją życia, nauczał mnich. „Nawet to, co przyjmujesz za skończoną całość, czyli siebie, Granta Matthews’a”, mówił Kinley, „jest tylko iluzją. Fizycznie nie jesteś już tą samą osobą,

jaką byłeś w wieku dziesięciu lat. Każdego dnia komórki twojego ciała umierają i są zastępowane przez nowe. Neurony w mózgu formują nowe połączenia, a stare, nieużywane, obumierają. Wspomnienia blakną, ale na ich miejscu pojawiają się nowe. Myśli i troski dręczące cię dzisiaj są różne od tych, które miałeś wtedy, a myśli i troski za dziesięć lat będą inne od tych, które masz dzisiaj”.

Wiedział już, co może zrobić. Zepchnął na bok głos nauczyciela. Postanowił wcielić w życie to, co obwieścił w gabinecie Billingsly’ego. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany. Udowodni profesorom, wszystkim Bradym tego świata, swojemu nieżyjącemu ojcu, że ma rację. Chociaż... był jeszcze jeden problem.

— Nie możesz się poddać — powiedziała Kristin, jakby czytała mu w myślach. — Potrzebujesz tych tekstów bardziej, niż ci się wydaje. Od wypadku na rzece, cały czas czegoś szukasz. Może tego właśnie miałeś nauczyć się od Issy.

Grant pokiwał głową. *Wciąż szukam?* Nie myślał o tym w taki sposób.

— Jedynym wyjściem jest powrót do Bhutanu i sprowadzenie tekstów, ale wydałem oszczędności na poprzednią podróż. A teraz, gdy zostałem zawieszony...

— Słuchaj, jestem dość oszczędna. Wciąż mam środki na podróż, a kolejny reportaż mam oddać dopiero za miesiąc.

— Zrobiłabyś to? — Nie dodał „*po wczorajszej nocy*”, ale tak właśnie pomyślał.

— Oczywiście. — Ujęła go za rękę i potrząsnęła nią. — Z jakiegoś powodu zostałeś wykiwany. Pomogłam ci dostać się do tego bagna, robiąc zdjęcia, więc pomogę ci się z niego wydostać.

Wtedy zapisał komputer na jej kolanach, sprawiając, że oboje podskoczyli.

— Wiadomość — powiedziała Kristin.

Grant wyciągnął rękę i kliknął na ikonkę poczty przychodzącej na dole ekranu. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do niego, kto jest nadawcą podpisanym jako „*mnichjigme*”.

— Nie wierzę! — krzyknął Grant na tyle głośno, że zwrócił na siebie uwagę pary siedzącej przy sąsiednim stoliku. Ciszej dodał: — Jigme.

— Uczeń Kinleya? Ten, który nic nie mówił? — zapytała.

— Tak, słuchaj.

Grant przeczytał e-mail na głos:

Witajcie, Grant i Kristin, moje milczące ćwiczenie duchowe dobiegło końca i znowu mogę komunikować się bardziej konwencjonalnymi sposobami. Przepraszam, że tak długo nie odpisywałem na wasze wiadomości. Odkąd wyjechaliście z naszego kraju, nasze życie stało się bardziej skomplikowane, więc również i my wyruszyliśmy w podróż.

Czy ćwiczyłeś techniki, których uczyłeś się podczas pobytu u nas? Wiemy, że bardzo lubisz koan naszego nauczyciela, więc przekazuję ci kolejną, żebyś spróbował ją rozwiązać:

Uczeń zapytał swojego mistrza: „Czy to prawda, że Isa zbudował swój pomnik w formie korony, nie cierniowej, lecz pałacu żałoby?”. Na to mistrz odpowiedział: „Tylko śmierć widzi symbol jego wiecznej miłości, odbijający się w stawie przy świetle pełni księżyca”.

Tęsknimy za wami i mamy nadzieję, że uda wam się nas odwiedzić przy najbliższej okazji. Pokój z wami.

— Nie rozumiem — powiedział Grant, czytając wiadomość jeszcze raz. — Po tym, co przeszliśmy, Kinley przekazuje nam jeszcze jakąś zagadkę.

Kristin nie odrywała wzroku od monitora.

— I co? — powiedział Grant, czując narastającą złość. Nagle dotarł do niego dźwięk mielonych ziaren kawy. Hałas działał mu na nerwy. Czuł, że popada w rozpacz spowodowaną zarzutami

wielebnego Brady'ego, że ktoś sobie z niego zakpił. Cały zeszły tydzień spędził, prosząc Karmę przez telefon i e-mail o jakąkolwiek informację o miejscu pobytu Kinleya oraz na temat tekstów, i dopiero teraz dostał tę zagadkową wiadomość.

— Wydaje mi się, że to nie jest koan — powiedziała Kristin podekscytowanym tonem. — To jakaś zagadka lub wskazówka!

Grant spojrział na ekran. Iskra nadziei rozbłysnęła w jego piersi. Wiedział, że zabawne, lecz kłopotliwe historyjki opowiadane przez Kinleya w Bhutanie nie były tak naprawdę zagadkami, ponieważ pytania, które w nich stawiano, nie miały jednoznacznej odpowiedzi. Opowieści nazywały się koan — co zostało spopularyzowane przez szkoły zen w Chinach i Japonii — i miały na celu tak pokierować działaniem umysłu, żeby myśli zaczęły biec innym torem niż zwykle.

— Spójrz na ostatnie zdanie. — Wskazała miejsce na monitorze. — Chce się z nami zobaczyć tak szybko, jak to możliwe.

— Myślisz, że Kinley obawiał się wysłać nam bezpośrednie instrukcje po tym, jak negatywnie przyjęto nasze rewelacje, a on sam doświadczył niechęci ze strony lamy?

— Tak.

Brak kontaktu z Kinleyem oraz stwierdzenie lamy, że w klasztornej bibliotece nie ma tekstów o Issie, nagle ułożyły się w sensowną całość: Kinley zapewne zabrał teksty ze sobą, a teraz chce się z nimi spotkać.

Upił łyk kawy.

— Okej, te wskazówki sugerują osobę Jezusa. Mamy odniesienie do Issy, korony cierniowej, którą Jezus miał podczas ukrzyżowania, oraz do konceptu, że jego śmierć dzięki miłości Boga poskutkowała życiem wiecznym. — Umilkł na chwilę, pocierając brew. — Ale nie wiem, do czego to nas prowadzi. Pałac żałoby? Czy coś ci to mówi?

Kristin raz jeszcze przeczytała list, poruszając bezgłośnie ustami. Następnie wskazała na pierwszą linijkę: „*Isa zbudował swój pomnik w formie korony, nie cierniowej, lecz pałacu żałoby*”. Jigme pisze imię „Isa” przez jedno „s”. Tak Jezusa nazywano w Indiach, czy nie mówiłeś mi, że powinno być przez dwa „s”?

Grant przytaknął.

— Założyłem, że to literówka albo też specjalnie użył formy islamskiej przez jedno „s”.

— Spójrz na resztę zdania: *korona* odnosi się *pomnika*, który nie ma *korony cierniowej*, ale związany jest z *pałacem żałoby*.

— Bez cierni. — Grant wyobraził sobie Kinleya puszczającego do niego oko. — Myli tropy. Cały on. Zagadka nie dotyczy Jezusa. — Wtedy dostrzegł wskazówkę. — *Pomnik!* To dotyczy prawdziwego pomnika i nie jest żadną metaforą. Pomnik musi mieć coś wspólnego z żałobą. Jakby cmentarz, czy coś takiego?

Kristin uśmiechnęła się szeroko.

— Najbardziej rozpoznawalnym pomnikiem w Indiach jest *pomnik żałoby*. Tadz Mahal.

— Naprawdę? — Iskra ekscytacji zapłonęła w nim mocniej. — Nie miałem czasu, by pojechać do Agry, kiedy byłem w Indiach.

— Spędziłam tam tydzień, pisząc o nim artykuł — powiedziała Kristin. — Cesarz Szahdżahan zamówił go w 1631 roku, nie po to, by w nim mieszkać, ale jako grobowiec dla swojej drugiej żony, Mumtaz, która umarła, rodząc ich czternaste dziecko.

— Czternaścioro dzieci? Cóż za oddana matka.

— Tak oddana jak sam cesarz, który kochał ją najbardziej ze wszystkich swoich żon. Wielkość Tadz Mahal symbolizuje jego wieczną miłość.

Grant przeczytał fragmenty listu: *Tylko śmierć widzi symbol jego wiecznej miłości.*

— Dokładnie tak. Nazwa Tadž Mahal może zostać przetłumaczona dosłownie jako Pałac Korony.

— Tak jak w zagadce, ale — Grant wyprostował się; zapomniał już o bólu nogi i kłopotach na uniwersytecie — dlaczego napisali *Isa*?

— Perski architekt, który zaprojektował Tadž, nazywał się Ustad Isa, pisany przez jedno „s”.

— Jesteś niesamowita! — Grant pochylił się i objął ją, przez co prawie zrzucił komputer z jej kolan. Para siedząca obok znowu zmierzyła ich wzrokiem. Grant i Kristin nie zważali na to, że zwracają na siebie uwagę. Po raz pierwszy odkąd wyjechali z Bhutanu, znaleźli się o krok bliżej tekstów. Grant zauważył, że Kristin się uśmiecha. — Zatem mamy spotkać się z Kinleyem i Jigme w Tadž Mahal, ale kiedy? Zakładam, że ostatnie zdanie o pełni księżyca sugeruje spotkanie w nocy?

Kristin przesunęła palcem po ostatnim zdaniu: *odbijający się w stawie przy świetle pełni księżyca.*

— To by miało sens — powiedziała.

— Naprawdę?

— Przed mauzoleum znajdują się dwa duże zbiorniki wodne, w których odbija się Tadž Mahal. Kiedy rozmawiałam z Kinleyem na dziedzińcu przed wejściem do czytelni, zapytał mnie o moją podróż po Indiach. Jednym z ważniejszych punktów było oglądanie Tadž przy świetle księżyca w pełni. Jak wiesz, rząd indyjski ściśle reguluje dostęp do swojego dziedzictwa światowego, ale podczas jednej nocy w miesiącu, kiedy księżyc jest w pełni, na kilka godzin otwierają podwoje Tadž dla turystów.

— Więc teraz zostaje nam tylko dowiedzieć się, kiedy będzie następna pełnia — powiedział Grant.

Kristin wpisała „fazy księżyca” w wyszukiwarkę. Po chwili mieli odpowiedź. Musieli się pospieszyć. Pełnia przypadała za cztery dni, a potrzebne były dwa, by dotrzeć na miejsce. Na szczęście, pomyślał, wciąż mieli aktualne wizy.

Potem jego myśli powędrowały do przesłuchania w Emory, które za dwa tygodnie ma zdecydować o jego akademickim losie. Przesłałby Billingsly’emu list od Jigme, ale wątpił w to, by dziekan Flannigan dał mu ułaskawienie. Czy uda mu się dostać do Agry na spotkanie z Kinleyem w Tadž Mahal i powrócić do Atlanty z tekstami na czas?

Rozdział 26

Agra, Indie

Opóźnienie sięgało czterdziestu pięciu minut. *Czy w tym brudnym kraju cokolwiek jeździ na czas?* Tim wiercił się w twardym plastikowym fotelu. Przynajmniej zapłacił kilka dodatkowych rupii za wagon pierwszej klasy w ekspresie Shatabdi z New Delhi do Agry. Dwie godziny temu zrobiło mu się niedobrze, kiedy na peronie w New Delhi zobaczył wagony drugiej klasy: ludzie upakowani niczym bydło, stojący w smrodzie swoich niemytych rodaków. Jego pierwsza klasa przynajmniej miała klimatyzację i nikt nie próbował wnieść kurczaków ani kozy do przedziału.

Po lotach z Birmingham do Waszyngtonu i z Waszyngtonu do Londynu Tim wreszcie wczoraj dostał się do New Delhi. Był wyczerpany, lecz bardzo zadowolony. Przez całe życie czekał na taką okazję. W wojsku pragnął poczuć przynależność do grupy chroniącej kraj, która napędzała go, dopóki mu jej nie odebrano. Teraz rozumiał, że wszystko, co wówczas wycierpiał, miało ukryty sens: musiał zdobyć umiejętności i nabrać sił, by móc zmierzyć się z szansą, która teraz się przed nim otwierała. Obecnie był częścią czegoś większego niż jego ojczyzna — był agentem w boskich planach.

Po dotarciu do New Delhi odebrał kilka e-maili na telefonie. W pierwszym z nich była kopia zakodowanej wiadomości od mnicha Kinleya do Granta Matthews, drugą tłumaczenie kodu, które podpowiedziało mu, dokąd ma jechać: Tadź Mahal. Pogratulował sobie, że przewidział, iż musi udać się na drugi koniec świata, żeby w Indiach poczekać na bhutańską wizę. Teraz to oni jechali do niego. Tim poszedł do bhutańskiego konsulatu w New Delhi, żeby załatwić wizę — trzeba być przygotowanym na wszystko — a następnie ruszył w stronę Agry, miasta, które słynęło z jednego z najbardziej rozpoznawalnych mauzoleów na świecie.

Zerkając na pozostałych pasażerów, zauważył, że mieli ciemną karnację, nie czarną, ale niewiele jaśniejszą. Mężczyźni wyglądali dość porządnie w biznesowych garniturach, ale sari noszone przez kobiety wyglądały jak jedwabne zasłony owinięte na ich ciałach. Kolorowe, ale i groteskowe, podobnie jak kolczyki, które nosiły w nozdrzach, oraz czerwone kropki na czołach. Kiedy był w Iraku i Afganistanie, nigdy nie przyzwyczał się do prymitywnych zwyczajów ludzi Trzeciego Świata. Hindusi, Afgańczycy, Irakijczycy — dla niego wszyscy byli tacy sami. Wielebny Brady wielokrotnie podkreślał, że ci wszyscy ludzie, niebędący chrześcijanami, skończą w piekle.

Ponownie zerknął na zegarek. Chciał dojechać do Agry przed Grantem Matthewsem i Kristin Misaki. Od kilku dni bacznie śledził ich poczynania. Oprogramowanie zainstalowane przez niego w komputerze Matthews spisywało się doskonale. Na anonimowe konto dostawał kopie każdej wiadomości, którą Grant otrzymał lub wysyłał. Jako dodatkowy środek ostrożności aktywował mikroczip E911 w telefonie Granta. Czip przekształcał telefon w nadajnik GPS i po aktywowaniu go za pomocą przeglądarki internetowej można było namierzyć położenie komórki z dokładnością do kilku jardów. Opierając się na e-mailach, które przejmował, Tim wiedział, że Grant Matthews

i Kristin Misaki dotrą do Agry następnego dnia wieczorem, co dawało mu trochę czasu na poznanie miasta i zaplanowanie operacji.

Gdy pociąg wjechał na stację Cantonment w Agrze, Tim założył swój oliwkowo-zielony plecak i ruszył, wyprzedzając innych podróżnych. Zszedł na betonowy peron osłonięty metalowym przerdzewiałym dachem. W jego nozdrza uderzył smród uryny. Przynajmniej jesienią było tu pogodnie i ciepło, nie tak jak na Środkowym Wschodzie, gdzie spędził kilka upalnych lat. Odganiając muchy latające mu koło twarzy, minął szczupłego mężczyznę w bojówkach i brudnej poliestrowej koszuli. Mężczyzna ten, niosąc poczerniały dywanik i puszkę pasty do butów, ruszył za Timem i szarpiąc go za rękę, powtarzał: „Czyścić buty, mister?”.

Ręka Tima instynktownie powędrowała do biodra, ale nie odnalazła tam krzepiącej wypukłości glocka, którego spakował do plecaka. Zanim wyjechał ze Stanów, ostrożnie go rozłożył, ukrywając poszczególne części w fałszywym budziku i przerobionej puszcze kremu do golenia. Wiele części broni wykonano z kompozytu, co tylko ułatwiło mu robotę. Nadał swój jedyny bagaż, wiedząc, jak niedbali bywają funkcjonariusze na lotnisku, w porównaniu z wysiłkami, jakie czynili zaraz po 11 września.

Niezrażony pucybut wciąż się napraszał.

— Dwadzieścia rupii. Piękny blask.

Tim rozważał uderzenie chudzielca w twarz, ale gdy wyobraził sobie krew i ślinę na swoich rękach, postanowił odpuścić. Kto wie, na jakie choroby cierpią ci ludzie? Zmierzył spojrzeniem czyszciciela butów, który, jak zauważył, sam chodził bos.

— To są buty turystyczne, pieprzony idioto — wysyczał Tim. Chociaż bosonogi pewnie nie zrozumiał poszczególnych słów, to dotarł do niego sens przekazu, bo odsunął się i ruszył w kierunku innych podróżnych wysiadających z pociągu.

Idąc po peronie, poczuł zapach smażonego jedzenia, który sprawił, że zaczęło mu burczeć w brzuchu. Minął sprzedawcę oferującego panierowaną kulkę czegoś, co zostało usmażone w mętnym oleju w metalowym wózku. Choć był bardzo głodny, Tim wyobraził sobie bolesną biegunkę, której pewnie by się nabawił po zjedzeniu tego dania. Poczekaj, aż dotrze do hotelu, bo tam szybciej znajdzie coś jadalnego. Przypomniawszy sobie, że ma kilka batoników proteinowych w plecaku.

Dotarłszy do końca peronu, Tim wszedł na metalowe schody prowadzące do kładki, która biegła nad torami i łączyła peron z ulicą. Z grupy nagabujących go taksówkarzy i riksarzy wybrał najmniej natarczywego, starszego mężczyznę w postrzępionej białej koszuli i krawacie. Siedząc w poobijanym białym wanie, Tim starał się niczego nie dotykać. Wyglądając przez okno, gładził się po przedramionach.

Podczas krótkiego pobytu w Delhi zauważył, że indyjski rząd próbował nieco zatuszować ubóstwo szerokimi, wysadzanymi drzewami alejami oraz nowoczesnymi biurkami w nowszych częściach stolicy. Po kilku minutach w taksówce zobaczył, że w Agrze było inaczej. Chylące się ku upadkowi drewniane i kamienne budynki stały obok betonowych budowli, które od lat nie widziały farby. Co kilka przecznic mijał grupy namiotów, wyrastające przy murach budynków. Całe rodziny mieszkały w przybudówkach ze skorodowanej blachy. Grunt i ludzi pokrywało błoto. Ze wszystkiego, co tu zobaczył, wyłaniało się ubóstwo.

Jak im się udaje odbierać nam pracę?, zastanawiał się, kręcąc głową. Ci ludzie nie mieli szacunku ani dla siebie, ani dla swojego miasta.

Śmieci wały się z boku ulicy, w rowach o głębokości jednej stopy. Zapach tego gwarnego miasta nijak się miał do czystego sosnowego aromatu jego domu. Samochód wziął zakręt, a Tim zauważył dwoje dzieci stojących na kupce śmieci przy drodze. Starsze z nich, dziewczynka w wieku siedmiu

lub ośmiu lat, ubrane było w poszarpaną sukienkę, zwisającą z ramion. Tim patrzył, jak mała przeszukuje odpadki, być może w nadziei, że znajdzie coś jadalnego. Młodsze dziecko, czteroletni chłopiec z tłustymi czarnymi włosami i bez koszulki, prawdopodobnie jej braciszek, kucąło i podnosiło rękę do ust.

Tim przełknął kwaśną ślinę, kiedy zrozumiał, że chłopiec nabiera na dłoń i pije brudną wodą z kałuży. Ani śladu rodziców: maluchy były jak bezpańskie psy na ulicy. Gdy samochód mijał je w odległości kilku stóp, dziewczynka podniosła głowę i ich spojrzenia skrzyżowały się. Za niemytymi strąkami, które opadały na twarzyczkę, zobaczył tylko pustkę w jej oczach.

— Nie przypomina człowieka — wymamrotał.

Jakby na potwierdzenie jego myśli dwadzieścia metrów dalej zobaczył coś zwalistego, co przyciągnęło jego uwagę. Gdy podjechali bliżej, rozpoznał w tym kształcie dwie duże świnie grzebiące w tych samych śmieciach, jakie były przeszukiwane przez dzieci w dole drogi. Obie były cięższe niż dziki, na które Tim polował w lasach Alabamy, a ich kosmate ciała pokrywało takie samo błoto, jak ludzi mieszkających przy tej drodze.

To miejsce przyprawiało go o mdłości. Poczuł, że dekoncentruje się przed czekającym go zadaniem, więc zamknął oczy i zaczął odhaczać w pamięci poszczególne punkty swojej listy. Kiedy się rozpakuje, musi złożyć glocka. Następnie trzeba będzie zdobyć amunicję. Mimo przekonania, że większość osób obsługujących skanery bagażu to idioci, nie miał pewności, czy uda mu się ukryć ślady chemiczne prochu strzelniczego lub łatwo rozpoznawalny kształt kuli. Wiedział jednak, że wszystko da się kupić w takim miejscu, jeśli zaproponuje się odpowiednią cenę. Kule kalibru 40 to pestka.

Oprócz broni w bagażu Tima znajdował się jeden z jego najlepszych pomysłów. Tim uśmiechał się, gdy tylko pomyślał o tym, jaki jest sprytny. Do nylonowego etui włożył sześć EpiPenów[5], plastikowych wstrzykiwaczy z epinefryną podawaną przez ukrytą igłę aktywowaną przez naciśnięcie. Bez problemu kupił je w aptece, posługując się spreparowaną w Photoshopie receptą. Wielu ludzi nosiło ze sobą te pojedyncze zastrzyki, niezbędne w przypadku reakcji alergicznych po użądleniu lub spożyciu uczulającego pokarmu.

Tim nie miał alergii. Alergie były dla chorowitych ludzi. Osobiście zmodyfikował EpiPeny. Żaden z nich nie zawierał już epinefryny. Trzy z nich miały w swym składzie versed, benzodiazepinę, którą lekarze aplikowali pacjentom tuż przed operacją, by wprowadzić ich w stan zamroczenia. Przypominał sobie własne doświadczenie z versedem, gdy jako dwudziestolatek miał usuwane zęby mądrości. Zwędził fiołki, kiedy dostał wymówienie z pracy w szpitalu. *Nigdy nie wiesz, kiedy niektóre leki mogą ci się przydać*, pomyślał, a on był bardzo cierpliwy. Wiele rzeczy, które zrobił w życiu, nie wiedząc nawet po co, zaczynało układać się na swoich miejscach, przekonując go, że od lat Bóg miał wobec niego plan, a może nawet kierował nim od urodzenia.

Tim uśmiechnął się na myśl, jaki efekt da ukłucie kogoś jednym ze zmodyfikowanych EpiPenów: taka osoba w ciągu kilku sekund stanie się zupełnie bezbronna. Będąc na skraju przytomności, ofiara nieporadnie wykona jego instrukcje, a dzięki temu, że substancje zawarte w leku wpływają na pamięć, nie będzie nic pamiętała, gdy działanie leku osłabnie.

Pozostałe trzy EpiPeny zostały oznaczone czerwonym paskiem. Tim użył pisaka permanentnego, żeby nie pomylić ich z tymi wypełnionymi versedem. Te z czerwoną kreską zadziałają równie szybko jak pozostałe, ale skutek będzie poważniejszy. Zostały wypełnione cyjanowodorem, pod względem chemicznym podobnym do cyjanku, ale o większej mocy. Ofiara ukłuta jednym z nich dozna natychmiastowego zatrzymania pracy serca. Tim wszedł w posiadanie tego specyfiku jeszcze łatwiej niż versedu: zamówił go na stronie internetowej hurtowni chemicznej.

W ciągu kilku dni miał zamiar wypróbować obie substancje.

[5] Automatyczny wstrzykiwacz jednorazowy z adrenaliną.

Rozdział 27

Uttar Pradesh, Indie

Przez okno samochodu Grant patrzył na płaski suchy łąd i piaszczystą ziemię w odcieniu czerwieni. Zastanawiał się, czy Issa wędrował tędy, zmierzając w Himalaje. Auto podskoczyło na wybojach. Nazwanie drogi do Agry „autostradą” było chyba wynikiem czyjegoś pobożnego życzenia. Pasy jezdni powinny zostać położone na nowo, a nie być bezsensownie łątane. Wyboista przejażdżka mogłaby go irytować, gdyby nie fakt, że ich kierowca co kilka minut cudem unikał zderzenia czołowego, gdy wyprzedzał powolny traktor lub jeszcze wolniejszy wóz ciągnięty przez wielbłąda.

W New Delhi nie zabawili długo. Dotarli tam poprzedniego dnia po osiemnastu godzinach lotu, włącznie z noclegiem w Paryżu. Warunki drogowe plus zmęczenie związane ze zmianą stref czasowych sprawiły, że czterogodzinna jazda pomiędzy miastami wydawała im się dłuższa niż w rzeczywistości. Grant dziwił się dużej różnorodności podróży na ulicach — patrzył na samochody, których kierowcy zdawali się nie znać żadnych zasad ruchu drogowego, autobusy z tyloma pasażerami jadącymi na dachu, ilu mieściło się w środku pojazdu, trójkołowe riksze, których właściciele pedałowali na łeb na szyję między autami, wielbłądy ciągnące wozy z materiałami budowlanymi oraz niezliczone ilości motocyklistów jeżdżących w tę i w tę niczym rój szerszeni okrążających gniazdo. Nie istniała tu ani sygnalizacja świetlna, ani pierwszeństwo przejazdu, jednak użytkownikom dróg udawało się jakoś w tym chaosie tańczyć wokół siebie, jakby wykonywali ewolucje baletowe do dźwięków wszechobecnych klaksonów.

— O czym myślisz? — zapytała Kristin, tłumiąc ziewnięcie.

— Obudziłaś się. Och, o niczym. O symfonii.

Kristin spojrzała rozkojarzonym wzrokiem i przeciągnęła się, prostując ręce nad głową. Jakby wiedząc, o co chodzi, ich kierowca przycisnął klakson i wyminął wychudzoną krowę stojącą na środku zatłoczonego wiejskiego skrzyżowania, jednego z wielu, przez które przemknął w ciągu ostatnich trzech godzin. Krowa stała jak skamieniała, być może zaszkoziły jej wdychane spaliny, więc nawet nie spojrzała na SUV-a, który ominął jej zad zaledwie o kilka cali. Gwałtowny manewr sprawił, że Kristin poleciała na Granta.

— Mówi się tutaj, że kierowcy potrzebują tylko trzech rzeczy: klaksonu, hamulców i szczęścia — wyszeptała mu do ucha, zanim usiadła prosto.

— Na szczęście, wszystkich trzech mamy pod dostatkiem — odparł Grant. Wychylił się do przodu i zwrócił się do kierowcy: — Jaki macie układ z krowami na drodze? — Podczas poprzedniej podróży do Indii śmieszyły go stada bydła przechadzające się gdzie popadnie i śpiące na pasie oddzielającym dwa pasma jezdni.

Kierowca, którego biała koszula bez kołnierzyka kontrastowała z ciemną cerą i kruczoczarnymi włosami, wyjaśnił po angielsku z silnym obcym akcentem.

— Ludzie trzymają krowy dla mleka. Używają łąna do rozpalania ognisk, na których gotują potrawy. Ale krowa jest świętym zwierzęciem dla Hindusów. Nie zabijamy jej dla mięsa. Kiedy zwierzę jest zbyt stare, by dawać mleko, właściciel pozwala jej iść na ulicę.

— Zamiast bezpańskich psów macie bezpańskie krowy? — Grant się uśmiechnął.

— O, tak. Mamy też wiele bezpańskich psów — roześmiał się kierowca.

Chociaż Grant był w Indiach świadkiem największej nędzy, jaką kiedykolwiek widział, również zachwycała go energia ludzi oraz bogactwo kultury. Ludzie, których dotychczas spotykał, byli niezwykle przyjaźni i pomocni.

Kristin spojrzała na zegarek Granta.

— Wkrótce powinniśmy dojechać do Agry.

— To już dziś wieczorem. — Potarł dłońmi o spodnie. Odpowiedzieli Jigme, że będą o ósmej wieczorem przy pełni księżyca, jedynej nocy w miesiącu, kiedy Tadź Mahal był otwarty — ale Jigme nic nie odpisał. Grant miał nadzieję, że wszystko się uda. Cały czas się zastanawiał, czy cała ta maskarada była konieczna. Emocje związane z publikacją tłumaczenia tekstów Issy wygasły i zostały zastąpione nagłówkami rozwodzącymi się nad poniżeniem, jakiego doznał Grant. Potem pomyślał o Kinleyu i kłopotach, na jakie mnich został narażony, żeby móc się z nim spotkać.

— Sądysz, że tam będą? — zapytała Kristin.

— Miejmy taką nadzieję. — Grant żywił przekonanie, że dobrze zinterpretowali list Jigme. *A jeśli nie?* Nie mieli zbyt wiele czasu, w ciągu tygodnia skończą im się pieniądze Kristin.

Rozdział 28

Agra, Indie

Cienie zmierzchu pochłonęły niewielki skiff płynący na wschód w dół rzeki Yamuna. Palce Tima drżały od wibracji na przepustnicy motoru o mocy piętnastu koni mechanicznych przymocowanego do rufy płaskodennej łodzi. Znalezienie łodzi do wynajęcia nie było trudne: znalezienie takiej z silnikiem zamiast staruszka z drągiem wymagało większego zachodu i czterech tysięcy rupii — niecałe sto dolarów. Na szczęście Tim dostał duży zadatek przed wyruszeniem w misję. Ponownie odczuł wdzięczność za swój zmysł przewidywania i planowania. Gdyby nie wyjechał do Indii, nie miałby czasu na przygotowania, po tym jak przejął zakodowany e-mail oraz jego tłumaczenie. Jedną z kluczowych nauk zdobytych podczas szkolenia wojskowego było przywiązywanie należytej wagi do etapu przygotowania i planowania.

Warkot silnika rozchodził się po spokojnej wodzie. Tim wyjął telefon z plecaka leżącego na dnie łódki. Jedynym pozytywnym aspektem tego brudnego kraju, pomyślał, była sprawnie działająca sieć komórkowa. W mniej niż trzydzieści sekund połączył się z Internetem przez telefoniczną wyszukiwarkę i miał dostęp do kolorowej mapy Agry. Dotknął ekranu, powiększając obraz, dopóki nie zobaczył mrugającej czerwonej kropki. Oznaczała telefon Granta Matthews'a. Zachwycił się tym, jak łatwo można było śledzić czyjś każdy ruch. Rząd twierdził, że czipy E911 miały służyć bezpieczeństwu publicznemu: dzięki nim można było szybko odnaleźć spanikowanego kierowcę dzwoniącego po wypadku pod 911. Operatorzy komórkowi zachwalali tę technologię jako dodatkową korzyść dla tych, którzy korzystali z GPS, a nawet sprzedawali ją rodzicom dbającym o bezpieczeństwo dzieci. Za niewielką miesięczną opłatą rodzice mogli, kiedy chcieli, logować się na stronie i zobaczyć na mapie miejsce pobytu dziecka. Ale Tim wiedział, czemu naprawdę służyła ta technologia — była kolejnym sposobem kontroli rządu nad obywatelami. Dziś wieczorem on wykorzysta ją do własnych celów.

Puls mu przyspieszył. Jego cel znajdował się na ulicy w pobliżu wejścia do Tadź Mahal. Godzinę przed czasem spotkania, który wyznaczili na ósmą wieczorem. Popchnął przepustnicę, dodając gazu.

Gdy skiff zatoczył łuk na rzece, Tim po raz pierwszy zobaczył potężny szesnastowieczny fort Agra z monumentalnymi ścianami z piaskowca, wznoszący się na drugim brzegu rzeki. Zachwyciło go, że średniowieczna muzułmańska forteca została strategicznie ulokowana przy brzegu, sprawiając, że jej flanki były niemożliwe do pokonania, a jednocześnie rozciągał się z niej widok na pozostałe trzy strony — podręcznikowe położenie. Widząc fort w Agrze, Tim wiedział, że Tadź Mahal musi być w pobliżu, i poczuł jeszcze większe napięcie.

Wtedy pojawił się świąd. Tim podrapał się po rękę. Cholera, pomyślał. Dlaczego ta cholerna egzema zachowuje się w ten sposób? Prawą ręką sterował skiffem po zakolu rzeki, a lewej użył do drapania, chociaż wiedział, że to tylko nasili swędzenie. Jednak w chwili, gdy wypłynął na prostą,

zapomniał o niedogodności. Na południowym brzegu rzeki ujrzał Tadź Mahal. Marmurowe kopuły w kształcie cebul wznosiły się na wysokość ponad sześćdziesięciu metrów na tle wieczornego nieba, lśnią i mieniać się błękitem w świetle okrągłego księżyca.

Wówczas wyłonił się pierwszy, niespodziewany problem. Tim zwolnił i nie kontrolując tego, co robi, znowu podrapał się po rękach. Dwa kamienne place otaczające Tadź Mahal oświetlał nie tylko księżyc, lecz również jasne iluminacje. Niestety, światła docierały także na płaski trawiasty brzeg, który niczym gigantyczna scena rozciągał się od czerwonych murów otaczających plac z piaskowca aż do samej rzeki.

Podczas zwiadu, który odbył poprzedniego dnia po południu, Tim postanowił dostać się na miejsce drogą wodną ze względu na uzbrojonych w kałasznikowy strażników stojących przy głównej bramie. Ale jak ma teraz dokończyć misję przy takim oświetleniu?

* * *

Po pospiesznie zjedzonym obiedzie, na który składało się curry z kurczakiem i warzywami oraz spore porcje ryżu i naan, by złagodzić smak pikantnych przypraw, Grant i Kristin minęli kramy handlarzy stojących w wąskiej uliczce prowadzącej od ich hotelu do bramy Tadź Mahal. Grant rozkoszował się spokojem chłodnego wieczoru. W oddali czekały psy. Gdy przestępowali nad łopoczącymi na bruku gazetami, które wiatr przywiał od straganów, wyobraził sobie chaos, jaki panował tu w ciągu dnia: handlarze oferujący owoce, wodę w butelkach, koszulki i tanie plastikowe modele Tadź Mahal. Teraz właściciele kramów byli już w domach ze swoimi rodzinami, pozostały tylko odpadki świadczące o ich wcześniejszej działalności.

Grant sprawdził godzinę.

— Jesteśmy przed czasem.

— Nie mogę się doczekać. — Ujęła go za rękę.

— Nawet nie mów.

Dziesięć minut później, kiedy minęli już wykrywacz metalu, który pisał na każdego wchodzącego, i gdy zostali obszukani dokładniej niż na lotnisku, weszli przez bramę na wielki, porośnięty trawą dziedziniec. Granta zaskoczyła zmiana scenerii. Zniknął smród kanalizacji unoszący się znad rynsztoków poza murami, nie było też śmieci, odpadów i brudu obecnych w całym mieście. Trawa i krzewy zostały skrupulatnie przycięte. Ten kraj, uświadomił sobie Grant, naprawdę zawiera w sobie dwa zupełnie odmienne światy.

— Gdzie to jest? — zapytał. Na dziedzińcu większym niż dwa boiska piłkarskie nie było ani śladu samego Tadź Mahal.

— Na razie weszliśmy na zewnętrzny dziedziniec. — Kristin pokazała ręką na prawo, gdzie na siedem pięter w górę wznosił się olbrzymi budynek z piaskowca z ozdobnymi akcentami z białego marmuru. Po obu stronach budowli stały niskie jednopiętrowe konstrukcje, dzięki łukom wyglądały jak krużganki. — To główne wejście na wewnętrzny dziedziniec i do samego Tadź Mahal.

Wskazała na liczne ostre łuki bramy.

— Islamska architektura charakteryzuje się doskonałą symetrią.

Niczym pamiątki na półce sklepu, wysoki budynek wieńczył rząd jedenastu marmurowych kopuł w miniaturze, które naśladowały kształt głównej kopuły na Tadź Mahal. Grantowi wydawało się, że znalazł się w średniowiecznym islamskim zamku.

— Zatem jeśli to jest główna brama, to jaką funkcję mają te budynki? — wskazał na długą,

czerwoną, parterową budowlę z lewej strony trawnika, która miała identyczne łuki z tymi u skrzydeł niskiego budynku przy głównej bramie.

— To są kwatery budowniczych Tadź Mahal. W ciągu dwudziestu dwóch lat pracowało tu ponad dwadzieścia tysięcy robotników. Legenda mówi, że cesarz kazał odciąć dłonie najlepszym z nich, kiedy budowa dobiegła końca, żeby nigdy nie postawili czegoś równie wspaniałego.

Po chodniku z czerwonego piaskowca przeszli do głównej bramy. Wraz z nimi szło kilka tuzinów turystów mówiących w hindi, po japońsku i niemiecku. *O wiele lepiej*, pomyślał Grant, *niż tysiące obecne tu w ciągu dnia*.

Kristin zatrzymała się przed łukowatym wejściem na środku bramy, które Grant ocenił na ponad pięćdziesiąt stóp wysokości.

— Widzisz czarne pismo wewnątrz białej marmurowej otoczki łuku?

— Arabskie litery. — Grant zadarł głowę.

— Litery są z czarnego onyksu, którym inkrustowano marmurowe ściany bramy. To włoska technika, zwana *pietra dura*.

— Wiesz, co tam napisano? — Arabski nie był językiem, w którym Grant umiał czytać, w przeciwieństwie do starożytnej greki, tybetańskiego, francuskiego i niemieckiego.

— Kiedy tu byłem ostatnim razem, przewodnik przetłumaczył mi jeden wers. Pochodzi z Koranu i zaprasza sługi Boga do wejścia do raju.

Koran? To rozbudziło jego zainteresowanie. Przypomniał sobie, że Szahdżahan, który kazał zbudować Tadź Mahal, był władcą z dynastii Mogołów. Przed podróżą Grant odświeżył sobie trochę historię Indii, pamiętał więc, że najazdy armii muzułmańskich na Indie zaczęły się na początku XVI wieku. Władcy muzułmańscy, którzy potem rządili krajem, znani jako Wielcy Mogołowie, robili wszystko, by zniszczyć starożytną kulturę indyjską. Zmusili wielu ludzi, których uważali za pogan ze względu na praktykowanie religii politeistycznej, do przejścia na islam.

— Podobnie jak chrześcijańskie krucjaty i inkwizycja — powiedziała Kristin. — Przejdź na chrześcijaństwo albo zgiń.

— Ironicznie, jak na religie skupiające się wokół miłosiernego Boga, prawda? Krzyżowcy, chrześcijańscy czy islamscy, wierzyli, że zabijając i torturując, zbawiają podbite ludy.

Kristin ujęła go pod rękę i skierowała pod łuk głównej bramy.

— Gotowy? — zapytała.

Kiedy przeszli na drugą stronę, Grant stanął jak wryty. Widok, który rozciągał się przed nimi, odjął mu mowę.

* * *

Tim podpłynął do północnego brzegu rzeki naprzeciw terenów Tadź Mahal, ale z dala od świateł. Minawszy kompleks zabudowań, zauważył miejsce odpowiednie do przycumowania — na północno-wschodnim narożniku znajdował się plac budowy, który Tim wypatrzył podczas porannej wizyty. Odprężył się. Miejsce kryło się w cieniu. Władze pewnie nie chciały oświetlać bałaganu powstałego przy renowacjach odbywających się na skraju kompleksu. Odwrócił łódkę i tyłem dobił do brzegu.

Tuż przed nim znajdował się pomost, na który robotnicy wyładowywali materiały z barek rzecznych. Tim przykręcił przepustnicę, zwalniając obroty silnika z ryku do niskiego bulgotu. Po tym, co zaobserwował w ciągu dnia, właściwie nie obawiał się zainteresowania strażników. Czujni są jedynie ci przy bramie, natomiast ci patrolujący teren zbierają się przy mauzoleum i gadają ze sobą

zamiast obserwować tłum i wyławiać potencjalnych terrorystów. Kałasznikowy zbyt swobodnie zwisają im z ramion. Mając na biodrze pod obszerną koszulą safari swojego glocka kaliber czterdzieści, Tim mógłby wystrzelać całą grupę próżniaków, zanim któryś z nich zdołałby przeładować.

Przywiązał łódkę do pomostu. Za śmieciami z budowy rozrzuconymi na trawie oraz przylegającym do niej placem stało rusztowanie wysokie na co najmniej czterdzieści stóp. Najwyraźniej indyjski rząd odnawiał swoje pomniki narodowe, dostarczając Timowi łatwego sposobu na pokonanie muru i uniknięcie drutu kolczastego, który biegł wszędzie, omijając tylko dziesięciometrowy kawałek trawiastego wybrzeża. Tim ucieszył się na widok sprawnej mechanicznej windy z boku rusztowania. Zauważył ją podczas wizyty zwiadowczej, domyślając się, że ekipa budowlanców używała jej do wciągania na górę kamieni i cementu potrzebnych do renowacji. Chociaż składała się z zaledwie kilku połączonych ze sobą desek i podnoszono ją ręcznie za pomocą lin i bloczków, prosta konstrukcja wystarczy, by opuścić półprzytomne ciało do łodzi.

Poklepał się po szerokich spodniach z wielkimi kieszeniami, w których miał zmodyfikowane EpiPeny, i uśmiechnął się do siebie.

* * *

Stojąc na schodach głównej bramy, Grant objął wzrokiem widok rozciągający się ponad dwoma prostokątnymi stawami o długości dwustu metrów. Stawy kończące się przy jasnej marmurowej ścianie mauzoleum były otoczone przez symetryczne francuskie ogrody.

— Znacznie większy niż się spodziewałem.

— Zdjęcia ani pisemne relacje nie oddają jego wielkości. Nawet moje. — Kristin pociągnęła go na dół, w stronę czerwonej ścieżki ciągnącej się wzdłuż pierwszego stawu. Kątem oka Grant widział jej podekscytowaną minę.

Idąc w stronę pomnika, uświadomił sobie, że to, co najpierw brał za prostokątną budowlę, tak naprawdę ma kształt ośmiokąta. W przeciwieństwie do pozostałych budynków w kompleksie, które powstały z czerwonego piaskowca z akcentami z białego marmuru, Tadź Mahal został zbudowany wyłącznie z białego przejrzystego marmuru. W środkowej części mauzoleum dwupoziomowy szpiczasty łuk był lustrzanym odbiciem tego, przez który właśnie przeszli. Po każdej stronie głównego łuku znajdowały się pary mniejszych łuków umieszczonych w murze z islamską symetrią i w idealnych proporcjach. Dach budynku wieńczyło pięć kopuł — mniejsze na zewnętrznych rogach i największa w samym środku. Obraz uzupełniały smukłe minarety, tak wysokie jak samo mauzoleum, które wznosiły się przy każdym z czterech rogów podwyższonego marmurowego placu, na którym stał Tadź Mahal.

Po kilku minutach potrzebnych na wchłonięcie majestatu architektury Grant wskazał na dwa identyczne budynki z czerwonego piaskowca stojące po obu stronach Tadź Mahal, na samym skraju kamiennego placu, poniżej placu marmurowego.

— To meczety?

— Ten z lewej to meczet. Ten z prawej był domem gościnnym, wzniesionym po to, by zachować symetrię projektu.

Kiedy dotarli do końca pierwszego stawu, Grant zauważył samotną postać na kamiennej ławce. Ławkę postawiono na platformie obserwacyjnej, umieszczonej pomiędzy dwoma odbijającymi architekturę zbiornikami wodnymi. Mężczyzna ubrany był w dżinsy i bawełnianą koszulę z krótkimi

rękawami i bez kołnierzyka. Wydawało się, że kontempluje rozciągający się przed nim widok. Grant i Kristin pokonali trzy stopnie prowadzące na górę podwyższenia. Nie odwracając ogolonej głowy, mężczyzna powiedział: „Widać stąd doskonałe odbicie budynku w wodzie”.

— Jigme! — wykrzyknęli jednogłośnie.

Jigme wstał i objął Granta i Kristin.

— Dobrze was widzieć — powiedział wyraźnie, ale z silniejszym akcentem niż Kinley.

— Prawie cię nie poznałam bez tuniki — oznajmiła Kristin.

— Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz nosiłem zwykłe ubrania. Muszę przyznać, że te dzinsy są dość wygodne. Biorąc pod uwagę zamieszanie, jakiego ostatnio narobiliście, pomyślałem, że nasze spotkanie będzie mniej podejrzane, gdy przyjdę w takim stroju.

— Wiesz — powiedział Grant, wciąż ściskając ramię Jigme, jakby bał się go puścić — to pierwszy raz, kiedy w ogóle słyszę, jak mówisz. — Mnich wydawał się bardziej dojrzały niż wskazywał na to jego wiek.

— Usiądźcie, proszę, i popatrzcie na ten widok — Jigme wskazał na ławkę. — Tak, zakończyłem moje ćwiczenie milczenia. Nie spodziewałem się, że tak wiele tracę, zajmując się słuchaniem własnego głosu.

Grant pomyślał, że jego własny umysł rzadko siedział cicho, a Kinley uczył go kontrolować cykle bezproduktywnych myśli, które tak często go pochłaniały. Ostatnio zaniechał tego ćwiczenia. Opowiedział Jigme o tajemniczym zaginięciu zdjęć, które zrobili w Bhutanie.

— Dziwne — odparł mnich.

— Nie mogliśmy się z wami skontaktować — powiedziała Kristin. — Czy wszystko u was w porządku?

— Kontrowersje dotarły do dzong szybciej niż przewidział Kinley. Po waszym wyjeździe Lama Dorji otrzymał wiele telefonów z zapytaniem o dokumenty.

— Od tego reportera, który przeprowadził z nim wywiad? — zapytał Grant. Zastanawiał się, jak ten człowiek wytropił lamę.

— Z początku Lama Dorji nie wiedział, o co chodzi. Nigdy wcześniej nie słyszał o księgach Issy w naszej bibliotece.

— Lama ograniczał się do studiowania tybetańskich ksiąg buddyjskich? — upewniła się Kristin.

Jigme przytaknął.

— Po pierwszym telefonie lama udał się do Dawy, mnicha, który zajmuje się archiwum, i zapytał go o te księgi. Chyba możecie sobie wyobrazić jego reakcję, kiedy domyślił się, że Kinley musiał zaprowadzić was do czytelnicy.

— Dlatego skłamał reporterowi, mówiąc, że nie ma takich tekstów? — spytał Grant.

— Cóż, zanim dziennikarz oddzwonił, ksiąg rzeczywiście nie było już w czytelnicy w dzong. — Na twarzy młodego mnicha pojawił się figlarny uśmiech.

— Co się z nimi stało? — dopytywał Grant.

Zanim Jigme zdążył odpowiedzieć, wtrąciła się Kristin.

— A co z Kinleyem?

— Odpowiadając na oba pytania: Kinley i manuskrypty są bezpieczni, ale jeśli chodzi o ich szczegółowe miejsce pobytu, to nie umiem odpowiedzieć.

— Nie wiesz... — zaczął Grant, tak bardzo walcząc z frustracją, że niemal wykrzyknął pytanie.

Jigme podniósł rękę.

— Kinley nie chciał stawiać mnie w takiej sytuacji, bym musiał kłamać, żeby chronić jego i teksty. Ale zostawił mi wiadomość.

W oczach mnicha pojawił się znajomy błysk.

* * *

Tim zauważył, że Matthews i Misaki siedzą pięćdziesiąt metrów od niego na kamiennej ławce pomiędzy dwoma stawami, w których odbijało się mauzoleum. Przywiązawszy łódkę do nabrzeża, z łatwością wspiał się na rusztowanie i podążył za sygnałem podawanym mu przez aplikację w telefonie, a ta doprowadziła go do francuskiego ogrodu. Technologia sprawdziła się dobrze, tak jak się tego spodziewał.

Podszedł bliżej, trzymając się zacienionych miejsc pomiędzy światłami, które padały na ozdobnie przycięte drzewa. Starał się wyglądać swobodnie, jak turysta.

Na ławce obok nich siedział jakiś łyсы mężczyzna. Tim dostrzegł, że ma ciemną cerę i twarz bardziej okrągłą i wschodnioazjatycką niż Hindusi. Szybciej zabiło mu serce. Chociaż mężczyzna ten nie miał mnisich szat, Tim był pewien, że to właśnie ten człowiek: mnich Kinley, który pokazał teksty Matthewsowi. Mnich spotkał się z nimi, tak jak było napisane w zakodowanym liście.

Podszedł bliżej, przekrzywiając głowę w bok, by mieć ławkę w polu widzenia, jakby patrzył przez troje siedzących na niej ludzi i podziwiał meczet oraz drugą część ogrodu. Poczuł lekkie rozczarowanie. Mnich niczego ze sobą nie przyniósł. Nie miał torby ani żadnych starożytnych ksiąg. Co prawda, Tim nie spodziewał się, że przyniesie tu księgi Jezusa. Chociaż przejęcie manuskryptów w tym miejscu byłoby łatwiejsze, a on był gotowy na wyzwanie i zdobycie ich bez względu na środki, którymi miałyby się posłużyć.

* * *

— Więc masz wiadomość od Kinleya? — zapytał Grant, kiedy młody mnich zamilkł na kilka chwil po wygłoszeniu swojej rewelacji.

— Przejdźmy się — powiedział Jigme i wstał. — Przejechaliście pół świata, żeby zobaczyć najwspanialszy na świecie pomnik wystawiony prawdziwej miłości. Możecie przy okazji zobaczyć, na co wydaliście pieniądze. — Zszedł z platformy i ruszył w stronę Tadź Mahal. Grant zerknął na Kristin, która ujęła jego rękę i pociągnęła w ślad za Jigme.

— Dlaczego Agra? — zawołał Grant. — Dlaczego Kinley nie przyszedł osobiście?

Planując podróż i lecąc tutaj, stracił już cztery cenne dni.

— Widzę, że nauczyłeś się cierpliwości po powrocie do Ameryki — powiedział Jigme, odwracając się przez ramię.

Zganiony przez mnicha, Grant powstrzymał się od dalszych komentarzy i pospiesznie kuśtykając, starał się dogonić szybko idącego Jigme. Jego myśli płynęły równie prędko jak kroki, które stawiał. Jaki cel miał Kinley, sprowadzając ich tutaj, jeśli nie chodziło mu o przekazanie tekstów? Grant zaryzykował dla nich swoją reputację i swoją akademicką karierę. Wtedy przyszło mu do głowy coś innego: Kinley również podjął ogromne ryzyko. Mnich zabrał manuskrypty z biblioteki i naraził się na gniew lamy. Ale teraz gdzieś zniknął.

A jeśli Kinley zmienił zdanie? Jeśli uważa, że nie jestem wart powierzenia mi tajemnicy? Wątpliwości zaczęły mnożyć się w jego głowie. Lepiej żeby ich podróż okazała się czymś więcej niż tylko zagadką prowadzącą do popularnego wśród turystów miejsca. Nie miał czasu na gierki, szczególnie kiedy jego nazwisko stało się pośmiewiskiem w środowisku naukowców zajmujących

się teologią. Kiedy przed wyjazdem poszedł do biura, by zabrać jakieś dokumenty, słyszał, że jego znajomi doktoranci szeptali coś za jego plecami.

Kilka minut później znaleźli się w zaciemnionej klatce schodowej prowadzącej z poziomu ogrodu na olbrzymi marmurowy plac, na którym stał Tadź Mahal.

— No więc jesteście — powiedział Jigme.

Widok mauzoleum znajdującego się tuż przed nim natychmiast przerwał tok jego myśli o tekstach i problemach. Stojąc w odległości piętnastu metrów od pomnika, Grant zrozumiał wielkość osiągnięcia Isy, architekta Tadź Mahal, oraz jego pracowników sprzed trzystu sześćdziesięciu lat. Gładka marmurowa budowla wznosiła się na niemal dziewięćdziesiąt stóp, a plac ciągnął się na długość stu stóp w każdym kierunku. Grant uświadomił sobie, że marmur nie był zupełnie biały, jak wydawało mu się z daleka; przecinały go beżowe i szare żyłki. Podobnie jak główna brama, masywne kamienne ściany ozdobione były pętelkami arabskiego pisma z inkrustowanego czarnego onyksu, ale na mauzoleum *pietra dura* występowała w znacznie większej skali: tęcza półszlachetnych kamieni w marmurze przybrała kształt winorośli i kwiatów, które zdawały się pięć po gładkich ścianach.

— Jigme! — dobiegł ich czyjś głos.

Grant obrócił się na pięcie.

Na twarzy Jigme pojawił się szeroki uśmiech.

— Razi!

Mężczyzna, który objął mnicha, był o kilka lat starszy niż Jigme, ale młodszy niż Grant. Miał na sobie białe ubranie — bawełniane spodnie i koszulę z długimi rękawami, tylko na głowę wcisnął czarną włóczkową czapkę. Uśmiechał się z za schludnie przyciętych wąsów i brody — czarnych jak jego wystające spod czapki włosy.

— Kristin, Grant, proszę, pozwólcie, że przedstawię wam mojego nowego przyjaciela, Jamila Razifara. Kilka dni temu oprowadził mnie po mauzoleum.

Dni?, pomyślał Grant.

— Dobrze znowu cię widzieć, przyjacielu — powiedział Razi. — Więc nie odstraszyła cię przechadzka w moim towarzystwie?

— Wręcz przeciwnie. Tak mi się podobała, że wróciłem z przyjaciółmi.

Razi wyciągnął rękę do Granta. Mówił po angielsku szybko, ucinając końcówki z charakterystycznym indyjskim akcentem.

— Miło cię poznać, przyjacielu Jigme. — Następnie szarmancko uklonił się Kristin, która oddała mu ukłon.

— Jesteś przewodnikiem? — zapytała.

Roześmiał się.

— Nieoficjalnie. Jestem studentem, uczę się na mułłę. Jako student islamu w Indiach — wskazał na mauzoleum przed nimi — często tu zachodzę, by podziwiać nasze najbardziej spektakularnie osiągnięcia architektoniczne.

— Masz chwilę, żeby nas oprowadzić? — zapytał Jigme.

Grant próbował uchwycić spojrzenie Kristin. *Zwiedzanie?* Mieli usłyszeć wiadomość od Kinleya dotyczącą tekstów. Ale ona wpatrywała się w Razię z oczekiwaniem, jakby przemierzyła pół świata tylko po to, by zwiedzić mauzoleum.

Potem w zniecierpliwienie Granta wdarła się inna myśl. Spojrzał na mężczyzn i uświadomił sobie, że każdy z nich studiował religie: chrześcijańską, buddyjską oraz islam. *Osobliwy zbieg okoliczności*. Chociaż wiedział już, że jeśli chodzi o Kinleya, nie może być mowy o zbiegu

okoliczności.

Razi zaprowadził ich do położonego po lewej stronie wejścia do budynku. Położył dłoń na kamieniu.

— Ten marmur nazywa się Makrana i jest jednym z najtwardszych i najmniej porowatych, dlatego budynek pozostał w takim dobrym stanie przez wiele wieków. Na mozaiki, które widzicie, składa się czternaście rodzajów pólslachetnych kamieni, takich jak koral, onyks, malachit. Kamienie mają jedynie trzy lub cztery milimetry grubości, a jednak jakość wykończenia jest tak wysoka, że pomiędzy kamieniami a marmurem nie zobaczycie żadnych luk ani łączeń.

— Czy islamskie napisy na łukach to również fragment Koranu, tak jak na głównej bramie? — zapytała Kristin.

Razi przytaknął.

— Tekst na budynku opisuje potępienie, jakie czeka tych, którzy nie poddadzą się woli Allaha, a także raj, jakiego doświadczą wierni.

— Czy to prawda, że Koran jest zapisem wizji Mahometa? — zapytał Jigme. Grant zerknął na niego. *Jigme wie, że tak jest*, pomyślał. Odniosł wrażenie, że to spotkanie zostało zaaranżowane. *Ale po co?*

Razi potwierdził.

— Prorok żył jakieś pięćset lat po Jezusie. W przeciwieństwie do Biblii, która jest zbiorem pism różnych autorów i powstawała przez kilka wieków, Koran jest spisem wizji nawiedzających Mahometa w ciągu dwudziestu trzech lat. Wiele historii i tematów pokrywa się z tymi z Biblii. My, muzułmanie, postrzegamy Koran jako uzupełnienie trylogii zapoczątkowanej przez Stary i Nowy Testament. Dla nas to zapis słów Allaha, który przemawiał przez Mahometa.

— Zatem muzułmanie postrzegają Mahometa podobnie jak chrześcijanie Jezusa? — zapytał Jigme.

Grant oparł się o chłodny marmur Tadż Mahal, dając odpocząć bolącej nodze. *Naprawdę nie mamy na to czasu*, pomyślał. Znowu dopadły go wątpliwości.

— Nie do końca. — Razi przesunął palcem po piśmie na ścianie. — Mahomet nigdy nie był deifikowany jak Jezus. Był uważany za przedstawiciela Boga, a nie za jego inkarnację. Uważamy, że Mahomet był ostatnim i najważniejszym z wielu proroków, którzy wywodzili się od Adama, Abrahama, Mojżesza i Jezusa.

— Poczekaj — wtrąciła Kristin. — Moja znajomość Starego Testamentu jest dość pobieżna, ale czy Mahomet nie był jakoś spokrewniony z Abrahamem?

Grant odszedł od ściany budynku i zaczął iść wzdłuż muru, mając nadzieję, że da przykład pozostałym. Ale chociaż pragnął nakierować rozmowę na teksty Issy, nie mógł powstrzymać się od odpowiedzi.

— Kiedy Abraham i jego żona Sara nie mogli począć dziecka, Abraham pojął Hagar za drugą żonę i miał z nią syna, Izmaela. Później Sara urodziła Izaaka. Według świętej księgi żydów Hagar była konkubina, dlatego Izmael nie był prawowitym następcą Abrahama.

— Ale my, muzułmanie — wtrącił się Razi — postrzegamy Izmaela jako pierworodnego syna Abrahama. Sara nie chciała, żeby druga żona pałętała się w pobliżu z dzieckiem, więc przekonała Abrahama, by wygnał ich z plemienia. Według Koranu Hagar i Izmael udali się do miasta, które potem nazwano Mekką w Arabii.

— Więc mamy potomków syna Abrahama, Izaaka, będących żydami — uzupełnił Grant — podczas gdy potomkowie Izmaela, w tym Mahomet, zostali muzułmanami.

— To daje zupełnie inną perspektywę na konflikt arabsko-izraelski, prawda? — powiedziała Kristin. — A gdzie tu miejsce dla Jezusa?

— Koran mówi o tym, że Jezus narodził się z dziewicy — powiedział Razi — a wielu muzułmanów postrzega Jezusa jako boską kreację, jaką był Adam, ale odrzucają oni deifikację, twierdząc, że jest to bałwochwalczy wymysł człowieka. Zamiast tego, uważają Jezusa za wielkiego proroka, nauczyciela, który na przykład przyniósł nam Złotą Regułę.

— Nie ma boga ponad Allaha — powiedział Grant, wyczekująco przyglądając się Raziemu. Zaimponował mu przemyślany sposób, w jakim muzułmański student zaprezentował swoją wiedzę.

— Tak! — Razi złożył ręce. — W arabskiej modlitwie brzmi to: „*La ilaha ila Allah*”.

Grant coś sobie przypomniał. Z trudem opanował ekscytację w głosie.

— Czy w Koranie Jezusa nie określano przypadkiem imieniem Isa? — *Przez jedno „s”, jak w zagadce Kinleya*, dodał w duchu.

— Istotnie — chytry uśmiech pojawił się na jego twarzy, jakby Razi zrozumiał implikacje tego pytania.

* * *

Kim był ten muzułmanin?

Tim przyglądał mu się z obawą, idąc za grupą, gdy ci okrążali mauzoleum. Przezornie trzymał się z dala, udając, że interesuje go marmurowy zamek. Obserwując ich zachowanie, domyślił się, że Matthews i Misaki nie znali wcześniej mężczyzny, którego po stroju i brodzie od razu zidentyfikował jako muzułmanina. Mnich pewnie przyprowadził ze sobą ochroniarza. *To takie oczywiste*, pomyślał, *wprowadzić jeszcze jednego poganina do spisku, żeby całkiem zmylić świat*. Jego ręka bezwolnie wślizgnęła się do prawej kieszeni. Obracał w palcach jednego EpiPena.

Czy mnich już powiedział swoim przyjaciółom, gdzie ukrył księgi? Chociaż mógł śledzić Matthews'a za pomocą telefonu, wolał dotrzeć na miejsce przed nim. Nie mógł ryzykować, że mu się wymkną albo że Matthews ponownie je sfotografuje, zanim Tim zdoła ogarnąć sytuację. Pamiętał, jaki zadowolony z siebie był Matthews podczas debaty z wielebny. Timowi krew się burzyła na samą myśl. Ale wielebny Brady zatriumfował na koniec, udowodnił, że Matthews jest kłamcą. Teraz odpowiedzialność za pozbycie się tej trucizny raz na zawsze należała do niego.

Zatrzymał się, skręciwszy za południowo-wschodni róg mauzoleum. Na placu wszelki ślad po jego celu zaginął.

Może, pomyślał, zeszli po schodach na niższy poziom. Pospiesznie ruszył na marmurowy plac, kryjąc oczy przed jaskrawym światłem padającym z poziomu leżącego dwadzieścia stóp pod nim.

Cholera!

Omiótł wzrokiem ścieżki wzdłuż akwenów i zaczął drapać przedramiona. Jak mógł spuścić ich z oczu na tych kilka sekund? Odwrócił się, by przebiec wzdłuż skraju placu, kiedy jego wzrok padł na jakąś postać przed mauzoleum. Na ziemi, w cieniu wejścia do Tadż Mahal, siedziała Kristin Misaki i rozwiązywała buty. Natychmiast zrozumiał swoją pomyłkę. Kiedy skręcił za róg, nie przewidział, że tamci schylą się, by zdjąć buty przed wejściem do środka.

Zbliżył się na odległość około dwudziestu kroków od wejścia. Kiedy Misaki pochylila się, żeby wstać, przyjrzał się jej wyraźnie zarysowanym mięśniom łydek, częściowo widocznym spod dzinsów. Przypomniał sobie noc, kiedy stał kilka cali od jej łóżka. Czekał na poruszenie w łydźwiach, ale nic takiego nie nastąpiło. Przyjrzał jej się bardziej wnikliwie. Potem coś mu przyszło do głowy: *Może ona jest również częścią boskiego planu dla mojego odkupienia*.

Pogrążony w myślach Tim nie zauważył, że Kristin odwróciła się w jego stronę. Kiedy mierzył ją

wzrokiem, ich spojrzenia się skrzyżowały. Siła jej wzroku niemal odrzuciła go w tył. Szybko spojrzał wyżej, na oświetlony marmur nad jej głową. Odchodząc na bok, udawał, że interesuje go arabski tekst okalający łuk. Oblał się zimnym potem. Wciąż przenikał go jej wzrok. Starał się zachowywać nonszalancko, ale wiedział, że został przyłapany.

Rozdział 29

Agra, Indie

— Co tak długo? — zapytał Grant, kiedy Kristin weszła do środka słabo oświetlonej komnaty Tadź Mahal.

— Przez buty. A potem gapił się na mnie jakiś wstrętny zboczeniec.

— Cóż, trudno go o to winić — odparł, przez co zasłużył sobie na kuksańca.

Wchodząc w głąb ciemnego mauzoleum, Grant starał się zarejestrować szczegóły zdobień na ścianach. We wnętrzu nie było świateł elektrycznych. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, zauważył, że główna komnata miała kształt ośmiokąta. Na każdej z ośmiu ścian znajdował się łuk ozdobiony skomplikowanym wzorem *pietra dura*.

Mrugające światło migotało na półszlachetnych kamieniach, którymi wysadzone były ściany. Grant dostrzegł, że zielone winorośle, pnące się po murach, pod sufitem zakwitły wielokolorowo. W kraju, gdzie mieszkało tak wielu ubogich ludzi, dziwiło go, że kamienie warte miliony dolarów przetrwały na ścianach budynku przez wiele wieków.

— Wyborne, prawda? — odezwał się Razi. — Widzicie ten kwiat?

Grant spojrzął za palec Raziego.

— Ten z wieloma płatkami?

— Dokładnie z sześćdziesięcioma czterema. Narodowy symbol Indii. Wiecie, jaki to gatunek?

— Lotos — odparła Kristin. Przesunęła palcami po półszlachetnych kamieniach, jakby czytała brajlem.

Jigme podszedł bliżej.

— Często przedstawia się Buddę siedzącego na płatkach lotosu. Lotos może rosnąć na najbardziej stojących wodach, a mimo niesprzyjających warunków piękne, czyste kwiaty unoszą się ponad brudną taflą.

— Więc jest dla nas jakaś nadzieja — powiedział Grant. Zauważył, że Kristin nie zareagowała na jego słowa, bo wciąż patrzyła na cenną roślinę.

Jej głos był ledwie słyszalny.

— Taki... spokojny.

— Islam — powiedział młody muzułmanin.

— Co islam? — zapytał Grant, widząc, że Kristin nie odpowiada.

— Dosłowne znaczenie słowa *islam* to „spokój” — odrzekł Razi. — Nie pokój w sensie pokoju na świecie, ale wewnętrzny spokój, który nadchodzi, gdy własne życie podporządkujesz Allahowi. To główna zasada nauk Mahometa oraz zaproszenie do przeczytania wersów zdobiących mury na zewnątrz mauzoleum.

— Podobnie — dodał Jigme — słowo *buddyzm* pochodzi od wyrazu *budh*, który oznacza

„przebudzenie”. Budda również nauczał swoich zwolenników, by zbudzili się poprzez poddanie chwili obecnej, aby poczuli wolność *dukkha* oraz niekończący się spokój.

Grant stukał palcami w podbródek. Spotkanie z Razi już go nie niepokoiło. Był przekonany, że młody muzułmanin przybył tu, żeby dać mu jakąś lekcję.

— Kinley wyjaśnił mi, że „Budda” nie jest innym imieniem Siddhartha, ale tytułem, który można przetłumaczyć jako „Przebudzony” — dodał.

— Razi — powiedział Jigme — proszę, opowiedz moim przyjaciółom to, co wyjaśniałeś mi wcześniej: o pierwszych wizjach Mahometa, które potem przerodziły się w Koran.

— Jako młody człowiek — zaczął Razi, prowadząc ich dookoła zgodnie z ruchem wskazówek zegara — Mahomet zaczął chodzić do jaskini na górze Hira, w okolicach Mekki, kiedy pragnął uciec od swoich życiowych obowiązków. Czasami nie spał, modląc się do Allaha o wskazówki. Pewnego wieczoru, kiedy leżał na ziemi pogrążony w modlitwie, zobaczył anioła Gabriela, który powiedział mu, że jego misja polega na opowiadaniu ludziom o Allahu.

— Ciekawe — powiedział Jigme. — Budda, zanim osiągnął oświecenie i zaczął swoje nauczanie, siedział pod drzewem Bodhi, gdzie przez cały dzień i całą noc medytował. Zamiast anioła odwiedził go Zły Duch, który pragnął mu przeszkodzić i zepchnąć z obranej przez niego ścieżki, pokazując mu wizje pełne przemocy oraz pokus cielesnych. Budda nie dał się zwieść na pokuszenie, nie przerwał medytacji i osiągnął oświecenie.

Grantowi zaświtało w głowie. Gestykulował tak szybko, jak mówił.

— Kiedy Jezus miał jakieś trzydzieści lat i przyjął już chrzest od Jana, ale jeszcze przed nauczaniem, udał się samotnie na pustynię, gdzie przez czterdzieści dni i nocy oddawał się żarliwej modlitwie. Ewangelia świętego Łukasza opisuje kuszenie przez Szatana, któremu Jezus się oparł, podobnie jak Budda Złemu Duchowi. — Opuścił ręce. — Istotnie, praktyka wycofywania się i modlitwy charakteryzuje cały okres jego nauczania. W ogrodzie Getsemani, tamtej nocy, gdy został zdradzony przez Judasza, Jezus również siedział pogrążony w modlitwie, podczas gdy jego uczniowie spali.

Kristin intensywnie wpatrywała się w Jigme.

— Więc próbujesz nam powiedzieć, że Mahomet, Jezus i Budda doświadczyli duchowego przebudzenia przez to, że praktykowali medytację?

Nagle Grantowi wydało się, że lepiej rozumie prawdziwe znaczenie przesłania zawartego w tekstach Issy. Jezus nauczył się medytować podczas podróży po Indiach. Potem dotarło do niego coś jeszcze. Mojżesz miał podobne doświadczenia. Żydowski prorok spędził czterdzieści dni i nocy na górze Synaj; tam doświadczył wizji Boga, dzięki której powstał Dekalog, czyli Dziesięcioro przykazań.

— Ale nie sugerujesz chyba — powiedział — że Mahomet również wędrował po Indiach?

Jigme pokręcił głową.

— Czy religia musi od razu być lekcją historii? Nie jest ważne to, jak Budda, Jezus czy Mahomet nauczyli się tej techniki. Dlaczego nie skupimy się na tym, co dla nich wspólne i co z tego wynika?

Grant pochylił się w stronę mnicha.

— Nie możemy przecież ignorować ich historii. Jak moglibyśmy właściwie docenić ich nauki bez odarcia ich z mitów, którymi później obrosły za sprawą zwolenników? — Czuł pulsowanie w szyi. Trywializując historię, mnich zbliżał się niebezpiecznie do ścieżki, którą kroczył wielebny Brady — ścieżki, gdzie zamykało się oczy na fakty. Dlatego odnalezienie tekstów Issy było tak istotne. Pewnie, Grantem kierowały też osobiste powody, ale ta podróż miała ważniejszy cel. Chodziło o ludzi, którzy byli niewolnikami dezinformacji, jak... *cóż, jak mój ojciec*, przyznał Grant sam przed sobą.

— Zrozumienie jest dobrym powodem — powiedział Jigme — ale niedostatecznym. Jeśli szukasz jedynie wiedzy, nie będziesz usatysfakcjonowany.

— Czyżbyś opowiadał się za ignorancją jako rozwiązaniem naszych problemów? — zapytał Grant.

— Nie — wtrącił się Razi. — Jigme i ja prosimy cię jedynie, byś wzniósł się poza wyłącznie intelektualne rozważania nad naukami tych ludzi. To, czego doświadczyli Budda, Jezus i Mahomet, jest także w twoim zasięgu.

— Jak to?

— Czy ćwiczyłeś umiejętności, których uczył się Kinley? — zapytał Jigme.

Grant wywrócił oczami. Kiedy był przykuty do łóżka w Bhutanie, różne techniki medytacyjne, których uczył go Kinley, wydawały się dość relaksujące, ale odkąd wrócił, działo się wokół niego zbyt wiele rzeczy. Nie miał czasu, by siedzieć i kontrolować oddech czy też zwracać uwagę na kierunek swoich myśli.

Jigme położył mu rękę na ramieniu.

— Prawda, której szukasz, jest nie lekcją, której możesz się nauczyć, lecz lekcją, której musisz doświadczyć.

— Ale... — zaczął Grant.

— Ojej! — wykrzyknął Razi, patrząc na zegarek, co według Granta wcale nie wyglądało prawdziwie. — Jak późno. Powinienem już iść. — Zwróciwszy się do Jigme, dodał: — Wiem, że wy troje macie jeszcze jakieś sprawy do załatwienia.

Jakieś sprawy?, zastanowił się Grant. Czy Razi znał powód, dla którego się tu znaleźli?

Podawszy wszystkim dłoń, Razi odwrócił się, by odejść. Zanim wyszedł na sztucznie oświetlony plac, zawołał jeszcze przez ramię do Jigme:

— Pozdrów, proszę, Kinleya. Masz wyjątkowego nauczyciela.

* * *

Tim patrzył, jak muzułmanin wychodzi samotnie ze środka Tadź Mahal. Razi wsunął stopy w swoje sandały, ale zamiast zejść po schodach i pójść w kierunku Tima, zaczął ponownie przechadzać się wokół budynku. Zadarł głowę i delikatnie poruszał ustami, jakby odmawiał modlitwę.

Tim czekał na pozostałych. Skrył się w cieniu i usiadł plecami do minaretu w południowo-wschodnim rogu, skąd mógł mieć na oku wejście do mauzoleum. Każdy z leniwych strażników mógł pomyśleć, że jest tylko strudzonym turystą podziwiającym widok Tadź Mahal na tle czarnego nieba.

* * *

— To Razi zna Kinleya? — zapytał Grant.

— Jeśli już o nim mowa — powiedział Jigme, jakby Grant nie zadał żadnego pytania — podejrzewam, że oboje niecierpliwie czekacie na wiadomość od niego?

— Już myślałam, że nigdy o niej nie wspomnisz — powiedziała Kristin z uśmiechem.

Jigme zniżył głos i skinął w stronę wielokolorowego kwiatu lotosu.

— Grancie, czy pamiętasz opowieść o narodzinach Buddy?

Grant przyjrzał się barwnym kamieniom.

— Jako nowo narodzony Siddhartha wyszedł na dwór, a u jego stóp rozkwitł kwiat lotosu.

— Bardzo dobrze — wyszeptał Jigme. — Teraz jesteś blisko odkrycia następnego etapu waszej

podróży.

— Mamy udać się w miejsce narodzin Buddy? — zapytał Grant. — Czy to nie jest w Nepalu?

I wtedy dotarło do niego nowe pytanie: *Jaka znowu podróż?*

— Czy ważniejsze jest miejsce narodzin człowieka, czy narodzin ruchu? — odparł Jigme.

— Sarnath! — wykrzyknęła Kristin. — Miasto, do którego udał się Budda, kiedy osiągnął oświecenie.

— Tam, gdzie miał swoje pierwsze publiczne wystąpienia? — Grant zrozumiał dopiero po chwili.

— Byłam tam — przytaknęła Kristin. — Sarnath znajduje się dziesięć minut drogi od Waranasi.

— To tam pisałaś artykuł, zanim przyjechałaś do Bhutanu?

— Kinley pytał mnie o pobyt w tym miejscu.

Jigme zbliżył się i wyszeptał:

— Odwiedźcie świątynię Mulgandha Kuti Vihar.

— Widziałam ją — powiedziała Kristin.

— Pamiętał, że mówiłaś o tym Kinleyowi — odparł Jigme. — To tam znajdziecie odpowiedź.

— Co to znaczy? — spytał Grant trochę za głośno. Nie mógł opanować frustracji w głosie. Przemierzali pół świata, żeby się spotkać z Kinleyem, a teraz dowiadują się, że mają jechać do innego miasta. — Czy Kinley tam będzie? Czy teksty są w świątyni?

— Przykro mi, ale to naprawdę wszystko, co wiem. Tak jak powiedziałem wcześniej, Kinley nie mówił mi wszystkiego z troski o mnie.

— Ale Jigme, mam bardzo mało czasu. Za jedenaście dni powinienem stanąć przed komisją dyscyplinarną na uczelni, która sądzi, że wszystko sobie wymyśliłem. — Grant powstrzymał się od rozwinięcia tematu. Pomyślał, że Kristin dość już nasłuchiwała się narzekań na jego zszarganą reputację.

— Pamiętasz słowa Kinleya, które wypowiedział w bibliotece?

Grant przypomniał sobie porównanie do wchodzenia po schodach, lecz zastanawiał się, skąd Jigme tyle wie, skoro czekał na zewnątrz i odwracał uwagę strażnika. *Żeby dotrzeć na szczyt, trzeba stanąć na każdym stopniu, a potem zostawić go za sobą.* Ale jaki to ma związek z obecną sytuacją? Grant pokonał już dość schodów i chciał wreszcie znaleźć się na szczycie.

Młody mnich mówił dalej.

— Kiedy będziecie gotowi, znajdziecie to, czego szukacie.

— Gotowi? — wybuchnął Grant. Powstrzymał się od komentarza, bo Kristin uszczypnęła go w rękę.

— Pojedziesz z nami do Sarnath? — zapytała Jigme.

Ten pokręcił głową.

— Nie będziecie mnie potrzebować. Tylko wy możecie dokończyć tę podróż.

* * *

Tim patrzył, jak Matthews i Misaki wychodzą z mauzoleum. Mnich pozostał w środku. Spojrzał w drugą stronę, ale nie zobaczył też nigdzie muzułmanina.

Matthews i Misaki przeszli przez plac i zeszli po schodach. Nie wiedział, co ma zrobić. Nie chciał tracić ich z oczu, ale mógł ich zawsze zlokalizować za pomocą telefonu Matthews'a. Podjął decyzję w ułamku sekundy. Wiedział, że elastyczność w trakcie trwania operacji była cechą dobrego wojownika. Zmęczyła go ta zabawa w kotka i myszkę. Podejrzewał, że Matthews i Misaki wkrótce

udadzą się po teksty. On zatem wydobędzie tę samą informację od mnicha i potem ich uprzedzi.

Minęły dwie długie minuty, a mnich wciąż jeszcze się nie pokazał. Nabrawszy podejrzeń, Tim wstał i ruszył w stronę wejścia do Tadź Mahal. Mnich wynurzył się z ciemności. Tim zwolnił i sięgnął do kieszeni. Wziął do ręki EpiPena. Znajdował się w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów od mnicha. Szybki rzut oka na prawie pusty plac upewnił go, że w pobliżu nie ma ani strażników, ani muzułmanina. Kręciło się tu tylko kilku turystów, w dużej odległości od siebie.

Kiedy mnich się zbliżył, Tim przystanął, udając, że podziwia szpiczastą kopułę na szczycie budynku. Kciukiem zdjął zabezpieczenie EpiPena w kieszeni, po czym wyjął go i trzymał w zaciśniętej dłoni. Młody mnich szedł wyprostowany, lecz swobodny, ręce założył za plecami. Kiedy znalazł się w odległości dziesięciu stóp, Tim musiał powstrzymać się od ataku. Byli skąpani w świetle padającym na plac. Tim odwrócił się i poszedł za swoim celem w stronę schodów.

Gdy mnich zszedł po kilku stopniach, Tim, trzymając się parę kroków za nim, po raz ostatni rozejrzał się wokół. Nikogo w zasięgu wzroku, a same schody były dobrze ukryte w cieniu.

— Przepraszam pana. Czy mówi pan po angielsku? — zapytał Tim.

Mnich odwrócił się.

— Tak, czy mogę panu jakoś pomóc?

— Mam nadzieję. Odłączyłem się od grupy. Mamy się spotkać przed domem gościnnym.

Zszedł na stopień tuż nad mnichem.

— Oczywiście, przyjacielu, zaprowadzę cię tam. To po drugiej stronie Tadź Mahal, naprzeciw meczetu.

Mnich odwrócił się i zaczął schodzić.

— Dziękuję. Pochodzi pan stąd?

Byli już niemal na końcu niewidocznych z placu schodów.

— Nie, pochodzę z niewielkiego kraju leżącego między Indiami i Chinami, z Bhutanu.

Tim uderzył ze zwinnością i determinacją anakondy polującej na zająca. Lewą ręką otoczył łusą głowę mnicha i zatkał mu usta, jednocześnie przechylając go do tyłu. Mnich stracił równowagę na wąskim stopniu i zwałił się na Tima, który zaparł się o kamienną ścianę przy schodach. Szybkim, płynnym ruchem wbił EpiPena w udo swojej ofiary. Poczul kliknięcie, kiedy igła przekłuła dzinsy i uwolniła porcję versedu.

Gdy tylko włożył EpiPena do kieszeni, mnich opanował zaskoczenie i zaczął walczyć. Tim miał jednak przewagę. Wolną ręką objął ciasno tors mnicha i mocno go ścisnął. Jigme wił się i szarpał w jego ramionach, ale nie miał żadnego punktu podparcia. Minęła niecała minuta, gdy nogi przestały kopać, a z ust dobiegać stłumione krzyki.

Tim rozluźnił uścisk, gdy z mnicha, który wcześniej zachowywał się jak uwięzione zwierzę, zrobił się bezwładny ciężar. Ofiara już nie walczyła.

— Słyszysz mnie, Kinley? — Tim wysunął się spod niego, pozwalając, by ciało opadło na schody.

Z ust mnicha wydobył się niezrozumiały jęk i wypłynęła długa strużka śliny. Tim kucnął przed ujarzmioną zdobyczą, podniósł mnichowi głowę, która kiwała się na boki. Mężczyzna miał otwarte oczy, a w nich zupełną pustkę. Tim zerknął na zegarek. Musiał się pospieszyć. To kwestia chwili, żeby ktoś pojawił się na schodach.

Jakby na zawołanie, opuściło go szczęście.

Z tyłu dobiegł czyjś głos.

— Jigme!

Tim odwrócił głowę. Na szczycie schodów stał muzułmanin.

Rozdział 30

Kościół New Hope

Birmingham, Alabama

William Jennings zdejmował marynarkę i jednocześnie przyciskał ramieniem telefon do ucha.

— Tak, rozumiem, że ostatnie lata były dla ciebie trudne — powiedział.

— Cały kraj zwrócił się przeciwko ruchowi ewangelicznemu! — wykrzyknął po drugiej stronie linii telefonicznej wielebny Jimmy Jeffries, obecny prezydent NSE.

Przysłuchując się, jak Jeffries zaperza się, mówiąc o tym, że nikt nie jest w stanie zrozumieć wyzwań, jakich sam się podjął, stojąc na czele organizacji, Jennings zawiesił marynarkę na drewnianym wieszaku i powiesił go po drugiej stronie drzwi swojego gabinetu. Podchodząc do krzesła, uważał, żeby długi kabel nie zahaczył o schludnie ułożone stosy dokumentów na skórzanym blacie biurka. Naprawdę potrzebował bezprzewodowej słuchawki, uświadomił sobie, słuchając paplania Jeffriesa.

— Twój człowiek ma ostatnio dobrą passę — powiedział Jeffries — mimo plotek o kłopotach finansowych Wspólnoty New Hope.

Nawet się nie kryje, pomyślał Jennings. Jeffries oczywiście pragnął poznać jakieś szczegóły kampanii Brady’ego zamierzającego objąć stanowisko aktualnie zajmowane przez Jeffriesa.

— Drobiazg, który mamy już za sobą. Finalizujemy pożyczki w banku, a książka sprzedaje się lepiej niż się spodziewaliśmy. Zdaje się, że kraj przejął się ostrzeżeniami Briana: ekonomia, katastrofy naturalne, terroryzm są dowodem na niezadowolenie Boga kierunkiem, w którym zmierzamy.

— Na pewno pomogła transmisja tej zeszlotygodniowej debaty. — Jennings wyczuł żal w głosie Jeffriesa. Ujawnienie tekstów oraz dyskusja, która odbyła się zaraz potem, dały im duży rozgłos. Pojawienie się Brady’ego w prasie zmniejszyło prestiż obecnego prezydenta NSE. Jennings był szczególnie zadowolony z mającego się wkrótce ukazać numeru „Christianity Today” z Bradym na okładce oraz nagłówkiem *Nowy głos ewangelików*. Dzięki ich obecności w mediach sprzedaż książki Brady’ego podskoczyła o ponad sześćdziesiąt procent. Wszystko to nie mogło im się przysłużyć lepiej. Jennings pomyślał o tym, jak Brady o mały włos nie ośmieszył się w debacie, kiedy odbiegł od scenariusza. Na szczęście, w porę się opanował i zakończył tak, jak zaplanował Jennings. Przez kilka kolejnych dni świecka prasa drwiła ze studenta, podczas gdy media chrześcijańskie uczyniły z Brady’ego swojego bohatera.

— Brady po prostu zachowywał się naturalnie — odparł Jennings.

— A co zrobicie, jeśli ten Grant Matthews naprawdę pokaże jakieś starożytne manuskrypty?

Jennings otworzył szufladę biurka i wyjął opakowanie tabletek na zgagę. Wytrząsnął dwie małe pigułki prosto do ust i popił je łykiem letniej czarnej kawy.

— Tak się nie stanie — powiedział Jennings, a w jego głosie brzmiała pewność, choć mu jej brakowało. Otarł dłonie o spodnie. — Teksty są równie fałszywe, jak sam Grant Matthews.

— Tak, oczywiście. Cały ten pomysł, że Jezus mógł się zainspirować naukami fałszywych religii, jest niedorzeczny.

Jeffries nie przestawał gadać, a Jennings zaczął przeglądać przychodzącą pocztę. Ważna wiadomość, na którą czekał, jeszcze nie dotarła. Nic nie wkurzało go tak, jak niekompetencja oraz głupota. Chociaż słuchał Jeffriesa jednym uchem, zaskoczyły go słowa przewodniczącego NSE.

— Williamie, w przyszłym miesiącu zamierzam ogłosić, że zrzekam się funkcji prezydenta NSE.

Jennings prawie upuścił telefon. Planując strategię, nawet nie marzył o takiej ewentualności. Jeśli Jeffries nie będzie stał im na drodze, Brady odniesie łatwe zwycięstwo.

— I jeśli wszystko idzie we właściwym kierunku w New Hope — mówił głos po drugiej stronie linii — chciałbym zaoferować Brianowi moje wsparcie podczas kampanii.

Omówiwszy szczegóły poparcia i wymieniwszy uprzejmości, Jennings odłożył słuchawkę, wciąż jeszcze nie otrząsnąwszy się z szoku spowodowanego propozycją Jeffriesa. Zaczął sporządzać notatki na białym bloku papieru, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Brady; jego twarz była purpurowa, a pachy eleganckiej koszuli z francuskimi mankietami wilgotniały od potu.

— Williamie, wyjaśnij mi, co znaczył telefon, który przed chwilą odebrałem!

Rozdział 31

Tadž Mahal

Agra, Indie

Tim patrzył na muzułmanina, nie wiedząc, co zrobić. Miał teraz dwa nowe problemy. Po pierwsze, trzeba będzie rozprawić się z muzułmaninem. Po drugie, mnich, którego trzymał w ramionach, to Jigme, a nie Kinley.

Mężczyzna zbiegł do nich.

— Co się stało?

— Hm... Nie wiem — zająknął się Tim. — Zauważyłem tego młodego człowieka, jak już tu leżał. Pewnie się potknął i uderzył w głowę. Może mi pan pomóc?

Muzułmanin pochylił się nad mnichem, który patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

— Jigme, słyszysz mnie? — odezwał się głośno przybyły. Z ust mnicha dobiegł jakiś niezrozumiały jęk.

— Czy to pana przyjaciel? — zapytał Tim. Wsunął rękę do lewej kieszeni spodni, w której miał jeszcze trzy pełne EpiPeny, te oznaczone czerwonym paskiem.

— Niedawno się poznaliśmy — powiedział muzułmanin. Pochylił się nad mnichem i zaczął obmacywać jego głowę, by znaleźć ranę. — Jest mnichem z Bhutanu. Wcześniej poznałem jego nauczyciela. Czy mógłby pan poszukać jednego ze strażników mauzoleum? Ja zostanę z nim.

— Pewnie. — Tim bardzo starał się wyglądać na przejętego.

Uderzył, kiedy muzułmanin się odwrócił, by zająć się przyjacielem.

Całym ciężarem naparł na górną część ciała muzułmanina, przygważdżając go do schodów. Zanim ofiara zareagowała, Tim jedną ręką chwycił za głowę i odepchnął mężczyznę do tyłu, eksponując jego szyję, jakby miał zamiar podciąć gardło nożem Ka-Bar. Bez wahania wbił EpiPena w widoczną pulsującą żyłę i wstrzyknął całą dawkę cyjanowodoru.

Mężczyzna rzucał się pod nim. Jego łokieć wbił się Timowi w żebra, momentalnie pozbawiając go tchu, ale Tim trzymał swoją ofiarę obiema rękami, przyciskając jej twarz do marmuru. Muzułmanin był większy niż mnich i prawie udało mu się zrzucić Tima, ale ten szerzej rozstawił nogi, lepiej rozkładając ciężar ciała. Wiedział, że muzułmanin jest na przegranej pozycji.

Dwadzieścia sekund później oddech muzułmanina przyspieszył i stał się płytszy, jakby mężczyzna dostał zadyszki od wysiłku włożonego w walkę. Tim wiedział jednak, że to nie wysiłek zmienił mu oddech. Po kolejnych dwudziestu sekundach muzułmanin dostał konwulsji. Ręce i nogi zaczęły mu podskakiwać; był niczym ryba wyjęta z wody i rzucona na rozgrzany letnim słońcem pomost. Wreszcie trucizna zakończyła swoją podróż do serca.

Tim wstał i otrzepał ubranie. Zrobił się czerwony, szybko oddychał. Nałożył plastikową zatyczkę na EpiPena i wsadził go do kieszeni. Obejrzał swoje dzieło: muzułmanin leżał obok półprzytomnego

mnicha. Na jego szyi pojawiła się czerwona pręga, z ust wydobywała się biała piana. Tim zniknie, zanim ktoś odkryje, że popełniono tu przestępstwo.

Stojąc nad dwoma ciałami, uświadomił sobie, że po raz pierwszy od wielu tygodni nie odczuwa swędzenia. Przypomniały mu się słowa wielebnego: „Zarówno tubylec, jak i przybysz będzie ukarany śmiercią za bluźnierstwo przeciwko Imieniu”.

Chwycił mnicha za prawe ramię i zarzucił je sobie na kark. *Jigme*, pomyślał, *nie Kinley*. Ale muzułmanin wspomniał o nauczycielu. Tim po prostu będzie musiał wyciągnąć informacje z ucznia.

— Chodź ze mną — powiedział i częściowo niosąc swojego „pijanego przyjaciela”, udał się z nim na niższy plac z piaskowca.

* * *

Grant i Kristin znaleźli się w połowie drogi między mauzoleum a bramą — na marmurowej platformie, gdzie godzinę wcześniej spotkali *Jigme*.

Kristin lekko zadrżała.

— Nigdy nie myślałam, że w tym rejonie Indii może być zimno. — Usiadła bliżej Granta.

— Dlaczego *Kinley* nie pojawił się osobiście w Agrze? — zastanawiał się Grant, ciesząc się z jej bliskości. — Wzdrygam się na samą myśl, że jesteśmy pionkami w jakiejś skomplikowanej grze.

— Znasz *Kinleya* lepiej niż ja. Wierzysz w to, co mówisz?

Grant dumiał przez chwilę.

— Nie.

— Ja też nie. Pomyślmy... — Popatrzyła na wodę, w której odbijał się krajobraz, i potarła brew, starając się skoncentrować. — Najpierw *Kinley* wysłał nas do najślawniejszego islamskiego pomnika w Indiach.

— A potem do Sarnath, miejsca, gdzie narodził się buddyzm.

— Racja, a Sarnath akurat leży w pobliżu Waranasi. *Kinley* wie, że mamy gdzie się tam zatrzymać, bo mam tam swoje kontakty.

— Poczekaj. Waranasi jest najświętszym miastem Hindusów.

Przytaknęła.

— Przez miasto płynie rzeka Ganges. Każdego roku pielgrzymują tam tysiące Hindusów, by oczyścić się w jej świętych wodach.

— Zatem *Kinley* posłał nas z miejsca ważnego dla muzułmanów do podobnego, związanego z hinduizmem, a następnie do buddyjskiego miejsca kultu. Wszystko po to, bym odnalazł informacje o pochodzeniu chrześcijaństwa?

— Chwila! — uciszyła go Kristin.

— Słucham?

— Nie wierzę, że wcześniej tego nie skojarzyłam. — Pociągnęła go za rękaw. — Teksty *Issy* opisujące podróż po Indiach...

— Jezus mógł zawędrować do Waranasi oraz do Sarnath!

— Do Waranasi pielgrzymowano już w jego czasach. A jeśli szedł w stronę Himalajów, tak jak to opisano w tekście, to trzeba pamiętać, że wody Gangesu wypływają właśnie z tych gór. Wędrowanie wzdłuż rzeki w gorącym klimacie jest jak najbardziej sensowne.

— Czy wobec tego *Kinley* chce, byśmy odtworzyli trasę wędrowki *Issy*? — Grant spojrzał na *Tadž Mahal*.

Jego uwagę przykuł dziwny chód dwóch osób, przemieszczających się po szerokim placu z piaskowca w stronę ogromnego domu gościnnego po wschodniej stronie kompleksu. Uniósł dłoń do oczu, by zasłonić rażące światło, odbijające się od białego marmuru.

— Co do...? — Wskazał ręką, nie znalazłszy słów, by określić to, co widzi. Gardło ścisnął mu narastający strach. Mrużąc oczy, Grant rozpoznał ciągniętą postać, tę w niebieskich dzinsach i luźnej białej koszuli. Tę z łysą głową.

— O Boże — powiedział.

— Jigme! — krzyknęła Kristin sekundę później.

Grant chwycił ją za rękę i ruszył biegiem w stronę placu. Biegł po raz pierwszy od wypadku, ale nie czuł bólu w nodze.

* * *

Pocąc się z wysiłku, Tim ciągnął mnicha przez plac, uświadomiwszy sobie, że narkotyk okazał się za silny. Miał nadzieję, że mnich będzie mógł iść z jego pomocą, ale on tylko jęczał i toczył ślinę. Pewnie wtłoczył zbyt dużo versedu do EpiPena, będzie więc musiał poczekać, aż działanie substancji zelżeje, i dopiero wtedy przepytą mnicha.

Dom gościnny, zbudowany z masywnych czerwonych bloków piaskowca, leżał kawałek przed nim. Tim nakłaniał zmęczone nogi do wysiłku. W przeciwieństwie do Tadż Mahal, ten budynek był otwarty na plac dzięki licznym łukom sklepienia wznoszącym się na trzydzieści stóp od ziemi. Ukrywając się w cieniu budynku, Tim odpoczął chwilę przed opuszczeniem swojej zdobyczy na dół przy pomocy technicznej windy z boku budowli. Kiedy znajdą się już bezpiecznie na łodzi, będzie mógł bez żadnych przeszkód przepytą mnicha. Powoli posuwali się do przodu, gdy nagle usłyszał zamieszanie za plecami. Odwrócił się w stronę, z której dobiegał hałas.

O cholera.

Przez trawnik biegli Matthews i Misaki, krzycząc i wściekle gestykulując. Dopadną go, zanim zaciągnie mnicha na rusztowanie.

Tim nie zwalniał, ignorując piekące z wysiłku mięśnie. Znów usłyszał jakieś głosy, ale tym razem nie rozumiał języka, w którym mówiły. Odwrócił się i głośno zaklął.

Z górnego, marmurowego placu w jego stronę zmierzało dwóch hinduskich strażników. Idioci wciąż mieli kałasznikowy przerzucone przez plecy.

Przyspieszył. Jeśli uda mu się dostać na rusztowanie, będzie mógł rzucić nieprzytomnego mnicha na windę i opuścić na brzeg rzeki. Strażnicy nie będą wiedzieli, co się dzieje, co da mu czas na ucieczkę. Ponownie zerknął przez ramię. Nie zdąży.

Matthews i Misaki byli już na placu z piaskowca i szybko się zbliżali, strażników dzieliło od niego tylko czterdzieści metrów. Podjął decyzję. Otwarty budynek znajdował się zaledwie dziesięć kroków przed nim.

Chociaż Matthews i Misaki byli bliżej, nie stanowili takiego zagrożenia, jak ludzie z bronią automatyczną. Wolną ręką sięgnął pod koszulę, gdzie miał ukrytą kaburę. Obaj strażnicy stanęli, gdy wyjął glocka. Podniósł broń na wysokość oczu. Tamci nieporadnie zdejmowali karabiny z pleców.

Tim wypalił cztery razy z rzędu. Czterdzieści metrów to duża odległość dla pistoletu, szczególnie gdy ciągnie się za sobą innego mężczyznę, ale nie musiał trafić w strażników, żeby osiągnąć zamierzony efekt. Tak jak się spodziewał, obaj strażnicy zapomnieli o swoich karabinach i padli na ziemię, kryjąc się za sięgającym kolan murem, który oddzielał wyższy plac od niższego. Tim

rozkoszował się tą chwilą walki, bo tęsknił za nią od lat.

* * *

Strzelanina zaskoczyła Granta. Chociaż zarejestrował wzrokiem pistolet w rękach tego człowieka, jego mózg niechętnie przyjmował do wiadomości, że porywacz Jigme naprawdę strzelał do ludzi. Paraliż szybko minął, gdy Grant zobaczył, że strażnicy kładą się za murkiem. Przyciągnął do siebie Kristin, pchnął ją na ziemię i przykrył swoim ciałem. Aż jęknął, gdy prawą nogą uderzył w kamień.

— Nie! — krzyknęła Kristin.

— Nie wstawaj!

Chroniąc Kristin własnym ciałem, Grant skupił wzrok na swoim przyjacielu, który znajdował się od nich w odległości piętnastu metrów. *Chyba z nim niedobrze*, pomyślał. Strzały padające przy głowie Jigme sprawiły, że mnich tylko szybko zamrugął oczami. Człowiek z bronią odwrócił jego ciało i stanął teraz na wprost Granta i Kristin. Jego twarz była czerwona i spocona z wysiłku, ale szare oczy nie wskazywały na to, że mają do czynienia z szaleńcem. Miał w sobie coś z żołnierza — był skuteczny i szybki. Kogoś Grantowi przypominał. Wtem go olśniło. Tamtego wieczoru, gdy odbywała się debata, martwił się, że ten człowiek wszedł ukradkiem do auli. *Był jednym ze zwolenników wielbego Brady'ego*. Gdy teraz to sobie uświadomił, poczuł się jeszcze gorzej. Ów człowiek śledził ich przez pół świata, próbuje uprowadzić Jigme i właśnie strzelał do strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe.

— To on gapił się na mnie przed wejściem do Tadź Mahal — wyszeptała Kristin.

Jej słowa potwierdziły jego podejrzenia: *On chce dostać teksty Issy*.

— Jeśli za mną pójdziecie, wsadzę mu kulkę w głowę. — Jego głos brzmiał stanowczo, napastnik mówił z silnym akcentem amerykańskiego południa.

— Zostaw go w spokoju, ty sukinsynu — Grant wybuchnął, okazując swoją wściekłość. Kiedy słowa wyrwały się z jego ust, zauważył, że lufa broni jest wycelowana w nich.

— Chyba teraz powinieneś martwić się o siebie i swoją dziewczynę.

Uwaga Granta skupiła się na broni. Prawie czuł, jak palec tego człowieka zaciska się na spuście. Ciało Kristin napięło się pod nim. Pustkę strachu zastąpił żar złości. Wiedział, że jest bezsilny i nic nie może zrobić ani w jej, ani w swojej obronie.

* * *

Tim miał teraz drugą szansę, by roztrzaskać na kawałki mózgi tych, którzy byli sprawcami jego kłopotów. I chociaż ta myśl brzmiała kusząco, chciał, żeby żyli, przynajmniej do momentu, aż zabezpieczy teksty. Odwrócił się i pociągnął mnicha w stronę domu gościnnego. Dwóch kiepsko wyszkolonych ochroniarzy nie podniesie głów jeszcze przez kilka minut, ale wystrzały mogły przyciągnąć uwagę pozostałych strażników.

Wszedł pod pierwszy z łuków czerwonego budynku i skręcił w lewo, by uciec wcześniej przygotowaną trasą. Co kilka kroków obracał się, żeby sprawdzić, czy zdobyli się na odwagę, by pójść za nim po otwartym terenie. Po dwóch wyczerpujących minutach, w czasie których ciągnął zdobycz w cieniu budynku, zbliżył się do muru na północnym krańcu, gdzie trwały prace budowlane.

Zawahał się.

Będzie musiał wyjść na otwarty teren, by dojść do rusztowania położonego po drugiej stronie

mur. Mnich z głuchym łomotem upadł na ziemię, a Tim osłaniał się, trzymając glocka obiema rękami. Przyłgął plecami do szorstkiego piaskowca i przesuwiał się w lewo, aż dotarł do końca krużganka.

Gdy tylko się wychylił, usłyszał znajomy odgłos broni automatycznej. Kawałki kamienia odpadły ze ściany kilka cali od jego głowy. Z powrotem schował się w budynku.

— Do cholery! — krzyknął.

Na czworaka przeszedł do miejsca, gdzie upuścił nieprzytomnego mnicha. Niekompetentni ochroniarze zebrali się do ataku szybciej niż się spodziewał. Nie miał zbyt wiele czasu, zanim otoczył dom gościnny.

Jego broń nie mogła się równać karabinom maszynowym.

— Niech to szlag! — przeklął. Podrapał się po przedramieniu ręką pistoletu.

To, co zaplanował jako zwinne przejęcie i ucieczkę, przerodziło się w walkę z bronią w rękę. *Stój i myśl*, powiedział sobie. Szybko rzucił okiem na ciemne wnętrze budynku, ale nie znalazł żadnych nisz w ścianie, gdzie mógłby się wślizgnąć niezauważony. Jedyna droga ucieczki prowadziła przez plac, mur i w dół rusztowania.

Doszedł go jęk mnicha.

To on będzie jego biletem na zewnątrz.

Uniósł porośniętą krótkimi włosami głowę mężczyzny. Potrząsnął nim.

— Gdzie są księgi Jezusa? — zapytał.

Mnich wydał z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk, ale wciąż miał zamknięte oczy.

Tim uderzył go w twarz, aż zaboląła go dłoń, a echo uderzenia odbiło się od łukowatego sklepienia. Mnich zamrugał i otworzył oczy.

— Grant Matthews i Kristin Misaki. Dokąd jadą?

* * *

Z lewej strony Grant czuł chłodny twardy kamień niższego placu, z prawej ciepłe, miękkie ciało Kristin. Napastnik nie celował już w niego, wróciła więc złość, niczym dogasający ogień, który został wzniecony przez podmuch powietrza.

Musiał coś zrobić. *Ale co?*

Ten człowiek był uzbrojony, a na doświadczenie bojowe Granta składała się jedynie bójka, do jakiej doszło w piątej klasie na boisku, i która skończyła się tym, że i on, i Kyle Mills zostali wezwani na dywanik do dyrektora z zakrwawionymi nosami i rozciętymi wargami.

Obaj strażnicy strzelali do agresora zza murku na wyższym placu. *Dlaczego nie zejść na dół i nie wezmą budynku szturmem?*, zastanawiał się. Jeśli się nie pospieszą, ten człowiek zabije Jigme.

Kristin zapewne myślała podobnie, ponieważ podniosła się i uklękła. Zanim wstała, porywacz pojawił się na końcu krużganka, trzymając Jigme przed sobą.

Grant chwycił Kristin za sweter i pociągnął z powrotem na ziemię.

* * *

Tim wszedł na plac, używając mnicha jako żywej tarczy. Strażnicy wstrzymali ogień. Od razu zauważył, że kryją się za niskim murkiem. Dwa zielone mundury i sylwetki strażników były dobrze widoczne na tle świątelnego i białego marmuru Tadż Mahal. Jeden z nich krzyknął coś, czego Tim nie

zrozumiał, ale i tak nie miał zamiaru wypełniać ich żądań, jakiegokolwiek były. Ciągnął mnicha w stronę rusztowania przy skraju placu. Od bezpiecznej strefy dzieliło go tylko kilka kroków.

— Proszę, nie rób mu krzywdy. To tylko mnich — prosił kobiecy głos. Skupiając się na dwóch karabinach, Tim na chwilę zapomniał o Matthewsie i Misaki. Ciągle leżeli na ziemi.

Kiedy otworzył usta, żeby odpowiedzieć Kristin, coś ostrego ukłuło go w plecy.

Zamarł.

Powoli odwrócił głowę. Odprężył się. Dotarł do końca placu i uderzył w wystający z rusztowania metalowy pręt. Jego ucieczka już prawie dobiegła końca. Holując półprzytomnego mnicha lewą ręką, wszedł na niski kamienny mur, a z niego na rusztowanie. Stopy pewnie stanęły na deskach; Tim spojrzał na mechaniczną windę. Nie będzie mógł zabrać ze sobą mnicha. Strażnicy dopadną go, zanim zdoła opuścić więźnia do połowy wysokości muru. Jeśli pójdzie sam, będzie mógł błyskawicznie pokonać dwadzieścia stóp dzielące go od brzegu. Teren na dole był zaciemniony. Popłynie w dół rzeki, zanim strażnicy złożą się do strzału.

* * *

Dlaczego strażnicy nic nie robią?, przemknęło przez głowę Granta. W pierwszej chwili instynkt podpowiadał mu, by zostać na ziemi, ale zobaczył już, że przestępca szykuje się do wejścia na mur razem z jego przyjacielem, a strażnicy wciąż nie reagują. *Gdzie ich wsparcie?*

Rzucił okiem na wznoszący się przed nimi dom gościnny. Może udałoby mu się tam dobiec, gdy napastnik skupi się na strażnikach. Możliwości krążyły mu po głowie, kiedy mężczyzna podniósł broń i oddał trzy strzały. Pierwsze dwa w murek, za którym kryli się strażnicy, sprawiając, że tamci zanurkowali jeszcze niżej. Czas zatrzymał się dla Granta, gdy padł trzeci strzał. Mężczyzna oddał go w plecy Jigme.

Rozdział 32

Rzeka Ganges, Indie

Dwa tysiące lat temu

Poranne słońce oświetlało szczyty odległych gór, jego promienie przedzierały się pomarańczową poświatą przez zamknięte powieki Issy. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na *ghatach*, szerokich kamiennych stopniach prowadzących do położonej w dole rzeki, Issa słyszał, jak budzi się świat wokół niego: walczące o jedzenie małpy, nawoływania szybującego jastrzębia, odległe dźwięki wstającego miasta, pluski kąpiących się w rzece. Z każdym powolnym oddechem wdychał mieszaninę zapachów przypraw i dymu unoszącego się nad paleniskami w mieście. Siedział w uspokajającej ciszy, każde z doznań spływało na niego jak wiatr unoszący się nad polem pszenicy — ugiął się pod wpływem powiewów, a potem powracał do swojej naturalnej wyprostowanej pozycji.

Kierując się zaleceniami swojego nauczyciela, Issa skupił świadomość na wilgoci przemieszczającej się z czubka jego nosa, gdy wdychał powietrze, w dół gardła i wreszcie do płuc. Jego *nephesh*, jego oddech. Czuł, że żyje, jakby każdy oddech promieniował energią do jego duszy, jakby sama skóra oddychała za niego.

— Issa! — czyjś niecierpliwy głos przerwał mu medytację.

Jakaś ręka szarpnęła go za ramię.

Issa otworzył oczy i zamrugał, widząc sylwetkę mężczyzny odznaczającą się na tle porannego nieba.

— Nadchodzą, Mistrzu — powiedział jego uczeń, nie mogąc złapać oddechu. — Biegłem, by być tu przed nimi. Musisz odejść.

Pozostając w pozycji siedzącej, Issa podniósł rękę i zasłonił oczy przed refleksami słońca. Stał przed nim mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna, czyli w wieku Issy, ale wyglądał na starszego z powodu ciężkiej pracy, jaką wykonywał. Miał na sobie brudne łachmany zastępujące mu strój. Jego uczeń, jeden z piętnastu, których Issa ostatnio nauczał, aż podskakiwał ze wzburzenia. Issa położył dłoń na rękę chłopaka, a ten szarpiąc, próbował postawić go na nogi, i przyciągnął go na ziemię koło siebie.

— Vinayu, usiądź i uspokój się. Kto nadchodzi?

Issa omiótł spojrzeniem ghaty. Większość jego uczniów siedziała kilka stopni niżej i przerwała medytację, by przyglądać się ich rozmowie. Później zwróci im uwagę. Inni patrzyli w górę z miejsca, gdzie moczyli się w chłodnej wodzie świętej rzeki. Issa uważał, że to ciekawe: tutejsi ludzie wierzyli, że zanurzenie się w wodzie spowoduje obmycie ze złych uczynków. Podobnie było tam, skąd pochodził: kapłani obmywali się, zanim weszli do świątyni.

— Issa, nadchodzą bramini, żeby cię zaaresztować. Och, to moja wina. Gdybym nie pozwolił ci

nas nauczać... Proszę, odejdz. — Vinay szarpnął tunikę nauczyciela.

— Nie zrobiłem niczego złego. Nie boję się rozmowy z nimi. Siedź spokojnie obok mnie.

— Ale mistrzu, widząc mnie obok ciebie, wpadną w złość.

— Pozwól, że ja się tym zajmę.

Usłyszawszy ostrzeżenie Vinaya, inni uczniowie poczuli niepokój; wszyscy oni byli niedotykalnymi. Powszechnie uważano ich za mniej wartych niż *śudra* — byli ludźmi spoza kasty w społeczeństwie, gdzie pozycja człowieka została określona wyraźniej niż w miejscu, z którego się wywodził Issa. Teraz podniósł rękę, dając im sygnał, że mają zostać na swoich miejscach. Cały ten system nie podobał mu się od chwili, gdy poznał go z opowieści kupców, z którymi podróżował.

Kasta, w jakiej człowiek się urodził, określała jego los na ziemi: na górze stali bramini, kapłani tacy jak nauczyciel Issy, którzy byli przewodnikami po życiu duchowym; na kolejnym poziomie byli kszatrijowie, państwowi oficjele i wojownicy; trzecią z kolei byli wajsjowie, rolnicy i kupcy, ostatnią stanowili śudrowie, pasterze i robotnicy. Niedotykalni wykonywali prace, o ile udało im się coś znaleźć, niegodne nawet śudrów: przygotowywali ciała do kremacji, sprząтали nieczystości, usuwali łajno zwierząt z ulic. Issa szybko zauważył, że ludzie z dwóch najwyższych kast rozmawiali z wajsjami tylko wtedy, gdy czegoś od nich potrzebowali. Śudrów traktowano jeszcze gorzej, czego Issa doświadczył podczas podróży, ale członkowie czterech głównych grup nie postrzegali niedotykalnych nawet jak istot ludzkich.

Od przybycia na te ziemie Issa był ciekaw niedotykalnych, ale wydawało mu się, że budzi w nich strach; odwracali oczy, gdy się zbliżał, i odchodzili pospiesznie, gdy uświadamiali sobie, że chce z nimi porozmawiać, a nie najać ich do jakiejś pracy. Chociaż był tu obcy, uczył się u braminów, zatem kontakt z niedotykalnymi był zabroniony.

Pewnego dnia Issa spotkał Vinaya niosącego drewno do niewielkiego warsztatu, w którym wytwarzano meble. Zatrzymał go i opowiedział o swoich doświadczeniach związanych z robieniem mebli w warsztacie ojca. Vinay wyjaśnił mu, że nie jest rzemieślnikiem, jedynie dostarcza drewno człowiekowi, który się tym zajmuje. Issa znalazł pretekst, by przechodzić tamtędy każdego dnia przez następnych kilka tygodni i rozmawiać z nowym znajomym.

Issa dowiedział się od Vinaya, że niedotykalni nie mogli chodzić do świątyń i modlić się z braminami, nie mogli uczyć się Wedy, świętych ksiąg, znaczących dla tych ludzi tyle samo, ile Tora dla jego rodaków. W kraju Issy faryzeuszom, którzy zarządzali świątynią, żyło się równie dobrze, jak Rzymianom, którzy rządzą krajem, ale nawet robotnicy mogli oddawać cześć Bogu i uczyć się praw Mojżeszowych. Kiedy zapytał nauczyciela o te sprawy, tamten spojrzał na niego, jakby Issa właśnie zadał pytanie, dlaczego nie uczą Wedy psów. Nie chciał o tym w ogóle rozmawiać.

Issa postanowił, że podejmie się nauczania tylu niedotykalnych, do ilu uda mu się dotrzeć. Sam będąc uczniem, nie miał może takich umiejętności i wiedzy, jak bramińscy kapłani, ale uznał, że nawet niewielki trening duchowy będzie lepszy niż nic. Po wielu namowach Vinay został jego pierwszym uczniem i stopniowo przyprowadzał swoich krewnych i przyjaciół. Spotykali się na brzegu świętej rzeki przed wschodem słońca i po jego zachodzie, żeby nie zostać zauważonymi przez braminów. Issa nie wstydził się tego, co robi, ale wiedział, że lepiej się z tym nie obnosić. Wieść o jego związkach z niedotykalnymi oczywiście dotarła do nauczyciela Issy, który nawet nie chciał słuchać jego wyjaśnień. Powiedział mu tylko, że ma zaprzestać robienia bzdur i zająć się własną nauką. To miało miejsce dwa tygodnie temu.

Issa podniósł się, kiedy zobaczył, że pylistą drogą nadchodzi czterech kapłanów bramińskich ubranych w białe szaty i sandały. Grupie przewodził Swami Gundalini, duchowy przywódca świątyni, o długich białych włosach spływających mu na plecy i równie białej brodzie. Za swami,

pomiędzy dwoma poważnymi kapłanami, szedł nauczyciel Issy ze wzrokiem wbitym w ziemię. Jednak najbardziej zaniepokoił chłopaka dwaj żołnierze idący za kapłanami.

Może Vinay ma rację, pomyślał. Jak mogłem sądzić, że uda mi się rzucić wyzwanie tym ludziom w ich własnym środowisku? Żołnierze wyglądali na zadowolonych z siebie, gdy dumnie kroczyli w skórzanych butach i kamizelkach. Przynajmniej ich miecze wciąż spoczywały w pochwach.

Starając się wyglądać swobodnie, Issa uklonił się w pas, gdy grupa dotarła do schodów.

— *Namaste*, Swami Gundalini. Jestem zaszczycony twoją wizytą.

— *Namaste* — odparł swami i lekko się uklonił. — Dotarły do mnie niepokojące raporty na twój temat, młody Isso.

— Cóż to mogły być za raporty? Sumiennie pracuję, odkąd tu przybyłem. Mój nauczyciel powiedział mi, że uczę się najszybciej ze wszystkich, których dotychczas uczył. — Issa zauważył, że nauczyciel odwraca od niego wzrok.

Swami uśmiechnął się do Issy, pokazując zęby tak białe jak jego włosy. W jego uśmiechu nie było współczucia.

— Słyszałem również, że masz szybki język. Mój uczniu, otworzyliśmy przed tobą drzwi, gdy zawitałeś do naszej krainy, i nauczamy cię zasad Wedy. Rozumiem, że twoje praktyki są już dość zaawansowane. Jednak uparcie okazujesz swoją niesubordynację, nauczając tych... tych niedotykalnych — powiedział, wypluwając ostatnie słowo w kierunku Vinaya, jakby chciał pozbyć się złego smaku z języka.

— Czy niedotykalni nie zostali również stworzeni przez Brahme? — zapytał Issa niewinnym tonem.

— Czy masz chęć dyskutować, chłopcze?

— Nie miałem zamiaru okazywać braku szacunku, staram się jedynie wcielić w życie to, czego się nauczyłem.

— Więc masz dostateczną wiedzę, by nauczać nas naszych obyczajów, kiedy sam niedawno zostałeś naszym uczniem? — Nie czekając na odpowiedź, swami mówił: — Ale nawet wielki guru nie będzie tracił swego czasu na te kreatury. Ich zadanie nie polega na praktykowaniu wiary ani na zrozumieniu spraw wieczystych, nie mają zdolności umysłowych, by zrozumieć święte nauki.

— Swami, nie udaję, że jestem mistrzem w tym, czego ich uczę. Jedynie dzielę się z nimi własnymi doświadczeniami. Ale jeśli Brahman, jeśli Bóg istnieje w każdym z nas, tak jak mnie uczono, wówczas istnieje zarówno w niedotykalnych, jak i w kapłanach. Dlaczego nie mieliby odkrywać w sobie tego samego ducha, który jest w nas?

— Ponieważ nie posiadają umiejętności, by to zrobić. Może w przyszłym życiu, kiedy wejdą na wyższy poziom, będą gotowi na takie trudne wyzwanie, ale teraz są po prostu niedostosowani.

— Czy kiedykolwiek spędziłeś trochę czasu z niedotykalnymi, Swami? Sądzę, że ich nie doceniasz. W rzeczywistości ich proste życie może im pozwolić na osiągnięcie Brahman łatwiej niż tobie czy mnie.

— Coś takiego! Nie będę słuchał takich bzdur! — Opalona twarz swami pociemniała o kilka tonów, jeszcze bardziej kontrastując ze śnieżnobiałą grzywą opadającą mu na ramiona. Issa wiedział, że nieco się zapędził, więc nerwowo spojrzął na strażników.

— Widziałem na własne oczy — powiedział. Nigdy w życiu nie słyszał, by ktoś zaprzeczał słowom swami, ale prawda była jasna jak słońce w bezchmurny zimowy dzień. — Ludzi takich jak Vinay — ciągnął, kładąc dłoń na ramieniu swojego ucznia, co sprawiło, że Vinay aż się skurczył w sobie, jakby chciał zniknąć — nie dosięgają pułapki czyhające na resztę społeczeństwa. Dzięki prostocie codziennego życia już odarli się z wielu warstw, które oddzielają ich od Brahman.

— Jak śmiesz — powiedział swami z takim chłodem w głosie, że przez Issę przeszedł dreszcz. — Oni wynoszą nasze śmieci i karmią świnie. Ja poświęciłem każdą chwilę swojego życia na studiowanie Wedy.

Issa zerknął na swojego nauczyciela, który wciąż wpatrywał się w ziemię. Podejrzywał, że nauczyciel się z nim zgadza.

— Poświęciłeś życie swojej wierze, Swami. Ale czy naprawdę zetknąłeś się z wiecznością, czy żyjesz nią każdego dnia? Jeśli Brahman jest ostoją spokoju, to dlaczego wypełnia cię gniew? Widziałem niedotykalnych stojących po pas w wodzie wczesnym rankiem, gdy miasto jeszcze śpi, widziałem wyraz radości na ich twarzach. Sądzę, że to właśnie oni doznają Brahman, Swami.

Swami w milczeniu odwrócił się i podszedł do żołnierzy, którzy stanęli na baczność. Puls Issy przyspieszył, gdy zobaczył, że ten bliżej niego kładzie dłoń na rękojeści miecza.

— Dlaczego uznałeś, że należy zabrać ze sobą żołnierzy, Swami? — zapytał szybko. Otarł spoczone dłonie o pelerynę. — Czy zrobiłem coś, co wskazywałoby na możliwość przemocy? Każesz mnie aresztować za to, że dzielę się spokojem i dobrą nowiną z ludźmi, których życie jest tak ciężkie?

Swami odwrócił się, by coś powiedzieć, ale otworzył tylko usta. Patrzył nie na Issę, lecz na coś za nim. Zaskoczony Issa odwrócił się. Zabrakło mu tchu, gdy zobaczył, że jego piętnastu uczniów wyszło z rzeki i wspięło się po schodach. Niedotykalni stanęli za nim, tworząc półkole.

Issa odetchnął i stanął przodem do kapłanów. Zwalczył chęć spojrzenia na swojego nauczyciela, żeby ten dał mu jakąś wskazówkę. Zamiast tego wbił wzrok w swami, który teraz wyglądał tak, jakby nie wiedział, co dalej robić. Na karku Issa poczuł ciepło wschodzącego słońca, miał nadzieję, że swami nie dostrzeże potu spływającego mu po skroniach.

Swami pochylił się w stronę jednego ze strażników i wyszeptał coś, czego Issa nie dosłyszał. Żołnierz, wciąż trzymając dłoń na rękojeści miecza, pogładził palcami skórzaną pochwę wiszącą mu przy udzie. Kiedy swami skończył do niego mówić, żołnierz spojrzął na Issę i uśmiechnął się, ukazując brudne i krzywe zęby. Nie wiedząc, jak zareagować, Issa również się uśmiechnął.

Z ramionami rozwartymi w geście przywitania, swami przemówił do niedotykalnych.

— Jestem szczęśliwy, wiedząc, że jesteście tak lojalni w stosunku do swojego nauczyciela. Chociaż Issa jest jednym z naszych najbardziej utalentowanych uczniów, jestem pewien, że zrozumiecie, że nie będzie mógł was dłużej nauczać, jako że sam nie jest kapłanem. — Następnie zwrócił się przymilnie do Issy: — Co to w ogóle za insynuacje, że mielibyśmy cię aresztować? Chciałem jedynie upewnić się, że rozumiesz naszą kulturę i wiesz, jak powinieneś się zachowywać, jeśli masz nadal pobierać u nas naukę. Nie chcielibyśmy, aby to nieporozumienie przerodziło się w jakieś nieprzyjemności, prawda?

Widząc, że tymczasowo został ułaskawiony, Issa skłonił głowę.

— Nie, nie chcielibyśmy żadnych nieprzyjemności, Swami. Rozumiem.

— Dobrze zatem. — Swami obrócił się na pięcie i odszedł pylistą ścieżką, a jego szaty powiewały na wietrze.

Uśmiechnięty żołnierz wahał się przez chwilę, mierząc Issę wzrokiem, po czym odwrócił się i podążył za swami. Widząc ich plecy, Issa odetchnął i otarł pot z czoła. Gdy kapłani oddalili się, jego nauczyciel odwrócił głowę i po raz pierwszy spojrzął mu w oczy. Jego poważna mina mówiła więcej niż słowa. Skinął głową w stronę gór po drugiej stronie rzeki. Issa zrozumiał. Najpierw sprawdził, czy inni kapłani już nie patrzą, po czym złożył ręce przed sobą i głęboko się uklonił.

Nadeszła pora, by opuścić tę wieś i ruszyć w drogę. Chociaż kochał swoich uczniów, nie był gotowy na to, by zostać męczennikiem z ich powodu.

Rozdział 33

Kościół New Hope

Birmingham, Alabama

— Przez czterdzieści pięć minut rozmawiałem z bankierami — gardłował Brady. — Co jest nie tak z naszymi pożyczkami?

— Z bankierami? — powtórzył Jennings.

— Tak, z bankierami. Dzwonili do ciebie, ale przez całe popołudnie wisiałeś na telefonie, więc skontaktowali się ze mną. Poczułem się jak w zasadzce. Zawieszają następną transzę naszej pożyczki, uzależniając ją od audytu naszych finansów oraz zaawansowania budowy. Czy mógłbyś mi powiedzieć, co tu się, do cholery, dzieje?

Jennings opuszkami palców masował skronie.

— Brianie, wiesz, że mieliśmy pewne kłopoty budżetowe. Odkąd zwolniliśmy Carlę, ucierpiało nasze kierownictwo finansowe.

— Ale zebrałem miliony z datków, a książka świetnie się sprzedaje. Pieniądze będą wpływać. Jak to możliwe, że mamy problemy?

Brady usiadł na miękkim krześle naprzeciw biurka Jenningsa. Wydało mu się, że Jennings stara się ukryć westchnięcie.

— Jak wiesz, zaczęliśmy budowę, zanim zebraliśmy cały kapitał własny niezbędny do realizacji projektu. Bank pozwolił nam korzystać z pieniędzy pod przyszłe kredyty, ale pod warunkiem, że sami zbierzemy więcej pieniędzy. Kryzys ekonomiczny wpłynął na przedsprzedaż naszych domów. Obecnie książka sprzedaje się lepiej, niż się spodziewaliśmy, ale jeszcze przez cztery miesiące musimy czekać na należne honoraria.

— Cóż, czy nie wystarczy to, że wkrótce będziemy mieli więcej pieniędzy? — popukał się w czoło. — Zbieramy pieniądze, to tylko kwestia czasu.

— Podejrzewam, że ich obawy nie są związane jedynie z płynnością finansową, lecz również z ostatnimi zmianami w budżecie.

— O tak. Wypytywali mnie o to — Brady uniósł ręce. — Chcieli omawiać jeden po drugim nasze ostatnie wydatki: siedemdziesiąt tysięcy w zeszłym miesiącu dla wykonawcy wyrównującego teren pod budowę, czterdzieści dla architekta i dwadzieścia w gotówce kilka dni temu, nie wiem na co. Zrobiłem z siebie głupka, Williamie. To twoja działka, by zajmować się tymi sprawami, nie moja!

Jennings spiął się, słysząc sumy. Brady zauważył, że jego blada skóra zrobiła się jeszcze bielsza. Usatysfakcjonowało go, że Jennings czuł się niekomfortowo, i zastanawiał się, czy nie powinien bardziej zagłębić się w finansach, skoro gra idzie o wielkie stawki.

— Oddzwonię i wszystko wyjaśnię — powiedział Jennings, szybko dochodząc do siebie. — Koszt wyrównywania terenu był zawarty w naszym budżecie. Ale Brianie, trzykrotnie przekroczyliśmy

koszty projektowania. Nie możesz wciąż dokonywać zmian. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Jeśli chodzi o gotówkę, wiesz, jacy są niektórzy podwykonawcy: nie mają nawet kont bankowych, by dokonać na nie przelewów.

Brady odchylił się na krześle i położył nogi na blacie biurka.

— Nikt nigdy nie mówił, że będzie łatwo, ale nie możemy tracić wiary, kiedy coś nie idzie po naszej myśli. Kiedy Izraelici wędrowali przez czterdzieści dni przez pustynię, co mówił do nich Bóg? Powiem ci: wytrwajcie w wierze, a Bóg pomoże wam dotrzeć do Ziemi Obiecanej. My też musimy wierzyć.

Jennings rozluźnił się.

— Sądzę, że możemy zostać nagrodzeni wcześniej, niż się spodziewaliśmy. — Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Brady siedział bez ruchu, podczas gdy Jennings streszczał mu rozmowę z Jimmym Jeffriesem.

— To naprawdę się stanie — powiedział Brady, bardziej do siebie niż do Jenningsa. — Zostanę kolejnym prezesem NSE. Będę na czele milionów ewangelików w całym kraju.

— Następných kilka tygodni to najbardziej krytyczny okres. Nie możemy pozwolić, by coś zaszkodziło twojemu wizerunkowi. Jak tylko Jeffries ogłosi swoją rezygnację i wskaże twoją kandydaturę, wygraną będziemy mieć w kieszeni.

— Cóż, cokolwiek robisz — Brady wyciągnął palec i wycelował nim w Jenningsa — spraw, żebym dobrze się prezentował. Boże, dopomóż nam, jeśli te heretyckie teksty gdzieś wypłyną. Dziś rano wpisałem swoje nazwisko w Google i na blogach ewangelicznych wciąż chwalą to, jak obszedłem się z Matthewsem podczas debaty.

— Nie sądzą, by teksty gdzieś wypłynęły.

Brady podniósł się z krzesła i pochylił nad biurkiem Jenningsa.

— Potrzebuję czegoś więcej niż twojego zapewnienia, Williamie. Muszę mieć całkowitą pewność. Ze względu na moją reputację, twoją pracę, wiarę naszej wspólnoty, te teksty nigdy nie mogą ujrzeć światła dziennego.

Rozdział 34

Waranasi, Indie

Grant przypomniał sobie scenę z filmu, który po raz pierwszy obejrzał, kiedy miał dwanaście lat. Ojciec zabraniał oglądania większości filmów w domu, szczególnie tych oznaczonych symbolem R, ale tamtej nocy Grant spał u kolegi. Film *Mechaniczna pomarańcza* sprawił, że przez kilka tygodni Grantowi śniły się koszmary. W jednej, szczególnie zapadającej w pamięć scenie bohater, poddany praniu mózgu, został przywiązany do krzesła. Oczy miał otwarte, powieki przyklejone taśmą klejącą i oglądał wstrząsające nagrania wyświetlane na ekranie.

Przez kilka ostatnich dni Grant nie mógł wyłączyć obrazów pojawiających się na ekranie w jego głowie: oświetlony blaskiem księżycy plac Tadź Mahal, makabryczna śmierć Razięgo, strzał oddany do Jigme, on sam leżący bezradnie na ziemi.

Kristin siedziała w milczeniu i patrzyła przez brudne okno taksówki. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili je zamknął, nie przerywając ciszy. Godzinę temu dotarli do Waranasi po krótkim locie liniami Indian Airlines z Agry. Kristin spędziła tu dwa tygodnie, mieszkając i zwiedzając to starożytne miasto na brzegu Gangesu, postanowili więc, że teraz będzie to ich baza wypadowa, skąd pojedą do pobliskiego Sarnath.

— Niedobrze mi się robi — powiedziała cicho — gdy pomyślę, że mógł zginąć. Gdyby kula weszła kilka cali dalej...

— Wydaje mi się, że ten szaleniec nie chciał zabić Jigme. Stał tuż obok, specjalnie źle wycelował.

Lekarz w szpitalu w Agrze wyjaśnił, że choć rana Jigme jest poważna, kula przeszła prosto przez ramię. Napastnikowi udało się to, co zamierzał: odwrócić uwagę. Kimkolwiek był, w całym zamieszaniu, które nastąpiło potem, zniknął w dole rzeki.

Kiedy zegnali się z Jigme na lotnisku dziś rano — ich przyjaciel wracał do Bhutanu, a oni wyruszali do Waranasi — młody mnich miał lepszy nastrój niż Grant i Kristin. Z ręką na temblaku żartował, że przez kilka tygodni nie będzie musiał sprzątać dormitorium. Dodał, że dzięki ranie przynajmniej nie wpakuje się w kłopoty. Podczas rekonwalescencji nie będzie mógł się wymykać, jak często robił, mając wolną chwilę, by zajmować się swoim sekretnym hobby. Mnisi, wyjaśnił, nie mogli uprawiać narodowego sportu Bhutanu — łucznictwa.

Granta zbyt rozpraszały pytania, na które nie znał odpowiedzi, by docenić wysiłki Jigme zmierzające do rozluźnienia sytuacji. Teraz, jadąc taksówką, przyłapał się na tym, że zadawał sobie te pytania tyle razy, iż spróbował skorzystać z jednej z technik Kinleya. Skierował uwagę na oddech: był płytszy niż powinien. Grant odetchnął głęboko, a potem już z pełną kontrolą skupił się na przepływie powietrza z czubka nosa aż do momentu, gdy nappełniły się jego płuca. Oddychając w ten sposób, także spojrział przez szybę. Chociaż Waranasi było mniejsze niż Agra, to jednak tętniło takim samym chaosem pojazdów, ludzi i zwierząt rywalizujących o miejsce na wąskich ulicach. Kiedy

taksówka zwolniła, żeby wjechać na ruchliwe skrzyżowanie ulic Aurangabad z Durgakund, Grant obserwował toczące się codzienne życie mieszkańców: kobiety w kolorowych jak szkiełka kalejdoskopu sari przeglądały towar na stolikach ustawionych wzdłuż chodników, gdzie sprzedawano wszystko — od świeżych owoców poprzez dzinsy, aż do telefonów komórkowych. Starsi mężczyźni rozmawiali ze sobą podczas strzyżenia lub golenia przez ulicznych fryzjerów, których salony fryzjerskie składały się z krzesła, nożyczek, brzytwy i wiadra wody. Opuścił szybę i zaciągnął się egzotycznym zapachem.

Kristin dotknęła jego ramienia.

— Wiesz, nie mogę przestać myśleć o Razim...

Głos uwiązał jej w gardle.

— Wiem — zwrócił się do niej. Co najmniej sto razy analizował w myślach, co powinien zrobić inaczej, żeby ocalić życie Raziemu i uchronić Jigme przed postrzałem. — Ale teraz musimy już skupić się na przyszłości. Potrzebujemy nowej mapy. — Rozpiął zamek niewielkiej torby leżącej przy jego nogach i wyjął mały spiralny notes. — Zrobiłem trochę notatek i...

Wyrwała notes z jego ręki i rzuciła go na siedzenie pomiędzy nimi.

— Czy ty musisz wszystko sprowadzać do tabelek i wykresów? Razi nie żyje! Jigme prawie umarł!

Podniósł notes z siedzenia, odłożył go do torby i ujął ją za rękę.

— Wiem. Po prostu nie umiem inaczej.

Odwróciła się do okna, ale jej głos złągodniał.

— Grancie, boję się. Kim był ten człowiek?

Grant wiedział, że skąpe informacje, które mogli przekazać policji, nie pomogą w ujęciu przestępcy. Kristin zidentyfikowała go — ten mężczyzna obserwował ją przed wejściem do Tadž Mahal, a Grant wiedział, że był to ten sam człowiek, który już podczas debaty wydał mu się podejrzany. *Policja ma to gdzieś*, pomyślał. Wyczuł, że chcieli się ich pozbyć z posterunku tak szybko, jak to możliwe; incydent zostanie zamieciony pod dywan, żeby nic nie zaszkodziło turystyce do najślawniejszego miejsca w kraju. Chociaż padły strzały, wszystko działo się w nocy, a jedyną ofiarą śmiertelną był Razi, miejscowy student. W prasie nie ukazały się żadne wzmianki o incydencie i Grant wątpił, że kiedykolwiek się pojawią. Przypomniał sobie policjantów w Atlancie, którzy nie uwierzyli w jego opowieść o skasowanych zdjęciach. Gdy tak rozmyślał, odniósł nieodparte wrażenie, że oba te wydarzenia były ze sobą połączone. Widział tego człowieka w Atlancie, a teraz on przejechał za nimi przez pół świata, żeby... *no właśnie, co?* Położyć łapę na manuskryptach? Przeszkodzić im w spotkaniu z Kinleyem? Grant zadzwonił do Billingsly'ego, kiedy wyszli z komisariatu; jego mentor również uważał, że sprawa przybiera znacznie bardziej niebezpieczny obrót, niż się spodziewali. Niemniej jednak, Grant nie posłuchał rady profesora i nie wrócił do domu.

— Jakim cudem on nas znalazł w Agrze? — zapytała Kristin, nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich dwóch dni.

— Nawet nie wiemy, czy chodzi mu o teksty.

— A co innego mogłoby go interesować? Kim on jest?

Drugie pytanie najbardziej dręczyło Granta. W jego pamięci wyrył się widok zadowolonego z siebie zabójcy. *Czy to jakiś stuknięty, samotny fanatyk?* Wątpliwe. Bardziej prawdopodobne było, że nieznajomy należał do jakiejś grupy, która poczuła się zagrożona, gdy ujawniono istnienie tekstów Issy.

Kristin spuściła głowę.

— Czy to w ogóle jest tego warte?

— Nie możemy mu pozwolić, kimkolwiek ten facet jest, by przeszkodził nam w dalszym działaniu, bo chyba na tym mu zależy — Grant brzmiał bardziej zdecydowanie, niż się czuł.

— Hej, jesteśmy na miejscu. — Kristin wystawiła rękę za okno.

Grant sprawdził godzinę. Dochodziła piąta. Pojadą do Sarnath jutro z samego rana. Chciał ruszać od razu, ale wyjaśniła mu, że zanim dojadą, świątynia zostanie zamknięta. Chciała, żeby zatrzymali się przy Uniwersytecie Banaras Hindu, gdzie pracował jej przyjaciel, profesor zajmujący się hinduizmem, który wcześniej dostarczył jej informacji potrzebnych do artykułu o hinduskich pielgrzymkach nad Ganges.

Taksówka wjechała w bramę w kolorze łososiowym. Wjazd na kampus przypominał Grantowi wejście na teren Tadź Mahal, gdzie momentalnie odizolowali się od gwaru Agry. Zostawiając za sobą zapchane ulice Waranasi, wjechali na szeroką aleję wysadzaną drzewami. Pierwsze, co rzuciło się w oczy, to że na terenach uniwersyteckich nie było zbłąkanych krów, bezpańskich psów czy świń. Po drodze minęli kilkoro studentów i profesorów, którzy spokojnie jechali na rowerach. Grant odniósł wrażenie, że Uniwersytet Banaras Hindu wyglądał jak każda jedna uczelnia w Stanach. Po prawej stronie, za szerokimi trawnikami, na których pod rozłożystymi drzewami siedzieli studenci zagłębieni w podręcznikach, znajdowały się budynki wykładowe. Po lewej rozciągały się boiska sportowe, na których studenci grali w piłkę nożną i krykieta.

— Jest tu inaczej, niż myślałem — powiedział Grant.

— Wyobrażałeś sobie coś mniejszego, bardziej z Trzeciego Świata?

— Chyba tak.

— BHU jest największym uniwersytetem w Indiach, ma ponad dwadzieścia tysięcy studentów. Widzisz ten budynek? — Kristin wskazała na gmach z czerwonej cegły, zbudowany w klasycznym stylu. — To wydział prawa. A tam — wskazała otynkowany na pomarańczowo budynek z ceglanyimi akcentami na gzymsach i nad głównym wejściem — to szkoła pielęgniarstwa. Uniwersytet ma wiele wydziałów, a każdy mieści się w odrębnym budynku. Wydział nauk o religii znajduje się przed nami.

Pięć minut później wchodzili po wytartych marmurowych schodach na drugie piętro budynku wykończonego tynkiem i cegłą. Minęli kilka sal wykładowych i dotarli pod drewniane drzwi. Na tabliczce napisano „Profesor Deepraj Bhatt”.

W odpowiedzi na energiczne pukanie Kristin usłyszeli skrzekliwy głos, mówiący: *Hahn?*, co oznaczało „Tak?”.

Kristin otworzyła drzwi i znaleźli się w gabinecie, który mógłby należeć do mentora Granta. Stosy książek i periodyków leżały na biurku i wypełniały stojący za nim regał. Mała lampka stojąca była jedynym źródłem światła poza światłem naturalnym wpadającym przez okno. Po dusznym korytarzu teraz powitał ich podmuch chłodnego powietrza z klimatyzatora zamontowanego pod oknem. Znad stosu dokumentów popatrzył na nich niewysoki mężczyzna indyjskiego pochodzenia, z siwymi pasemkami wśród czarnych włosów. Na widok Kristin zrobił wielkie oczy i szybko podniósł się z krzesła.

— *Namaste*, Kristin! Cieszę się, że cię znowu widzę. — Profesor, będący o cal niższy od niej, objął ją jak swoją ulubioną krewną, której nie widział od lat.

— Profesorze, to jest Grant Matthews.

— A, tak Grant. Słyszałem o tobie wiele dobrego — podał rękę Grantowi.

— Ja o panu również, profesorze Bhatt — odparł Grant.

— Proszę mów na mnie Deepraj. — Profesor zdjął sterty magazynów z dwóch krzeseł nie do kompletu, stojących przed biurkiem. Następnie wysunął swoje krzesło zza biurka tak, by siedzieli

naprzeciw siebie, i gestem zaprosił, by usiedli.

Grant zajął wskazane miejsce, a Kristin wolała przysiąść na brzegu biurka i machać nogami jak uczennica. Grant nie mógł się oprzeć i spojrzał na jej nogi, widoczne spod zielonej bawełnianej spódnicy. Przypomniała mu się ich namiętna noc w jego mieszkaniu, która miała tak fatalny finał. Od tanej pory Kristin była nastawiona przyjaźnie, czasem nawet flirtowała z nim, ale w zasadzie trzymała go na dystans.

— Więc, Grancie, jak rozumiem, nie jest to twój pierwszy pobyt w mojej ojczyźnie?

— Za pierwszym razem byłem na wybrzeżu, w Kerali, gdzie badałem rozprzestrzenianie się chrześcijaństwa na Wschód. Moje badania skupiały się na podróży apostoła Tomasza w 52 roku naszej ery. Za drugim i teraz za trzecim razem skupiałem się na założeniu, że chrześcijaństwo mogło rozprzestrzenić się ze Wschodu na Zachód, dzięki wędrowkom Jezusa. Niewiarygodne, prawda?

— Przyjacielu, nieważne, którądy podróżujesz, na wschód czy na zachód, zawsze skończysz w miejscu, z którego wyruszyłeś, jeśli twoja wędrówka będzie wystarczająco długa.

— Profesorze, to znaczy Deepraj — powiedział Grant — mówisz jak mój przyjaciel, mnich z Bhutanu, dzięki któremu wyruszyłem w drogę.

Profesor Bhatt złożył ręce.

— Czyżby chodziło o KG? Słyszałem, że zostałeś jednym z jego ulubionych uczniów.

— KG? — Grant uniósł brwi. — Znasz Kinleya Goenpo?

— O, tak, trochę razem przeżyliśmy — roześmiał się Deepraj.

Rozdział 35

Stare Waranasi, Indie

Wstrętne.

To słowo przyszło Timowi na myśl, gdy szukał czegoś w swojej sportowej torbie w wynajętym mieszkaniu. To samo słowo przyszło mu do głowy w rikszy, kiedy poprzedniego dnia jechał ulicami Waranasi. Według niego wyraz ten świetnie opisywał ten kraj, to miasto, ten pokój oraz to, jak się teraz Tim czuł.

Wyjął z wewnętrznej przegrody dużą, różową butelkę. Nie czytając instrukcji stosowania, wypił jedną trzecią leku. Zrobiłby cokolwiek, byleby stłumić bulgotanie w kiszkiach. Dotychczas uważał na to, co je, ale i tak coś się do niego przyczepiło. W wojsku ochroną przed lokalną kuchnią były racje żywnościowe zwane MRE. Żałował, że nie przywiózł ich ze sobą.

Odłożył butelkę do torby, którą następnie postawił na zakurzonej podłodze. Kładąc się na twardym, nierównym materacu, przeklął rikszarza, który znalazł mu to mieszkanie. Kiedyś biały tynk był teraz szary od brudu i zanieczyszczenia. Odpadał i łuszczył się, przypominając liście jakiejś gigantycznej rośliny. Spod płatów wyzierał beton. Podczas jazdy ze stacji kolejowej rikszarz obiecał Timowi, że mieszkanie będzie takie jak Tim chciał — spokojne, z oddzielnym wejściem z parteru i położone na niczym niewyróżniającej się alei w sercu Starego Miasta Waranasi.

Tim przypomniał sobie, że mężczyzna mówił z pewnością karabinu maszynowego.

— Wynegocjuję świetną cenę z właścicielem — powiedział. Tim podejrzewał, że właściciel był krewnym rikszarza. Przyjął tę propozycję głównie dlatego, że człowiek ten zapytał go z kpiącym wyrazem twarzy: — Nie będzie panu przeszkadzało, że śpi pan w pobliżu drogi, którą nosi się zwłoki na ghaty kremacyjne?

— Ghaty kremacyjne? — dopytał Tim, bo poczuł nagłą ciekawość.

— Wzdłuż brzegu Gangesu ciągną się kamienne stopnie, ghaty, którymi można dojść z ulicy do wody.

— Chcesz mi powiedzieć, że zwłoki są palone na tych schodach?

Rikszarz obejrzał się przez ramię, spojrzął na Tima i roześmiał się.

— Codziennie.

Obrzydliwa wizja ciał gotowanych niczym hot dogi na ognisku potwierdziła w jego oczach prymitywizm tego społeczeństwa. Niestety, kiedy już raz udało mu się zachęcić rikszarza do rozmowy, nie można było go uciszyć. Gadał, przekrzykując jęk roweru ciągnącego skrzypiącą rikszę, wyjaśniając Timowi, że Waranasi znaczy dla Hindusów tyle, co Mekka dla muzułmanów — jest świętym miejscem dla pielgrzymów, którzy powinni odwiedzić je choć raz w życiu. Wierzono, że Ganges ma właściwości oczyszczające w sensie duchowym i fizycznym, więc w jego wodach często się kąpano.

— My, Hindusi, wierzymy — mówił — że Waranasi jest najlepszym miejscem do umierania. Umierając tutaj, uwalniamy się z niekończącego się cyklu reinkarnacji i śmierci.

Tima zawsze dziwił rozmiar przesądów oraz dziwactwa, w które wierzyli niechrześcijanie, ale teraz miał zamiar użyć ich perwersyjnych pomysłów z korzyścią dla siebie. Będzie mógł wnieść półprzytomną osobę do mieszkania, nie budząc żadnych podejrzeń — widok słabego, śmiertelnie chorego turysty, który przybył umrzeć w Waranasi, nikogo tu nie zdziwi.

Rozdział 36

Waranasi, Indie

Deepraj uśmiechnął się, widząc zaskoczone miny Granta i Kristin.

— Kinley i ja przez dziesięć lat studiowaliśmy na Oxfordzie. W morzu Anglosasów cieszyłem się, że znalazłem przyjaciela z mojej części świata.

Kiedy minął pierwszy szok, Grant zapytał:

— Rozmawiałeś z nim ostatnio?

— Czy z nim rozmawiałem? Dwa tygodnie temu siedział na tym samym miejscu, co ty teraz.

Grant i Kristin spojrzeli na siebie po raz drugi. Kristin pochyliła się.

— Kazał nam pojechać do Sarnath. Wspominał ci o tym?

— Nie. Powiedział mi tylko, że mam się was spodziewać. Wiele lat temu nauczyłem się, że nie ma sensu naciskać na Kinleya, jeśli nie chce czegoś powiedzieć.

— Wiesz o tekstach, które nam pokazał w Bhutanie? — zapytał Grant.

— Śledziłem tę sprawę w wiadomościach. Obejrzałem nawet transmisję z twojego wystąpienia w Emory.

Grant poczuł przyływ frustracji.

— Nie bądź dla siebie taki surowy. — Deepraj poklepał go po ramieniu. — Wypadłeś naprawdę dobrze. Opanowany, inteligentny, wykształcony. Po prostu zastawiono na ciebie pułapkę. Trudno cię winić za taką reakcję.

— Co sądzisz o tych tekstach? — zapytała Kristin.

— W młodości słyszałem opowieści o wędrówkach Jezusa po moim kraju. Wielu Hindusów zna tę historię.

— Ale kluczowe pytanie brzmi: czy te teksty są zapisem legendy, która powstała w późniejszym czasie, czy też te wydarzenia naprawdę miały miejsce?

— Czy to istotne? — zapytał profesor.

— Oczywiście. Jeśli zetknięcie się z hinduizmem i buddyzmem wpłynęło na to, jak Jezus rozumiał Boga i jak sformułował zasady swojego nauczania, to my zupełnie inaczej postrzegamy go jako człowieka.

Profesor potwierdził skinieniem, chociaż Grantowi wydawało się, że kiwa głową nie tyle zgadzając się z jego argumentami, ile na znak, że rozumie, o co mu chodzi.

— Kinley i ja rozmawialiśmy o tym, że postrzegasz świat na zasadzie albo czarne, albo białe.

Grant przypomniał sobie, że w podobny sposób wyrazili się o nim Jigme i Razi. Wtem coś przyszło mu do głowy. Podobnie jak wiedział, że spotkanie w Tadź Mahal chrześcijanina, muzułmanina i buddysty — jego, Razi i Jigme — nie było przypadkiem, tak teraz zrozumiał, że rozmowa z profesorem hinduizmu również została zaplanowana. W głowie zaświtało mu jedno słowo

— *połączenie*. Jedna z ulubionych pogadarek Kinleya mówiła o tym, że życie nie jest serią odrębnych incydentów, lecz siecią wzajemnych połączeń.

— Wiem, że teksty mają większą wartość i nie chodzi w nich jedynie o ukazanie przyziemnych aspektów życia Jezusa — powiedział szybko i poklepał dłonią biurko profesora. — Pokazują *powiązania* między różnymi religiami świata w sposób, który wcześniej nie był aż tak oczywisty. — Rozparł się na krześle i uśmiechnął.

Ale Deepraj zamiast pogratulować mu przemyśleń, wstał z fotela i skinął w stronę nieba ciemniejącego za małym oknem.

— Zjecie ze mną wczesną kolację?

— Umieramy z głodu — odpowiedziała Kristin.

* * *

Profesor poprowadził ich przez główne wejście na uniwersytet, a potem w dół Assi Road, gdzie kluczyli między rozstawionymi na chodniku stolikami uginającymi się pod ciężarem świeżych owoców i warzyw. Niektórych z nich Grant nigdy wcześniej nie widział. Profesor wszedł do niewielkiego sklepu sprzedającego pachnidła i toniki, składowane w setkach nieoznaczonych butelek na drewnianych półkach. Zanim Grant zapytał, co tam robią, Deepraj zaprowadził ich przez tylne drzwi sklepu do ciemnej i wilgotnej alei ciągnącej się wzdłuż sypiącego się betonowego muru.

Grant instynktownie się spiął. Od ataku w Agrze jego zmysły były nadwrażliwe na jakikolwiek przejaw niebezpieczeństwa. Teraz rozglądał się w ciemności. Nic, oprócz smrodu rozkładających się śmieci. Zobaczył, że Deepraj wchodzi na rozklekotane metalowe schody prowadzące na pierwsze piętro.

— Nie martw się, amerykański przyjacielu — powiedział Deepraj ze śmiechem. — Bardzo świeże jedzenie. Nie będziemy pić wody, tylko piwo. — Otworzył zardzewiałe drzwi.

Grant odetchnął, gdy znalazł się w środku. W przeciwieństwie do ponurej alei, restauracja była kolorowa, czysta i pachnąca mieszanką kurkumy, kminku i pieczonego chleba. Tkaniny w kolorach tęczy spływały z sufitu i po ścianach, tak że goście mieli wrażenie, jakby znaleźli się w namiocie jakiegoś maharadży. W restauracji było tylko siedem stolików, ale tego wieczoru oni zjawili się jako pierwsi. Gospodarz, drobny mężczyzna o głowę niższy od Granta, powitał profesora, kładąc ręce na piersi jak do modlitwy i nisko się kłaniając.

Kiedy już gospodarz wskazał im miejsca, przyniósł naan i butelki chłodnego piwa Kingfisher, Grant zastanawiał się nad osobą Deepraja. Kinley zaplanował, że mają spotkać się z tym hinduskim uczonym, tak jak spotkali się ze studentem islamu w Agrze. Opierając się na tym, co wiedział od Karmy i teraz od Deepraja, Kinley opuścił klasztor zaraz po tym, jak z Kristin wylecieli do Stanów, i udał się do Waranasi. Jigme wyruszył tuż po nim. Po spotkaniu z Deeprajem Kinley musiał udać się do Agry, gdzie zobaczył się z Razim i zaplanował szczegóły pobytu Granta. *Ciekawe, co jutro czeka na nas w Sarnath?*, zastanawiał się Grant. Miał nadzieję, że będzie to Kinley razem z tekstami.

— Zatem, Deepraju — odezwała się Kristin — księgi, które pokazał nam Kinley, mówią o tym, że Issa po przybyciu do Indii studiował Wedy, jeszcze zanim kontynuował wędrówkę i skupił się na buddyźmie. — Oderwała kawałek naan posmarowany masłem i gestykułowała nim w powietrzu, kontynuując rozważania: — Jak rozumiem, Wedy to święte księgi Hindusów, a teksty Issy nie są całkowicie wolne od tego, czego się z nich nauczył.

Profesor odstawił szklanekę na stół.

— Podczas kolacji nie uda mi się nawet streścić najważniejszych rzeczy dotyczących tak skomplikowanej religii, jaką jest hinduizm, ale pozwólcie, że poddam wam pod rozwagę kilka spraw. Nie mamy żadnej początkowej daty ani osoby, która zapoczątkowała naszą wiarę, ale wiemy na pewno, że jest jedną z najstarszych, wciąż wyznawanych religii na świecie. Hinduizm istnieje od tysięcy lat, dzięki zdolnościom adaptacyjnym przetrwał okupację muzułmanów i władców chrześcijańskich. Jak wiecie, nie wierzymy tylko w jedną ścieżkę drogi duchowej. Nasze księgi religijne, Wedy, opisują różne drogi prowadzące do Boga: intelektualną, fizyczną, duchową, emocjonalną. Tak jak moi uczniowie charakteryzują się różnymi stylami uczenia: niektórzy są wzrokowcami i wolą uczyć się, czytając, inni preferują słuchanie wykładów, a jeszcze inni muszą sami doświadczyć tego, czego ich uczę, żeby to zaakceptować, tak każdy człowiek ma skłonność do wyboru swojej drogi do duchowego spełnienia.

— Ale — powiedział Grant, mieszając kingfishera w wysokiej szklance — jeśli rzeczywiście jest tylko jedna ostateczna prawda, nieważne czy nazwiemy ją Bogiem, czy jakoś inaczej, dlaczego nie sprawdza się jedno podejście czy też paradygmat wiary dla każdego człowieka?

— Skoro różne narody mówią różnymi językami w granicach swojego kraju, dlaczego Bóg miałby nie przemawiać w różnych kontekstach religijnych do odmiennych kultur? — Grant poczuł mętlik w głowie. — Postrzegasz Boga w sposób monoteistyczny, jak chrześcijanin lub żyd, ale czy hinduizm bierze dosłownie tysiące swoich bóstw? — zapytał retorycznie profesor, wskazując na posąg z brązu stojący na półce przy wejściu do restauracji. Figurka przedstawiała tęgiego człowieka z czterema rękami oraz głową słonia. Wtedy Grant odwrócił się i wskazał ponad drzwi kuchni, gdzie wisiała tkanina z błyszczącej czerwonej i złotej nici, przedstawiająca innego boga z sześcioma rękami i dużą ludzką twarzą oraz trzecim okiem wyrastającym na środku czoła.

— Ach, ten twój zachodni umysł — zachichotał Deepraj. — Świat nie jest tak dualistyczny: to, co widzisz jako czarne, może tak naprawdę być białe lub odwrotnie.

— Nie chcę być niegrzeczny, profesorze, ale to, co mówisz, strasznie trąci filozofią New Age. We współczesnym świecie możemy udowodnić naukowo, że coś jest białe lub czarne.

— Możemy? Cóż, nie jestem specjalistą od nauk ścisłych, ale wedle mojego rozeznania współczesna fizyka... mechanika kwantowa, teoria względności... opierają się na tym, że rzeczywistość nie zawsze jest stała i mierzalna. Na przykład, światło może zachowywać się jak cząsteczka lub jak fala; cząstki subatomowe mogą się zachowywać, jakby znajdowały się w więcej niż jednym miejscu w tym samym czasie; a nawet czas nie ma wartości absolutnej, lecz może pędzić lub zwalniać w zależności od pewnych zmiennych.

Przyniesiono jedzenie, choć Grant nawet nie zajrzał do menu. Zjadali parujące przysmaki z lśniących metalowych misek, jakie co chwila donoszono im do stolika. Grant stracił rachubę co do liczby dań, które przyniosła żona właściciela, cicha, okrągła kobieta, ale kamień spadł mu z serca, gdy przekonał się, że jedzenie było świeże, smaczne i co najważniejsze, dobrze ugotowane. Dania były tak kolorowe, jak dekoracja sali: zupa z marchewki i kolendry, pomarańczowe papryczki z zieloną fasolą w czerwonym sosie curry, ziemniaki z zielonym curry, kurczak tandoori w kolorze czerwonej cegły, którego nabrał od przypraw marynaty, i długoziarnisty biały ryż basmati.

Przełknąwszy porcję curry, Grant powrócił do wątku.

— Ale co to ma wspólnego z hinduskim postrzeganiem Boga?

— Hinduizm nie jest monoteistyczny, to prawda, ale wbrew temu, co sobie wyobrażasz po zwiedzeniu naszych świątyń czy nawet patrząc na te wizerunki poświęcone różnym hinduskim bóstwom — Deepraj wskazał posążek człowieka-słonia oraz kolorową makatkę — nie jesteśmy też politeistami, przynajmniej nie w takim sensie, jak starożytni Grecy i Rzymianie.

— To czym jesteście?

— Ach — Deepraj chichotał. — Jak chcesz opisać coś nieskończonego, nieopisanego, co istniało, zanim pojawiły się słowa, zanim pojawiły się materia i wszechświat?

— Chyba tylko przez porównanie lub metaforę — powiedziała Kristin.

— I przez mity — dodał Grant.

— Zgadza się z tym i z tym. Nawet nam, Hindusom, jest łatwiej, kiedy wyobrażamy sobie Boga w różnych formach materialnych niż jako niesprecyzowany koncept. Więc skoro mamy już koncept Boga, czy *Brahman*, jako nieokreśloną siłę stojącą za wszelkim stworzeniem, wszechobecną, ale bezkształtną i niewyczuwalną, wyobrażamy sobie tę siłę i jej wpływ w różnych postaciach. Widzicie, kosmologicznych pytań o istnienie wszechświata czy cel naszego istnienia nie zadaje i nie doświadczają się codziennie, jak na przykład radości narodzin, emocjonalnej bliskości między kochankami czy bólu choroby i śmierci. Zatem żeby wyjaśnić wpływ Boga, widzimy przejawy *Brahman* w bóstwach takich jak *Wiszn*, który nas chroni i czuwa nad nami, lub — Deepraj wskazał kolorową makatkę z postacią, której trzecie oko zdawało się patrzeć na ich stół — *Sziwa*, niszczyciel, uważany za bóstwo patronujące miastu *Waranasi*. Oczywiście, nasz najpopularniejszy bóg, *Ganesh* — teraz skinął w kierunku statuetki z brązu z głową słonia — odpowiada za powodzenie i bogactwo.

Grant jeszcze raz obejrzał te postaci i wypił łyk *kingfishera*. W domu zwykle wybierał ciemne piwo, ale dziś, w ciepłej restauracji, gdzie pikantne przyprawy przybierały na sile z każdym kęsem, chłodniejszy *lager* pomagał ugasić narastający w ustach ogień.

— W istocie — ciągnął profesor — mówi się u nas, że hinduizm jest religią jednego Boga o wielu twarzach.

— Ale czy takie podejście nie wiąże się z niebezpieczeństwem — zapytał Grant, starając się nie okazać tonem swojego głosu, iż podważa religię swojego rozmówcy — że ludzie tracą z oczu powód istnienia tych mitów, praktyki religijne staną się jedynie kultem bożków, modlitwa zaś kierowana będzie do tego bóstwa, które ma pod kontrolą to, o co proszą?

— Racja. — Profesor pogładził się po brodzie. — Nadmierne skupienie się na rytuałach wymyślonych tylko po to, by wpływać na bogów, stało się jednym z powodów, dla których *Budda* zdystansował się od niektórych praktyk hinduizmu.

— Podobnie jak *Marcin Luter*, który zapoczątkował reformację protestancką, przeciwstawiając się zbytkom w Kościele katolickim — dodał Grant.

— Poczekajcie. Zaczynam się gubić — powiedziała Kristin. — Myślałam, że hindusi postrzegają *Buddę* jako jednego ze swoich, że wchłonęli buddyzm, który stał się częścią współczesnego hinduizmu, przez co nie jest zbyt często praktykowany jako odrębna religia w państwie, z którego się wywodzi.

— Tak, słuszna uwaga — powiedział Deepraj. — Rzeczywiście, hindusi postrzegają *Buddę* jako inkarnację *Wiszn*, co prowadzi nas z powrotem do pytania o *Jezusa*, które padło na wstępie.

Grant zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, w jaki sposób dyskusja przybliżyła ich do sedna problemu. Kiedy już miał zadać pytanie *Deeprajowi*, mała restauracja pogrążyła się w totalnej ciemności.

Rozdział 37

Waranasi, Indie

Siedząc w ciasnej dziennej części mieszkania, Tim patrzył w stronę łazienki na końcu pomieszczenia. *Dlaczego wynająłem tę dziurę?* Odbiło mu się kwasem. Nadchodząca noc nie będzie przyjemna.

Jego „prywatna łazienka” była tak mała, że ledwie mógł się w niej obrócić. Nawet nie było w niej odrębnego miejsca na prysznic czy wannę — jedynie wylewka kranu przytwierdzona do ściany oraz odpływ umieszczony w podłodze przed porcelanową umywalką, której pierwotny kolor zniknął pod warstwami pleśni i brudu. Jednak Tim najbardziej brzydził się toalety, a raczej jej braku: zamiast klozetu w podłodze była dziura z dwoma wgłębieniami na stopy po obu stronach.

— Jak, do cholery, mam się tu wysrać? — narzekał.

Przypuszczał, że za chwilę się dowie. Przynajmniej przewidywał, że trzeba samemu zadbać o kupno papieru toaletowego, więc nabył go w małym sklepie mieszczącym się pośród przypominających labirynt pobliskich uliczek. Patrząc na wiadro stojące obok indyjskiej toalety, przyrzekł sobie, że za nic w świecie nie zamieni szorstkiego papieru toaletowego na mycie tyłka gołą ręką i wodą z tego naczynia.

Otarł spocone czoło wierzchem dłoni. Jak dotąd, nic nie szło tak, jak chciał. Miał nadzieję przejąć teksty Jezusa w Agrze, a przynajmniej dowiedzieć się, gdzie są przechowywane. Urowadzenie mnicha również skończyło się fiaskiem. Wiedział, że tajne operacje są nieprzewidywalne, ale z muzułmaninem poradził sobie bez zarzutu. Znajdował się zaledwie kilka jardów od miejsca, gdzie mógłby rozpląnąć się w ciemności, kiedy Matthews i Misaki pokrzyżowali mu plany. Wspomnienie wyzywającego spojrzenia Matthews'a sprawiło, że aż gotował się ze złości. Na chwilę zapominając o mdłościach, wyobrażał sobie moment, gdy wsadzi kulkę w mózg doktoranta.

Zdjął telefon ze stolika przy łóżku i włączył przeglądarkę. *Znowu nic.* Przez cały dzień nie odebrał sygnału telefonu Matthews'a, co oznaczało, że tametn albo go wyłączył, albo rozładowała mu się bateria. Na szczęście, Tim miał jeszcze jedną możliwość. Ostatnia informacja, która do niego dotarła, donosiła, że Misaki miała powiązania w Waranasi w osobie profesora Deepraja Bhatta. Zastanawiał się, czy profesor wie, gdzie są teksty. Cały dzień poświęcił na działania zwiadowcze na uniwersytecie, gdzie pracował Bhatt. Zamierzał złożyć mu wizytę po południu, ale teraz, walcząc z niestrawnością, został zmuszony poczekać do rana.

Wiedział, że żadna tajna operacja nie jest wolna od ryzyka, ale zżerała go niepewność. Spodziewał się, że to będzie jego chwila chwały.

Żołądek skurczył się bez ostrzeżenia, więc Tim zgięty wpół wystartował do łazienki. Ledwie zdążył dobiec do dziury, gdzie upadł na kolana i zwymiotował zawartość żołądka.

Grant ani drgnął.

Nie widział ani swoich towarzyszy przy stoliku, ani wnętrza restauracji. Ucichły odgłosy gotowania dochodzące z kuchni oraz rozmowy pozostałych gości. Cisza niepokoiła Granta tak samo jak ciemność. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Kristin oraz opadających na nie miękkich włosów. Jej ręka odnalazła jego. Drugą ręką starał się wymacać nóż. Ostrze było tępe i nie nadawało się na broń, ale to jedyna ochrona, jaką mieli.

Wreszcie Kristin przerwała milczenie.

— Pewnie awaria prądu — wyszeptała. — W tym mieście zdarza się kilka razy w ciągu dnia.

Grant poczuł ulgę, słysząc wyjaśnienie, ale wyczuł w jej głosie również nutkę obawy.

— Nie ma się czym martwić — dodał Deepraj z większą pewnością siebie. — Jesteśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju zakłóceń.

— Jak długo trwają? — odezwał się Grant w ciemnościach. Czuł się dziwnie, rozmawiając z kimś, kogo nie widział. Zza jedynego okna także nie dochodził blask światła. Prądu nie było w całej dzielnicy.

— Czasem trzy minuty, innym razem trzy godziny — odparł Deepraj.

Od strony kuchni ktoś niósł niewielkie mrugające światełko. Gospodyni postawiła na ich stoliku małą świeczkę.

Grant odetchnął. Ani śladu niebezpieczeństwa. Żadnego psychopaty z piłą mechaniczną zaczajonego w ciemności. Kristin wypuściła dłoń Granta i zaczęła opowiadać profesorowi o zdarzeniach, które miały miejsce w Agrze.

— To doprawdy okropne — Deepraj potrząsnął głową. — Cóż, tu będziecie bezpieczni. Trudno się połapać na ulicach Waranasi, poza tym jestem pewien, że kimkolwiek był tamten człowiek, ukrywa się teraz przed władzami.

— Miejmy taką nadzieję — powiedział Grant bez przekonania.

Deepraj podniósł z podłogi swoją skórzaną teczkę i wyjął z niej pożółkłą książkę w miękkiej okładce.

— Czytałeś to?

Grant zerknął na okładkę. *Bhagawadgita*. Miał egzemplarz w domowej biblioteczce, ale jeszcze jej nie czytał.

— Miałem zamiar. To jeden z najświętszych tekstów hinduizmu, prawda?

Deepraj przytaknął.

— Zawsze mam jeden egzemplarz przy sobie.

— Czy nie został napisany w czasach Buddy?

— Prawdopodobnie wkrótce potem. Niektórzy uczeni mówią, że tekst ma cztery tysiące lat, ale moim zdaniem bardziej właściwe jest datowanie go na pięćset lat przed Chrystusem.

— O czym jest? — spytała Kristin.

— Tytuł można dosłownie przetłumaczyć jako „Pieśń Pana”. To epicki poemat sanskrycki, opowiadający o młodym księciu, Ardżunie, który jedzie rydwanem przez pole bitwy pomiędzy dwiema rywalizującymi ze sobą frakcjami królewskiej rodziny. Każde woźnicy rydwanu zatrzymać się pomiędzy nimi, kiedy to jego bracia i kuzyni szykują się do walki na śmierć i życie. Woźnica księcia, Krysna, nawiązuje z nim rozmowę o życiu, śmierci oraz naturze rzeczywistości. Potem okazuje się, że Krysna to nikt inny jak Bóg Wisnu, który przybrał postać człowieka. Bóg wcielony.

Ciekawe, pomyślał Grant. Profesor wybrał kolejny przykład ilustrujący fakt, że ludzie starożytni wierzyli w to, iż Bóg przyjmuje postać człowieka.

— Więc dla Hindusów *Gita* jest poematem o tym, jak Bóg przemawia przez Krysznę, podczas gdy muzułmanie wierzą, że Koran jest zapisem słowa bożego, które przekazał prorok Mahomet?

— Jak już wcześniej mówiłem, Bóg przemawia do różnych kultur w języku, z którym najłatwiej im się identyfikować. Jak inaczej mamy zinterpretować nieskończonego i niemożliwego do opisania Boga, jeśli nie przez soczewki naszej indywidualnej kultury, historii i języka?

— Sądzisz, że Issa mógł studiować *Gita* podczas swojej wędrówki po Indiach? — zapytała Kristin.

— Z pewnością.

Grant pochylił się, by lepiej widzieć książkę.

— Czego więc się z niej nauczył?

— Ach, o tym musisz sam się przekonać. — Deepraj poklepał okładkę książki leżącej na stole. — Ale na zachętę, wyobraź sobie Boga nie jako byt występujący w miejscu zwanym niebem, ale jako niemającą kształtu siłę tak ogromną jak wszechświat. Bóg jest obecny w każdym żywym stworzeniu. — Deepraj podniósł szklaną miseczkę ze świeczką w środku. — Wyobraź sobie małą iskrę boskiej esencji, tłącą się gdzieś w głębi każdego z nas, jak małą, migoczącą świecę w tym ciemnym pokoju. Jeśli nasze umysły i emocje są pod wpływem rywalizujących o uwagę światełek żądz i bogactwa, zawiści i pożądania, bólu i depresji, uniesienia i euforii, a nawet samej myśli, stajemy się ślepi i nie zauważamy maleńkiej, migoczącej świeczki w środku naszej *atman*, naszej duszy.

Grant milczał, przesuując palcem po ledwie widocznym wzorze na ceratowym obrusie. Usłyszał głos z dzieciństwa. Siedział w twardej kościelnej ławce. Był wirginijski, duszny letni poranek, a jego ojciec stał przed ołtarzem, pocąc się bardziej z emocji związanych z treścią kazania, niż z powodu duchoty panującej w kościele pozbawionym klimatyzacji. Dziewięcioletni Grant siedział jak zaczarowany, lecz przestraszony słowami ojca. Ten z płonącymi oczami opisywał Boga, który siedzi na niebiańskim tronie i sądzi zmarłych, a ci, drżąc ze strachu, stoją przed jego obliczem. Tych, którzy za życia odrzucili Chrystusa, Bóg skazuje na niekończące się potępienie. Młody Grant stanowczo pragnął uniknąć takiego losu. Jego wiara będzie niezachwiana.

Kristin wierciła się na krześle.

— Deepraju, to bardzo piękne. Ekspansywna, a jednocześnie osobista wizja Boga.

— Grancie. — Deepraj oparł łokcie na stole. Jego oczy błyszczały. — Czy chrześcijanie nie używają równie eterycznych określeń, mówiąc o Bogu?

Grant palcami dotknął ust.

— Duch Święty — powiedział, bardziej do siebie niż do swoich towarzyszy. — Trzecia Osoba Trójcy Świętej, chrześcijański koncept obecności Boga jako ducha w człowieku, którego można poczuć i doświadczyć, ale nie zobaczyć.

— Ale czy koncepcja Trójcy nie powstała później, już po śmierci Jezusa? — zapytała Kristin.

— Tak, w czwartym wieku zatwierdzono ją jako dogmat, ale termin „święty duch” wywodzi się z żydowskich pism w Starym Testamencie. Hebrajskie wyrażenie *ruah hakodesh* opisywało obecność Boga, którą odczuwali prorocy. *Ruah* można dosłownie przetłumaczyć jako „wiatr”, ale we wcześniejszych przekładach, takich jak Biblia Króla Jakuba, omylnie napisano „duch”. W innych rozdziałach obecność Boga opisywano podobnym hebrajskim wyrażeniem — *nephesh*, które oznacza „tchnienie”.

— Hmm... — zaczęła Kristin, sięgając po świecę stojącą pośrodku stolika. Grant patrzył, jak zdrapuje paznokciem spływający z boku воск. Podniosła palec do ust i podmuchała. — Boskie tchnienie. — Zdjęła stężały воск z opuszki i zrobiła z niego kulkę. — Chodzi więc o to, że Bóg jest siłą napędową wszystkiego, co żyje.

Grant patrzył na nią. Wtedy przyszedł mu do głowy brakujący element układanki.

— W Księdze Rodzaju Bóg w sensie dosłownym tchnął życie w Adama, co jest metaforycznym przedstawieniem koncepcji, którą właśnie opisałaś.

Uśmiechnęła się, wciąż obracając woskową kulkę w palcach.

Grantowi przypomniały się techniki medytacyjne, których w Bhutanie uczył go Kinley. *Techniki te opierały się na oddechu.*

— Jeśli Jezus nauczył się tego w Indiach — zmrużył oczy — mogło to dogłębnie wpłynąć na jego własną wizję Boga, szczególnie w sytuacji, że sam będąc Żydem, znał koncepcję *ruah hakodesh* i *nephesh*.

— Co jakiś czas — powiedział Deepraj — pojawia się wielki prorok, taki jak Budda, Jezus czy Mahomet, który nie tylko widzi w sobie boską iskrę, ale również skupia się tylko na niej, dmuchając w maleńki płomień, aż ten rozpali się wielkim ogniem. Wówczas sam ogień stanie się jego siłą napędową.

Kiedy profesor wypowiedział te słowa, włączono dopływ prądu. Grant zamrugał, przyzwyczajając oczy do światła.

— Jeśli to, co mówisz jest prawdą — powiedział — czy taki prorok nie emanuje wewnętrznym ogniem na zgromadzonych wokół niego? W takiej sytuacji nie dziwi, że uczniowie, będąc świadkami obecności Boga w swoim mistrzu, chcieli widzieć w nim wcielenie samego Boga.

Deepraj skończył swój posiłek, odsunął się od stołu i klasnął w ręce, jak dziecko, które właśnie dostało prezent.

— KG miał rację. Cóż za wspaniałe uczeń!

Grant poczuł, że zalewa go fala dumy. Polubił już tego drobnego człowieka o ogromnej wiedzy. Uświadomił sobie, że słowa uznania profesora, którego poznał zaledwie kilka godzin wcześniej, znaczyły dla niego więcej niż skąpe pochwały, które otrzymywał w dzieciństwie od swojego krytycznego ojca.

Dobry nastrój szybko wyparował. Grant zmienił bieg myśli — mimo że rozmowa z Deeprajem była odkrywczą, niepokoił się tym, że wciąż nie znalazł tekstów. Wróciły do niego obrazy z poprzednich tygodni: zakurzone okładki manuskryptów przechowywanych w zwykłej sosnowej skrzynce, zadowolona mina wielebnego Brady'ego, gdy wyjawiał przeszłość Granta, śmierć w Tadź Mahal, Jigme padający na ziemię po postrzale, człowiek o stalowych oczach i zawziętym wyrazie twarzy.

— Ta dyskusja jeszcze bardziej uzmysławia mi, jak ważne jest odnalezienie tekstów Issy — zmienił ton na bardziej stanowczy.

— Jutro rano jedziemy do Sarnath — Kristin zwróciła się do Deepraja.

Grant sprawdził godzinę.

— Powinniśmy się już zbierać.

Deepraj wyjął z portfela banknot opiewający na pięćset rupii i położył go na stole.

— Proszę, pozwól, że ja się tym zajmę. — Grant sięgnął po portfel.

— Nie ma mowy. To dla mnie wielka przyjemność, że mogłem was ugościć w moim mieście.

Grant wyczuł, że nic nie wskóra, szybko policzył, że cały posiłek kosztował tylko dwanaście dolarów. Skinął głową, dziękując profesorowi, po czym wstał. Wychodząc z restauracji, wyjął z kieszeni telefon i włączył go. Przez cały dzień go nie używał, żeby oszczędzić wyczerpującą się baterię.

— Czy mógłbyś mi podać swój numer, Deepraj? Może się okazać, że będziemy chcieli się z tobą skontaktować, gdy będziemy jutro w Sarnath.

Granta znowu pochłoneła myśl o tym, co przyniesie im kolejny dzień. *Czy Kinley będzie czekał w Sarnath z tekstami?* Kończył mu się czas wyznaczony przez Emory, a fundusze Kristin też nie starczą na długo. Pojawiła się też bardziej mroczna myśl: *Człowiek z Agry. Czy przyjechał tu za nami?*

Rozdział 38

Waranasi, Indie

— Jak dojść do rzeki? — mamrotał Tim.

Wszedł do kolejnej ciemnej alei. Rozpracowanie labiryntu szerokich na sześć stóp uliczek w pobliżu wynajętego mieszkania było trudniejsze, niż przypuszczał. Ulice kończyły się lub rozdwajały bez ostrzeżenia, a on kluczył, starając się nie dotykać brudnych ludzi, bezpańskich psów i bezdomnego bydła, od których roilo się w wąskich przejściach.

Zerknął na zegarek. Kwadrans po jedenastej rano. Poprzednia noc minęła mu w cierpieniu. Stracił cenny czas, ale nie mógłby w takim stanie prowadzić operacji. Nigdy w życiu się tak nie męczył. Kiedy położył rękę na brzuchu, czuł wystające żebra i wciąż jeszcze bolały go mięśnie.

Po zażyciu podwójnej dawki antybiotyku Cipro oraz przeciwwymiotnego leku o nazwie Phenergan spał przez dziesięć godzin bez przerwy — dwa razy tyle, ile zwykle potrzebował. Pogratulował sobie, że przywiózł ze sobą własne leki. Kto wie, jacy lekarze tu przyjmowali. Kiedy obudził się o wpół do dziesiątej, jeszcze drżały mu nogi, ale mógł jako tako funkcjonować. Zjadł nawet trochę czerstwego chleba.

Bardziej niż poprawa zdrowia ucieszyło Tima to, że Matthews wreszcie włączył telefon. Wybrawszy ikonkę, sprawdził, że przyjechali do Waranasi wczoraj po południu, dzień wcześniej niż się spodziewał. Z centrum miasta udali się na Uniwersytet Banaras, gdzie zapewne spotkali się z tym profesorem, przyjacielem Misaki, a potem poszli gdzieś na peryferia, niecałą milę od mieszkania Tima, i spędzili tam cały wieczór. Szybko przejrzał przewodnik po mieście i sprawdził, że zatrzymali się w hotelu Taj Ganges, który z opisu wydawał się prawdziwą oazą, szczególnie w porównaniu z norą, jaką sam zajmował.

Potrząsnął głową. Gdyby nie urągające higienie warunki w tym kraju, czekałby wczoraj na nich na uniwersytecie. Będzie musiał zająć się tym dzisiaj.

Przyspieszył i skręcił na wschód w kolejną nienazwaną przecznicę, ostrożnie omijając bydłęce odchody leżące na środku ulicy. Odpędził muchy podrywające się z fekaliiów i siadające na ludziach, a potem wracające na kupy gówna. Znajdował się o kilka mil od uniwersytetu, postanowił więc się przejść i dzięki temu lepiej zorientować się w układzie miasta oraz zebrać myśli. Bezmyślnie gładził się po przedramionach, bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby — przed wyjściem z mieszkania zaaplikował maść.

— Świeże powietrze? — zapytał sam siebie i splunął na kamień u swoich stóp. — Co ja sobie myślałem?

Jak można przyzwyczać się do wszechobecnego w tym kraju smrodu? Według Tima, w Waranasi śmierdziało jeszcze bardziej niż w Agrze. Nigdy podczas swoich podróży nie doświadczył czegoś podobnego. Skupił się na tym, by płytko oddychać, żeby zmniejszyć działanie przyprawiającej

o wymioty fali zapachu kadzidła unoszącego się wokół maleńkich sklepików usadzonych wzdłuż ulicy, oparów unoszących się nad dymiącymi piecykami na straganach, śmieciami zalegającymi na ziemi oraz ludzką i zwierzęcą uryną ściekającą między płyty i pęknięcia chodnika. Chociaż godzinę wcześniej brał prysznic, jeśli tak to można było nazwać, na powrót czuł się zanieczyszczony esencją tego miasta.

Z wewnętrznej kieszeni czarnej wiatrówki wyjął telefon. Dotknął ekranu i otworzył mapę Waranasi. Po trzykrotnym dotknięciu wyświetlacza i odczekaniu, aż obraz się odświeży, pojawiła się mapa, a na niej czerwona kropka. Mrugała jakieś dziesięć kilometrów na północ od niego, nad niewielkim miastem Sarnath.

Wcześniej Tim zadzwonił do hotelu Taj Ganges i dowiedział się, że para zapłaciła jeszcze za dwie noce, a skoro dworzec kolejowy i lotnisko znajdowały się w Waranasi, nie obawiał się, że mu się wymkną. Najpierw przepyta profesora, a potem odpowiednio powita Matthews i Misaki, kiedy wrócą do hotelu.

Wreszcie wynurzył się z klaustrofobicznych uliczek i wyszedł na światło dzienne. Jedną przecnicę dalej ulica kończyła się piętnastoma kamiennymi schodami — ghatami, o których słyszał, prowadzącymi do wód Gangesu. Skręcił w prawo i doszedł do szczytu ghatów, ciągnących się wzdłuż brzegu daleko jak okiem sięgnąć.

Podobał mu się widok na rzekę. W przeciwieństwie do zatłoczonego, rozpadającego się miasta, przeciwległy brzeg porastał pas podmokłej trawy, kończący się u stóp gór wieńczących horyzont. Skojarzenie z tym, że kiedyś natura rządziła tym terenem, przypomniało mu, jak daleko znajdował się od lasów i strumieni Alabamy, gdzie spędził tyle popołudni na polowaniu. Po kilku minutach mijał już rury odprowadzające śmierdzące, ciemne ścieki do Gangesu. Musiał stłumić odruch wymiotny, gdy zobaczył ludzi stojących po pas w wodzie.

— Najświętsza rzeka w Indiach? — powiedział do siebie.

Kiedy już sądził, że miasto nie może bardziej go obrzydzić, dotarł do trzypiętrowego budynku z cegły ciągnącego się od środka ulicy aż po środek ghatów. Na schodach otaczających budynek płonęło siedem ognisk w różnym stopniu zaawansowania — niektóre były już tylko dymiącym żarem, inne buchały ogniem piętnaście stóp w górę. Mdlący, słodki zapach mieszał się z jakimś nieznanym aromatem, sprawiając, że Tima ścisnęło w żołądku. Podchodząc bliżej budynku, zobaczył grupę ośmiu mężczyzn ubranych na białą i stojących wokół nierozpalonego stosu drewna, wysokiego na sześć stóp. Tim zwolnił. Kiedy zatrzymał się równoległe do tych ludzi, zauważył, że siedmiu z nich stało w półkolu, a ósmy nieco z tyłu, trzymając aparat fotograficzny, kazał im się ścieśnić. Na ziemi, pomiędzy uśmiechniętymi mężczyznami, leżał trup owinięty w białe prześcieradło.

Fotograf wykrzyczał jakieś polecenia, po czym dwaj mężczyźni stojący w środku schylili się i unieśli ciało do pozycji półsiedzącej. Jeden z nich odsunął całun, odsłaniając głowę starszego martwego Hindusa. Swoboda zachowania tych ludzi nie pozwalała Timowi odwrócić wzroku od makabrycznej sesji zdjęciowej: czy chodziło o sposób, w jaki obchodzili się z ciałem, uśmiechy na ich twarzach, a może świadomość, że za kilka minut ciało będzie smażyć się na stosie drewna jak świniak na rożnie?

Doszedłszy do końca budynku, Tim zobaczył mnóstwo drewna poukładanego w stosy przy ścianie i ciągnącego się aż do kolejnej przecznicy. Chudzi Hindusi ubrani w łachmany i rozpadające się sandały nosili drewno z ulicy aż do budynku z cegły. Tim uświadomił sobie, że za kilka rupii wynajmie jednego z nich, żeby zbudował stos kremacyjny.

Zastanawiał się, czy każdy może przynieść tu ciało owinięte w prześcieradło i spalić je na stosie.

Rozdział 39

Sarnath, Indie

Poranne słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie, gdy Grant i Kristin szli pylistą drogą prowadzącą do parkingu położonego przy ruinach Sarnath, małego miasteczka, gdzie dwa i pół tysiąca lat temu zaczął nauczać Budda. Grant niecierpliwie rozmyślał o tym, co mogą znaleźć, kiedy dotrą do świątyni, do której skierował ich Jigme.

— Sądzisz, że Kinley gdzieś się tu ukrywa? — Kristin zadała dokładnie to samo pytanie, które ciążyło Grantowi przez cały ranek.

— Nie wiem. — Po rozczarowaniu, że nie czekał na nich w Agrze, Grant próbował stłumić nadzieję, że ich przyjaciel będzie tu ich wypatrywał. Był jednak przekonany, że podróż do Agry, potem Waranasi, a teraz do Sarnath, trzech świętych miast trzech różnych religii, była częścią większego planu, jaki wymyślił dla nich Kinley.

Grant opędził się od dwóch nastolatków, którzy zmierzali w ich stronę. Jeden z nich, niezrażony, podniósł i przekartkował kolorowy album zawierający zdjęcia ruin, mnichów i pielgrzymów.

— Anglicy? Amerykanie? — zapytał chłopak.

— Nie, dziękujemy — odpowiedział Grant.

— Tylko trzydzieści rupii.

Grant ujął Kristin za rękę i nie zatrzymując się, szedł przed siebie. Wydawało mu się, że Sarnath jest nie tyle miastem, ile zbiorem ruin, świątyń i klasztorów.

— Dwadzieścia rupii. Dobry zakup! — Chłopak ciągle szedł obok, pokazując książkę.

Drugi wykorzystał brak zainteresowania broszurką.

— Lubicie Buddę? — zapytał. — Daję dobrą cenę. — Podniósł garść kolorowych rzeźbionych figurek przedstawiających Buddę. — Wyrzeźbione w kamieniach z ruin.

— Przykro mi — powiedział Grant i przyspieszył. Pylista droga wiodła do sporego pola pokrytego krótką trawą i kwitnącymi drzewami, na którym stały ruiny z czerwonej cegły. Bliższa inspekcja wykazała, że ceglane ściany, z których większość miała tylko kilka stóp wysokości, to wykopane fundamenty budowli. Prostokątne zarysy wskazywały na to, że był tu kiedyś cały kompleks świątyń i dziedzińców.

— Sprawia wrażenie dość starego — powiedział Grant.

Kristin przytaknęła, również przyglądając się okolicy.

— Najstarsze części datuje się na trzeci wiek przed naszą erą, czasy panowania cesarza Aśoki, buddysty, który sprawił, że religia leżała u podstaw jego oświeconego panowania. Klasztory i świątynie tętniły życiem przez tysiąc pięćset lat, lecz kilka pokoleń rządów Wielkich Mogołów sprawiło, że miasto i świątynie uległy zniszczeniu.

— Szkoda. Jest tu tak spokojnie, szczególnie w porównaniu z Waranasi.

— Nazwa Sarnath oznacza „park jeleni”. Zanim przybył tu Budda, to miejsce było ostoją spokoju, a jego mieszkańcy i przybysze mogli kontemplować bliskość z naturą.

Grant uświadomił sobie, że i jemu przydałby się odpoczynek i kontemplacja, ale dopiero wtedy, gdy znajdzie teksty. Przypomniał sobie rozmowę z Jigme przed opuszczeniem Agry. Młody mnich nie wyrażał się jasno na temat tego, co powinni zrobić w świątyni w Sarnath. Jeśli więc mieli spotkać się tu z Kinleyem, nie wiedzieli nawet, kiedy to miałyby nastąpić, bo nie dysponowali takimi wskazówkami, jak w Tadź Mahal.

Poszli żwirową ścieżką prowadzącą przez ruiny i dotarli do jednego ze starożytnych pomników, niemal nietkniętej fallicznej kolumny, która, według Granta, miała ponad sto stóp wysokości. Przed kolumną zobaczyli pięciu mnichów w zwiewnych, pomarańczowych tunikach. W milczeniu siedzieli na trawie i kontemplowali ceglany zabytek.

Grant przyspieszył, przyglądając się ich twarzom. Mnisi mieli japońskie rysy i nie było wśród nich Kinleya.

— Kiedy byłam tu ostatnim razem — w głosie Kristin słyhać było nutę rozczarowania, które czuł również Grant — fotografowałam delegację tybetańskich mnichów oddających cześć Dhamekh Stupa.

— Co to jest?

— Stupa została zbudowana w szóstym wieku naszej ery i stoi w miejscu, gdzie przypuszczalnie stał Budda, głosząc swoją pierwszą naukę.

— Kinley wybrał to miejsce z jakiegoś konkretnego powodu. — Grant przyjrzał się turystom i pielgrzymom przechadzającym się po terenie.

Kristin skinęła w stronę kamiennej ścieżki, wzdłuż której rosły cyprysy, kończącej się przy świątyni z wieloma iglicami przekuwającymi bezchmurne niebo.

— Jigme powiedział, że mamy pójść tam.

Ujął jej dłoń i ruszyli w stronę świątyni.

* * *

Mając dość chodzenia, Tim zaczął machać do jednego z łatwych do znalezienia rikszarzy, chcąc, by zawiózł go na uniwersytet. Ale właśnie wtedy jego spojrzenie przyciągnął ciekawy widok.

Siedemdziesięcioletni mężczyzna, a może zniszczony pięćdziesięciolatek, siedział tuż przed nim na najwyższym poziomie ghatów i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w rzekę. Spod krwistoczerwonego turbanu wystawały sztywne, białe włosy, a z przodu po tunice spływała mu broda w tym samym kolorze i o tej samej fakturze. Z początku Tim myślał, że mężczyzna jest jednym z wielu starszków siedzących na stopniach prowadzących do wody, ale podczas gdy pozostali zdawali się nieświadomi swojego otoczenia, ten jeden odwrócił się, pokazując Timowi pożółkłe i przekrwione oczy. Zamglonym spojrzeniem objął Tima oraz przestrzeń za nim. Tim normalnie zignorowałby człowieka z ulicy, ale zaintrygował go zamknięty pleciony koszyk, mający około osiemnastu cali średnicy i dwunastu cali wysokości, stojący tuż obok mężczyzny. Tim podejrzewał, co może być w środku, i czuł ekscytację na samą myśl.

Mężczyzna uśmiechnął się w wymuszony sposób, pokazując kilka poczerwiałych i pokruszonych zębów. Następnie ręką, w której trzymał jakiś zrobiony własnym sumptem drewniany, szeroki z jednej strony instrument, wskazał na kosz.

— Dwadzieścia rupii — zaskrzeczał.

— Dwadzieścia rupii za co? — spytał Tim.

Mężczyzna pacnął kosz instrumentem.

— Dwadzieścia rupii.

Timowi zdawało się, że koszyk się poruszył, gdy Hindus przestał go trącać. Wyciągnął banknot z kieszeni i podał go sprzedawcy. Chociaż w kieszeni bojówek miał jeszcze cztery EpiPeny — po dwa z każdego rodzaju — widząc drgający kosz, wpadł na świetny pomysł.

Staruszek wsadził banknot w fałdy swojej tuniki i podniósł instrument do ust. Wydobył się z niego hipnotyczny, melancholijny dźwięk. Hindus jedną ręką grał, drugą podniósł wieko z koszyka. Tim odsunął się krok w tył, gdy z koszyka wychyłała czarna kobra, agresywnie wyginając ciało. Końcówka instrumentu przesuwiała się przed syczącym wężem, który tańczył do muzyki, wodząc za nią ciałem. Tim patrzył jak zaklęty. Ku jego rozczarowaniu, wąż był zbyt zahipnotyzowany, żeby zaatakować.

Kiedy mężczyzna skończył grać, zaczął nakładać pokrywkę na pokrytą łuskami głowę kobry. Wtedy zaatakowała. Rzuciła się na plecioną trzcinę, z której zrobiono przykrywkę, omijając rękę właściciela zaledwie o kilka cali. Serce Tima zwawiej zabiło. Stary zaklinacz węży nawet nie drgnął i zamknął gada w koszu. Następnie znowu przybrał nieobecny wyraz twarzy i zapatrzył się na rzekę, jakby wąż nie rzucił się na niego i jakby Tima już tam nie było.

Tim rozejrzał się. Kilka przecznic za nim zostały bardziej uczęszczane ghaty kremacyjne, tutaj kąpało się tylko kilkoro ludzi w obrzydliwej rzecznej wodzie, ale oni nie zwracali uwagi na niego i staruszka. Okoliczności sprzyjały, więc należało je wykorzystać. Sięgnął do kieszeni po plik banknotów.

Rozdział 40

Sarnath, Indie

— Czy to Mulgano...? — zapytał Grant.

— Mulgandha Kuti Vihar. Sanktuarium. Tybetańskie — roześmiała się Kristin.

Według Granta świątynia wyglądała jak buddyjska wersja zamku Kopciuszka.

Wspięli się po schodach i przez kamienny łuk weszli na krużganek. Grant czuł, że zaczyna zżerać go niecierpliwość.

Skęcili w lewo i krużgankiem przeszli do ciężkich dwuskrzydłowych drewnianych drzwi prowadzących do przestronnej sali. Wypolerowane marmurowe podłogi kontrastowały z niewygladzonymi ścianami wnętrza sanktuarium. Grant natychmiast zwrócił uwagę na naturalnej wielkości złotego Buddę po drugiej stronie pomieszczenia. Posąg stał na ołtarzu udekorowanym świeżymi różami i liliami.

— Co teraz? — zapytała Kristin. W świątyni było cicho i prawie pusto.

— Jigme nie dał nam zbyt wielu wskazówek.

— Może powinniśmy popytać, czy ktoś zna Kinleya?

Starszy wiekiem Tybetańczyk ubrany w roboczy kombinezon, a nie w mnisie szaty, obrywał zwiędłe kwiaty z bukietów na ołtarzu. Dwóch włoskich turystów przyglądało się freskowi, który pokrywał wszystkie ściany pomieszczenia.

Grant przystanął.

Fresk wydał mu się znajomy. Widział podobny podczas pobytu w klasztorze w Bhutanie. *Kolejny zbieg okoliczności?* Podeszedł do ściany po lewej, gdzie zaczynał się mural. Historia, którą opowiadał, rozpoczynała się od narodzin dziecka.

— Kristin, patrz. Ten fresk jest niemal identyczny z tym w świątyni w Punakha Dzong — przypomniawszy sobie wnętrze z wysokimi na dwadzieścia stóp kolumnami i monumentalnymi posągami.

Podeszła do niego.

— Kiedy rozmawialiśmy ze sobą tego dnia, gdy wezwał nas lama, wspomniałam Kinleyowi, że widziałam tu taki sam fresk.

Grant zauważył, że tamten w Bhutanie namalowany był podstawowymi kolorami, miał wyraźne kontury, podczas gdy ten sprawiał wrażenie bardziej eteryczne dzięki pastelowym barwom. Niemniej jednak oba opowiadały tę samą historię — życie Buddy.

— Wydaje mi się, że został namalowany przez znanego japońskiego artystę — powiedziała Kristin. — Odpowiednik witraży w ubogich krajach, jak to powiedział Kinley, ale ja uważam, że jest bardzo piękny. — Przeniosła wzrok na Granta. — Czy Kinley kiedykolwiek opowiadał ci historię zawartą w tym malowidle?

— Tak — Grant ponownie rozejrzał się po świątyni w poszukiwaniu Kinleya, po czym wskazał na

pierwszą scenę z lewej. — Ten pałac leży w Kapilavastu przy granicy indyjsko-nepalskiej. W połowie szóstego wieku przed naszą erą wychowywał się tam książę Siddhartha Gautama. To jego matka — wskazała na elegancko ubraną ciężarną kobietę, śpiącą na wysokim łóżku, nad którym lewitował biały słoń. — We śnie nawiedziła ją dusza słonia i powiedziała, że narodzi niezwyklego syna. Następnie dusza weszła do jej łona. Dalej widzisz tłum, który zebrał się, żeby zobaczyć błogosławione dziecko. Ten stary człowiek przemawia do ludzi. Mówi, że dziecko wyrośnie na przywódcę duchowego ludzi. Buddę.

— Kiedy byłam tu ostatnio, nie poznałam tej opowieści. — Kristin stanęła bliżej ściany. — Ale kiedy ją teraz słyszę, podobieństwa wydają się oczywiste.

— Narodziny Jezusa — potwierdził.

Podniosła rękę, jakby chciała dotknąć malowidła, ale powstrzymała się kilka cali od ściany.

— Archanioł Gabriel zwiastujący Maryi. Poczęcie bez udziału mężczyzny. Trzej mędrcy.

— Religijne mity często mają podobne archetypy. — Grant przesunął się w prawo. — Dalej widzimy małego Siddharthę stawiającego pierwsze kroki. Kwiaty lotosu wyrastały tam, gdzie stawał stopy.

— Podobne do kwiatu z klejnotów w Tadź Mahal, który nas tu doprowadził!

Grant zamyślił się. Co, według Kinleya, mają tu znaleźć?

— Kiedy osiągnął wiek dwudziestu dziewięciu lat, Siddharthę zdruzgotało beztroskie życie księcia — ciągnął Grant. — Gdy pewnego dnia opuścił pałacowe bramy, po raz pierwszy zetknął się z chorobą i śmiercią. — Coś mu przyszło do głowy. — Miał prawie tyle samo lat, co Jezus w punkcie zwrotnym swojego życia, gdy przyjął chrzest od Jana.

— Nie wiedziałam o tym — powiedziała Kristin, pochylając się nad kolorowym malowidłem. Przedstawiało ubranego w tunikę księcia, idącego pośród bladych postaci, ze starości przygiętych do ziemi. Przy ścieżce jechał zaprzężony do wołu wóz, wypełniony martwymi, rozkładającymi się ciałami.

— Szok związany z tym, że życie to nie tylko piękno i młodość, wywarł wielki wpływ na Siddharthę, który porzucił swoje dobra książęce i wyruszył w duchową wędrówkę. Mieszkał w dziczy jak asceta, dni spędzał w milczeniu, poszcząc i medytując. Po sześciu latach zrozumiał, że wycofanie się ze społeczeństwa nie jest właściwym rozwiązaniem. Postanowił obrać pośrednią drogę.

W następnej scenie Siddhartha siedział w klasycznej pozie medytacyjnej pod drzewem z tego samego gatunku, pod którym Grant, jak właśnie sobie uświadomił, leżał na dziedzińcu dzong, w dniu, gdy poznał Kristin. Odwrócił się do niej i ujrzał tył jej głowy z bujnymi lokami opadającymi na plecy. Przyglądała się rysunkowi przedstawiającemu cztery skąpo odziane dziewczyny tańczące po lewej od siedzącego mężczyzny. Po jego prawej stronie grupa demonów wygrażała mu mieczami, włóczniami i pochodniami.

Grant dotknął jej ramienia. Cieszyło go, że Kristin całą swoją uwagę kieruje na opowiadaną przez niego historię, którą poznał za sprawą Kinleya.

— Tutaj mamy kuszenie Buddy przez Złego, kiedy siedział i medytował pod drzewem Bohdi. Żeby odwrócić jego uwagę, najpierw Zły pojawił się w postaci Kamy, boga pożądania, a potem Mary, boga śmierci. Żadna z tych pokus nie zawróciła Buddy ze ścieżki.

— W Tadź Mahal wspominałeś, że Jezus był podobnie kuszony na pustyni, zanim jeszcze rozpoczął nauczanie.

— Po jednej nocy Budda zobaczył światło, ścieżkę, która prowadziła do wewnątrz. — Uśmiechnął się. — Teraz możemy powiedzieć, że doznał oświecenia. Stąd też Siddharthę nazywa się Buddą, co

dosłownie znaczy „Oświecony”.

Kolejna scena przedstawiała Buddę stojącego na wzgórzu.

— Dostąpiwszy oświecenia, Budda przybył do Sarnath, gdzie wygłosił swoje pierwsze kazanie.

— W miejscu, gdzie stoi stupa?

— Tak jest w legendzie.

— Sądzisz, że to ma coś wspólnego z tekstami Issy? Dlaczego Kinley nas tu przysłał?

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. — Grant spuścił wzrok. Kinley nie czekał na nich, tak jak się spodziewali, ale sprawił, że z jakiegoś powodu znaleźli się przy prawie identycznym muralu z tym, który pokazał im w Bhutanie. Poprowadził ich też przez trzy święte miasta: Agrę, Waranasi i Sarnath. Czy chciał tylko pokazać, jak podobne były losy Jezusa i Buddy — mit narodzin, duchowe praktyki, kuszenie, przypowieści i uczniowie? *Musi być coś jeszcze*, pomyślał Grant.

Kristin odwróciła się plecami do fresku.

— Więc buddyści czczą Buddę jako boga, podobnie jak chrześcijanie Jezusa?

— To bardziej skomplikowane. — Grant przypominał sobie, że Kinley uwielbiał takie złożone zagadnienia. — Za życia Buddy jego zwolennicy próbowali go deifikować, ale on się temu sprzeciwiał. Twierdził, że jest tylko człowiekiem, który zrozumiał prawdę. Został oświecony i nauczał, by inni również doznali podobnego oświecenia.

Dotarli do końca długiej ściany i zatrzymali się przed ołtarzem ze złotym Buddą siedzącym na tronie z płatków lotosu, z półprzymkniętymi oczami i jedną ręką spoczywającą na kolanie, drugą uniesioną do błogosławieństwa.

— Podejrzewam, że to naturalne, iż ludzie wolą czcić jakiś konkretny wizerunek niż abstrakcyjną ideę — wyszeptała Kristin.

— Podobnie chrześcijanie klękają przed krzyżem na kościelnym ołtarzu. — Grant przypominał sobie słowa Kinleya: *Prawdziwa natura buddyzmu polega na tym, jak stosujemy nauki w codziennym życiu, nie chodzi o oddawanie czci komuś żyjącemu w przeszłości — nieważne jak był wielki*. Kinley nauczał, że należy czerpać wiedzę i inspirację od Buddy, ale on sam nie powinien być obiektem kultu.

Poczuł, że Kristin ciągnie go za rękaw.

— Jeśli Issa rzeczywiście tu zawędrował, to czy nauczyłby się tu czegoś, co zmieniłoby go w sensie duchowym?

Grant wzruszył ramionami.

— Według Kinleya, wczesne kazania Buddy dotyczyły ludzkiego cierpienia, czegoś, co on nazwał *dukkha*, oraz tego, jak możemy wznieść się ponad cierpienie, by znaleźć spokój, wieczną nirwanę.

— Moglibyśmy doznawać nieco mniej *dukkha*.

— Budda uważał, że nasze odczuwanie nieszczęścia czy niezadowolenia, jak wolisz, wynika z pragnień, pożądania rzeczy, które chcemy dostać.

— Jak pieniądze, lepsza praca, więcej przyjaciół? — spytała Kristin.

— Lub teksty Issy — dodał Grant i zamilkł. Niespodziewanie dotarło do niego, jak wiele nadziei wiązał z odnalezieniem manuskryptów. Poszukiwania nabrały jeszcze innego charakteru, miały wskazać mu jego przyszły cel życia, zapewnić bezpieczeństwo oraz przynieść szczęście. Spojrzał na Kristin i zobaczył, że czeka na dalszy ciąg.

— Nasze pragnienia przybierają różne formy: szukamy zmysłowych przyjemności, jedzenia, alkoholu, seksu, podniety; chcemy zdobyć to, czego nie mamy, większy dom, nowy samochód; albo chcemy pozbyć się czegoś, czego już nie potrzebujemy, na przykład irytujących ludzi, zbędnych kilogramów, fizycznej dolegliwości. Znaczenie słowa *dukkha* sprowadza się do pragnienia tego,

czego nie mamy, lub próby stania się kimś, kim nie jesteśmy.

— Więc, jak rozumiem, buddyzm nie posługuje się nadprzyrodzonymi mocami, by wytłumaczyć naszą aktualną sytuację oraz zbawienie.

Przytaknął.

— Budda nakreślił kilka zasad, jak można wyrwać się z cyklu *dukkha*.

— Jakie to zasady? — Jej błękitne oczy zdawały się płonąć od środka. Z wrażenia nie mrugała, czekając na odpowiedź. Grant uświadomił sobie, jak wielkie znaczenie miał Kinley i jego nauki, które teraz od kilku minut opowiadał Kristin.

— Najpierw musisz mieć odpowiednie nastawienie psychiczne, by podążać wybraną ścieżką. Musisz zrozumieć, jakie jest źródło cierpienia. Potem powinnaś robić wszystko, by twoje życie było czyste, moralne, traktować innych ze współczuciem i dobrze o nich mówić. Wiele z tych nauk przypomina lekcje z przypowieści o Jezusie, które powstały pięćset lat później. Wreszcie musisz sumiennie praktykować medytację, żeby nauczyć się wykraczać poza natłok myśli, które prowadzą do pożądania i chciwości.

Kristin w skupieniu zmarszczyła brwi.

— Zatem buddyjska ścieżka do zbawienia zawiera praktyki intelektualne, moralne i duchowe.

Słuchając, jak Kristin podsumowuje to wszystko, Grant zauważył, ile energii dało mu wstąpienie w rolę nauczyciela. Wtedy uświadomił sobie, jak bardzo brakuje mu Kinleya.

— Czarne i białe — powiedziała nagle.

— Co? — Malowidło było przecież wielokolorowe.

— Kinley i Deepraj. Obaj powiedzieli, że postrzegamy świat w zbyt uproszczony sposób. A jeśli trzy ścieżki duchowe: buddyjska, hinduska i chrześcijańska, są ze sobą połączone?

— Sam się nad tym ostatnio zastanawiałem. — Przeszył go smutek na wspomnienie Raziego poznanego w Tadź Mahal. Potem powróciła do niego wczorajsza rozmowa z Deeprajem. *Powiązania*. Powtórzył to słowo. Powiązania istniały nie tylko pomiędzy wydarzeniami, lecz także poszczególnymi doktrynami.

Kristin chwyciła go za rękę. Z jej palców promieniowała elektryczność, która zdawała się przenikać całe jej ciało.

— A jeśli podążanie ścieżką Buddy, to znaczy wdrożenie praktycznych kroków mających na celu wyeliminowanie cierpienia, również pomaga znaleźć sposób na to, jak dbać o boską iskrę, o której mówił Deepraj? Issa nauczył się obu tych tradycji podczas swoich wędrówek. Jego praktyki duchowe mogły łączyć ze sobą elementy hinduizmu i buddyzmu.

Grant przytaknął.

— W Agrze dowiedzieliśmy się, że Budda, Jezus i Mahomet wykonywali podobne ćwiczenia medytacyjne. Być może dzięki nim pozbyli się swoich zewnętrznych pragnień, przestało im zależeć na zewnętrznych oznakach wielkości, co pozwoliło im zaznać bezpośredniego kontaktu z boską obecnością: z tą wewnętrzną iskrą Boga, Allaha, boskiego tchnienia, nirwany.

Przypomniał sobie, że Deepraj powiedział, iż każda osoba będzie interpretowała boskość, postrzegając ją przez własną soczewkę. Budda, Jezus i Mahomet byli ludźmi żyjącymi w różnych kulturach i w innym czasie. Każdy miał swoje doświadczenia nieskończonej boskości, które rozumiał i interpretował w odmienny sposób.

— Zabierz to, co nadprzyrodzone, ale zostaw to, co duchowe — powiedziała.

Grant patrzył na nią przez pełną minutę.

— W myślach biję się jednak, jak odnieść się do samej konkluzji, możliwości dotknięcia tego, co boskie. To co mówili Kinley i Deepraj ma sens tylko z pewnej perspektywy. Po prostu... —

zmarszczył brwi — ...nie jestem pewien, czy w to wierzę.

— Gdyby Kinley tu był, powiedziałaby, że nie każe ci w to wierzyć.

Grant potrząsnął głową. Zrozumienie to było dla niego za mało. Potrzebował namacalnego dowodu.

Odwrócił się w stronę kolejnej sceny: blady Siddhartha leżący na łożu śmierci, otoczony przez płaczących uczniów. Przypomniawszy sobie wyjaśnienia Kinleya, że Budda kazał uczniom nie opłakiwać jego ciała po śmierci, ponieważ wciąż będzie żyło ciało jego nauki. Powiedział im też, że pewnego dnia powróci do nich w innej formie. Ten koncept był tak niesamowicie podobny do rezurekcji Jezusa oraz jego Drugiego Przyjścia.

— Grancie, spójrz na to! — Kristin machała do niego z drugiego końca sali, tam gdzie kończył się mural.

Zbliżył się do niej.

— Słucham?

— Ten fragment fresku jest nowy.

Teraz i on dostrzegł, że część malowidła, przed którym stała, miała żywsze kolory niż reszta muralu.

— Kilka miesięcy temu kończył się tu — wskazała miejsce, przy którym stanął Grant — śmiercią Buddy.

— Tak jak w Punakha.

— Tak, ale teraz...

Grant patrzył na tę scenę. Nie była częścią historii, którą poznał w Bhutanie. Grupa mnichów pokonywała pasmo górskie.

— Obrazuje rozprzestrzenianie się buddyzmu na wschód? — zapytała.

— To zapewne mnisi z Indii zmierzający do Tybetu przez Himalaje. Patrz na tego — wskazał postać siedzącą na szczycie góry porośniętej lasem, w kraju przeciętym na pół długim murem. — To indyjski mnich, który przyniósł buddyzm do Chin. — Pomyślał o własnej podróży do Indii w poszukiwaniu korzeni chrześcijaństwa.

— Ten wyglądający jak Budda, który jedzie na słoniu, prawdopodobnie reprezentuje Tajlandię — ciągnął — a ta wyspa to Japonia.

Wtedy coś zauważył.

— No nie — powiedział. Kątem oka zobaczył, że Kristin wpatruje się w ten sam punkt.

Na górze fresku, ponad innymi scenami, namalowany był człowiek w powiewających szatach, lecący na grzbiecie tygrysa w stronę jaskini znajdującej się na gładkiej ścianie klifu. Grant od tygodni nie myślał o tej dziwnej opowieści, lecz teraz znowu ją sobie przypomniał.

To była jedna z tych historii, które są najbardziej lubiane w Bhutanie: o tybetańskim mnichu, Padmasambhava, znanym również jako Guru Rinpocze, który poleciał do jaskini na ścianie klifu w pobliżu miasta Paro. Po trwającej kilka miesięcy medytacji w jaskini — podobnie jak Mahomet, uświadomił sobie Grant — Padmasambhava zszedł do doliny i zaczął nauczać buddyzmu w Bhutanie.

— Tam jest teraz klasztor Tygrysie Gniazdo, o którym wspominał Kinley — powiedział.

— To najczęściej fotografowane miejsce w Bhutanie, kamienny klasztor leżący na wąskiej półce skalnej na wysokości dwóch tysięcy stóp na granitowym klifie. Chciałam tam pojechać, ale spotkałam ciebie i zobaczyłam teksty.

Grant podszedł do ołtarza. To na pewno była wskazówka, której szukali.

— Przepraszam, czy mówi pan po angielsku? — zapytał starszka zajmującego się kwiatami.

— Tak, jak mogę pomóc?

— Zastanawiamy się nad nowym fragmentem muralu. Kiedy został wykonany?

— Cudowny, nieprawdaż? Skończony dwa dni temu. My mieć malarza w pana wieku, ale bardzo utalentowanego.

— Bardzo utalentowany, istotnie. Dlaczego dodano ten fragment?

— Jakiś czas temu my zwrócić się o pieniądze na renowację i dostać hojną dotację od zaprzyjaźnionego buddyjskiego państwa, Bhutanu.

— Czy wie pan, kto w Bhutanie przyznał te pieniądze? — zapytał Grant.

— Nie, ja tu tylko sprzątać i zamykać drzwi na koniec dnia. Możecie porozmawiać z naszym dyrektorem lub jednym z asystentów.

— Byłoby świetnie — odparł Grant. — Gdzie możemy ich znaleźć?

— O, teraz ich nie ma. Pojechać do Dharmasali na tydzień.

* * *

Grant i Kristin szli w milczeniu po pylistej drodze prowadzącej ze świątyni na parking. Z jednej strony Grant był rozczarowany, że Kinley nie czekał na nich w Sarnath, lecz z drugiej miał przeczucie, że znajdą to, czego szukają, w Tygrysim Gnieździe. *Gdzie Kinley znalazłby lepsze miejsce na ukrycie tekstów, jeśli nie w klasztorze zawieszonym na granitowym klifie we własnym kraju?* Teksty byłyby poza zasięgiem lamy, a Kinley nie złamałby bhutańskiego prawa zakazującego wywożenia ich z kraju. Grant ujrzał teraz wędrówkę Issy w innym świetle.

Niepokoiliła go jedna kwestia. Ktoś z Bhutanu zaaranżował namalowanie fresku, który właśnie widzieli, a z rozmowy z profesorem Deeprajem Bhattem wynikało, że Kinley niedawno tu był. Ale jak Kinley mógł wejść w posiadanie takich pieniędzy, nie wspominając nawet o rozgrywkach politycznych, żeby wykonać takie dzieło w tak krótkim czasie?

— Masz telefon? — zapytała Kristin, przerywając jego rozmyślenia. — Swój zostawiłam w hotelu, żeby się naładował, gdy włączą prąd. — Rano kolejna awaria pogrążyła hotel w ciemności.

— Tak, proszę. Do kogo dzwonicz? — Grant pomachał do kierowcy pierwszej w rzędzie taksówki na gruntowej drodze.

— Chcę powiadomić Deepraja, gdzie jesteśmy. Musimy mu powiedzieć o nowym fragmencie fresku.

Trzymała telefon przy uchu przez minutę, potem się rozłączyła.

— Nie odpowiada. Pewnie wyszedł z gabinetu.

Rozdział 41

Waranasi, Indie

Tim wymachiwał rękami na riksarzy, pospiesznie opuszczając teren uniwersytetu Banaras Hindu przez łososiową bramę. Przemierzając Assi Road, cieszył się, że pozbył się kosza z kobrą. Chciał jak najszybciej oddalić się od tego miejsca, zanim pojawią się władze, ale nie zamierzał biec, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Szybki spacer dobrze mu robi. Jego metody śledcze były świetne, ale nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Zmaltretowany profesor nie powiedział mu wiele więcej, niż Tim już wiedział. Misaki i Matthews pojechali do Sarnath, a potem wrócą do Waranasi.

Na rogu ulicy, tuż przed nim, czekała riksza. Tamtą dwójką zajmie się w ich hotelu.

* * *

— Nie odpowiada. — Kristin oddała telefon Grantowi.

— Jest sobota. Może ma wolne.

— Nie, on praktycznie mieszka w swoim gabinecie, nawet w weekendy. — Kristin wskazała drogę palcem i taksówkarz skręcił w wysadzaną drzewami aleję prowadzącą na uniwersytet.

— Może przyjedziemy tu później? Chciałbym wrócić do hotelu i zobaczyć, czy jest już prąd. Napisałbym do Jigme, że zamierzamy wrócić do Bhutanu.

Pokręciła głową.

— Wysadź mnie przy budynku Deepraja. Jeśli go nie znajdę w pokoju wypoczynkowym, sprawdzę gabinet.

Grant zawahał się.

— Po tym, co stało się w Agrze, może powinniśmy trzymać się razem dla większego bezpieczeństwa?

— Grancie Matthewsie, od trzech lat sama podróżuję po świecie.

— Okej — próbował spojrzeć jej w oczy, ale cały czas patrzyła przez okno. — Kiedy napiszę do Jigme, zarezerwuję bilety na samolot.

— Proszę się tu zatrzymać — powiedziała Kristin do kierowcy. Samochód stanął przy krawężniku. Przy budynku panował spokój, nie kręcili się studenci zmierzający na zajęcia.

— Proszę, weź go. — Grant podał jej telefon. — Zadzwoń do hotelu, gdy porozmawiasz z Deeprajem. Potem mogę przysłać po ciebie taksówkę.

Kristin otworzyła drzwi, ale zanim wyszła, pochyliła się i pocałowała go w policzek. Dotyk jej ust na jego skórze sprawił, że przeszedł go dreszcz.

— Do zobaczenia za godzinę — mrugnęła i zamknęła za sobą drzwi.

Tim usiadł na popękanej winylowej ławce rikszy, starając się ignorować irytujące wycie i szkodliwe spaliny wydobywające się z małego silnika spalinowego pod siodełkiem kierowcy. Rikszarz jedną ręką chwycił kierownicę swojego pojazdu, w drugiej trzymał telefon komórkowy, który przystawiał do ucha pod dużym, łopoczącym na wietrze rondem kapelusza. Tim wyjął swój telefon z wewnętrznej kieszeni i otworzył skórzane etui. Czerwona kropka oznaczająca telefon Matthews'a mrugała przy wejściu na uniwersytet, z którego właśnie wracał. Jego cele zmierzały do gabinetu profesora.

Wiedząc, że elastyczność podczas operacji jest cechą dobrego wojownika, Tim nie wahał się zmienić swoich planów. Budynek, w którym urzędował profesor, był pusty, podczas gdy w hotelu będą pracownicy i inni turyści.

— Zatrzymaj się — krzyknął, wskazując następną przecnicę. Zagłuszył go hałas silnika oraz głośna rozmowa telefoniczna kierowcy. Tim klepnął mężczyznę w ramię i wrzasnął: — Stań tutaj!

Zaskoczony rikszarz rozłączył się i zwolnił. Tim sięgnął po jeden z EpiPenów, ale ostatecznie postanowił, że lepiej go nie marnować. Zamiast tego wyjął glocka z kabury pod koszulą i podrzucił go w ręce, chwytając za lufę. Kierowca zatrzymał się przed jakimś od tak dawna opuszczonym budynkiem, że deski, którymi zabito okna, zdążyły już spróchnieć. Odwrócił się do Tima z głupim uśmiechem na twarzy. Trzymając broń przy biodrze, Tim potwierdził, że to miejsce mu pasuje. Wsiadając, dla równowagi postawił lewą nogę na tylnej części motoroweru. Jedyną osobą, jaką dostrzegł w okolicy, był bezzębny mężczyzna tkwiący bez ruchu po drugiej stronie ulicy.

Tim lewą ręką uderzył w kapelusz kierowcy, zrzucając go na ziemię.

— Przepraszam — powiedział beztrąsko.

— *Theek hai*, okej — odparł kierowca i pochylił się, by podnieść nakrycie głowy.

Tim zaatakował zręcznie i skutecznie, w podobny sposób, jak obezwładnił muzułmanina na schodach w Tadž Mahal. Broń zatoczyła szeroki łuk w powietrzu, zanim uderzyła w czaszkę rikszarza, obalając go na ziemię. *Żyje*, pomyślał Tim, *ale na razie został unieruchomiony*. Podniósł kapelusz. Siadając na motorowerze, myślał już, co na niego czeka na uniwersytecie. Lecz gdy tylko ruszył, powróciło swędzenie.

Buty Kristin skrzypiały w pustym korytarzu. Bez studentów w budynku było nienaturalnie cicho. Popchnęła drzwi do pokoju wypoczynkowego.

Pomieszczenie w niczym nie przypominało ciemnych sal wykładowych, lampy jarzeniowe oświetlały dwie zniszczone kanapy, skórzany fotel i drewnianą ławę. Ze stojącego na blacie dzbanka na herbatę unosiła się para. *Pewnie niedawno wyszedł*, pomyślała. Był to jedyny taki pokój na całym piętrze.

Kiedy dotarła pod jego gabinet, zapukała głośno.

— Deepraj, to ja Kristin — powiedziała; nie wiedząc dlaczego, uznała, że musi się przedstawić. Jej głos odbijał się echem po pustym korytarzu, ale zza zamkniętych drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. *Może dzisiaj wcześniej poszedł do domu*, przeszło jej przez myśl.

Chwyciła za klamkę.

— Profesorze? — Klamka obróciła się.

Kristin stanęła jak wryta. Profesor Deepraj Bhatt siedział za swoim biurkiem. Był pochylony, jego

głowa spoczywała na pleconym koszu stojącym na środku blatu. Zwykle schludny, choć wypełniony papierami gabinet, teraz był zdemolowany. Dokumenty leżały rozrzucone, jakby ktoś próbował szybko coś znaleźć.

— O, Boże! — krzyknęła i podbiegła do niego.

Proszę, niech on żyje, modliła się. Ale instynkt podpowiadał jej najgorsze. Kiedy go dotknęła, zauważyła, że wygląda tak, jakby inhalował się powietrzem z wnętrza koszyka. Deepraj jednak nie oddychał. Jego ciało było nieruchome.

— Deepraj? — Kristin położyła rękę na jego ramieniu i uniosła tułów znad kosza.

Ciało profesora odchyliło się na oparcie krzesła, głowa zwisała bezwładnie. Kristin krzyknęła. Ciemna cera Deepraja teraz była kremowobiała, przecinały ją ogniste pręgi. Potwornie spuchnięta twarz przypominała rybę rozdymkę z ospą wietrzną. Nieruchome oczy niemal wypadły z oczodołów.

Kristin wzdrygnęła się. Oparła ręce na biurku, starając się nie upaść. Deepraj był jednym z najłagodniejszych ludzi, jakich знаła. Był ostatnią osobą na świecie, która zasłużyła na taką śmierć.

Zacisnęła powieki i pokręciła głową, próbując się pozbyć obrazu, który wyrzył jej się w pamięci. *Muszę zadzwonić na policję*. Otworzywszy oczy, starała się unikać patrzenia na twarz profesora. Sięgnęła po stojący na biurku telefon. Jej dłoń zatrzymała się nad otwartym koszykiem. *Dlaczego trzymał tam twarz?* Instynkt podpowiadał jej, że powinna uciec z gabinetu, zadzwonić na policję gdzieś z zewnątrz, ale już zaczęły w niej kiełkować ziarna frustracji i złości.

Pochyliła się nad biurkiem i zajrzała do kosza. Pusty.

Jej myśli galopowały. *Kto mógł zrobić coś tak straszego?* Poczwała mdłości. *Człowiek z Agry*. Czy naprawdę przyjechał za nimi do Waranasi? Czy torturował Deepraja? Po co? Nie dopuszczała do siebie myśli, że odpowiedzialność za śmierć przyjaciela spoczywała na niej, lecz dwa ataki nie mogły być zbiegiem okoliczności. O ironio, Deepraj był mniej zorientowany w ich poszukiwaniach niż Jigme.

Kolejna myśl sprawiła, że przeszedł ją dreszcz. *A jeśli on wciąż jest w tym budynku?*

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała, ale słyszała jedynie bicie własnego serca.

Wtem coś dotknęło jej prawej kostki. Pisnęła i odskoczyła. Popatrzyła na podłogę, spodziewając się, że zobaczy człowieka z Agry, obciętego na jeża i pożądliwie patrzącego na nią spod biurka. Jednak to, co ujrzała, przeraziło ją jeszcze bardziej. W miejscu, gdzie przed chwilą stała Kristin, wiała się czarna kobra. Jej zawinięty ogon spoczywał na dywanie, głowa znajdowała się o półtorej stopy od ziemi, a szyja przybrała kształt zabójczego diamentu. Kristin zamarła bez ruchu, walcząc z narastającą chęcią krzyku i ucieczki. Wąż groźnie syczał. Chwiał się w przód i w tył, jakby prowokował ją do podejścia bliżej.

Prawie nie oddychając, Kristin uniosła o cal lewą nogę, tę bliżej węża, i odsunęła ją do tyłu. Wąż wciąż się kołysał, ale nie uderzył. Po kilku sekundach, które ciągnęły się jak godziny, Kristin wycofała się kilka stóp dalej, z nadzieją, że kobra jej nie dosięgnie. Powoli odwróciła się, nie spuszczając wzroku z gada. Kiedy wreszcie znalazła się przodem do drzwi, wybiegła szybciej niż wtedy, gdy należała do szkolnej drużyny tenisowej.

Nie przestała biec, dopóki nie minęła głównego wejścia do budynku. Potykając się, zbiegła ze schodów i padła na trawnik. Odzyskawszy oddech, obejrzała się przez ramię i sprawdziła wejście, spodziewając się najgorszego. Ale wszystko wyglądało tak spokojnie jak wtedy, gdy tu przyjechała.

Musiała uciekać.

Podniosła się, otrzepała spodnie z trawy. Potem przypomniała sobie, że ma w kieszeni telefon. Wyjęła go drżącą ręką. *Jaki jest numer na policję?* Nie spodziewała się, że będzie to 911, ale i tak próbowała.

Krótki sygnał. *Zły numer.*

Rozejrzała się gorączkowo i zauważyła riksę zaparkowaną przy krawężniku. Ruszyła biegiem w stronę tego jedyne go środka transportu dostępnego w spokojne, sobotnie popołudnie na wewnętrznej drodze kampusu. Miała nadzieję, że riksarz jest wolny.

Wskoczyła na tylne siedzenie, nawet nie pytając pochylonego kierowcy w kapeluszu z szerokim rondem, czy na kogoś czeka.

— Hotel Taj Ganges.

Siedząc na zniszczonym winylu, nacisnęła przycisk menu na telefonie. Grant zapisał w pamięci numer do hotelu. Mogli ją połączyć z policją. Przeglądając listę kontaktów, poczuła wibracje silnika rikszy, ale pojazd nie ruszył z miejsca.

— Proszę, szybko. To nagły wypadek!

Znalazła numer i nacisnęła ikonę połączenia.

Kierowca obrócił się i pokazał swoją twarz.

— Tak, rzeczywiście nagły.

Widok człowieka z Agry, siedzącego o kilka cali od niej, sprawił, że Kristin poczuła paralizujący strach, jakiego nie zaznała nigdy wcześniej. Zanim zdążyła jakoś zareagować, ręka tego człowieka wystrzeliła szybko jak wąż, gdyby tylko miał taką możliwość. Jego dłoń zacisnęła się na jej gardle. Kristin instynktownie podniosła obie ręce i chwyciła za palce, które odcinały jej dopływ powietrza, ale te trzymały ją z siłą, której nie można było spodziewać się po jego wzroście. Następnie napastnik podniósł drugą rękę, zaciśniętą w pięść. Wzdrygnęła się, gdy uderzył. Ale niespodziewanie, zamiast w twarz, otrzymała cios w udo.

Jej mózg błagał o tlen. Kristin kopała nogami i szarpała się całym ciałem, ale on nie przestawał jej dusić jak pyton swoją ofiarę. Kobieta nie mogła znaleźć żadnego podparcia w ciasnej rikszy.

Dobiegł do niej jakiś głos.

— *Namaste.* Hotel Taj Ganges.

W prawej ręce wciąż trzymała telefon. Chwyciła go mocniej i uderzyła napastnika prosto w twarz. Telefon trafił w nos. Rozległ się trzask łamanej kości. Mężczyzna wrzasnął i zmniejszył uścisk na jej szyi. Natychmiast zareagowała. Upuściwszy telefon, wyskoczyła z rikszy i wylądowała na asfalcie.

— Pieprzona dziwka — mężczyzna krzyczał za jej plecami.

Posiniaczona i oszołomiona, podniosła się, nie zważając na ból w kolanach. *Muszę uciekać!*, rozkazywał jej umysł.

Ale coś jej się stało w nogi. Nie mogła nimi poruszyć. Próbując utrzymać równowagę, chwiała się jak drzewo, które zapuściło korzenie na drodze. Spojrzała w dół, na bojówki do połowy łydki, które miała na sobie. *Biegnij!* Lecz jej nogi nie chciały już nawet podtrzymywać jej ciężaru.

Pokonana przez zawrót głowy, upadła na asfalt.

Co się ze mną dzieje? Jej umysł błagał, by uciekała. Jej ręce i łokcie szorowały po szorstkim chodniku. Ale próba czołgania na niewiele się zdała. Kristin przetoczyła się na plecy. Zdezorientowana, poczuła, że popołudnie szybko przechodzi w noc. Leżała bezradna na ciepłej ziemi, wpatrując się w ciemny tunel, który stanął jej przed oczami. Na końcu tunelu znajdowała się twarz człowieka, który strzelił do Jigme oraz zabił Deepraja i Razięgo. Z nosa płynęła mu krew.

Poddała się ciemności w tunelu.

Rozdział 42

Hotel Taj Ganges

Waranasi, Indie

Grant usiadł na burgundowej kapie na łóżku, z otwartym laptopem na kolanach. Miał mętlik w głowie. Już czuł, że znaleźli się bliżej tekstów, ale teraz musieli udać się do innego kraju, komisja w jego sprawie miała się zebrać w Emory za tydzień i na domiar złego zdawało mu się, że śledził ich jakiś szaleniec.

Potem pomyślał o Kristin: *Co się z nią dzieje?* Boże, była taka piękna. Zauważył to w chwili, gdy ją poznał. Mimo pierwszego wrażenia, kiedy myślał o niej jak o lekkomyślnej artystce, im więcej czasu z nią spędzał, tym bardziej ją podziwiał. Ona też go lubiła; nawet go dziś pocałowała. Od tamtej krępującej nocy w jego mieszkaniu powracało do niego pytanie, dokąd zmierza ich znajomość. Starał się nie naciskać. Nie chodziło o to, że nie miał ochoty, ale od tragedii, do której doszło w Agrze, okoliczności nie sprzyjały. Jak już położył rękę na tekstach Issy, będzie mógł skupić się na Kristin.

Wytarł dłonie w dzinsy, bo na klawiszach laptopa zostawały ślady potu. Czuł napięcie obejmujące jego kark i szyję. Wykańczała go niepewność przyszłości.

Zamknął oczy i zaczerpnął schłodzonego przez klimatyzator powietrza. Przypomnił sobie słowa Kinleya, które padły, gdy Grant leżał unieruchomiony w klasztorze i wkurzał się na swój los. „Masz duży intelekt, Grancie — zbyt duży. Stałeś się niewolnikiem swojego umysłu w takim stopniu, że nawet sobie tego nie uświadamiasz. Twój umysł jest przyczyną twego niezadowolenia i prowadzi cię przez ścieżki niepewności i strachu”.

— Czyż nasze umysły nas nie kontrolują? — zapytał wówczas.

— Tylko wtedy, gdy im na to pozwolimy. Cieśla powinien umieć posługiwać się swoimi narzędziami; narzędzia nie powinny rządzić cieślą.

Grant ponownie zaczerpnął powietrza, próbując przypomnieć sobie inne rady przyjaciela, ale głos Kinleya rozplątał się w jego pamięci. W jednym momencie wyraźnie widział ścieżkę przed sobą, ale po chwili, bez żadnego ostrzeżenia, robiła się niewyraźna. Skierował uwagę na oddech. Wypuszczając powietrze z płuc, poczuł, że napięcie w jego ciele odrobinę zmalało.

Otworzył oczy i wpisał do wyszukiwarki „Druk Air”, nazwę bhutańskiej linii lotniczej. Czekając na załadowanie się strony z rozkładem lotów, zerknął na ikonki na dole ekranu. Zmrużył oczy.

Ochrona antywirusowa oraz blokada programów szpiegujących zostały wyłączone. Wyprostował się. Czy wyłączał je ostatnio, gdy instalował jakiś nowy program? Nie przypominał sobie. Zamknął rozkład lotów, przywrócił działanie obu programów i ściągnął aktualizacje. Nie lubił korzystać z Internetu za granicą bez zabezpieczeń. Kiedy programy skończyły skanować twardy dysk, przejrzał listę znalezionych zagrożeń. W połowie długości, pomiędzy ciasteczkami, znalazł dwa programy:

MailTrac.exe i GhostKeys.exe. Ponownie otworzył przeglądarkę i wyszukał obie nazwy. Poczłł suchość w ustach. Pierwszy z nich był popularnym wśród hakerów programem szpiegującym, ten drugi zapisywał wszystko, co wpisywano do komputera, a następnie potajemnie wysyłał dane do osoby, która go zainstalowała. Zazaczył całą listę i kliknął przycisk „Usuń”.

Jego komputer został zhakowany. Ktoś czytał jego maile.

Zemdliło go, gdy uświadomił sobie, kto jest najbardziej prawdopodobnym sprawcą. *Agra*. W ten sposób dowiedział się, że jadą do Tadż Mahal. Powróciły pytania, na które Grant dotąd nie znalazł odpowiedzi: *Czy ten człowiek stara się zapobiec ujawnieniu prawdy o Jezusie, zawartej w tekstach Issy? A może to samotny psychopata, który wierzy w swoją boską misję? Lub jest częścią większego spisku?* Nie podobała mu się żadna z możliwości. Zastanawiał się, jak dużo morderca wie o ich poszukiwaniach. Wtem jedna myśl sprawiła, że inne przestały się liczyć.

Kristin.

Z nocnego stolika Grant zdjął hotelowy telefon i wybrał numer swojej komórki. Po niekończącym się oczekiwaniu na połączenie usłyszał własny głos, proszący o zostawienie wiadomości. Komórkę wyłączyono. Wiedział, że kiedy dawał ją Kristin, była włączona. Coś tu nie grało. Rzucił słuchawkę na łóżko i wybiegł z pokoju. Musiał dostać się na uniwersytet do gabinetu Deepraja.

Rozdział 43

Stare Waranasi, Indie

Przenikliwy dźwięk muzyki hindi narastał w ciemności jak ścieżka dźwiękowa na początku filmu. Świat był ciemny, odległy i zimny. Tylko muzyka dawała Kristin pewność, że wciąż żyje. Mgła w jej głowie stopniowo się rozrzedzała. Zamrugała, bo raziło ją światło. Cała drżała.

Odzyskała ostrość widzenia. Siedziała na drewnianym krześle na środku małego pokoju w zaniedbanym mieszkaniu. Krzesło zaskrzypiało w proteście, gdy poruszyła się, żeby się rozejrzeć. Z sufitu zwisała pojedyncza goła żarówka, rzucająca ostre światło na szary, odpadający ze ścian tynk. Prosta ława z laminatu stała obok drugiego i zarazem ostatniego mebla w pokoju, podartej sofy. Świdrująca muzyka dochodziła z radia z budzikiem na szafce nocnej w sypialni, którą miała przed sobą. Była sama.

Gdzie jestem? Pokręciła głową, by pozbyć się otępienia, które wciąż odczuwała. Była słaba, musiała walczyć z opadającymi powiekami i ogarniającą ją sennością. Polizała usta. Miała spieczone wargi.

Wtedy wróciła jej pamięć. *Sarnath. Gabinet Deepraja. Wąż. Człowiek z Agry.* Ostatnia myśl sprawiła, że Kristin poczuła przypływ energii, której potrzebowała, by się obudzić. Zmusiła ciało do powstania z krzesła, ale odkryła, że nie może się ruszyć. Panika szybko zastąpiła niedawną ospałość. Odepchnęła się nogami, szurając rozklekotanym krzesłem po podłodze. Spojrzała na ręce. Były przylepione taśmą do poręczy.

Dotarła do niej powaga sytuacji: *Zostałam uśpiona i uprowadzona jak Jigme.* Rzucając się na krzesło, odkryła, że może poruszać nogami, nie zostały związane. Nieporadnie wstała, zgarbiła się i zaczęła przemieszczać się w stronę widocznych z lewej strony drzwi. Musiała uciekać, zanim ten człowiek wróci.

— Wybierasz się gdzieś? — Pytanie wybrzmiało za jej plecami.

Potknęła się i upadła, uderzając w podłogę krzesłem, które niosła na plecach.

— Poszedłem na chwilę do łazienki, a ty się obudziłaś.

— Co chcesz mi zrobić? — spytała, lekko bełkocząc.

Jej oddech przyspieszył, gdy usłyszała jego kroki. Podniósł ją z podłogi. Stare krzesło zaprotestowało, kiedy ciężko usiadła w tym samym miejscu, w którym się ocknęła.

— Od naszej pogawędki, jaką odbyliśmy wcześniej, zastanawiam się, co z tobą zrobić — powiedział z typową dla południowych Stanów nosową wymową, ale słowa ucinał w sposób charakterystyczny dla żołnierzy.

Jakiej pogawędki?, zastanawiała się. Była nieprzytomna. Ale zanim zdążyła się nad tym zastanowić, pochylił się nad nią i położył szorstkie dłonie na jej przyklejonych taśmą rękach. Był na tyle blisko, że czuła na policzkach jego nieświeży oddech. Choć była przerażona i bezradna, nie

odwróciła wzroku od jego pożądnego spojrzenia. Jej porywacz zbliżał się do czterdziestki, miał głęboką zmarszczkę przecinającą czoło pomiędzy stalowoszarymi oczami. Jego cera była mocno podrażniona i łuszczyła się, jakby skóra schodziła po silnym oparzeniu słonecznym. Obcięte na jeża ciemne włosy były przedwcześnie posiwiałe. Nos miał trochę przekrzywiony, a z nozdrzy wystawały strupy zaschniętej krwi.

On pierwszy spuścił wzrok i otaksował ją spojrzeniem. Wzdrygnęła się, czując, że gapi się na jej biust, po czym przesuwa oczy po brzuchu i nogach. Przypomniała sobie, że tak samo na nią patrzył przed wejściem do Tadż Mahal; spojrzenie nie do końca pożałdliwe, raczej oceniające — niczym rzeźnik zastanawiający się, jak pokroić pierwszorzędną wołowinę, by wykroić z niej najbardziej mięsiste kawałki. Pod jego spojrzeniem czuła się odsłonięta, jakby przenikał przez jej ubrania aż do żywego mięsa.

— Czego chcesz? — próbowała ukryć drżenie w głosie. Może uda jej się zyskać więcej czasu na wymyślenie sposobu na ratunek, jeśli zajmie go rozmową.

Pokiwał głową.

— Dlaczego miałbym zdradzić ci cel swojej misji?

— Sądzę, że poczułeś się zagrożony. Że odkrycie Granta wstrząśnie twoją wiarą. — Sama była zaskoczona swoją bezczelnością.

— Też jesteś chytruską, prawda? Podobnie jak twój chłopak w rozmowie z wielebny — panował nad głosem.

Wyprostował się i zaczął chodzić po pokoju.

Zaskoczyła ją wzmianka o Bradym. *Czy ten człowiek jest jednym z jego fanatycznych wyznawców?*

Mówił tak, jakby zwracał się do grupy rekrutów.

— Tak to się robi, prawda? Trzeba skierować temat rozmowy ze swoich grzeszków na osobę rozmówcy. Uczyłem się psychologii walki, zatem twoja taktyka się nie sprawdzi w moim przypadku. Anioł Ciemności przebrany za Anioła Światłości. — Mężczyzna zaczął lekko drapać się po rękach.

Nie miała pojęcia, jaką paranoiczną fantazją się ekscytował, ale przynajmniej coś mówił, zamiast rozbierać ją wzrokiem. Zastanawiała się, jak długo była nieprzytomna. *Kiedy Grant domyśli się, że mnie nie ma?* Poprawiła się na skrzypiącym krześle.

— Jedyne, czego chce Grant, to ujawnić fakty o tym, jakim człowiekiem był Jezus — mówiła łagodnym tonem. — Jego wędrówka była naprawdę krzepiąca...

— Fakty! Wy, ateści i agnostycy, już dawno zdominowaliście media, sprawiając, że nasz kraj odwrócił się od zasad chrześcijaństwa; tych samych zasad, za które walczyli nasi przodkowie! — Zaczął się mocniej drapać, kawałki martwego naskórka spadały na podłogę jak płatki śniegu. — Ale nie docenialiście prawdziwych chrześcijan.

Kristin odniosła wrażenie, że ten człowiek nie mówi do niej, lecz zwraca się do kogoś innego.

— Ale nadszedł czas na działania zapobiegawcze — powiedział, przestając się drapać, lecz zaczął tak gestykulować, jakby zwracał się do wymyślonej publiczności. — Dawid stawi czoła Goliatowi. — Nieco spokojniejszym tonem dodał: — Wówczas nasze grzechy zostaną nam wybaczone.

Szaleniec oparł prawą nogę o ławę i podciągnął nogawkę. Kristin otworzyła szeroko oczy, widząc, że wyciąga ośmicalowy ząbkowany wojskowy nóż, który trzymał w futerale przypiętym do łydki.

— Proszę, nie rób mi krzywdy — wyrwało jej się. Chęć pozostania twardą zniknęła, gdy Kristin tylko zobaczyła błysk ostrza. Ten człowiek torturował Deepraja, a teraz wydawało się, że ma zamiar

postąpić podobnie z nią. — Co chcesz wiedzieć? — zapytała, wodząc wzrokiem za nożem.

— Mam już to, co chciałem wiedzieć. — Czubkiem ostrego noża mężczyzna delikatnie przesunął po przedzie jej koszuli. Wróciło jego pożądlive spojrzenie. Ostrze dotknęło guzików, zahaczyło o ten najniższy. Porywacz szybkim ruchem nadgarstka odciął guzik. Pozostałe cztery przeleciały przez pokój, odcięte w podobny sposób. Grzechotały, spadając na podłogę i tocząc się po deskach.

Ogarnęły ją mdłości. Napastnik rozsunął poły koszuli krawędzią noża, odsłaniając czarny sportowy stanik nasiąknięty jej potem. Oddychała szybko i płytko. Nie była przygotowana na łzy, które zaczęły płynąć jej po twarzy. Przybliżył drugą rękę. Żołądek ścisnął jej się w kulkę, kiedy zobaczyła czerwoną łuszczącą się skórę jego przedramienia. Zdjął koszulę z jej ramion.

— Proszę, nie.

Nie odpowiedział. Zdawał się być zauroczony miodową skórą jej tułowia i ramion.

Kristin wiedziała, że błagania go nie powstrzymają; mogą mu się nawet podobać. Pokryte zgrubieniami palce głaskały jej gołą skórę na obojczyku, co obudziło w niej wstręt i wywołało gęsią skórę. Kiedy przesunęły się na jej pierś, zamknęła oczy i skrzywiła się. Ręka zatrzymała się na lewej piersi, ściskając ją przez materiał stanika wystarczająco mocno, by Kristin poczuła dyskomfort, lecz nie dość mocno, by ją bolało. Pomyślała o swojej siostrze. Wspomnienie tamtej nocy, gdy siostra opisała jej gwałt, zdawało się ją obezwładniać i dusić.

Zmusiła się do otwarcia oczu. Mężczyzna puścił jej pierś i przesunął palcami po jej brzuchu, sięgając do paska od spodni. Już nie czuła jego dotyku. Zdawało jej się, że patrzy na siebie z pewnej odległości. Jego palce drżały, gdy próbował odpiąć guzik.

Kristin poruszyła się bez żadnego ostrzeżenia i z całej siły wierzgnęła prawą nogą. Jej mocne mięśnie czerpały siłę z bezradności i dławionej wściekłości. Trafiła stopą w jego pachwinę. Poczuła miękkie, gąbczaste ciało oraz kość łonową.

Efekt był natychmiastowy. Prześladowca upadł na kolana. Z jego ust wydobył się jęk. Nóż poleciał na podłogę, a on oburącz złapał się za krocze. Drugie kopnięcie było tak skuteczne jak pierwsze, ale tym razem stopa spadła na krzywy nos, który złamała mu już wcześniej. Zawył, gdy krew rozprysła się po podłodze.

Kristin zerwała się na nogi i kuśtykając, pobiegła do drzwi wyjściowych z krzesłem na plecach. Desperacko próbowała uwolnić ręce, ale zostały mocno związane. Dotarła do drzwi, wykręcając ciało na boki, opuszkami palców chwyciła klamkę. Przekręciła ją i pociągnęła.

— Ty suko! — Z podłogi dobiegł zachrypnięty głos.

Zgarbiona, wciąż ciągnąc drzwi, obejrzała się i zobaczyła, że mężczyzna czołga się w jej stronę. Zostawiał za sobą smugę krwi oraz przekleństwa, lecz był coraz bliżej. Drzwi pozostawały zamknięte. Puściła klamkę i chwyciła metalową osłonę zamka.

Jest! Zasuwka. Tuż nad klamką. Przekręciła ją i usłyszała kliknięcie. Zerknęła na podłogę. Był tuż przy niej. Chwyciła klamkę, przekręciła. Drzwi się otworzyły.

— Nigdzie nie pójdziesz! — wrzeszczał.

Drzwi uchyliły się tylko na kilka cali. Szarpnęła mocniej, ale ani drgnęły. Krzesło. Wciąż je miała na plecach, to ono blokowało drzwi. W panice odsunęła się, żeby zrobić miejsce. Nic to nie dało. Mężczyzna ukląkł, był tuż poza zasięgiem jej nóg. Popatrzyła na drzwi i poczuła, że robi jej się słabo.

Drzwi blokował łańcuch — przymocowany dwie stopy nad miejscem, do którego mogła sięgnąć unieruchomionymi rękami.

— Pomocy! Pomocy! — krzyczała przez uchylone drzwi.

Ponownie chwyciła klamkę, próbując wyrwać łańcuch ze ściany.

Drzwi się zatrzasnęły. Porywacz przepchnął się przed nią, na twarzy malowała mu się furia, z nosa

kapala krew.

— Całkiem nieźle.

Przyłożył jej w szczękę tak, że aż zatoczyła się do tyłu i uderzyła głową w drzwi. Osunęła się na ziemię, ponownie zgasły wszystkie światła i ogarnęła ją ciemność.

Rozdział 44

Przestrzeń powietrzna nad północną Alabamą

Wycie turbin silników Hawkera 800 ucichło, gdy samolot osiągnął wysokość przelotową. William Jennings odpiął pas i rozsiadł się wygodnie w miękkim skórzanym fotelu. Nigdy nie przepadał za lataniem, a już wyjątkowo nie lubił startów i lądowań. Wiedział, że jego strach był irracjonalny i wywodził się z braku kontroli nad gigantyczną metalową tubą, która potrafiła unosić się w powietrzu, ale jeśli to było możliwe, unikał samolotów. Chociaż samolot, którym leciał, opisywano jako luksusowy, średniej wielkości prywatny odrzutowiec, Jenningsowi i tak wydawał się mały. Wolałby raczej siedzieć w ciasnej sekcji pasażerskiej 767, niż lecieć w otoczeniu kremowej skóry i orzechowych wykończeń w kabinie, gdzie musiał się pochylać, żeby nie uderzyć w wykończony tkaniną sufit.

— Mam ochotę na colę! — krzyknął Brady, pólżąc na sofie. Na kolanach trzymał notes i żuł końcówkę długopisu, pracując nad przemówieniem, które miał wygłosić następnego ranka na corocznym spotkaniu Narodowego Stowarzyszenia Ewangelików.

Jennings wiedział, że Brady się niepokoi, ponieważ przemowa będzie jego pierwszym krokiem do objęcia sterów organizacji. Zwieńczeniem tego dnia miało być obwieszczenie przez wielebneho Jimmy'ego Jeffriesa swoich planów przejścia na emeryturę oraz poparcia dla Brady'ego w zbliżających się wyborach. Na blogach pojawiły się pierwsze przecieki dotyczące tego ogłoszenia i wielu już uznało Brady'ego za oczywistego następcę, po tym, jak podzielił się z publiką ambitnym planem zbudowania Wspólnoty New Hope, napisał bestseller i jako pierwszy zabrał publicznie głos w sprawie tekstów Issy. Jennings rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny, że te wspaniałe zagrania PR-owe uzupełniały się wzajemnie. *W końcu, pomyślał, to ja wszystko zaplanowałem.*

Wiedział, że Brady ze swoim bardziej konfrontacyjnym stylem i wpływami pasował do tych niepewnych czasów lepiej niż Jeffries ze swoim podnoszącym na duchu przesłaniem o odkupieniu przez ofiarę Chrystusa. Mimo że w ciągu dwóch dekad Jeffries doprowadził do rozwoju swojego teksańskiego kościoła, tak że stał się jedną z największych kongregacji w kraju — twierdził, że należy do niego aż pięćdziesiąt tysięcy wiernych — NSE pod jego rządami straciło znaczenie i wpływ na amerykańską politykę. Media uwielbiały opisywać ewangelików jako niedouczonego bufonów, często zapraszając na wywiad najbardziej tępych spośród nich. Strategia Jeffriesa polegała na tym, by przypochlebiać się mediom, pokazywać się od łagodniejszej strony, skupiać na programach charytatywnych skierowanych do tych, którzy mieli mniej szczęścia w życiu, na pomocy humanitarnej dla Afryki, a ostatnio nawet na ekologii w imię ochrony tego, co stworzył Bóg.

Jednakże Jennings od początku przewidywał bezsens tej strategii. Tak jak nie negocjuje się z terrorystami, tak wejście w układy z mainstreamowymi mediami jedynie ich osłabiło. Już nie obawiano się ich organizacji jako tej, która może dostarczyć miliony głosów chrześcijan w dniu

wyborów. Ale on i Brady mogli wkrótce te zasady zmienić. Ostatnie wystąpienia Brady'ego w mediach awansowały go na wysoką pozycję w organizacji, która aż prosiła się o nowy wizerunek. Jennings starannie cyzelował przemówienie Brady'ego, tak by wielebny nie wzbraniał się powiedzieć, iż problemy kraju są skutkiem grzesznego prowadzenia. Podobnie jak dzieci potrzebują twardej ręki, tak kraj musi być kierowany za pomocą przesłania Biblii, interpretowanej dosłownie i bez żadnych ograniczeń. Jennings nadał kształt przesłaniu dzięki temu, że miał wpływ na kazania wielebnego i spędził wiele godzin jako faktyczny autor książki Brady'ego. *Pewnie poświęciłem jej więcej czasu niż sam Brady*, przemknęło mu przez głowę.

Byli tak blisko spełnienia swoich marzeń. Teraz musiał pilnować szefa podczas finałowych rozgrywek. Stawka była zbyt wysoka, by mogli sobie pozwolić na jakieś wpadki. *Lub*, pomyślał Jennings, *złą prasę*.

— Proszę, wielebny. — Dziarska jasnowłosa asystentka z biura Brady'ego postawiła na blyszczącym stole przy sofie szklankę wypełnioną w połowie dietetyczną colą, w połowie zwykłą.

Jennings wyjął niedomykający się segregator ze zniszczonej skórzanej teczki stojącej obok niego na podłodze. Przerzucił kilka pierwszych stron arkuszy zawierających dane o aktualnej sytuacji finansowej kościoła. Chociaż media ostatnio wyrażały się o Bradym bardzo pozytywnie, to prawda o finansach New Hope była o wiele mniej budująca. Jennings wiedział, że ten moment nie jest najlepszy, by omawiać kwestie pieniężne z szefem, ale Brady unikał tematu od tygodnia, a teraz Jennings miał go tylko dla siebie.

— Brianie, w poniedziałek pojawi się zewnętrzna firma audytowa przysłana przez bank.

— Dobrze, zajmij się tym. — Brady robił notatki na marginesie i nawet nie oderwał wzroku od kartki.

— Musimy przygotować się na ich pytania. Kolejne transze pożyczki uzależnione są od tego audytu. Nigdy wcześniej nie mieliśmy takiej kontroli, więc niepokoi mnie, co powiedzą o niektórych naszych wydatkach.

Brady westchnął i wreszcie na niego spojrzął.

— Williamie, chciałbym bardziej zaangażować się w sprawy finansowe kościoła, ale muszę przygotować się do najważniejszego przemówienia w mojej karierze. Po prostu zrób to, co musisz, żeby zadowolić audytorów, a potem ich odeślij.

Jennings zacisnął zęby. Taka reakcja była typowa dla Brady'ego. Wielebny scedował operacje finansowe i organizacyjne kościoła na niego, ale kiedy nadszedł czas, by podjąć trudne decyzje związane z kontrolą wydatków, każda linijka w budżecie była święta, była częścią „niezbędnych działań kościoła” lub częścią boskiej „wizji przyszłości”. Jak więc miał zadowolić bankierów, kiedy koszty projektu budowy Wspólnoty New Hope wzrosły o 35 procent ponad budżet, który zwiększali już trzykrotnie — a on miał związane ręce i nie mógł ograniczać kosztów?

Puste fotele wokół były doskonałym przykładem. Krótki lot trzech osób do Little Rock kosztował kościół osiem tysięcy dolarów. Jedna czwarta udziałów w programie własności częściowej odrzutowca dawała im możliwość użycia samolotu w ciągu kilku godzin gdziekolwiek na świecie, ale za jaką cenę! Kiedy Jennings próbował omówić oszczędności wynikające z wybierania lotów komercyjnych zamiast prywatnych, Brady lekceważąco odparł, że bardziej efektywnie zajmuje się pracą w imię Boga w prywatnym samolocie: oszczędza czas, omijając kontrolę biletową, ochronę i taśmy bagażowe. Powiedział również, że przecież prezes banku również nie lata komercyjnie, więc dlaczego on miałby to robić?

Jennings wiedział, że próba nakłonienia szefa do rozmowy o oszczędzaniu pieniędzy była skazana na porażkę. Kościół funkcjonował tylko dlatego, że Brady'emu udawało się bez przerwy zwiększać

jego dochody. Jeśli Brady miał jakąś wyróżniającą się cechę, było to smykałka do zdobywania pieniędzy. Gdyby wielebny nie miał powołania i nie został kaznodzieją, dorobiłby się milionów w świecie biznesu. Brady był urodzonym sprzedawcą, najlepszym, jakiego Jennings znał. Nieważne, czy sprzedawał przypowieść z Biblii, wizję rozwoju kościoła czy swoją książkę — potrafił zarazić swoim entuzjazmem wszystkich wokół. Dwadzieścia lat temu jego charyzma przekonała także Jenningsa. Szkoda, że on sam nie miał takiego wrodzonego talentu.

— Zrozum — nalegał — bankierzy nie patrzą na świat w taki sposób jak my. Jeśli nie uda nam się przynajmniej pokazać wzrostu dochodów innych niż tymczasowy popyt na książkę, czyli albo sprzedaży domów, albo powiększenia się kongregacji, ryzykujemy, że bank całkowicie odetnie nas od dopływu pieniędzy, a możliwe, że przejmie nasz projekt.

— Co? — Brady poczerwieniał na twarzy. — New Hope jest moją wizją, nie banku! Jak w ogóle mogą myśleć, że uda im się zrealizować taki projekt?

— Mogą wcale go nie zrealizować, ale taka perspektywa jakoś nigdy nie powstrzymała pożyczkodawców przed zajęciem obciążonej nieruchomości, kiedy deweloperzy zalegali ze spłatą.

Brady potarł brew.

— Krajowe media jutro nadadzą moje przemówienie, ponieważ od debaty śledzą moje poczynania. Czy to nie pomoże? Jestem w końcu tym, który pokazał światu, że te teksty Jezusa są fałszywką.

Właściwie, pomyślał Jennings, Brady dostał informację o plagiacie popełnionym przez Matthews'a od niego. Już dawno temu przyzwyczał się do tego, że Brady przypisuje sobie jego zasługi, ale jeśli w ten sposób osiągnęli zamierzony cel, nie miał nic przeciwko.

— Dlatego właśnie musisz jutro zabłysnąć. Pokaż, co napisałeś. — Jeśli media pokażą odpowiednio przygotowaną wypowiedź, więcej osób przyjdzie do kościoła, wejdzie na ich stronę internetową oraz do księgarni po książkę Brady'ego. Po debacie odnotowali znaczny wzrost sprzedaży, tak jak przewidywał Jennings, ale wiedział, że taki efekt nie utrzyma się zbyt długo.

— Okej — Brady był rozdrażniony. Podał Jenningsowi notes, a w nim zapiski, które były początkiem przemówienia.

— Nieźle, Brianie — powiedział Jennings, rzuciwszy okiem. — Podoba mi się, że wypowiadasz się krytycznie o tych tak zwanych guru samopomocy, którzy zachęcają ludzi do szukania spokoju we własnym wnętrzu, opierając się na wybranych aspektach wschodnich religii.

Brady przytaknął.

— Prawdziwy pokój można osiągnąć jedynie przyjmując Jezusa Chrystusa jako naszego Pana i Zbawcę, a nie poprzez czerpanie go ze swojego wnętrza. W obecnych czasach ludziom brakuje tej wiedzy.

— Zgadzam się, a gdybyśmy również uderzyli w ich czułe punkty?

Brady podparł głowę na rękę.

— Portfele?

— Dokładnie. — Kryzys ekonomiczny nie tylko wpłynął na sprzedaż domów w New Hope, lecz także zmniejszył wpływy z datków w kościele. Jennings wymyślił, że mogliby te problemy przekuć w zalety. — Jakie są dwa państwa, które mimo kryzysu ekonomicznego w USA i Europie wciąż są na plusie?

— Chiny i Indie, ale to nie są państwa chrześcijańskie.

— O to właśnie chodzi. W swojej książce twierdzisz, że Bóg ukarał Izrael, chociaż Żydzi byli narodem wybranym, pozwalając Rzymowi, pogańskiemu imperium, zniszczyć świątynię w 70 roku naszej ery. Dlaczego? Ponieważ Żydzi odrzucili Jezusa jako Mesjasza. Cóż, pójdźmy o krok dalej.

Chiny i Indie są państwami rządzonymi przez ludzi wyznających pogańskie religie, a mimo to zabierają nam pracę, przejmują nasze interesy w otwieranych tam filiach, przez co przenosimy coraz więcej zakładów produkcyjnych za granicę, co niszczy nasz naród.

Brady'emu zaświeciły się oczy.

— Tak jak napisał Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian, rozdział dziesiąty, wersety od dwudziestego do dwudziestego pierwszego: „Nie możecie pić z kielicha Pana i kielicha demonów; nie możecie zasiadać przy stole Pana i przy stole demonów”.

Jennings uśmiechnął się. Wielebny wciąż dobrze się orientował.

— Mogę wygłosić setkę takich kazań nawet przez sen.

— Twoje przemówienie będzie wspaniałe, Brianie. Po debacie w CNN media będą chciały przekonać się, co masz do powiedzenia.

Jennings zerknął na zegarek. Wkrótce lądują. Myśląc o debacie, przypomniał sobie, że musi wykonać pewien telefon. Oprócz problemów finansowych w New Hope istniała jeszcze jedna rzecz, która mogła pogrzyźć Brady'ego i pozbawić go szans na przejęcie prezydentury w NSE — niespodziewane pojawienie się tekstów, które potępił i uznał za fałszerstwo. Jennings sądził, że publikacja tekstów w Internecie była z jednej strony darem, z drugiej sprawdzianem zesłanym im przez Boga. Jego strategia wykorzystania ich do wywołania kontrowersji, by w ten sposób zachęcić ludzi do kupowania książki Brady'ego, była dokładnie taką reakcją, jakiej oczekiwał Bóg. Ale wola boska zostanie w pełni wypełniona dopiero wtedy, gdy teksty znikną na zawsze, podobnie jak stało się to sto lat temu w przypadku odkrycia dokonanego przez Nikołaja Notowicza.

Rozdział 45

Waranasi, Indie

Kristin poruszyła się i otworzyła oczy. Bolała ją głowa. *Gdzie ja jestem?* Leżała na boku na zakurzonej drewnianej podłodze, z rękami przywiązanymi do krzesła, które uwierało ją na plecach.

Wrócił do niej horror porwania.

Próbowała poruszyć głowę, ale nagły rozbłysk bólu przekonał ją, że powinna pozwolić sobie leżeć na podłodze. *Jak długo byłam nieprzytomna?* W pomieszczeniu nie znalazła okna wychodzącego na zewnątrz, nie wiedziała więc, czy jest dzień, czy noc. Zamrugła, patrząc na gołą żarówkę na suficie. Kiedy oczy odzyskały ostrość i zarejestrowały szczegóły otoczenia, uświadomiła sobie, że nie leży już przy drzwiach do mieszkania, tam gdzie upadła. Porywacz musiał ją zaciągnąć z powrotem na środek pokoju. Z ulgą zauważyła także, że wciąż miała na sobie spodnie. Koszula była rozchełstana i widać jej było stanik, ale on też znajdował się na swoim miejscu.

Ból głowy promieniował od szczęki. Z trudem przypomniała sobie cios pięścią, po którym zemdląca. Próbowała otworzyć usta, zastanawiając się, czy ma złamaną kość, ale od razu uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku. Poczula jakiś stęchły smak, a jej język wydawał się nabrzmiaty jak balon. Po chwili uświadomiła sobie, że to nie spuchnięty język, tylko jej usta zostały wypchane jakąś szmatą. Próbowała ją wypluć, ale nie mogła.

Została zakneblowana. Nagle poczuła, że się dusi. Zmusiła się do oddychania nosem. Nie zamierzała umrzeć przez uduszenie.

Zatoki były odblokowane. Mogła oddychać. *Uspokój się i oddychaj*, powiedziała sobie.

— Jestem w Waranasi — dotarł do niej stłumiony głos. — Mam dziewczynę.

Nie chcąc poruszać obolałą głową, skierowała wzrok w tamtą stronę i zobaczyła, że napastnik siedzi na łóżku w drugim pokoju. Był odwrócony do niej plecami i rozmawiał przez telefon komórkowy.

— Nie martw się tym. Nie musisz znać szczegółów. Po prostu daj mi to, czego potrzebuję, a ja się wszystkim zajmę.

Wyczuł, że się ocknęła, bo obrócił się w jej stronę. Jego nos wciąż był przekrzywiony, ale już tak jak po jej kopnięciu. Musiał go sobie nastawić. Obie dziurki miał wypchane papierową chusteczką, której pokrwawione końce wystawały na zewnątrz. Przerwał rozmowę i uśmiechnął się do niej uśmiechem drapieżcy.

— Oddzwonię później — powiedział i rozłączył się. Następnie położył nogi na łóżku i zaczął rozwiązywać sznurowadła i zdejmować czarne wysokie buty. Następnie rozpiął pasek.

Kristin patrzyła na potwora, wiedząc, że nie może zrobić nic, by nie dopuścić do wykorzystania jej. Wtem usłyszała jakiś głos. Nie dochodził z pokoju, ale gdzieś z jej wnętrza, niczym słaby płomień migoczący na końcu ciemnej jaskini.

To tylko twoje ciało. To nie ty. Mówił miękki głos jej siostry, za którą tak bardzo tęskniła.

Mimo pulsującego bólu w szczęce i głowie Kristin doszła do prostego wniosku, że ten człowiek nic jej nie może zrobić. Może ją zgwałcić, może ją nawet potem zabić, ale nie odbierze jej czegoś głębszego, czegoś, co należy tylko do niej. Przypomniała sobie słowa Deepraja i widok jednego płomienia świecy na ich stoliku, małego płomienia, który, jak teraz zrozumiała, płonął również w jej ciele. Cokolwiek się stanie, pozostanie tylko dla niej. Świadomość tego przyniosła niespodziewany efekt. Leżąc na podłodze i patrząc na mężczyznę zdejmującego spodnie, Kristin poczuła spokój wydobywający się z jej wnętrza. Zaczęła wolniej oddychać. Powietrze powoli przechodziło przez jej nozdrza, wypełniało płuca i rozniecało maleńki płomień w jej wnętrzu.

Nephesh, pomyślała. Boskie tchnienie.

Nadal czuła fizyczny ból. Strach przed tym, co ją czekało, przyczyniał się do produkcji adrenaliny, która krążyła w jej żyłach, ale teraz mogła przyglądać się wszystkiemu z zewnątrz. Uczucia zostały wytłumione, jakby ktoś ściszył dźwięk w głośno grającej wieży stereo, do poziomu, na którym pojawiała się świadomość, że za dźwiękiem jest cisza; spokój, który hałas może jedynie maskować, lecz nigdy go nie dopadnie.

Ból w jej ciele był teraz zaledwie echem w porównaniu z tym, co czuła przed chwilą, więc podwinęła nogi pod siebie i podniosła się, opierając na kolanach. Zboczeniec na łóżku przez chwilę wyglądał na zaskoczonego. Szybko pozbył się spodni, jakby nie chciał zostać zaskoczony i zaplątać się w ubranie, gdyby znowu spróbowała uciekać. Jednak Kristin tylko wstała, po czym usiadła na krześle. Przez chwilę zastanawiała się, czy stary mebel wytrzyma jej ciężar, bo chwiało się i skrzypiało.

Mężczyzna patrzył na nią z nieudawanym zaciekawieniem. Wytrzymała jego spojrzenie, nie pokazując złości ani strachu.

Nie podszedł do niej od razu. Przechylił głowę, jakby poczuł się zaintrygowany. Gdy tak patrzyli na siebie, żarówka na suficie dwa razy zamrugnęła. *Te ciągle spadki napięcia w Waranasi*, pomyślała.

Porywacz popatrzył na sufit, po czym podniósł się z łóżka. Na jego twarzy znowu pojawił się drwiący uśmiech.

Ciemność zalała pokój.

* * *

— M-i-s-a-k-i! — Grant po raz trzeci przeliterował nazwisko w obecności dwóch policjantów, w korytarzu przed gabinetem Deepraja.

— Pana żona? — zapytał ten niższy, który wyglądał, jakby dopiero niedawno zaczął się golić.

— Nie, nie jest moją żoną, tylko... dziewczyną. — Chodził po pustym korytarzu, a jego kroki odbijały się echem od gipsowych ścian. Niemal wykończył go wstrząs związany z odnalezieniem zamordowanego Deepraja oraz długiej na cztery stopy kobry zwiniętej pod biurkiem profesora. Od razu wiedział, że to sprawka człowieka z Agry. Wciąż ich śledził. Niestety, Grant nie miał czasu, by użalać się nad śmiercią przemilego profesora, ponieważ ze strachem uświadomił sobie, że zniknęła Kristin. Zadzwoił na policję, korzystając z telefonu w pokoju wypoczynkowym. Funkcjonariusze przybyli szybko, ale jak tylko zobaczyli węża, zamknęli drzwi do gabinetu Deepraja i wezwali wsparcie.

— Kiedy ostatnio pan ją widział? — zapytał starszy z oficerów, w niedopasowanej niebieskiej marynarce.

— Jakieś dwie godziny temu, kiedy podrzuciłem ją na miejsce.

— Czy wtedy profesor jeszcze żył? — Długopis zawisł nad kartką notesu.

— Wysadziłem ją przed budynkiem i wróciłem do hotelu. — Grant załamywał ręce. Powinni wysłać ekipę poszukiwawczą, by przeczesała teren, a nie stać i gadać. Starszy oficer wciąż na niego patrzył. — Zaraz, zaraz... Mam nadzieję, że nie sugeruje mi pan, że Kristin mogła mieć coś wspólnego z jego śmiercią!

— Niczego nie sugeruję. Po prostu zbieram informacje. — Zapisał coś w notesie. — Pokłócili się ostatnio?

Grant wznosił ręce do nieba.

— Nie! Byli sobie bliscy. Wczoraj razem zjedliśmy kolację. Deepraj nam pomagał.

— Gdzie, pana zdaniem, mogła pójść?

Grant oparł ręce na biodrach i wypuścił powietrze z płuc, by się opanować i nie zacząć wrzeszczeć na policjantów.

— Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć z waszą pomocą. Została uprowadzona. Przez tego samego człowieka, który... — wskazał na zamknięte drzwi gabinetu — i tego samego, który zamordował jednego z naszych przyjaciół w Agrze! — Już dwa razy im opowiedział, co wydarzyło się w Tadź Mahal.

— Sprawdzimy to. Ale teraz naszym problemem jest to, że jeden z uznanych profesorów został znaleziony martwy w swoim gabinecie w podejrzanych okolicznościach.

— Podejrzanych okolicznościach! Słuchaliście tego, co mówiłem? — Zaczerpnął powietrza i spróbował ponownie: — Jeśli chcecie znaleźć człowieka, który to zrobił, musicie znaleźć Kristin.

Młodszy z nich poklepał swojego przełożonego w ramię.

— Skoro czekamy na wsparcie, mogę odwiedzić go do hotelu. Będziemy na miejscu, gdyby ta kobieta wróciła.

Grant patrzył raz na jednego, raz na drugiego, jakby oglądał kiepską komedię. Siedzenie w miejscu, czy to w budynku uniwersyteckim, czy to w hotelu, nie pomoże odnaleźć Kristin. Całym sercem chciał jej pomóc. Na własne oczy widział, co ten człowiek zrobił Raziemu i Deeprajowi. Z trudem powstrzymywał się od myśli, co być może przechodzi Kristin. Ale gdzie w ogóle zacząć jej szukać w tym zatłoczonym mieście? Poczul żółć podchodzącą do gardła, więc przełknął ślinę. *Dlaczego pozwoliłem jej iść samej?*

Wtem zamrugały jarzeniówki na korytarzu. Wszyscy trzej spojrzeli w górę. Kolejny spadek napięcia. Górne lampy się wyłączyły, ale rozbłysły światła awaryjne na końcu korytarza, przy klatce schodowej. Silne światło z żarówek halogenowych rzucało ostre jak sztylet cienie na drewnianą podłogę. Grant poczuł ogromny niepokój.

* * *

Tym razem światło się nie wyłączyło. Kristin nic nie widziała.

Niewiele myśląc, poderwała się na nogi. Biegła tak szybko jak mogła, z krzesłem na plecach, ale nie starała się dobiec do drzwi. Rzuciła się w stronę przeciwległej ściany. Porywacz zareagował sekundę później.

Chyba wyczuł, że znowu będzie próbowała uciec, ponieważ słyszała, jak krzyczy od strony drzwi: „Chodź tu, suko!”.

Kristin uderzyła w ścianę z wielką siłą, obracając tułów na chwilę przed spodziewanym

zderzeniem. Nie widziała ściany, ale wiedziała, że jest już blisko niej. W pokoju dał się słyszeć głośny trzask. Krzesło rozpadło się, kawałki spadły na podłogę.

— Co? — mężczyzna był zaskoczony.

Uwolniony się z krępującego ruchu siedziska, Kristin kucnęła i w ciemności obmacywała podłogę, dopóki jej ręka nie natknęła się na nogę od krzesła. Do dłoni nadal miała przyklejone kawałki drewna długości stopy, ale one już nie ograniczały jej ruchów. Ignorując ból pleców, wstała, trzymając swoją broń w prawej ręce, lewą wyrwała knebel z ust i zaczęła poruszać się po obwodzie pokoju, trzymając się przy ścianie, a prawą dłoń, uzbrojoną w nogę od krzesła, uniosła nad głowę.

Zza pleców dobiegły ją odgłosy potykającego się o resztki krzesła napastnika. Był szybki. Kristin odwróciła się. Wyteżęła wzrok w ciemnościach, ale było zupełnie ciemno. Instykt podpowiedział jej, żeby zasłoniła twarz lewą ręką. Odsunęła się, ale stała przodem do miejsca, skąd spodziewała się nieuchronnego ataku.

Coś ostrego, metalowego dotknęło jej kręgosłupa.

Zmroziło ją.

Przypomniała sobie komandoski nóż. Przesunęła ciężar ciała w lewo, przygotowując się do zamachu swoją bronią w stronę, skąd nadeszło nowe zagrożenie. Ostra krawędź poruszyła się z nią i teraz dotykała jej pleców. To nie był nóż przeciwnika, lecz drzwi do łazienki.

Zanim zdążyła odczuć ulgę, nastąpił właściwy atak. Raczej wyczuła niż zobaczyła szybki ruch przed sobą. Ciągłe osłaniała twarz lewą ręką, a prawą, uzbrojoną w nogę od krzesła, trzymała nad głową. Usłyszała, jak metal uderza w drewno i jednocześnie aż w kościach poczuła wibracje idące od poręczy, którą miała przyklejoną do ręki. Zaatakował ją nożem.

Nie mogła pozwolić, by lepiej wycelował. Zamachnęła się nogą od krzesła, jakby serwowała, próbując zdobyć zwycięstwo w meczu tenisowym. Zabolało, gdy drewniana pałka z trzaskiem opadała gdzieś na jego ciało. Usłyszała wycie tuż przed sobą. Miała świadomość, że powinna zwiększyć swoją przewagę.

Pewniej chwyciła nogę od krzesła, tym razem oburącz, i wzięła zamach zza pleców, wkładając weń całą siłę, jaką miała. Kiedy grała w tenisa, odbijała piłeczkę tysiące razy, więc jej backhand był bardzo silny. Tak jak ją uczono, zamachnęła się całym ciałem, celując w miejsce, skąd dochodził krzyk. Trener uczył ją, by nie patrzyła na nic innego jak tylko na miejsce, gdzie powinna upaść piłeczka, gdy zdobywała punkt, nieważne co się działo podczas poprzednich zagrywek. W tej chwili Kristin nie widziała nic innego, tylko stojący przed nią w ciemności cel.

Drewniana noga uderzyła w coś z obrzydliwym chrupnięciem. Tym razem porywacz nawet nie zawył, jedynym dźwiękiem był łomot walącego się na podłogę ciała. Kristin stała w ciemności, słysząc tylko własne sapanie. Rzuciła się w stronę drzwi.

Uderzyła o ścianę, zaczęła zmagać się z zamkami. Szaleńczo szarpała gładką klamkę, zasuwkę, a następnie zdjęła łańcuch, który przeszkodził jej w poprzedniej próbie ucieczki.

Otworzyła drzwi, wpuszczając do środka chłodne wieczorne powietrze niosące ze sobą cierpki zapach miasta. Umocowana na zewnętrznej ścianie budynku gazowa lampa oświetlała wąską uliczkę mrugającym żółtym światłem. Alejka była pusta.

Grant. Musiała dotrzeć do Granta.

Wybiegła przez drzwi ku wolności. Jednak będąc już na zewnątrz, nie mogła się oprzeć i zerknęła na mieszkanie, które zostało za nią. Gazowa latarnia rzucała blade światło na pokój. Porywacz leżał bez ruchu na brudnej drewnianej podłodze, miał otwarte usta, z których wystawała noga od krzesła. Ciemna kałuża krwi rozlewała się wokół jego głowy.

O, Boże, pomyślała Kristin, zabiłam go.

Biegła tak szybko, jak niosły ją nogi. Domyśliła się, że ten labirynt wąskich uliczek znajduje się w Starym Waranasi. Jeśli będzie podążać w jednym kierunku, dotrze albo do rzeki, albo do głównej drogi na skraju starej części miasta. W obu przypadkach będzie mogła odnaleźć drogę do hotelu, który znajdował się w odległości mili czy dwóch od centrum miasta. Nie przejmowała się zaskoczonymi spojrzeniami sklepikarzy, przechodniów i pielgrzymów. W mieście, gdzie o miejsce na ulicach walczyli żebracy bez kończyn, martwe ciała i zbłąkane bydło, widok posiniaczonej, pobitej Amerykanki o azjatyckich rysach, biegnącej w rozchełstanej koszuli, z drewnianymi podramiennikami przymocowanymi taśmą do rąk dla nikogo nie mógł być zbyt wielkim szokiem.

Kiedy wreszcie po dwudziestu minutach wpadła przez drzwi hotelu Taj Ganges, pierwszym człowiekiem, którego zobaczyła, był Grant stojący przy recepcji i rozmawiający z niskim umundurowanym policjantem oraz kierownikiem hotelu.

* * *

Grant wrócił do hotelu z młodszym oficerem. Miał cień nadziei, że Kristin będzie tam na niego czekała, ale jej nie było. Wyjaśnił policjantowi i kierownikowi hotelu, że potrzebuje kierowcy, który zabierze go do miasta, żeby mógł poszukać jakichś śladów. Miał jej zdjęcie w laptopie, mógł wydrukować je w biurze hotelowym, ale kierownik wyjaśnił, że kiedy nie ma prądu, generator hotelowy zapewnia jedynie oświetlenie.

Przy wejściu zrobiło się jakieś zamieszanie i Grant się odwrócił.

Widok zadziałał na niego jak zastrzyk adrenaliny prosto w serce.

— Kris!

Biegła po marmurowej podłodze, aż wpadła w jego ramiona.

— Co się stało? — Do rąk miała przyklejone kawałki drewna. — Wszystko z tobą w porządku? — Trzęsącą się ręką uniósł jej twarz, zatopioną w jego ramieniu. Z jednej strony była spuchnięta i posiniaczona. Spytał cicho, prawie szeptem: — Co on ci zrobił?

Powtarzał to pytanie bez końca, jakby jego własny głos mógł sprawić, że usłyszy pokrzepiającą odpowiedź. Ale zamiast odpowiedzieć, Kristin tylko mocniej się przytuliła. Grant miał świadomość, że inni ludzie przyglądają się dziwacznej scenie w hotelowym lobby, ale w ogóle się tym nie przejmował. Jego zmysły skupiły się na Kristin. Położył ręce na jej gładkiej skórze pleców, wilgotnej od potu, wdychał zapach jej włosów, czuł jej oddech na swojej szyi.

Potem delikatnie ujął jej ręce i ostrożnie zdjął taśmę klejącą i kawałki drewna z jej przedramion.

— Kris — powtórzył — mów do mnie.

Nie przerywając milczenia, pokręciła głową i głęboko go pocałowała.

Część trzecia

OGIEN

„Gdy wasi przywódcy powiedzą wam: «to królestwo jest w niebie», wtedy ptaki niebieskie będą pierwsze przed wami. Gdy powiedzą wam, że ono jest w morzu, wtedy ryby będą pierwsze przed wami. Ale królestwo jest tym, co jest w was, i tym, co jest poza wami. Skoro poznacie samych siebie, wtedy będziecie poznani i będziecie wiedzieć, że jesteście synami Ojca żywego”.

Jezus, Ewangelia Tomasza^[6]
I-II w. n.e.

„Ten, kto medytuje i współczuje,
Może na własne oczy zobaczyć Brahme,
Porozmawiać z nim i zadać mu pytania”.

Budda, *Digha Nikaya, Sutta Pitaka*
II-III w. p.n.e.

[6] Tłumaczenie powstało w Zakładzie Egiptologii Uniwersytetu Warszawskiego z koptyjskiego oryginału: *Evangelium nach Thomas*. Wyd. A. Guillaumont, H.Ch. Puech, G. Quispel, W. Till, Yassah abd al. Masih. Leiden 1959. Opublikowano w: *Apokryfy Nowego Testamentu*, red. M. Starowiejski, t. 1, TN KUL Lublin 1986, s. 123-133.

Rozdział 46

Północne Himalaje, Indie

Dwa tysiące lat temu

Issa patrzył na księżyc; ciemną tarczę rozświetlał jedynie słaby blask widoczny na jej obwodzie. Issa siedział na wilgotnych liściach w górskim lesie, przez który wędrował od czterdziestu dni, czyli odkąd wyruszył z miasta przy świętej rzece. Był głodny. Zanim opuścił miasto, spakował chleb i bukłak wina. Nie spodziewał się, że jego wędrówka potrwa tak długo. Na swojej drodze napotkał kilka mnisich obozowisk, a mnisi hojnie podzielili się z nim jedzeniem; tym razem jednak wiedział, że jeśli szybko nie dotrze do jakiegoś miasta, umrze z głodu.

Ciaśniej owinął się peleryną. Wiatr, *ruah*, świstał w baldachimie z sosnowych igieł, jak krążący nad nim duch. Rozglądając się wokół, przy słabym świetle gwiazd, Issa wyczuł, że las jest zupełnie inny w nocy niż w dzień. Czuł, że pulsuje życiem, obecnością roślin i zwierząt poruszających się w ciemności.

Wiedział, że przełom jest tuż-tuż, że wkrótce zrozumie to, co umykało rabinom, odkryje coś, co usprawiedliwi jego podróż oraz trudności, jakie musiał znosić. Czasami, kiedy praktykował techniki, których nauczył się nad rzeką, zaczynał coś pojmwować — odczuwał to jak migotanie płomienia świecy widocznego po drugiej stronie skąpanego w ciemności pola. Światelko było jednak zawsze za daleko. Kiedy już myślał, że jest blisko, przeszkadzały mu własne myśli, przeskakujące z jednego błahego tematu na drugi. Jego nauczyciel nazywał to małpimi myślami.

Issa przypomniał sobie lekcje, jakich udzielił mu nauczyciel zaraz po jego przybyciu do miasta nad świętą rzeką. „Więc atman to moja dusza?”, zapytał go.

— Pierwotnie słowo *atman* oznaczało oddech, ale obecnie używamy go, mówiąc o sile, która niesie życie i ożywia nasze czyny — odpowiedział nauczyciel, przypominając Issie lekcje, jakie w domu pobierał od rabinów.

— W języku pisma nazywamy je *nephesh*.

— Twój atman mieszka głęboko w tobie, jest wieczny i niezmienny. Ale ważniejsze jest uświadomienie sobie, że atman głęboko w tobie zawiera również światło Brahman.

Issa zastanawiał się nad dziwnym poglądem, że częśćka Boga, czy Brahman, jak nazywali go ludzie żyjący w tamtej krainie, była obecna w każdym żywym stworzeniu.

— Jeśli Bóg jest czymś więcej niż tylko stwórcą i opiekunem świata, jeżeli jest również częścią istniejącego tu życia, dlaczego wciąż nie odkryłem jego obecności w sobie? — zapytał. Zanim nauczyciel zdążył odpowiedzieć, dodał: — Poza tym, skoro Bóg mieszka w każdym stworzeniu, dlaczego jesteśmy świadkami śmierci i choroby?

— To, że potrafisz rozmawiać o Bogu, nie oznacza, że go rozumiesz — odpowiedział rozbawiony nauczyciel. — Twój atman jest ukryty głęboko pod warstwami tego, co uważasz za własne ja:

w twoich myślach, osobowości, emocjach, wspomnieniach. Ty, synu, jesteś dzieckiem Boga. Po prostu jeszcze tego nie dostrzegasz.

— Ale jak to jest możliwe?

Nauczyciel rozważał coś przez chwilę, po czym wskazał na wspaniałe drzewo rosnące pięćdziesiąt kroków od brzegu rzeki.

— Przynieś mi owoc z drzewa banianu.

— Owoce? Nie rozumiem.

— Wiem. — Nauczyciel ponownie wskazał drzewo.

Issa wstał i zbiegł na brzeg do samotnego drzewa, którego gałęzie rozciągały się na długość całej polany, a poskręcane korzenie wyrastały z wysokich konarów i sięgały ziemi niczym powykrzywiane ręce grzebiące w glebie. Issa stanął na palcach i sięgnął po jeden z nisko wiszących owoców. Zerwał go i przyjrzał się twardej pomarszczonej kulce. Miała ciemnopomarańczowy kolor i żadnego zapachu.

Zaniósł ją nauczycielowi.

— Zobacz, co ma w środku.

Issa rozerwał owoc. Włóknisty miąższ przywarł do jego palców.

— Teraz otwórz pestkę.

Pestki były bardzo małe, a sok owocu sprawiał, że były też śliskie. Po kilku próbach Issa chwycił jedną paznokciami i przełamał na pół.

— Co widzisz?

— Nic — wzruszył ramionami.

— Właśnie!

Issa nie próbował ukryć zaskoczenia.

Guru wskazał na rozdwojoną pestkę.

— Z tego niczego, którego nie możesz zobaczyć, wyrośnie potężne drzewo. To, czego nie widzisz w tej pestce, istnieje również w tobie. Dzięki temu istnieje wszechświat wokół ciebie.

— Jeśli tego nie widzę, to skąd wiem, że to tam jest?

— Wieczny i nieskończony Bóg nie może być do końca zrozumiany, ale ty możesz bezpośrednio dotknąć i doświadczyć swojego istnienia. Dopiero kiedy pojmiesz własną naturę, uda ci się zrozumieć Boga.

Kiedy wspomnienie nauczyciela ulotniło się, Issa oparł się plecami o pień sosny. Zamknął oczy i głęboko odetchnął. Jego nozdrza wypełnił aromat wilgotnej ziemi. Issa pozwolił mu przeniknąć do płuc. Stracił poczucie czasu, był odprężony, ale nie chciało mu się spać. Wtedy pojawiło się migotanie. Drżący płomień był niewielki, ale nieprzerwany. Tym razem Issa nie próbował dotrzeć do niego, po prostu pozwolił mu świecić.

Nagle zrozumiał. Zrozumiał, że prawda nie kryła się w tekstach religijnych, które studiował — w Torze czy w Wedach. Nie posiadli jej również nauczyciele — guru mieszkający na tej ziemi i rabini w jego ojczyźnie. Znajdowała się głęboko w nim oraz poza nim. Wcześniej nie wiedział, gdzie jej szukać.

Wypełniła go energia niepodobna do niczego, czego wcześniej doświadczył. Z każdym oddechem czuł, że płomień świecy zmienia się w silny ogień.

Rozdział 47

Paro, Bhutan

Grant zacisnął palce na szyi mężczyzny.

Czerwona, łuszcząca się skóra na twarzy człowieka, który porwał Kristin, strzelił do Jigme i zabił Deepraja i Razięgo, przybrała jeszcze okropniejszy odcień purpury, gdy wysączało się z niego życie. Poczucie mocy płynące od ramion było tak uzależniające, jak narkotyk.

— Panie i panowie, mówi kapitan.

Grant otworzył oczy. Jasne światła kabiny samolotu rozproszyły senne mary. Ucisk w piersi zastąpił poczucie siły w rękach. Wymierzenie sprawiedliwości temu człowiekowi leżało jedynie w sferze marzeń, bo rzeczywistość była taka, że kiedy nastąpił atak na Kristin, Grant siedział bezradnie w pokoju hotelowym, podobnie jak wówczas, gdy leżał na ziemi w chwili, kiedy został postrzelony Jigme.

Pilot lotu 203 Druk Air mówił przez interkom z typowym dla wyższych sfer brytyjskim akcentem.

— Po lewej stronie samolotu zobaczą państwo Mount Everest, najwyższy punkt na ziemi wznoszący się na wysokość dwudziestu dziewięciu tysięcy trzydziestu pięciu stóp. Obok Everestu widoczny jest szczyt Lhotse.

Grant wyjrzał przez okno i spojrzał na łańcuch górski rozciągający się nieco poniżej. Z New Delhi wyruszyli rano. Grant zarezerwował bilety dwa dni wcześniej, tuż przed tym, jak dowiedział się, że Deepraj został zamordowany, a Kristin uprowadzona. Zastanawiał się, czy w ogóle uda im się odbyć tę podróż, ale przesłuchania na policji trwały tak samo krótko, jak w Agrze. Funkcjonariusze wydawali się szczęśliwi, gdy dowiedzieli się, że Grant i Kristin wyjeżdżają z ich kraju. Teraz mieli już za sobą międzylądowanie w Katmandu w Nepalu, gdzie wsiadali nowi pasażerowie, i byli w drodze do Paro w Bhutanie. Na wysokości lotu pokryte śniegiem szczyty wydawały się leżeć równolegle do skrzydeł samolotu. Pułap chmur znajdował się tysiące stóp pod nimi, zakrywając ziemię, ale najwyższe góry świata wystające ponad nim, były dobrze widoczne.

— Która? — zapytała Kristin. Pochyliła się nad kolanami Granta, by wyrzeć przez okno. Starał się nie gapić na fioletowego siniaka na jej szczęce.

— Tamta. Przed skrzydłem. — Wskazał górę o kształcie piramidy, stromą, czarną skałę z jednej strony, z błyszczącym białym śniegiem pokrywającym pozostałe połacie.

— Wspaniała. — Przystawiła aparat do pleksi i zrobiła serię zdjęć.

Niespodziewanie emocje związane z widokiem najwyższej góry na świecie zastąpiły fantazje Granta dotyczące odwetu i wspomnienie bezsilności. Myśl o siłach natury, które stworzyły tę górę miliardy lat temu, pozwoliła mu spojrzeć z innej perspektywy na ich zmagania. Patrząc na smugę śniegu unoszącą się znad wierzchołka Everestu, pomyślał o mężczyznach i kobietach, którzy pokonywali fizyczne i psychiczne wyczerpanie, by dotrzeć na szczyt, oraz o tych, którzy zginęli,

próbując tego dokonać.

— Sądysz, że będzie na nas czekał? — spytała Kristin.

— Jigme w ostatnim mailu napisał, że spotka się z nami przy taśmie bagażowej.

— Nie pytam o Jigme.

Jedno spojrzenie na jej zmarszczone czoło i zaciśnięte usta sprawiło, że wiedział, iż źle ją zrozumiał i nie chodziło jej o tę osobę.

— Nie wiem, jak miałyby to zrobić — powiedział i ujął jej rękę. — Wykasowałem z komputera programy szpiegujące, więc nie może nas już namierzyć.

— Nie wiem, co mu powiedziałam, gdy byłem pod wpływem narkotyku.

Granta również to niepokoiło, ale nie chciał, żeby o tym wiedziała.

— To był jedyny lot z Indii do Bhutanu. Jazda pociągiem zajmie znacznie więcej czasu. I sama wiesz, jak trudno dostać wizę. — *Ale*, pomyślał, jak tylko wypowiedział te słowa, *ten szalenciec w śledzeniu nas dotychczas był bardzo wytrwały*.

— Uderzyłam go tak mocno, leżał tam i... wyglądał... jakby nie żył.

— Pewnie się gdzieś zaszył, żeby wylizać rany.

— Nie jestem tego taka pewna. To nie jest tego rodzaju człowiek. Zachowywał się jak walczący pitbull. Te zwierzęta nie poddają się, póki nie padną.

Grant ścisnął jej dłoń.

— Jeśli chcesz zostać jutro w hotelu, gdy ja z Jigme wybierzemy się do klasztoru Tygrysie Gniazdo, nikt nie będzie miał ci tego za złe.

Bez wahania pokręciła głową.

— Nie dam się zastraszyć. Nie pozwolę, by odniósł nade mną zwycięstwo.

— Nie spodziewałem się, że zostaniesz. — Chociaż siniak ciągnący się od dolnej wargi aż pod oko wciąż był spuchnięty, odniesiona kontuzja nie zmniejszyła determinacji Kristin ani nie wpłynęła na jej urodę.

Owszem, zmieniła się w ciągu tych kilku godzin, kiedy była zakładniczką, ale Grant nie umiał sprecyzować, na czym polegała zmiana. Z początku sądził, że Kristin po prostu zyskała siłę płynącą z faktu, że wymknęła się śmierci, ale potem przypomniał sobie, że pewność siebie była jedną z cech, które pociągały go w niej od samego początku.

Obserwując ją — przerażoną, a jednocześnie spokojną, lękliwą, ale zdeterminowaną, posiniaczoną, ale piękną — odkrył coś, co było tak jasne, jak ośnieżone szczyty gór odbijające słońce za oknem. Powoli wypuścił powietrze z płuc, mając nadzieję, że to pomoże zrzucić ciężar, który czuł w piersiach.

Był zakochany w Kristin.

* * *

Bolały go nogi.

Na domiar złego, za każdym razem gdy wdychał rozrzedzone górskie powietrze, zimno sprawiało, że odczuwał ból dziąseł. Chociaż starał się nad tym panować, jego język ciągle dotykał gładkiej luki w samym środku dolnej szczęki, gdzie brakowało trzech zębów. Na szczęście, trafiła nisko. Cios w szczękę pozbawił go przytomności, ale Tim przynajmniej przeżył. Gdyby ta suka uderzyła go z taką siłą w oczy lub czoło, byłby ślepy lub martwy.

Versed zadziałał dokładnie tak, jak chciał Tim, tym bardziej że zmniejszył jego dawkę, mając

doświadczenie z akcji w Agrze. Była zamroczona, kiedy wypytał ją o miejsce ukrycia tekstów. Chociaż przez prawie godzinę próbował zrozumieć jej bełkotanie spowodowane działaniem narkotyku, dowiedział się, gdzie wkrótce powinien się udać.

Wspinając się górskim szlakiem i z bólem szczęki, żałował, że nie może oddychać przez złamany nos. Z posiniaczoną twarzą i bez kilku zębów, Tim miał świadomość, że beznadziejnie się prezentuje. Ale zmyślona historyjka, którą opowiedział wczoraj po przylocie do Bhutanu — wypadek rikszy w Indiach — sprawiła, że ludzie na przejściu granicznym i w hotelu, którzy wiedzieli, jak jeździ się w Indiach, tylko kiwali głowami ze współczuciem. Poza tym, nie byłoby podejrzliwi w stosunku do takiego ważnego biznesmena jak on. Na lotnisko w Paro nieczęsto przylatywały prywatne samoloty. W tym małym, biednym kraju człowiek posiadający samolot był jak postać z filmu.

Telefon, który wykonał Tim, gdy odzyskał przytomność, był bardziej bolesny niż cios w twarz.

— Nastąpiły komplikacje — powiedział, starając się rozmawiać normalnie, chociaż miał powtykane chusteczki w miejsca, gdzie stracił zęby.

— Nie możemy sobie pozwolić na żadne komplikacje! — głos z drugiego końca świata docierał nawet zbyt wyraźnie, gdy Tim kulejąc, wyszedł na zewnątrz i oddalał się od mieszkania ciemną alejką.

— Wiem, ale dziewczyna uciekła i teraz na pewno rozmawia z policją. — Tim nie mógł sobie pozwolić na owijanie w bawełnę. Ścigał się z czasem.

— Myślałem, że jesteś wyszkolonym profesjonalistą! Jak to się stało, że studencik i dziennikarka cię przechytrzyli?

Uszczypliwa uwaga zaboląła go tak bardzo jak cios, który przyjął na twarz. Ale miał przeczucie, że to on będzie miał ostatnie słowo. Bóg był po jego stronie. Te teksty były dziełem Szatana. Jego wydalenie z wojska, kłopoty w pracy, osobiste demony — nic nie będzie miało znaczenia, gdy dostanie te teksty. *Jestem częścią boskiego planu większego niż moje cierpienia*, pomyślał, *większego nawet niż sam wielebny*. Jakkolwiek by było, miał teraz przewagę. Wiedział, gdzie są teksty.

— Będę potrzebował samolotu — powiedział. — Mogę ich wyprzedzić. — Następnie wyjaśnił, że w ciągu tygodnia do Bhutanu lata zaledwie kilka samolotów, a on z pewnością będzie poszukiwany przez władze. Lot wycarterowanym samolotem dawał mu możliwość ukończenia misji.

Aż musiał odsunąć telefon od ucha, gdy głos po drugiej stronie linii zaczął na niego krzyczeć, jak w ogóle mógł doprowadzić do takiej sytuacji, a następnie wyliczać koszty i ryzyko związane z wycarterowaniem samolotu.

— Chcecie te teksty czy nie?

Po długiej minucie ciszy, mężczyzna odpowiedział:

— Jeśli nie dotrzesz do nich pierwszy, będę skończony. — Po czym szybko dodał: — A wiara milionów zostanie nadwerężona przez twój brak kompetencji.

Zgodził się jednak spełnić ekstrawagancką prośbę Tima. Na szczęście Tim przewidział, że może mu się przydać wiza, i ubiegał się o nią odpowiednio wcześniej. Czekala na niego w konsulacie w New Delhi. Będzie o krok przed Grantem Matthewsem. Tym razem mu się uda.

Pokonywał strome podejście, krocząc za bhutańskim przewodnikiem, którego wynajął w hotelu. Chociaż wzniesienie znajdowało się poniżej dziewięciu tysięcy stóp, więc jak na Himalaje nie było zbyt wysokie, to jednak odczuwał działanie wysokości. Zatrzymał się na chwilę, położył dłoń na grafitowej bluzie, którą przewiązał się w pasie, i napił się wody z butelki. Gdy rano zaczęli marsz, idąc pod drzewami, było im zimno; teraz, gdy znaleźli się w połowie wysokości góry, zrobiło się ciepłe. Tim był przyzwyczajony do chodzenia przez cały dzień po lasach Alabamy, ale tutaj szedł

dopiero od dwóch godzin i praktycznie sapał ze zmęczenia.

— Na górze jest kafejka — powiedział bhutański przewodnik, wskazując gdzieś w stronę wysokich sosen. — Tam odpocząć i zjeść. Zrobić też dobre zdjęcia Taktshang Goemba.

Tim skinął głową w stronę przewodnika, który był ubrany w coś, co Tim uznał za zabawne połączenie szkockiego kiltu i szlafroka — nazywali to *gho*. Nagle zauważył słabo widoczny, wąski szlak, który prowadził gdzieś w prawo i znikał w zaroślach.

— Dokąd prowadzi? — aż się wzdrygnął, gdy usłyszał, jak słowa świszczą mu przez lukę w uzębieniu. *Co za suka*, pomyślał po raz setny.

— Do podnóża góry.

— Dlaczego, do cholery, nie idziemy tym szlakiem? — Ta druga ścieżka zdawała się prowadzić bezpośrednio do celu i nie trawersowała zbocza jak ta, którą szli.

— Zbyt niebezpieczna dla turystów. Bardzo stroma. Nie wytrzymasz dziesięciu minut. Poślizgnąć się i spaść na dół.

— Bzdura — powiedział Tim, zastanawiając się, dlaczego nie wynajęli mu przewodnika, który poprawnie mówiłby po angielsku. — Ktoś z niego korzysta. — Sam chadzał ścieżkami jeleni, gdy polował, umiał więc rozpoznać używaną drogę.

— Młodszy mnisi używać, kiedy się spieszą.

— O ile szybciej się nią idzie?

— O połowę, jeśli nie spadniesz.

Tim jeszcze raz zmierzył wzrokiem szlak, po czym ruszył w stronę kolejnego zakrętu. Pylista ścieżka przed nimi dochodziła do małej polany, na której stała kafejka. Wkrótce przekonał się, że bhutańskie określenie „kafeteria”, którym się posługiwali, określało różnego rodzaju bary i restauracje, chociaż nawet „bar” był zbyt wyszukany terminem na opisanie tego miejsca składającego się z jednego drewnianego pomieszczenia z byle jakim cynowym dachem. Jednak uwagę Tima natychmiast przyciągnął dziwny budynek przy skale, teraz widoczny na lewo od kafeterii. Ścieżka prowadziła do kamiennych stopni. Strome i wąskie schody wykuto w skale na ścianie góry i wiły się po gładkim, granitowym klifie, który kończył się doliną położoną dwa tysiące stóp niżej. To, co Tim zobaczył na szczycie schodów, zrobiło na nim ogromne wrażenie.

— A to Taktshang Goemba — przewodnik z zadowoloną miną wskazał klasztor Tygrysie Gniazdo. Pewnie był przyzwyczajony do zaskoczenia na twarzach turystów, ale Tim nie wierzył, że można w ogóle przywyknąć do takiego widoku. Zastanawiał się, jak prości mnisi mogli zbudować coś takiego.

Klasztor wznosił się na niesamowicie wąskiej półce skalnej przy gładkim, czarnym, granitowym klifie. Pomalowane na biało bloki skalne stanowiące ściany klasztoru wyrastały z podłoża, podobnie jak schody, zupełnie jakby mury wykiełkowały z samej skały. Żadna z części klasztoru nie była wyższa niż dwa piętra, ale cała budowla miała aż pięć poziomów. Liczne czerwone, blaszane dachy przykrywały różne części klasztoru, a najwyższy z nich zwieńczony był złotą konstrukcją w stylu pagody.

Chociaż widok ten robił duże wrażenie sam w sobie, to Tim najbardziej doceniał militarne aspekty położenia budowli. Mnisi zapewne mieli baczenie na całą dolinę Paro z okien pomalowanych na czerwono i złoto. Co więcej, jako że budowla wznosiła się na wysokości dwóch trzecich góry, jedyną drogą prowadzącą do niej były wąskie kamienne stopnie, które wiły się aż do klasztornej bramy. Armia najeźdźców mogłaby nigdy nie doprowadzić do oblężenia klasztoru, nie mając do niego dostępu ani od góry, ani od dołu. *Nie*, pomyślał Tim, *jedynym możliwym sposobem dotarcia tam jest zakraść się pod osłoną nocy*. Uświadomił sobie, że on też miał pewną przewagę: nie będzie

armii najeźdźców. Kiedy powróci tu tego wieczoru, jego armia policzy sobie tylko jednego wojownika.

Biblia mówiła jasno, że bogobojne życie, jakie prowadził Tim, jest święte, a on pamiętał o karach, jakie czekają tych, którzy wyprą się Jezusa — ogień, cierpienia i śmierć. Kiedy już będzie miał w rękach teksty, zajmie się Grantem Matthewsem i Kristin Misaki. Tym razem nie będzie się pieścił z tą dziwką. Ona i jej chłopak nie dostaną żadnej szansy na ucieczkę.

* * *

Grant i Kristin zeszli z samolotu po metalowych schodach i stanęli na nawierzchni międzynarodowego lotniska w Paro. Bielone kamienne ściany i misterne zdobienia drewnianych elementów wznoszącego się przed nimi terminalu sprawiały, że wyglądał raczej jak dzong niż budynek na lotnisku. Było znacznie chłodniej niż podczas ostatniego pobytu Granta w Bhutanie. Zapinając polar, Grant zauważył smukłą linię białego odrzutowca stojącego z boku płyty lotniska, co było dość niezwykle w tym kraju. Prawdopodobnie przyleciał nim jakiś celebryta lub potentat, w nadziei na odpoczynek w ostatnim Shangri-La w Himalajach.

Po przejściu przez odprawę celną Grant i Kristin znaleźli się z drugiej strony terminalu. Jigme czekał na nich na chodniku wśród garstki przewodników i kierowców. Kristin rzuciła plecak i najpierw objęła Jigme, tuląc go przez minutę. Cywilne ubrania, w których ostatnio widzieli go w Agrze, zmienił na czerwoną tunikę.

— Jak się czujesz? — zapytał Jigme. Odsunął Kristin na długość ramienia i przyglądał się jej posiniaczonej twarzy. W ostatnim mailu Grant opowiedział mu ze szczegółami o jej porwaniu.

— Mam tylko guzy i siniaki. Przynajmniej mnie nie postrzelił. — Dotknęła jego ramienia. Ręka Jigme wciąż była na temblaku, który zrobiono z takiej samej tkaniny jak jego szaty.

— Och, moja rana szybko się goi. — Teraz Jigme objął Granta i poprowadził ich przez parking do czekającej taksówki. — W drodze do hotelu możecie mi opowiedzieć o Sarnath — powiedział z błyskiem w oku. Chociaż Grant wyczyścił laptop z programów szpiegujących, nie chciał podejmować zbędnego ryzyka. Na razie jeszcze nie zdradził Jigme kolejnego i, miał nadzieję, ostatniego etapu ich podróży.

Po załadowaniu bagaży na tył bezowego land rovera i wyruszeniu na wyboistą drogę Grant poklepał po ramieniu siedzącego na przednim siedzeniu Jigme. Musiał zadać mu pytanie, o którym nie przestawał myśleć, odkąd wyjechali z Sarnath.

— Masz jakieś wieści od Kinleya?

Jigme pokręcił głową.

— Wśród mnichów krążą plotki, że jest w Bhutanie.

— Plotki — zachnął się Grant. — Myślałem, że jedną z Czterech Szlachetnych Zasad Buddy jest właściwa mowa.

— Cieszę się, że jednak słuchałeś mimo swojego zrzędzenia, gdy tu byłeś ostatnim razem. — Jigme się uśmiechnął. — Chociaż plotkowanie nie jest mile widziane w mojej religii, pogłoski rozprzestrzeniają się w klasztorach prędzej niż ogień w fabryce świec.

— Co mówią mnisi? — Kristin pochyliła się.

— Zanim wróciłem, widziano Kinleya podczas spotkania z Je Khenpo, naszym przywódcą duchowym, co oczywiście doprowadziło Lamę Dorji do furii. Podejrzewam, że wy lepiej niż ja orientujecie się, gdzie może teraz przebywać. — Jigme uniósł znacząco brwi, zadając tym samym

niezadane pytanie.

Grant skinął w stronę kierowcy.

— Mój przyjaciel. Nie mówi po angielsku — powiedział Jigme.

Opowieść wprost wypływała z ust Kristin i Granta, którzy streścili rozmowy z Waranasi i Sarnath oraz opisali mural ze świątyni.

Pod koniec Jigme skinął głową.

— Kinley nigdy nie wychodzi z roli nauczyciela.

— Muszę przyznać, że teraz lepiej rozumiem podróż Issy — powiedział Grant, ale samo zrozumienie mu nie wystarczało. Musiał mieć teksty.

— Tak, ja też — dodała Kristin, ale Grant zauważył, że jej tembr głosu i wzrok wbity gdzieś w dal sugerował, że mówi bardziej do siebie, niż do nich. Pochyliła się do Jigme. — Kinley sprowadził nas z powrotem do Bhutanu, skąd rozpoczęliśmy swoją podróż; do miejsca, z którego buddyzm rozprzestrzenił się na cały kraj. Poetyckie zwieńczenie misji.

— Tak, to bardzo w stylu Kinleya.

— Jedziemy teraz do Tygrysięgo Gniazda? — zapytał Grant.

— Już za późno, by wyjść dziś w góry — powiedział Jigme. — Podrzucę was do hotelu w mieście. Spotkamy się w Paro Dzong o świcie.

Patrząc przez okno samochodu na domki, które wyglądały jak kropki na zielonych wzgórzach i przypominały szwajcarskie domy u podnóża Alp, Grant zaczął odtwarzać w myślach scenę ponownego spotkania z Kinleyem: pytania, które chciał mu zadać, doświadczenia z podróży, o których pragnął mu opowiedzieć. Ale to było mniej ważne. *Jutro wreszcie...*

Zamknął oczy. Uświadomił sobie, że znowu rozmyśla o przyszłości. Że odgrywa scenki w myślach. *Ale, pomyślał, jesteśmy już tak blisko.*

Rozdział 48

Klasztor Tygrysie Gniazdo

Paro, Bhutan

Dwanaście godzin po ostatniej górskiej wędrówce Tim ponownie pokonywał wąskie kamienne schody, trzymając się blisko chłodnej granitowej ściany. Jednak podczas tej wyprawy było zupełnie ciemno, a on nie zabrał ze sobą latarki. Potknięcie się w ciemności miałoby tragiczne skutki; schody kończyły się w dolinie dwa tysiące stóp pod nim. Zatrzymał się, by odpocząć. Przez wizjer noktowizora, który trzymał przy oczach, widział swój oddech jako jasnozieloną mgiełkę. Przechylił głowę, nasłuchując, ale do jego uszu dotarł jedynie szmer małego pobliskiego wodospadu.

Przed nim był ostatni rząd schodów. A potem klasztor — ciemny i spokojny, jak sama noc. Podciągnął rękawy czarnego wełnianego płaszcza oraz swetra. Była druga w nocy. Mnisi będą spać, niczego nie podejrzewając.

Zanim wszedł na ostatnie stopnie, sprawdził, czy na pewno ma wszystko, czego potrzebuje. Dziś wszystko odbędzie się łatwo i szybko — żadnych wymyślnych EpiPenów z narkotykiem i żadnych sztuczek z wężem, chociaż podobało mu się, gdy wkładał głowę profesora do koszyka. Dziś jedyną bronią Tima był nóż, który przypiął sobie do nogi, oraz glock kaliber czterdzieści, który trzymał w odzianej w rękawiczkę dłoni. Dziś nie popełni żadnych błędów, ani razu się na zawaha. Dziś nikt nie ujdzie z życiem.

Kilka godzin wcześniej Tim ukradł skuter, jeden z wielu zaparkowanych przy hotelu w mieście. Schował go przy leśnej drodze, gdzieś na początku krótszego szlaku. Kiedy zakończy misję, zbiegnie nim i pojedzie skuterem na płytę lotniska. Jego pilot dostał polecenie, by samolot był gotowy do odlotu o świcie. Tim będzie w powietrzu, zanim ktokolwiek zorientuje się, co się wydarzyło w tym położonym na uboczu klasztorze. Potem powróci do Birmingham i będzie pławił się w chwale swojego sukcesu.

* * *

Grant patrzył na żółtą ścianę naprzeciw ich łóżek. Nad szafką z laminatu wisiało malowidło przedstawiające długiego na trzy stopy czerwonego smoka ścigającego swój własny ogon, który zdawał się patrzeć wprost na Granta. Grant powinien już spać, ale światła z zewnątrz wpadające przez pozbawione zasłon okna nie dawały mu zasnąć.

Wykorzystywał czas, by poukładać myśli, które kotłowały mu się w głowie jak fale rozbijające się o brzeg. Chociaż był tak blisko, wciąż miał sporo zmartwień. W jaki sposób zabiorą teksty z Bhutanu, jeśli znajdą je w Tygrysim Gnieździe, skoro bhutańskie prawo zabrania wywożenia historycznych

artefaktów za granicę, a Lama Dorji jest do nich wrogo nastawiony? Mieli ze sobą aparat Kristin i dwie zapasowe karty pamięci, ale Grant podejrzewał, że po nagonce w mediach tylko oryginalne książki mogą przekonać malkontentów.

— Nie śpisz? — zaskoczył go głos Kristin z drugiego łóżka.

— Ty też nie?

Poczuł powiew chłodnego powietrza, gdy uniosła się jego kołdra. Przekręcił się na bok, by leżeć przodem do Kristin, która położyła się obok niego na wąskim materacu.

— Cześć — powiedział, przyjemnie zaskoczony gładkością skóry na jej nogach. Miał na sobie tylko bokserki.

— Nie masz nic przeciwko?

Dłonią dotknął siniaka na jej policzku.

— Boli?

— Już nie. — Jej ciało było ciepłe i zdawało mu się, że na wąskim łóżku dopasowali się do siebie jak dwa kawałki puzzli.

Odsunął kosmyk włosów, który spadł jej na buzię, a potem jakby został magicznie przyciągnięty, musnął ustami jej twarz. Pocałował siniaka, potem szczękę, szyję i miejsce za uchem. Lekko wygięła ciało. Rękę, którą trzymał na jej miękkich lokach, przełożył na wcięcie w tali.

— Słuchaj, Kris — wyszeptał. — To znaczy Kristin...

— Nazwałeś mnie tak w Waranasi.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. Wszystko okej — powiedziała. — To mnie uspokaja. Przypomina mi o siostrze.

Podparła się na łokciu i popchnęła go na plecy na twardy materac. Położyła się na nim. Ich ciała rozdzielał jedynie cienki materiał jej koszulki i bawełniane szorty, które miała na sobie. Jej ciało na nim sprawiło, że Grant poczuł przeszywający go na wskroś prąd.

Spojrzała mu głęboko w oczy.

— Jestem gotowa — powiedziała.

Rozdział 49

Klasztor Tygrysie Gniazdo

Paro, Bhutan

Ummon usiadł na trzciniowej macie i pocierał oczy. Ciaśniej otulił swoje drobne ciało szkarłatnymi szatami. Zimowy chłód nadchodził szybko. Wkrótce góra pokryje się śniegiem. Spojrzał na trzy puste maty w pomieszczeniu. Czekał na starszych mnichów, którzy powinni tu być koło niego, gdy wrócą rano z miasta. Wyszli w ciągu dnia po zaopatrzenie dla klasztoru. Jeden z nich przyniesie drewno do piecyka. Popatrzył na profile dwóch pozostałych osób w dormitorium. Jeden należał do starszego mnicha, który ze względu na swój wiek nie uczestniczył w wyprawie do miasta. Drugą osobą był chrapiący nauczyciel Ummona. Kinley był dla jedenastoletniego chłopca jak ojciec, w większym stopniu niż jego prawdziwy tata. Od czasu gdy cztery lata temu rodzice przyprowadzili go do klasztoru, Ummon widywał ich tylko dwa razy w roku. Jako najmłodszy z trzech braci, nie był im potrzebny na małej farmie.

Chociaż nauka czasami bywała nudna, lubił *goemba*. Inni uczniowie Kinleya zostali jego nową rodziną i nie czepiali się tak jak jego prawdziwi bracia. Ummon najbardziej lubił Jigme. Zastanawiał się, dlaczego Kinley nie zabrał swojego najstarszego ucznia do Taktshang, ale wiedział, że lepiej nie pytać go o tę sprawę. Mimo że cieszył się, iż nauczyciel wreszcie wrócił z podróży, w które wyruszał kilkakrotnie w ciągu ostatnich tygodni, najbardziej chciał już wrócić do cieplejszej doliny Punakha i do swojego przyjaciela Jigme. Tym bardziej że starsi mnisi mieszkający w Taktshang woleli godzinami grać w kości zamiast kopać z nim piłkę.

Ummon na paluszkach podszedł do niewielkich drzwi na końcu dormitorium. Otworzył je powoli, aby hałas nie obudził śpiących mężczyzn. Jedną z zalet bycia małym było to, że do latryny mógł iść na skrót; drzwi miały wysokość jednego metra i służyły jako droga ucieczki w razie pożaru. Znalazłszy się na zewnątrz, powłócząc nogami, Ummon przeszedł wzdłuż wąskiej półki skalnej na tyłach budynku. Następnie wszedł po drabinie na wyższy poziom, gdzie znajdowała się toaleta.

Otworzył czerwone drzwi latryny i nacisnął włącznik światła. Nic. Pokręcił głową. Żarówka nie działała już od trzech dni. Zgłosiłby się na ochotnika, by ją wymienić, ale był za niski. Zostawił otwarte drzwi, by wpuścić trochę światła z rozgwieżdżonego nieba. Wyteżając wzrok, ledwie widział miejsca na stopy w podłodze. Musiał uważać, żeby nie wejść do dziury. Starsi mnisi śmialiby się z niego.

Strzały, które przeszły ciszę nocy, wystraszyły Ummona tak bardzo, że skierował strumień moczu na swoje ubranie. Przerazony, wsparł się o ścianę, by podtrzymać drżące ciało. Hałas był taki, jakby w *goemba* wybuchały fajerwerki. Czy klasztor wyleciał w powietrze? Ummon wiedział, że Taktshang został kiedyś poważnie zniszczony w pożarze, dopiero niedawno znowu otwarto go po wielu latach.

Tymczasowy paraliż minął, gdy wyobraził sobie, że uwięziony w *goemba* spada w płomieniach

w dół zbrocza. Ogarnął szatę, wybiegł z toalety i zszedł po drabinie. *Muszę ich ostrzec!*

Gdy dotarł do półki skalnej na tyłach dormitorium i otworzył buzię, by krzykiem obudzić dwóch starszych mnichów, uświadomił sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, nie widział żadnej oznaki pożaru. Żadnego dymu, płomieni, nic. Po drugie, zamiast odgłosów eksplozji, które skończyły się tak szybko jak zaczęły, Ummon usłyszał krzyki dochodzące przez ściany dormitorium. Coś złego działo się w środku. Ummon ukląkł po cichu przy drzwiach.

Słyszał, że mówią po angielsku, w języku, który rozpoznawał, ale nie umiał się nim posługiwać. Ostatnio słyszał go, kiedy Grant, miły Amerykanin ze złamaną nogą, dochodził do zdrowia w Punakha. Chociaż uczniowie w Bhutanie mieli angielski w szkole, dla mnichów mieszkających w klasztorze nie był to obowiązkowy przedmiot. Kinley obiecał, że nauczy go, gdy Ummon będzie starszy.

Przycisnął ucho do popękane drewna i usłyszał, że jeden z głosów należał do Kinleya, ale nauczyciel mówił takim tonem, którego Ummon nigdy u niego nie słyszał — był bardzo smutny. Nie rozpoznał drugiego głosu, ale człowiek wydawał się rozwścieczony. Od razu domyślił się, że nauczyciel potrzebuje pomocy.

Ummon przekręcił klamkę i nieco uchylił drzwiczki. Do końca życia nie zapomni tego, co wtedy zobaczył. Przygryzł wargę, by stłumić krzyk, który próbował wydostać się z jego ciała. Stary mnich, który przed chwilą jeszcze spał koło niego, leżał na plecach w nienaturalnie wykrzywionej pozycji. Na podłodze obok niego była kałuża krwi o takiej samej barwie, jak jego szata. Zawartość żołądka podeszła Ummonowi do ust. Przełknął kwaśną ślinę. Oczy łagodnego mnicha były otwarte, nieruchome i wbite w sufit.

Na szczęście Kinley żył. Klęczał pośrodku pokoju, obrócony twarzą w tę stronę, gdzie Ummon czaił się za szparą w drzwiach. Smutek i ból na twarzy nauczyciela zdruzgotały chłopca niemal tak samo, jak makabryczny widok martwego człowieka.

Serce niemal eksplodowało mu w piersiach. Przed Kinleyem, tyłem do chłopca, stał Zły we własnej osobie. *Mara, Bóg Śmierci*. Ummon widział freski na ścianach dzong, które przedstawiały go z rogami na głowie, kłami i płomieniami we włosach, ale przybrawszy postać człowieka, jedenastolatkowi wydawał się znacznie straszniejszy.

Był czarny jak noc, od butów poprzez ubrania aż po czapkę na głowie. Widać było jedynie szyję i twarz demona, którą Ummon zauważył, gdy ten przechadzał się przed Kinleyem. Skóra Złego była podrażniona i prawie tak czerwona jak na malowidłach, które Ummon widział na ścianach świątyni, a skóra łuszczyła się jak u węża. Człowiek ten krzyczał na Kinleya tak gwałtownie, że aż przyskała śliną. Szczelina pomiędzy zębami na przedzie jeszcze bardziej upodobniała go do gada.

Widok cierpiącego nauczyciela przysparzał Ummonowi fizycznego bólu. Ale co mógł zrobić? Bał się tak jak nigdy wcześniej, był tak przerażony, że chociaż pragnął odwrócić się i zbiec z góry, jego nogi były jak sparaliżowane.

Odgłos uderzenia wymierzonego przez Marę zabolął Ummona prawie tak samo, jak musiał boleć jego nauczyciela. Siła ciosu sprawiła, że Kinley zachwiał się do tyłu. Gdy tylko się wyprostował, mężczyzna uderzył ponownie, ale tym razem drugą ręką, tą, trzymającą broń — broń, z której zapewne zastrzelił najstarszego mnicha. Ten drugi cios odbił się głośniejszym echem i przewrócił Kinleya na podłogę. Z ust Ummona wydobył się jęk, ale chłopiec zaraz zatkał usta dłonią. Natomiast Kinley milczał i nie ruszał się.

Proszę, nie umieraj, modlił się Ummon.

Po chwili jego modły zostały wysłuchane. Kinley poruszył się, leżąc twarzą do podłogi i z rękami związanymi za plecami. Przetoczył się na bok, podkurczył nogi pod siebie i ukląkł. Ummon nigdy

czegoś takiego nie widział. Jego nauczyciel musiał okropnie cierpieć. Jego brat leżał obok zamordowany, a mnich sam miał spuchniętą i zakrwawioną twarz od spadających ciosów; nie okazywał jednak żadnych oznak bólu. Patrzył na demona z takim samym smutkiem, jak przed minutą. Kiedy się wreszcie odezwał, mówił spokojnie i cicho. Coś w postawie Kinleya jeszcze bardziej rozżłościło tego człowieka. Uderzył go jeszcze raz i jeszcze raz.

Ummon zamknął oczy. Miał mętlik w głowie. Musiał coś zrobić. Tylko on mógł ocalić nauczyciela. Otworzył oczy i rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie dalej niż dziesięć kroków od niego, w kącie pokoju, stał piecyk na drewno, na którym gotowali posiłki i ogrzewali pomieszczenia mieszkalne. Obok niego leżał ciężki metalowy pogrzebacz, którym starsi rozgarniali żar. Musi mu wystarczyć.

Kinley ponownie upadł. Gdy próbował się podnieść, bestia podeszła do ściany i przyglądała się łukowi i kołczanowi ze strzałami, które wisiały przy głównych drzwiach. Podarunek od najlepszej narodowej drużyny łuczniczej, który miał cieszyć oko i nie był nigdy używany. Mnisi nie mogli uprawiać bhutańskiego sportu narodowego, jak dowiedział się Ummon, kiedy zaraz po przyjeździe został zrugany za to, że zdjął łuk. Ale łuk i strzały dały mu teraz szansę, na którą czekał. Demon stał do niego tyłem. Jeśli Ummon będzie cichy i szybki, wejdzie do środka i dopadnie pogrzebacza, zanim mężczyzna się odwróci.

Powoli otworzył drzwiczki, starając się nie hałasować. Gdy wetknął głowę przez drzwi, by wejść do środka, Kinley podniósł wzrok. Wyraz twarzy nauczyciela w jednej chwili zmienił się ze zmęczenia w strach. Ummon skinął w stronę pogrzebacza, a potem na demona, by pokazać nauczycielowi, jaki ma plan ratunku. Ku jego zaskoczeniu, Kinley gwałtownie pokręcił głową. Potem bezgłośnie powiedział: „Sprowadź pomoc”.

Ale nie ma dość czasu, pomyślał Ummon. Nauczycielowi pewnie się coś pomieszało od ciosów w głowę. Przeszedł przez drzwi. Kinley otworzył szeroko oczy. Nigdy wcześniej Ummon nie widział takiego przerażenia na twarzy nauczyciela. Kinley przez ramię obejrzał się na demona, który gadał coś do siebie i wyjmował dwie strzały z kołczana. Jeszcze tylko kilka kroków i Ummon dosięgnie swojej broni.

Kinley odwrócił się w stronę chłopca. Strach zniknął, pojawiła się determinacja, którą Ummon znał lepiej niż dobrze. Nauczyciel bezgłośnie powiedział: „Wyjdź. Teraz”.

Rozkaz nie byłby bardziej autorytatywny, gdyby Kinley wykrzyczał go na cały głos. Ummon zerknął na pogrzebacz. Tak blisko. Ale wiedział, że nie powinien sprzeciwiać się nauczycielowi. W jednej chwili wyszedł z pokoju przez małe drzwiczki. Gdy chciał je zamknąć, demon odwrócił się. Ummon wstrzymał oddech. *Zobaczy mnie!*

Kinley spojrzał na Złego i powiedział coś głosem tak pewnym i silnym jak rozkaz, który wydał Ummonowi. Zanim drzwiczki się zamknęły i zasłoniły mu widok, Ummon zobaczył, że demon patrzy na Kinleya z niepewną miną. Chociaż to nauczyciel potrzebował pomocy, właśnie ocalił swojego ucznia.

Ummon przeszedł przez wąską półkę skalną szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy dotarł do narożnika budynku, szedł po drewnianej konstrukcji na skały pod schodami. Kilka razy się potknął i rozciął pieszczel o ostry granit, gdy omijał fragment schodów, na którym demon mógłby go zobaczyć przez otwarte drzwi. Gdy znalazł się poza obszarem widocznym z dormitorium, wszedł na kamienne schody, przeskakując po dwa stopnie naraz, aż dotarł do kafeterii. Wtedy skręcił na ścieżkę, którą mógł najszybciej dotrzeć do podnóża góry. Miał niewielkie szanse na to, że uda mu się zejść po stromym szlaku w bezksiężycową noc, nie spadając i nie łamiąc sobie nogi, ale od niego zależało teraz życie Kinleya.

Rozdział 50

Klasztor Tygrysie Gniazdo

Paro, Bhutan

Tim pomacał palcem ostry jak brzytwa grot strzały. Potarł drzewcem strzały lewe przedramię, które zaczęło go lekko swędzieć. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie podciągnąć rękawa płaszcza i nie podrapać się bokiem grotu po suchej skórze, ale miał inne plany związane ze strzałą.

Miał już dość głupich gierek mnicha i gadania, które nic nie wносиło. Nie docenił jego wytrzymałości na ból, ale każdego można złamać. Kiedy się obrócił, zauważył na twarzy mnicha emocję, której wcześniej nie widział — strach. Jego techniki zaczynały działać.

— Straciłem już cierpliwość do ciebie, mnichu. Gdzie są księgi Jezusa?

— Powiedziałem ci już, że nie mam ich w swoim posiadaniu.

— Nie o to pytałem. — Tim splunął. Pochylił się, by znaleźć się na wysokości Kinleya. Podniósł strzałę do oczu mnicha. — Będziesz nadal taki twardy, jak wydlubię ci oko?

— Zrobisz to, co musisz.

Tim poczuł pieczenie promieniujące od rąk, w górę ramion, na szyję i jeszcze dalej, do skóry na głowie. Ruchem nadgarstka przekręcił strzałę i wbił ją głęboko w udo Kinleya. Czekał na krzyk spowodowany bólem, ale został jedynie nagrodzony drżeniem, które wstrząsnęło ciałem mnicha. Jego wytrzymałość na ból nie była normalna.

Mnich patrzył na Tima, z jego skroni kapał pot.

— Czy sprawianie mi bólu pomaga ci złagodzić twój własny?

Tim ponownie poczuł się zmieszany postawą tego dziwnego człowieka.

— Co?

— Twój ból. Wyczuwam go w tobie tak dobrze, jak czuję własne cierpienie. Twoje emocje oślepiły cię i nie rozróżniasz tego, co dobre i prawdziwe na świecie. Jedyne, co widzisz, to nienawiść i strach, a one cię niszczą. Ale nie musisz tak cierpieć. Jest inny sposób.

Jak ten obcokrajowiec śmie twierdzić, że wie, jak się czuję! Tim nie afiszował się swoimi emocjami, jak jakaś bezradna kobieta. Wszystko, co robił, było zaplanowane, oparte na informacjach, które zebrał i przemyślał. Jeśli już, to pozbawiony był letnich uczuć. By to udowodnić, pokaże temu mnichowi, na co go stać.

Chwycił strzałę i patrząc mnichowi głęboko w oczy, kręcił nią w tę i z powrotem, wbijając grot coraz głębiej w mięsień czworogłowy. Z rany wyciekało coraz więcej krwi. Ale jego ofiara wciąż milczała.

— Krzycz, do cholery!

Kinley zbladł, pot przesiąkł przez pomarańczowe szaty. Przy ostatnim obrocie strzały Tim zobaczył, że powieki mnicha zatrzepotały, po czym się zamknęły. Ciało upadło do przodu na

drewnianą podłogę.

— Nie! — krzyknął Tim. Jedyne źródło informacji o tekstach leżało nieprzytomne u jego stop. Nie przypuszczał, że Kinley będzie w stanie wytrzymać tak okrutne tortury. Mnich posługiwał się jakimiś sztuczkami umysłu, by odsunąć od siebie ból, tak jak na filmach kung-fu.

Krzywiąc się na widok nieruchomej postaci w tunice na podłodze dormitorium, Tim uświadomił sobie swój błąd. Sądził, że zastrzelenie starego mnicha zmniejszy ryzyko ataku na niego, bądź próby ucieczki. Stary mnich był słaby i nie stanowił żadnego zagrożenia, ale Tim przekonał się w Waranasi, jakie mogą być konsekwencje zabawy w kotka i myszkę z ofiarą: czasami myszka ucieka. Wykalkulował sobie, że szybka śmierć innych mnichów sprawi, iż Kinley będzie obawiał się o swoje życie. Dopiero teraz dotarło do niego, że o wiele skuteczniejszą metodą byłoby zagrożenie, że zabije staruszka, jeśli Kinley nie zdradzi miejsca, gdzie schował teksty. Mnich był tego rodzaju mięczakiem, który bardziej troszczył się o innych niż o siebie. Gdyby wszyscy ludzie zachowywali się w ten sposób, pomyślał Tim, wciąż mieszkalibyśmy w jaskiniach. Przeżyją najlepiej dostosowani. Ze wszystkich bzdur, które napisał Darwin, ta jedna teoria miała sens. Tim spojrzał na pozostałe puste maty. Kinley wyjaśnił mu, że inni mnisi, którzy powinni tam spać, udali się do miasta po zapasy dla klasztoru — co trwa aż dwa dni. Przynajmniej w tym miał szczęście.

Nieważne, pomyślał. Rozwali cały klasztor, świątynię po świątyni, pokój po pokoju. Kinley na pewno zabrał teksty ze sobą. Klasztor na klifie był doskonałym miejscem na kryjówkę. *Ale jak długo będzie szukał?* Do świtu zostało kilka godzin, nie wiedział, o której wrócą pozostali mnisi. Co prawda, klasztor nie był zbyt duży. Będzie musiał szukać systematycznie.

Odpiął noktowizor od plecaka i wsadził go do kieszeni. Potem rozsunął zamek głównej komory, odsunął linę kupioną po południu w sklepie żelaznym i wyjął taśmę klejącą, którą przywiózł z Indii. Kilka razy owinał nią kostki Kinleya tak ciasno, że aż wbijała się w skórę. Nie przypuszczał, żeby mnich się gdzieś wybierał ze strzałą w nodze, ale tym razem nie zamierzał ryzykować.

* * *

Grant półprzytomnie, na chybił trafił przyciskał guziki budzika, starając się go uciszyć. Już rano? Odczytał zielone cyfry na wyświetlaczu: 3:16. Położyli się z Kristin spoceni, wyczerpani i spełnieni zaledwie godzinę wcześniej. Kiedy otrząsnął się ze snu, uświadomił sobie, że to nie budzik dzwonił, tylko hotelowy telefon.

— Halo? — zachrypiął do słuchawki.

— Grant, to Jigme. Stało się coś strasznego.

Grant usiadł prosto i włączył lampkę nocną. Kristin przewróciła się w jego stronę i zasłoniła oczy.

— Co się stało? — zapytał.

— Atak na klasztor.

— Atak? W Punakha? — zapytał, niewiele rozumiejąc.

— Taktshang.

— Tygrysie Gniazdo? — Błysk zrozumienia przeszył senną ciemność w jego mózgu. Bał się odpowiedzi na kolejne pytanie?

— A Kinley?

— Nie wiemy. Był tam Ummon, kiedy jakiś człowiek zaatakował dormitorium. Zginął mnich śpiący z nimi, a Kinley został mocno poturbowany, a potem chłopak uciekł. Biegł całą drogę. Myśli, że widział demona.

— Demona. Myślisz o tym, co ja?

— To na pewno on.

— Musimy pójść tam natychmiast.

— Właśnie zbieramy grupę. Policja pojawi się za kilka minut. Idę z nimi.

Grant wstał i włożył dzinsy.

— Zaraz złapiemy taksówkę i spotkamy się na miejscu.

— A Kristin?

— Staralem się ją przekonać, żeby została — powiedział, odwracając się w stronę łóżka, na którym siedziała z zatrwożoną miną. — Nie ma szans.

— Kinley — powiedział, odkładając telefon. Całkowicie otrząsnął się ze snu, ale ogarnęło go przerażenie przenikające całe ciało. Oczyma wyobraźni widział łagodnego, miłego człowieka, który uratował mu życie, przeniósł go znad rzeki do dzong i, dopóki Grant nie wyzdrowiał, każdego dnia siadywał przy jego łóżku. Człowieka, który delikatnie uratował biedronkę z liścia rośliny stojącej w jego pokoju, człowieka, który cierpliwie uczył go zasad buddyzmu, chociaż Grant często był krnąbrnym uczniem. Teraz ten człowiek, ten spokojny mnich, cierpi gdzieś w odległym klasztorze na zboczu góry, a Grant był tym, który sprowadził tam zabójcę. *Boże, proszę*, modlił się w duchu po raz pierwszy od lat. *Proszę, żebyśmy nie przybyli za późno.*

Rozdział 51

Klasztor Tygrysie Gniazdo

Paro, Bhutan

— Niech to szlag! — Głos Tima odbijał się echem w pustej sali modlitw. Tim kopnął kawał gipsu będący częścią rozbitego, wysokiego na sześć stóp posągu, który właśnie strącił z marmurowego ołtarza. Ręka statuetki potoczyła się po podłodze. Powinien już dawno zakończyć tę misję. Zerknął przez otwarte drzwi świątyni. Nadal było ciemno, ale zaraz pojawią się pierwsze promienie. Przeszukanie klasztoru było większym wyzwaniem, niż się spodziewał. Zaczął od piątego poziomu i w ciągu ponad dwóch godzin dotarł dopiero do drugiego. Schody i drabiny łączyły labirynt pokoi i świątyń. Ukryte drzwi prowadziły przez pozbawione okien przejścia do innych małych kaplic.

Kilka razy zachodził do Kinleya, ale bez skutku. Zastosowanie drugiej strzały w drugiej nodze mnicha przyniosło podobny efekt. Rozzłoszczony Tim dwa razy przekręcił wbitą głęboko strzałę, co poskutkowało tylko tym, że krew prysła tak wysoko, iż prawie pochlapała mu twarz. *Pewnie przebiłem arterię udową*, pomyślał. Mnich stracił przytomność, prawdopodobnie po raz ostatni.

Podrapawszy się energicznie po ręce, Tim rzucił miedzianą miską ofiarną z ołtarza w przeciwną ścianę. Co zrobił źle? Dokładnie zaplanował kolejne kroki. Przeszedł trwające lata szkolenie, umiał planować, a co najważniejsze, Bóg stał po jego stronie. Nawet jeśli Tim popełnił jakieś błędy, to szybko dostosowywał się do nieprzewidzianych sytuacji i starał się je jak najlepiej wykorzystać.

Pokręcił głową. Teksty zapewne są ukryte na niższym poziomie. Z pierwszych prasowych doniesień oraz dostarczonych mu wiadomości dowiedział się, że szuka kilku wąskich ksiąg w drewnianych okładkach, owiniętych w jedwabne szale. Nie widział niczego takiego, ale wciąż miał czas. Zanim opuścił świątynię, przytknął noktowizor do oka. W pozostałych pomieszczeniach wykrywał w ten sposób różnice temperatur na ścianach, przez co znajdował ukryte przejścia. Nie widząc tu żadnego z nich, odwrócił się do drzwi. Noktowizor rozblęsnął jasnym światłem.

— Cholera!

Po drugiej stronie klifu, na schodach nad kafeterią, zobaczył z tuzin latarek. Dotrą do klasztoru za parę minut.

Jak?

Zbiegł w dół. Zatrzymał się tuż nad dormitorium, gdzie leżał umierający mnich. Gdyby zszedł niżej, oświetliłoby go światło z otwartych drzwi sypialni. Musiał szybko podjąć decyzję. Przyglądając się zbliżającym się światełkom, uświadomił sobie, że nie jest w stanie walczyć z tymi wszystkimi ludźmi. Ale był na to przygotowany. Podczas poprzedniej, popołudniowej wizyty odkrył, że szaleństwem byłoby polegać na drodze prowadzącej do klasztoru, czyli kamiennych stopniach. Zdjął plecak i wyjął linę o długości stu pięćdziesięciu stóp. Miał nadzieję, że tyle wystarczy. Wychylił głowę ponad barierkę. Granitowa ściana opadała co najmniej sześćdziesiąt stóp w dół, ale

nżej wystawały odłamki skał. Ciemność utrudniała ocenę odległości, ale wydawało mu się, że widzi kilka półek skalnych jakieś dwadzieścia stóp dalej, które powinny doprowadzić go na drugą stronę klifu. Jeśli mu się poszczęści, półki doprowadzą go aż do restauracji, skąd zejdzie szlakiem na sam dół.

Szarpnął barierkę schodów, oceniając, czy jest wystarczająco stabilna, po czym oplótł liną cztery grube drewniane słupki i zawiązał jej koniec w podwójny węzeł. Przerzucił linę przez poręcz i patrzył, jak znika w otchłani. Jeśli tamci nie skierują laterek bezpośrednio na to miejsce, nie dostrzegą liny aż do rana.

Położył ręce na poręczy i był już gotowy do wejścia na nią, gdy zatrzymał się i spojrzał na drzwi dormitorium jeden poziom niżej.

Kinley. Uparty mnich chyba jeszcze żył. Tim zawahał się. Nie widział już świateł, co oznaczało, że okrążali właśnie szczelinę skalną w klifie, przekraczając mały wodospad. Byli bardzo blisko. Czy może zaryzykować te kilka sekund i zbiec na dół, by podciąć Kinleyowi gardło? To ten mnich był źródłem kłamstw o Jezusie, bluźnierstwa, które należy powstrzymać. Poza tym, zdawał się mieć jakieś nienaturalne moce. Tima niepokoiły ostatnie słowa, jakie wymówił, zanim stracił przytomność. Spojrzał na Tima z dziwną miną: czy to była litość? *Ale dlaczego mnich miałby czuć dla mnie litość, skoro to on wszystko stracił?* Tim pomyślał, że został potraktowany w sposób protekcyjny, jak zwykle przez ludzi, którzy go nie doceniali. Kinley powiedział: „W porządku. Przebaczam ci”.

Echo podniesionych głosów przy klasztornej bramie po drugiej stronie dormitorium przyspieszyło jego decyzję. Założył czarne rękawiczki, zarzucił plecak na ramiona, przerzucił nogi przez barierkę i płynnym ruchem zaczął się opuszczać w dół klifu, tak jak ćwiczył podczas podstawowego szkolenia. *I tak niedługo umrze*, pomyślał.

* * *

Grantowi brakowało tchu, bolała go noga. Z zanikiem mięśnia czterogłowego w prawej nodze bardzo starał się nadażyć za sprężystymi krokami Kristin, gdy wspinali się po nieoświetlonych schodach pod klasztorem. Motywowała go chęć dotarcia do przyjaciela i to ona pomagała przetrwać ból. Czterech funkcjonariuszy policji i ośmiu mnichów wyszło kilka minut przed nimi. Nocny portier w hotelu jakoś przekonał taksówkarza, by zawiózł ich bezpośrednio pod wylot szlaku, gdzie czekał Jigme. Grant nawet nie próbował sobie wyobrazić tego, co mogą zastać w klasztorze. Skupił się na oddechu, tak jak uczył go Kinley.

— Tam — Kristin pokazała na najniżej położony budynek klasztoru, z którego przez otwarte drzwi wylewało się światło. Grant usłyszał krzyk gdzieś przed nimi.

— To dormitorium. Tam Ummon zostawił Kinleya — powiedział Jigme.

Dwie minuty później Grant stanął w wejściu do jednopokojowego budynku, mrużąc oczy, by przywykły do światła. Z początku nie umiał zinterpretować tego, co widział. Pomieszczenie wypełniali ludzie w powiewających szkarłatnych tunikach oraz dwaj policjanci w biało-niebieskich mundurach. Jeden z funkcjonariuszy mówił coś pośpiesznie do przenośnego radia, prawdopodobnie rozmawiał z pozostałymi dwoma policjantami, którzy przeszukiwali położone wyżej poziomy klasztoru. Mnisi pokrzykiwali nerwowo po bhutańsku.

Jeden z oficerów stał przy drzwiach z założonymi rękami, by zablokować wejście do dormitorium. Gdy Jigme zwrócił się do policjanta, Grant mógł zajrzeć do środka. Czterech mnichów przeniosło na bok ciało martwego brata i ostrożnie położyło go na trzinowej macie. Pozostałych czterech

pochylało się nad czymś, co musiało być Kinleyem, ubranym w pomarańczową szatę i leżącym pośrodku podłogi. Żołądek Granta zaprotestował.

Grant przecisnął się obok policjanta zagradzającego drzwi. Kristin wpadła do środka tuż za nim.

— Nie! — krzyknęła.

Grant czuł pulsowanie nie tylko w klatce piersiowej, lecz także w głowie. Wszedł pomiędzy mnichów. Zwykle rumiana skóra Kinleya przybrała popielaty odcień, jego szaty nasiąkły krwią. Z obu ud wystawały strzały, wbite na głębokość kilku cali. Trzech mnichów uklękło przy jego nogach, uciskając rany, a czwarty, który wyglądał na młodszego o kilka lat od Jigme, tulił głowę Kinleya.

— Żyje? — zachrypiał Grant. Choć raz nie próbował kryć emocji, które się w nim zbierały.

Obok niego stanął Jigme i po bhutańsku przemówił do młodszego mnicha.

— Jest nieprzytomny, ale oddycha.

— Nie można wyjąć strzał? — zapytała Kristin. Uklękła i ujęła dłoń Kinleya.

— Nie tutaj — powiedział Jigme, patrząc na nogi Kinleya. — Strzały mają żłobienia. Gdy je wyjmemy, rozerwiemy żyły i arterie. Jeśli uda się go zawieźć do szpitala, zostaną usunięte chirurgicznie.

— A jeśli nie dowieziemy go na czas? — Grant przypomniał sobie własny wypadek, po którym musiał pozostać w klasztorze w Punakha. Ale w Paro zapewne były nowoczesne szpitale. Potem pomyślał o trudnej wspinaczce pod górę.

Jigme skrzywił się.

— Możemy też złamać strzały i przepchnąć je na drugą stronę, ale w jego obecnym stanie lepiej nie narażać go na dalszą stratę krwi. Powstrzymanie krwawienia to najlepsze, co teraz możemy zrobić.

Grant czuł pieczenie w gardle, które utrudniało przetykanie. Jego przyjaciel ocalił mu życie, a teraz on sam był bezradny i nie mógł mu pomóc. Wtem zauważył, że kostki mnicha zostały ciasno związane taśmą. Ukląkł przy stopach Kinleya. Podobnie jak w przypadku Kristin kilka dni wcześniej, zaczął odwijać taśmę. Nie spieszył się, żeby nie poruszyć strzał zatopionych w udach. Pomacał mięśnie łydki mnicha. Skóra była chłodna w dotyku. Wiedział, że to nie wróży niczego dobrego. Pozostali mnisi rzucali podejrzliwe spojrzenia na Granta, bez wątpienia nie podobał im się fakt, że był obcokrajowcem.

Kiedy usunął taśmę, zwinął ją w kulkę i rzucił w róg pokoju. Otarł klejące się ręce o dzinsy i zauważył, że materiał przesiąkł krwią Kinleya aż do kolan. Wstał i podszedł do Kristin, która cicho płacząc, głaskała Kinleya po ręce. Grant położył dłoń na piersi przyjaciela. Cały czas zastanawiał się, jak znieść go z góry, nie szkodząc mu przy tym jeszcze bardziej. Naraz poczuł drgnięcie, ale nie był pewien, czy zdarzyło się naprawdę, czy mu się tylko wydawało. Miał wrażenie, że pierś Kinleya się poruszyła, jakby przyjaciel wziął głęboki oddech.

Pochylił się nad bladą twarzą mnicha.

— Kinleyu, słyszysz mnie? Jesteśmy tu, przy tobie.

Przestraszył go chrapliwy głos dochodzący z ust nauczyciela.

— Dlaczego tak późno?

Poczuł przypływ nadziei. Kinley był przytomny. Był silny.

— Cóż, mnisi nie zbudowali tego klasztoru w łatwo dostępnym miejscu. — Uśmiechnął się przez łzy.

Kinley otworzył oczy — były bystre i trzeźwe. Chociaż miał spieczone usta, uśmiechnął się do Granta. Grant zwrócił się do młodego mnicha klęczącego przy głowie rannego.

— Woda. Przynieś wody. — Chyba zrozumiał, bo wstał i zaczął szukać.

— Czekaj. Ja chyba jeszcze mam. — Kristin wyjęła do połowy pełną plastikową butelkę z plecaka, który zabrała w góry. Uniosła Kinleyowi głowę i pomogła mu się napić. Po jej twarzy płynęły łzy. — Bardzo cię boli?

— Nie, mnie nie — odparł. — Bywało natomiast tak, że moje ciało miewało się lepiej.

— Szkoda, że nie pamiętam — zaczęła szlochać. — Kiedy mnie uwięził i straciłam przytomność... musiałam powiedzieć mu coś o tym miejscu. Wszyscy ci zabici... Tak mi przykro.

— Moja droga. — Kinley ścisnął jej dłoń. — To mnie jest przykro. Kiedy wysłałem was w tę podróż, chciałem, by była doświadczeniem, które otworzy wam oczy. Byłem naiwny, ponieważ nie miałem pojęcia, że doprowadzi do takiego cierpienia. Proszę, nie płacz przeze mnie. Wszyscy umrzemy. Mój czas nadszedł dzisiaj.

— Nie umrzesz dzisiaj — powiedział Grant, prostując się. — Zniesiemy cię z góry. — Wtem zauważył w kącie pokoju miotłę. *O to chodzi*, pomyślał. Wiedząc, jak skrupulatni są mnisi w utrzymywaniu czystości w *goemba*, wyobraził sobie, że znajdzie więcej mioteł. Szybko ułożył plan. Skonstruuje nosze z mioteł i mnisich szat. Czterech mężczyzn zniesie Kinleya na noszach, a policja podstawia ambulans u podnóża góry.

— Obaj wiemy, że straciłem za dużo krwi.

Grant spuścił wzrok na kałużę, która wciąż powiększała się pomimo starań trzech mnichów uciskających rany. Poczł wilgoć na spodniach. Nadzieja, którą miał jeszcze przed chwilą, zaczęła niknąć.

— Nie możesz umrzeć — powiedział, jakby siła słów mogła zdziałać cuda.

Kinley zamknął oczy. Serce Granta stanęło na chwilę, ale po chwili jego przyjaciel zamrugał i spojrzał ponownie.

— Na czym polega prawdziwa natura twojej podróży, Grancie?

Grant dał się zaskoczyć. Nawet będąc bliski śmierci, Kinley nadal lubił zadawać podchwytliwe pytania, lecz tym razem nie było czasu na siedzenie i roztrząsanie kolejnych koan mnicha. Musieli znieść go na dół. Grant otworzył usta, by zaprotestować, ale poważna mina Kinleya kazała mu je zamknąć i zastanowić się nad odpowiedzią. Pierwsza, jaka przyszła mu do głowy, była oczywista — miał znaleźć teksty Issy, ale odrzucił ją, jako zbyt trywialną. Zastanowił się nad podróżą, którą odbył, wiedząc go z Indii do Bhutanu i z powrotem tą samą trasą. *Czy ma na myśli mój przyspieszony kurs o podobieństwach między religiami? A może lekcje o podobnych doświadczeniach mistycznych Buddy, Jezusa i Mahometa?*

Kristin odchrząknęła i szarpnęła Granta za rękaw. Marnował cenny czas. Twarz Kinleya wyrażała cierpliwość, jakby mnich mógł czekać cały dzień na chwilę, aż Grant zastanowi się nad możliwościami odpowiedzi. W końcu Grant uświadomił sobie, że każda z nich zawierała część prawdy. Wiedział, że Kinley nie chce usłyszeć dziesięciu odpowiedzi na jedno pytanie. Tak wiele się nauczył od tej fatalnej wyprawy kajakiem, ale doświadczył również dużo cierpienia. *Postrzelenie Jigme. Atak na Kristin*. Pomyślał o Deepraju, Razim i starym mnichu w drugiej części pokoju. Ci ludzie poświęcili swoje życie, by przekazać mu swoją wiedzę. To zbyt wysoka cena. *Co ja tu robię?*

— Nie wiem — odpowiedział cicho.

— Dokładnie! — Kinley miał w głosie siłę, która zaprzeczała jego stanowi fizycznemu. — To jest właśnie ostateczna prawda.

— Ale po tym wszystkim, przez co przeszliśmy...

— Tak, najważniejszą lekcją, jaką przyswoiłeś, jest to, że wciąż nie wiesz. Po całych latach studiów i medytacji uświadomiłem sobie, że czasem lepiej jest przestać szukać odpowiedzi i przestać zadawać pytania. Odpuścić, po prostu.

Grant nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Od dawna szukał rozwiązania, a przynajmniej ścieżki, która poprowadziłaby go do upragnionych odpowiedzi. Jednak proste słowa Kinleya coś w nim poruszyły. Może za bardzo się starał. *Za bardzo chciał zrozumieć.*

Kłęcząc przy umierającym przyjacielu, poczuł silne *déjà vu*: on sam leżał ranny w bhutańskim klasztorze i próbował rozwiązać zagadki, na które nie było odpowiedzi. Lecz teraz to Grant był zdrowy, a Kinley chory. Przypomniał sobie jedną z koan, którą kiedyś, całe wieki temu, opowiedział mu Kinley.

— Kiedy drzewo usycha, opadają liście... — zaczął.

— Ciało wystawione jest na jesienny wiatr — skończył Kinley. — Odpowiedzi, których szukasz, przyjacielu. Najpierw spójrz na swoje pytania. Źródło obu z nich jest takie samo.

Chociaż Grant miał na sobie polar i kurtkę, poczuł się nagi przed Kinleyem. Wyczuł, że Kristin spogląda na niego pytająco, ale nie wiedział, czy potrafi jej wyjaśnić, dlaczego to, co powiedział Kinley, było dla niego zrozumiałe.

Kinley głęboko odetchnął, ale z jego płuc zamiast powietrza wydobył się kaszel wstrząsający całym ciałem. Skulił się z bólu. Zasmucona Kristin wymieniła spojrzenie z Grantem.

— Co możemy zrobić, by ci pomóc? — zapytała, podając mu wodę.

— Wystarczy, że mam przy sobie przyjaciół. — Oboje musieli się pochylić, by go usłyszeć.

Grant miał ściśnięte gardło. Wiedział, że mimo modlitw jego przyjaciel nie ma zbyt wiele czasu.

— Księgi... — powiedział Kinley.

— Są tutaj? — zapytał Grant.

— W kryjówce tygrysa.

— Co? — Grant i Kristin zapytali jednogłośnie.

Spojrzenie Kinleya nabrało ostrości.

— Przybyliście tu dzięki freskowi w Sarnath?

— Tak — powiedziała Kristin. — Rozpoznaliśmy Padmasambhava leżącego na grzbiecie tygrysa do jaskini w górskiej ścianie.

— Kryjówka tygrysa — powiedział Jigme i skinął głową. — Teraz rozumiem. — Grant odwrócił się do niego. Jigme milczał przez cały czas, więc Grant w ogóle zapomniał, że najstarszy z uczniów Kinleya przysłuchuje się tej rozmowie. Młodszy mnich mówił dalej: — Nie ma lepszego miejsca na ukrycie tekstów opisujących Issę uczącego się nauk Buddy niż kryjówka, w której medytował Padmasambhava, zanim zaczął nauczać buddyźmu w naszym kraju.

— To jaskinia istnieje? — zapytał Grant. — Sądziłem, że to mit.

Jigme pokręcił głową.

— Możemy się do niej dostać przez ukryte drzwi w jednej z niżej położonych świątyń.

Jigme powiedział coś po bhutańsku do najstarszego z mnichów stojących przy Kinleyu. Mnich odpowiedział z irytacją, wskazując na Granta i Kristin. Jigme wdał się z nim w dyskusję, kiedy Kinley podniósł głowę o kilka cali i przemówił takim tonem, który obu ich uspokoił. Starszy mnich wyszedł. Jigme pomógł Kinleyowi położyć głowę na podłodze. Rozmawiali ze sobą przez minutę. Jigme skupiał się na każdym słowie wypowiedzianym przez swojego mistrza, jakby każde zawierało cząstkę magii.

Kiedy zakończyli rozmowę, Kinley zaczął ciężiej oddychać. Kristin pochyliła się i ucałowała go w czoło. Po policzkach znowu płynęły jej łzy. Grant otworzył usta, by powiedzieć coś krzepiącego, ale ostatecznie umilkł.

— Dziękujemy, że w nas wierzyłeś — powiedziała Kristin.

Kinley uśmiechnął się do niej i przeniósł spojrzenie na Granta. Mówił szeptem.

— Zawsze zdawałem sobie sprawę, jak ważne są te teksty. Czekałem tylko na właściwą osobę, by je przekazać. — Zamknął oczy i odetchnął.

Kristin pogłaskała go po krótkich siwych włosach.

— Oszczędzaj energię, nic nie mów.

Ale Grant wiedział, że energia już opuściła jego przyjaciela.

Rozdział 52

Klasztor Tygrysie Gniazdo

Paro, Bhutan

Zapadła cisza. Będąc świadkiem ostatniego oddechu wydostającego się z ust Kinleya, Grant słyszał w głowie tylko jedno słowo. *Nephesh*. Boskie tchnienie. Ale w Kinleyu nie tliła się już boska iskra. Twarz mnicha tchnęła spokojem, kąciki ust unosiły się lekko, jakby tę ostatnią chwilę Kinley przywitał w dobrym nastroju.

Grant właśnie stracił przyjaciela i nauczyciela. Jednak świadomość, że Kinley przyjął swoją śmierć ze spokojem, sprawiła, iż poczuł niespodziewaną pociechę. Aż do ostatniej chwili Kinley bardziej troszczył się o to, by przekazać swoim uczniom jeszcze odrobinę wiedzy, niż o swój własny los.

— Do zobaczenia, przyjacielu — powiedział Grant, ostatni raz ściskając ramię Kinleya. Wstał i pomógł podnieść się Kristin, której ciałem wstrząsał szloch. Nie próbował ukryć ani wytrzeć łez spływających mu po policzkach.

Gdy mnisi zaczęli wyciągać strzały z nóg Kinleya i zawijać go w szaty, do uszu Kristin i Granta dotarł jakiś dźwięk. To mnisi zaczęli śpiewać. Wszyscy, także Jigme. Ich głosy zestroiły się ze sobą, a wibracje przeniknęły każdy kąt pomieszczenia oraz każdą komórkę ciała Granta.

* * *

— Nie wierzę, że go nie ma — powiedziała Kristin, opierając się o drewnianą poręcz przed wejściem do dormitorium.

— Rozumiem. — Grant objął ją od tyłu. — Przez ostatnie tygodnie myślałem o rzeczach, o które chciałem go zapytać, a teraz...

Wyprostowała się i oparła głowę na jego piersi. Światła Paro w dolinie przypominały Grantowi świetliki tańczące w ciepłym powietrzu letniej nocy. Dziwne porównanie, pomyślał, szczególnie teraz, gdy od południa temperatura spadła o trzydzieści stopni, a wyjący wiatr od strony doliny przenikał wszystkie warstwy ubrania.

Ich uwagę zwrócił odgłos kroków nad nimi. Ktoś nadchodził z wyższych poziomów klasztoru. Grant uświadomił sobie, że jeszcze nie mieli wieści od dwóch policjantów przeszukujących świątynie. Poczuł zdenerwowanie Kristin.

W postaci wynurzającej się z ciemności rozpoznali mnicha, z którym przed kilkoma minutami rozmawiał Kinley. Mężczyzna w zaciśniętej dłoni niósł skórzany sznur. Zerknął na Amerykanów, po czym zniknął w oświetlonym wejściu.

Po chwili pojawił się Jigme ze sznurem zawieszonym na szyi. Na końcu sznura zwisał klucz uniwersalny.

— Chodźcie ze mną — powiedział cicho.

Weszli za nim po schodach. Kristin trzymała się Granta, pozwalając mu wspierać się lekko na jej ramieniu. Jego noga zeszywniała po wspinaczce i teraz utykał.

— Teksty? — zapytała.

— Zaraz wejdziemy do kryjówki tygrysa — odparł Jigme.

Po tym wszystkim, przez co przeszli, wreszcie dotarli do celu, uświadomił sobie Grant. Kinley oddał życie, chroniąc teksty. Grant nie mógł wyzbyć się myśli, że jego poświęcenie było zbyt wielkie, a teksty niewarte tego, by tyle osób straciło przez nie życie. Idąc za światłem latarki Jigme, mijali granitowe głązy wznoszące się pośrodku przejścia. Ściany klasztoru zdawały się wyrastać bezpośrednio z klifu, a iluzję rozpraszała jedynie podobna obróbka kamieniarska oraz kolorowe freski pokrywające mury od podłogi aż po sufit.

Zatrzymując się na drugim poziomie, Jigme odwrócił się w prawo i ominąwszy główne schody prowadzące na wyższe poziomy, wybrał wąskie drewniane zejście.

Grantowi znowu coś się przypomniało.

— Kristin, w bibliotece w Punakha Kinley porównał rozwój do wchodzenia po schodach.

— Rzeczywiście — powiedziała. — Po pewnym czasie dochodzimy do półpiętra. Niektórzy wolą na nim pozostać, bo tak wygodniej. Kinley zachęcał nas do wspinania się na kolejny poziom, a potem jeszcze wyżej.

— To była jedna z jego ulubionych analogii — potwierdził Jigme. — Ilekroć byłem zbyt dumny z moich postępów, przypominał mi, że jest kolejny poziom, na który muszę się wspiąć, kolejny płaskowyż do zdobycia. Cóż, dziś w nocy — wskazał na kamienny podest na dole schodów — musimy najpierw zejść na dół, żeby wznieść się w górę.

Wtem wprost na twarz Granta padł snop światła.

Oślepiony, w jednej chwili przytrzymał się Kristin oraz drewnianej poręczy. Jakiś głos dobiegł ich zza jaskrawej poświaty.

Jigme odpowiedział coś z niższego stopnia. Światło zsunęło się z twarzy Granta, ale on wciąż nic nie widział. Głos odezwał się już miłszym tonem, po bhutańsku.

— Gracie, Kristin, to jest Sangay — powiedział Jigme, przedstawiając ich mężczyźnie z silną latarką, który stał na półpiętrze nad nimi.

— Jest synem siostry mojej mamy.

— Twoim kuzynem — powiedziała Kristin z ulgą w głosie.

— Właśnie, moim kuzynem. Mieszka tu, w Paro. Jest policjantem.

Kiedy Grant odzyskał ostrość widzenia, zauważył dwóch mężczyzn, którzy stali wyżej, ubranych w takie same białe-niebieskie uniformy, jak oficerowie w dormitorium.

— Znaleźli coś? — zapytał Grant również z ulgą.

Jigme przemówił do kuzyna, a potem przetłumaczył.

— *Goemba* jest pusty, ale ktoś przeszukał świątynie, zostawiając za sobą duże zniszczenia. — Ponownie wymienił kilka słów z kuzynem. — Lepiej będzie, jeśli Sangay pójdzie z nami. Chodźmy, musimy się pospieszyć.

Dwaj funkcjonariusze pozostali na zewnątrz, a Jigme poprowadził Granta i Kristin przez grube czerwone drzwi na dole schodów, które prowadziły do świątyni niewiele większej niż ich pokój hotelowy. Blask latarki Jigme oświetlił błękitny gipsowy posąg za kamiennym ołtarzem na końcu pomieszczenia, który według Granta przedstawiał Padmasambhava. Podłoga była drewniana,

a ściany pokryte jedwabiem, co nadawało świątyni przytulniejszy wygląd niż pozostałe części klasztoru. Jigme wyrecytował krótką mantrę i położył się na ziemi przed posągiem. Gdy się podniósł, podszedł do ściany z lewej strony, odsunął jedwab, za którym były ciężkie bielone drzwi. Zdjął z szyi klucz i wsadził go do dużej kłódki. W tym czasie Grant zajrzał przez sześciocalowe kwadratowe okienko zabezpieczone kratami, które znajdowało się na wysokości jego oczu.

— Jaskinia? — zapytał. Jedyną rzeczą, jaką widział w ciemności, był płomień świecy, który migotał, jakby wisiał w powietrzu. Wydawało mu się, że czuje ciepło światełka, które płonęło w jego wnętrzu, a nie w chłodnej jaskini przed nimi.

— Ponad tysiąc dwieście lat temu Padmasambhava siedział tu samotnie przez trzy miesiące, milcząc i pogrążając się w medytacji — powiedział Jigme z szacunkiem.

— Tak jak Mahomet dwieście lat przed nim na górze Hira — dodała po cichu Kristin.

Jigme zdjął kłódkę i otworzył ciężkie drzwi. Ściany świątyni były z litej skały. Weszli do głębokiej na dwadzieścia stóp jaskini w ścianie klifu. W otoczeniu czarnego granitu powietrze było suche i chłodne, ale nie było zimno. Grant zobaczył teraz, że świeca, która zdawała się unosić w powietrzu, stała na małym ołtarzu w głębi jaskini.

Jigme zaprowadził ich do ołtarza, na którym stały inne, niezapalone świece, kadzidło oraz miski ofiarne. Grant spojrzał uważnie na nierówną podłogę pod stopami. Wyobraził sobie, że guru siedzi tu ze skrzyżowanymi nogami, na wpół zamkniętymi oczami, wolny od gwaru panującego w dolinie u stóp góry.

Jigme zniknął za ołtarzem.

— Jest! — zawołał. Pochylił się i podniósł drewnianą skrzynkę.

— Skrzynka z czytelnicy w Punakha! — powiedziała Kristin.

Jigme przyniósł ją w miejsce, gdzie stali, postawił na podłodze i otworzył.

— Nie wierzę — powiedziała. Ostrożnie podniosła wąską, owiniętą w jedwab księgę, podczas gdy Jigme przyświecał jej latarką.

Grant wbił wzrok w księgę w rękach Kristin. Po wszystkich poświęceniach, wreszcie mieli teksty.

— Jigme, czytasz po palijsku? — zapytał.

— Nie tak dobrze jak Kinley, ale daję sobie radę.

Grant odwołał się do listy rzeczy, które powtarzał sobie w myślach niezliczoną ilość razy, oczekując na tę chwilę.

— Musimy przejrzeć każdą księgę i sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

— Nie tutaj — Jigme zamknął skrzynię i założył skobel. — Musimy szybko przenieść teksty, tak żeby mnisi się nie dowiedzieli.

— Sądziłam, że Kinley kazał im, by nam pomogli — powiedziała Kristin. — Ten starszy człowiek przyniósł nam klucz do jaskini.

— Kinleya nie ma już wśród nas. Wczoraj wieczorem w Paro dowiedziałem się, że sam Je Khenpo wyznaczył Kinleya, by pilnował Taktshang Goemba. Pozostali mnisi nic nie wiedzą o tekstach Issy ani po co był nam potrzebny klucz do jaskini. W świetle tego, co się stało, sądzę, że rozsądniej będzie, jeśli tak zostanie.

— Co wobec tego proponujesz? — zapytał Grant.

— Mój kuzyn i jego partner będą waszą eskortą w drodze powrotnej. Zabiorą skrzynię. Jeśli ktoś ich o nią zapyta, powiedzą, że w skrzyni są ważne dowody.

— Ty też z nami pójdziesz, prawda? — spytała Kristin.

— Jako najstarszy uczeń Kinleya muszę tu zostać i pomóc przygotować jego ciało do kremacji. Spotkamy się po południu.

— Ale zabójca wciąż gdzieś tu jest.

— Wiem. Dlatego chcę, żebyście wzięli księgi i poszli z oficerami. Obaj są uzbrojeni i was ochronią. Ufam mojemu kuzynowi. Reszta policjantów zostanie tutaj ze mną i z pozostałymi mnichami.

— Dokąd mamy iść? — spytał Grant. — Ten facet w jakiś sposób zna nasze plany. Hotel nie jest już bezpiecznym miejscem.

— Racja. Zatrzymacie się w domu mojego kuzyna. Wtedy nie będzie wiedział, gdzie was szukać.

— Okej — odparła Kristin — ale po tym wszystkim, co się stało, nie brzmi to zbyt pocieszająco.

* * *

Zeszli po kamiennych schodach, zostawiając za sobą klasztor. Jigme zatrzymał się w otwartych drzwiach dormitorium, zapewne opowiadając mnichom, że Amerykanie są tak wstrząśnięci śmiercią Kinleya, że policjanci muszą ich eskortować na dół. Jego postać zasłoniła widok na Granta, Kristin i dwóch funkcjonariuszy ze skrzynką.

Grant i Kristin szli za Sangayem, który niósł księgi. Jego partner, o krok przed nim, oświetlał schody silną latarką. Widok twarzy zabójcy — jego zaognionej skóry — wyrył się w pamięci Granta. Kim jest ten człowiek? Zastanawiał się bez końca. Zerknął w lewo, na otchłań pod wąskimi schodami. Czekala ich półtoragodzinna wędrówka w dół, a zabójca mógł się gdzieś zacząć w ciemności. Chociaż Grant pocieszał się, że obaj policjanci byli uzbrojeni, żałował, iż sam nie ma broni. Nie miał, co prawda, żadnego doświadczenia w strzelaniu, nie licząc gier wideo, ale uważał, że powinien jakoś chronić Kristin i teksty.

Stąpając ostrożnie, żeby nie potknąć się na nierównych kamieniach, zastanawiał się nad zmianami, jakie zaszły w ich życiu. Po tym wszystkim, przez co przeszli — ośmieszeniu w Ameryce, śmierci przyjaciół w Indiach i Bhutanie — wreszcie mieli księgi. To była chwila, o której Grant marzył, moment, od którego zależała cała jego kariera akademicka. Chociaż przed nimi jeszcze długa droga, zanim bezpiecznie zawiozą teksty do Stanów, rozpoczął się nowy rozdział jego życia. Mimo to nie czuł dreszczyku emocji, którego się spodziewał.

W myślach odtworzył kolejne etapy podróży. Wysyłając ich do Agry, Waranasi, Sarnath i Paro, Kinley zmusił ich, by zrozumieli, że ani wiarygodność historyczna opowieści, na których opierają się największe religie — dziewiczego poczęcia, cudów i latających tygrysów — ani religijne doktryny związane ze starożytnymi prorokami nie mają większego znaczenia. Mnich chciał, by poznali duchowe powiązania między prorokami, wywodzące się z podobnych praktyk mistycznych. Grant wiedział, że Kinley pragnął, by doświadczyli takiego samego połączenia z pierwiastkiem boskim w swoich sercach. Ale gdy blask światła klasztoru zostawał za nim, opuszczał go niezwykle spokojny, który czuł w chwili śmierci Kinleya. Teraz pozostały mu tylko żal i złość.

Dlaczego mój przyjaciel musiał umrzeć?

Jego uwagę przykuły odległe światła położonego w dolinie miasteczka Paro. Zatrzymał się, pozwalając pozostałym się oddalić, i wzrokiem śledził tańczące ogniki. Wdychając rześkie powietrze, przypominał sobie jedno z ulubionych chińskich przysłów Kinleya: „Palec wskazujący na księżyc nie jest księżycem”. *Czy tego powiedzenia nie można by zastosować w przypadku samych proroków?*, zastanawiał się. Ani Mahomet, ani Budda, ani Padmasambhava, ani nawet Jezus nie byli księżycem. Ale każdy z nich był palcem pokazującym księżyc — pokazującym światło w ciemności. Przypominał sobie kwiat lotosu wmurowany w ścianę Tadź Mahal: piękno i życie wyrastające na

stojącej, błotnistej wodzie. Poczul wewnętrzny niepokój.

Nagle zrozumiał, że do znalezienia tekstów motywowało go głównie pragnienie, by udowodnić coś swojemu zmarłemu ojcu, pragnienie, które napędzało wielebnego Brady'ego i podobnych mu fundamentalistów. Wiedział, że nawet jeśli naukowe datowanie potwierdzi, iż teksty pochodzą z pierwszego wieku, wszyscy wielebni świata wciąż będą podważać ich autentyczność.

Te smukłe księgi są po prostu kolejnym palcem pokazującym księżyc, pomyślał.

Pięć minut później dotarli do końca schodów, gdzie na spłachetku ziemi stał mały drewniany budynek z cynowym dachem.

Sangay wskazał drzwi.

— Wody? — zapytał.

Grant zerknął na Kristin. Mieli jeszcze szmat drogi przed sobą i musieli się pospieszyć.

— Poproszę — powiedziała.

Weszli do restauracji. Kuzyn Jigme postawił skrzynkę z tekstami na jedynym stoliku, w centrum pomieszczenia. Grant wyobraził sobie, że na tym stole stawiano posiłki dla turystów, którzy przybywali, by zobaczyć spektakularnie położony klasztor, ale teraz na blacie pozostała jedynie poźółkła lampka olejowa. Nie zapalali jej, ponieważ trzy gołe żarówki na suficie zapewniały wystarczające oświetlenie. Grant patrzył, jak Sangay podchodzi do małego baru w kącie przy drzwiach. Domyślił się, że duże okno z prawej strony baru z widokiem na Tygrysie Gniazdo w ciągu dnia dostarczało wspaniałych wrażeń, ale przy jaskrawo świecących żarówkach jedyne, co widział, to swoje zniekształcone odbicie w szybie.

— A ten drugi oficer? — Grant usiadł przy Kristin na drewnianej ławie pod ścianą. Niecierpliwił się i chciał już iść, mimo że bolała go noga. Wejście pod górę wykończyło go.

Sangay wskazał drzwi.

— Pilnuje na zewnątrz.

— Przynajmniej ktoś bierze nasze bezpieczeństwo na poważnie — powiedziała Kristin.

Jakiś huk odbił się echem od ścian. Sangay postawił na barze dwie butelki wody, które właśnie znalazł. Zawołał swojego partnera.

Bez odpowiedzi.

Sangay wyjął rewolwer i wyszedł z baru. Podniósł dłoń, dając znak Grantowi i Kristin, żeby zostali na miejscach. Grant wyprostował się, natychmiast zapominając o dokuczającym mu bólu w nodze. Lewą ręką Sangay pchnął drzwi, które otwierały się na zewnątrz, prawą trzymał broń. Skrzypienie zardzewiałych zawiasów było jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu.

Grant w ciemnościach nie zauważył drugiego z oficerów. Sangay zawołał jeszcze raz. Nadal bez odpowiedzi. Wyszedł więc na zewnątrz i podniósł broń.

— Widzisz coś? — spytał Grant. Wstał i zrobił krok do przodu.

— Nic — odpowiedział Sangay z za drzwi. — Pójdę sprawdzić za rogiem. Nie ruszajcie się.

Grant otworzył usta, by zaproponować, żeby przez radio skontaktował się z klasztorem, który był oddalony o sto jardów, ale drzwi już zamknęły się za policjantem. Grant zerknął na skrzynkę spoczywającą obok niego na stole. Podjął szybką decyzję. Pół minuty później stanął z powrotem przy Kristin. Wstrzymał oddech, kiedy drzwi się otworzyły. Odetchnął, gdy pojawił się w nich Sangay. *Może wszystko jest w porządku*. Ale gdy tylko tak pomyślał, zauważył, że nic nie jest w porządku.

Oficer chwiał się na nogach, miał nieprzytomne spojrzenie. Nie trzymał już broni, tylko obiema rękami chwycił się za szyję, poruszał ustami, ale nie wydobywały się z nich żadne słowa. W ułamku sekundy Grant zauważył, że kuzyn Jigme miał czerwone, a nie białe rękawiczki, jak wtedy gdy wychodził z restauracji. Kristin zapewne uświadomiła sobie to samo. Jej krzyk przeszył ciszę.

Sangay opadł na kolana. Krew płynęła mu z szyi i spływała po mundurze, jakby ktoś zapomniał zakręcić kurek. Oczy policjanta zdawały się przeproszać, gdy wyciekało z niego życie.

Drzwi znowu stanęły otworem.

Rozdział 53

Paro, Bhutan

Ubrany na czarno prześladowca stał niczym cień na tle rozciągającej się za nim nocy.

— Od teraz cisza.

Wycelował czarny półautomatyczny pistolet w Kristin. Krzyk utknął jej w gardle w chwili, gdy zobaczyła broń. W drugiej ręce napastnik dzierżył ząbkowany nóż komandoski, z którego na deski podłogi skapywała krew. Grant od razu zauważył, że twarz zabójcy była zdefasonowana po laniu, jakie dostał od Kristin.

— Kim ty, do cholery, jesteś? — zapytał.

— Tim Huntley. — Mężczyzna wycelował pistolet w pierś Granta.

— Jesteś człowiekiem Briana Brady’ego?

— *Wielebny* Brady jest głosem Boga, a ja jestem jego sługą! — krzyknął Tim. — A ty i ten mieszaniec, twoja dziewczyna, jesteście tym, co zagraża mojemu krajowi, co zatruwa ludzkie umysły. Jezus Chrystus jest jedynym Synem Boga, więc nie pozwolę wam tego stąd wynieść!

Grant starał się coś wymyślić. Musiał w jakiś sposób kupić więcej czasu, ale nie chciał naciskać na tego mężczyznę, który już teraz wydawał się być na granicy. *Czy oficerowie w klasztorze usłyszeli krzyk Kristin?*

Zza pleców dobiegł go niezwykle spokojny głos Kristin.

— Jedyne, czego chcemy, to otworzyć ludzkie umysły na...

— Zamknij się! Powiedziałem, że masz się *nie* odzywać. — Ślina pryskała mu z ust. — Gdzie są księgi Jezusa, które dostałeś od mnicha?

Grant wzdrygnął się na wzmiankę o Kinleyu. Jego oczy zwięziły się w szparki, przez które widział mężczyznę z pistoletem i zakrwawionym nożem. Ogarnęło go intensywne gorąco, promieniujące z wnętrza ciała aż na ręce i nogi. Ten sukinsyn właśnie zabił Kinleya i starego mnicha. Torturował łagodnego profesora w Waranasi i zamordował Raziego w Tadź Mahal. Zgwałciłby Kristin, gdyby nie udało jej się uciec.

Grant podjął decyzję. Będzie stawiał opór.

— Nie znaleźliśmy tekstów — starał się nie zdradzić głosem prawdy. Powstrzymał się od spojrzenia na pusty stół pośrodku restauracji i bar w kącie, gdzie przeniósł skrzynię. — Kinley umarł, zanim powiedział nam, gdzie je ukrył.

— Zza drzewa widziałem, że policjant wniósł skrzynkę do środka. — Tim wsadził nóż do pochwy przy pasie i podszedł bliżej, z pistoletem w ręce. — Gdzie ona jest?

Grant poczuł, że strużka potu spływa mu z włosów, chociaż w nieogrzewanym budynku było bardzo zimno. Kristin oddychała szybko i płytko. Przełknął ślinę o metalicznym posmaku strachu. Jeśli tamten znajdzie to, czego szuka, na pewno ich zabije.

Pozostała tylko jedna opcja. Morderca był o całą głowę niższy, a siwiejące krótkie włosy sugerowały, że trochę starszy od Granta. Ale był mocno zbudowany i krępy. Tim Huntley był też zapewne świetnie wyszkolony, a Grant miał budowę patykowatego studenta, a nie jakiegoś Indiany Jonesa. Ale nie miał nic do stracenia.

Rozluźnił kolana, wypuścił wstrzymywany oddech i zaczerpnął powietrza, oddychając przeponą, tak jak pokazywał mu Kinley podczas ćwiczeń medytacyjnych. Powietrze przenikał aromat egzotycznych przypraw z gotowanych tu w ciągu dnia potraw. Grant czuł skutki przebywania na wysokości dziewięciu tysięcy stóp — jego płuca potrzebowały tlenu. Przewidywał, że to, co zaraz zrobi, skończy się w jego przypadku śmiertelnym postrzałem, ale może w ten sposób stworzy dla Kristin szansę ucieczki.

Skoczył w chwili, gdy Tim znalazł się w jego zasięgu. Uderzył jak tygrys rzucający się na zdobycz. Ku jego zaskoczeniu broń wycelowana w jego pierś nie wystrzeliła. Zamiast tego prześladowca się odsunął. Poruszał się szybciej i wdzięczniej niż Grant. Obracając się i przenosząc ciężar ciała na drugą nogę, uchylił się przed walącym się na niego Grantem. W tej samej chwili zamachnął się bronią.

Cios spadł na bok głowy Granta, gdy ten wciąż jeszcze był w powietrzu. W zderzeniu z popękana podłogą Grant poczuł w głowie eksplozję bólu. Aż jęknął.

— Nie! — Kristin pojawiła się obok niego. Ciemne włosy opadały wokół jej twarzy niczym zasłona ochronna. Szczupłymi, ale silnymi rękami podniosła go za ramiona.

Krzywiąc się z bólu, Grant stanął, podpierając się na dłoniach i kolanach. Z ust kapąca mu różowa ślina. Miała słony smak. Nawet nie zauważył kopniaka w brzuch, po którym ponownie zwałił się na ziemię.

— Pokażcie mi skrzynkę! — wrzasnął Tim.

Grant widział niewyraźnie. Walczył z ogarniającą go ciemnością. Musiał stawić czoło mordercy.

— Jeśli nas pozabijasz, niczego nie dostaniesz! — usłyszał krzyk Kristin.

Wrzask zabójcy odbijał się echem od ścian.

— Nie pozwolę, by wasze herezje zniszczyły naszą wiarę!

Kopał Granta raz za razem.

— Przestań! Przestań! — krzyczała Kristin. — Zabijesz go!

Chociaż klęczała tuż obok, wydawało mu się, że jej głos dobiega gdzieś z oddali. Grant łapał ustami powietrze, kopnięcia Tima spowodowały, że brakowało mu go w płucach.

— Powiedz mi, gdzie są księgi! — krzyczał morderca.

— Nie wiemy! — odpowiedziała Kristin, nie zdradzając blefu Granta.

Grantowi udało się odzyskać dech.

— Chwila — sapnął, stając na kolanach. Stopniowo odzyskiwał ostrość widzenia. Tim stał w bezpiecznej odległości od nich, trzymając ich na muszce.

— Pozwól Kristin odejść. Zaprowadzę cię do tekstów.

— Grancie, nie!

Tim przesunął lufę pistoletu o kilka stopni w stronę głowy Kristin.

— Masz pięć sekund, by powiedzieć mi, gdzie one są, bo rozwalę jej łeb. Widziałeś, co kaliber czterdzieści zrobił mnichowi.

— Czeka! — Złość, która napędzała Granta do desperackiego skoku, wyparowała z jego ciała. Nie może pozwolić, by Kristin stała się jakaś krzywda. — Jak ją zabijesz, gównu ode mnie dostaniesz. Możesz mnie też zastrzelić, mam to gdzieś. Ale odgłos wystrzału sprawi, że w ciągu minuty pojawią się tu ludzie z klasztoru. Nie będziesz miał czasu, żeby odszukać księgi i uciec.

Wolną ręką Tim sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną gazową zapalniczkę, jakiej używali palacze cygar.

— Jeśli tak chcesz się bawić, zabiję was oboje i podpalę tę budę. Księgi gdzieś tu są. Spłoną, zanim pozostali tu przyjdą.

Grant zwiesił głowę. Jego blef nie podziałał. Palec Tima zacisnął się na spuście.

Grant wskazał na bar.

— Tam.

Tim rozluźnił palec.

— Gdzie dokładnie?

— Pokażę ci. — Grant położył jedną rękę na kolanie, a drugą podparł się o nogę stolika, powoli podciągając się do pozycji pionowej.

— Nie, zostań tu. Powiedz mi.

— Pod ostatnią ławką, obok baru.

— Za skrzynkami na mleko? — Tim przesunął się w stronę baru, nie spuszczając ich z muszki.

— Tak. — Grant spuścił wzrok na brudną podłogę.

Tim odwrócił się, by przeszukać ciemny kąt, w którym ukryta była skrzynka. Grant zauważył, że Tim zaczął drapać się trzymaną w lewej ręce zapalniczką po prawym przedramieniu — robił to powoli, okrężnymi ruchami. Broń zadrżała.

Tym razem Grant zareagował płynnym ruchem. Bez namysłu i przygotowania. Nie czuł już bólu. Całą uwagę skupił na szklanej lampce na stole obok. Pożółkłe szkło było lepkie od oliwy. Rzucił lampką prosto w głowę prześladowcy.

Szkło roztrzaskało się o czaszkę Tima, faszując jego twarz odłamkami oraz oblewając oliwą. Tim krzyknął i podniósł obie ręce do oczu. Grant skoczył, ale tym razem uderzył mordercę w tułów, jak obrońca rzucający się na napastnika w ostatniej rozgrywce meczu. Obaj upadli na podłogę, ale Grant został zamortyzowany przez ciało Tima. Morderca charczał, przygnieciony jego ciężarem. Grant chwycił broń. Trzymając ją w prawej ręce, lewą złapał szyję zabójcy. Ściskając go za gardło, przyłożył mu lufę do czoła.

— Ty draniu! Zabiję cię! — krzyczał. Odłamki szkła tkwiące w szyi Tima wbijały mu się w rękę. Nie zwracał na to uwagi. Ścisnął mocniej.

Timowi brakowało powietrza.

Pistolet dobrze leżał w jego dłoni. Grantowi podobał się ciężar, rękojeść z kompozytu, moc, którą mu dawał. Palec wskazujący zacisnął się na spuście, a ten poruszył się pod naciskiem. Jeden ruch, małe drgnięcie, a zastrzeli tego sukinsyna. Przyglądając się Timowi z bliska, widział to, czego nie dostrzegał wcześniej. Spod złamanego nosa, posiniaczonych ust, wybitych zębów i odłamków szkła, spod których z łuszczącej się skóry wypływała krew i oliwa, wyzierał strach.

Mógłbym to wszystko skończyć, pomyślał Grant. Wymierzyć sprawiedliwość za Kinleya i pozostałych mnichów. Sprawiedliwość za dwóch policjantów. Za Deepraja, Razięgo, za Kristin i za Jigme. Przynieść sobie ulgę, że nie zapobiegł tym tragediom. Wściekłość, jaką czuł na tego człowieka, przetoczyła się przez niego jak rzeka lawy. Zacisnął palec na spuście.

— Grancie, nie — powiedziała Kristin.

— Po tym wszystkim, co ci zrobił? — Grant nie spuszczał oczu z przestępcy. — Po tym, co zamierzał zrobić?

— Wiem — jej głos złagodniał. — Ale Kinley...

Słowa Kristin uderzyły go, jakby ktoś chlusnął mu na twarz szklanką zimnej wody. Spojrzał na wszystko z szerszej perspektywy niż ta, na której się skupiał — pistoletu przytkniętego do czoła

Tima. Wyobraził sobie tę scenę z punktu widzenia Kristin: siedział na krwawiącym człowieku, bitwa była wygrana, a on dokonywał egzekucji, by zaspokoić swoją furię. Natychmiast zyskał świadomość swojej złości: bólu po śmierci przyjaciela, żądzy zemsty, chęci pozbycia się cierpienia, które w sobie nosił. Ale to ona miała rację.

Zabicie Tima nie oddali od niego tych uczuć, *dukkha*.

Grant oderwał palce od szyi Tima, pozwalając mu zaczerpnąć powietrza. Wstał, trzymając broń wycelowaną w jego głowę. Złość i ból wciąż w nim buzowały, ale nie pozwalał uczuciom zawładnąć swoimi czynami, po prostu obserwował skutki tych emocji. Dwa miesiące temu Kinley opisał tę technikę jako światło świadomości własnego cierpienia. Grant uświadomił sobie, że oddycha tak ciężko jak Tim. Ogień emocji powoli wypalał się.

— Zastrzelę cię, jeśli się ruszysz — oddech Granta wrócił do normy.

Odsunął się od Tima, ale nie spuszczał go z oczu. Nie chciał dziś w nocy zmienić się w kata, ale nie zamierzał też ufać temu podstępnemu wężowi.

— Kris, zabierz mu radio Sangaya i wezwij posiłki z Tygrysięgo Gniazda.

Wyczuł, że gapi się na niego. Chciał na nią spojrzeć, objąć ją, ale nie mógł odwrócić wzroku od zabójcy. Kristin wyminęła go, ocierając się po swojemu o jego ramię.

Odkoczyła jak oparzona, kiedy zbliżyła się do Tima, który leżał bez ruchu na podłodze.

— On ma jeszcze jeden pistolet!

— Co? — Grant próbował dostrzec kolejne zagrożenie. Ponownie położył palec na spuście, ale Tim zdawał się w ogóle nie ruszać.

— Ma za paskiem pistolet Sangaya — pokazała. Grant uświadomił sobie, że gdy Tim zabił policjanta, zabrał jego broń. Przeszedł go dreszcz. Prawą rękę Tim trzymał tuż obok głowy, po tym, jak Grant wyszarpał mu pistolet, natomiast lewa zsunęła się wzdłuż boku i była o kilka cali od rewolweru zatkniętego za paskiem spodni. Brak doświadczenia Granta prawie doprowadził ich do zguby. Grant ponownie poczuł gniew, ale nie walczył z nim, lecz pozwolił, by krew podeszła pod powierzchnię skóry. Jednak tym razem jego siła była znacznie mniejsza.

— Nieżle — powiedział Grant. — Połóż obie ręce na głowie. — Tim podniósł lewą rękę i obie złączył na czubku głowy. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Grant zastanawiał się, czy kazać Timowi wyciągnąć broń powoli opuszkami palców, jak widział w programach o policjantach, ale wcześniej przekonał się, jak szybki i dobrze wyszkolony jest ich przeciwnik. Nie wątpił, że Tim skierowałby broń w jego stronę i wypalił, zanim Grant zorientowałby się, co się dzieje. Podeszedł do Tima. Sam wyjmie pistolet, a potem jeszcze nóż.

— Ja to zrobię — powiedziała Kristin. — Ty mnie osłaniaj.

Grant zawahał się. Nie chciał, żeby Kristin ponownie podchodziła do tego potwora, ale była zdecydowana, a jemu łatwiej było trzymać go w szachu, stojąc w odległości kilku stóp.

— Okej, ale uważaj.

Kristin uklękła przy Timie, na jej twarzy rysowało się obrzydzenie. Grant ujął pistolet oburącz i wycelował w pierś Tima, żeby na pewno nie spudłować. Dłoń jej drżała, gdy Kristin wyciągała rewolwer zza jego paska.

— Dobrze — powiedział Grant. — Teraz popchnij go po podłodze w moją stronę i zrób tak samo z nożem. — Kristin pochyliła się nad Timem i potrafiła broń, która przeleciała po nierównych deskach podłogi i zatrzymała się przy stopach Granta. Nie spojrział na nią ani nie schylił się, by ją podnieść, tylko nadal patrzył na Tima, który również się gapił, nawet nie mrugając.

Coś poszło nie tak, zupełnie niespodziewanie i w najmniej odpowiednim momencie, podobnie jak kilka tygodni wcześniej podczas wyprawy kajakiem. Kiedy Kristin próbowała z powrotem uklęknąć,

na chwilę znalazła się na linii strzału. To wystarczyło. Tim uderzył bez mrugnienia okiem. Zanim mózg Granta zdążył zareagować, Tim w jednej chwili wierzgnął nogą, podcinając Kristin.

Zanim Grant uświadomił sobie, że powinien strzelić, Kristin już leżała na Timie, a ten jedną ręką chwycił ją za szyję i przyciągnął blisko siebie. Grant stracił szansę na strzał.

Kristin krzyczała, kopała i na oślep uderzała łokciami.

— Puść ją! — wrzasnął Grant.

Przesunął lufę pistoletu, ale nie mógł oddać czystego strzału, bo oba ciała miały się po podłodze. Zbliżył się do nich o krok.

Mignęła stal. Grant i Kristin zamarli bez ruchu. Tim przycisnął czubek noża do szyi Kristin. Jego druga ręka powędrowała z gardła do jej głowy; chwycił ją za włosy, owinał je wokół dłoni i pociągnął, odginając jej głowę w tył.

— Nie wkurwiał mnie! — krzyknął do Granta. — Pochlastam ją tak jak gliniarzy.

Kristin otworzyła szeroko oczy. Pod czubkiem noża pojawiła się kropla krwi.

— Okej. Uspokój się — powiedział Grant.

— Teraz wstaniemy. Nie zastrzel swojej dziewczyny.

Trzymając Kristin blisko siebie, Tim przetoczył się na bok, ukucnął, a następnie wstał. Trzymał ją przed sobą, tak że było widać tylko kawałek jego twarzy. Właśnie w to miejsce Grant mierzył z pistoletu, ale nie był przecież strzelcem wyborowym. Nie mógł ryzykować, że postrzeli Kristin w głowę lub spudłuje, dając Timowi powód do podcięcia jej gardła.

— Jeśli ją zranisz, odstrzelę ci głowę — warknął.

— Oszczędź sobie. Straciłeś swoją szansę. Wiem, że jesteś ciotą. Powinieneś mnie zastrzelić.

— Tym się właśnie różnimy.

— Masz rację. Ja wygrywam. Ty przegrywasz. Wychodzę stąd, dziewczyna idzie ze mną. — Chociaż mówił spokojnie, Grant słyszał, że buzują w nim emocje. Bardziej niepokoiło go jego dzikie spojrzenie: Tim ledwo się trzymał.

Umysł Granta protestował. Nie mógł spuścić Kristin z oczu. Ten facet przechytrzył ich już tyle razy i nie wahał się zabijać. Strach niemal go pokonał, ale nie mógł tego po sobie pokazać. Skupił się na najświeższym problemie.

— Możesz sobie iść, ale Kristin zostaje.

— Nie wchodzi w żadne układy! — Twarz Tima oblała się czerwienią.

— Za chwilę pojawią się pozostali. Jeśli teraz pobiegiesz, może uda ci się uciec.

Nóż zadrżał przy szyi Kristin.

— Jeszcze jedno słowo, a rozplątam jej gardło. — Szarpnął jej głowę do tyłu, aż pisnęła.

Tim wycofywał się w stronę drzwi. Stał równolegle do dużego okna i baru. Nagle Grant zrozumiał, na czym polega jego plan. Zabójca chce cofać się w ten sposób, aż dotrze do drzwi, przez cały czas nie pozwalając Grantowi oddać czystego strzału. Następnie wbije ostrze w szyję Kristin, przecinając jej arterię i otwierając tchawicę. Potem popchnie ją do przodu, w stronę Granta, a sam zniknie za drzwiami. Grant nie będzie miał innego wyboru, jak rzucić się na pomoc Kristin, choć nie będzie mógł jej uratować. W tym czasie Tim zniknie gdzieś w lesie. Grant widział już podobną taktykę w Tadź Mahal, kiedy Tim strzelił do Jigme. Teraz sam stał o kilka stóp od zabójcy, był uzbrojony, a jednak wiedział, że nie ma wystarczających umiejętności, by zrobić to, co należy.

Wyteżał umysł, by znaleźć jakiś sposób, który nie wiązałby się ze strzelaniem o kilka cali od głowy Kristin, ale nic nie mógł wymyślić. Tim cofał się w stronę wyjścia. *Zaraz stracę swoją szansę*, pomyślał Grant. Zamknął lewe oko i wziął Tima na muszkę. Nie myślał o niczym, tylko o swoim celu — stalowoszarym oku, teraz opuchniętym i nabiegłym krwią. Ale nie mógł utrzymać

pistoletu nieruchomo, cel podskakiwał mu przed oczami. Najbardziej przeszkadzało mu, że włosy Kristin wchodziły na linię strzału. Grant zaczerpnął powietrza i zatrzymał je w płucach. Palec wskazujący położył na spuście.

Wystraszył go dźwięk pękającej szyby. Jego palec zatrzymał się, a Grant otworzył zamknięte oko. Tim wyglądał na równie zaskoczonego — otworzył szeroko oczy i usta, jakby się czymś zdziwił. To, co nastąpiło, wstrząsnęło Grantem. Tim puścił Kristin, nóż spadł mu na podłogę. Nie mając już ostrza przystawionego do szyi, wyrwała mu się i padła na ziemię. Grant mógł teraz oddać strzał, ale zamiast pociągnąć za spust, zdjął z niego palec. Zauważył bowiem, że Tim nie stanowi już dla nich zagrożenia.

Nie ruszając się z miejsca, Tim podniósł ręce i zaczął szarpać metalowy romb wystający mu poniżej ramienia. Gdy ruszył się, z ust wyrwał mu się jęk. Z jego pleców sterczała grafitowa strzała. Duże okno przy barze z widokiem na Tygrysie Gniazdo, które znajdowało się teraz bezpośrednio za Timem, miało rozbitą szybę.

Jigme!, pomyślał Grant, przypominając sobie, że pasją młodego mnicha był zakazany w klasztorze sport narodowy. Znalazł lepsze zastosowanie dla strzał, które zabiły Kinleya.

Tim w milczeniu próbował chwycić strzałę.

— Tylko sobie zaszkodziś — powiedział Grant.

Tim opuścił ręce i zwiesił głowę. Przegrał. Jeśli będzie miał szczęście, przeżyje i zostanie zniesiony z góry, a następnie spędzi resztę życia w bhutańskim więzieniu. Przez ściany dały się słyszeć krzyki. Napięcie wreszcie zeszło z Granta. Opuścił broń. Mieli teksty, a człowiek, który ich śledził, stał na straconej pozycji.

Kristin wciąż była na czworakach i ciężko oddychała. W końcu uklękła i wytarła ręce o dzinsy pobrudzone lepką oliwą z rozbitej lampki.

— Idą — powiedziała.

— Możesz wyjrzeć przez drzwi i krzyknąć do nich? Chcę go mieć na oku.

— Pewnie.

Gdy zaczęła podnosić się z podłogi, Grant zauważył nieznaczny ruch. Zabójca trzymał w ręce coś małego i srebrnego.

Zapalniczka!

I tym razem rozgryził plan Tima. Napastnik stał, a Kristin klęczała w kałuży oliwy z rozbitej lampy, która rozlała się po starej drewnianej podłodze. Za chwilę ogarną ich płomienie. Grant czuł ciężar pistoletu w opuszczonej ręce. Podniósł broń, ale wydawało mu się, że zrobił to zbyt wolno. Tim kciukiem podważył klapkę zapalniczki.

Znowu coś się poruszyło przed oczami Granta. Kristin skoczyła w stronę człowieka, który ją uprowadził, torturował i prawie zabił. Pewnie też zobaczyła zapalniczkę. Błysk srebra zatoczył łuk w powietrzu. Wstając, musiała podnieść z podłogi nóż Tima. Zanim ten zdążył zapalić zapalniczkę, Kristin wbiła w jego pierś ośmiocalowe ostrze.

Ciało Tima upadło na podłogę, przez chwilę wstrząsały nim konwulsje, po czym mężczyzna znieruchomiał.

Grant podbiegł do Kristin i pomógł jej wstać. Zarzuciła mu ramiona na szyję i wtedy otworzyły się drzwi restauracji. Do środka wpadli Jigme i policjanci.

Wreszcie koniec, pomyślał Grant.

Rozdział 55

Paro, Bhutan

Grant słuchał szemrania zielonkawej wody Paro Chhu rozpryskującej się na małych kaskadach. Na brzegu, w rzędzie, stali milczący mnisi. Czekali, aż prochy rozpląną się w zimnej wodzie, a ich czerwone szaty powiewały na wietrze. Jigme stał na końcu. Trzymał czarną plastikową torbę — podobną do tych, w których kobiety przynoszą z rynku miesięczny zapas ryżu. W torbie były prochy Kinleya. W niektórych kulturach trzyma się je w ozdobnych urnach lub skrzyneczkach, ale Grant wiedział, że mnisi uważali wrzucanie ładnego pojemnika do wody za marnotrawstwo. Mnich stojący obok Jigme trzymał podobną torbę.

Przez głowę Granta przetoczyło się tsunami myśli. On i Kristin balansowali na gładkich przyrzecznych skałach za Jigme. Gdyby Grantowi nie przydarzył się wypadek w zimnej himalajskiej wodzie, w miejscu oddalonym o kilka godzin stąd, pochylałby się teraz nad swoją pracą doktorską w Atlancie. Tego dnia słońce świeciło tak mocno jak dwa miesiące wcześniej, ale wisiało niżej na niebie, tuż nad szczytami gór, które wieńczyły zieloną dolinę. Wiatr nad rzeką niósł ze sobą zapowiedź zbliżającej się zimy. Podobnie jak wówczas stracił Dasho, przewodnika po rzece, tak teraz żegnał Kinleya i drugiego mnicha, zamordowanych w Tygrysim Gnieździe.

Mnisi spojrzeli w tył, skąd doszedł ich dźwięk opon na żwirowej drodze. Trzy srebrne toyoty cruiser zatrzymały się na trawiastym poboczu. Wzdłuż brzegu rzeki dał się słyszeć pomruk. Z tylnego siedzenia pierwszego samochodu wysiadło trzech ubranych na czerwono mnichów. Z ostatniego wyłoniło się trzech ubranych na pomarańczowo, starszych rangą, tak jak Kinley. Jeden z seniorów wyglądał na szczególnie niezadowolonego — był to Lama Dorji, mnich konserwatysta z Punakha Dzong, który obawiał się złych wpływów Zachodu na klasztor. Grant musiał niechętnie przyznać, że mnich miał rację.

Kiedy otworzyły się drzwi środkowego auta, mnisi jeszcze bardziej się ozywili. Osoba świecka w tradycyjnym plisowanym bhutańskim *gho* wysiadła zza kierownicy, po czym pomogła wysiąść z tylnego siedzenia mnichowi, który wyglądał na ponad siedemdziesiąt lat. Mnich był wysoki i szczupły — trzymał się prosto, lecz nie był spięty. Orzechowe oczy osadzone w pomarszczonej twarzy były bystre i żwawo lustrowały zebranych. Miał na sobie szafranowe szaty.

Je Khenpo.

Tylko król i Je Khenpo, który był przewodniczącym rady religijnej, *dratshangu*, mogli nosić złote szaty. Z pomocą cywila Je Khenpo zszedł na brzeg rzeki. Całe zgromadzenie mnichów, w tym Lama Dorji i inni seniorzy w pomarańczowych szatach, skłonili się przed nim. Je Khenpo przez chwilę przemawiał do zebranych mnichów, którzy spijali każde słowo z jego ust. Kiedy skończył mówić, grupa zaczęła śpiewać jakąś melancholijną pieśń. Jigme i mnich obok niego opróżnili torby z prochami do płynących wód rzeki.

Chmura szarego pyłu wysypała się z torby Jigme. Grant obserwował maleńkie drobinki przyczepiające się do powierzchni wody, spadające po pochyłościach kaskad.

Jego nauczyciela zabrakło, gdy znalazł się tak blisko poznania prawdy. Przez ostatni dzień kontemplował wszystko, czego nauczył się od Kinleya. Mnich chciał, żeby Grant najpierw sam doświadczył tego, co Issa zawarł w swoich tekstach, podobnie jak zrobił to sam Issa. Grant martwił się, że zawiódł swojego nauczyciela. Issa podróżował na Wschód; nauczył się doktryn hinduistycznej i buddyjskiej; nie zgadzał się ze swoimi nauczycielami; nauczał pozbawianych praw ludzi tego, czego sam się nauczył; doznał duchowego przebudzenia, rozpoznając obecność Boga we własnym wnętrzu i wokół siebie — przebudzenia, które wykraczało poza jakiekolwiek doktryny religijne. A Grantowi jeszcze czegoś brakowało.

Teraz gdy był już w posiadaniu z takim trudem zdobytych tekstów, ze zdziwieniem skonstatował, że doświadcza uczucia, którego się nie spodziewał: niespełnienia. Nawet jeśli uda mu się przekonać władze, by pozwoliły mu wywieźć teksty z kraju, Grant obawiał się, że nie był gotowy przyjąć roli nauczyciela. Zdobycie manuskryptów miało rozwiązać jego problem: z rozprawą doktorską, przeszłością oraz akceptacją przeszłości, ale czuł jedynie pustkę.

Grant spojrział na puste, plastikowe torby, w których wcześniej były prochy Kinleya. Pomyślał o pustce w swoim sercu. Zwrócił wzrok ku niebu. Ani jednej chmurki.

Wtedy usłyszał znajomy głos. Dochodził z jego wnętrza. Głos Kinleya. Ganił Granta za to, że odpowiedzi szukał na niebie. Ganił go również za patrzenie na torbę. Jedno i drugie zawierało tylko pustkę. Głos przypominał mu, że odpowiedzi, których Grant szukał, są w nim samym, lecz musi bardziej się zagłębić. Chociaż Grant znał już tę lekcję, nagle słowa w jego głowie nabrały jasności.

Były w jego zasięgu. Odpowiedzi były już blisko. Woda w rzece omywała gładkie kamienie, przypominając mu jedną z pierwszych lekcji Kinleya. Patrząc w głąb, mógł zrozumieć naturę wody, ale doświadczyć jej mógł jedynie wtedy, gdy jej skosztował.

Głęboko odetchnął i zamknął oczy. Głos nauczyciela ucichł i zastąpiły go żałobne pieśni mnichów. Grant stał bez ruchu jeszcze przez wiele minut. Nie był świadomy upływu czasu, czuł jedynie spokojne bicie swojego serca, swój oddech oraz pieśń, która przenikała go na wskroś.

* * *

Kiedy ceremonia dobiegła końca, Je Khenpo od razu podszedł do Granta i Kristin. Jigme ukląkł i dotknął czołem ziemi przed przywódcą, Grant i Kinley głęboko się skłonili. Grant podniósł głowę, gdy poczuł dotyk ręki starszego człowieka na swoim ramieniu.

Przywódca religijny Bhutanu mówił głębokim barytonem.

— Więc to Grant Matthews i Kristin Misaki.

Grant nie wiedział, jak według protokołu powinien zachowywać się przed najważniejszym z mnichów. Czy powinien patrzeć w bok? Odezwała się stojąca obok niego Kristin.

— Tak, to my, proszę pana — powiedziała cicho.

— Proszę, nazywajcie mnie Ummon. Tego imienia wiele lat temu używał Kinley, kiedy był moim uczniem. — Wskazał na okrywające go żółte szaty. — Przed tym wszystkim.

Grant spojrział na mnichów patrzących w ich stronę. W środku stał mały chłopiec, kolejny Ummon, który przynosił mu jedzenie, kiedy Grant leżał unieruchomiony w Punakha, i który powiadomił ich o tragedii, jaka wydarzyła się w Tygrysim Gnieździe.

— Kinley mówił mi, jak bardzo was lubi — Je Khenpo mówił po angielsku z brytyjskim akcentem,

podobnie jak Kinley. Grant był zaskoczony jego ciepłym i poufałym tonem.

— Byłeś mentorem Kinleya? — zapytała Kristin.

— Ten chłopak był pełen energii i pomysłów — zaśmiał się Je Khenpo. — Był wyzwaniem dla swoich nauczycieli. Wciąż o coś pytał, rzucał im wyzwania. To ja wymyśliłem, że na dłuższą metę dobrze mu zrobi kilka lat w zwykłej szkole poza murami klasztoru. Kiedy był jednym z dwóch studentów w kraju ubiegających się o stypendium w Oksfordzie, poprosił mnie o napisanie mu rekomendacji. Zawsze wierzyłem, że pewnego dnia wróci do życia klasztornego.

Grantowi trudno było sobie wyobrazić Kinleya jako młodego studenta, pasował mu natomiast wizerunek buntownika.

— Przepraszam pana, to znaczy Ummon — jękał się Grant. — Tygrysie Gniazdo. Nie chcieliśmy... — Jak miał przeprosić religijnego przywódcę kraju za śmierć i zniszczenie, które dotarły za nimi do najświętszego miejsca z Bhutanie?

Je Khenpo położył rękę na jego ramieniu.

— Zło istnieje na świecie, tak jak dobro. Z tego, co słyszałem, oboje naraziliście się na niebezpieczeństwo fizyczne i zaryzykowaliście karierą, aby podążać za tym, co właściwe. Jedyne, co można zrobić, to połączyć odpowiedni wysiłek z odpowiednimi zamiarami. Skutki natomiast będą, jakie będą.

— Należy przede wszystkim pochwalić Jigme. Uratował nam życie — powiedział Grant.

— Słyszałem. — Je Khenpo spojrzał na Jigme z dezaprobatą, a on ponownie nisko się uklonił. — Szkoda, że mnisi nie mogą uprawiać naszego sportu narodowego.

— Wiem, że unikanie przemocy jest kluczowym aspektem buddyzmu — szybko dodał Grant — ale bez jego pomocy nie byłoby dziś między nami Kristin.

Kristin spuściła oczy. Grant domyślał się, co jej chodzi po głowie. Chociaż to Jigme strzelił z łuku do Tima Huntleya, to ona go zabiła. Grant zapewniał ją, że zabicie Tima było konieczne i że uratowała ich oboje od śmierci w płomieniach, ale wiedział, że wciąż się z tym nie pogodziła.

— Tak. — Stary mnich podniósł rękę i położył ją na ramieniu Kristin, jakby czytał w jej myślach, — Jeśli do sandała wpadnie mi kamyk, wyjmuję go. Ale robię to bez złości na sam kamień czy też osobę, która zapomniała pograbić ścieżkę. Czasami nadstawienie drugiego policzka powinno odbywać się tutaj — uderzył w swoją pierś — a niekoniecznie tutaj — zakończył, klepiąc się po twarzy.

Kristin uśmiechnęła się do niego.

— Już wiem, skąd wzięła się mądrość Kinleya.

Rozmawiając o wydarzeniach sprzed dwóch dni, Grant pomyślał o tym, że ledwie uszli z życiem. Wzdrygnął się. Tim Huntley już nigdy nie będzie torturował i nigdy nikogo nie zabije. Po licznych przesłuchaniach przez lokalną policję i amerykański konsul, wyczerpani Grant i Kristin zostali zwolnieni do hotelu. Jigme zatrzymał teksty Issy w dzong.

Je Khenpo przerwał jego rozmyślenia.

— Przede mną długa droga do Punakha. Życzę wam wszystkiego, co najlepsze. Jigme zadba o to, byście wyjechali z tym, po co tu przybyliście.

Znaczenie jego słów dopiero po chwili dotarło do Granta.

— Pozwalasz nam zabrać księgi Issy do Stanów?

Mnich wzruszył ramionami.

— Już za długo leżały zapomniane w moim kraju. Nadeszła pora, by uczeni z uznanych uniwersytetów zdecydowali, czy te księgi są tak cenne, jak myślisz.

— Dziękuję — pokłonił się Grant.

— Kinley powiedział, że jesteś szybkim, trzeźwo myślącym uczniem, podobnie jak sam Issa.

— A co z przepisami zabraniającymi wywożenia artefaktów historycznych? — zapytała Kristin.

— Hm... — Mnich podparł brodę na opuszkach palców. — Z technicznego punktu widzenia, księgi te nigdy nie należały do mojego kraju, zostały przysłane na przechowanie. — Puścił do nich oko. — Taka interpretacja prawa, przywilej mojej pozycji.

— A co sobie pomyślą inni mnisi? — dopytywała Kristin. Grant zerknął na Lamę Dorji, który nie spuszczał z nich oka, jakby oskarżając o sprowadzenie kłopotów, jakich się obawiał.

— Podjąłem decyzję, która, jak sądzę, jest w interesie *dratshangu*, a inni niech martwią się o siebie.

— Ummonie, zanim wyjedziesz muszę zapytać o jeszcze jedną rzecz — powiedział Grant. — W Sarnath dowiedzieliśmy się, że wasz kraj hojnie dofinansował świątynię, dzięki czemu mogli domalować fragment muralu, który nas skierował w to miejsce. Wiemy, że stał za tym Kinley, ale jak udało mu się zaaranżować ufundowanie malowidła?

— Rzeczywiście, rozmawialiśmy o tej świątyni od kilku lat, chcąc pomóc sfinansować dalszą część fresku. Kinley zaproponował, że sam tam pojedzie, aby przyspieszyć cały proces.

— Więc Kinley wykorzystał okazję, by wysłać nas w miejsce pierwszych nauk Buddy i dał nam ostatnią wskazówkę dotyczącą ukrycia tekstów? — zapytał Grant.

Je Khenpo uśmiechnął się, ze znajomym błyskiem w oku.

— Im bardziej otwieramy oczy na to, co wokół nas, tym więcej połączeń dostrzegamy.

Je Khenpo skinął na swojego asystenta, który podtrzymał go pod rękę na nierównym gruncie. Następnie zebrał ręką szafranową szatę, wsiadł do SUV-a i odjechał.

Rozdział 56

Cashiers, Karolina Północna

— Daleko jeszcze? — Kristin potarła oczy.

Grant wyteżył wzrok, by zobaczyć coś przez mgłę na drodze prowadzącej przez Cashiers, przytulną miejscowość w zachodniej części Karoliny Północnej.

— Minął rok, odkąd tu ostatnio byłem, ale to chyba już blisko.

Zamrugał światłami, zwolnił i skręcił w lewo za straganem z warzywami rozstawionym przez jakiegoś farmera. Trzygodzinna jazda przez Smoky Mountains powinna być przyjemna, ale oni podróżowali bez przerwy już od dwóch dni. Po lotach z Paro do New Delhi, potem do Paryża i wreszcie do Atlanty, gdzie przez godzinę stali w kolejce do odprawy celnej na międzynarodowym lotnisku Hartsfield-Jackson, wreszcie znaleźli na parkingu sześćioletnie audi należące do Granta i ruszyli na północ.

Ekscytacja związana z tym, że wkrótce pokaże teksty Issy profesorowi Billingsly'emu sprawiała, że Grant mimo zmęczenia nie poddawał się senności. Jego mentor wydawał się wstrząśnięty, gdy Grant zadzwonił do niego z Bhutanu, trzymając je w ręce. Historia Issy — brakujące lata z życia Jezusa — była teraz kompletna: jego podróże, gdy był nastolatkiem, nauki, które wywarły wpływ na niego, jego duchowe przebudzenie. Grant nie cieszył się tak jak powinien, ale nie przez zmęczenie, lecz świadomość, jak wielką cenę trzeba było za nie zapłacić: Kinley, Deepraj, Razi i pozostali, którzy stracili życie.

Po wysłuchaniu opowieści Granta Billingsly powiedział, że szef wydziału nie będzie miał innego wyjścia, jak natychmiast przywrócić Granta na zajmowane przez niego stanowisko.

Kiedy Grant wspomniał, że nie chciałby powtórzyć swojej porażki zbyt wcześnie publikując teksty Issy, Billingsly zaproponował, że od razu zorganizuje mu spotkanie z profesorem Singhiem z Wydziału Studiów Bliskowschodnich w swoim prywatnym domku w górach. Grant kilka razy odwiedził tam swojego promotora: każdego października, gdy liście zmieniały barwy i było najbardziej kolorowo, Billingsly urządzał weekendowy wypad dla swoich studentów. Jednak dzisiaj, miesiąc później, złote odcienie jesieni były już niewidoczne, a gałęzie niemal bezlistne.

Zaplanowali, że spędzą dwa dni w górach, a potem będą musieli wrócić do Atlanty, do biura FBI w centrum miasta. Chociaż zostali przesłuchani w amerykańskim konsulacie w Bhutanie, FBI chciało jeszcze raz wypytać ich o Tima Huntleya. Zanim wyjechali z Paro, Grant dowiedział się w konsulacie, że ten człowiek naprawdę tak się nazywał. Mieszkał w Birmingham i przybył do Bhutanu wyczarowanym odrzutowcem, ale to były wszystkie informacje, jakie posiadał. Przynajmniej nie groziło im już żadne niebezpieczeństwo. Grant pocieszał się, że ten człowiek nikomu już nie zrobi krzywdy.

— Jak dobrze znasz profesora, który przyjedzie z Billingslym? — zapytała Kristin.

— Profesora Singha? Spotkałem go kilka razy, zanim wyjechałem do Indii. Bystry, bez żadnej ściemy.

— Naprawdę może potwierdzić autentyczność tekstów?

— Całkowite potwierdzenie będzie trwało co najmniej rok, trzeba wykonać datowanie węglem, analizy atramentu, przestudiować język, ale on może na szybko sprawdzić ich wiek i autorstwo. — Grant we wstecznym lusterku spojrzął na czarną torbę na tylnym siedzeniu. W środku była zwykła sosnowa skrzynka owinięta streczem. — Jako ekspert od języka palijskiego będzie mógł wykonać dokładniejsze tłumaczenie.

— Więc kiedy teksty zostaną zweryfikowane, zabierzesz je do Emory, mając poparcie dwóch profesorów.

— I odwrotnie, jeśli profesor Singh uzna, że są sfałszowane, możemy oszczędzić sobie kolejnego upokorzenia. Ale mój instynkt podpowiada mi, że są prawdziwe.

Po kolejnych dwudziestu minutach jazdy po wijącej się górskiej drodze minęli czekoladowo-brązowy znak z żółtymi literami oznajmiający, że wjeżdżają do Nantahala National Forest. Po kilku minutach Grant skręcił w nieutwardzoną drogę. Biegła równolegle do głośnego strumienia, który płynął przez gęsty las. Za samotną drewnianą chatą szlak zaczynał pięć się pod górę. Kawałek dalej, po prawej, dostrzegli wypieszczony żwirowy podjazd.

— To tutaj — wskazał.

— Dokąd prowadzi główna droga?

— Do siedziby Służby Leśnej. Rodzice Harolda mieli szczęście, że udało im się kupić jedną z niewielu działek całkowicie otoczonych lasem państwowym.

Zakręcając na podjeździe, podjechali pod domek profesora, wybudowany na porośniętej trawą polanie. Zbudowano go z nieciosanego kamienia i dużych bali, miał szpiczasty dach pokryty dachówką i wyglądał bardziej jak schronisko dla narciarzy typowe dla Gór Skalistych niż jak leśniczówka.

— Poczekaj, aż zobaczysz wewnątrz — powiedział Grant, widząc oczarowanie na twarzy Kristin.

— Za profesorską pensję?

— Rodzinna fortuna.

— To jego samochód? — wskazała błyszczącego, czarnego sedana.

— Pewnie należy do profesora Singha.

Grant wziął torbę z tylnego siedzenia. Przywieźli teksty z Paro do tej oddalonej od cywilizacji siedziby w górach, obchodząc się z nimi z taką samą atencją, jakby zajmowali się noworodkiem. Teraz przekonają się, co powiedzą eksperci. Grant poczuł lekkie ściskanie w żołądku. Całym sercem wierzył, że dokumenty były autentyczne, ale nie miał żadnej gwarancji.

Kinley. Deepraj. Razi. Grant przyłapał się na tym, że idąc po znanej ścieżce, przypomina sobie wydarzenia, jakie doprowadziły go do tej chwili. Ćwiczył technikę medytacyjną, na której teraz polegał, pomagającą mu przejść przez te odgrywane w głowie sceny: przypatrywał się pojawiającym się wspomnieniom oraz emocjom, które te wspomnienia wyzwalały. Potem zaczerpnął powietrza pełną piersią, wypuścił je i skupił uwagę. W tym przypadku skoncentrował ją na dźwięku żelaznej kołatki, którą Kristin stuknęła w wysokie mahoniowe drzwi. Odprężył się.

— Grant, Kristin! — wykrzyknął Billingsly, otworzywszy drzwi. — Tak się cieszymy, że bezpiecznie wróciliście. — Zmarszczył czoło. — Wciąż jestem przerażony waszą opowieścią.

— Nie znasz nawet połowy — Grant ciepło uściśnął swojego mentora. — Streścimy wam wszystko przy obiedzie. — Wskazał samochód. — Profesor Singh?

— Czekamy na was w salonie.

Billingsly poprowadził ich przez hol z sosnowym parkietem; przeszli obok kuchni ze starymi kredensami oraz nowoczesnymi sprzętami z nierdzewnej stali i weszli do pokoju, którego widok za każdym razem zapierał Grantowi dech w piersiach. Ponad sosnową podłogą, na wysokości dwudziestu pięciu stóp znajdował się sklepiony sufit podtrzymywany przez grube cyprysowe belki. Po lewej stronie całą ścianę zajmował kamienny kominek, tak wysoki, że w środku mógłby stanąć wyprostowany człowiek, ale to okna od podłogi do sufitu na całej ścianie przed nim sprawiały, że zawsze odbierało mu mowę, gdy je widział. Niczym nieograniczony widok na niezliczone szczyty Smoky Mountains przypominał mu o krajobrazie Himalajów widocznym z dolin Bhutanu. Podziwiając mgłę wiszącą nad odległymi górami, Grant pomyślał o Kinleyu.

Zestawienie wspomnienia o swoim nauczycielu z zamglonymi szczytami gór tak go pochłonęło, że nawet nie zauważył siwowłosego mężczyzny, który wstał z wysłużonego skórzanego krzesła. Dopiero kiedy usłyszał, że Kristin aż podskoczyła z wrażenia, zwrócił uwagę na obecnych. Widok mężczyzny w sztywnym na miarę garniturze aż go zatkał.

— Wielebny Brady? — parsknęła Kristin.

Rozdział 57

Cashiers, Karolina Północna

- Siadajcie — wielebny Brady gestem wskazał miękką sofę w kolorze kawy.
- Haroldzie! Jak mogłeś? — Grant poczerwieniał na twarzy. — Zaprosiłeś *go* tutaj?
- Ja... to dość skomplikowane. Sądzę, że jeśli uda nam się wyjaśnić ci kwestie związane z tekstem, ostatecznie się z nami zgodzisz.
- Wyjaśnić! — krzyknął Grant. — Wiesz, że teksty Issy to jedno z najważniejszych odkryć. — Radość ze spotkania z mentorem gdzieś ulotniła. Nawet nie starał się ukryć irytacji.
- Spokojnie — głos profesora drżał — może byśmy usiedli i porozmawiali, zanim wyciągniesz jakieś wnioski.
- Widząc, że Billingsly oblizuje usta i nie wie, co zrobić z rękami, Grant przypomniał sobie wydarzenia ostatnich miesięcy, począwszy od ich pierwszego spotkania z profesorem w jego gabinecie w Emory. Gdy dotarła do niego perfidna zdrada mentora, poczuł się tak, jakby dostał cios w brzuch. Postawił torbę na ławie i opadł na sofę.
- Kristin zapewne również wszystkiego się domyśliła. Usiadła obok Granta.
- Zdradziłeś nas już na samym początku, prawda, *profesorze* Billingsly? — powiedziała. Słowo „profesor” w jej ustach zabrzmiało bardziej jak przekleństwo niż jak tytuł naukowy. — Przedwczesne ujawnienie tekstów Issy, które dostałeś mailem od Granta, nie było przypadkowe. — Wskazała na niego palcem. — A jak inaczej Brady znałby akademicką przeszłość Granta podczas debaty?
- Jak mogłem być tak naiwny? — Grant przeczesywał palcami włosy na głowie.
- Przykro mi — powiedział Billingsly, spuszczać wzrok.
- Och, przestań, Haroldzie. — Brady usadowił się na fotelu naprzeciw sofy, gdzie usiedli Grant i Kristin. — Rozumiałeś niebezpieczeństwa związane z tekstem, szkody, jakie mogą wyrządzić wierze milionów ludzi na ziemi. Nie możemy pozwolić, by Zbawca świata, jedyna prawdziwa droga prowadząca do Boga, łaził po Indiach i odnajdywał siebie poprzez jakieś poślednie religie. Wiara w to dewaluuje Jezusa, odbiera mu boskość. Niszczy naszą religię. Kiedy po raz pierwszy opowiedziałeś Jenningsowi o tej herezji, zgodziłeś się z tym, że dokumenty nie są autentyczne i należałoby się ich pozbyć. — Na jego twarzy pojawił się uśmiech, którego nie powstydziliby się kot z Cheshire. — Nie spodziewałbym się niczego innego po twórcy mojej książki.
- Co takiego? — Grantowi opadła szczęka. — Napisałeś *Dlaczego Bóg jest taki zagniewany?*
- A teraz pracuje nad kolejną częścią — powiedział Brady, podczas gdy Billingsly nie odrywał wzroku od podłogi. — Dzięki temu robi się coraz bogatszy. Przecież taki styl życia sporo kosztuje — gestem pokazał dom — szczególnie że skończyły mu się odziedziczone pieniądze.
- Sprzedałeś mnie za pieniądze? — Grant wbił wzrok w mentora.
- To nie tak — tłumaczył się Billingsly. — Napisałem książkę, zanim jeszcze po raz pierwszy

wyjechałeś do Indii. Ty, lepiej niż ktokolwiek inny, wiesz, że zostałem wystawiony, gdy ubiegałem się o stanowisko dziekana w Emory. Zasłużyłem na to stanowisko po tylu latach ciężkiej pracy, wszystkich tych publikacjach w mało znanych wydawnictwach akademickich i znoszeniu niedorzecznej polityki wydziałowej!

— Ale napisałeś książkę podsycającą strach ludzi, nadinterpretującą Księgę Objawienia. Księgę, która powstała w reakcji na zniszczenie świątyni przez Rzymian w 70 roku naszej ery oraz krwawe stłumienie żydowskiej rewolty. Ona nie zawiera przepowiedni wydarzeń, jakie będą miały miejsce dwa tysiące lat później.

— Grancie, to była wyjątkowa okazja. Moja kariera się nie rozwijała. Dzięki tym książkom mogę dotrzeć do milionów czytelników. Tak, przykłady mogą wydawać się dramatyczne, ale przesłanie książki, że jedyną drogę zbawienia można znaleźć w Jezusie, jest jak najbardziej słuszne.

— Ale Haroldzie, spójrz na konsekwencje. Ten szaleniec Tim Huntley ścigał nas po całym świecie. Zamordował Kinleya, Deepraja i Rازیego! — Grant zwrócił się do Brady’ego. — Twój parafianin.

Brady pobladł.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedział, nie tracąc pewności siebie.

Wtem Grantowi przyszło jeszcze coś do głowy.

— Zagadka Kinleya, z pomocą której wysłał nas do Indii i Tadź Mahal... Huntley nigdy sam by jej nie rozwiązał. Chociaż przejął moją skrzynkę mailową, potrzebował pomocy. — Spojrzał na swojego profesora. — Powiedziałem ci, jak odczytaliśmy zagadkę, zanim wyruszyliśmy w drogę!

— Przysięgam, że nie wiedziałem, że coś takiego się wydarzy! — Głos Billingsly’ego stał się piskliwy, poza tym profesor mocno się pocił. — Kiedy William Jennings zadzwonił z prośbą o pomoc, planowaliśmy jedynie wprowadzić nieco zamieszania podczas debaty, aby zniechęcić cię do dalszych poszukiwań.

— Wówczas dokumenty zostałyby zapomniane, tak jak stało się to z odkryciem Nikołaja Notowicza sto lat temu? — powiedział Grant.

— Dokładnie. Ale kiedy postanowiłeś je odzyskać... Szczerze mówiąc, nie wiedziałem o morderstwach. Nic a nic! Po prostu chcieliśmy, by teksty zniknęły.

— Utrudniacie ludziom dostęp do prawdy w ich najlepszym interesie, tak? — wybuchła Kristin. — I ty nazywasz się naukowcem!

— Czym jest prawda? — zaoponował Billingsly. — Nieważne ile jeszcze dokumentów odnajdzie się w opuszczonych jaskiniach czy zapomnianych klasztorach, nigdy nie będziemy wiedzieli, co dokładnie wydarzyło się dwa tysiące lat temu. To, jak teraz odbieramy Jezusa, jest ważniejsze niż jakieś wydarzenia, które miały miejsce dawno temu. Musielibyście zobaczyć, jak wiara wzmacnia ludzi należących do kongregacji wielebnych, jaką przynosi im radość i pocieszenie w trudnych chwilach. Chcecie im to odebrać, mówiąc, że to, w co wierzą, jest niewłaściwe?

— Te teksty nie unieważniają tego, jak obecnie ludzie doświadczają Chrystusa — powiedział Grant. — Jeśli już, to zapewniają lepszy wgląd w duchowość Jezusa i praktyki, jakie doprowadziły do jego, a może i naszego, duchowego przebudzenia.

— To człowiek, który pokazał nam, że boskość znajduje się też w naszych wnętrzach — powiedziała Kristin, patrząc Grantowi w oczy. — Mistyczny, ale nienadprzyrodzony Jezus.

Billingsly pokręcił głową.

— Dziewicze poczęcie, cuda, których dokonywał Jezus, jego zmartwychwstanie wystarczająco mocno świadczą o jego boskości. Bez tego chrześcijaństwo nie istnieje.

— Haroldzie, podczas naszej podróży zrozumiałem jeszcze coś innego — Grant pochylił się,

opierając łokcie na kolanach. — Dlaczego iskra boska, której doświadczyli apostołowie w obecności Jezusa, miałyby zniknąć, kiedy umarło jego ciało? A skoro Jezus i jego naśladowcy mogli bezpośrednio doświadczyć boskiej obecności, my też możemy. Królestwo Boga jest tu i teraz, w nas i wokół nas, parafrazując Ewangelię świętego Łukasza.

Powiedziawszy to, Grant uświadomił sobie, jak duży wpływ mieli na niego Kinley, Deepraj i Razi. W religii nie chodziło o wiarę w pewne fakty historyczne, chodziło o doświadczenie. Biblię, którą przez większość swojego dorosłego życia postrzegał jako księgę przesadną i daleką od faktów, teraz widział zupełnie inaczej. Opowiadała o doświadczeniach ludzi z boskością w konkretnym czasie, o doświadczeniach, które on sam od niedawna zaczynał pojmować.

— Pokrętna gadanina New Age! — wrzasnął Brady. — Tak jak podczas debaty. Najpierw twierdzisz, że duchowość Jezusa zrodziła się w Indiach, a teraz zabierasz mu pierwiastek boskości.

Grant wstał.

— Nie sądziłem, że cię tu dziś spotkam, wielebny, i na pewno nie mam szans przekonać cię do moich poglądów, ale te teksty i tak zostaną ujawnione i zbadane. — Wyciągnął rękę do Kristin. — Chodź, jedziemy do Emory.

— Nie sądzę — usłyszeli za sobą czyjś głos.

Rozdział 58

Cashiers, Karolina Północna

Grant odwrócił się w stronę, z której dochodził głos, i od razu wyszło mu w ustach. Do pokoju wchodził łysiejący mężczyzna w ciemnoniebieskim garniturze. Celował w pierś Granta rewolwerem z perłową rękojeścią i srebrną lufą.

Brady wykrzyknął.

— Jennings, a co ty tu robisz, do cholery?

Mężczyzna nie odpowiedział Brady'emu, lecz zwrócił się do Granta i Kristin.

— Pan Matthews i pani Misaki, jak rozumiem?

— Kim pan jest? — spytał Grant.

— William Jennings, dyrektor operacyjny Kościoła New Hope.

Wówczas Grant rozpoznał w nim człowieka, który towarzyszył Brady'emu podczas debaty. Ale dziś poważnie wyglądający Jennings miotał się po pokoju ze zmrużonymi oczami. Drżąca w jego dłoni broń sprawiła, że Grant oblał się zimnym potem. *Tylko nie to, pomyślał.*

Wtedy zrozumiał, kim naprawdę był Jennings. Billingsly powiedział kilka minut wcześniej, że był tym człowiekiem, który zadzwonił do niego przed debatą. Brady również wyglądał na autentycznie zdziwionego, kiedy Grant wspomniał nazwisko Huntleya. To Jennings stał za całym tym cierpieniem, którego byli świadkami.

— To ty posłałeś Tima Huntleya, by dopadł nas w Indiach i Bhutanie! — Grant nie mógł się powstrzymać. — Człowieka, który bez wahania torturował i zabijał, by zdobyć teksty.

— Nigdy nie kazałem mu nikogo zabijać. Miał tylko zniszczyć księgi.

— Posłużyłeś się tym czubkiem? — krzyknął Brady. — Tym, który posyłał mi idiotyczne maile?

— Bóg podsunął nam użyteczne narzędzie, kiedy go potrzebowaliśmy. Poddałem się jego woli.

— Nic mi nie powiedziałaś!

— Brianie, nigdy nie lubiłeś słuchać o szczegółach dotyczących działania kościoła, a ta sprawa wymagała szczególnej dyskrecji.

— Umożliwiłeś mu zastosowanie przemocy! — wrzeszczał Grant, ignorując wycelowaną w niego broń. — Jak to się ma do „nadstawiania drugiego policzka”?

— Nie chce mi się słuchać, jak skompromitowany student cytuje Biblię — głos Jenningsa podniósł się o oktawę. — Bóg nie przestał pozbywać się grzeszników i niewiernych w Starym Testamencie. W ewangelii, hm..., Mateusza, rozdziale dziesiątym, Jezus... sam Jezus mówi: „Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem, by przynieść pokój, ale miecz”. To, co zobaczymy, gdy nadejdzie Armagedon, sprawi, że przemoc, której doświadczyliście, będzie wyglądała jak bójka w przedszkolu.

Chociaż Jennings nie potrafił mówić tak jak Brady, Grant dostrzegł w nim prawdziwego architekta

tragedii, które zostały wyrażone w piśmie. Nie mógł przestać myśleć o tym, że odpowiedź Jenningsa przypominała filozofię jego ojca. Tym razem Grant pozwolił, by wspomnienie o ojcu po prostu samo minęło. *Jestem w pełni obecny, tu i teraz.*

Musiał wymyślić plan, jak przegadać Jenningsa. Ale po tym wszystkim, przez co przeszedł, w pierwszym odruchu zaczął się rozglądać po pokoju, by znaleźć coś, co w razie czego mogłoby posłużyć mu za broń. Na stole stała tylko torba z ciężką skrzynią zawierającą starożytne księgi — nie było nawet popielniczki, którą mógłby rzucić. Wtem wpadł mu w oko żelazny pogrzebacz: stał oparty o kamienny kominek. Ale znajdował się dobre osiem stóp od niego.

— Bzdury! — powiedziała Kristin, przyczajona na skraju sofy jak lwica gotowa do skoku na gardło swojej ofiary. — W Waranasi, kiedy byłam uwięziona przez Tima Huntleya, słyszałam, jak on rozmawiał z kimś przez telefon. To byłeś ty, prawda? Na pewno wiedziałeś, jaki jest agresywny.

Grant zbliżył się o krok do kominka i odwrócił tak, by stać przodem do Jenningsa, sofy, na której siedziała Kristin i Billingsly, oraz fotela Brady’ego.

Jennings skrzywił się.

— Moja droga, wielcy ludzie muszą być gotowi do wielkich poświęceń. Bóg nie po to przysłał mnie na ziemię, bym siedział cicho i kontemplował naturę mojego istnienia. Przysłał mnie, abym był motorem zmian. Tak jak wielebny dostał misję głoszenia jego ewangelii, ja mam zadbać o to, by głos Boga — wolną ręką wskazał Brady’ego — dotarł do milionów i ich zbawił. Podczas wojny są ofiary. Podobnie jak były w Sodomie i Gomorze, jak będą na wzgórzach Armagedonu i ostatnio w Indiach i Bhutanie.

Ten człowiek jest tak samo szalony jak Tim Huntley, zrozumiał Grant. Zerknął na Brady’ego, któremu choć raz odebrało mowę, gdy zrozumiał, co się stało. Wielebny zrobił wielkie oczy i otworzył usta, widząc, że jego podwładny przejmuje kontrolę nad sytuacją. Grant cofnął się w stronę kominka.

— Moim jedynym błędem było wynajęcie Huntleya — ciągnął Jennings — i wiara w to, że uda mu się zakończyć misję. Czasami, żeby dobrze wykonać robotę, trzeba zająć się nią samemu.

Jennings podszedł bliżej Brady’ego. Broń raz wycelowana była w Granta, raz w Kristin. Inaczej niż podczas ich konfrontacji z Huntleyem, nie zatrzymywała się na żadnym z nich. Huntley był wyszkolonym zawodowcem, a Jennings nie. Grant postanowił, że zaatakuje, kiedy tylko nadarzy się okazja. Podszedł bliżej kominka.

Jennings wskazał torbę i zwrócił się do profesora Billingsly’ego.

— Zrób coś pożytecznego i wrzuc te herezje z torby do ognia.

Grant poczuł pulsowanie w uszach. Chociaż bał się o życie, nie chciał pozwolić na zniszczenie tekstów, tym bardziej że za sprowadzenie ich tutaj wielu ludzi zapłaciło najwyższą cenę.

— Może byś opuścił broń, Williamie — Brady wreszcie odzyskał głos. — Nie pogarszaj jeszcze bardziej tej trudnej sytuacji.

— Cóż, sytuacja już jest zła. — Jennings oblizwał usta. Broń drżała w jego ręce. — Zamierzam skończyć to, co Huntley powinien zrobić w Bhutanie.

Grant przełknął ślinę i wytarł dłonie w dzinsy.

— Nie! — wrzasnął Billingsly. — Żadnego zabijania w moim domu.

— Wiedzą zbyt dużo — powiedział Jennings. — To jedyny sposób, by mieć pewność naszej przyszłości. Przyszłości boskiego dzieła.

— Nie, jeśli zniszczysz księgi, nie będą mogli niczego udowodnić — prosił profesor. — Pamiętaj, już raz zostali skompromitowani, wszyscy sądzą, że kłamali na temat tekstów.

Grant znajdował się w odległości pięciu stóp od kominka. Gdyby skoczył, mógłby chwycić

pogrzebacz, ale nie był pewien, czy da radę dopaść Jenningsa stojącego przy fotelu Brady'ego, zanim ten odda strzał.

Pochrzążając, Brady podniósł się z fotela i stanął obok swojego zastępcy.

— Kiedy umówiłeś mnie na to spotkanie, powiedziałeś, że nie musisz tu przyjeżdżać. Billingsly i ja mieliśmy kontrolę nad wszystkim. Wyjaśnialiśmy tym dwojgu, jakie zagrożenia wiążą się z publikacją tekstów, tak jak się umawialiśmy.

— Oni nigdy ich nie oddadzą po dobroci.

Grant cofnął się bliżej kominka. *Cztery stopy.*

— Cóż, zatem — powiedział Brady — pokażemy światu, że te teksty są sfałszowane lub że zostały napisane później, przez autorów żyjących długo po opisanych wydarzeniach. Będziemy pławić się w PR-owej bonanzie, podobnie jak po debacie.

— A jeśli teksty rzeczywiście pochodzą z pierwszego wieku? — napięcie w głosie Jenningsa zdradzało, że jest bardzo zestresowany. — Poza tym, czas na wyjaśnienia już minął. Jesteśmy po uszy w kłopotach.

— Kłopotach? — spytał Brady.

— Grant i Kristin domyśliliby się, że Billingsly stał za przeciekami tekstów do mediów, o co sam go prosiłem; że przed debatą dostarczył mi informacji o przeszłości Granta i że dał mi tłumaczenie zagadki o Tadz Mahal, które przekazałem Huntleyowi. Za kilka dni FBI zapuka do naszych drzwi. — Jennings otarł czoło wolną ręką. — Skorzystałem z kościelnych funduszy, by zapłacić za lot Huntleya do Indii i by wyczarterować samolot, którym poleciał do Bhutanu. Zacierałem ślady aż do teraz, ale nie możemy sobie pozwolić, by ta dwójka ujawniła teksty i swoją wiedzę.

— To jakieś szaleństwo! — zagrzmiał Brady. — Jeśli zrobiłeś rzeczy, których nie powinieneś robić, musisz za nie odpokutować.

— Sprawy zaszły za daleko. Kościół i wszystko, co planowaliśmy, zostanie zniszczone.

Grant przesunął się jeszcze bliżej kominka. Za sprawą coraz bardziej zagorzałej kłótni nikt nie zwracał na niego uwagi. Już prawie mógł złapać pogrzebacz.

— Kościół już wcześniej pokonywał przeciwności losu.

— Brianie, dziś rano bank wstrzymał nasz kredyt. Oskarżono nas o pogwałcenie przepisów finansowych, nasze rezerwy finansowe nie są wystarczające, by spłacić długi. Wspólnota New Hope jest na razie zawieszona.

— Jak to się stało? Budowa New Hope jest wolą Boga! Spieprzyłeś to, Williamie.

— Moja wina! — Jennings poczerwieniał. — Od bardzo dawna przymykałem oko na twoje kręctwa: twoje ego, hipokryzję, rozrzutność. Okłamywałem się, że są to konieczne kompromisy, aby osiągnąć większe dobro: rozwój kościoła. Naprawdę masz niezwykły dar od Boga, taki, o którym ja mogę tylko pomarzyć, ale zatruwa cię twoja własna charyzma.

I tym razem Brady'emu odebrało mowę. Po chwili ciszy uniósł dłoń i chwycił Jenningsa za ramię, w której jego współpracownik trzymał broń.

— To już koniec, Williamie. Wyjdźmy.

— To nie może być koniec! — krzyknął Jennings. — Nic nie rozumiesz. Wszystko, co robiłem, moje całe życie, poświęciłem tobie, kościołowi, Bogu! — Próbował wyrwać rękę, ale wielebny chyba mocno go trzymał, ponieważ Jennings potknął się i poleciał do przodu. Szarpali się, walcząc o broń.

Grant zareagował bez zastanowienia. Okręcił się na pięcie i doskoczył do żelaznego pogrzebacza opartego o kamienny kominek.

Broń wystrzeliła w chwili, gdy odwrócił głowę. Dzwoniło mu w uszach, ale trzymając w ręce

chłodne żelazo, obrócił się w stronę, gdzie rozgrywały się dramatyczne wydarzenia. Jennings i Brady stali do siebie twarzą w twarz. Żaden się nie poruszał.

Grant zauważył ciemną powiększającą się plamę na plecach marynarki Brady'ego, w miejscu, gdzie wyszła kula. Kiedy wielebny zwałił się na podłogę, Grant rzucił się przed siebie. Dzielącą ich odległość przebył w trzech susach. Oczy Jenningsa patrzyły raz na ciało na podłodze, raz na broń, którą trzymał w ręce. Wyglądał jak dzikie zwierzę w pułapce.

Strzelanina dała Grantowi szansę, na którą czekał. Ujął pogrzebacz obiema rękami i zamierzył się na Jenningsa.

Twarz Jenningsa stężała, gdy dotarło do niego, co się stało. Wycelował teraz broń przed siebie — w siedzącą na sofie Kristin. Patrzył na nią tak, jakby to ona zastrzeliła jego szefa i przyjaciela.

Nawet nie wie, że tu jestem, pomyślał Grant.

Napiął mięśnie, by uderzyć, ale w tej chwili czas zwolnił. Zamachnął się pogrzebaczem, ale nie był dość szybki. Wiedział, co zaraz się wydarzy i wiedział, że spóźni się o ułamek sekundy, by temu zapobiec.

Dostrzegł iskrę zapłonu i smużkę dymu wydobywające się ze srebrnej lufy rewolweru. Zanim rozległo się echo wystrzału, żelazny pręt w rękach Granta spadł na wyciągniętą w przód rękę Jenningsa. Pod wpływem uderzenia kość pękła, a nadgarstek wystrzelił do góry. Pistolet upadł i wylądował lekko na ciele Brady'ego. Jennings upadł na kolana. Z jego piersi wyrwało się wycie.

Grant skoczył na niego. Pogrzebacz w jego ręce wciąż wibrował po uderzeniu. Nauczywszy się na przykładzie Huntleya w Bhutanie, nie spuszczał z oczu rąk Jenningsa, kątem oka próbując zlokalizować miejsce, gdzie upadła broń. Znalazł ją o kilka cali od ciała Brady'ego. Wyrzucił pogrzebacz i chwycił pistolet. Kciukiem odciągnął kurek, wycelował błyszczącą lufę w pierś Jenningsa i podniósł się na nogi. Ignorując Granta oraz pistolet, Jennings gapił się na swoje złamane przedramię, które podtrzymywał zdrową ręką.

Strach niczym magnes kazał mu się odwrócić i sprawdzić, co czekało na niego na sofie.

Kristin siedziała bez ruchu na środku, miała szeroko otwarte oczy. Serce Granta wypełniło się nadzieją.

— Spudłował? — zapytał, a słowa z trudnością przeszły mu przez gardło.

Pokręciła głową. Skierowała wzrok na postać leżącą u jej stóp, częściowo zasłoniętą ławą. Nie spuszczać Jenningsa z muszki, Grant przysunął się do Kristin.

— Zasłonił mnie swoim ciałem.

Na podłodze leżało skręcone pod nienaturalnym kątem ciało profesora Billingsly'ego. Po sosnowych deskach płynęła strużka krwi.

Grant pochylił się, by sprawdzić puls.

— Grant! — krzyknęła Kristin.

Odwrócił się. Jennings zbliżał się, jakby popychała go jakaś niewidzialna siła. Na jego twarzy nie było oznak ani wściekłości, ani bólu — był spokojny i wyzbyty z wszelkich emocji. Złamaną rękę trzymał przy brzuchu. Zdrową ręką zamachnął się pogrzebaczem. Za sekundę pręt zetknął się z czaszką Granta.

Grant czuł gładką rękojeść rewolweru w dłoni. Podniósł broń w stronę nadciągającego Jenningsa i nacisnął spust. Eksplozja oraz odrzut były silniejsze niż się spodziewał. Jenningsem szarpnęło, jakby został uderzony z pięści. Grant strzelił po raz drugi. Jennings z łoskotem upadł na podłogę, uderzając głową o drewniany kant ławy. W chwili gdy cichł odgłos wystrzału, cierpki zapach prochu strzelniczego napełnił nozdrza Granta.

Jennings nie żył.

Grant wiedział, że będzie musiał poradzić sobie emocjonalnymi konsekwencjami tego, co zrobił, podobnie jak Kristin w przypadku Huntleya, ale to na razie musiało poczekać. Odłożył rewolwer na ławę i odepchnął sofę. Następnie ostrożnie przetoczył profesora Billingsly'ego na plecy. Prząd pasiastej zielonej oksfordzkiej koszuli był przesiąknięty krwią. Jego mentor — człowiek, dzięki któremu Grant dostał się do Emory, człowiek, który go zdradził, człowiek, który poświęcił swoje życie za Kristin — też już nie żył.

Piekły go oczy, paliło w gardle, ale mówił pewnie.

— Wybaczam ci, Haroldzie. Dziękuję.

— On żyje — krzyknęła Kristin.

Grant odwrócił się. Czyżby Jennings jeszcze żył? Broń wciąż leżała na ławie, a Jennings ani drgnął.

— Brady! — Kristin uklękła przy wielebny.

Grant podniósł broń, wsadził ją sobie za pasek i pospieszył za nią. Twarz Brady'ego straciła kolory, z jego ust dochodził cichy jęk. Kristin wyjęła białą chusteczkę z kieszeni jego garnituru i rozpięła mu marynarkę. Rana po kuli znajdowała się poniżej prawego ramienia, krew plamiła niebieską bawełnianą koszulę w drobną kratkę. Brady skrzywił się, kiedy Kristin przycisnęła chusteczkę do rany. Grant przyklęknął obok nich.

— Zostań z nami, wielebny — powiedziała. — Twoje ciało doznało wstrząsu, ale dasz radę.

Brady zamrugał oczami, zamknął je, ale zaraz znowu otworzył i spojrzał na Granta.

— Nie miałem pojęcia. Proszę, zrozum to — jego dłoń zacisnęła się na ręce Granta z siłą, której ten się nie spodziewał. — Całe to cierpienie i śmierć. To nie należało do boskich planów. Jest mi tak przykro. — Jego oczy znów się zamknęły, ale nadal płytko oddychał.

— Zostanę przy nim — powiedziała Kristin. — Zadzwoń pod 911.

Grant wrócił do sofy, usiadł na podłodze koło ciała swojego mentora i wybrał numer z jego telefonu komórkowego. Po wyjaśnieniu okoliczności zdezorientowany operator pogotowia górskiego obiecał natychmiast przysłać policję oraz karetkę pogotowia. Grant rozłączył się. Położył pistolet na podłodze, nie chciał go już dotykać. Następnie zdjął z ławy torbę z tekstami i trzymał ją na kolanach. Jej ciężar dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Kristin nadal klęczała po drugiej stronie przy Bradym, uciskając ranę i cicho pocieszając mężczyznę, że pomoc jest już w drodze. Grant poczuł nieoczekiwane współczucie dla człowieka, który poniżył go w ogólnopolskiej telewizji.

Czuł żal.

Brady był oślepiiony przez własne ego, ale był również człowiekiem, który szczerze wierzył. *Tak jak mój ojciec*, uświadomił sobie Grant. Wypuścił wstrzymywane powietrze z płuc i poczuł, że napięcie zaczyna opuszczać jego ciało. Z nowo nabytą jasnością zrozumiał, że kumulował w sobie złą energię — związaną z Bradym, ze swoim ojcem — niczym szalka Petriego, na której rozwija się wirus nieograniczony przez żadne antyciała. Uważał się za ofiarę, ale teraz, gdy siedział na podłodze otoczony przez śmierć, śmierć, która pewnego dnia niechybnie zapuka również do jego drzwi, zrozumiał, że cały czas pielęgnował w sobie złą energię. Jego ojciec i Brady byli, jacy byli, tak jak i on był, jaki był.

Od tylu lat zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie w stanie przebaczyć ojcu. Może po prostu używał niewłaściwego słowa. *Ustąpić. Zaakceptować.* Te brzmiały lepiej.

Głęboko odetchnął, poczuł aromat chłodnego górskiego powietrza zmieszany z dymem z kominka i słodkim zapachem prochu strzelniczego. Poziom adrenaliny napędzającej jego ciało opadł, serce biło już wolniej.

Przeniósł wzrok z rzezi wokół niego na widok za panoramicznym oknem. Mgła, która wcześniej

otulała góry, teraz już się rozwiała. Żółte promienie słońca tańczyły po pokrytych sosną wzgórzach rozciągających się przed nim. Nie spuszczać oczu z krajobrazu, rozpiął zamek torby, którą trzymał na kolanach i włożył ręce do środka. Opuszkami palców muskał gładką powierzchnię skrzynki. Myślał o ukrytych w niej księgach i historii Issy.

Skupił się na oddechu — cząsteczkach powietrza wpływających do płuc i wydychanych przez nozdrza — w sposób, jakiego dwa miesiące wcześniej nauczył się od Kinleya. Przymknął oczy. Po kilku minutach poczuł przyływ energii. Zaczęło się od łaskotania, które odczuwał na całej powierzchni skóry. Następnie poczuł jej obecność w każdym mieszku włosowym na ciele, jakby zostały one naładowane energią statyczną. Czuł, że żyje. Ale nie próbował analizować tego, co się dzieje, przyglądał się tylko, jak ta świadomość rozplywa się po całym jego umyśle. Stopniowo energia spłynęła do wnętrza jak woda, która znalazła swój odpływ. Grant podążył za nią, aż skupiła się w jednym miejscu w postaci maleńkiej iskierki zawieszanej w ciemności jego duszy.

Skupił się na tej iskierce. Dmuchał na nią, jakby chciał rozniecić duży ogień. Iskra zmieniła się w płomień. Kiedy płomień zaczął się rozprzestrzeniać, przenikając go na wskroś, Grant uświadomił sobie, że odczuwa spokój, który, jak sądził, jest niemożliwy do osiągnięcia w sytuacji, w jakiej się znalazł. Wtedy dostrzegł w sobie jeszcze jedno uczucie. Czuł miłość. Miłość do Kinleya, miłość do Kristin i, co dziwne, również miłość do Brady'ego, Jenningsa i Billingsly'ego.

Teraz wiedział, że między nimi wszystkimi istniała więź.

Skierował oddech na płomień w swojej duszy, rozniecając ogień. Swój oddech.

Ataman. Nephesh. Bóg.

Epilog

Uniwersytet Yale

New Haven, Connecticut

Pięć lat później

Pojedynczy kwiat o średnicy ośmiu cali. Mnóstwo żółtych płatków. Ich krawędzie zawinięte niczym brzegi spodka, tworzące duży kielich otoczony okrągłymi, płaskimi, zielonymi liśćmi.

Lotos.

Grant kontemplował kwiat unoszący się w misie z wodą na jego biurku: maleńkie żyłki widoczne na każdym płatku, delikatny zapach docierający do nosa. W myślach wrócił do etapów, dzięki którym kwiat się tutaj znalazł: kwiaciarnia, gospodarz, roślina, nasionko, całe pokolenia roślin przed nim, woda, gleba, światło. Przypomniawszy sobie chwilę, kiedy pięć lat wcześniej dowiedział się, że lotos może rosnąć w najobrzydliwszych warunkach i że zawsze wypływa na powierzchnię i rodzi kwiaty. Piękno z ciemności. Teraz ów kwiat stał na biurku w wyłożonej boazerią sali wykładowej Harkness Hall na kampusie Yale.

Grant przeniósł uwagę z kwiatu na widok rozciągający się za witrażowym oknem. Był późny ranek, a słońce nadawało ciepłe tony gotyckim łukom i wieżom katedralnym biblioteki Sterling Memorial Library, wznoszącej się po drugiej stronie szerokiego zielonego trawnika. Grant również grzał się w słońcu. Chociaż przed chwilą wziął prysznic na siłowni Payne Whitney, nadal się poccił po porannych ćwiczeniach.

Jej pociąg powinien już przyjechać, pomyślał po raz czwarty w ciągu ostatniej pół godziny. Potem uśmiechnął się, uświadamiając sobie, jaki jest niecierpliwy. Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd ostatni raz się widzieli. Sięgnął po telefon. Może wysłała esemesa. Ale komórki nie było w kieszeni. Potrząsnął głową, kiedy sobie przypomniał. Znowu zostawił telefon na kuchennym blacie, podłączony do ładowarki.

Odwrócił się na dźwięk otwierających się drzwi sali. Puls mu przyspieszył, gdy Grant ujrzał piętnastu hałaśliwych studentów trzeciego i czwartego roku, wchodzących do klasy. Zajęcia na uniwersytecie odbywały się już od prawie dwóch miesięcy, a on wciąż czuł ekscytację za każdym razem, gdy przekraczał próg sali, w której prowadził wykłady z religioznawstwa porównawczego.

Z pierwszego rzędu odezwał się tyczkowaty student o potarganych jasnych włosach i ciekawskim spojrzeniu niebieskich oczu.

— Co sływać, profesorze?

— Czekam sobie, panie Hodges — odparł Grant. Podniósł głos, by przekrzyczeć harmider, jaki robili studenci rzucający torby z książkami na podłogę, rozmawiający i zajmujący miejsca wokół stołu ustawionego w podkowę. — Czekam, aż pana koledzy podejmą decyzję, czy są gotowi na

kolejną inspirującą lekturę. — Tu i tam ktoś się roześmiał.

Grant usiadł na skraju biurka, przodem do siedzących w półkolu studentów. Dał im chwilę na włączenie laptopów, a sam zamyślił się, wspominając zamieszanie ostatnich pięciu lat, które go tu przywiodło.

Cyrk medialny wokół Kościoła New Hope wiązał się z miesiącami wywiadów i zeznań, jakich udzielali wspólnie z Kristin. Towarzyszące mu dochodzenie urzędu podatkowego, podczas którego wykryto nielegalne wpłaty i nadużycie funduszy, skończyło się zamknięciem działalności kościoła. Tak jak przewidział William Jennings, banki orzekły przepadek mienia Wspólnoty New Hope, a następnie sprzedały częściowo gotowy projekt na aukcji za ułamek kosztów budowy. Nabywcą był deweloper, który dzięki wykorzystaniu projektu sporządzonego według zasad Nowej Urbanistyki, ale bez kościelnych powiązań, dorobił się milionów.

Po szeroko zakrojonym śledztwie władze postanowiły nie oskarżać wielebnego Brady'ego o przestępstwo. Okazało się, że za wydarzeniami prowadzącymi do morderstw stał jedynie zmarły Jennings, który nie ujawniał swojemu szefowi żadnych szczegółów, podobnie jak ukrywał przed nim finansowe machinacje kościoła. Ale Brady został ośmieszony. Wycofał się z wyborów na prezesa NSE i zniknął z życia publicznego. Grant czytał później, że trzy lata po zamknięciu New Hope, w Montgomery otwarto nowy mały kościół, którego pastorem był nie kto inny, jak Brian Brady.

Po dokładnym przeszukaniu mieszkania nieżyjącego Tima Huntleya oraz jego komputerowych twardych dysków, FBI powiązała go z zamachem bombowym w Emory. Ponadto znaleziono całe gigabajty plików zawierających ekstremalną propagandę polityczną i religijną oraz materiały dotyczące teorii konspiracyjnych. FBI odkryła również, że Huntley gromadził informacje o innych potencjalnych celach. Kiedy przyjrzeni się jego wojskowej karierze, okazało się, że został wydalony z wojska ze względu na obowiązującą wówczas politykę „nie pytaj, nie mów” [7], dyskryminującą homoseksualistów, która już została zniesiona. Ale jego akta zawierały również liczne nagany za brak szacunku dla oficerów starszych stopniem oraz wygłaszanie niestosownych poglądów. W wyniku dochodzenia jeden z jego współpracowników i przyjaciół z dzieciństwa, Johnny Meckle, został aresztowany i skazany za dokonanie zamachu bombowego oraz zamordowanie profesor Marthy Simpson.

Zaraz po zamknięciu dochodzenia Grant został przywrócony na stanowisko w Emory i otrzymał wylewne przeprosiny od dziekana. Sześć miesięcy później obronił pracę doktorską. Oficjalna publikacja Ewangelii Issy, jak powszechnie zaczęto nazywać teksty, sprawiła, że Grant i Kristin znaleźli się w centrum zainteresowania mediów. Na miejsce „Projektu Issa” wybrali Uniwersytet Yale i oboje zostali współprezesami tego przedsięwzięcia. Uniwersytecka Biblioteka Rzadkich Ksiąg zawierała wiele eksponatów klasy światowej, a teraz była również miejscem przechowywania Ewangelii Issy. Grant uznał, że dokumenty powinny zostać złożone w bibliotece, która podobnie jak klasztor, gdzie zostały odkryte, sama była cudem architektonicznym. Budynek miał kształt gigantycznej kostki z przezroczystego marmuru i dziwnym zbiegiem okoliczności w jej posiadaniu znajdowała się również Biblia Gutenberga, pierwsza zachodnia księga drukowana.

Grant nigdy nie był tak zajęty i tak zadowolony.

— Okej, zaczynajmy — postukał w biurko, by przyciągnąć ich uwagę. Kiedy studenci zwrócili w jego stronę wyczekujące spojrzenia, zaczął wykład: — Wczoraj skończyliśmy na określeniu kilku podobieństw w życiorysach Jezusa i Buddy: ich narodzin, kuszenia przez diabła, umiejętności leczenia chorych przez dotyk, zmartwychwstania i reinkarnacji, a wreszcie, co najważniejsze, ich praktyk medytacyjnych i modlitewnych. — Grant przechadzał się po pomieszczeniu. — Dziś zacznijmy od licznych podobieństw w nauczaniu obu tych ludzi. Czy ktoś chce zacząć?

Zanim uczniowie zdążyli odpowiedzieć, drzwi na końcu sali wykładowej się otworzyły. Grant przyglądał się, jak obchodzi stół. Krótka spódnica Burberry podkreślała opalone nogi. Ale jedynie on widział niewielki brzusek pod kremową bluzką. Jeszcze nikomu nie powiedzieli.

— Na pewno wszyscy znacie moją żonę, panią Misaki. — Kristin pomachała do studentów. Objął ją, a ona pocałowała go prosto w usta, na co ich widownia odpowiedziała kilkoma gwizdami.

Niechętnie wypuścił ją z objęć, a ona odwróciła się w stronę studentów.

— Dzień dobry.

Jakaś kobieta w kręconych włosach, ubrana w bluzę z wielkim „Y” na przedzie, wierciła się na swoim miejscu, jakby znalazła się obok gwiazdy rocka.

— Widzieliśmy panią wczoraj w telewizji! — powiedziała wreszcie.

Grant również ją widział. Nowy Jork był ostatnim przystankiem na trasie promocyjnej ich książki. Trzy tygodnie wcześniej wydali już drugą publikację o Ewangeliach Issy. Pierwsza była pospiesznie przygotowanym tłumaczeniem z zaledwie kilkoma komentarzami. Ta nowa skupiała się na kwestiach poruszonych w manuskryptach w ich kontekście historycznym. Postanowili, że Grant pozostanie w Yale, nauczając i nadzorując działania związane z Projektem Issa, a Kristin w tym semestrze weźmie urlop od swoich obowiązków i zajmie się wykładami o książce.

— Znowu zostawiłeś komórkę w domu? — zapytała. Przytaknął. — Więc pewnie jeszcze nic nie widziałeś? — Podniosła złożoną gazetę.

Spojrzał pytająco.

— A wy? — Pokazała gazetę studentom, ale za całą odpowiedź dostała tylko nierozumiejące spojrzenia. — Rozumiem, że wypadacie z łóżka w ostatniej chwili, by zdążyć na wykłady o jedenastej. — Wskoczyła na biurko Granta i usiadła ze skrzyżowanymi nogami, po czym otworzyła gazetę na pierwszej stronie.

W prawej kolumnie widniał tytuł: WATYKAN OGŁASZA, ŻE UJAWNI MANUSKRYPT ISSY. Kristin zaczęła czytać na głos:

Wczoraj późnym popołudniem Watykan niespodziewanie ogłosił, że zamierza ujawnić starożytny manuskrypt, który, podobnie jak Ewangelie Issy odkryte pięć lat temu przez Granta Matthewsę i Kirstin Misaki, opisuje podróże Jezusa z Nazaretu po Indiach oraz jego naukę hinduizmu i buddyizmu. Według przedstawiciela Watykanu, kardynała Giancarla Giovanniego, watykański manuskrypt powstał w języku tybetańskim i wydaje się późniejszą kompilacją z różnych Ewangelii Issy znalezionych przez pana Matthewsę i panią Misaki. Naukowcy oraz bibliści datują Ewangelie Issy, które spisano w starożytnym języku palijskim, na początek I wieku naszej ery, co oznacza, że powstały one przed najstarszymi księgami Nowego Testamentu.

Według kardynała Giovanniego pochodzenie manuskryptu watykańskiego jest „niezbyt jasne”. Oryginalnie został odkryty w 1887 roku przez rosyjskiego dziennikarza Nikołaja Notowicza podczas jego pobytu w klasztorze Hemis w Ladakh w Indiach. Na początku lat trzydziestych teksty zostały zakupione przez delegację Watykanu przebywającą z wizytą w Hemis. Dokument rzekomo został zapomniany w archiwach watykańskich i odkryto go dopiero w zeszłym miesiącu podczas rutynowego katalogowania zbiorów. Kiedy zapytaliśmy, dlaczego treści manuskryptu nie ujawniono zaraz po jego odkryciu, kardynał odpowiedział: „Oprócz wątpliwości związanych z autentycznością i wiekiem tego dokumentu, tekst został sprowadzony w burzliwym okresie historycznym związanym z wybuchem II wojny światowej. Kościół postanowił, że ujawnienie go w tak krytycznym okresie nie leży w niczyim interesie”. Kardynał Giovanni dodał również, że ten komunikat nie ma żadnego wpływu na wcześniejsze stanowisko Kościoła katolickiego w sprawie ksiąg odkrytych przez pana Matthewsę i panią Misaki.

— Wow — powiedział Grant, kręcąc głową. — Jestem zaskoczony, że nie zadzwoniono do nas z Watykanu.

— Zapewne chcieli sami kontrolować rozprzestrzenianie się tej wiadomości.

— A gazeta?

— Dziś rano, zanim wsiadłam do pociągu, dzwonił reporter, żeby przeprosić. Dostali tego newsa wczoraj wieczorem i musieli go umieścić, zanim zdołali zrobić jakikolwiek wywiad, na przykład z nami. Ale — spojrzała na zegarek — jesteśmy umówieni za czterdzieści pięć minut, rozmowa z nami ukaże się jutro.

Grant był oszołomiony. Nawet przez chwilę nie wierzył, że Watykan ot tak zapomniał o manuskrypcie spoczywającym wśród dziesiątek tysięcy dokumentów przechowywanych w ich archiwach, szczególnie po nagłośnieniu sprawy pięć lat temu. W zeszłym roku Watykan oraz wiele protestanckich kościołów przyznało, że Jezus mógł udać się do Indii w wieku nastoletnim, ale podtrzymywali, że jego podróże w żadnym wypadku nie wpływają na jego boskość i w żadnym punkcie nie zaprzeczają treściom zawartym w Nowym Testamencie, który przemilcza te lata jego życia.

Wiele kościołów ewangelickich wciąż mówiło o Ewangeliach Issy jako o „dziele Szatana”, które kategorycznie powinno zostać odrzucone wraz z innymi apokryficznymi źródłami o Jezusie. Twardo trzymali się stanowiska, iż wcześnie ojcowie Kościoła, pochylając się nad Nowym Testamentem, byli kierowani przez Ducha Świętego, który sam wskazał im teksty prawdziwie wyrażające słowo Pana.

Opierając się na licznych prośbach o wygłoszenie wykładu, Grant i Kristin szacowali, że wzrasta liczba niezależnych kościołów próbujących na nowo przemyśleć swoje nauczanie o Jezusie, a nawet sposób prowadzenia nabożeństw. Każdego roku odbywało się coraz więcej konferencji ekumenicznych, niektóre były sponsorowane przez Projekt Issy. W czasie przerwy zimowej Grant i Kristin mieli wygłosić ważne przemówienie podczas jednej z nich w San Diego, i Grant bardzo się cieszył, odkąd dowiedział się, że udział w niej weźmie także Jigme, którego nie widzieli od dwóch lat. Czuł, że sprawa nabiera rozpędu.

Będąca pod wrażeniem Kristin, kobieta z kręconymi włosami podniosła rękę.

— Chce pani skomentować ten artykuł, pani Lynn? — zapytał ją.

— Mam pytanie do pani Misaki — powiedziała z melodyjnym południowym zaśpiewem, przez który dało się słyszeć co najmniej dwie dodatkowe sylaby w nazwisku Kristin.

— Słucham — zachęciła ją Kristin, odkładając gazetę na kolana.

— Ewangelie Issy to wciąż kontrowersyjny temat, od ich powstania upłynęło dwa tysiące lat, więc czy kiedykolwiek uda nam się jeszcze dowiedzieć, jaka jest prawda?

— To samo pytanie można zadać w inny sposób — odparła Kristin. — Czy wydarzenia historyczne naprawdę są takie ważne? Czy obchodzi nas to, że Jezus nauczył się teologii podczas wyprawy do Indii?

— A nie? Czy nie o to chodzi w Projekcie Issa, aby doprowadzić do lepszej komunikacji między różnymi wyznaniem oraz do współpracy opartej na podobieństwach religii, a nie różnicach między nimi?

— Kiedy odbywałem studia podyplomowe — Grant przechadzał się po klasie — miałem obsesję na punkcie tego, by oddzielić mit od historii, zmyślenia od faktów. Ale podczas poszukiwań tekstów Issy uświadomiłem sobie, że mój cel przesłania mi pierwotny cel tych historii. Ewangelie Issy są raczej historycznym wyjaśnieniem wpływów we wczesnym okresie życia Jezusa. Wskazują głębszą prawdę, istotną dla religii, prawdę niezależną od szczegółów historycznych, których nigdy naprawdę nie poznamy.

— Więc jaka jest ta ostateczna prawda? — zapytał Hodges z pierwszego rzędu.

Grant odparł bez zastanowienia:

— Odpowiedzi na pytanie pana Hodgesa może udzielić tylko jedna osoba.

— Ja? — dopytywał Hodges.

— Tak, pan. Nie potrzebuje pan ani mnie, ani księdza czy rabina, byśmy panu powiedzieli, w co wierzyć. Możemy dostarczyć narzędzi i wiedzy, które pozwolą panu doświadczyć ostatecznej prawdy.

— Nie sądzi pan, że większość ludzi chce, by ktoś im powiedział, w co powinni wierzyć? — nalegał student.

— Często łatwiej jest wierzyć niż kwestionować — powiedział Grant. — Ale co się stanie, kiedy doświadczycie czegoś, co wstrząśnie całym waszym systemem wiary; kiedy dowiedziecie się czegoś o innej religii, co stanowi zaprzeczenie waszej wiary, kiedy obali ją postęp naukowy albo gdy zostaną odkryte nowe teksty, podobne do Ewangelii Issy?

Rękę podniósł Marcus Park, czarnowłosy student trzeciego roku, w podartych dzinsach i czarnym podkoszulku, który mógłby uchodzić za młodszego brata Kristin przez euroazjatyckie rysy twarzy. Grant udzielił mu głosu.

— Zatem studiując inne religie, możemy poszerzać własną duchowość, może nawet pogłębiać swoją wiarę lub spojrzeć na nią z innej perspektywy?

— Podobnie jak zrobił Issa podczas swojej wędrówki — dodała Lynn.

Grant uśmiechnął się do studentów.

— Wiedziałem, co robię, gdy zgodziłem się nauczać tę grupę.

— Ale przecież — drążył Hodges — niezależnie od wspólnych praktyk i podobieństw między różnymi religiami, wszystkie nie mogą mieć racji. Jedna musi być bliżej tej ostatecznej prawdy niż pozostałe.

W wypowiedzi tego studenta Grant usłyszał znany ton: słyszał siebie, własną dualistyczną logikę. Przypomniały mu się rozmowy z Kinleyem, kiedy mnich cierpliwie siedział z nim przez kilka tygodni podczas jego rekonwalescencji. Grant słyszał głos przyjaciela: „Kiedy jeleń idzie przez las, wybiera ścieżkę na ziemi, a wiewiórka skacze z gałęzi na gałąź. Ptak może lecieć nad drzewami, podczas gdy robak będzie kopał pod nimi tunele. Każde z tych zwierząt dotrze do celu, ale czy istnieje najlepsza droga przez las? Czy jedna ze ścieżek sprawdzi się w przypadku wszystkich zwierząt?”

Kristin zerknęła na zegarek i szarpnęła Granta za koszulę. Spojrzał na jej nadgarstek, ponieważ od jakiegoś czasu sam nie nosił zegarka. Zajęcia powinny się skończyć pięć minut temu, a jednak żaden ze studentów nie zaczął się pakować.

— Wygląda na to, że dziś przeholowaliśmy z czasem. Przepraszam, jeśli przeze mnie spóźnicie się na inne wykłady. — Grant zatarł ręce, po czym założył je za plecami.

— Profesorze, jeszcze jedno pytanie — powiedział Hodges, podnosząc rękę. Nikt nawet nie jęknął, że musi jeszcze zostać. — Kiedy oddzieli się mity i opowieści, by dotrzeć do głębszej prawdy, czy nie odziera się religii z jej istoty i charakteru? Chodzi mi o to, co wtedy zostaje?

Grant przeniósł wzrok z Hodgesa na morze twarzy niecierpliwie czekających na jego odpowiedź.

— Mój przyjaciel opowiedział mi kiedyś historię o uczniu, który zapytał swojego mistrza: „Co się dzieje, kiedy opadają liście z drzewa?”. — Grant umilkł na chwilę, po czym kontynuował: — Mistrz odparł: „Ciało wystawione jest na jesienny wiatr”.

Odwrócił się do biurka i sięgnął po skórzaną teczkę z notatkami. Spojrzał na olśniewający żółty kwiat unoszący się w misie. Zatrzymał wzrok na dłużej.

Zobaczył lotos.

[7] *Don't ask, don't tell* — obowiązująca w latach 1993-2011 polityka Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych wobec homoseksualnych oraz biseksualnych żołnierzy i rekrutów, która zabraniała każdemu, kto „demonstruje skłonność lub zamiar podjęcia aktywności seksualnej”, odbywania służby w wojsku.

Podziękowania

Ta powieść nie powstałaby bez wsparcia, zachęty i niekończącej się cierpliwości mojej żony, Alison, i mojej córki, Gabrielli. Jestem wdzięczny Chrisowi Russellowi, który wiele lat temu wskazał mi drogę podczas naszych dyskusji o duchowości oraz udzielił wskazówek dotyczących medytacji, która zmieniła moje życie. Chociaż w szkole średniej bardzo lubiłem matematykę i przedmioty ścisłe, moi nauczyciele angielskiego w Westminster Schools (Eddie, Frank, Nedra i John) nauczyli mnie podstaw pisania, których nie zapomniałem przez te wszystkie lata i które umożliwiły mi ukończenie tego, co jest najtrudniejszym, a zarazem najbardziej satysfakcjonującym osiągnięciem w moim życiu. Chciałbym podziękować czytelnikom pierwszych wersji, którzy dali mi dużo cennych rad: wielebnemu Samowi Candlerowi, Jonowi Ezrine, Tomowi Flaniganowi, Steve'owi Floydowi, Annie McGarrity, doktorowi Artowi Schiffowi, ambasadorowi Raymondowi Seitzowi oraz mojej siostrze Chanley Small. Dziękuję YPO Forum, że we mnie wierzyliście i zachęcaliście do rozwijania pasji. Moim rodzicom, Jeffowi i Eileen, za waszą ufność w moje możliwości i wsparcie przez całe życie, które znaczy dla mnie więcej, niż potrafię wyrazić. Moim redaktorom, Brooke Warner i Danelle McCafferty — bez waszego baczenia na szczegóły i rad dotyczących warsztatu ta debiutancka powieść byłaby znacznie gorsza niż jest. Gorące podziękowania dla mojego wydawcy Marka Bernsteina, Hundreds of Head Books oraz ludzi z PGW za to, że zaryzykowali i uwierzyli w debiutanta. Inspiracji i tematów dostarczyły mi publikacje następujących naukowców: Marcusa Borga, Thich Nhat Hanh, Johna Hicka, Stephena Mitchella, Johna Robinsona, Hustona Smitha, Johna Shelby'ego Sponga oraz Paula Tillicha.

Od autora

Chociaż ta książka jest współczesną fikcją literacką, oparłem ją na faktach historycznych. Miejsca, w których toczy się akcja, naprawdę istnieją w Indiach i Bhutanie i starałem się opisać je tak dokładnie, jak to możliwe. Rosyjski dziennikarz Nikołaj Notowicz, który dokonał ważnego odkrycia w Himalajach w 1887 roku, co stało się punktem wyjścia tej książki, istniał naprawdę. W 1894 roku opublikował książkę o swoim odkryciu, lecz został publicznie potępiony za głoszenie herezji.

Spis treści

Część pierwsza. ISKRA

- [Rozdział 1. Dolina Punakha, Bhutan](#)
- [Rozdział 2. Birmingham, Alabama](#)
- [Rozdział 3. Punakha, Bhutan](#)
- [Rozdział 4. Gateway Business Park, Birmingham, Alabama](#)
- [Rozdział 5. Punakha Dzong, Bhutan](#)
- [Rozdział 6. Uniwersytet Emory, Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 7. Punakha Dzong, Bhutan](#)
- [Rozdział 8. Uniwersytet Emory, Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 9. Punakha Dzong, Bhutan](#)
- [Rozdział 10. Birmingham, Alabama](#)
- [Rozdział 11. Punakha, Bhutan](#)
- [Rozdział 12. Radżastan, Indie. Dwa tysiące lat temu](#)
- [Rozdział 13. Hotel Zangdho Pelri, Punakha, Bhutan](#)

Część druga. PŁOMIEN

- [Rozdział 14. Birmingham, Alabama](#)
- [Rozdział 15. Kościół New Hope, Birmingham, Alabama](#)
- [Rozdział 16. Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 17. Kościół New Hope, Birmingham, Alabama](#)
- [Rozdział 18. Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 19. Wydział Teologii Candlera, Uniwersytet Emory, Atlanta](#)
- [Rozdział 20. Uniwersytet Emory, Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 21. Aula imienia Glenna, Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 22. Birmingham, Alabama](#)
- [Rozdział 23. Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 24. Uniwersytet Emory, Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 25. Starbucks, Briarcliff Road, Atlanta, Georgia](#)
- [Rozdział 26. Agra, Indie](#)
- [Rozdział 27. Uttar Pradesh, Indie](#)
- [Rozdział 28. Agra, Indie](#)
- [Rozdział 29. Agra, Indie](#)

[Rozdział 30. Kościół New Hope, Birmingham, Alabama](#)

[Rozdział 31. Tadž Mahal, Agra, Indie](#)

[Rozdział 32. Rzeka Ganges, Indie. Dwa tysiące lat temu](#)

[Rozdział 33. Kościół New Hope, Birmingham, Alabama](#)

[Rozdział 34. Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 35. Stare Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 36. Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 37. Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 38. Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 39. Sarnath, Indie](#)

[Rozdział 40. Sarnath, Indie](#)

[Rozdział 41. Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 42. Hotel Taj Ganges, Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 43. Stare Waranasi, Indie](#)

[Rozdział 44. Przestrzeń powietrzna nad północną Alabamą](#)

[Rozdział 45. Waranasi, Indie](#)

Część trzecia. OGIENÍ

[Rozdział 46. Północne Himalaje, Indie. Dwa tysiące lat temu](#)

[Rozdział 47. Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 48. Klasztor Tygrysie, Gniazdo Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 49. Klasztor Tygrysie Gniazdo, Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 50. Klasztor Tygrysie Gniazdo, Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 51. Klasztor Tygrysie Gniazdo, Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 52. Klasztor Tygrysie Gniazdo, Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 53. Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 54. Kościół New Hope, Birmingham, Alabama](#)

[Rozdział 55. Paro, Bhutan](#)

[Rozdział 56. Cashiers, Karolina Północna](#)

[Rozdział 57. Cashiers, Karolina Północna](#)

[Rozdział 58. Cashiers, Karolina Północna](#)

Epilog. Uniwersytet Yale, New Haven, Connecticut. Pięć lat później

Podziękowania

Od autora

Rozdział 54

Kościół New Hope Birmingham, Alabama

William Jennings chodził w tę i z powrotem po swoim gabinecie. Było wpół do dziesiątej wieczorem, a on znów siedział tu sam. Rzucił okiem na metalowy kosz do śmieci. Paski papieru z przenośnej niszczarki leżały zgniecione w kulkę jak porcja czarno-białego makaronu.

Może powinienem je podpalić, pomyślał.

Patrząc na kosz, pomyślał, że za chwilę może przydać się jeszcze do czegoś innego — zaraz do niego zwróci. Było mu niedobrze; nie dlatego, że zatrzał się jedzeniem, nie złapał też żadnego wirusa, tylko rozpadały się jego wizje i plany. *Dlaczego, do cholery, zgodził się skorzystać z usług Tima Huntleya?* Teraz wszystkie jego plany się posypały.

Jego szef może i był wizjonerem, ale to Jennings sprawił, że interes się kręcił. Bez niego kościół wymyślony przez Brady'ego nigdy by nie istniał. Bez niego kandydowanie Brady'ego na urząd prezesa NSE pozostałoby w sferze marzeń. Stojąc na czele NSE, Brady byłby głosem, który wyprowadzi ludzi z ciemności w światłość. Ma do tego talent. A Jennings stałby wtedy tuż za nim, kontrolując dobrze naoliwioną maszynę zbawienia. Byli już tak blisko: trwała budowa Wspólnoty New Hope, książka Brady'ego została bestsellerem, a Brady nie miał żadnego kontrkandydata w nadchodzących wyborach.

Lecz teraz ich przyszłość wisi na włosku. Bank grozi, że zamrozi pożyczkę i zatrzyma budowę. Przekroczenie budżetu przez ekstrawagancję Brady'ego, w połączeniu z kryzysem ekonomicznym, pogрузило wstępne projekty, które Jennings przedstawił w banku, kiedy ubiegali się o kredyt. I jeszcze kwestia tekstów Issy.

Kiedy wypłynęły po raz pierwszy, Jennings zmienił ich destrukcyjny potencjał w PR-ową kopalnię złota — kierując uwagę na książkę Brady'ego i wiarę. Podobnie jak zachęcał wielebnego do napisania książki, a nawet zapewnił mu pomoc specjalisty i odpowiednio pokierował spektaklem w Emory. Debata, udział mediów, poniżenie Granta Matthews'a — to wszystko jego dzieło, które przyniosło wspaniałe rezultaty. Ale strategia Jenningsa opierała się na tym, że prawdziwe teksty nigdy nie mogły ujrzeć światła dziennego.

Kiedy Tim Huntley polecił mu swoje usługi, Jennings postanowił skorzystać z tego, co wówczas wydawało się doskonałym rozwiązaniem problemu. Tim był zawodowcem oraz wiernym kościoła. Pierwotne obiekcje związane z psychiczną stabilnością tego parafianina, który co tydzień posyłał e-maile pełne wszelkiego rodzaju konspiracyjnych głupot, zostały przewyciężone przez jego zaangażowanie w sprawę oraz szkolenie wojskowe. Jennings wiedział, że Bóg dał mu narzędzie, które powinni wykorzystać.

Nie chciał wiedzieć, co dokładnie Tim robił za granicą, by zdobyć teksty. Wojna nie była niczym

przyjemnym, szczególnie jeśli walczyło się w imię Boga. Egipt nawiedzony przez plagi, zniszczenie Sodomy i Gomory, przemoc zapowiedziana w Ewangelii świętego Jana — każda z tych historii dawała potwierdzenie tego, że Bóg popierał użycie siły w celu pokonania zła. Jennings rozumiał, że znaleźli się w krytycznym położeniu. Nadchodził Koniec Czasów. Te heretyckie teksty o Jezusie były kolejną częścią układanki.

Ale teraz wszystko, co Jennings osiągnął, zostało wystawione na ryzyko. Kiedy Tim zadzwonił trzy dni temu, żądając prywatnego samolotu, by polecieć w miejsce, gdzie trzymano teksty, Jennings najpierw się sprzeciwił. Nie chodziło tylko o ogromne koszty, ale również o to, że takie posunięcie bezpośrednio wiązało kościół z tym, co robił ten agresywny człowiek. To dlatego Jennings przezornie zaopatrzył go w gotówkę. Ale okazało się, że poszukiwania Tima są już na ostatnim etapie, a poza tym Huntley nalegał i obiecywał, że dzięki temu uda mu się wyprzedzić Granta.

Nie przerywając wydeptywania ścieżki przed biurkiem, Jennings żałował, że zignorował swoje pierwotne obiekcje. Pół godziny temu zadzwonił do niego zdenerwowany pilot wycarterowanego samolotu. Tim spóźniał się trzy godziny na lot ustalony na szóstą rano, a wieża skontaktowała się z pilotem, wzywając go do terminalu. Policjanci chcieli porozmawiać z nim o pasażerze. Coś poszło nie tak. Jennings poprosił pilota, by natychmiast wystartował. Nie chcąc mieszać się w jakieś niejasne sprawy w kraju Trzeciego Świata, pilot chętnie się zgodził.

Teraz Jennings musiał pozacierać ślady. Tim będzie musiał sam ponieść konsekwencje swego postępowania. Na szczęście Jennings przezornie nie wynajął samolotu od firmy, której częściowe udziały posiadał kościół. Zwrócił się do firmy czarterującej samoloty z siedzibą w Dubaju, która szybko się rozwijała w czasach prosperity, a teraz, w czasach spowolnienia ekonomicznego, łapała wszystkie zlecenia. Nie będą zadawali pytań, jak tylko dostaną przelew na czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Skorzystał z funduszu z trustu panamskiego, który założył dziesięć lat wcześniej, by pomóc pewnym zamożnym protektorom New Hope lokujących swoje środki za granicą. W ten sposób mogli wpłacać swoje pieniądze na konto panamskie, omijając chciwych sługusów amerykańskiego rządu, którzy nawet nie wiedzieli, że ich pieniądze znajdują się na zagranicznych rachunkach. Jennings od czasu do czasu przelewał „datki” z konta trustu na konto kościoła.

Teraz gdy zniszczył już kopie faksów z umową od firmy czarterowej, musiał skupić się na kolejnym zagrożeniu. *Co mam począć w sprawie tekstów?*